

Larry Alexander

# CIENIE W DŻUNGLI

*Shadows in the Jungle*

**ZWIADOWCY ALAMO NA WYSPACH PACYFIKU**

*The Alamo Scouts behind Japanese Lines in World War II*

Przełożyła

Joanna Przyjemka

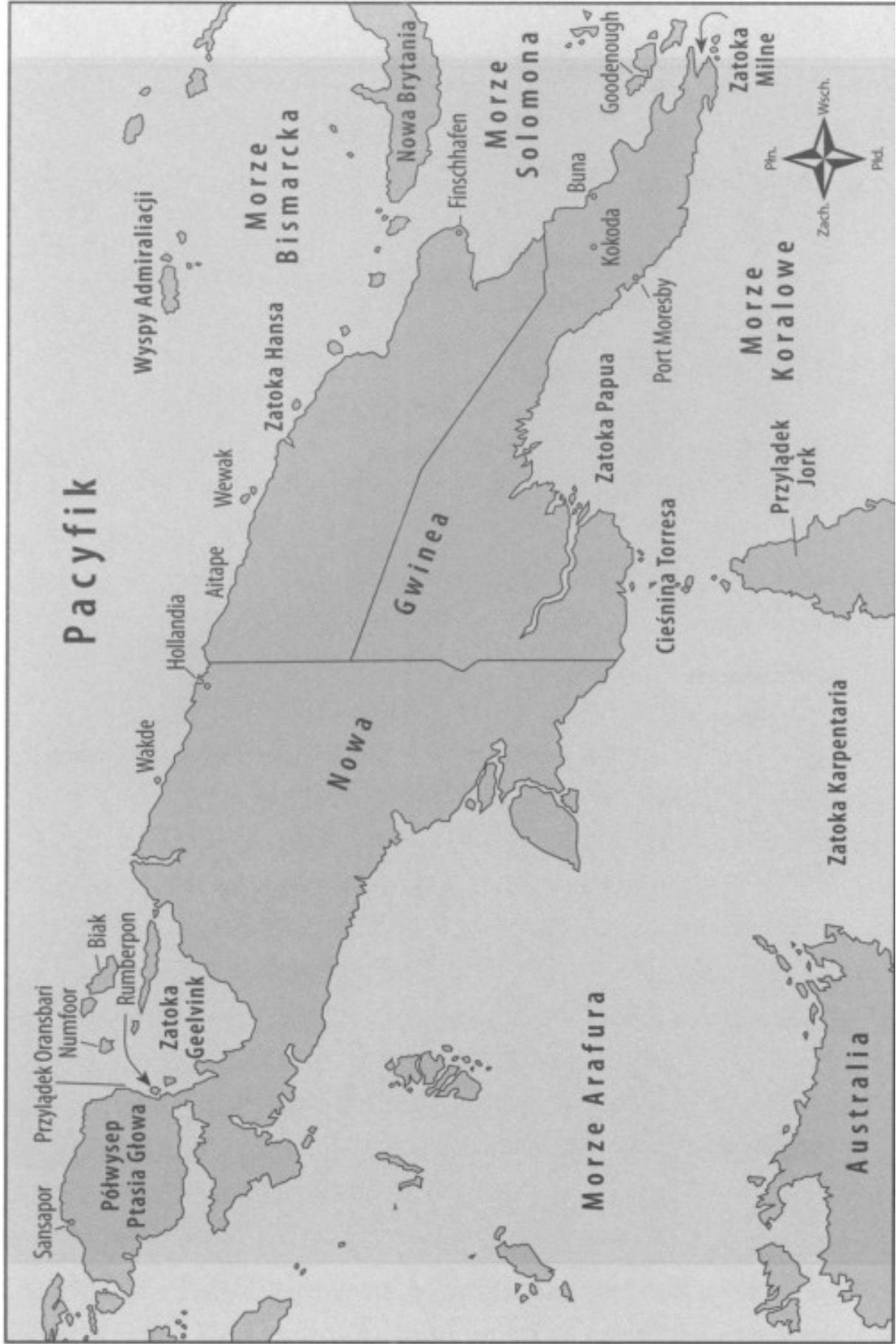


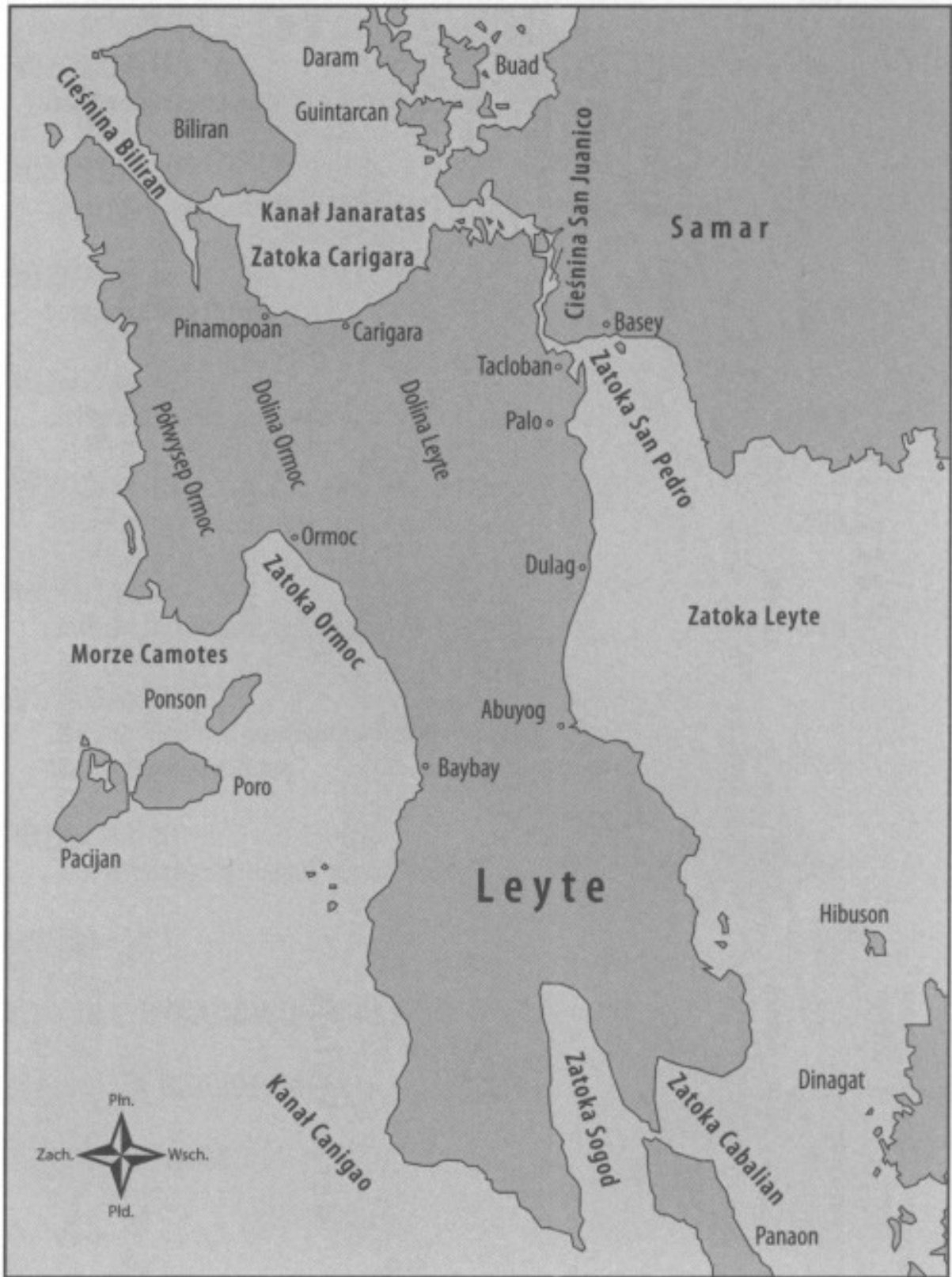
*Książkę tę dedykuję Zwiadowcom Alamo,  
nieznanym bohaterom wojny na południowo-zachodnim Pacyfiku*

# SPIS TREŚCI

SPIS TREŚCI.....	3
WSTĘP.....	8
ROZDZIAŁ.....	1
Hollandia „Chyba wracamy do domu”.....	21
ROZDZIAŁ.....	2
„Utworzę własną jednostkę zwiadowczą”.....	36
ROZDZIAŁ.....	3
Rekrutacja i szkolenie.....	54
ROZDZIAŁ.....	4
Pierwsze zadanie.....	80
ROZDZIAŁ.....	5
„Niech was Bóg błogosławi, dzielni żołnierze”.....	95
ROZDZIAŁ.....	6
„Całe wybrzeże to była jedna łuna płomieni”.....	112
ROZDZIAŁ.....	7
Końcowe działania na Nowej Gwinei.....	126
ROZDZIAŁ.....	8
„To najlepsze widowisko, jakie kiedykolwiek widziałem”.....	145
ROZDZIAŁ.....	9
Akcja ratunkowa na przylądku Oransbari.....	162
ROZDZIAŁ.....	10
„Być może uda nam się ocalić świat”.....	174
ROZDZIAŁ.....	11
Samar/Zatoka Ormoc.....	208
ROZDZIAŁ.....	12
„Tylko Bóg może wam pomóc stamtąd się wydostać”.....	227
ROZDZIAŁ.....	13
Pierwsi do walki, ostatni z placu boju.....	238

<u>ROZDZIAŁ</u>	<u>14</u>
<u>„Jeśli mi się nie uda, ty musisz skończyć”</u>	<u>267</u>
<u>ROZDZIAŁ</u>	<u>15</u>
<u>„Nie zamieniłbym jednego Zwiadowcy Alamo na całą japońską armię”</u>	<u>281</u>
<u>ROZDZIAŁ</u>	<u>16</u>
<u>„To równałoby się niemal samobójstwu”</u>	<u>309</u>
<u>EPILOG</u>	<u>317</u>
<u>ZESPOŁY ZWIADOWCÓW ALAMO</u>	<u>324</u>
<u>WYBRANA BIBLIOGRAFIA</u>	<u>326</u>
<u>PODZIĘKOWANIA</u>	<u>327</u>
<u>INDEKS NAZWISK</u>	<u>329</u>







# WSTĘP

## Najlepsi z najlepszych

Był koniec grudnia 2006 roku. Osiemdziesięcioletni mężczyzna zjadł właśnie smaczny obiad w ulubionej restauracji. Nie dał rady zjeść całej porcji, poprosił więc, żeby resztę chrupiącej, przyrządzonej na ruszcie soli zapakowano mu na wynos. Wyszedłszy z lokalu, skierował się w stronę swojego samochodu.

Wsparty na lasce dotarł do auta, wsunął kluczyk do zamka w drzwiczkach od strony pasażera, otworzył je i położył pakunek z rybą na siedzeniu, po czym zatrzasnął drzwi. I wtedy otrzymał uderzenie, które kompletnie go zaskoczyło - silny cios w prawą stronę głowy połamał mu okulary i rozciął czoło nad okiem. Impet uderzenia został częściowo złagodzony przez daszek bejsbolówki, a mężczyzna byłby upadł, gdyby nie zdołał w porę oprzeć rąk na lasce.

Krew zalewała mu prawe oko, ale lewym dostrzegł przed sobą nogi sprawcy ataku i błyskawicznym ruchem machnął laską. Napastnik wrzasnął, otrzymawszy cios w jądra, i cofnął się. Teraz przewaga była po stronie starszego mężczyzny. Chwycił laskę za przeciwległy koniec, a rzeźbioną rączką walnął niczym kijem bejsbolowym w gołonie napastnika. Dał się słyszeć głośny trzask i przestępca padł na chodnik niczym powalony byk. Starszy człowiek znowu zaczął wywijać laską, tym razem mierząc w kolana przeciwnika, i znowu rozległ się trzask łamanych kości. Potem nastąpił jeszcze jeden cios, ale w krok.

Napastnik wił się na chodniku, wyjąc z bólu, i w przewidywaniu kolejnego ciosu zakrywał rękami głowę. Jednak starszy mężczyzna wybrał inny cel ataku: dwoma machnięciami laski zmiażdżył mu kości biodrowe, po czym oparłszy się o auto, spokojnie czekał na przyjazd policji, po którą zdążył już zadzwonić przechodzień spacerujący z psem.

Przybyła policjantka zastała następującą scenę: kilku sanitariuszy zajmowało się młodym, potężnym mężczyzną wijącym się w męczarniach na chodniku, a ich kolega bandażował w karetce głowę starszemu panu.

- Pan to zrobił? - spytała policjantka z niedowierzaniem, wskazując na pobitego menela.

- Nie - odparł mężczyzna. - Moja laska.

Policjantka była wyraźnie zdumiona, ale jej reakcja byłaby całkiem inna, gdyby



wiedziała, kim jest ten starszy mężczyzna. Otóż przed sześćdziesięciu dwu laty był on jednym ze Zwiadowców Alamo, odznaczonym orderem za męstwo członkiem najmniejszej elitarniej jednostki armii amerykańskiej, nauczonym nie tylko tego, jak przeżyć w dżungli, zbierać przydatne dla wywiadu informacje i przeprowadzać rekonesans, ale w razie ataku reagować automatycznie i ze śmiertelnością siłą.

Napastnik, o czym może nigdy się nie dowiedział, i tak miał szczęście.

\*\*\*

Był 10 października 2007 roku, trochę po ósmej rano, gdy przed głównym wejściem hotelu Renaissance w Denver w Kolorado zatrzymała się taksówka. Zapłaciłem szoferowi i wszedłem do hotelowego holu, w którym natychmiast zobaczyłem stół udekorowany biało-granatowo-czerwoną flagą oraz napisem STOWARZYSZENIE ZWIADOWCÓW ALAMO.

Uśmiechnąłem się. Trafiłem.

Jeszcze rok temu miałem na ich temat takie samo pojęcie jak policjantka wezwana po napaści na starszego mężczyznę. Podobnie jak ona i wielu innych Amerykanów wiedziałem bardzo mało o Zwiadowcach Alamo. Raz albo dwa razy w życiu coś tam na ich temat czytałem, ale nie wiedziałem ani kim byli, ani czego dokonali.

I dlatego teraz, kiedy postanowiłem właśnie im poświęcić kolejną książkę, przebyłem prawie trzy i pół tysiąca kilometrów, aby spotkać się z nimi i nagrać ich opowieści.

Po ukazaniu się w 2005 roku pracy *Biggest Brother* o Dicku Wintersie, słynnym spadochroniarzu z czasów drugiej wojny światowej, nie byłem pewien, czy coś jeszcze napiszę. Nie opublikowałem *Biggest Brother* po to, aby zdobyć drugi zawód i zostać pisarzem, ale aby oddać hołd człowiekowi, którego losy, moim zdaniem, Amerykanie powinni znać.

Jednak po pewnym czasie pasja pisania wzięła górę i zacząłem zastanawiać się nad tematem drugiej książki (a być może sprawiły to telefony i e-maile od czytelników, którym bardzo podobał się mój sposób narracji i którzy zachęcali mnie do dalszej pracy). Czyż więc mogłem odmówić? Zawsze fascynowałem się książkami i odkąd jako dwunastoletni chłopiec dostałem od dziadka maszynę do pisania, marzyłem, by zostać pisarzem.

Wobec tego poszukiwałem tematów nie tyle dziewiczych, ile takich, które nie byłyby omówione gruntownie w niezliczonych książkach.

I w ten sposób natknąłem się na stronę internetową Zwiadowców Alamo. Tam znajduje się cała kopalnia informacji na temat tej jednostki, a także zdjęcia i opowieści jej członków. Im bardziej zgłębiałem tę wiedzę, tym większy był mój podziw dla tych ludzi oraz dla ich dokonań.

Dowiedziałem się między innymi o jedynej książce, jaką napisano o Zwiadowcach Alamo; chodzi o *Silent Warriors of World War II: The Alamo Scouts Behind the Japanese Lines* (Cisi wojownicy II wojny światowej: Zwiadowcy Alamo na tyłach japońskich wojsk) autorstwa Lance'a Q. Zedrica, która ukazała się w 1995 roku. Początkowo miała to być praca magisterska Zedrica. Udało mu się dotrzeć do żyjących członków tej jednostki i spisać ich wspomnienia.



*Dowódca zespołu Zwiadowców Alamo Bill Littlefield (z lewej) rozmawia z innym zwiadowcą, Lee Hallem (z prawej), w czasie spotkania Zwiadowców Alamo w 2007 roku. Pośrodku siedzi Les McConnell, syn Zeke'a McConnella*

Skontaktowałem się z Russem Blaisem, dyrektorem wykonawczym Stowarzyszenia Zwiadowców Alamo i synem nieżyjącego już Williama F. Blaise'a, zwiadowcy z zespołu Sumnera. Russ gorąco poparł pomysł napisania nowej książki o jednostce, w której służył jego ojciec. Dzięki pomocy jego oraz Zedrica, dziś oficjalnego historyka dziejów Zwiadowców Alamo, przystąpiłem do zbierania materiałów.

Przy nieocenionej pomocy Russa nawiązałem kontakty z żyjącymi jeszcze członkami Zwiadowców Alamo, przeprowadziłem z nimi wywiady zarówno telefoniczne, jak i w cztery oczy, zebrałem tak potrzebne dokumenty oraz sporządziłem notatki. Praca szła gładko nie tylko pod względem scalania materiału, ale i ubarwiania go różnymi szczegółami, które zawsze ożywiają i urealniają relację. Jednak czegoś w tym wszystkim brakowało i nawet wiedziałem czego. Musiałem spotkać się z tymi ludźmi.



*Zwiadowcy wraz z rodzinami podczas obiadu, w trakcie spotkania w 2007 roku. Od lewej: Terry Santos, Bob Buschor, Rita Buschor, Maude Hall i Lee Hall*

Skontaktowanie się z Jackiem Geigerem z zespołu Williama Lutza nie nastęrczało trudności. Geiger mieszka w New Jersey i dwukrotnie udało mi się z nim spotkać, a ten kontakt okazał się kluczowy dla poskładania opowieści o jego zespole oraz ludziach.

Jednak ciągle brakowało mi rozmów z żyjącymi członkami jednostki i dlatego przyjechałem do Denver na spotkanie ze Zwiadowcami Alamo. Chciałem osobiście poznać ludzi, o których od roku zbierałem informacje i czytałem.

\*\*\*

Na pomysł utworzenia jednostki Zwiadowców Alamo wpadł pod koniec 1943 roku generał Walter Krueger, a zmobilizowały go do tego narzekania jego dowódcy, generała Douglasa MacArthura, na brak wiarygodnej jednostki zwiadowczej, na której informacjach można by polegać. MacArthur był podejrzliwy i próżny, nie ufał danym dostarczanym przez Biuro Służb Strategicznych z powodu jego bliskich powiązań z Połączonym Kolegium Szefów Sztabów, do którego generał odnosił się z niezmiernym sceptycyzmem i pogardą.

Zwiadowcy Alamo była to całkowicie ochotnicza jednostka, na której czele stanął pułkownik Frederick Bradshaw. Zaplanował on sześciotygodniowy, intensywny i trudny program szkoleń, tak aby na końcu pozostali tylko najlepsi. Decydowała nie tylko sprawność

fizyczna, ale i cechy charakteru: osoby agresywne, nieumiejące trzymać języka za zębami czy indywidualiści nie mieli tu czego szukać. Ci, których wybrano, musieli lubić się nawzajem i ufać jeden drugiemu, ponieważ ich życie zależało właśnie od wzajemnego zaufania i zespołowej pracy. Musieli odznaczać się też instynktem przetrwania i wyostrzonymi zmysłami. Na przykład zdarzyło się, że jeden ze zwiadowców zlokalizował obóz Japończyków, kierując się zapachem sardynek z puszki, którą właśnie któryś z nich otworzył.

Ci, którzy ukończyli szkolenie, wiedli życie na tyle luksusowe, na ile tylko Krueger mógł im je zapewnić. W obozie, w którym byli skoszarowani, mieli doskonałe warunki, wliczając w to żywność, utrzymanie, warunki sanitarne, lodówki, radia. Dlatego też nazwali ten obóz Hotel Alamo.

Bradshaw za pośrednictwem Kruegera dbał, aby jego ludzie otrzymywali jak najlepszy sprzęt wojskowy. Jeśli tylko ktoś chciał mieć jakąś broń, zaraz ją dostawał.

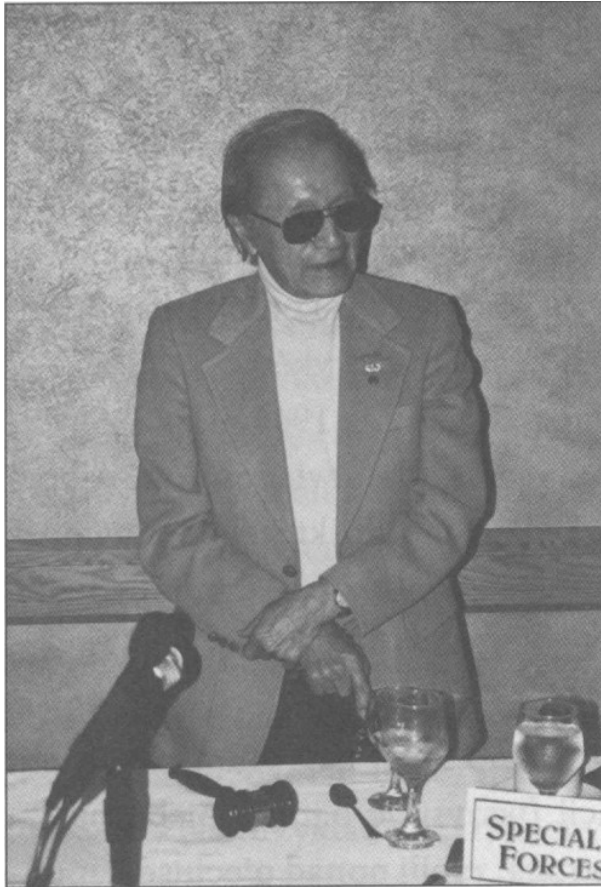
Swoją wartość Zwiadowcy Alamo udowodnili poprzez czyny. Działając w sześciolub siedmioosobowych zespołach, przenikali głęboko na tyły wroga i realizowali zadania trwające niekiedy nawet siedemdziesiąt dni. Poruszali się wśród Japończyków bezszelestnie w swoich kamuflażach, z pomalowanymi twarzami i rękoma, porozumiewali się głównie za pomocą znaków i zbierali informacje na temat plaż (na które zamierzano dokonać desantu), prądów morskich, przyływów, liczby oraz rozmieszczenia wojsk, morale wroga, pozycji obronnych, przejezdności dróg, dostępu do wody pitnej itp. I chociaż do ich głównych obowiązków należało prowadzenie działań rozpoznawczych, a nie walka z wrogiem, to jednak czasami byli zmuszeni wykonywać inne zadania, na przykład zniszczyć zapasy wroga i odbijać cywilnych zakładników czy jeńców wojennych z rąk Japończyków.

Pomiędzy 27 grudnia 1943 roku a 2 września 1945 roku 325 wojskowych i cywilów ukończyło szkolenie dla Zwiadowców Alamo (Alamo Scouts), ale tylko 138 przydzielono do któregoś z dwunastu zespołów. Cała jednostka o nazwie Zwiadowcy Alamo nigdy nie liczyła naraz więcej aniżeli 65 zwiadowców i 13 oficerów - razem 78 ludzi.

Pod koniec wojny Zwiadowcy Alamo mieli na swoim koncie sto osiem przeprowadzonych operacji (wszystkie bardzo niebezpieczne). Działając głęboko na tyłach wroga, zabili ponad pięciuset japońskich żołnierzy, a około sześćdziesięciu wzięli do niewoli. Co prawda około dwunastu zwiadowców zostało rannych, ale ani jeden z nich nie zginął.

Zwiadowcy Alamo jeszcze w czasie swoich działań zostali odznaczeni - 44 Srebrną Gwiazdą, przy czym dwaj Srebrną Gwiazdą z liśćmi dębowymi, 33 - Brązową Gwiazdą, w tym 11 - z liśćmi dębowymi, i czterech - Medalem Żołnierza. Trzech zarekomendowano do odznaczenia Krzyżami za Wybitną Służbę, a dwa zespoły, dowodzone przez poruczników

Williama Nellista i Thomasa Rounsaville'a, za udział w odbiciu jeńców wojennych w Cabanatuanie w styczniu 1945 roku zdobyły Presidential Unit Citations<sup>1</sup>.



*Terry Santos przemawia podczas spotkania Zwiadowców Alamo, 2007*

Po zakończeniu wojny Pentagon zdecydował, że wszystkie informacje związane ze Zwiadowcami Alamo mają być utajnione, wobec tego powiedziano żołnierzom jednostki, aby wracali do domu, rozpoczęli normalne życie i nigdy nie puścili pary z ust. Ten fakt oraz to, że jednostka została rozwiązana po cichu, bez żadnych ceremonii, nagród i podziękowań, pozostawiły w sercach Zwiadowców Alamo dotkliwą zadrę.

Okolo 1988 roku większa część ich historii została odtajniona, a kilka lat później również i reszta i wreszcie weterani, wówczas panowie w wieku sześćdziesięciu paru lat, otrzymali naszywki oznaczające przynależność do sił specjalnych.

Kiedy zaś ja spotkałem się z nimi w Denver, wszyscy już byli w podeszłym wieku, siwi i niekiedy schorowani. Na spotkanie miało przyjechać siedmiu byłych Zwiadowców Alamo, a zjawilo się pięciu.

Trudno mi było wyobrazić sobie, że ten Dick Winters, którego znam dzisiaj, w 1944 roku, mając dwadzieścia trzy lata, skakał ze spadochronem z samolotu, podobnie niełatwo zobaczyć oczyma wyobraźni tych starych ludzi jako żołnierzy, którzy podpełzali tak blisko Japończyków, że pewnego razu jeden z nich nasikał na amerykańskiego zwiadowcę i nawet wtedy go nie zauważył. Jednak młodzieńcze błyski w ich oczach, gdy wspominali tamte dni, mówiły wszystko.

Nie bardzo podobał mi się pomysł spotkania się ze Zwiadowcami Alamo w Denver. Czulem się jak intruz, a nie jak gość wśród mężczyzn, którzy odegrali kluczową rolę w zwycięstwach generała MacArthura i którzy, teraz już w bardzo podeszłym wieku, spotykali się, aby podzielić się wspomnieniami i przywołać z pamięci dni swojej młodości.

<sup>1</sup> US Presidential Unit Citation - wyróżnienie przyznawane przez prezydenta Stanów Zjednoczonych amerykańskim i sojuszniczym jednostkom wojskowym za niezwykle bohaterskie czyny lub zasługi w walce z wrogiem (przyp. tłum.).

Jednak niepotrzebnie się denerwowałem.

Pierwszym zwiadowcą, którego spotkałem, był Terry Santos; w 1944 roku odmówił on dołączenia do jednego z zespołów i po odbyciu szkolenia dla Zwiadowców Alamo wrócił do macierzystej jednostki. Terry odegrał kluczową rolę w ataku na obóz dla internowanych w Los Baños, gdzie pomógł uwolnić ponad dwa tysiące wziętych do niewoli cywilów. Za zlikwidowanie trzech japońskich stanowisk broni maszynowej został odznaczony Srebrną Gwiazdą.

Terry, pomimo swoich osiemdziesięciu sześciu lat, okazał się rozmowny i otwarty. Widać było, że to on jest przywódcą tego spotkania; zajął się wszystkim, łącznie z rozdziałem obowiązków.

Wkrótce przyleciał z Los Angeles Wilbur Littlefield, jeden z żyjących jeszcze dowódców zespołu. Przeprowadziłem już z nim wywiad przez telefon, a teraz miałem okazję poznać go osobiście i porozmawiać. Bardzo łatwo było nawiązać z nim kontakt, a on z przyjemnością dzielił się ze mną swoimi wspomnieniami.

Był tam też Aubrey „Lee” Hall. Jako tymczasowy członek zespołu dowodzonego przez Johna Dove’a brał udział w niebezpiecznej misji na Nowej Gwinei. Z nim również przeprowadziłem wcześniej wywiad przez telefon. Teraz kontynuowaliśmy naszą rozmowę.

Obydwaj byli bardzo pomocni, podobnie jak Bob Buschur i Conrad Vineyard, którzy nigdy nie mieli okazji służyć w żadnym zespole. Wielką pomoc okazały mi także rodziny nieżyjących już Irva Raya, Harolda Harda, Billa Nellista, Johna McGowena, Williama McCommonsa i Zeke’a McConnella.



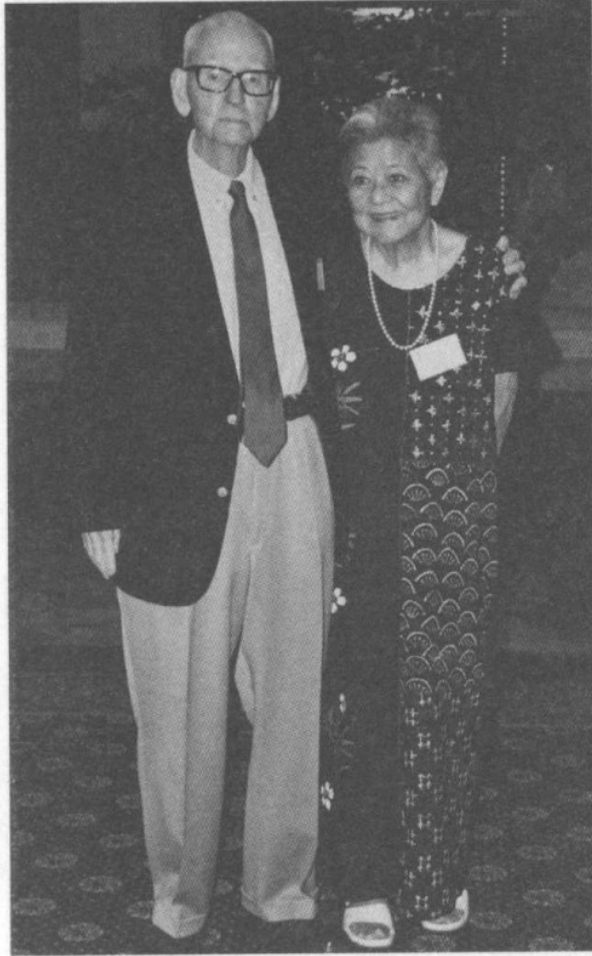
*Bill Littlefield na spotkaniu Zwiadowców Alamo, 2007*











*Aubrey „Lee” Hall, który ukończył pierwszy kurs szkoleniowy dla Zwiadowców Alamo w 1944 roku, z żoną Maude, w 2007 roku na spotkaniu zwiadowców*

Wyjechałem z Denver nie tylko z olbrzymim zasobem informacji i jeszcze większym podziwem dla dokonań tych ludzi, ale i ze świadomością, że zyskałem nowych przyjaciół.

Z 325 mężczyzn, którzy ukończyli szkolenie dla Zwiadowców Alamo, żyje około dziesięciu. Wielu zmarło, zabierając swoje nieznanie nikomu historie do grobu. Wskutek dziesięcioleci narzuconego przez rząd milczenia tak niewielu Amerykanów zna nazwiska tych ludzi i ich dokonania.

I dlatego celem tej książki jest podanie do publicznej wiadomości ich nazwisk i czynów.

\*\*\*

Piszę tu o roli, jaką odegrali zwiadowcy w słynnym uwolnieniu przez 6. batalion rangersów 6. Armii pięciuset jeńców wojennych z obozu w Cabanatuanie, gdzie czekałaby ich niechybna śmierć. Inne akcje zrelacjonowane w tej książce nie zostały

dobrebrane pod względem swojej wagi czy stopnia emocji, jakie budzą, lecz wyłącznie pod kątem liczby dostępnych na ich temat informacji. Sporo jest na przykład o zespole dowodzonym przez porucznika Roberta „Rudego” Sumnera - nie dlatego, że Sumner dokonał czegoś, czego nie zrobili inni zwiadowcy, lecz ponieważ pozostawił cudowne pamiątki, które udostępnił mi Russ Blaise, Lance Zedric i Ann Sumner.

Podobnie dzięki wywiadam, jakie przeprowadziłem z innymi członkami Zwiadowców Alamo, najczęściej wspominam w tej książce akcje, w których brali udział Dove, Nellist, Rounsaville, Lutz, Littlefield i McGowen.

Nie mam jednak najmniejszego zamiaru negować zasług pozostałych pięciu zespołów.

Praca wszystkich zwiadowców, nawet tych, którzy, tak jak Terry Santos, nie byli członkami żadnego zespołu, ale których historie również opisuję, zasługują na pamięć i cześć, których tak długo im odmawiano. Ich wkład w zwycięstwo Stanów Zjednoczonych na

obszarach położonych na południowo-zachodnim Pacyfiku nigdy nie został w pełni uznany.

Uwypuklenie ich roli w tym zwycięstwie to kolejny cel niniejszej książki.

\*\*\*

Dziś Zwiadowcy Alamo utrzymują ściśle kontakty i raz na rok się spotykają. Jest ich już niestety coraz mniej, ale łącząca ich przyjaźń, którą zaobserwowałem na spotkaniu w 2007 roku, nie osłabła.

W czasie wojny życie tych ludzi zależało od wzajemnego zaufania, toteż powstała między nimi duchowa więź scalająca ich mocniej aniżeli więzy rodzinne. Więzy trwająca tak długo, jak długo choć jeden z nich pozostanie przy życiu.

Dicka Wintersa i ludzi z Kompanii Braci łączą nierozzerwalne więzy - Zwiadowcy Alamo tworzą własną Kompanię Braci.

# ROZDZIAŁ 1

## Hollandia „Chyba wracamy do domu”

Zespół Dove'a: wybrzeże Nowej Gwinei, 6-7 czerwca 1944

Jesteśmy na miejscu - powiedział kapitan PT-363 przyciszonym głosem, zatrzymując kuter torpedowy typu Elco, ochrzczony przez załogę przydomkiem „Aces Avenger”.

Porucznik John Dove skinął głową i spojrzał w odległą o ponad pięćset metrów ciemną otchłań. Tam była Nowa Gwinea.

- Doskonale. Wsiadamy - oznajmił.

- Morze jest dziś dość wzburzone - ostrzegł kapitan PT-363. - Czy jesteś pewien, że powinniśmy próbować?

- Idziemy. - W głosie Dove'a nie było już cienia żartobliwego zwykle tonu; teraz mówił rzeczowo i poważnie. Odwrócił się od kokpitu i skierował w stronę rufy, gdzie pomiędzy wyrzutnią torped a działkiem przeciwlotniczym kaliber 20 mm już czekało sześciu członków jego zespołu.



*Karabin M1*

W porównaniu z ubraną w niebieskie kombinezony załogą PT-363 Jack Dove i jego ludzie wyglądali niezwykle groźnie. Mieli na sobie kamuflaż, pomalowane twarze i ręce, a na głowie, zamiast hełmu, bejsbolówki, które nie brzęczały ani nie odbijały światła. Uzbrojeni byli w karabiny M1<sup>2</sup> albo pistolety maszynowe Thompson, a do tego jeszcze pistolety Colt

---

<sup>2</sup> Carbine M1 - amerykański karabinek samopowtarzalny z okresu II wojny światowej. Po przyjęciu do uzbrojenia w drugiej połowie lat 30. XX wieku karabinu samopowtarzalnego M1 Garanda pojawił się problem uzbrojenia żołnierzy oddziałów pomocniczych. Nowy karabin, znacznie cięższy niż stary Springfield M1903, niezbyt nadawał się jako uzbrojenie pomocnicze. Karabinek M1 w założeniu miał być bronią oddziałów tyłowych, załóg pojazdów pancernych, młodszych oficerów. Jednak jego poręczność sprawiła, że pod koniec wojny było w niego uzbrojonych prawie 40% amerykańskich żołnierzy, zwłaszcza walczących tam, gdzie długi i ciężki karabin M1 Garanda zbyt krępował ruchy. Po wojnie karabinek M1 pozostawał w uzbrojeniu do końca lat 60. XX wieku (przyp. JB).

kaliber 11,43 mm. Oprócz tego każdy miał lornetkę, sto sztuk amunicji, nóż, dwie menażki, flary i kompas oraz porcje żywnościowe na trzy dni, składające się z mieszanki orzeszków ziemnych i rodzynek zapakowanej w małe torebeczki.

Dove i jego ludzie wchodzili w skład najmniejszych elitarnych oddziałów zwanych Zwiadowcami Alamo, należących do Specjalnej Jednostki Zwiadowczej 6. Armii Stanów Zjednoczonych. Nazwę Alamo wymyślono, aby podkreślić więź tej jednostki z dowodzoną przez generała Waltera Kruegera 6. Armią, nazywaną Alamo Force ku czci San Antonio w Teksasie, rodzinnego miasta Kruegera. Stoi tam pomnik upamiętniający Amerykanów poległych w bitwie o Alamo, misję i fort w San Antonio, w 1836 roku.

Członkowie Zwiadowców Alamo zostali wybrani z setek ochotników i wyszkoleni wyłącznie w jednym celu: przeniknięcia na tyły japońskich wojsk, zebrania informacji i jak najszybszego powrotu - i to bez strat.

- Jesteśmy przekonani, że w Hollandii<sup>3</sup> żółtki wycofują się z linii frontu na zachód w kierunku Wakde - powiedział tego dnia rano Dove'owi jeden z oficerów wywiadu Kruegera. - Chcemy wysadzić was na brzeg niedaleko rzeki Taorum, na zachód od wioski Armopa, mniej więcej w połowie drogi między Hollandią a Wakde. Musimy wiedzieć, czy Japończycy na pewno się wycofują, jakimi dysponują siłami i w jakiej są formie, to znaczy czy są w stanie przegrupować się i przypuścić nowy atak.

Dove, przystojny, mierzący metr osiemdziesiąt i ważący 90 kilogramów dryblas o raczej surowej urodzie, wyglądający jak gwiazda futbolu, którą każdy amerykański college chciałby mieć w swojej drużynie, kiwnął głową. Choć znajdował się bardzo daleko od rodzinnego domu przy 153 West Norton Avenue w Hollywood, nic nie stracił ze swojej pobożności, nie pił, nie palił i często prowadził swoją grupę, śpiewając psalmy. Teraz jego i jego zespół czekało pierwsze zadanie, być może walka, toteż modlił się za siebie, za swoich ludzi, a nawet za Japończyków.

„Panie, jeśli nie chcesz, bym zabił wroga, nie pozwól, bym go dostrzegł”, zaintonował.

Na rufie PT-363 Dove zwrócił się do dwóch marynarzy stojących obok dziesięcioosobowego nadmuchanego pontonu.

- Spuście go na wodę. Wskakiwać. Szybko - rzucił.

---

<sup>3</sup> Od 1962 roku Jayapura (przyp. tłum.).



*Zwiadowcy Alamo płyną pontonem do brzegu*

Marynarze spuścili ponton na wzburzone fale i trzymali liny, żeby nie odpłynął. Zwiadowcy wsiedli. W skład ekipunku wchodziło między innymi ciężkie radio SCR-300<sup>4</sup> i jeszcze jeden ponton. Dove wsiadł jako ostatni. Wcześniej odwrócił się do zwiadowcy, który nie płynął z nimi. Sierżant Vern M. Miller z Jerome w stanie Iowa miał pozostać na kutrze, monitorować działania patrolu przez radio, a w razie potrzeby zająć się jego ewakuacją. Taka osoba kontaktowa zawsze była członkiem innego zespołu; Miller należał do grupy porucznika Woodrowa E. Hobbsa.

- Do zobaczenia za dwa dni. Powodzenia, Jack.

Dove uściśnął mu dłoń, nie zwracając uwagi na to, że sierżant Miller zwrócił się do niego po imieniu. W małej, elitarnej jednostce, jaką byli Zwiadowcy Alamo, taka familiarność nie była niczym osobliwym, w przeciwieństwie do większych jednostek.

Dove usadowił się z tyłu. Marynarze puścili liny holownicze i zwiadowcy, odepchnąwszy się od burty kutra torpedowego, zaczęli wiosłować, kierując się przez morską czerń w stronę brzegu.

Nie była to łatwa podróż: chociaż ponton był obciążony, prąd nieustannie go znosił.

---

<sup>4</sup> Radiostację wojskową SCR-300 przeznaczoną dla najniższych szczebli dowodzenia skonstruował Polak Henryk Magnuski (1909-1978). Magnuski w 1934 r. ukończył studia na Politechnice Warszawskiej i rozpoczął pracę w Państwowych Zakładach Tele- i Radiotechnicznych. W czerwcu 1939 r. został wysłany do Nowego Jorku. Wybuch II wojny światowej uniemożliwił mu powrót do kraju. W 1940 r. rozpoczął pracę w Motoroli (do 1947 r. firma nazywała się Galvin Manufacturing Corporation) (przyp. JB).

Mężczyźni, rozbijając wodę wiosłami, usiłowali skierować skaczącą w górę i w dół na falach łódkę w stronę brzegu.



*Radiostacja SCR-300*

Dove obserwował sześciu ludzi, z którymi po raz pierwszy miał uczestniczyć w akcji. Naprzeciwko Dove'a siedzieli, walcząc z wiosłami, technik V stopnia James Roby z North Hollywood i dziewiętnastolatek szeregowy Irvin J. Ray, pupilek zespołu, cichy i skromny chłopak o zmierzwionych ciemnych włosach. Pochodził z Oakland Beach w Rhode Island. Ray wstąpił do armii, gdy okazało się, że nie nadaje się do marynarki, ponieważ jest daltonistą. „Chcę, żebyś potrafił odróżnić światło czerwone od zielonego i wiedział, czy wchodzisz, czy wychodzisz”, żartował. Ta jego wada niekiedy okazywała się pomocna, bo pozwalała mu „widzieć mimo kamuflażu” - zauważał kształty, a kolory nie rozpraszały jego ostrości postrzegania.

W patrolu Dove'a był też sierżant John G. Fisher z Jacksonville na Florydzie oraz szeregowy Aubrey L. „Lee” Hall, jedyny doświadczony zwiadowca w całym zespole. Hall był Teksaszczykiem, pierwszym ze Zwiadowców Alamo, który awansował i dowodził własną grupą. Na razie został tymczasowo dokooptowany do ludzi Dove'a, ponieważ jego dotychczasowego dowódcę porucznika Williama Barnes'a przeniesiono do starej jednostki, 32. Dywizji. Hall tylko raz brał udział w akcji z zespołem Barnes'a, w marcu.

Był też z nimi młody tłumacz przysłany przez administrację Holenderskich Indii Wschodnich, znający holenderski i jawański. Na samym przodzie pontonu siedzieli także wiosłujący zawzięcie technik IV stopnia Denny M. Chapman z Kellogg w Idaho i szeregowy



Alton P. Bauer z Melvin w Teksasie.

Wszyscy wpatrywali się w przybliżającą się ciemną linię brzegu.

- Sir - szepnął nagle Ray, pokazując na małe światełko widoczne w ciemności jakieś dwieście pięćdziesiąt metrów na prawo od miejsca, do którego zamierzali przybić. - Widzi pan to?

- Tak, widzę - odparł także szeptem Dove, obserwując powiększającą się świetlną kropkę. - Płyniemy.

Półtorej godziny od opuszczenia „Aces Avenger” pod dnem pontonu zachrzącał piasek plaży. W ciągu sekundy wszyscy mężczyźni znaleźli się w sięgającej im do ud wodzie i zaczęli wyciągać ciężki ponton na brzeg, aby nie porwały go fale. Zawlekli go przez wąską plażę ku połąceniom wysokiej, ostrej jak brzytwa trawy kunai<sup>5</sup>, porastającej obficie nadbrzeżne równiny Nowej Gwinei. Potem w kompletnej ciszy, klęcząc z bronią w pogotowiu, czekali, czy nie usłyszą jakiegoś dźwięku sygnalizującego, że zostali zauważeni.

Jednak słyhać było tylko głosy ptaków w dżungli, wobec tego Dove zameldował przez radio:

- Tu Dove. Wszystko w porządku.

- Przyjąłem - odpowiedział Miller.

Podczas gdy Dove informował o szczęśliwym wylądowaniu, dwaj zwiadowcy wypuścili z pontonu powietrze, zwinęli go, schowali wiosła i nabój z dwutlenkiem węgla, który miał pozwolić im napompować ponton ponownie, i wszystko starannie ukryli w oznaczonym miejscu.

Zatarli za sobą wszelkie ślady, po czym jeden z mężczyzn zarzucił sobie na plecy dziesięciokilogramowy nadajnik radiowy, w którego niesieniu mieli się kolejno zmieniać.

Dove poprowadził swoich ludzi przez wysoką trawę do lasu tropikalnego. Szybko natrafili na ścieżkę, a odcisnięte w miękkiej ziemi świeże ślady świadczyły, że jest uczęszczana. Dove skierował się ku zachodowi, w stronę rzeki Taorum.

Nie uszedł nawet stu metrów, gdy nagle podniósł ostrzegawczo rękę, a wszyscy zastygli w miejscu.

Przed nimi na ziemi leżał skulony japoński żołnierz i spał sobie w najlepsze. Dove po cichu podpełznął bliżej. Uniesioną zaciśniętą pięścią dał znak kolegom, aby zostali na miejscu. Czołgając się i uważając, aby nie poruszyć nawet gałązki, prawą ręką wyciągnął z pochwy nóż, a lewą zdjął czapkę i skoczył. Przycisnął czapkę do twarzy śpiącego, aby stłumić

---

<sup>5</sup> Trawa kunai - imperata cylindryczna, wysoka, ostra trawa, rosnąca w Azji, Mikronezji, Australii, wschodniej i południowej Afryce (przyp. tłum.).

krzyk, i wepchnął mu nóż w pierś. Poczul ciepłą krew spływającą po ręce oraz bezskuteczną szamotaninę Japończyka. Zapanowała cisza.

Dove wyciągnął nóż, wytarł ostrze o mundur zabitego, sprawdził, czy w jego kieszeniach nie ma czasem jakichś dokumentów, następnie odciągnął ciało w zarośla. Dopiero wtedy ruszyli dalej.

Uszli może ze sto osiemdziesiąt metrów i natknęli się na kolejnych dwóch Japończyków siedzących przy ognisku na niewielkiej polanie. To właśnie było światło, które widzieli z pontonu.

Dove szybko ocenił sytuację. Nie było szans, aby ich zaskoczyć. Odwrócił się do stojącego obok Bauera. W milczeniu wskazał na nóż i pokręcił głową, a potem pokazał na karabin. Wszystko było jasne; Bauer miał zająć się Japończykiem po prawej, a Dove - po lewej.

- Teraz - szepnął Dove.

W ciemności rozległy się strzały - zarówno Dove, jak i Bauer wystrzelili po kilka pocisków. Nie sposób było spudłować, Japończycy zginęli na miejscu tam, gdzie siedzieli, przy ognisku.

Dove przeszukał ciała, zaciągnął je do podmokłego lasu i zgasił ognisko; już miał odejść, gdy nagle za jego plecami rozległy się strzały. Japoński patrol natknął się na tylną straż grupy Dove'a, a zwiadowcy zareagowali, strzelając. Reszta szybko dołączyła do kolegów i w lesie się zakotłowało. Japońskie Arisaki odpowiadały na szybkie strzały z automatycznej broni Amerykanów, a czerń nocy rozświetlały wydobywające się z luf błyski. W efekcie japońscy żołnierze rozplynęli się w dżungli, w której znów zapadła śmiertelna cisza.

- Ta ścieżka jest uczęszczana przez żółtków, są przed nami i za nami. Idźcie za mną - zakomenderował Dove.

Przez chwilę prowadził swoich ludzi w kierunku zachodnim, ale potem zboczył z trasy jakieś dziesięć metrów od ścieżki i zagłębili się w dżunglę. Znalazszy dobrze osłonięte miejsce, zwiadowcy przykucnęli i zaczęli obserwować ścieżkę. Następne pięć godzin spędzili w kompletnej ciszy, starając się nie zwracać uwagi na pełzające po nich i latające wokół insekty. Liczyli japońskich żołnierzy, z trudem wlekących się tym szlakiem; niektórzy z nich byli bez broni, zdaniem Dove'a wszyscy wyglądali na zmęczonych i głodnych.

Minęło południe i słońce zaczęło chylić się ku zachodowi. Dove postanowił oddalić się od ciał zabitych Japończyków, które pozostawili w dżungli, i poprowadził swoich ludzi na zachód, przez dżunglę, unikając ścieżki.

\*\*\*

W mroku nocy Taorum przypominała czarną wstęgę. Była to jedna z wielu rzek wypływających z odległego o mniej więcej czterdzieści kilometrów pasma górskiego zwanego Górami Cyklopa. Ludzie Dove'a przez całe popołudnie bez pośpiechu przedzierali się przez gęsty las i mokradła, mozolnie wyciągając przy każdym kroku buty z bagien, które usiłowały je wessać. Towarzyszył im zapach rozkładających się liści, a powstający podczas fermentacji gaz po zapadnięciu zmroku tworzył małe ogniki, lśniące wokół niczym błyski z luf karabinów.

Była już chyba dziesiąta wieczorem i zespół, wyczerpany po prawie dwudziestu dwóch godzinach bez snu, przycupnął w krzakach na wschodnim brzegu rzeki. Panowała absolutna cisza. Dove starał się wychwycić jakikolwiek dźwięk z przeciwległego brzegu. Nic nie usłyszał, więc odwrócił się do Halla i pokazał na drugą stronę rzeki.

Hall wszedł do wody, trzymając wysoko nad głową broń i amunicję, i kroczył ostrożnie, aby nie spowodować najmniejszego plusku. Oczy wszystkich były utkwione w czarnej otchłani, broń wycelowana i gotowa do strzału. Kiedy Hall szczęśliwie dotarł na brzeg, Dove wysłał następnego ze swoich ludzi. Po półgodzinie wszyscy już byli po drugiej stronie rzeki.

Dove wiedział, że jego ludzie są wykończeni, ale musieli iść dalej - chciał dotrzeć przynajmniej do rzeki Mabaf, a to oznaczało jeszcze trzy godziny marszu.

\*\*\*

Trzeba było przejść przez małą wioskę Kaptisoe, cichą w porannych ciemnościach. Jednak ta cisza była myląca. Japońscy żołnierze, zdaniem Dove'a było ich około czterdziestu, pozajmowali szereg chat zwanych nipa hut. Widać było poruszające się cienie, zapewne wartowników.

Ten kawałek od rzeki Taorum był dość krótki, zaledwie kilka kilometrów, ale trudny: stromy teren porastała gęsta roślinność i pokrywały mangrowcowe bagna. Jego pokonanie zajęło im jakieś trzy godziny. Po drodze ludzie Dove'a widzieli wielu japońskich żołnierzy. Niektórzy, wykończeni, spali w zaroślach, inni leżeli martwi, zmarli z głodu lub wskutek chorób. Zwiadowcy przeszli koło grupy śpiących Japończyków, nie budząc ich, zmarłych przeszukiwali i zostawiali tam gdzie ich znaleźli.

Przez pół godziny Dove obserwował Kaptisoe. Zastanawiał się, czy można je obejść, ale rozciągające się po obu stronach wioski głębokie po szyję rozlewiska, w których bez wątplenia aż roiło się od żarłocznych krokodyli. Wobec tego Dove zebrał swoich ludzi i oznajmił im szeptem:

- Przeprawa przez rozlewiska nie wchodzi w grę. Mogą nas usłyszeć i wystrzelają jak kaczkę. Idziemy przez wieś. Żółtki chodzą tym szlakiem cały czas, przy odrobinie szczęścia, gdy się ściemni, mogą nas wziąć za swoich.

- A jeśli nas zauważą? - spytał Fisher.

- Otwieramy ogień i wiejemy - odparł Dove. - Za mną.

Dove poprowadził swój zespół do wsi. Maszerowali wśród ciemnych chat i śpiących wrogów.



*Pistolet maszynowy Thompson*

Uszli zaledwie kawałek, gdy z cienia wyłonił się japoński żołnierz, a zobaczywszy dziwne ciemne kształty, stanął jak wryty. Co prawda uśmiechał się, ale wyraz jego twarzy zdradzał, że zaczyna się bać. Dove postąpił cztery kroki w jego kierunku i wypalił mu dwa razy w twarz. Impet pocisków kaliber 7,62 mm odrzucił Japończyka do tyłu.

- Ognia! - rzucił Dove i natychmiast trzask japońskich karabinów zmieszał się z ostrym dźwiękiem wydawanym przez Thompsony<sup>6</sup>.

Japoński strażnik wypadł z chaty i padł naszpikowany ołowiem, a z miejsc, w których pociski uderzyły w ciało, unosiła się krwawa mgielka.

- Naprzód! Naprzód! - krzyczał Dove, a jego ludzie, strzelając dokoła, pędzili przez wioskę w stronę widniejącej przed nimi mrocznej ściany dżungli.

Biegli tak kilkaset metrów, przez las i mokradła, przez krzaki. O dziwo, żaden nie padł. Wreszcie Dove kazał im się zatrzymać. Poprowadził ich nieco w bok, aby zejść ze

<sup>6</sup> Pistolet maszynowy Thompson, znany także jako Tommy gun - amerykański pistolet maszynowy produkowany przez firmę Auto-Ordnance, rozslawiony w czasach prohibicji w Stanach Zjednoczonych. Szczególnie popularny wśród żołnierzy amerykańskich podczas II wojny światowej, którzy używali głównie dwóch wersji: M1928A1 - model, który wszedł do produkcji tuż przed japońskim atakiem na Pearl Harbor. Zmiany polegały przede wszystkim na zastąpieniu przedniego chwytu łożem oraz na uproszczeniu konstrukcji. Ta wersja była znacznie tańsza w produkcji. Pasowały do niej magazynki pudełkowe z 20 lub 30 nabojami lub bębnowe z 50 lub 100 nabojami, choć w praktyce okazało się, że korzystanie z magazynków bębnowych prowadziło do częstych zacięć. M1 - jeszcze bardziej uproszczona wersja tego pistoletu maszynowego. Zamek półswobodny zastąpiono w nim zamkiem swobodnym. Z lufy zniknęły charakterystyczne żebra poprawiające chłodzenie, a rękojeść napinania zamka przeniesiono na prawy bok komory zamkowej. Wersja M1 mogła być zasilana tylko z magazynków pudełkowych. Weszła do uzbrojenia w 1943 r. (przyp. JB).

ścieżki, i dopiero wtedy pozwolił im usiąść dla zaczerpnięcia tchu.

- Jezu, a to dopiero zabawa - sapał młody Ray. - Strzelanina jak w O.K. Corral.

Ta analogia - Ray uwielbiał filmy kowbojskie - wywołała zduszony śmiech kolegów.

- Tu przenocujemy - stwierdził Dove. - Rozłokujcie się i prześpijcie, ale kto chrapie, dostanie kopa. I nie zapomnijcie wziąć tabletki chininy. Nie chcę tu nikogo z malarią. Wartę pełnimy po dwóch, zmiana co dwie godziny. Pierwsi ja i Wyatt Earp - zakomunikował, wskazując na Raya.

\*\*\*

Dove siedział w ciszy i w ciemnościach, przysłuchując się odgłosom dżungli mieszającym się z miękkim, spokojnym oddechem ludzi. Wdychał najrozmaitsze zapachy: duszny, gnijący odór trzęsawisk, woń kwiatów w dżungli. Nagle do tych zapachów dołączył nowy - spoconych ludzkich ciał. Ścieżką szło trzech tubylców; znajdowali się niecały metr od śpiących Amerykanów. Dove podniesieniem ręki dał znak Rayowi, by zachował spokój.- Dostrzegli nas? - spytał nerwowo Ray.

- Nie wiem, ale skoro my wyczuliśmy ich, to i oni mogli wyczuć nas - odparł Dove.

Odpowiedź na pytanie Raya otrzymał rano, gdy jeden z podwładnych potrząsnął go za ramię.

- Ktoś nadchodzi - usłyszał Dove stłumiony szept.

Dove zerwał się natychmiast. Tubylec był już blisko. Z jego spojrzenia i ruchów widać było, że wie, gdzie są Amerykanie. W odległości kilku metrów od nich człowiek zatrzymał się i zaczął coś mówić.

- Mówi, że jest przyjacielem i że nie cierpi Japończyków - oznajmił tłumacz. - Zaprasza nas do wsi.

Przybysz wykonał gest ręką.

- Woda - powiedział. - *Ka ka*.

- Mają świeżą wodę i jedzenie - wyjaśnił tłumacz.

- Zaprowadź ich i mnie do *kanaka* - poprosił Dove tubylca w łamanej angielszczyźnie, której jako zwiadowca musiał się nauczyć.

Miejscowy skinął głową i cała grupa pomaszerowała za nim przez zarośla. We wsi goście przedstawili się człowiekowi, który, jak im powiedziano, był *lulai*, czyli wodzem. Powitani zostali przez roześmiane dzieci i jawnie przyjaznych mężczyzn, poklepujących ich z entuzjazmem po ramieniu. Witwały ich również uśmiechnięte kobiety z odsłoniętymi piersiami.

- Zbyt długo byłem w dżungli - stwierdził Bauer, zobaczywszy kobiety.

- Przynajmniej wiesz, że to nadal działa. Tutaj zaczyna cię to dziwić - zażartował Ray.

Amerykanie spędzili ranek, odpoczywając i pochłaniając zaofiarowane im jedzenie oraz owoce. Dzięki pomocy tłumacza dowiedzieli się, że przebywający tam Japończycy są słabo uzbrojeni, a wielu z nich głoduje i choruje, co tylko potwierdziło obserwacje poczynione przez Dove'a i jego ludzi.

Dzięki tym informacjom Dove mógł uznać, że wykonał zadanie. Nie ma wątpliwości, że Japończycy wycofywali się, a co ważniejsze, nie stanowili spójnej siły, lecz byli schorowaną i źle uzbrojoną zbieraniną. Nie zdołaliby przeprowadzić zorganizowanego ataku.

Doszedłszy do tego wniosku, Dove sięgnął po radio. Po kilku próbach udało mu się w końcu nawiązać kontakt z samolotem, który miał ich zabrać z powrotem do bazy dowództwa 6. Armii w Hollandii. Ustalono, że odbędzie się to tego dnia wieczorem.

- Wracamy - oznajmił Dove. - Jutro wszystkich nas czeka gorący prysznic i czyste łóżko.

I właśnie wtedy podszedł tłumacz z jednym z tubylców.

- Zapraszają cię na polowanie - poinformował.

- Na polowanie? - zdziwił się Hall.

- Tak. Na Japończyków.

- Chcą, żebyśmy się z nimi wybrali na polowanie na Japońców. - Dove zwrócił się do swoich ludzi.

Cóż, zadanie wykonali i marzyła się im jakaś akcja, więc wyruszyli w dżunglę. Amerykanie nic nie znaleźli, ale tubylcy spostrzegli jednego nieszczęsnego żołnierza. Zaczął uciekać w panice, ale dogonili go, złapali i załukli wrzeszczącego Japończyka.

- Jezu Chryste - mruknął Chapman ze zdumieniem i odrazą.

- To bije na głowę wszystkie polowania, jakie widziałem w Rhode Island - dorzucił Ray.

Po tej makabrycznej wyprawie Dove ze swoimi ludźmi opuścił wioskę i skierował się w stronę wybrzeża. Wszyscy chcieli jak najprędzej znaleźć się w obozie nazywanym Hotel Alamo ze względu na luksusy, jakich dostarczał im oficer do spraw zaopatrzenia i zarazem biegły w sztuce kradzieży porucznik Mayo S. Stuntz.

Zapadła ciemność. Zespół Dove'a zbliżał się do miejsca, w którym ukryto ponton, gdy nagle rozszalała się straszna burza. W niektórych częściach Nowej Gwinei spada nawet 2500 mm deszczu rocznie. Ludziom Dove'a zdawało się, że cała ta roczna porcja opadów leci im teraz na głowy. Rzeński wiatr odpychał fale od brzegu, zamieniając morze w piekielny, kipiący pianą kocioł. Zwiadowcy byli gotowi do powrotu, ale Dove po rozmowie z Millerem przez radio zdecydował, że należy wszystko przełożyć o dwadzieścia cztery godziny. Spędzili na

plaży fatalną noc w deszczu. Ranek nie poprawił im humoru - piekącemu upałowi towarzyszyła potworna wilgotność, która sprawiała, że ciała oblewały się potem. Kiedy tak czekali, Dove usłyszał głosy tubylców. Poszedł zasięgnąć języka. Dowiedział się, że w ich kierunku zmierza niewielka grupka japońskich żołnierzy.

Uważając, że najbardziej frustrująca jest beczynność, zaproponował, aby ogłosić otwarcie sezonu polowań na Japończyków. Wszyscy wytrzeszczyli na niego oczy.

- Za mną - rzucił i ruszył przez wysoką trawę z powrotem do dżungli. Znalazłszy zasłonięte przez roślinność miejsce obok biegnącej wzdłuż wybrzeża ścieżki, mężczyźni zaszyli się w zielonej gęstwinie i czekali. Po półgodzinie nadeszło trzech japońskich żołnierzy. W chwili gdy przechodzili obok, ludzie Dove'a wyskoczyli z zarośli.

Wszystko odbyło się cicho i trwało chwilę. Zabrawszy dokumenty i listy oraz zaciągnąwszy ciała w gęstwinę, zwiadowcy przenieśli się do nowej kryjówki, w której znów urządzili zasadzkę na dwóch żołnierzy.

Rozglądając się za kolejną kryjówką, Dove spostrzegł czterech Japończyków; napelniali menażki wodą ze strumienia. Właśnie dawał swoim ludziom znaki, aby otoczyli żołnierzy, gdy nagle jeden z nich, chyba coś usłyszawszy, podniósł głowę.

W tym napięciu tylko jeden rozkaz przyszedł Dove'owi do głowy.

- Naprzód - wrzasnął i jego chłopcy rzucili się z bronią gotową do strzału.

Wśród kanonady dał się słyszeć głos Raya:

- Oto czego się można spodziewać, gdy twój porucznik jest z Hollywood!

Przed zachodem słońca wszyscy ludzie Dove'a znów byli na plaży. W sumie zorganizowali pięć zasadzek i zabili dwudziestu Japończyków. Jeśli dodać do tego jeszcze ośmiu, których zlikwidowali po wylądowaniu, liczba ta urastała do całkiem okazałej. No i zyskali plik dokumentów.

W nocy nadciągnęła znad Pacyfiku kolejna burza. Koło północy przybył „Aces Avenger” i zwiadowcy nadmuchiła ponton.

- Jack, morze jest dość niebezpieczne - zatrzeszczał w radiu głos Millera. - Wysokość fal dochodzi do trzech metrów. Czy jesteś pewien, że chcesz to zrobić dziś, a nie jutro wieczorem?

- Nie ma mowy, nie czekamy. Moi chłopcy i ja jesteśmy przemoczeni, zmęczeni i spragnieni gorącego jedzenia. Uważajcie, część z nas już wyrusza - odparł Dove.

Aby nie przeciążyć pontonu, najpierw wsiedli tylko Ray, Bauer, Roby, Hall i tłumacz, a Dove, Fisher i Chapman pozostali na brzegu. Jednak okazało się, że odpłynięcie od niego jest prawie niemożliwe: ilekroć udawało się pokonać kilka metrów, fale spychały ponton z

powrotem. Półkilometrowa podróż zajęła im prawie dwie godziny, ale wreszcie gumowy ponton i jego zmęczeni wiosłarze dobili do czekającego na nich kutra. Najpierw wdrapał się na pokład tłumacz, za nim Roby i Hall. Ray wręczył jednemu z marynarzy na pokładzie plik zdobytych dokumentów i zakomunikował, że wraz z Bauerem wracają po pozostałych. Odpłynęli.

Podróż do brzegu była równie trudna jak w przeciwną stronę. W połowie drogi wielka fala zalała ponton, a Bauer i Ray znaleźli się w wodzie. Teraz musieli walczyć, aby silny prąd nie wepchnął ich pod ponton.

\*\*\*

Tymczasem na brzegu Dove, nie mając pojęcia, co spotkało Bauera i Raya, spacerował tam i z powrotem. Nagle usłyszał głos Chapmana:

- Patrz!

Morze wyrzuciło na brzeg ponton. Dove podbiegł, chwycił go i pociągnął dalej od brzegu.

- A gdzie chłopaki? - spytał Fisher.

- Nie wiem - odparł Dove. - Ponton musiał się wywrócić. Ale nie ma wiosła. To fala ich zmyła. Rozproszmy się i szukajmy.

Trzej mężczyźni gorączkowo biegali wzdłuż plaży, wypatrując w wodzie wiosła. Po jakimś czasie, który wydawał się trwać kilka godzin, wreszcie je dostrzegli.

Dove postanowił, że wsiadają do łodzi i odpływają, a po drodze będą szukać kolegów. Mężczyźni wrzucili do pontonu broń i ciężkie radio i odbili od brzegu.

Przez półtorej godziny zwiadowcy wiosłowali zawzięcie, to wznosząc się na fali, to znów ześlizgując się po niej w dół, ale właściwie nie posunęli się do przodu, tkwili w miejscu. Nadal od kutra torpedowego dzieliło ich prawie trzysta metrów, gdy nagle Dove dostrzegł świetlny punkt na wodzie.

- Tam! - krzyknął i zaczęli wiosłować w tamtym kierunku. Tak jak Dove przypuszczał, był to Ray; w jednej ręce miał małą latarkę, taką, jaką posługiwali się w dżungli, a drugą trzymał Bauera. Z wielkim wysiłkiem udało się wciągnąć dwóch wyczerpanych mężczyzn do pontonu, ale uczucie ulgi trwało tylko chwilę. Ray i Bauer nie zdążyli nawet przywoicie zaczerpnąć powietrza, gdy nagle wielka fala uderzyła w ponton, unosząc go i wyrzucając ludzi i sprzęt do wzburzonego morza. To uderzenie było tak gwałtowne, że broń i radio rozdarły gumę i w okamgnieniu cały sprzęt wraz z pontonem, z którego uszło powietrze, zniknął pod wodą.

Całe to zdarzenie Miller widział z pokładu PT-363.



- Cholera, nadmuchać zapasowy ponton. Szybko! - krzyknął.

Zasyczał nabój z dwutlenkiem węgla i nowy ponton przybrał żądany kształt. Roby i Hall bez słowa chwycili go, spuścili na wodę i wsiedli do niego wraz z Millerem. Odepchnęli się od burty i zaczęli wiosłować w stronę pływających kolegów. To widzieli unoszące się na wodzie głowy, to znów znikwały im one pod przetaczającymi się falami. W ciągu czterdziestu pięciu minut dwa razy usiłowali dosięgnąć Dove'a i pozostałych i dwa razy rozszalałe fale odpychały ich od kolegów.

Trzymając się kurczowo kawałka starego pontonu, Dove zdał sobie sprawę z beznadziejności akcji ratunkowej. Dał znak swoim ludziom, żeby płynęli za nim do brzegu.

Przemoczeni i wyczerpani wrócili na plażę, gdzie wreszcie nie groziło im utonięcie, a Dove próbował ocenić sytuację. Radio spoczywało na dnie morza, co oznaczało, że nie ma mowy o kolejnych akcjach ratunkowych czy dostaniu się na kuter. Czekał ich marsz i nie była to droga, o jakiej marzył. Wraz z pontonem zatonąła ich broń i wyposażenie, a co gorsza, także większość zapasów żywności. Ocalała jedna menażka i jeden nóż Dove'a. Dwóch zwiadowców straciło także buty, a koledzy mogli dać im tylko swoje zapasowe skarpety.

- Wygląda na to, że wracamy pieszo - oznajmił Dove. Innego wyjścia nie było.

- Jak to daleko? - zapytał Bauer. - Holandia jest czterdzieści osiem kilometrów stąd.

- W czasie treningu pokonywaliśmy czterdzieści dwa kilometry w pełnym obciążeniu, więc teraz to będzie bułka z masłem - odparł Dove z humorem, choć wcale nie było mu do śmiechu. - Ruszamy.

I pięciu przemoczonych, obdartych mężczyzn, uzbrojonych w drewniane kije i w orzechy kokosowe, skierowało się na wschód.

\*\*\*

Był 10 czerwca. Zanim nastąpiło południe, Dove i jego ludzie przedzierali się przez dżunglę, brnęli przez mroczne strumienie i rzeki, chowali się przed nieprzyjacielskimi patrolami i omijali trupy Japończyków, którzy zmarli w czasie odwrotu, a ich ciała służyły teraz za pożywienie milionom robaków. Amerykanie byli głodni i odwodnieni, pili tylko po kilka łyków z menażki, którą napelniali w czasie deszczu. Co prawda przechodzili przez strumienie, ale nie odważyli się zaczerpnąć z nich wody, bo nie mieli tabletek odkażających.

Dove ujrzał wioskę na polanie i dał znak, aby się zatrzymać. Na pierwszy rzut oka skupione bambusowe, pokryte palmowymi liśćmi chaty wydawały się opuszczone, ale Dove dostrzegł kryte trawą zadaszanie, a pod nim cienie dwóch odpoczywających Japończyków.

- Zdejmujemy tych dwóch - powiedział Dove, gromadząc wokół siebie swoich wykończonych ludzi. - Mogą mieć broń i jedzenie. Podejźmy najbliżej jak się da, a potem

atakujemy.

Walka była krótka i zażarta. Dove i jego zwiadowcy skoczyli naprzód, dwóch z nich chwyciło jednego Japończyka i przycisnęło do ziemi, a Dove zagłębił w nim swój nóż. Drugi walczył z determinacją, kopiąc i wymachując rękami, ale został pobity do nieprzytomności orzechem kokosowym, a Dove szybko dokończył sprawę.

Przy zabitych, których ciała zaciągnięto w krzaki, z pożytecznych rzeczy znaleziono tylko bagnet, dwa scyzoryki i trochę ryżu. Dove rozdzielił między swoich ludzi te zdobycze i ruszyli w drogę.

\*\*\*

Słońce dopiero co wzeszło, gdy następnego dnia grupka obdartych mężczyzn, z kilkudniowym zarostem i otwartymi ranami na ciele wywołanymi przez choroby grzybiczne skóry, zbliżyła się do wioski Tarfia. Dove zostawił ludzi na polanie, aby odpoczęli - przeszli już około trzydziestu dwóch kilometrów - i wraz z Rayem udali się na rekonesans. Dove szedł pierwszy i już miał wynurzyć się z zarośli na otwartą przestrzeń, gdy nagle Ray powstrzymał go głośnym: - Nie wychodź!

Dove zastygł w miejscu z uniesioną nogą. Najpierw rozzłościł się, że Ray złamał kardynalną zasadę nie mówienia głośno w czasie wykonywania działań rozpoznawczych, ale zdał sobie sprawę, że chłopak chyba uratował mu życie. Tam, gdzie właśnie chciał postawić stopę, rozciągnięty był drut podłączony do alarmu, mającego dać znać o obecności intruzów. Ta otwarta przestrzeń, na którą Dove omal nie wszedł, to była pułapka, strefa śmierci.

- Ray, właśnie tego szukamy! - Dove rozpoznał drut używany przez służby łączności amerykańskich wojsk lądowych jako element systemu alarmowego.

Uważając, aby nie nastąpić na drut, Dove obszedł polanę dookoła, a dotarłszy do niewielkiej kępy drzew, zawołał:

- Hej, chłopaki, wszystko w porządku?

- Taaak - padła ostrożna odpowiedź. - A ty kto taki?

- Porucznik Dove ze Zwiadowców Alamo. Jest nas dwóch. Możemy podejść?

- Pewno, podchodźcie, tylko powoli.

Dove i Ray wstali i szli spokojnie, trzymając ręce na widoku.

- Macie wodę? - zapytał Dove, a żołnierz podał mu manierkę. Dove oddał ją Rayowi, który pił chciwie, po czym podał manierkę Dove'owi. Dove wypił jeden długi łyk i zwrócił naczynie właścicielowi.

- Dzięki - powiedział. - Jest tu ze mną grupa zwiadowców, czy mogę ich przyprowadzić?

- Idź - odparł żołnierz. - Będę cię obserwować.

Zanim Dove wrócił ze swoimi ludźmi, oficer dowodzący wartą zawołał przewodnika z Tarfii, który zaprowadził Amerykanów do wioski. Na ich powitanie tubylcy przygotowali ucztę składającą się z owoców i świeżej wody. Zmęczeni i głodni zwiadowcy rzucili się na jedzenie, a Dove w podziękowaniu podarował wodzowi dwa scyzoryki i bagnet, których właściciele leżeli martwi w dżungli.

Kiedy Dove i jego ludzie najedli się i odpoczęli, wódz zatroszczył się o ich powrót; czekały już czółna wydłubane w pniu drzewa i wiosłarz. Amerykanie wsiedli i za chwilę mknęli po tafli wody. Po południu dotarli do położonej kawał za amerykańskimi liniami Denty.

Dove podał przez radio ich położenie i kuter torpedowy zabrał ich do Hollandii.

- Dobrze cię znowu widzieć, Jack - powiedział Miller, gdy Dove i jego ludzie, nieogoleni, w podartych ubraniach i śmierdzący potem, wdrapali się na pokład. - Roby i Hall martwili się o was jak kwoka o kurczęta.

- To do nich podobne - odparł Dove z uśmiechem. - No, to wracajmy do domu.

# ROZDZIAŁ 2

## „Utworzę własną jednostkę zwiadowczą”

### Południowo-zachodni Pacyfik 1941-1943

W ciepłym, pomarańczowym świetle zachodzącego słońca tropików cztery jednostki należące do 3. Eskadry Kutrów Torpedowych odbiły od małej rybackiej przystani i wyslizgnęły się z zatoczki Sisiman na uczęszczane wody wokół półwyspu Bataan.

U steru pierwszego kutra siedział porucznik John Bulkeley. Kierował swój PT-41<sup>7</sup> na otwarte wody Zatoki Manilskiej. Płynące za nim pozostałe jednostki ustawiły się w takim szyku, że z góry cała ta flotylla przypominała kształtem boisko do gry w bejsbol, z PT-41 na bazie drugiej, PT-32 (dowodzonym przez porucznika Vincenta E. Schumackera) na pierwszej, PT-34 z porucznikiem Robertem B. Kellym, zastępcą Bulkeleya, na trzeciej i PT-35 dowodzonym przez chorążego Anthony’ego B. Akersa na bazie domowej.

Po chwili kutry się rozdzieliły i każdy podążył na umówione spotkanie.

Bulkeley płynął w stronę ciemniejącej przed nim wyspy Corregidor, kształtem przywodzącej na myśl kijankę. Kiedy dobijał do przystani w południowym doku, spostrzegł, jak zdewastowały ją nieustanne ataki japońskich bombowców.

Właśnie na brzegu pojawiła się niewielka grupka ludzi i ruszyła w jego stronę. Bulkeleya nie zdziwiło bynajmniej, że wśród nich był też głównodowodzący Armią Stanów Zjednoczonych na Filipinach, generał Douglas MacArthur.

Obydwaj panowie znali się i gdy prezydent Franklin D. Roosevelt poinformował MacArthura, że musi uciekać z Filipin do Australii, generał postanowił, że to Bulkeley go ewakuuje.

Porucznik wcale nie był tym zachwycony. Od wybuchu wojny stracił dwa ze swoich sześciu kutrów, 26 grudnia PT-33, a 19 stycznia PT-31, i oba w ten sam sposób: ugrzęzły na mieliźnie, nie dało się ich ściągnąć i trzeba było je zniszczyć, aby nie wpadły w ręce wroga.

Pozostałe kutry, jakimi dysponował, były stare i od dawna nie przechodziły przeglądu,

---

<sup>7</sup> PT Boats (PT - Patrol Torpedo) - amerykańskie kutry z okresu II wojny światowej wykorzystywane jako okręty torpedowe, patrolowe i do zwalczania okrętów podwodnych. Powstało 5 różniących się od siebie pod względem konstrukcyjnym typów, produkowanych przez 3 stocznie. Najwięcej, 385 jednostek, zbudowała stocznia Electric Launch Company (Elco) (przyp. JB).

ale cóż miał robić, były nieustannie potrzebne - a to do przewożenia wiadomości, a to do atakowania Japończyków, a poza tym i tak brakowało części zamiennych. Klęska Filipin była nieunikniona, a więc Bulkeley miał nadzieję zostawić swoje kutry gdzieś bezpiecznie u wybrzeży Chin. Dlatego też bynajmniej nie odpowiadało mu wezwanie MacArthura. Jednak postąpił zgodnie z rozkazem i przygotował się do podróży. Umocnił dna kutrów, tak aby mogły przewieźć dodatkowy ładunek w postaci pięćdziesięciogalonowego zbiornika wysokooktanowej benzyny samolotowej, którą jego jednostki wręcz pożerały.

- *Hello*, Buck - przywitał go MacArthur, gdy tylko Bulkeley wszedł na przystań. Był środowy wieczór, 11 marca 1942 roku.

- Dobry wieczór, panie generale - odparł Bulkeley, salutując.

Zaszokował go wygląd generała; jego twarz była biała, a kącik ust wygięty w grymasie.

- Jesteśmy gotowi? - zapytał MacArthur.

- Tak jest, sir, jak tylko zbierze pan swoich ludzi i rzeczy - zameldował Bulkeley.

Ci „ludzie” MacArthura to byli jego żona Jean, czteroletni syn Arthur, przyciskający kurczowo do siebie ukochaną zabawkę, „Starego Przyjaciela”, czyli wypchanego królika z poszarpanymi wąsami, oraz niania chłopca, Chinka z Kantonu, którą generał nazywał Ah Cheu, ale której prawdziwe imię brzmiało Loh Chui.

Był też z nimi podpułkownik Richard K. Sutherland, szef sztabu MacArthura.

Wsiadli na kuter. Każdy miał ze sobą worek marynarski z jedzeniem i walizkę. Generał zabrał też kilka skrzynek coca-coli ku radości załogi, która nie piła tego napoju od miesięcy.

MacArthur odwrócił się w stronę wyspy i zdjawszy czapkę ze złotym otokiem, stał przez chwilę w milczeniu. Potem jako ostatni wszedł na pokład i poinformował Bulkeleya, że może odpływać, jeśli jest gotów.

- Ruszamy! - krzyknął Bulkeley. - Odbijamy.

Trzy silniki Packarda ruszyły i dwudziestotrzymetrowy kuter torpedowy wypłynął w morze.

Była ósma wieczorem. PT-41 spotkał się z trzema pozostałymi kutrami, które zabrały pasażerów i bagaże z innych miejsc, w tym kontradmirała Francisa W. Rockwella, dowodzącego flotą na Filipinach, który płynął z Kellym na PT-34.

Na czele tej małej flotyli podążał trałowiec, mający przeprowadzić ją bezpiecznie przez zaminowane przez Amerykanów wody, tak aby uniknąć japońskich niszczycieli oraz krążowników często spotykanych na tym obszarze, i skierować w stronę morza.

MacArthur stał obok Bulkeleya przy kokpicie, spoglądając na roztopiające się w ciemności Bataan i Corregidor. Gdzieś daleko nocne niebo rozświetlały czerwone i pomarańczowe błyski, a towarzyszył im słaby odgłos wystrzałów artyleryjskich, zdradzając przebieg linii walk.

- Przed wyjazdem powiedziałem generałowi Wainwrightowi, że jeśli dostanę się do Australii, to wrócę najszybciej jak się da z największymi siłami, jakie tylko zdołam zebrać. I Bóg mi świadkiem, że tak zrobię - powiedział MacArthur raczej do siebie niż do Bulkeleya.

\*\*\*

Zarzewie militarystyki i ekspansjonizmu, które sprawiły, że w 1942 roku Japonia sprawowała kontrolę nad jedną szóstą świata, zaczęło się tlić niemal od momentu, gdy admirał Matthew Perry podniósł kotwicę i wypłynął z Zatoki Tokijskiej (co wydarzyło się w 1854 roku), otwierając Japonię dla handlu z Zachodem. W ciągu dziesięciu lat nastąpił kres rządów szogunów, a cesarz Mutsuhito (zwany Meiji) rozpoczął reformy, otwarte na zachodnie technologie.

W 1878 roku naczelne dowództwo wojskowe przestało podlegać kontroli parlamentu, co oznaczało, że mogło funkcjonować niezależnie od cesarza. Skutek był taki, że japońska armia zaatakowała niespodziewanie Chiny i w 1895 roku zajęła Koreę.

W 1904 roku Japonia wdała się w wojnę z carską Rosją. Jej apogeum stanowiło rozgromienie w 1905 roku rosyjskiej floty wojennej przez Japończyków w bitwie pod Cuszimą. W czasie pierwszej wojny światowej Japończycy, dzięki zawartemu w 1902 roku sojuszowi z Wielką Brytanią, zajęli niemieckie kolonie na Oceanie Spokojnym i zatrzymali je po konflikcie jako „terytoria mandatowe”.

W 1921 roku Japonia, planując zmonopolizowanie handlu, zwróciła się przeciwko Chinom. Te plany stały w sprzeczności z amerykańską polityką handlową „otwartych drzwi” i w konsekwencji doprowadziły do zawarcia w Waszyngtonie układu morskiego, zwanego też Układem Pięciu Mocarstw, narzucającego limit tonażu flot wojennych Stanom Zjednoczonym, Wielkiej Brytanii, Japonii, Francji i Włochom, przy czym trzy ostatnie kraje obowiązywały większe ograniczenia aniżeli dwa pierwsze. Japonia podpisała tak zwany układ 5:5:3. Zezwalał on jej na posiadanie okrętów o łącznej wyporności 300 000 ton, a Wielkiej Brytanii i Stanom Zjednoczonym - 500 000 ton; jednak już wkrótce w Japonii zaczęto się zastanawiać, jak by tu obejść ustalenia traktatowe.

W 1931 roku, powołując się na rzekome akty agresji ze strony Chin, japońskie wojska wkroczyły do Mandżurii, anektując ją i tworząc marionetkowe państwo o nazwie Mandżukuo.

W 1937 roku japońscy dowódcy wojskowi, nie mogąc zaspokoić swoich militarnych

apetytów, zażądali zezwolenia na przejście przez most Lugou, łączący zajętą przez Japończyków prowincję Fengtai na południe od Pekinu z chińskim terytorium za rzeką Yongding.

Japończycy chcieli przejść przez most Lugou, zwany też mostem Marco Polo (od imienia słynnego europejskiego podróżnika, który kiedyś przechodził przez ten most i opisał go w relacji z podróży), aby znaleźć dezertera. Do dziś nie wiadomo, czy ten dezertier rzeczywiście istniał, czy też Japończycy wymyślili taki pretekst dla dokonania inwazji, albo też może żołnierz ten został schwytany przez chińskich komunistów w celu sprowokowania incydentu między Japonią a rządem Czang Kaj-szeka.

Chińczycy, jak było do przewidzenia, odmówili. W efekcie 8 lipca najpierw japońska artyleria zaczęła ostrzeliwać most po chińskiej stronie, po czym nastąpił atak żołnierzy. I tak wybuchła wojna chińsko-japońska, która trwała aż do 1945 roku, czyli do definitywnej kapitulacji Japonii.

Zresztą nie tylko Chiny ustąpiły pod naporem japońskiej agresji. Rok przed incydem na moście Marco Polo, czyli w 1936 roku. Europa Zachodnia, Rosja oraz Stany Zjednoczone przestraszyły się, gdy Japończycy podpisali z Niemcami tak zwany pakt antykominternowski<sup>8</sup>, w którym obiecali nie reagować w razie wybuchu wojny Trzeciej Rzeszy z Rosją. Prezydent Roosevelt, zaniepokojony tym paktem oraz okrucieństwami i masowymi mordami popełnianymi przez japońskie wojska w Chinach, zamroził wkrótce japońskie aktywa na terenie Stanów Zjednoczonych.

Kilka miesięcy potem napięcie międzynarodowe jeszcze bardziej się pogłębiło, gdy 13 grudnia 1937 roku japońskie samoloty zatopiły amerykański okręt wojenny USS „Panay” gdy eskortował on amerykański tankowiec na rzece Jangcy. Japończycy przepraszali i zapłacili rekompensatę, ale rok później zatrasnęli z hukiem wrota propagowanej przez Stany Zjednoczone polityce „otwartych drzwi” tworząc Wielką Wschodnioazjatycką Strefę Wspólnego Dobrobytu. W myśl założeń kooperację między państwami azjatyckimi miała kontrolować Japonia.

Japonia zdumiała świat zachodni, podpisując w 1940 roku pakt berliński i tym samym sprzymierzając się z faszystowskimi Niemcami i Włochami. Odpowiedzią Roosevelta było nałożenie embarga na japońskie towary.

Uważając zachodnie potęgi, na których czele stały Stany Zjednoczone, za zagrożenie dla swojego planu zamorskich ekspansji, japońskie najwyższe dowództwo wojskowe ukuło

---

<sup>8</sup> Pakt antykominternowski zawarty został pomiędzy III Rzeszą, Włochami oraz Japonią w celu zwalczania komunizmu. Skierowany był przeciwko ZSRR (przyp. JB).

precyzyjny plan śmiałego zaatakowania Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Holandii. Pierwszym aktem miał być atak na stacjonującą w Pearl Harbor na Hawajach Flotę Pacyfiku Stanów Zjednoczonych.

Począwszy od 7 grudnia 1941 roku, kiedy to ryk japońskich samolotów dał się słyszeć na Oahu, aż do końca kwietnia 1942 roku ta wojna stanowiła pasmo japońskich sukcesów i porażek sił sojusznicych. Osłupiały świat patrzył w milczeniu, jak zachodnie mocarstwa, zadufane we własnej potędze wojskowej, zostały zmuszone do ucieczki na oślep i to na całym froncie, liczącym tysiące kilometrów długości i ciągnącym się od środkowej części Oceanu Spokojnego po Indie Wschodnie i po Azję Południowo-Wschodnią. Zanim alianci przegrupowali swoje siły i okrzepli, flaga ze wschodzącym słońcem trzepotała nad terytorium liczącym ponad dwa miliony kilometrów kwadratowych.

Kilka dni po Pearl Harbor padło leżące dwa tysiące czterysta kilometrów na wschód od Manili Guam, przystanek na drodze ze Stanów Zjednoczonych na wschód, na którym zwyczajowo lądowały samoloty

Pan American. Garnizon tej maleńkiej wysepki złożony z 427 marines i 247 żołnierzy rekrutujących się z ludności miejscowej, wyposażony w broń jeszcze z czasów pierwszej wojny światowej, nie dał rady 5400 żołnierzom japońskiej piechoty morskiej.

Wyspa Wake, leżąca trzy tysiące siedemset kilometrów na zachód od Hawajów i będąca jeszcze jednym przystankiem dla samolotów linii Pan Am, została zbombardowana kilka godzin po ataku na Pearl Harbor przez japońskie samoloty startujące z bazy na Kwajalein. 447 marines i 75 żołnierzy służby łączności sił lądowych oraz marynarzy, którym pomagało 1200 zaskoczonych na atolu przez wojnę cywilnych robotników pracujących tam przy budowie dróg i pasa startowego, przez dwa tygodnie mężnie stawiało opór Japończykom, a Ameryka z dumą obserwowała wszystko z oddali. Jednak była to obrona z góry skazana na niepowodzenie i załamała się na dwa dni przed Bożym Narodzeniem.

Brytyjczykom nie wiodło się wcale lepiej.

Hongkong, brytyjski bastion w Chinach, padł w dzień Bożego Narodzenia.

Tego samego dnia, kiedy zostało zaatakowane Pearl Harbor, 7 grudnia (na Zachodnim Wybrzeżu Stanów Zjednoczonych był to już 8 grudnia), tysiące japońskich żołnierzy z 25. Armii pod wodzą generała Tomoyukiego Yamashity dobiły do brzegów Półwyspu Malajskiego w miejscowościach takich jak Singora, Patani i Kota Bharu i zaczęły posuwać się na południe w kierunku ufortyfikowanego Singapuru, brytyjskiego klejnotu w Azji. Anglicy nie brali pod uwagę ataku z lądu i dlatego też większa część wspaniałych armat była skierowana w stronę morza, jak gdyby na pośmiewisko obrońców miasta.



Brytyjczycy wysłali na spotkanie z wrogiem dwa ze swoich najlepszych, jakie mieli na azjatyckich wodach, okrętów wojennych, mianowicie krążownik liniowy HMS „Repulse” (o wyporności 33 000 ton) i pancernik HMS „Prince of Wales” (o wyporności 38 000 ton). Jednak postąpiono nieodpowiedzialnie, nie dając im ochrony z powietrza, i 10 grudnia japońskie samoloty posłały je na dno. Utonął też nowy głównodowodzący brytyjskiej Floty Dalekiego Wschodu, admirał Tom Phillips, co stanowiło tylko jeszcze jeden dowód (jak gdyby w ogóle po ataku na Pearl Harbor jakikolwiek dowód był jeszcze potrzebny), jak bezbronne są niechronione okręty wobec ataku nowoczesnych samolotów.



*Krążownik liniowy HMS „Repulse” wypływający z portu w Singapurze*

W tym samym czasie Brytyjczycy i wojska kolonialne usiłujący zahamować ataki na lądzie zostali z łatwością pokonani i już wkrótce naprzeciwko Singapuru, po drugiej stronie wąskiej cieśniny, rozległ się zwycięski okrzyk „Jianzai”, a japońska artyleria ostrzeliwała miasto.

Ósmego lutego Japończycy rozpoczęli gwałtowne bombardowanie i przekroczyli cieśninę, a tydzień później, 15 lutego, generał Arthur E. Percival poddał ostrzeliwane miasto oraz garnizon.

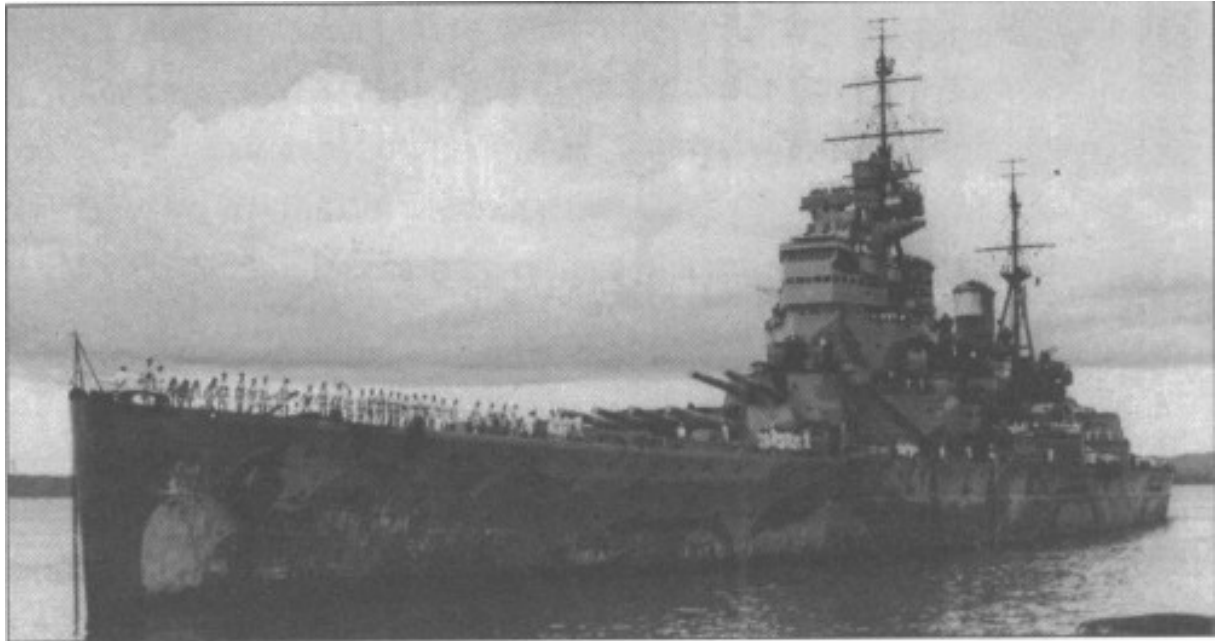
Kiedy brytyjska flaga przestała już powiewać nad Singapurem, Japończycy zainteresowali się obfitującymi w bogactwa naturalne Holenderskimi Indiami Wschodnimi i 14 lutego siedmiuset japońskich spadochroniarzy wylądowało w Palembangu na Sumatrze.

Z kolei na oceanie japońskie okręty pokonały siły alianckie złożone z pięciu krążowników: jednego amerykańskiego (USS „Houston”), jednego australijskiego (HMAS „Perth”), jednego brytyjskiego (HMS „Exeter”) i dwóch holenderskich („De Ryuter” i „Java”), oraz czterech amerykańskich i dwóch holenderskich niszczycieli<sup>9</sup>, którą to flotą

---

<sup>9</sup> W zespole ABDA były jeszcze trzy brytyjskie niszczyciele (przyp. JB).

dowodził Holender, kontradmirał Karel Doorman. W serii utarczek, znanych jako bitwa na Morzu Jawajskim (które jeszcze dodatkowo komplikował fakt, że Doorman nie znał angielskiego i wszystkie jego rozkazy, zanim zostały wykonane, należało przetłumaczyć), siły sojusznicze poniosły klęskę. Zatonął flagowy okręt zespołu „De Ruyter” na którego pokładzie zginął też Doorman<sup>10</sup>.



*Pancernik HMS „Prince of Wales” wpływający do portu w Singapurze*

Dwa ocalałe krążowniki, australijski<sup>11</sup> HMAS „Perth” oraz amerykański USS „Houston”, który podobno tonął tyle razy, że jego załoga przezwiała go Galopującym Duchem Jawajskich Wybrzeży, w panice schroniły się na bezpieczniejsze wody. Jednak nie uniknęły przeznaczenia i 28 lutego zostały zatopione pomiędzy Jawą a Sumatrą, w Cieśninie Sundajskiej. Kilka dni potem, 9 marca, Holenderskie Indie Wschodnie poddały się Japonii.

\*\*\*

Głównodowodzącego sił Stanów Zjednoczonych na Dalekim Wschodzie, amerykańskiego generała Douglasa MacArthura, ze wszystkich tych smutnych wieści najbardziej martwiła strata jego ukochanych Filipin.

MacArthur szczycił się pochodzeniem z rodziny o tradycjach wojskowych (w czasie wojny secesyjnej w 1863 roku jego ojciec dowodził atakiem unionistów pod Grzbietem Misjonarzy, nieopodal Chattanooga), ukończył w 1903 roku West Point (był najlepszy na roku). Po służbie u boku ojca, generała Arthura MacArthura, w charakterze doradcy na

---

<sup>10</sup> Oprócz „De Ruytera” Japończycy zatopili „Jawę” oraz trzy niszczyciele (przyp. JB).

<sup>11</sup> Oprócz USS „Houston” i HMAS „Perth” z bitwy ocalał poważnie uszkodzony brytyjski ciężki krążownik HMS „Exeter”. Został zatopiony dopiero przez japońskie okręty w trakcie rejsu na Cejlon, gdzie miał odbyć się jego remont (przyp. JB).

Filipinach i w Japonii Douglas MacArthur zaczął szybko awansować i w 1911 roku został kapitanem, rok później otrzymał skierowanie do Akademii Sztabu, a następnie do Departamentu Wojny.

Podczas pierwszej wojny światowej MacArthur dowodził 42. Dywizją, którą ochrzczono mianem Tęczowej, i dowiódł, że jest zdolnym dowódcą. Został ranny, a po wojnie objął stanowisko szefa działu zaopatrzenia w West Point. W 1922 roku wrócił na Filipiny jako dowódca wojskowy.

W 1935 roku po zakończeniu pracy w Połączonym Kolegium Szefów Sztabów, najpierw za prezydentury Herberta Hoovera, następnie Franklina D. Roosevelta, MacArthur, na żądanie prezydenta Filipin Manuela L. Quezona, powrócił na Filipiny. Filipińczycy dopiero co otrzymali od Stanów Zjednoczonych, władających Filipinami od 1898 roku, czyli od wojny amerykańsko-hiszpańskiej, ograniczoną suwerenność oraz obietnicę uzyskania pełnej niepodległości 4 lipca 1946 roku. Teraz prezydent Quezon życzył sobie, aby MacArthur utworzył filipińską armię i sprawował nad nią kontrolę.

MacArthur był próżny, więc się zgodził, został feldmarszałkiem armii filipińskiej, aczkolwiek nadal jego miejscem pracy pozostawały siły zbrojne Stanów Zjednoczonych. Zażądał pensji równej uposażeniu Quezona - 18 000 dolarów rocznie (i dostał) - i natychmiast wynajął dwupoziomowy apartament w słynnym hotelu Manila, kosztujący 1500 dolarów miesięcznie. Niedługo potem MacArthur został prezesem Manila Hotel Corporation.

I cały ten jego świat legł w gruzach 8 grudnia 1941 roku (według tamtejszego czasu).

Kiedy jeszcze amerykańscy marynarze gasili pożary szalejące wzdłuż nadbrzeża w Pearl Harbor, japońskie bombowce 11. Cesarskiej Floty Powietrznej zmierzały w kierunku Clark Field, bazy sił powietrznych Stanów Zjednoczonych na Luzonie.

MacArthur już 27 listopada został ostrzeżony przez swoich przełożonych w Waszyngtonie o możliwości japońskiego ataku. W odpowiedzi wydał rozkaz, aby trzydzieści pięć bombowców B-17 Flying Fortress przenieść bardziej na południe, z niebezpiecznie położonej bazy Clark Field na Mindanao. Nie zalecono jednak natychmiastowego wykonania rozkazu, toteż 7 grudnia dopiero połowa tych latających fortec znajdowała się w nowej bazie.

Informacja o ataku na Pearl Harbor dotarła do MacArthura o trzeciej nad ranem tamtejszego czasu, a jej potwierdzenie półtorej godziny później. Generał Lewis Brereton, dowódca sił powietrznych Filipin, chciał natychmiast zbombardować pasy startowe w japońskiej bazie sił powietrznych na Formozie (Tajwanie). Czekał kilka godzin na odpowiedź na swoją propozycję, aż wreszcie szef sztabu MacArthura, pułkownik Sutherland, powiedział mu, że może przelecieć nad Formozą i porobić zdjęcia, przydatne do dokonania ataku

planowanego na następny dzień. Było już niemal południe i piloci poszli coś zjeść, a osiemnaście B-17 plus myśliwce eskortujące P-40 Tomahawk i P-39 Airacobra czekały na tankowanie.

Jednak Japończycy nie czekali.



*Myśliwce Curtiss P-40 Tomahawk stacjonujące na Pacyfiku*

Spodziewający się powitania ze strony amerykańskich myśliwców i ostrzału z baterii powietrznej z Clark Field japońscy piloci niezmiernie się ucieszyli, widząc czyste niebo, a na ziemi równiutkie rzędy maszyn, niczym kaczki ustawione do strzału. Lecące na wysokości siedmiu tysięcy metrów w formacjach w kształcie litery V bombowce zrzuciły swój ładunek na stojące w rzędach samoloty, podczas gdy myśliwce Zero szukały w powietrzu amerykańskich maszyn.

Saburō Sakai, w przyszłości jeden z asów japońskiego lotnictwa, szpikując B-17 pociskami wystrzeliwanymi z dwóch zamontowanych na dziobie samolotu karabinów maszynowych typ 97 kaliber 7,7 milimetra, uznał tę sytuację za „niewiarygodną”. Zaraz potem zaatakował jeden z usiłujących poderwać się P-40 - i zestrzelił go, gdy ten znajdował się już w powietrzu.

Zanim samoloty skierowały się na północ, w stronę Formozy, zniszczyły wszystkie

osiemnaście B-17, trzydzieści trzy P-40 oraz trzydzieści innych maszyn. W ciągu kilku pierwszych godzin, jakie upłynęły od wybuchu wojny, przestała istnieć dokładnie połowa floty powietrznej MacArthura, a osiemdziesięciu ludzi zostało zabitych.



*Saburō Sakai – czołowy as myśliwski Sił Powietrznych Cesarskiej Marynarki Wojennej Japonii okresu II wojny światowej. Autor 64 zwycięstw powietrznych*

Dwudziestego drugiego grudnia na porośle palmami plaży zatoki Lingayen, sto dziewięćdziesiąt kilometrów na północ od Manili, przybyły czterdzieści trzy tysiące żołnierzy japońskiej 14. Armii. Sto dwanaście kilometrów na południowy wschód na plażę Lamun Bay przybyły kolejne hordy Japończyków. Japoński dowódca, generał Masaharu Homma, „generał poeta” rozkochany w zachodnich filmach i kulturze, co zresztą stanowiło powód jego częstych sporów z członkami sztabu generalnego, zamierzał otoczyć Amerykanów i Filipińczyków i wziąć w kleszcze.

Generał MacArthur mógł przeciwstawić tym siłom jedynie od dwudziestu pięciu do trzydziestu tysięcy regularnych amerykańskich i filipińskich żołnierzy oraz sto tysięcy filipińskich rekrutów, zupełnie surowych pod względem przygotowania wojskowego.

Dwudziestego trzeciego grudnia MacArthur wprowadził w życie „Plan Pomarańczowy”, przestarzałą koncepcję przewidującą wycofanie sił na półwysep Bataan i utrzymywanie tamtejszych pozycji tak długo, aż nadejdą posiłki ze Stanów Zjednoczonych.

MacArthur nie znosił tego planu, ponieważ zakładał opuszczenie Manili. Jednak jeżeli półwysep Bataan oraz forteca Corregidor znajdowałyby się w rękach Amerykanów, wówczas Japończycy i tak nie mogliby korzystać z Zatoki Manilskiej. W całym tym planie było jedno „ale” - otóż nie brał on pod uwagę takiej tragedii, jaka wydarzyła się w Pearl Harbor.

Zaczął się wycofywanie i sznury ciężarówek oraz żołnierzy ciągnęły pełnymi kurzu drogami w stronę Bataanu. W pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia generał Jonathan M. Wainwright, dowodzący siłami na północy Luzonu, wytyczył linię obrony na rzece Agno, ale japońskie czołgi i artyleria 48. Dywizji szybko ją przełamały. Wobec tego trzeba było znów się wycofać.

Walka, jaka później nastąpiła, okazała się bardzo zaciekle, ale nie było wątpliwości co do jej wyniku. Filipiny bez pomocy i posiłków ze Stanów Zjednoczonych nie miały żadnych szans, a pomoc nie nadchodziła. MacArthur wiedział o tym i 11 marca wspominał coś na ten temat Bulkeleyowi. Powiedział też, że prezydent Roosevelt kazał mu udać się do Australii i że przygotowaniem kutrów torpedowych do tej podróży miał zająć się Bulkeley. Co prawda przekonywano MacArthura, aby popłynął okrętem podwodnym, ale generał wolał Bulkeleya; znał go i ufał mu.

- Kiedy chciałby pan wyruszyć, sir? - spytał Bulkeley.

- Jeszcze nie wiem - odparł MacArthur, nie chcąc udzielać precyzyjnej odpowiedzi.

- Muszę przygotować kutry do długiej podróży na Mindanao - nalegał młody oficer.

- Więc przygotuj, Buck. Powiadomię cię.

\*\*\*

No i wreszcie płynęli, a na szybsze podjęcie tej decyzji miały wpływ informacje, że generał Yamashita, który po zdobyciu Singapuru zyskał przydomek Tygrys Malajów, płynie z posiłkami na Luzon.

Flotylla kutrów z generałem MacArthurem na pokładzie jednego z nich kierowała się na odległą o dwa dni drogi dużą wyspę Mindanao, wysuniętą najbardziej na południe z całego archipelagu Filipin. Prezydent Quezon, wiceprezydent Sergio Osmena oraz cały gabinet już tam byli. B-17, którym lecieli, wylądował na plantacji ananasów Del Monte. W tym samym miejscu miał wsiąść na pokład samolotu generał MacArthur, przy założeniu, że uda mu się uciec przed Japończykami.

Tej nocy kutry, płynąc przez morze Sibuyan i kierując się ku pierwszemu przystankowi, wyznaczonemu na wyspie Cuyo, rozdzieliły się. Pierwszy przybył na miejsce PT-34 Kelly'ego, wpływając do odosobnionej zatoczki; miało się już ku wieczorowi i niebo przybrało purpurową barwę od zachodzącego słońca. Woda była tak krystalicznie czysta, że

wyraźnie widziało się porośnięte koralowcami dno; Kelly wysłał na brzeg człowieka, aby flagami dawał znać innym.

Po półgodzinie wszyscy już byli na miejscu. Marynarze obserwowali niebo oraz morze w poszukiwaniu jakichkolwiek oznak pościgu, Jean MacArthur zaś i Loh Chui spędziły dzień, odpoczywając na pokładzie PT-41 w plecionych fotelach. Generał cały czas chodził niecierpliwie tam i z powrotem. Bulkeley rozglądając się dookoła, dostrzegł na dziewiczej, piaszczystej plaży tylko cztery puste chaty, zapewne służące jako schronienie w sezonie zbiorów orzechów kokosowych. Wzdłuż brzegu biegł bezpieczny pies. Bulkeley odwrócił się i zaczął przyglądać się małemu Arthurowi, synkowi generała, bawiącemu się z Generałem Tojo, małą maskotką marynarzy.

- To piękna plaża, generale, i bardzo chciałbym pozwolić chłopcu wyjść na brzeg i pobawić się na piasku, ale jeśli ktoś by nas zauważył, to musielibyśmy się stąd natychmiast wynosić - powiedział Bulkeley do MacArthura.

- Rozumiem, Buck. Kiedy dotrzemy do Darwin, będzie miał mnóstwo czasu na zabawę - odparł generał, pykając w zamyśleniu fajkę.

Według planu MacArthur miał tu wsiąść na pokład okrętu podwodnego i płynąć nim do Australii, jednak nie mógł się zdecydować, którą opcję wybrać.

- Jak znajdziemy się na bardziej otwartych wodach, będzie kołysać - ostrzegł Bulkeley.

MacArthur spojrzał na admirała Rockwella, który dołączył do niego na pokładzie PT-41, aby zaplanować dalszą część podróży.

- Jestem marynarzem, ale nigdy nie mogłem przyzwycząić się do tej ciasnoty, jaka panuje na okręcie podwodnym, zwłaszcza gdy się zanurzy. Zostaję - zdecydował Rockwell.

MacArthur zgodził się z nim po chwili zastanowienia.

Gdy zapadła ciemność, mały konwój był gotów do wyruszenia w ostatni etap podróży. Zdecydowano, że PT-32 nie popłynie dalej. Poprzedniej nocy porucznik Schumacker, posuwając się w pewnym oddaleniu od pozostałych, wziął kuter Bulkeleya za nieprzyjacielski i aby szybciej uciekać, wyrzucił do morza pojemniki z paliwem. Wobec tego teraz nie dopłynąłby na Mindanao. Bulkeley polecił mu poczekać na okręt podwodny, wziąć od niego paliwo, a następnie udać się do Iloilo na wyspie Panay, tam naprawić kuter, po czym dołączyć do reszty. Po tych ustaleniach trzy pozostałe kutry torpedowe odplynęły (Schumacker nie zrealizował swojego planu, gdyż okręt podwodny niechcący zatopił jego kuter, ale zabrał załogę Schumackera do Australii).

O szóstej czterdzieści pięć rano, a więc piętnaście minut po wypłynięciu z zatoczki,

raptem na pokładzie rozległ się okrzyk *Sail-ho*. Na horyzoncie pojawił się japoński krążownik, a kuter torpedowy, podążając nadal tym samym kursem, przeciąłby mu drogę. Mając nadzieję, że być może Japończycy uznają kilwater za pianę pozostawianą przez fale, Bulkeley skręcił gwałtownie w prawo, ustawiając kurs równoległe do obranego przez krążownik. Odwróciwszy się, zobaczył tuż za sobą szczupłą sylwetkę pani MacArthur. Była zdenerwowana, ale nie zmartwiona.

- Mój generał śpi - powiedziała, przeciągając pierwsze dwa słowa, tak jak to mówią w stanie Tennessee. Zawsze zwracała się do męża, wymieniając jego rangę, co jest charakterystyczne dla osób z Południa, on z kolei zwracał się do niej, nawet gdy byli sami, „Madame” lub „Pani MacArthur”. - Czy mam go obudzić?

- Nie, proszę pani. Niech odpocznie - odparł Bulkeley.

Fortel się powiódł i krążownik zniknął wkrótce z pola widzenia, więc Bulkeley obrał poprzedni kurs.

Po północy morze wzburzyło się, a na niebie w oddali widać było błyski. Na morzu Mindanao fale dochodziły do pięciu, a nawet siedmiu metrów i przelewały się przez burtę, mocząc znajdujących się na pokładzie ludzi. Bulkeley płynął za PT-34 Kelly’ego, mając nadzieję, że dzięki temu jego kuter mniej kołysze i państwo MacArthur będą mogli trochę odpocząć.

Noc była zimna i smolście czarna, a Bulkeley płynął na pamięć. Dopiero gdy zaczęło świtać, mógł mgliście odróżnić ciemne zarysy wybrzeży wysp Mindanao i Negros.

Było wpół do siódmej rano, gdy trzy kutry torpedowe przybiły do przystani. Czekał już tam generał William F. Sharp, komendant na Mindanao, który przybył, aby powitać swojego dowódcę. Generał MacArthur, a za nim Bulkeley, zeszli na drewniany pomost. Generał strzepnął wodę z czapki i nałożywszy ją na głowę, zwrócił się do Bucka:

- Buck, każdemu obecnemu tu oficerowi i marynarzowi przyznaję Srebrną Gwiazdę za waleczność. Nigdy nie zapomnę, że wyrwaliście mnie z paszczy śmierci. Jeśli nawet te kutry już nigdy więcej nie wezmą udziału w żadnej akcji i zostaną teraz spalone, to i tak zasłużyły sobie na trwałe miejsce w historii. Gdy dotrę do Melbourne i jeśli będzie to możliwe, odeślę cię i twoich ludzi do domu.

Salutując, MacArthur wsiadł do samochodu sztabowego Sharpa, który miał go zawieźć na plantację Del Monte.

\*\*\*

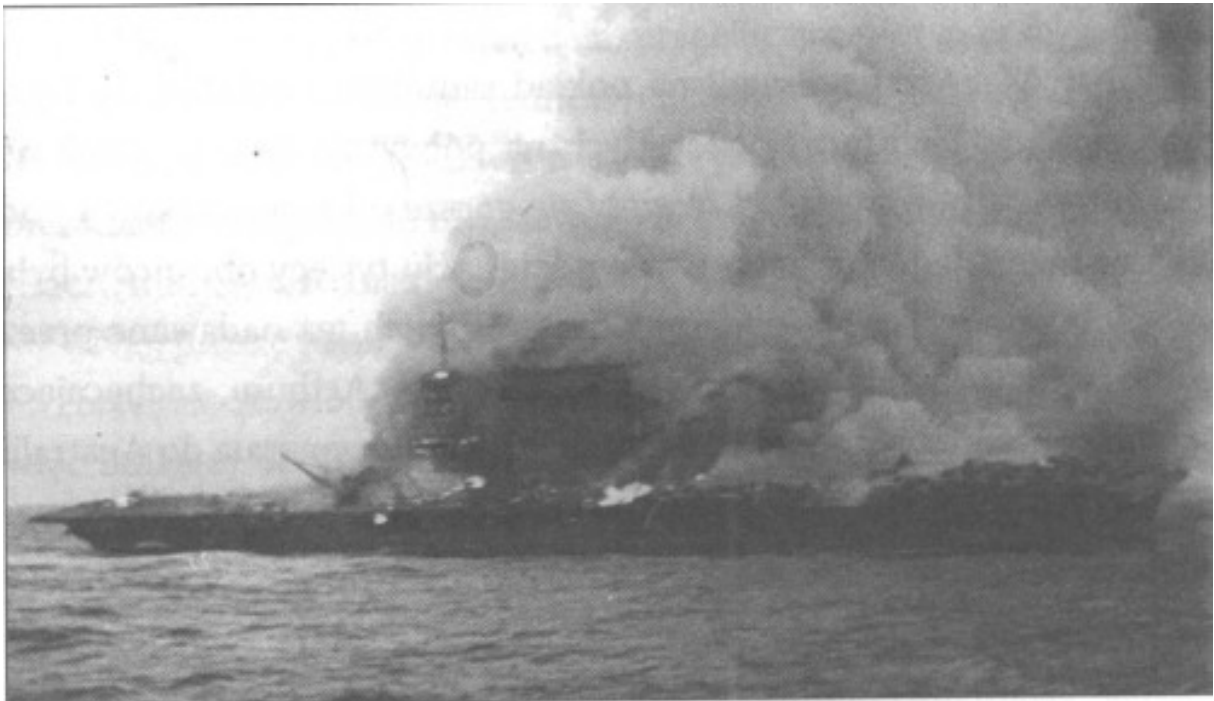
Kiedy MacArthur wszedł na pokład samolotu i odleciał do Darwin, sytuacja jego ludzi pozostałych na półwyspie Bataan wciąż się pogarszała. Choroby i głód okazały się gorsze od



Japończyków i pod koniec marca jedna czwarta z osiemdziesięciu tysięcy obrońców była niezdolna do walki. Na duchu nie podnosiły ich też nadawane przez radio orędzia znajdującego się w Australii MacArthura, zachęcające ich do kontynuowania walki. Te orędzia i wyjazd generała do Australii żołnierze upamiętnili w typowy dla siebie sposób, w wierszyku noszącym tytuł *Dugout Doug*:

*Siedząc sobie od pewnego czasu  
w świetnym australijskim klimacie  
Napisał do nas: Jak się macie?!  
Trzymajcie się! Sercem jestem z wami, na Bataan,  
Ale reszta mnie jest tu - i dobrze się mam.*

MacArthur znał ten wierszyk i czuł się bardzo nim dotknięty, ale nie tak jak 9 kwietnia, gdy dotarła do niego wiadomość o upadku półwyspu Bataan czy też ta przekazana prezydentowi Rooseveltowi 6 maja przez radio przez generała Wainwrighta z czeluści tunelu Malinta pod twierdzą Corregidor: „Ze złamanym sercem i pochyloną w smutku głową zawiadamiam Waszą Ekszelencję, że w dniu dzisiejszym muszę przygotować warunki kapitulacji ufortyfikowanych wysp leżących na wodach Zatoki Manilskiej”.



*Tonący lotniskowiec USS „Lexington”*

MacArthurowi generał Wainwright przekazał przez radio: „Walczyłem dla pana najlepiej jak potrafiłem od zatoki Lingayen do Bataanu i po Corregidor. Żegnam, panie

generale”.

Efektom tego było dostanie się do niewoli osiemdziesięciu tysięcy ludzi, w tym dwunastu tysięcy Amerykanów, oraz całkowite poniżenie MacArthura.

Jednak jego wola powrotu była olbrzymia i począwszy od marca 1942 roku, wszystko, co robił, każdy plan wojskowy, jaki układał, i każda akcja ofensywna, jaką kazał przedsięwziąć, miały na celu tylko jedno: spełnienie danej obietnicy, że wróci na Filipiny.

Zaczął się już w maju, kiedy to w końcu udało się przyhamować niszczycielską siłę japońskiej armii. Inwazja z udziałem lotniskowców, skierowana na ważną bazę aliancką w Port Moresby, mieszczącą się na południowym krańcu Nowej Gwinei, w prowincji Papua, napotkała na Morzu Koralowym opór sił amerykańskich. Co prawda Amerykanie ponieśli duże straty, zatonał ich lotniskowiec USS „Lexington”, a drugi, USS „Yorktown”, został zniszczony, podczas gdy Japończycy stracili tylko jeden mały lotniskowiec, to jednak po raz pierwszy w tej wojnie zostali zmuszeni do odwrotu.

W lipcu ponowili próbę zaatakowania Port Moresby, ale tym razem od strony lądu. Japońskie wojska wylądowały na północnym wybrzeżu Papui, w wioskach Gona i Buna, a następnie posuwając się szlakiem Kokody, miały nadzieję zdobyć port z drugiej strony. Jednak tam, wśród postrzępionych Gór Owena Stanleya, czekali już na nich żołnierze amerykańscy i australijscy. Rozgorzały trwające przez sześć miesięcy walki. Japończycy zostali wyparci i zmuszeni do wycofania się na brzeg, gdzie wokół Gony oraz Buny urządzali krwawe rzezie, tak że walczone w maskach przeciwgazowych, gdyż smród rozkładających się ciał był nie do zniesienia.

Jednak to zwycięstwo nie usatysfakcjonowało MacArthura, nadal znajdującego się dwa tysiące pięćset kilometrów od Filipin i trzy tysiące czterysta kilometrów od Manili. Obwinił o to swoich przełożonych, o czym świadczy jego list, w którym pisał: „Chyba nigdy w całej historii Stanów Zjednoczonych żaden dowódca nie spotkał się z tak nikłym poparciem” i nazywał to „narodową hańbą”.

Nienawidził Połączonego Kolegium Szefów Sztabów - z wzajemnością. Szczególnie nie znosił MacArthura admirał Ernest J. King, szef operacji morskich. Na jednym z posiedzeń King tak zaciekle krytykował MacArthura, że nawet słynący ze spokoju szef sztabu George C. Marshall walnął pięścią w stół i stwierdził, że jak tak będzie dalej, to w przyszłości nie życzy sobie obecności na posiedzeniach tych dwóch tak nie znoszących się dowódców.

Ta obopólna nienawiść między MacArthurem a Połączonym Kolegium Szefów Sztabów przeniosła się na pola walki. Planując swój ewentualny powrót na Filipiny, MacArthur najpierw musiał odbić z rąk Japończyków Nową Gwineę, jak również Wyspy

Admiralicji, Archipelag Bismarcka oraz inne mniejsze archipelagi i zniszczyć japońską bazę w Rabaulu w Papui-Nowej Gwinei leżącą w północnej części wyspy Nowa Brytania. MacArthur zdawał sobie sprawę, że o sukcesie jego planów przesądzi posiadanie dokładnych i wiarygodnych informacji dotyczących sił nieprzyjacielskich, ich możliwości obrony, morale żołnierzy, jak również warunków panujących na plażach, wysokości fal, odpływów i przyływów oraz przeszkód czających się pod wodą. O ile jednak dowódcy rozgrywający operacje na innych frontach korzystali w takich wypadkach z doskonale wyszkolonych ludzi z Office of Strategic Service - Biura Operacji Strategicznych<sup>12</sup> (OSS), o tyle MacArthur, podejrzewając związki OSS z Pentagonem, nie zdecydował się na to.



*Od lewej – założyciel jednostki Alamo Scouts generał Walter Krueger, dowódca sił alianckich na południowo-zachodnim Pacyfiku generał Douglas MacArthur oraz szef sztabu US Army generał George Marshall*

Zamiast tego zdał się na różne inne źródła, takie jak Australian Coast Watcher Service - Australijską Służbę Obserwacji Wybrzeża, Allied Intelligence Bureau - Sojusznicze Biuro Wywiadu, Allied Translator and Interpreter Service - Sojuszniczą Służbę Tłumaczy i Tłumaczy Ustnych, Allied Geographical Section - Sojuszniczą Sekcję Geograficzną oraz należące do marynarki wojennej zespoły wyburzeń podwodnych<sup>13</sup>.

<sup>12</sup> Biuro Operacji Strategicznych zostało rozwiązane po zakończeniu wojny, a zastąpiła je Centralna Agencja Wywiadowcza (CIA) (przyp. JB).

<sup>13</sup> Były to grupy złożone z ochotników, którzy w początkach 1943 r. zostali wybrani z jednostek Naval Construction Battalions (SeaBees) - Batalionów Budowlanych Marynarki (tzw. Morskich Pszczół). Ochotnicy ci

Ponieważ jednak powyższe służby podlegały różnym dowódcom kierującym operacjami lądowymi lub morskimi, a w całym korpusie oficerskim panowały podejrzliwość oraz rywalizacja, wobec tego MacArthur nie miał szans na zdobycie informacji dokładnych i na czas. Dowódcy, zarówno amerykańscy, jak i alianccy, niechętnie dzielili się posiadanymi informacjami.

Jesienią 1943 roku, podczas planowania zajęcia zachodniej części Nowej Brytanii, która to operacja nosiła zakodowaną nazwę „Dexterity”, utworzona została specjalna grupa zwana Jednostką Specjalną Nr 1 7. Sił Desantowych, a jej dowódcą został porucznik William B. Coultas.

Gburowaty, szorstki Teksaszyk został wybrany na jednego z dowódców operacji „Dexterity”<sup>14</sup>. Krueger, którego ojciec, Julius, walczył pod dowództwem Ottona von Bismarcka w wojnie francusko-pruskiej, miał osiem lat, kiedy w 1889 roku, cztery lata po śmierci ojca, przyjechał z matką do Ameryki. W 1898 roku wstąpił do armii i podczas wojny amerykańsko-hiszpańskiej walczył jako szeregowy w 2. ochotniczym pułku piechoty. Po czterech miesiącach zaciągnął się do armii zawodowej i został przydzielony do 12. pułku piechoty. Był świadkiem powstania na Filipinach i wtedy awansował do stopnia sierżanta. Przeprowadzona pod jego dowództwem akcja zajmowania dzielnicy San Juan de Guimba dała mu awans na stopień porucznika oraz przydział do 30. pułku piechoty.

W czasie pierwszej wojny światowej Krueger był członkiem sztabu, a w 1919 roku został podpułkownikiem. W 1941 roku Marshall awansował go na stopień generała i przydzielił do 3. Armii Stanów Zjednoczonych, a w styczniu 1942 roku do 6. Armii. Krueger, który na miejsce swojego zamieszkania wybrał San Antonio, wymyślił dla dowodzonej przez siebie armii nazwę Alamo Force, gdyż właśnie w Teksasie, w czasie wojny o niepodległość tego stanu, doszło do oblężenia hiszpańskiej misji Alamo.

Składająca się z sześćdziesięciu tysięcy żołnierzy Alamo Force dotarła do Australii w lutym 1943 roku, a generał Krueger został mianowany dowódcą nowej operacji MacArthura

---

zostali wcieleni do jednostek Navy Combat Demolition Units (NCDUs) - Bojowe Oddziały Wyburzeniowe Marynarki, które działały podczas przeprowadzania operacji amfibijnych, wyszukując i usuwając przeszkody dla oddziałów lądujących na plażach. Zespoły debiutowały podczas desantu na Sycylii, brały również udział w przygotowaniach do desantu w Normandii. W wyniku błędów w planowaniu desantu na Tarawę (duże straty wśród marines powstały podczas samego desantu, kiedy to łodzie desantowe i amtraki ugrzęzły na rafach koralowych otaczających wyspę) powołano do życia Underwater Demolitions Teams (UDT), w większości składające się z żołnierzy biorących udział w lądowaniu w Normandii. Dzięki ich działaniom udało się desant na Okinawę. Bezpośrednim następcą UDT są zespoły Navy Seals (przyp. JB).

<sup>14</sup> Operacja Dexterity - plan wojenny generała MacArthura. Obejmował desant na Arawe (15 grudnia 1943), zdobycie przylądka Gloucester w północno-zachodnim rejonie Nowej Brytanii (26 grudnia 1943), odbicie lotniska Tuluvu (30 grudnia 1943) i desant na Saidor (2 stycznia 1944). Operacja zakończyła się 10 lutego 1944 roku (przyp. JB).

na terenie Nowej Gwinei.

Nadzieje Kruegera, że Zwiadowcy Sił Desantowych zdołają zadowolić wymagania generała MacArthura co do dostarczania wiarygodnych i przydatnych informacji, legły w gruzach już w czasie ich pierwszego zadania. Polegało ono na przeprowadzeniu dziesięciodniowych (6-16 października) działań rozpoznawczych terenu wokół Gasmaty niedaleko od przylądka Gloucester na Nowej Brytanii.

Przed wyruszeniem zwiadowców Krueger przekazał dowódcy jednostki porucznikowi Miltonowi Beckworthowi informację, czego szukać, i rozkaz, aby dane dostarczyć od razu po powrocie bezpośrednio jemu. Dopiero on sam miał przekazać je wywiadowi marynarki wojennej.

Cała misja przebiegła gładko, ale ostatniego dnia zawiodła łączność i kutry torpedowe wysłane, by zabrać zwiadowców, nie przyplłynęły. Zwiadowcy zostali sami na tyłach wroga, z kończącymi się racjami żywnościowymi, zmuszeni jeść to co znaleźli w dżungli. Wygłodniałych mężczyzn udało się w końcu zabrać i wrócili do bazy 27 października, a więc jedenaście dni później, niż to było przewidziane.

Pojawiło się jednak więcej denerwujących wiadomości, szczególnie dla Kruegera. Beckworth, który natychmiast po powrocie miał zdać raport swojemu generałowi, został upity i załadowany na statek. Ten przewiózł go do Milne Bay na wschodni kraniec Nowej Gwinei. Tam, pomimo protestów, wywiad marynarki wojennej przetrzymywał go w odosobnieniu i wypytywał o całą misję. Po tym przesłuchaniu trzymano go nadal niczym więźnia na przycumowanej do brzegu łodzi. Wreszcie pewnego dnia Beckworthowi udało się uciec, dopłynąć do brzegu i dotrzeć do Kruegera.

Krueger wysłuchał całej tej opowieści, a jego szyja stawała się coraz bardziej czerwona i czerwień ta obejmowała stopniowo całą twarz. Wybuchnął:

- Do diabła z tym. Utworzę własną jednostkę zwiadowczą. Następnie zwrócił się do swojego adiutanta: - Niech pułkownik Bradshaw stawi się u mnie jak najprędzej.

I właśnie wtedy, w tej chwili gniewu, narodziła się Specjalna Jednostka Zwiadowcza 6. Armii Stanów Zjednoczonych, znana pod nazwą Zwiadowcy Alamo. Odegrała ona kluczową rolę w zwycięskim zakończeniu kampanii na południowo-wschodnich krańcach Pacyfiku i zasłużyła na miano jednego z najpotężniejszych narzędzi w całej historii wywiadu Stanów Zjednoczonych.

# ROZDZIAŁ 3

## Rekrutacja i szkolenie

„...najwyższe umiejętności żołnierskie”

Podpułkownik Frederick W. Bradshaw siedział za biurkiem w kwaterze wywiadu 6. Armii, studiując rozkazy, które właśnie otrzymał od generała Kruegera. Opatrzone datą 1 listopada 1943 roku brzmiały:

1. Niniejszym powołuje się z datą niesprecyzowaną, lecz koniecznie poprzedzającą dzień 1 stycznia 1944 roku, Ośrodek Szkoleniowy Zwiadowców Alamo (ASTC<sup>15</sup>) podlegający Naczelnemu Dowództwu Alamo Force, z siedzibą w pobliżu Naczelnego Dowództwa Alamo Force.

2. Ośrodek Szkoleniowy Zwiadowców Alamo będzie szkolić ochotników w zakresie przeprowadzania zwiadu i operacji. Kurs będzie trwać sześć tygodni. Specjalnie wybrani uczestnicy szkoleń, którzy ukończą kurs, zostaną podzieleni na sześciuosobowe zespoły pozostające do dyspozycji generała dowodzącego Alamo Force i będą nosić nazwę Zwiadowcy Alamo. Reszta uczestników szkoleń powróci do jednostek macierzystych, aby na rozkaz swoich przełożonych pełnić podobne powierzone im zadania.

3. Dowódcy zespołów używanych w czasie walki mają od czasu do czasu występować w charakterze szkoleniowców podczas powyższych szkoleń. Wybrana tą drogą kadra musi odznaczać się najwyższymi kwalifikacjami, jeśli chodzi o odwagę, wytrzymałość, inteligencję i umiejętność dostosowywania się.

Tak jak zalecił Krueger, Bradshaw ułożył rygorystyczny, innowacyjny program na podstawie podręczników szkoleniowych dla innych elitarnych jednostek, takich jak Najeźdźcy Carlsona, Maruderzy Merrila i Zwiadowcy Sił Desantowych, Diabelska Brygada i Rangersi Darby’ego, z naciskiem na zbieranie informacji przydatnych dla wywiadu, naukę survivalu w dżungli oraz sztuk walki. Ta nowa jednostka miała nosić nazwę Specjalna Jednostka Rozpoznawcza 6. Armii Stanów Zjednoczonych, czyli Zwiadowcy Alamo, dla odróżnienia od Alamo Force, czyli od sił operacyjnych 6. Armii.

---

<sup>15</sup> ASTC - Alamo Scouts Training Center (przyp. tłum.).





*Pułkownik Frederick Bradshaw, dowodzący nowo utworzoną jednostką o nazwie Zwiadowcy Alamo*

Następnie Bradshaw zaczął wydzwaniać po wszystkich jednostkach 6. Armii w poszukiwaniu ochotników, gotowych podjąć się niebezpiecznych zadań, z których można by utworzyć jednostkę zwiadowczą. Jej członkowie przenikaliby na tyły wroga, niepostrzeżenie zbierali informacje i wracali. Miał prawo wybrać, kogo chciał (takich uprawnień udzielił mu Krueger), i wyposażyć go w najlepszy sprzęt oraz broń, jakimi dysponowała armia amerykańska. Obóz szkoleniowy mógł powstać w każdym miejscu, jakie tylko wskazałby Bradshaw, z tym tylko zastrzeżeniem, że musiał znajdować się w miarę niedaleko od miejsca stacjonowania Kruegera, ponieważ generał uważał, że formowana jednostka ma podlegać jemu i może zostać wykorzystana jedynie za jego zezwoleniem.

Bradshaw był oficerem wywiadu 31. Dywizji aż do stycznia 1943 roku, to jest do chwili, gdy wziął go do siebie Krueger. Generałowi spodobały się jasność umysłu Bradshawa i jego zdolności dowódcze, spokój oraz stanowczość.

Bradshaw, prawnik z Jackson w stanie Missisipi, miał przed wojną ambicje polityczne i nawet myślał o fotelu gubernatora. W 1931 roku wstąpił do Gwardii Narodowej stanu Missisipi i służył jako szeregowy w kompanii C 155. Dywizji Piechoty. Wkrótce jednak dostrzeżono jego wykształcenie i zdolności, awansowano na podporucznika i tak rozpoczął



wspinaczkę po szczeblach awansów. W październiku 1940 roku znalazł się w 31. Dywizji jako prawnik, a po czterech miesiącach był już majorem i trafił do sztabu dywizji jako zastępca szefa sztabu. Kurs dla wyższych oficerów sztabowych ukończył 6 grudnia 1941 roku, dokładnie wtedy, gdy dobiegało końca przygotowywanie ataku na Oahu.

Teraz Bradshawowi powierzano nabór oraz szkolenie elitarniej grupy ekspertów do spraw survivalu i zbierania informacji w dżungli, a więc było jasne, że potrzebował doskonałych, twardych instruktorów.

Pierwszy wybór Bradshawa padł na majora Johna F. Polka, służącego początkowo w 1. Dywizji Kawalerii. Wkrótce jednak Polk został przeniesiony do kwatery głównej 6. Armii, gdzie został oficerem łącznikowym.

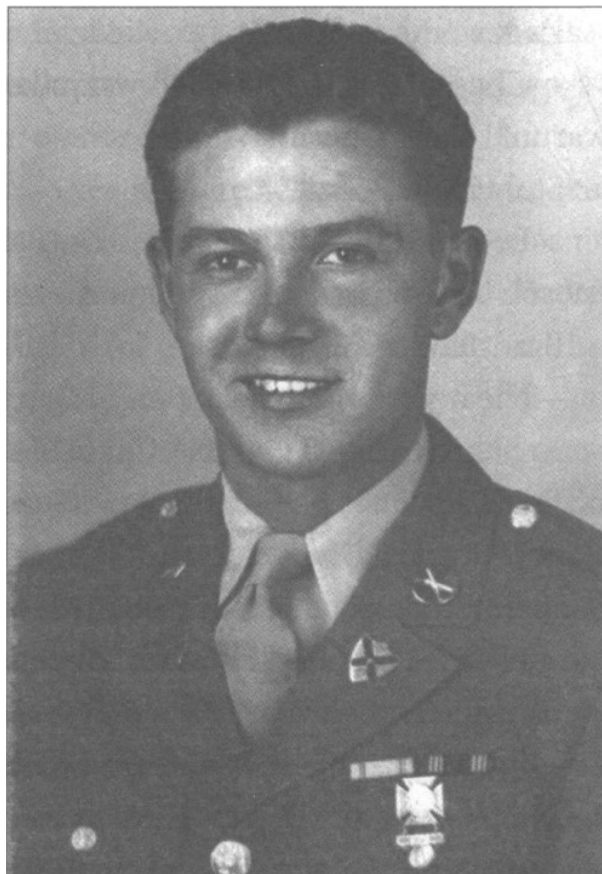
Wobec tego Bradshaw zwrócił się do kapitana Homera A. Williamsa. Williams pochodził z Filadelfii, wstąpił do armii w 1927 roku i awansował, wyrabiając sobie opinię człowieka surowego i przykładającego wielką wagę do dyscypliny. Z powodu burzy rudych włosów zwiadowcy

przezywali go „Rudzielcem”, ale był to facet, którego należało słuchać. Nikt służący pod rozkazami Williamsa nie chciał być wezwany do niego w celu reprimendy, bo kary, jakie wyznaczał, na długo zapadały w pamięć.

Zadanie Williamsa polegało na pomaganiu Bradshawowi w rekrutacji oraz przeprowadzaniu rozmów kwalifikacyjnych z kandydatami, a także wdrażaniu programu szkolenia.

O sprawy zaopatrzenia miał dbać porucznik Mayo S. Stuntz, urodzony w Viennie w Wirginii, przedtem służący w Zwiadowcach Sił Desantowych. Bradshaw poznał Stuntza, gdy obydwaj pracowali w wywiadzie 6. Armii, i wiedział, że ten człowiek potrafi zdobyć wszystko, nawet drogą kradzieży.

Zadzwoił do Stuntza i powiedział mu, czego od niego oczekuje.



*Major Homer Williams, zastępca pułkownika Bradshawa, a potem odpowiedzialny za szkolenie Zwiadowców Alamo (zdjęcie z lat 30.)*

- Chcę, aby ci ludzie mieli wszystko, co najlepsze: broń, jedzenie, warunki skoszarowania, no, wiesz - oznajmił Stuntzowi.

Stuntz się zgodził.

- Pod warunkiem, że nie będziesz się interesował, skąd ani w jaki sposób będę to wszystko zdobywał - zastrzegł.

Bradshaw uśmiechnął się.

- Nie będzie żadnych pytań.

Kapitan Richard „Doktor” Canfield z Pittsburga widział już niejedno, był na froncie, podczas bitwy o Guadalcanal służył jako lekarz wojskowy. Gdy Bradshaw się z nim skontaktował, Canfield pracował w 52. Szpitalu Ewakuacyjnym na Nowej Kaledonii. Canfield zgodził się pracować jako lekarz Zwiadowców Alamo, jak również nadzorować warunki sanitarne w obozie szkoleniowym oraz w mesie. Miał też uczyć zwiadowców zasad udzielania pierwszej pomocy w dżungli. Poza tym, co bardzo typowe dla pracy lekarza w tropiku, powinien zapobiegać zachorowaniom na malarię, dyzenterię, gorączkę denga i całej masie innych chorób, które mogły dopaść każdego równie łatwo jak japońska kula. Canfield stał się bardzo popularną osobą w jednostce ze względu na wynalezienie „soku torpedy”, czyli mieszanki soku owocowego i paliwa torpedowego, rozwiązującej język nawet najbardziej małomównym osobom, co było bardzo przydatne podczas przesłuchań.

Canfieldowi miała asystować grupa sanitariuszy. W jej skład wchodził Dominiek Cicippio z Norristown w Pensylwanii, który przeniósł się z 24. Dywizji. Cicippio oraz inni sanitariusze nie towarzyszyliby zwiadowcom w ich wyprawach, lecz zajmowali się w obozie tymi, którzy wrócili z misji: leczyli ich, opatrywali rany, itp. Czuwaliby też nad wcielaniem w życie narzuconych przez Canfielda zaleceń dotyczących przestrzegania higieny oraz bezpieczeństwa, co wiązało się, jak po latach wspominał Cicippio, z codziennym porannym przeszukaniem całego obozowego terenu pod kątem obecności któregoś z występujących na tych terenach dziewięćdziesięciu gatunków węży, a zwłaszcza śmiertelnych tajpanów lub węży śmierci, które mogą wpaść na pomysł odwiedzenia obozu w nocy.

Adiutanta Bradshaw znalazł sobie dopiero w kwietniu 1944 roku, kiedy poznał porucznika Lewisa B. Hochstrassera, który właśnie ukończył szkolenie dla Zwiadowców Alamo. Hochstrasser pochodził z Billings w stanie Montana, w 1932 roku wstąpił do Gwardii Narodowej, do regularnej armii zaciągnął się 8 stycznia 1941 roku.

Do jego obowiązków należały takie sprawy jak sortowanie korespondencji, wypłaty oraz instruowanie kandydatów, jak napisać informację i jak posługiwać się podręcznikiem dla zwiadowców.

Tak więc około Święta Dziękczynienia 1943 roku ekipa Bradshawa została skompletowana (oprócz Hochstrassera, który dołączył później). Teraz należało dobrać instruktorów. W tym celu Bradshaw skontaktował się z członkami rozwiązanej właśnie jednostki Zwiadowcy Sił Desantowych, a więc z ludźmi, którzy wiedzieli, jak nadmuchać ponton, przeniknąć na tyły wroga, przeprowadzać zwiad, nawiązywać łączność oraz zbierać przydatne dla wywiadu informacje. To wszystko były umiejętności, jakie musieli zdobyć kandydaci na zwiadowców. I musieli ich szkolić najlepsi instruktorzy.

Jednym z pierwszych, na których padł wybór, był porucznik Beckworth, młody oficer i zwiadowca desantu morskiego, który w październiku przeprowadzał działania rozpoznawcze w Gasmacie (Surami).

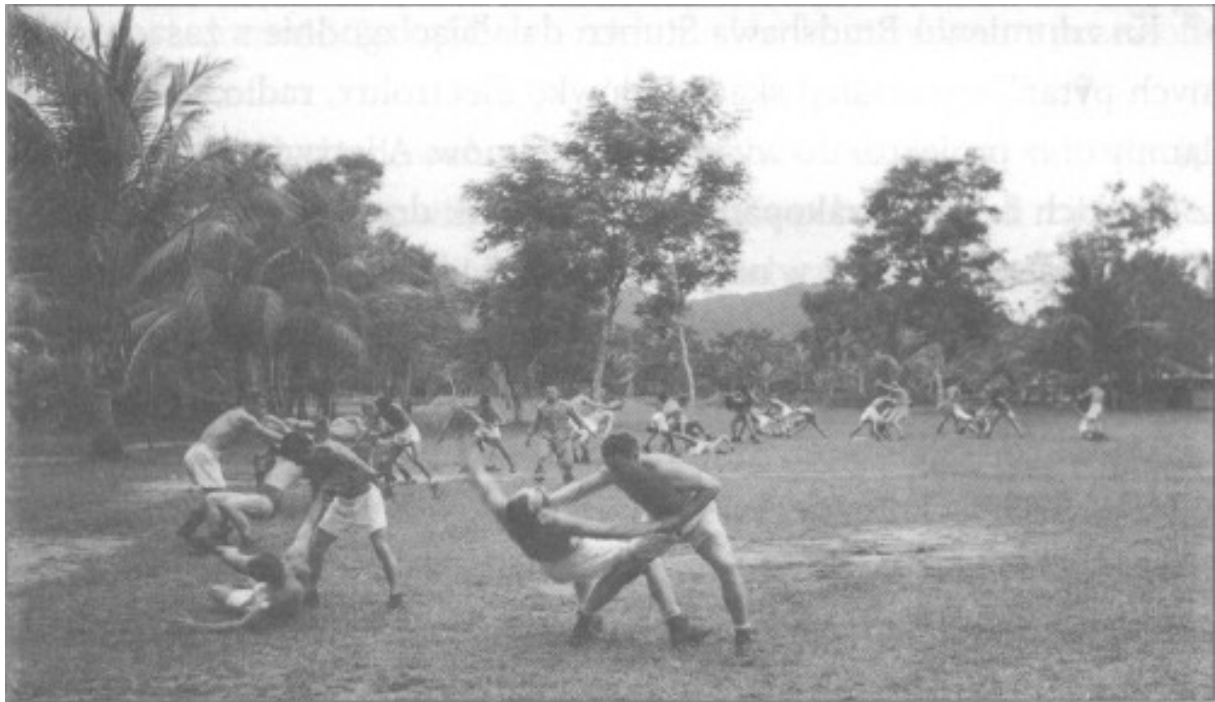
Niektórzy z kończących szkolenie ochotników byli proszeni o pozostanie w ośrodku szkoleniowym w charakterze instruktorów. Należał do nich porucznik Sidney Tison, były członek Sojuszniczego Biura Wywiadu, który w 1943 roku otrzymał Brązową Gwiazdę za przeniknięcie na Luzon (dokąd dopłynął na pokładzie okrętu podwodnego USS „Nautilus”), nawiązanie kontaktu z filipińskimi partyzantami i poprowadzenie ataku na japońskie instalacje, w czasie którego zginęło dwustu nieprzyjacielskich żołnierzy. Innym takim nauczycielem był porucznik Henry „Wąż” Baker, także odznaczony Brązową Gwiazdą za swoje dokonania na Filipinach, gdzie wysadził w powietrze trzy pociągi wiozące japońskich żołnierzy i uzbrojenie, używając do tego prochu z japońskich pocisków artyleryjskich.

\*\*\*

Dobrawszy odpowiednich ludzi, Bradshaw wziął się za sam obóz. Jeśli chodzi o wybór miejsca, to Krueger dał mu wolną rękę; jedynym warunkiem było, że musi się ono znajdować niedaleko od dowództwa 6. Armii. Poza tym ze względu na ściśle tajny charakter nowej jednostki oraz rodzaj wymaganego szkolenia ośrodek powinien leżeć nad wodą, ale w odosobnieniu.

Początkowo Bradshaw wybrał wyspę Goodenough, przez ludność miejscową zwaną Morata, jedną z trzech wysp archipelagu D'Entrecasteaux, położonych na północny wschód od Nowej Gwinei. Na tej wyspie stacjonowało 353 japońskich żołnierzy z 5. Specjalnych Sił Desantowych z Sasebo, którzy przybyli tam w sierpniu 1942 roku, jadąc do Buni, gdzie toczyły się walki. Zostali uwięzieni na wyspie, ponieważ alianckie lotnictwo zniszczyło siedem barek desantowych, którymi płynęli. Sześć osób zabrał japoński okręt podwodny, ale reszta nie zdążyła się ewakuować, gdyż 22-23 października przypuścili na nich atak Amerykanie oraz Australijczycy. Dopiero potem znaczną część japońskich żołnierzy zabrał inny okręt podwodny, reszta zaś zginęła.

Wyspa Goodenough jest owalna, długa na trzydzieści dwa kilometry, szeroka na szesnaście. Góruje nad nią Goodenough, najwyższy szczyt na wyspach wchodzących w skład Papui-Nowej Gwinei. Na wyspie jest mnóstwo plantacji palm kokosowych, a poza tym rozległe nadmorskie równiny, jednym słowem to takie miejsce, jakiego Bradshaw szukał, dobre na obóz. Podczas inspekcji na wyspie okazało się jednak, że bagna z zamieszkałymi tam moskitami oraz bardzo mocna fala przyboju utrudniałyby szkolenie zwiadowców.



*Szkolenie Zwiadowców Alamo w walce wręcz. Wyspa Fergussona, styczeń 1944*

I wtedy nadeszła wiadomość, że rozwiązano jednostkę Zwiadowcy Sił Desantowych i jej obóz stoi pusty, więc można go wykorzystać. Było to wręcz wymarzone miejsce, usytuowane w Kalo Kalo, na zachodnim wybrzeżu Wyspy Fergussona, trzydzieści minut drogi kutrem torpedowym od kwatery głównej Kruegera. Obóz bardzo dobrze służył zwiadowcom desantu morskiego i teraz Milt Beckworth, instruktor Zwiadowców Alamo, nie musiałby nawet zabierać rzeczy ze swojego namiotu.

Krueger polecił Bradshawowi zbudować urządzenia treningowe - doskonałe, o wiele lepsze niż te skonstruowane na rozkaz MacArthura oraz admirała Barbeya, któremu podlegali Zwiadowcy Sił Desantowych. Bradshaw natychmiast zabrał się za powiększanie i ulepszenie obozu. W ciągu miesiąca stały już magazyn, świetlica i niewielka strzelnica, a drugi dok był w budowie. Zbudowano także nową łazienkę z prysznicami oraz mesę na sto pięćdziesiąt osób z wybetonowaną podłogą i szklaną ścianą oddzielającą kuchnię. Kupiono także nowe namioty: oficerowie mieli spać po dwóch w namiocie, a przyszli zwiadowcy - po sześciu.

Ku zdumieniu Bradshawa Stuntz, działając zgodnie z zasadą „żadnych pytań”,

wytrzasnął skądś lodówkę Electrolux, radio, elektryczne lampy oraz projektor do wyświetlania filmów. A latryna, składająca się z wielkich bębnow zakopanych jeden obok drugiego w ziemi, miała nawet sedesy, takie jak w najprawdziwszej ubikacji.

Wszyscy, którzy tu mieszkali, z wielką dumą nazywali to miejsce Hotelem Alamo.

Do nauki walki wręcz Bradshaw ściągnął porucznika Carla Moyera z 1. Dywizji Piechoty Morskiej. Program Moyera składał się z pięćdziesięciu minut rygorystycznych, codziennych ćwiczeń, takich jak: bieganie, pływanie, trening siłowy, wspinaczka górską oraz techniki obronne (judo i karate), jak również nauki, jak używać łokci, jak uderzać głową, stopami oraz kolanami, tak aby unieruchomić przeciwnika.

Ważący ponad sto dwadzieścia kilogramów Moyer był imponującą postacią, potrafił z łatwością, z sadystycznym uśmiechem powalić dwóch mężczyzn. Miał brązowy pas w judo, które nazywał „prawdziwie męską walką”.

Jednym z ulubionych ćwiczeń Moyera było ustawienie wszystkich w koło twarzami do środka z zawiązanymi oczami. „Atakujący” chodził dookoła i bez ostrzeżenia rzucał się na któregoś z mężczyzn, zaczynając go dusić. Zaatakowany musiał nie tylko uwolnić się z uścisku, ale powalić i unieszkodliwić atakującego. W celu wyostrenia zmysłów szkolący się mieli atakować się nawzajem bez ostrzeżenia (nie omijając oficerów) w każdym dowolnym momencie.

Bradshaw zaczął również ściągać personel pomocniczy do prac porządkowych i zapewnienia działania obozu. I tak rekrutowano kucharzy, kierowców, piekarzy, umiejących naprawiać łodzie, radiowców oraz zaopatrzeniowców. Niektórzy z nich mieli doświadczenie w walce, toteż często w czasie treningów odgrywali rolę „agresorów”. Wszyscy lubili swoją pracę nie tylko ze względu na doskonałe jedzenie czy dobre warunki panujące w obozie; wykonywali swoje obowiązki, mając świadomość, że każdy ich ruch nie jest kontrolowany przez oficerów.

W czasie gdy budowano obóz, Bradshaw rozpoczął rekrutację. Już wcześniej postanowił, że pierwszeństwo będą mieli zaprawieni w walce weterani. Chciał, aby byli to odważni, sprawni fizycznie mężczyźni, zmotywowani, zdolni, inteligentni i charakteryzujący się trafnością osądów. Preferował ludzi wychowanych w lasach bądź przywykłych do życia w ostępach leśnych. Kandydaci musieli przepłynąć osiemset metrów na wzburzonym morzu i mieć doskonały wzrok. Jednak przede wszystkim musieli być wytrzymali, umieć znieść głód i dalekie marsze bez przerwy na odpoczynek oraz długie przebywanie na tyłach wroga.

Bradshaw wiedział, że trening czyni mistrza. Surowy program, jaki przygotował wraz z instruktorami, gwarantował, że sześciotygodniowy kurs przetrwają tylko najsprawniejsi.

Rzecz jasna spośród tych, którzy ukończą szkolenie, niektórzy - ale nie wszyscy - mieli zostać wcieleni do zespołów składających się z oficera i sześciu członków. Pozostali, aczkolwiek także wykwalifikowani zwiadowcy, wróciliby do macierzystych jednostek czy to dlatego, że nie zostali wybrani do żadnego zespołu, czy też ponieważ żądał tego ich dowódca, planując powierzyć im jakieś zadanie. Po ukończeniu jednego kursu następowałby kolejny nabór i tak w kółko, bo tego wymagały prowadzone działania wojenne.

Ośrodek Szkoleniowy Zwiadowców Alamo (ASTC) zamierzano przenosić w miarę postępów 6. Armii na Nową Gwineę oraz, z czasem, na Filipiny. I tak obóz na Wyspie Fergussona istniał do 8 kwietnia, kiedy to został przeniesiony do Mange Point niedaleko Finschhafen na Nowej Gwinei. Trzeciego lipca otwarto obóz na przylądku Kassoe niedaleko Hollandii, byłej stolicy Holenderskiej Nowej Gwinei. Dopiero po inwazji na Filipiny przeniesiono go na Leyte, potem na Luzon (najpierw do Calasiao, a w końcu do Mabayo nad zatoką Subic). To jednak nastąpiło w przyszłości. Na razie 3 grudnia 1943 roku otwarty został pierwszy ASTC, a zajęcia miały się rozpocząć 27 grudnia.

Każdy pułk podległy Kruegerowi otrzymał rozkaz podania nazwisk setki wytypowanych kandydatów (także oficerów) wraz z listą spełnianych przez nich kryteriów. Z kandydatami wstępną rozmowę miał przeprowadzić dowódca plutonu i/lub dowódca kompanii.

Zazwyczaj, choć nie zawsze, mówiono im, że zadanie, do którego zostali wytypowani i które będzie tematem rozmowy, jest niezwykle niebezpieczne i jeśli chcą, to mogą odmówić. Wszyscy, którzy przeszli ten pierwszy etap, byli kierowani na rozmowę z dowódcami dywizji. I tak oto najlepsza setka trafiała do Bradshawa<sup>16</sup>.

Do przyjęcia kandydatów rekrutujących się z bardzo oddalonych jednostek wystarczała rekomendacja ich dowódcy. Z pozostałymi rozmawiali Bradshaw albo Williams. Do tych pierwszych należał Andy Smith, który brał później udział w najsłynniejszej misji Zwiadowców Alamo, w rejonie Cabanatuanu.

Następnie potencjalnych kursantów wzywano do pokoju, gdzie siadali naprzeciwko osoby przeprowadzającej interview. Na stole leżało porozrzucanych dwadzieścia pięć różnych przedmiotów, takich jak paczka papierosów, zapalniczka, kompas, ołówek, grzebień, zegarek, guzik itd. W czasie rozmowy nie padało ani jedno słowo na temat tych przedmiotów; pytano kandydata, skąd pochodzi, co robił przed wojną oraz o rodzinę.

---

<sup>16</sup> Wyszkolono w ASTC dziewięć „klas”, chociaż wojna skończyła się, gdy dziewiąty kurs jeszcze trwał. W czasie istnienia ASTC jego szkolenie zmieniło się niewiele. Celem tej książki nie jest próba zrelacjonowania historii każdej klasy, ale przedstawienie, i to w szerokim zakresie, programu szkolenia oraz doświadczeń poszczególnych zwiadowców, bez względu na to, kiedy ukończyli kurs.

Pytano też, czy lubi zajęcia na świeżym powietrzu i czy dobrze mu się współpracuje z innymi. Jeśli pytany był oficerem lub miał nim zostać, to chciano się dowiedzieć, jak by się czuł, gdyby rady udzielał mu na przykład szeregowy żołnierz. Ta rozmowa miała na celu ocenę inteligencji, zdrowego rozsądku oraz przydatności kandydata do pracy w zespole. Jeśli choć w jednej z tych kategorii wypadł on słabo, był odsyłany z powrotem.

W celu przetestowania motywacji kandydata pytano go, jak znosi niebezpieczne zadania oraz dlaczego się zgłosił dobrowolnie. Jeśli jego odpowiedź brzmiała: „aby zabijać żółtków” czy coś w tym rodzaju, odpadał.

Po zakończeniu interview kandydata odprawiano; kiedy jednak już dochodził do drzwi, Bradshaw lub Williams mówili: - Stać! Nie odwracając się, wymień leżące na stole przedmioty.

Ci, którzy nie potrafili wymienić odpowiedniej ich liczby oraz podać nazwy papierosów i marki zegarka, wracali do swoich jednostek.

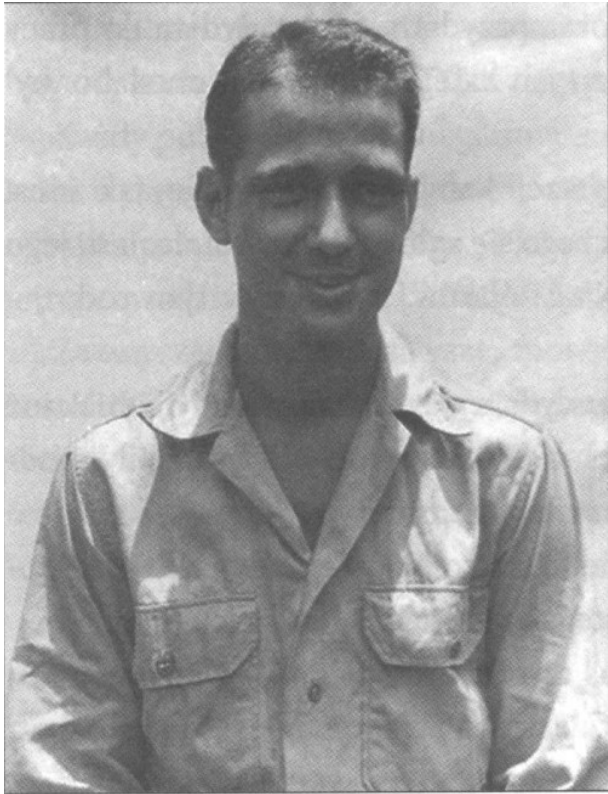
Robert Teeples miał wówczas dwadzieścia pięć lat i służył w kompanii L 128. pułku 32. Dywizji „Czerwona Strzała”. Zgłosił się na ochotnika, bo został zdegradowany do stopnia szeregowego za niestawienie się na obowiązkowe zażycie tabletek przeciwko malarii po powrocie z ciężkich walk o Bunę.

Bradshaw przeprowadzał z nim rozmowę kwalifikacyjną i pytał, czy boi się śmierci, jaki dystans jest w stanie przeplnąć i czy nie wzdragałby się odebrać komuś życie. Wkrótce Teeples znalazł się wśród członków pierwszego kursu ASTC.

Jack Geiger z New Jersey wstąpił do wojska w 1943 roku i po odbyciu podstawowego szkolenia trafił do 422. pułku piechoty 106. Dywizji. Zanim jednak „Złote Lwy” znalazły się w Europie (gdzie w bitwie o Ardeny ich dywizja została zdziesiątkowana, a dwa pułki, w tym także Geigera, otoczone i wzięte do niewoli), Geigera i kilku innych żołnierzy przydzielono do jednostek przerzucanych na Pacyfik.

Na razie znalazł się w 31. Dywizji w Camp Patrick Henry w stanie Wirginia, która przygotowywała się do wyruszenia na wyspy Pacyfiku. Geiger przybył na Nową Gwineę w lutym 1944 roku. Był kierowcą, woził pilotów na lotnisko i z powrotem.

- Było świetnie - wspominał po latach. - Nie musiałem przechodzić tego całego głupiego szkolenia, jak chłopaki w dywizji.



*Sierżant John Geiger*

Jednak został odesłany do jednostki, do kompanii I, i to właśnie tam zauważył informację przypiętą do tablicy ogłoszeń, że poszukuje się ochotników do zadań wywiadowczych. Zgłosił się, nie mając pojęcia, co miałby robić. Przeszedł wstępne rozmowy z przełożonymi w swojej kompanii, po czym spakował rzeczy i pojechał na interview z Bradshawem. Z niemal setki mężczyzn, którzy przyjechali wraz z nim, zakwalifikowało się piętnastu i wysłano ich na szkolenie do obozu ASTC w Mange Point. Wśród tej piętnastki był i Geiger; ukończył trzeci z kolei kurs szkoleniowy.

Porucznik Wilbur Littlefield,

dwudziestojednoletni Kalifornijczyk, przystojniak w stylu Clarka Gable'a, znalazł się w Nowej Brytanii wraz ze 160. pułkiem 40. Dywizji i tam usłyszał, że tworzy się nowa jednostka. Littlefield ukończył Szkołę Kandydatów na Oficerów w Fort Benning w stanie Georgia i jak później mówił, kto tylko urodził się w Los Angeles, ten wiedział, że „poszukują ochotników do niebezpiecznych zadań na tyłach japońskich”. On sam nie widział jeszcze walk i był jednym z trzech oficerów oraz dwudziestu sześciu żołnierzy swojej kompanii, którzy się zgłosili, co gwarantowało żartową rywalizację, ponieważ tylko jeden oficer i sześciu żołnierzy z całego pułku mógł przejść wstępną kwalifikację. Littlefield wspominał potem, tak „po wojskowemu”, że jeden z tych oficerów „nie umiał nawet czytać mapy”

- Nie wiem, jakim cudem awansował - dziwił się Littlefield. Wywiad 6. Armii był wściekły, że dowódca dywizji wysyła żołnierzy na rozmowy kwalifikacyjne, dlatego oddelegowali swojego oficera, aby przeprowadzał selekcję. Przypadkiem okazało się, że przed wojną ten sam oficer wykładał w szkole w Los Angeles, do której chodził Littlefield. Znali się, więc Littlefield pomyślnie przeszedł wszystkie sprawdziany i zaczął uczęszczać na trzeci z kolei kurs organizowany w ASTC.

Urodzony siedemdziesiąt kilometrów na północny wschód od Seattle Oliver Roesler był drwalem i przed wojną pracował dla Pacific Northwest. Studiował też na University of Washington, ale gdy wybuchła wojna, zamknął książki w szafce i zaciągnął się do wojska.



Chciał latać, ale armia przede wszystkim potrzebowała żołnierzy piechoty, wobec tego Roesler znalazł się w 31. Dywizji. Szybko odkrył, że w armii przechodzi się twardą szkołę, w co nie bardzo przedtem wierzył, bo wiedzę na ten temat czerpał „z filmów z Bobem Hope’em i z Dorothy Lamour”.



*Grupa zwiadowców, która ukończyła trzeci z kolei kurs szkolenia. Finschhafen, 22 czerwca 1944*

I wtedy usłyszał, że potrzebni są ochotnicy do nowej, elitarnej jednostki. Krążyły pogłoski, że wybrańcy „po przeprowadzeniu dwóch misji na tyłach wroga będą mogli wrócić do domu”, wobec tego Oliver zgłosił się i trafił na trzeci kurs. A zanim wojna dobiegła końca, brał udział w dziewięciu akcjach zwiadowczych.

Młody, energiczny, uwielbiający przygodę Terry Santos zaciągnął się do wojska w swoim rodzinnym mieście San Francisco. Najpierw wstąpił do 11. Dywizji Powietrznodesantowej, a potem do plutonu rozpoznawczo-wywiadowczego przy Biurze Służb Strategicznych. Na Nowej Gwinei usłyszał o Zwiadowcach Alamo i zainteresował się nimi, ale doszły go słuchy, że generał MacArthur nie chce u siebie nikogo mającego powiązania ze służbami, dlatego też Santos opuścił swoją jednostkę i trafił do ASTC. W 1944 roku został uczestnikiem czwartego z kolei kursu.

Robert Buschur, farmer z Ohio, przeczytał na tablicy ogłoszeń o werbowaniu

ochotników do nowej jednostki i postanowił ją „sprawdzić” W wojsku służył od osiemnastego roku życia, przeszedł szkolenie w Fort Riley w Kansas, a w sierpniu 1943 roku pomagał wyrzucać Japończyków z Guadalcanal. Następnie wraz z dywizją, w której służył, miał brać udział w desancie na Nową Irlandię. Jego statek czekał przy brzegu, gdy doszła wieść, że MacArthur, dowiedziawszy się, że stacjonuje tam czterdzieści tysięcy japońskich żołnierzy, zrezygnował z planów uderzenia na tę wyspę. Wojska alianckie ominęły Nową Irlandię, a Buschura wraz z towarzyszami odesłano z powrotem, najpierw na Guadalcanal, potem na przylądek Gloucester, a w końcu na Nową Gwineę.

Dwudziestoletni Buschur nie mógł się doczekać, aż zacznie się coś dziać, kiedy więc przeczytał na tablicy ogłoszeń o poszukiwaniu ochotników do zwiadu, natychmiast się zgłosił. Został przyjęty na trzeci kurs i ukończył go.

Jednak pomyślne interview bynajmniej nie oznaczało zakończenia procesu selekcji.

William Blaise należący do nielicznych, którzy zaciągnęli się do armii przed Pearl Harbor, a który ukończył trzeci kurs w ASTC, wspominał:

- Pierwszej nocy kazano nam spać w dużym namiocie i dano karty, warcaby i różne inne gry. Powiedziano, że szkolenie rozpocznie się z rana. Tymczasem rano niektórych natychmiast odesłano. Okazało się, że poszukiwano gadułów i osób przebojowych, a gdzież jak nie przy grze w karty można wykazać się takimi cechami? Milczkowatych chamów i chwalipiętów odesłano. Potrzebowano mężczyzn potrafiących razem przebywać i pracować. Dotyczyło to również oficerów. Potem patrzyłeś na zespół i nie wiedziałeś, kto jest oficerem, a kto nie.

W końcu przyjęto tylko połowę z tych, którzy przyjechali na rozmowy. Byli to żołnierze z różnymi stopniami wojskowymi: z piechoty, artylerii, czołgiści, spadochroniarze, z wojsk łączności oraz inżynierowie. Większość z nich to byli biali, ale znalazło się też sporo Filipińczyków, Latynosów oraz Indian - z co najmniej dwudziestu plemion, takich jak Odżibwejowie, Nawahowie, Apacze, Czoktawowie, Siuksowie, Pawnee, Czirokezi i Seminolowie. Pierwszy kurs 5 lutego 1944 roku ukończyło trzydziestu ośmiu mężczyzn, z których dziewięciu to Indianie.

Pierwszego dnia szkolenia wszyscy zgromadzili się w stołówce, usiedli na drewnianych ławkach, a Bradshaw wygłosił krótkie przemówienie.

- Z pewnością zgodzicie się, że ten obóz jest najładniejszy ze wszystkich, jakie dotychczas widzieliście - zaczął. - To dobry obóz, bo przy jego budowie wszyscy pracowali i wszystkim zależało, aby właśnie taki był. Częścią waszego szkolenia oraz czymś, za co będziecie surowo oceniani, jest wasze zachowanie. Może się wam wydawać, że Zwiadowcy

Alamo to organizacja skupiająca morderców i twardzieli. Chcemy, abyście byli twardzi - tak twardzi, jak tylko się da - ale nie ma tu miejsca dla „twardzieli”. To nie jest służba polegająca na waleniu pięściami na oślep i rozbijaniu pałką. Odwołujemy się do najwyższych żołnierskich umiejętności, a jedną z ich pierwszorzędnych cech jest samodyscyplina. Będziecie tu traktowani indywidualnie i jak dżentelmeni, i oczekujemy od was takiego samego traktowania.

Pamiętajcie, że nikt was nie prosił, abyście tu przyszli. Rozumiemy, że każdy z was jest ochotnikiem, że przybył z własnej woli. Jeśli ktokolwiek z was ma jakieś obiekcje, psychiczne lub inne, to niech się zgłosi do dyrektora szkolenia - zostanie bez żadnych pytań zwolniony i wróci do swojej jednostki.

Przez sześć tygodni, jakie tutaj spędzicie, będziemy was pilnie obserwować. Jeżeli uznamy, że któryś z was psychicznie, pod względem temperamentu albo sprawności fizycznej nie pasuje do wymaganych standardów, że nie daje z siebie wszystkiego, że naprawdę szczerze nie próbuje - to zostanie odesłany. Czas jest zbyt cenny, aby go tracić na tych, którzy nie pasują. Problemów z dyscypliną nie będzie, bo ci, którzy ją złamią, zostaną natychmiast odesłani do jednostek macierzystych.

Tutejsi oficerowie mają jedyny cel: nauczyć was tego, co potrafią najlepiej. Nie musicie się ich bać; oni są najzwyczajniejszymi na świecie ludźmi, takimi samymi jak wy i ja, i mają nadzieję, że za takich będziecie ich uważać. Praktycznie wszyscy, ze mną włącznie, zaczęliśmy w wojsku od stopnia szeregowego. Większość z nas to cywile, a nie zawodowi żołnierze, a teraz po prostu staramy się pomóc ojczyźnie wygrać wojnę. Jeżeli macie jakieś sugestie, chcecie coś skrytykować albo poskarżyć się na coś, chcecie coś wyrzucić z siebie, to zachęcamy do przedyskutowania tej kwestii z kimś z pracowników. A jeśli nie chcecie tego zrobić, to w świetlicy jest skrzynka pocztowa. Wcale nie musicie się podpisywać. Tutaj panują bardzo nieformalne stosunki, oparte na wzajemnym szacunku i szczerych wysiłkach.

Po zakończeniu szkolenia niektórzy z was zostaną wybrani na Zwiadowców Alamo i pozostaną tu, aby wykonywać zadania zwiadowcze, jakich zażąda dowództwo. Większość z was powróci do własnych jednostek, gdzie bardzo przyda się wasze wyszkolenie, gdzie będziecie do dyspozycji dowódców waszych dywizji, pułków, batalionów. Kilku z was z tych czy innych powodów nie ukończy tego szkolenia, ale tak czy inaczej dzięki niemu będziecie lepszymi żołnierzami i mamy nadzieję, że na zawsze pozostaną z wami tradycje oraz esprit de corps Zwiadowców Alamo.

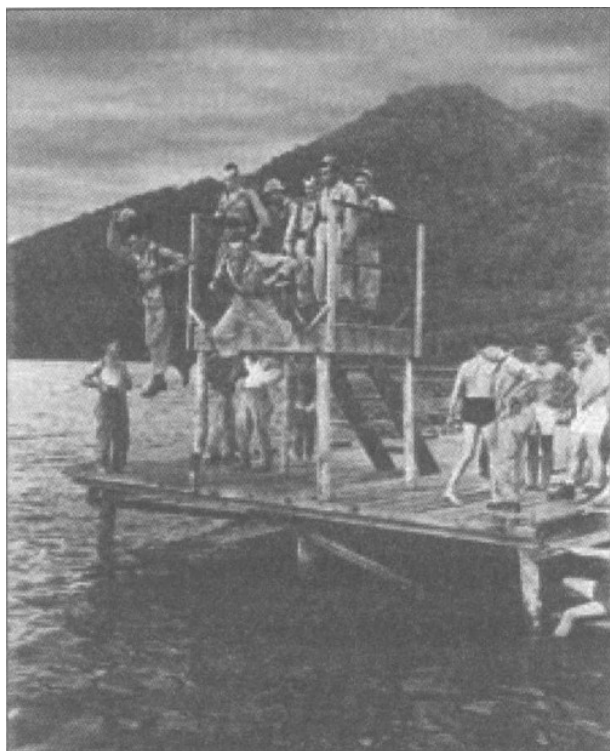
Jutro zaczyna się szkolenie. To wszystko.

\*\*\*

Bradshaw dotrzymał słowa. Pobudka była o piątej trzydzieści, a po śniadaniu składającym się z jajecznicy, plastrów wołowiny, świeżych owoców takich jak mango, orzechy kokosowe i pomarańcze oraz kawy rozpoczął się dzień wypełniony co do minuty zajęciami.

Wszyscy zostali podzieleni na zespoły liczące od sześciu do dziesięciu ludzi plus oficer. Na ogół podział ten obowiązywał już do końca szkolenia albo do momentu wystąpienia niesnasek, które w ciągu pierwszych dwóch tygodni dotyczyły nawet czterdziestu procent szkolących się. W miarę upływu czasu można było przenosić się z zespołu do zespołu, a czasem zwiadowcy byli przenoszeni przez dowódców, aby wszyscy mogli się poznać, łącznie z oficerami.

Jednym z pierwszych zadań było pobranie wyposażenia: czarnych spodni do pływania, zestawów pierwszej pomocy potrzebnych w dżungli (były tam morfina, tabletki zawierające sulfamidy, mały bandaż, tabletki do oczyszczania wody oraz różne przydatne w tamtych warunkach maści), broni, kompasów, lornetki, maczety, pasa z kaburami na pistolety, poncho, ładownicy, manierki oraz noża.



*Kandydaci na zwiadowców w trakcie treningu pływania w pełnym oporządzeniu*

Standardowy ubiór składał się z oliwkowego kombinezonu albo dwuczęściowego kamuflażu, miękkiej czapki oraz butów trzy czwarte nabijanych ćwiekami i jeśli ktoś chciał, to z getrami. Na terenie obozu wymagano noszenia oznaczeń stopni wojskowych, ale w czasie wykonywania misji - nie. Oficerskie insygnia stanowiły ulubiony cel dla kul wroga.

Wyposażenie każdego zespołu składało się z dwóch lornetek, dwóch teczek na mapę, dwóch kompasów oraz dwóch manierek na osobę. Każdy zwiadowca miał nóż (maczety nie), Sto sztuk naboji (z czasem uznano, że to zbyt dużo, i zredukowano tę liczbę), cztery flary, dwa radia handie-talkie, ponton plus

nabój z dwutlenkiem węgla. Niektórzy bardziej ufali pompkom, więc nosili je przy sobie.

Zajęcia rozpoczęły się od sprawdzenia sprawności fizycznej i w tym celu zaprowadzono wszystkich na przystań.

- Teraz będziecie mogli sobie popływać, jak chcecie. Od jutra zaczyna się nauka pływania według naszych reguł. Wskakujcie do wody i bawcie się - usłyszeli.

Przyszli zwiadowcy natychmiast powskakiwali do wody, ale wkrótce przekonali się, że tutaj nic się nie odbywa na zasadzie „jak chcecie”. Woda była głęboka, chyba z sześć metrów, co oznaczało, że nieustannie trzeba było machać rękami i nogami, a ci, którzy się zmęczyli i musieli wyjść na brzeg (lub trzeba ich było wyciągnąć), zostali odesłani do jednostek.

Reguły obozowe wymagały przepłynięcia od przystani do pewnego punktu odległego o jakieś trzy czwarte kilometra i z powrotem. Niekiedy zabierano kursantów na przykład półtora kilometra w głąb morza, a tam wrzucano do wody i kazano płynąć.

- Jak dopłyniecie, będzie żarcie - wrzeszczał instruktor.

Czasem musieli płynąć, trzymając swój sprzęt - to na wypadek, gdyby ponton się wywrócił, a oni musieli ratować broń. Innym razem płynęli do czekającej na morzu łodzi i stamtąd zabierali sprzęt. Nie wychodząc z wody, musieli włożyć na siebie to co było do włożenia i płynąć do brzegu. Zdarzało się, że wokół czekającej na morzu łodzi były rozciągnięte linki i należało przepłynąć pod nimi.

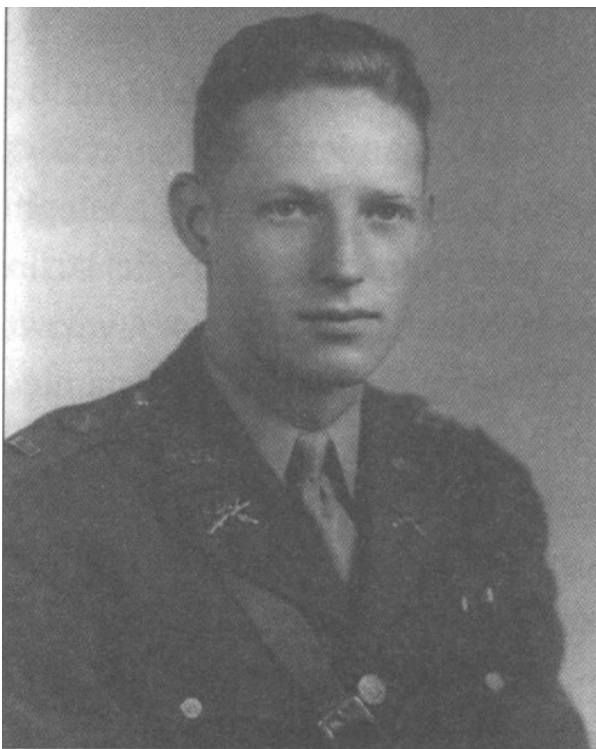
Porucznik „Rudzielec” Sumner wspomina swój pierwszy dzień szkolenia, kiedy jego i jego zespół, w pełnym rynsztunku, wywieziono osiemset metrów w głąb zatoki na pokładzie barki desantowej.

Przy boi oznaczającej tę odległość kazano im skakać do wody i płynąć z powrotem.

„Zebrałem moich ludzi i skoczyliśmy, jedni zanurkowali, inni nie, no i po dwudziestu minutach byliśmy na plaży, może tylko trochę zmęczeni. Od tego momentu przez sześć tygodni nie spoczęliśmy ani na chwilę”, pisał wiele lat potem Sumner.

Szczególnie zapadła wszystkim w pamięć nauka, jak będąc w wodzie, uniknąć postrzelenia. Kiedy pływacy zbliżali się do łodzi lub do molo, stał już tam instruktor z pistoletem maszynowym.

- Nurkować! - wrzeszczał i wtedy wszyscy szybko nurkowali tak głęboko, jak tylko



*Dowódca zespołu porucznik Robert Sumner*

mogli, pierzchając natychmiast na lewo i na prawo, podczas gdy w miejsca, w którym się poprzednio znajdowali, padała seria z broni maszynowej.

Teeples pamiętał ćwiczenie, w czasie którego trzeba było zanurkować z jednej strony molo, następnie opłynąć je od frontu pod wodą i wynurzyć się po jego drugiej stronie, a więc w sumie przepłynąć pod wodą kilkadziesiąt metrów.

Littlefieldowi wbiła się w pamięć intensywność tego szkolenia oraz jak łatwo było wylecieć z ASTC. Na przykład jego towarzysz, z którym dzielił namiot, był „cholernie dobrym żołnierzem”, a odpadł tylko dlatego, że bardzo głośno chrapał, co było niedopuszczalne w czasie akcji na tyłach wroga.

Bob Buschur się martwił. Nie był zbyt dobrym pływakiem, a pływanie stanowiło ważną część szkolenia. Wspominał, że gdy pierwszy raz dopłynął do pontonu, chwycił się rękoma za jego bok, by odpocząć, ale instruktor przydeptał mu palce i kazał pływać dalej.

- Przeszedłeś tu, żeby pływać i uczyć się nurkować, a nie odpoczywać - powiedział.

Jednak największej siły wymagało, a przy tym było najniebezpieczniejszą częścią zajęć w wodzie, nauczanie się obchodzenia z niezgrabnymi pontonami. Poświęcano na to dziesięć godzin tygodniowo; uczono, jak płynąć pontonem wśród niebezpiecznych raf koralowych po nawietrznej stronie zatoczki koło Hollandii. Żeby poznać zasady nawigacji nocą, dwóch ludzi wypływało półtora kilometra w morze, wybierali jakiś punkt na brzegu, ustawiali na niego kompas, a następnie, zakrywając głowy poncho, płynęli do brzegu, kierując się jedynie wskazaniem kompasu. Chodziło o to, aby wylądować jak najbliżej wybranego uprzednio punktu.

Pierwszego dnia szkolenia każdemu zespołowi przydzielono po jednym pontonie z wiosłami. Instruktorzy, porucznicy Beckworth, Frederick A. Sukup, Daily P. Gambill i Henry R. Chalko, uczyli, jak nadmuchać ponton ustami, za pomocą pompki lub naboju z CO<sub>2</sub>, jak odbić od burty kutra torpedowego lub do niej dopłynąć oraz jak manewrować wśród wysokich fal. Uczono też, jak spuścić powietrze z pontonu i ukryć go na brzegu, a potem wydobyć z ukrycia.

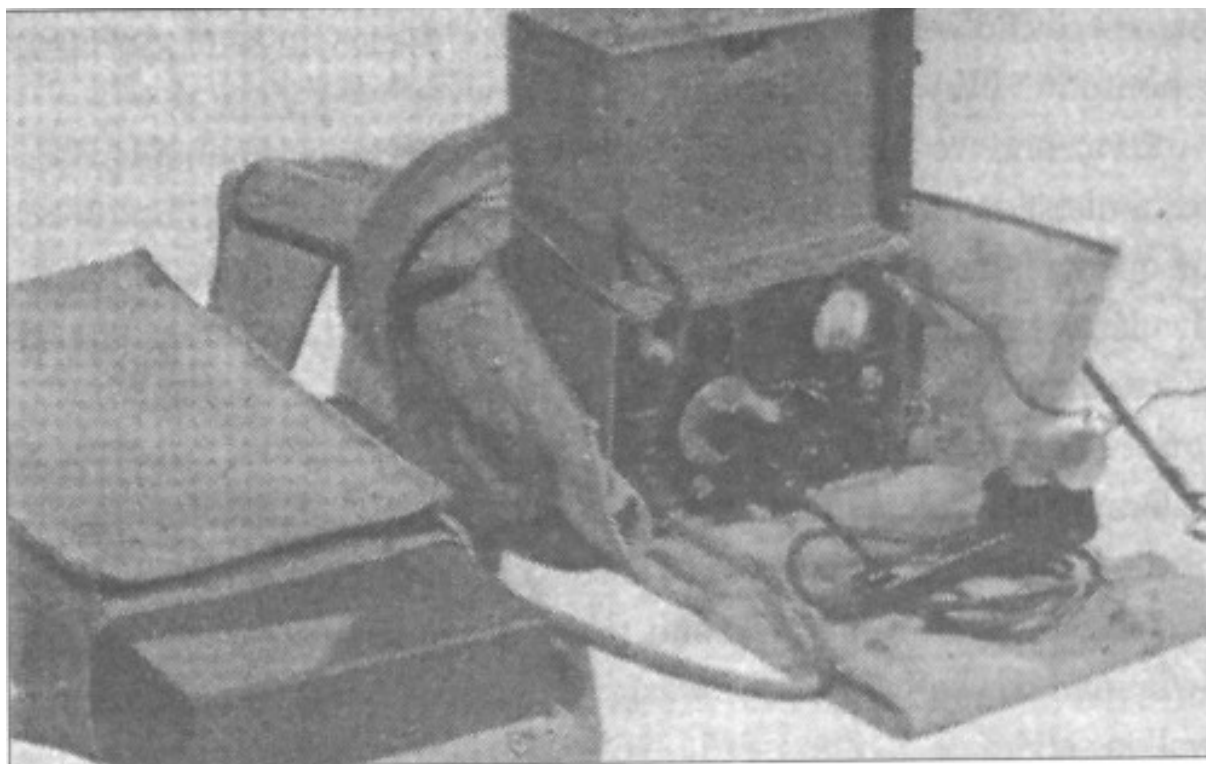
Ćwiczone we dnie i w nocy. Te ćwiczenia były czasem niebezpieczne, a niekiedy nawet śmiertelnie niebezpieczne. U brzegu Tami Beach nieopodal Hollandii ponton wywrócił się i dwóch ludzi utonęło (w całej dwuletniej historii działania Zwiadowców Alamo były to jedyne wypadki śmiertelne).

\*\*\*

Przyszli zwiadowcy musieli zapoznać się z alfabetem Morse'a oraz obsługą radia. Obowiązywało to każdego, w razie gdyby radiooperator został zabity lub ranny. Uczono także

posługiwania się sygnalizacją świetlną i trzeba było umieć wysłać dziesięć słów na minutę, obsługi walkie-talkie<sup>17</sup> (SCR-288), radia SCR-300, które nosiło się na plecach, i SCR-694, którego potem, ze względu na większy zasięg, w miarę rozwoju walk na Filipinach używano częściej, gdy współdziałano z partyzantką filipińską. Ćwiczone również obsługę radiostacji ATR-4 produkcji australijskiej.

Czasem trzeba było porozumiewać się z tubylcami albo z nieprzyjacielem, dlatego też pracownicy administracji Holenderskich Indii Wschodnich uczyli kursantów angielskiego w malezyjskim wydaniu, czyli języka, który wykształcił się na skutek kontaktów handlowych, pełnego miejscowych określeń i zniekształconych słów angielskich. Oczywiście w tak krótkim czasie nie dało się opanować tego języka biegle, ale przynajmniej wiadomo było, jak poprosić o jedzenie, wodę i dowiedzieć się, gdzie znajdują się wojska nieprzyjacielskie. Na Filipinach z kolei posługiwano się językiem tagalog. Należało też znać podstawy japońskiego, przede wszystkim słowa związane z armią, bo można je było usłyszeć, na przykład podsłuchując Japończyków.



*Radiostacja ATR-4*

Na kursie uczono czytania map, posługiwania się kompasem, poruszania się w nieznanym terenie, wyznaczania długości i szerokości geograficznej, podawania koordynat miejsca zrzutu zapasów lub miejsca przybycia kutrów, rozpoznawania rzek, dolin oraz gór.

W celu podniesienia umiejętności wywiadowczych uczono planowania misji, łącznie z

---

<sup>17</sup> Walkie-talkie to potoczna nazwa radiostacji SCR-300, a nie SCR-288 (przyp. JB).

tym, jak długo potrwa, ile osób powinno brać w niej udział, ile wziąć żywności i amunicji oraz jaką broń. Uczono też japońskich planów bitwy oraz obchodzenia się z jeńcami, szkicowania zarysu linii brzegowych oraz ukształtowania innych terenów, aby wiadomo było, czy nadają się do przeprowadzenia inwazji, jak również rozpoznawania rodzaju piasku na plaży, fal, raf, szaty roślinnej, źródeł wody pitnej, gleby, dróg i ścieżek.

Były też zajęcia dotyczące oszacowywania morale wroga, kondycji fizycznej, zdolności bojowych, instalacji trwałych i przenośnych, rozmieszczenia boi, sieci dróg, mostów, składów amunicji, lotnisk i pasów startowych, sieci łączności itp.

- Kiedy, gdzie, co, jak, kto odpowiada za wszystko - tego musicie się dowiedzieć w czasie wypełniania misji zwiadowczej - mówił im Bradshaw. - Nigdy o tym nie zapominajcie i nigdy nie wprowadzajcie zmian do rozkazu.

Uczono także sztuki kamuflażu, a więc jak stosować potrzebny do tego smar oraz błoto, trawę i jak mieszać te składniki.

Przetrwanie w ciężkich warunkach dżungli wymagało poznania podstaw rekonesansu i patrolowania, łącznie z ucieczką i zacieraniem śladów, czego uczył ich australijski porucznik Raymond „Łoś” Watson, odkomenderowany tu przez policję Nowej Gwinei Australijskiej. Nieco wcześniej, będąc głęboko na tyłach wroga, Watson wraz z jeszcze jednym żołnierzem, nieco mylnie nazywani „policjantami” przeszli przez północną Nową Gwineę, łącznie z terenami, na których nie stanęła jeszcze ludzka stopa, aby prześledzić trasy nieprzyjacielskich przerzutów. Natknęli się na Japończyków i co prawda zdołali uciec, ale stracili broń i żywność. Teraz „policjanci” uczyli przyszłych zwiadowców, jak przeżyć w dżungli.

Uczyli ich sztuki przetrwania oraz poruszania się w dżungli, odnajdywania ścieżek, tego, które z robaków i chrząszczy są jadalne i w jaki sposób pozyskiwać wodę z łodyg niektórych roślin.

Doktor Canfield omawiał z nimi zasady przestrzegania higieny, kładąc szczególny nacisk na to, jak ustrzec się zachorowania na malarię i inne choroby. Uczył, że co tydzień, od poniedziałku do czwartku, powinni przyjąć pięć tabletek chinakryny, wieczorem, jedząc kolację. Dał im moskitiery, które należało rozpościerać co wieczór nad łózkami, a rano zdejmować. Pływać wolno było tylko między siódmą rano a osiemną, w godzinach mniejszej aktywności komarów.

- Rękawy koszuli muszą być opuszczone, a nogawki spodni wetknięte w skarpetki lub w getry - mówił. - O ile to możliwe, podczas prania ubranie powinno się wygotować i codziennie wkładać czyste rzeczy.





*Instruktor strzelania, Preston Roland, strzela z pistoletu maszynowego Thompson podczas szkolenia, a dowódcy Zwiadowcami Alamo Frederick Bradshaw (w środku, podparty pod boki) i generał Innis Swift (po prawej, w hełmie) przyglądają się. Wyspa Fergussona, styczeń 1944*

Co prawda główne zadanie Zwiadowców Alamo raczej polegało na obserwacji niż na walce, to jednak musieli być na nią przygotowani, dlatego też Krueger żądał, aby mieli najlepszą broń. Jakiej tylko któryś ze zwiadowców zażądał, zaraz dostawał. Najczęściej proszono o karabinki, ale niektórzy zwiadowcy woleli pistolety maszynowe Thompson, a kilku nawet karabiny M1 Garand.

Proszono też o karabinek M1A1 ze składaną kolbą. Co prawda został on zaprojektowany specjalnie dla spadochroniarzy i tylko oni go otrzymywali, jednak jeśli któryś ze Zwiadowców Alamo chciał go mieć, wszystko mogący Stuntz umiał to załatwić.

Każdy miał też pistolet Colt kaliber 11,43 mm.

Szkolenie obejmowało posługiwanie się karabinkami Garand, karabinami, Thompsonami, M3 „Grease Gun” i ręcznymi karabinami maszynowymi BAR, czyszczenie broni oraz obchodzenie się z granatami, pistoletami, nożami, pałkami i garotą. Uczono też technik snajperskich, strzelania z tłumikiem i bez tłumika. Jeśli chodzi o granaty, to uczono posługiwania się granatem odłamkowym Mark II, granatem fosforowym M15 oraz granatem zapalającym AN-M14, wywołującym płomień o temperaturze, w której topiła się stal.



*Trening strzelecki z pistoletu maszynowego M3*

Pewnego razu Teeples powiedział:

- Musicie wleźć do stanowiska ogniowego pojedynczego strzelca, umieścić w nim granat, wyrwać zawleczkę i uciec, zanim wybuchnie.

Wspominał też naukę strzelania pociskami 60 milimetrów z moździerza, w którym raz nie było podstawy, to znów mechanizmu podniesieniowego, Teeples ustawiał moździerz, mocując go w rozwidleniu drzewa, opierał łokcie o uda i przy pomocy drugiego zwiadowcy wycelowywał i strzelał do beczki zakotwiczonej na morzu.

Zwiadowców uczono zastawiać sidła i zakładać miny-pułapki, wykorzystywać materiały wybuchowe i ustawiać ładunki burzące, a nawet posługiwać się bronią używaną przez wroga. Trenowali, jak poruszać się przez dżunglę skokami w odstępach kilku lub kilkunastu metrów, niszczyć sieć radiową i unikać min-pułapek, a czasem z zawiązanymi oczyma musieli przedzierać się przez dżunglę i nie dać się schwycić.

Na tym etapie szkolenia wyżsi rangą odgrywali rolę wrogów, strzelali do zwiadowców z ukrycia prawdziwą amunicją i to z tak bliskiej odległości, że kilku zwiadowców zostało lekko rannych.

W czwartym tygodniu kursanci musieli pływać na dystansie do ośmiu kilometrów i

przejsz pi semny egzamin z tego, czego si nauczyl. Wtedy jednak bya ju ich tylko poowa w porównaniu z liczbą tych, którzy zaczynali szkolenie.

Zwiadowcy służyli te jako materiał, na którym wypróbowywano eksperymentalną broń i pomysły. Sumner wspominał, jak testowano tłumik przeznaczony do karabinka M1 w karabinach M1903 Springfield i w pistoletach maszynowych M3.

„Karabin kaliber 7,62 mm przeszedł porządne próby i uznaliśmy, że jest zbyt ciężki, a tłumiki w zasadzie do niczego - pisał Sumner. - Byliśmy zbyt dobrymi strzelcami, żeby zbyt często pudłować i nie móc polegać na broni, a z tłumika nie mieć żadnego pożytku. Uznaliśmy, że owszem, na bliską odległość, gdzieś na trzy metry, jest skuteczny, ale jeśli już podeszlibyśmy aż tak blisko, to po co strzelać. W takim wypadku lepiej użyć noża albo maczety”.

Armia próbowała wprowadzać do arsenału używanego przez zwiadowców średniowieczne rodzaje broni, dlatego testowali kusze wyprodukowane przez Bell Telephone Laboratories. Kusze były dwóch rodzajów: klasyczna kusza dwuręczna oraz kusza jednoręczna typu pistoletowego. Wykonane były z aluminium i ze stali i wystrzeliwały bełty różnych rozmiarów i o różnych ostrzach - niekiedy nawet o zatrutych końcach.

Pierwszy z tych modeli był nieprzydatny, wspomina Sumner. Właściwie można było oddać tylko jeden strzał, gdyż głośny szcęk, jaki wydawał mechanizm napinania kuszy, „obudziłby umarłego”. Lepsza już była kusza typu pistoletowego; jej maksymalny zasięg wynosił piętnaście metrów, efektywny zasięg rażenia sześć-dziewięć metrów, a mechanizm naciągania cięciwy działał niemal bezszelestnie. Zespół Billa Littlefielda posłużył się taką kuszą w sierpniu 1944 roku na Nowej Gwinei nieopodal Vanimo - zabito z niej strażnika, a bełt przebił ciało na wylot.

\*\*\*

Jednak nie każdą godzinę spędzano na szkoleniu. W wolnym czasie zwiadowcy łowili ryby, pływali łódkami i polowali na dzikie świnie, grali w siatkówkę albo w koszykówkę.

Zapewniono im najlepsze wyżywienie w całej armii. Porucznik Stuntz handlował nadwyżkami towarów - wyrobami tubylców oraz pamiątkami wojennymi (przede wszystkim niezwykle poszukiwanymi hełmami, mieczami, karabinami i flagami) z marynarzami lub z lotnikami, a w zamian otrzymywał świeże mięso, jajka, masło i jarzyny. Te z kolei wymieniał na cygara, tytoń do żucia, ananasy, banany i pomarańcze.

Pierwsze co rzuciło się Billowi Littlefieldowi w oczy w mesie, to brak segregacji. Oficerowie i zwykli żołnierze stali w jednej kolejce po jedzenie i tego, który był pierwszy (bez względu na stopień), obsługiwano. Jednak już przy stołach był podział - oficerowie

siedzieli osobno, ponieważ często omawiali w czasie posiłku rozkład następnego dnia.

Nie tylko ludzie Bradshawa byli zadowoleni z powstania obozu ASTC, lecz także ludność miejscowa. Bradshaw, rozumiejąc, jak ważne jest utrzymywanie dobrych z nią kontaktów, zatrudnił tubylców w charakterze strażników, pracowników wykonujących różne prace w zamian za proste wyżywienie, ubranie i opiekę medyczną. W ramach tej ostatniej doktorowi Canfieldowi przypadł kiedyś odbiór porodu bliźniąt i choć jeden z noworodków zmarł, to doktor i tak otrzymał w podziękowaniu piękną perłę.

Boże Narodzenie 1943 roku uczestnicy szkolenia spędzali razem z tubylcami. W Wigilię żona australijskiego misjonarza na Wyspie Fergussona przyprowadziła miejscowych do obozu i wszyscy śpiewali po angielsku kolędy, aby sprawić przyjemność żołnierzom, będącym tak daleko od swoich rodzinnych domów i od tych, których kochają. W zamian śpiewający otrzymali prezenty w postaci tytoniu, perkalu, cukierków, papierosów, noży, mydła i zapalek.

Kobiety z obnażonymi piersiami i roześmiane dzieci obdarowały zwiadowców kubelkami pełnymi kwiatów oraz owoców, a nawet żywymi kurczakami, a na koniec czterech tubylców sprezentowało Bradshawowi pieczoną kozę.

\*\*\*

W ostatnich dwóch tygodniach szkolenia ćwiczano w praktyce wszystko, czego się nauczono, i tymi umiejętnościami trzeba się było wykazać w dżungli. Jeden zespół się chował, a drugi musiał go szukać, to znów tubylcy odgrywali rolę Japończyków. Po latach Littlefield wspominał, jak to w czasie nocnych ćwiczeń leżał i czekał „na nieprzyjaciela”, którym tym razem mieli być policjanci Watsona, aż tu nagle jeden z nich podchodzi z tyłu i klepie go po ramieniu.

Bradshaw często przekupywał tubylców puszkami z żywnością za znalezienie zespołu zwiadowców. Ci ostatni dowiedziawszy się o tym, zaczęli zakopywać puszki z mięsem. Kiedy tylko tubylcy znajdowali puszki, to dawali sobie spokój z poszukiwaniem kursantów.

Innym znów razem zespoły zwiadowców wysyłano na tyły japońskich, marnie bronionych linii w celu obserwowania ruchu wojsk i dostaw; dzięki temu kursanci wiedzieli, co ich czeka.

Gale „Kit” Kittleson, który później brał udział w przeprowadzaniu zwiadu w Cabanatuanie, spędził kiedyś noc w szałasie tuż obok szkieletu Japończyka, który zapewne schronił się tam, by umrzeć z głodu. To była dżdżysta noc, a dach przeciekał. Andy Smith, zawsze skory do żartów, posadził kościotrupa, wetknął mu między zęby papieros, a na głowę nałożył czapkę.



*Zwiadowcy podczas czterdziestokilometrowego marszu przez dżunglę (ćwiczenia). Wyspa Fergussona, luty 1944*

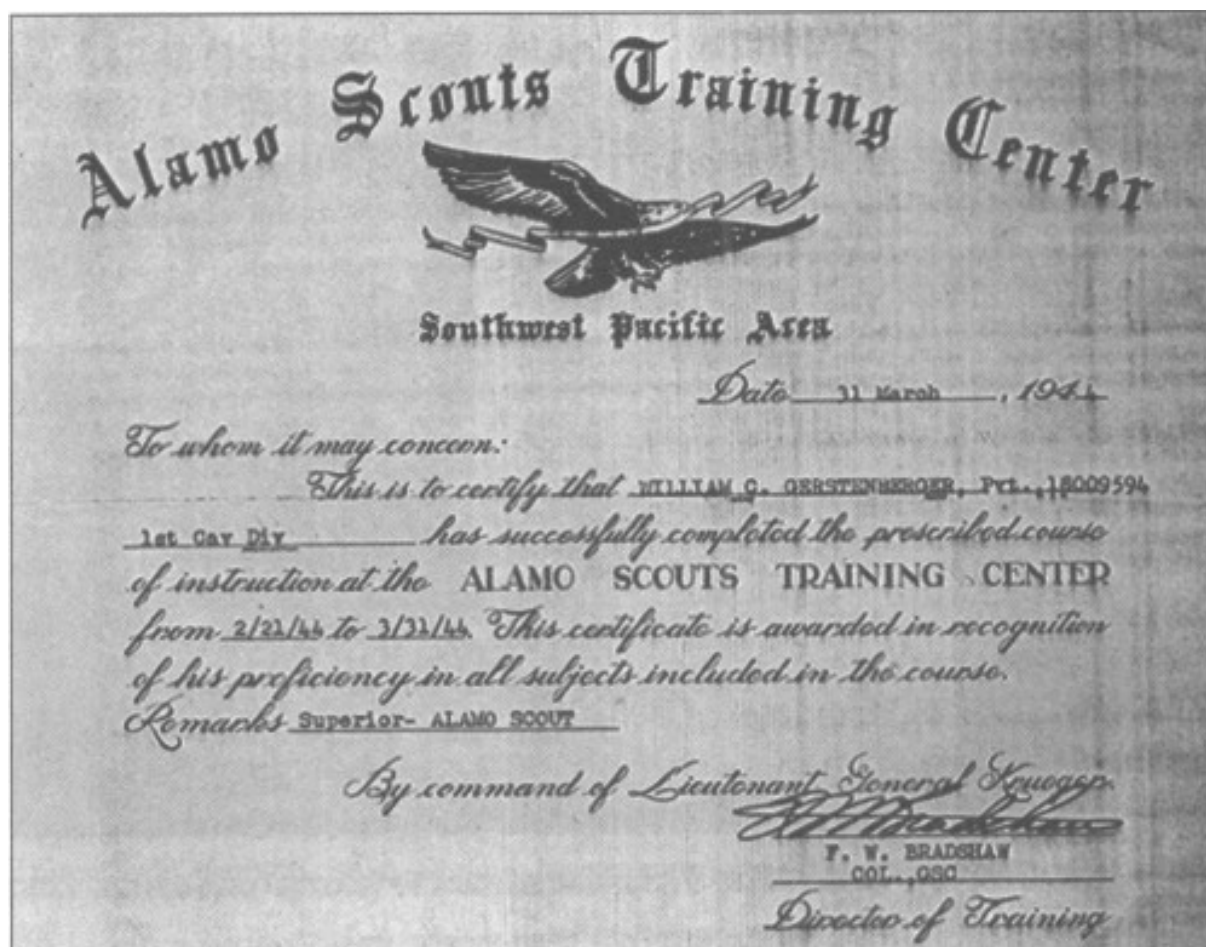
Następnego dnia Kittleson wraz z towarzyszami przechodzili przez opuszczoną wioskę - była cała porośnięta zielenią, powoli teren ten na powrót opanowywała dżungla. Na ziemi leżały rozkładające się ciała Japończyków - zabitych albo przez Amerykanów, albo też, co bardziej prawdopodobne, przez miejscowych, ponieważ brakowało kilku czaszek.

Szkolenie dobiegało końca, ale proces selekcji trwał, choć może już nie tak intensywnie.

W trakcie pewnych ćwiczeń „w terenie” infiltrator wspiął się na skałę, wszedł do obozu, ukradł nóż i uciekł niepostrzeżenie. Kiedy odkryto kradzież, mężczyźni zaczęli się nawzajem posądzać i oskarżać oraz zastanawiać, czy poinformować o tym przełożonych. Nie zrobili tego, i cały zespół został rozwiązany. Uczciwość to podstawa dokładnego zbierania informacji wywiadowczych i Bradshaw nie miał zamiaru tolerować łamania tej zasady.

Ostatni sprawdzian wytrzymałościowy polegał na czterdziestodwukilometrowym marszu z pełnym obciążeniem przez dżunglę.

Zeke McConnell i zespół Littlefielda wspominali przejście przez bagna mangrowcowe, pełne pijawek. Po pokonaniu tych bagien wszyscy musieli rozebrać się do naga i usuwać jeden drugiemu małych krwio pijców.



*Dyplom ukończenia szkolenia w Alamo Scouts Training Center*

\*\*\*

Nawet jednak pomyślnie ukończenie szkolenia i otrzymanie dyplomu nie stanowiło gwarancji, że absolwent zostanie przydzielony do któregoś z zespołów Zwiadowców Alamo.

Ostateczna selekcja wynikała z aktualnych potrzeb i odbywała się w tajnym głosowaniu, podczas którego zarówno oficerowie, jak i zwiadowcy mieli wskazać, z kim chcieliby pracować i pod czyimi rozkazami. Oficerowie powinni wybrać tych, których najchętniej widzieliby w swoich zespołach. Ci, których nie wybrano, mieli szkolić następnych kandydatów, ale potem wracali do jednostek macierzystych, gdzie ich umiejętności także były bardzo przydatne. Tak więc na jednych dyplomach widniał napis „Przyjęty do Zwiadowców Alamo”, a na innych nie.

Bob Buschur otrzymał właśnie taki dyplom bez dopisku - nie było go na rozdaniu dyplomów, gdyż podczas ostatnich zajęć w terenie wyszedł z dżungli z malarią. Zgłosił się do lekarza, a ten wysłał go do szpitala polowego. Tam z kolei lekarze odmówili leczenia, ponieważ nie miał skierowania od swojego dowódcy. Wobec tego wrócił do Bradshawa, który zobaczył, że chłopak jest bardzo chory. Osobiście zawiózł go do szpitala i oznajmił

komendantowi: - Oczekuję, że gdy jeden z moich Zwiadowców Alamo jest chory, to będzie leczony.

Po rozdaniu dyplomów Bradshaw odwiedził Buschura w szpitalu, pogratulował mu ukończenia szkolenia, ale poinformował, że wróci do swojej jednostki, gdzie także przydadzą się jego umiejętności.

- To mi odpowiadało - wspominał Buschur w 2007 roku - bo brakowało mi kolegów.

Jeśli chodzi o pozostałych, to wybór pomiędzy pozostaniem ze zwiadowcami a powrotem do jednostki macierzystej należał do nich bądź do ich dowódcy. Robert Sumner pisał później: „Ci, którzy ukończyli szkolenie, mieli wybór: zostać w zespole lub wrócić do jednostek i kolegów. Niezwykle często żołnierze byli bardzo związani ze swoimi jednostkami i tam chcieli pokazać, czego się nauczyli. Tak więc kilku wróciło, ale o innych jednostki upomniały się same. Tak naprawdę wiele jednostek nie zamierzało tracić najlepszych ludzi. Potrzeby armii przede wszystkim i to one dyktowały, ile zespołów zostało”.

Kilku zwiadowców postanowiło wrócić do swoich jednostek. Na przykład Terry Santos usłyszał, że jego 11. Dywizja Powietrznodesantowa została postawiona w stan pogotowia, i sam poprosił o powrót. Tam dowodził plutonem w czasie działań rozpoznawczych i brał udział w słynnej akcji odbicia jeńców z więzienia Los Baños na Filipinach.

Bob Teeple został przydzielony do jednego z zespołów Zwiadowców Alamo. Pamięta, że był „niezmiernie dumny” ze swojego dyplomu, na którym było napisane, że „uzyskał doskonałe wyniki ze wszystkich przedmiotów”.

Jednak bez względu na to, czy ktoś pozostał, czy też odszedł do swojej dawnej jednostki, trudy treningu sprawiły, że pomiędzy wszystkimi zwiadowcami powstały więź, wzajemny szacunek i poczucie solidarności.

Wilbur Littlefield, który ukończył trzeci z kolei kurs, leżał w szpitalu z gorączką denga, gdy usłyszał, że zostaje i będzie dowodził własnym zespołem.

- Wszyscy byliśmy bardzo ze sobą związani - wspominał. - Ta więź była bardzo silna.

Pierwszy kurs dobiegł końca 5 lutego 1944 roku. Utworzone zostały cztery zespoły, na których czele stanęli porucznicy: John R.C. McGowen, William F. Barnes, Michael J. Sombar i George S. Thompson.

Skończyło się szkolenie, nadszedł czas na pracę.

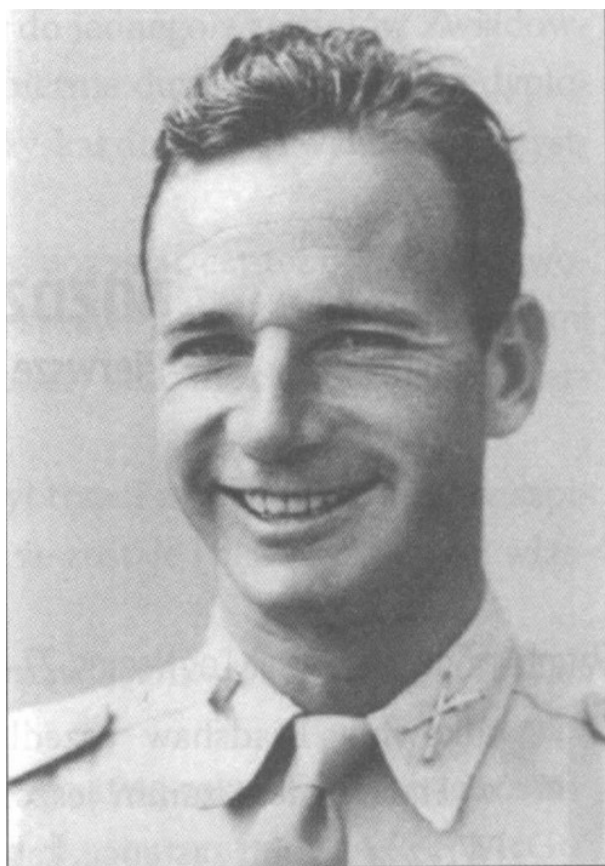
# ROZDZIAŁ 4

## Pierwsze zadanie

Patrol McGowena: wyspa Los Negros, 27-28 lutego 1944

Pułkownik Bradshaw zszedł z pokładu kutra torpedowego w Finschhafen, zanim jeszcze zacumował on przy przystani. Wraz ze swoim zastępcą, kapitanem Homerem A. Williamsem, skierowali się w stronę dżipa, który miał ich zawieźć do kwatery głównej generała Kruegera.

To był dzień, na który Bradshaw czekał. Został wezwany ze swojej kwatery na Wyspie Fergussona, ponieważ na jego nowo powołanych Zwiadowców Alamo czekało zadanie do wykonania.



*Dowódca zespołu porucznik John McGowen*

Zaledwie trzy tygodnie temu, 5 lutego, Ośrodek Szkoleniowy Zwiadowców Alamo ukończyło dwudziestu czterech (czyli cztery zespoły) doskonale wyszkolonych żołnierzy i wszyscy wprost nie mogli się doczekać, aby dowieść swoich umiejętności. Dwie z tych grup miały teraz stawić się wraz z Bradshawem na odprawie w Finschhafen, a Bradshaw miał zdecydować, której z nich powierzyć przeprowadzenie rozpoznania.

Jednym z zespołów dowodził porucznik John R.C. McGowen, dwudziestopięcioletni Teksaszczyk z Amarillo. Tak jak wielu spośród tych, którzy pierwsi ukończyli szkolenie, przyszedł do zwiadowców ze 158. pułku piechoty.

McGowen miał tytuł magistra Texas Agricultural and Mechanical University, gdzie zapisał się również na program szkoleniowy dla oficerów rezerwy, przed wojną pracował w United Fruit Company, która wysłała go do Panamy, a po ataku na Pearl Harbor natychmiast zaciągnął się do wojska (jednak komenda



uzupełnień w miejscu jego zamieszkania chyba nie miała aktualnych danych, bo powołanie do wojska przysyłano do domu McGowena kilka razy, nawet wtedy, gdy był już na wyspach południowo-zachodniego Pacyfiku).

John McGowen był człowiekiem wytrwałym, lubiącym maksymalne wyzwania. Był gotów dać z siebie wszystko, a nawet i więcej, i zgłosił się do Zwiadowców Alamo, chociaż nie umiał pływać. Szkolenie okazało się więc dla niego gigantycznym wyzwaniem, ale, jak później wspominała jego żona Christine, dzięki rzadko spotykanym „wytrwałości i determinacji” nauczył się pływać.

McGowena cechowało odważne, niedopuszczające przegranej podejście do życia, które Bradshawowi się podobało. W czasie szkolenia, dla wyćwiczenia refleksu, zwiadowcy mieli atakować siebie nawzajem oraz oficerów w dowolnej chwili i przez całą dobę. John wybrał sobie za cel ataku porucznika Carla Moyera, szorstkiego, twardego instruktora samoobrony; dał mu nura pod nogi i powalił Moyera na ziemię. Ta akcja wzbudziła powszechny podziw, samego Moyera nie wyłączając.

Na czele drugiego zespołu, który towarzyszył Bradshawowi w Finschhafen, stał porucznik William Barnes, dwudziestosześcioletni absolwent University of Tennessee. W latach 1938-1939 był członkiem zajmującej drugie miejsce w kraju szkolnej drużyny futbolowej. Barnes trafił do zwiadowców z 32. Dywizji, gdzie otrzymał specjalne zadanie wyszkolenia plutonu zwiadowców oraz rozpoznania dla 127. pułku.

Powierzone Bradshawowi zadanie było właściwie drugim, jakie otrzymali Zwiadowcy Alamo. Pierwszym było czterodniowe rozpoznanie terenu w okolicy Marakum, dwadzieścia cztery kilometry na wschód od Bogadjim na północnym wybrzeżu Nowej Gwinei, miał go dokonać McGowen, ale odwołano akcję.

Jednak tym razem miało być inaczej. Zwiadowcy powinni przeprowadzić rekonesans na wyspie Los Negros, co stanowiłoby wstęp do planowanego przez MacArthura odebrania nieprzyjacielowi Archipelagu Bismarcka oraz ostatecznego odcięcia wielkiej japońskiej bazy morskiej w Rabaulu na Nowej Brytanii, sześćset trzydzieści kilometrów na południowy wschód.

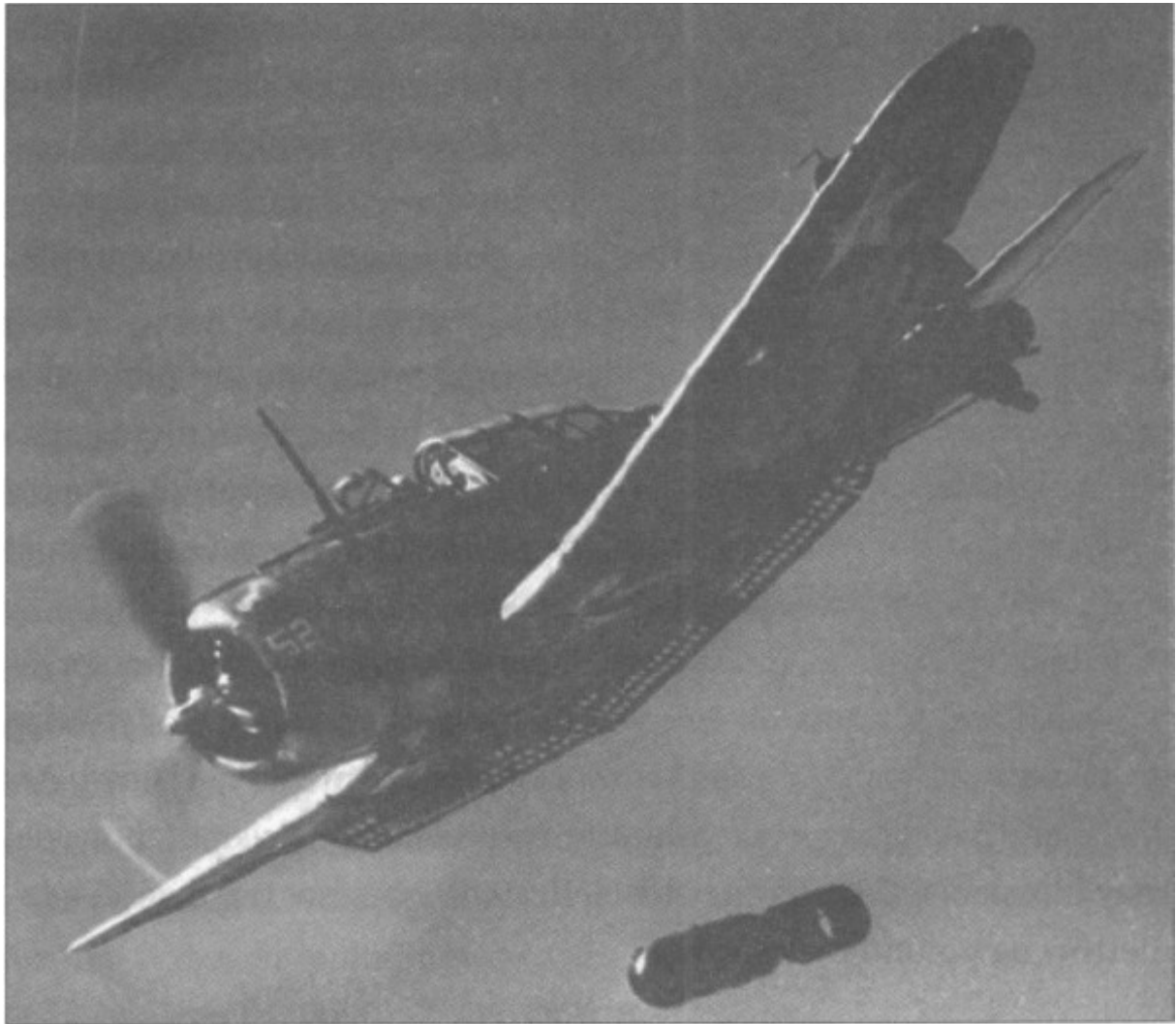
\*\*\*

Część planu MacArthura dotycząca zajęcia i zneutralizowania zarówno Archipelagu Bismarcka, jak i północnego wybrzeża Holenderskiej Nowej Gwinei aż po rzekę Sepik, zakładała zajęcie przez 6. Armię Kruegera Wysp Admiralicji, leżących na północny wschód od brzegów Nowej Gwinei.

Wcześniej w 1944 roku żołnierze MacArthura odebrali wojskom 18. Cesarskiej Armii

Japońskiej pod wodzą generała Hatazo Adachiego kluczowy obszar wzdłuż północnego wybrzeża Nowej Gwineji i Nowej Brytanii, odcinając Japończykom dostęp do Morza Bismarcka.

Nieco bardziej na wschód siły morskie admirała Williama F. Halseya zdążając w górę od strony Wysp Salomona, przepływały w odległości dwustu kilometrów od Rabaulu. Tam startujące z potężnych lotniskowców myśliwce Grumman F6F Hellcat i bombowce nurkujące Douglas SBD Dauntless podziurawiły japońskie okręty, nękając je serią nieustannych nalotów<sup>18</sup>.



*Bombowiec nurkujący Douglas SBD Dauntless*

Plany operacji „Brewer”, czyli zajęcia przez siły MacArthura Wysp Admiralicji zostały przygotowane do 23 listopada 1943 roku. Datę lądowania wstępnie wyznaczono na 1 kwietnia 1944 roku.

---

<sup>18</sup> Naloty na bazę w Rabaul miały miejsce w listopadzie 1943 roku (przyp. JB).



*Myśliwiec pokładowy Grumman F6F Hellcat*

Odkryte w 1615 roku przez kapitana Williama Schoutena Wyspy Admiralicji należały początkowo do Holandii, ale w 1848 roku, gdy Niemcy, Holandia i Australia podzieliły między sobą Nową Gwineę, przypadły Niemcom. W 1918 roku, po zakończeniu pierwszej wojny światowej i odbiorze Niemcom na mocy traktatu wersalskiego ich terytoriów zamorskich, Wyspy Admiralicji trafiły pod kontrolę Australii i znajdowały się pod nią aż do początku 1942 roku, kiedy zajęli je Japończycy.

W skład Wysp Admiralicji wchodzi sto sześćdziesiąt wysepek, z których najważniejsze są dwie: na zachodzie Manus, a na wschodzie Los Negros. Rozdziela je wąska, płytka cieśnina, po której mogą pływać tylko niewielkie łódki.

Północne wybrzeża tych dwóch wysp stanowi cała seria mniejszych wysepek układających się w literę „U” o postrzępionych brzegach. W środku znajduje się Seadler Harbor, naturalny port ciągnący się na długość trzydziestu kilometrów, o szerokości dziesięciu kilometrów, jego głębokość dochodzi niekiedy do czterdziestu metrów. Można się do niego dostać tylko przez kanał biegnący między wyspami Ndrilo i Huawei. To jeden z najpiękniejszych portów na Oceanie Spokojnym.

Największą wyspę, Manus, której długość wynosi osiemdziesiąt kilometrów, a szerokość dwadzieścia pięć, przecina postrzępione pasmo górskie, którego maksymalna wysokość to około siedmiuset metrów. Glebę na Manus i Los Negros stanowi czerwona glina, widoczna też w wodach licznych potoków, przecinających równiny wybrzeża pełne porośniętych mangrowcami bagien, podczas gdy wnętrze wyspy pokrywa gęsta dżungla. Cały ten obszar leży w gorącym i wilgotnym klimacie, a częste ulewy zamieniają glinę w lepką

maż, zwaną przez tubylców *gumbo*. W 1944 roku wyspy te zamieszkiwało około trzynastu tysięcy tubylców, przeważnie Melanezyjczyków i Mikronezyjczyków.

\*\*\*

Pierwsze zadanie, jakie wybrano dla Zwiadowców Alamo, polegało na przeprowadzeniu tygodniowego rekonesansu w zachodniej części Manus, przy czym mieli oni popłynąć na pokładzie okrętu podwodnego, a potem dostać się na brzeg łodzią. Ten plan bardzo prędko zastąpiono innym: czterodniowym rozpoznaniem na terenie Marakum, dokąd mieli przybyć na pokładzie kutra torpedowego. Aprobując tę zmianę oraz nową datę, 21 lutego, szef sztabu Kruegera napisał: „To będzie dobry sprawdzian dla zwiadowców, dowodzący ich wartości”.

Trzy dni później, w ostatniej chwili, plany znowu się zmieniły. MacArthur wyznaczył datę rozpoczęcia operacji „Brewer” pięć tygodni wcześniej, na 29 lutego.

Powodem tej zmiany były informacje uzyskane od pilotów odbywających rekonesansowe loty nad Los Negros, mówiące, że nie ma tam śladu nieprzyjaciela. I zaraz rozgorzała dyskusja, ilu Japończyków może zamieszkiwać wyspę. Ludzie MacArthura uważali, że cztery tysiące pięćdziesięciu. Żołnierze z 1. Dywizji Kawalerii, których niemal tysiąc miało stanowić pierwszą siłę uderzeniową w czasie planowanej inwazji i dokonać desantu w rejonie Hyane Harbor, szacowali, że cztery tysiące dziewięciuset, wywiad sił powietrznych zaś twierdził, że nie więcej niż trzystu. A teraz zrodziły się przypuszczenia, że nieprzyjaciel całkiem opuścił wyspę.

Krueger, zawsze niebywale ostrożny, nie wierzył, że na Los Negros nie ma już Japończyków. Nie przekonał go też fakt, że amerykańskie bombowce typu Mitchell, usiłując odciągnąć uwagę nieprzyjaciela od samolotów zwiadowczych mających sfotografować teren, nie zostały ostrzelane, choć leciały bardzo nisko, tuż nad wierzchołkami drzew.

- Nie trzeba być geniuszem, by oszukać zwiad powietrzny. Zanim wyślę tam 1. Dywizję Kawalerii, chcę wiedzieć, co tam jest. Niech zwiadowcy dotrą na brzeg i zbadają sprawę. Wezwijcie tu Bradshawa - powiedział Krueger szefowi wywiadu, Hortonowi V. Whiteowi.

\*\*\*

Bradshaw, mając już rozkaz w ręku, bił się z myślami, który zespół wysłać. Przygotowując się do odprawy w Finschhafen, spytał o opinię Williamsa.

- Więc kto ma pojechać? Barnes czy McGowen? Obydwaj są dobrzy.

- Rzuć monetę - zaproponował Williams. - Reszka to McGowen, a orzeł to Barnes.

Przeegrany będzie służył jako punkt kontaktowy.

Bradshaw uznał, że to dobra rada. Wyjął z kieszeni monetę i rzucił. Wypadła reszka.

Po półgodzinie McGowen i Barnes zjawili się u Bradshawa i po chwili pochyłali się wraz z nim nad rozłożoną na stole mapą Wysp Admiralicji.

- Rzuciłem monetę, aby zdecydować, któremu z was przydzielić to zadanie - oświadczył Bradshaw. - John, wypadło na ciebie, więc jedziesz. Bill, ty jesteś punktem kontaktowym.

Odwrócił się do pułkownika White'a, który prowadził odprawę.

- To dwudniowe zadanie na Los Negros - zaczął White, stukając palcem w mapę. - Lotnicy mówią MacArthurowi, że Japońców już tam nie ma, ale generał Krueger się z tym nie zgadza. Lecicie jutro w nocy łodzią latającą i wyskakujecie najbliżej brzegu, jak się da. Dalej płyniecie pontonem i dobijacie do plaży tutaj, w Chapatut Point.



*Średnie bombowce North American B-25 Mitchell podczas bombardowania japońskiego lotniska z niskiego pułapu*

- Na wyspie są dwa lotniska, liczący tysiąc metrów pas startowy dokładnie na północny zachód od wioski Lorengau oraz drugie na Momote Point. Kiedy będziecie lądować, B-25 zaatakują te lotniska, aby odwrócić uwagę Japończyków. Potem na lądzie zróbcie rozpoznanie terenu na północny wschód, zwracając uwagę na siły oraz obronę przeciwnika - jeśli istnieją. Te informacje potrzebne są 1. Dywizji Kawalerii, która wybiera się tam 29 lutego, nieopodal Hyane Harbor. Następnego ranka wracacie na miejsce, z którego

zostaniecie zabrani. W tym czasie bombowce znowu będą bombardować pasy startowe. Jeżeli z jakichś powodów Catalina nie będzie mogła po was przylecieć, to znaczy, że zjawi się następnego dnia, dokładnie dwadzieścia cztery godziny później, albo znowu za następne dwadzieścia cztery, itd.

- Zabierzecie walkie-talkie, więc, John, będziesz się mógł porozumiewać z Barnesem i ustalić zabranie was. Jak zawsze, o ile to możliwe, unikajcie kontaktu z nieprzyjacielem. Jeśli nie ma pytań, to odpocznijcie nieco. Wyruszacie o wpół do czwartej.

Po odprawie Krueger zawołał wszystkich członków obu zespołów do swojego namiotu i uściśnął każdemu dłoń, życząc powodzenia.

- To wasze pierwsze zadanie - zwrócił się do McGowena. - Pierwszy sprawdzian. Wiesz, jaki jest ważny.

- Niech się pan nie martwi, panie generale. Wrócimy - odpowiedział mu McGowen.

\*\*\*

W nocy poprzedzającej pierwsze zadanie adrenalina nie pozwoliła im zasnąć. O trzeciej trzydziści nad ranem ubrani w kamuflaż i z pomalowanymi na czarno twarzami zebrali swój sprzęt i zaczęli wszystko wielokrotnie sprawdzać.

McGowen nadzorował przygotowania. Starannie wybrał tych ludzi, jeszcze zanim ukończyli ASTC, pod kątem umiejętności przydatnych w czasie wykonywania przyszłych zadań.

Numerem dwa w tym patrolu był sierżant sztabowy Caesar J. Ramirez, weteran i człowiek o silnych cechach przywódczych, który zdaniem McGowena mógłby go zastąpić, gdyby coś mu się stało w trakcie realizacji zadania. Oprócz Ramireza w skład patrolu wchodził sierżant Walter A. McDonald, sierżant John A. Roberts, najstarszy z całej grupy, dwudziestodwuletni starszy szeregowy John P. Lagoud oraz szeregowy Paul V. Gomez - wszyscy sprawdzeni w warunkach bojowych.

Każdy z nich oprócz broni zabrał dwa ręczne granaty i racje żywnościowe na dwa dni. Jeden ze zwiadowców miał też walkie-talkie o zasięgu około czterdziestu kilometrów.

Zwiadowcy wdrapali się na pokład czekającej na brzegu Cataliny. Usiedli na podłodze łodzi latającej, oparli się plecami o kadłub, i próbowali się zrelaksować. Maszyna ruszyła po wodach zatoki Langemak. Jej dwa tysiącdwustukonne silniki Pratt & Whitney ryczały, gdy samolot, mknąc po powierzchni wody, usiłował rozpędzić się na tyle, żeby poderwać swój ważący dziesięć ton kadłub w górę.

Zwiadowcy siedzieli w ciemnościach przez dwie godziny. Czuli wibracje kadłuba, słyszeli warkot silników. Niektórzy cicho rozmawiali, inni milczeli, odpoczywając lub

rozmyślając. Czasem rozbłyskał w ciemności jarzący się punkcik zapalonego papierosa.



*Lódź latająca Consolidated PBY Catalina*

Gdy byli już niedaleko Los Negros, rozpętała się straszna burza. Pilot krążył, szukając miejsca do wylądowania, ale morze było zbyt wzburzone. Wiatr uderzał w samolot, który trzeszczał i jęczał.

- Jezu Chryste. - Sierżant Robert W. Teeples, jeden z członków zespołu mającego utrzymywać kontakt, wyglądał przez okno z prawej strony Cataliny. - Wydaje się, że skrzydła łopocą.

Chwilę później coś przecięło niebo nad samolotem. Zdaniem Teepleśa to nie była błyskawica.

- Widzieliście? - spytał kolega siedzący przy oknie po przekątnej od Teepleśa.

- Myślałem, że mi się wydawało - odparł Teeples. - Co to mogło być?

- Wiem tyle, co ty, ale wyglądało to na błysk z silnika japońskiego samolotu - odpowiedział któryś z mężczyzn.

- Masz rację - stwierdził obserwujący radar członek załogi samolotu. - Namierzyłem go z osiem kilometrów stąd. Prawdopodobnie burza zaskoczyła jakiś samolot zwiadowczy i wracał pędem do bazy. Był nad nami, więc wątpię, czy nas zauważył w taką zasraną pogodę. Przynajmniej mam nadzieję, że nie.

Zresztą nie miało znaczenia, czy Japończyk ich dostrzegł, bo pilot Cataliny zdecydował, że nie da się bezpiecznie wylądować, i zawrócił do zatoki Langemak. Tam zwiadowcy, rozczarowani opóźnieniem, już bez pierwszego zapалу, spędzili dzień na pokładzie tendra USS „Half Moon”.

Następnego dnia nie było już burzy, ale miejsce, w którym mieli lądować, też okazało się zbyt jasne, co oznaczało, że Catalina może tam polecieć dopiero o świcie.

I od tej chwili wszystko potoczyło się już szybko.

Catalina wylądowała, ślizgając się po wodzie. Pilot zaczął hamować silnikami, aby zatrzymać maszynę. McGowen stał w otwartych drzwiach, czekając, aż łódź latająca się zatrzyma, ale ta ciągle była w ruchu.

- Jesteśmy osiemset metrów od brzegu i wciąż się nie zatrzymujemy. A niech to szlag.

- McGowen zwrócił się do Barnesa: - Bill, idź do kokpitu i zobacz, co ten idiota robi.

Barnes poszedł i błyskawicznie wrócił.

- Powiedział, że nie chce zbliżać się bardziej do brzegu i zatrzymać samolotu, bo wtedy byłby łatwym celem.

- Ale to przecież wszystko jedno, czy potoniemy, czy też posiekają nas te pieprzone śmigła - wściekał się McGowen. - Spuszczaj ponton na wodę - polecił sierżantowi Ramirezowi.

- Będziemy wychodzić z maszyny, która jest w ruchu? - dopytywał się Ramirez.

- A co mamy robić? Ten dureń się nie zatrzyma.

Wsiadanie do pontonu było ryzykowne, ale się udało - nic ani nikt nie znalazł się za burtą. Ponton odbił od łodzi latającej, pilot ruszył szybciej i samolot z rykiem pomknął po wodzie, po czym uniósł się w górę, a fale zakołysały gumową łodzią.

- Ile taki samolot kosztuje? - zastanawiał się Gomez, obserwując, jak Catalina wzbija się w powietrze, wzniesając kaskady wody.

- Około dziewięćdziesięciu tysięcy dolców - odparł McGowen. - A bo co?

- Nic, tak chciałem wiedzieć. Patrząc, jak pilot się z nim obchodzi, można by pomyśleć, że za każde zarysowanie płaci z własnej kieszeni.

Kiedy wiosłowali w stronę brzegu, McDonald zauważył jeszcze jedną nieścisłość w planie.

- Hej - odezwał się. - Co tu tak strasznie cicho? Gdzie, do cholery, są bombowce?

Miał rację. Nie było słyhać nic, co przypominałoby ciężkie uderzenia bomb spadających na pasy startowe, ani też głębokiego niczym bzyczenie monstrualnych pszczół huku silników samolotowych. Na niebie panowała złowroga cisza.

- Cholerne pilociki! Idę o zakład, że ktoś zapomniał ich pobudzić - stwierdził Lagoud.

- Wiosłuj, wiosłuj. - McGowen nie był w nastroju do prowadzenia takiej bezsensownej wymiany zdań.

Upłynęło pół godziny, zanim dobrali do brzegu wyspy. Gomez wyskoczył pierwszy i pomógł wciągnąć ponton na plażę. (Później wściekał się, gdyż MacArthur odznaczył Distinguished Service Cross młodego porucznika za to, że w czasie inwazji „pierwszy



wyszedł na brzeg” na Los Negros, trzy dni po tym, jak sam postawił stopę na tej ziemi).

Szybko opuścili plażę, najpierw jednak schowali koło drzewa ponton (spuściwszy z niego powietrze) oraz nabój z dwutlenkiem węgla. Upewniwszy się, że gdy wrócą, potrafią szybko zlokalizować to miejsce, ruszyli w stronę lotniska Momote.

\*\*\*

McGowen i jego ludzie nie wiedzieli, że od chwili przybycia ktoś ich obserwował; tym kimś był patrolujący okolicę japoński żołnierz. Szybko pobiegł do swoich zameldować o wylądowaniu Amerykanów, a zdenerwowany dowódca garnizonu na Wyspach Admiralicji pułkownik Yoshio Ezaki rozesłał patrole, by znalazły zwiadowców. Jego następne rozkazy były tylko Amerykanom na rękę.

Otóż Ezaki obawiając się, że wylądowanie zwiadowców poprzedza inwazję, zaczął ewakuować armię na zachód, jak najdalej od wschodniego wybrzeża i Hyane Harbour, gdzie, jego zdaniem, nie będzie już potrzebna.

\*\*\*

Zważywszy na nierówności terenu wysp Archipelagu Bismarcka, szlak zwiadowców wiódł po względnie płaskim terenie. Jednak w gęstej dżungli musieli posługiwać się kompasem, ponieważ trudno tam było o jakieś charakterystyczne punkty odniesienia.

Przez trzy godziny McGowen wraz ze swoimi ludźmi posuwali się przez zieloną gęstwinę, po czym weszli na obszar pokryty, i to na wysokość ponad półtora metra, splątanymi pnączami poprzerywanymi przez drzewa i gałęzie, łączącymi wszystko niczym gęsta siatka.

- A to co takiego? - wyszeptał sierżant Gomez.

- Myślę, że to pomaga Japończykom trzymać się szlaku w ciemnościach. Nasz generał ma chyba rację, Japończycy ciągle tu są - powiedział McGowen.

Ledwie skończył mówić, gdy w oddali zabrzmiało kilka krótkich i ostrych strzałów z karabinu maszynowego. Zwiadowcy padli na ziemię i nasłuchiwali w kompletnej ciszy; i wtedy do ich uszu dobiegł inny dźwięk - lecących samolotów, a wraz z nim huk zrzucanych bomb i dźwięk karabinów maszynowych z myśliwców. To właśnie był atak lotnictwa, mający odwrócić uwagę Japończyków od lądowania zwiadowców.

- Teraz te skurwysyny się pojawiły - zauważył Ramirez.

- Pewnie jeszcze nie przestawili zegarków z czasu obowiązującego w San Francisco - dorzucił Roberts.

- Idziemy - zakomenderował McGowen.

Posuwając się ciągle według wskazań kompasu, McGowen i jego zespół niemal

weszli w labirynt okopów ciągnących się przez kilkaset metrów od północnego zachodu ku południowemu wschodowi i ukrytych pod liśćmi oraz gałęziami. Okopy były szerokie na mniej więcej sześćdziesiąt centymetrów i na tyleż głębokie, a ciemna ziemia świadczyła, że zostały wykopane niedawno. W niektórych miejscach były ślady po stanowiskach karabinów maszynowych.

Były też ślady ludzkich stóp, i to mnóstwo, jak również powyrzucane racje żywnościowe.

McGowen prowadził swoich ludzi dokoła okopów, uważając, aby niczego nie naruszyć, gdy nagle usłyszeli w pobliżu krzyk, chyba jakiegoś żołnierza ranionego przez bombę. Zaraz też rozległ się inny głos - jakby ktoś starał się uspokoić rannego. Do uszu zwiadowców dochodziły też zza drzew inne głosy.

Po tym pierwszym krzyku McGowen podniósł rękę do góry, co miało oznaczać „stać” i wszyscy zamarli. Minęło kilka minut, aż McGowen dał znak, by iść dalej. Zastanawiał się, jak daleko mogą znajdować się Japończycy, ale wkrótce się dowiedział: wprost na nich szedł nieprzyjacielski patrol, ponad dwunastu ludzi, znajdowali się nie dalej niż pięć metrów. Ręka McGowena wystrzeliła w górę i wszyscy zamienili się w posągi.

McGowen obserwował patrol, nie mając pojęcia, że szuka on właśnie jego, i bardzo chciał paść na ziemię, ale się bał. Przy tak małej odległości wróg usłyszałby nawet najmniejsze poruszenie. Pot zalewał mu twarz i szczypał w oczy. Japończycy przeszli tak blisko, że McGowen mógł nawet odróżnić insygnia naszyte na ich ciemnobrązowych mundurach. Przeszli, nieświadomi, jak blisko byli od poszukiwanych Amerykanów, i zniknęli w zaroślach.

McGowen poczekał, i to dość długo, aż nieprzyjaciel oddali się na odpowiednią odległość, i dopiero wtedy dał znak, że można iść dalej. Około trzynastej zwiadowcy doszli do szerokiego, bystrego potoku i tu McGowen zrobił małą odprawę.

- A niech to szlag - odezwał się Gomez, łapiąc oddech. - O mało się nie zesrałem ze strachu. Niewiele brakowało, a czulibyśmy oddech tych ryzojadów.

Dla uspokojenia wypił łyk wody z manierki.

- Słuchajcie - powiedział McGowen. - Pas startowy jest dokładnie za tym potokiem. I wiemy, że są tam Japończycy, pełno Japończyków. Nie chcę ryzykować przeprawy przez potok i pakować się w prawdziwą kabałę, żeby przekonać się o tym, o czym i tak już wiemy, wobec tego wracamy.

- Mnie to pasuje - stwierdził Roberts.

- Myślę, że wszystkim pasuje - wtrącił Ramirez. - Nie wiem, kto powiedział, że

Japońce wyniosły się z wyspy, ale szkoda, że go tu z nami nie ma.

Zwiadowcy zawrócili. Ich droga znowu wiodła przez dżunglę, ale tym razem szli znaną już sobie ścieżką. Schowani wśród zieleni obserwowali, jak tą samą drogą ciągnęli niemal nieprzerwanie japońscy żołnierze. W chwilach, gdy w tym szeregu następowały jakieś przerwy, amerykańscy zwiadowcy pojedynczo lub po dwóch przechodzili na drugą stronę ścieżki. To nie był szybki marsz, a i tak Ramirez i Gomez gdzieś się zapodzieli. McGowen czekał na nich, aż wreszcie postanowił, że trzeba iść dalej.

- Umieją posługiwać się kompasem i wiedzą, dokąd mają dotrzeć. Idziemy.

O szóstej po południu dotarli na miejsce zbiórki, gdzie wkrótce dołączyli do nich Ramirez i Gomez. Razem ruszyli w kierunku plaży, tam gdzie ukryli sprzęt, mniej więcej pięć metrów od plaży. Nie podeszli tam jednak od razu, na wszelki wypadek trzymali się w bezpiecznej odległości i McGowen zdecydował, że spędzą tu noc.

Skoro świt zabrali się do pracy: szybko znaleźli ponton, napełnili go gazem, a McGowen kilkakrotnie próbował skontaktować się z Barnesem. Informacje, jakie zebrali, były zbyt cenne, by czekać z ich przekazaniem, aż się zobaczą, to znaczy gdy przyleci po nich Catalina. Po wielu trudnościach wreszcie udało mu się połączyć.

- Powiedz Bradshawowi, że tu aż roi się od Japończyków - zameldował.

- Przyjąłem - odpowiedział Barnes.

Mniej więcej godzinę potem na niebie ukazała się łódź latająca, krążąca coraz to niżej i niżej nad wodą, aż wreszcie wylądowała. Zwiadowcy wsiedli do pontonu i powiosłowali w kierunku samolotu. Wkrótce stało się jasne, że za kokpitem siedzi ten sam pilot, który ich tu przywiózł, bo maszyna zwolniła, ale się nie zatrzymała.

Ponton podpłynął do jej boku. Barnes wychylił się i schwycił ponton podskakujący na wodzie wzburzonej przez śmigła samolotu. Reszta zwiadowców zaczęła wspinać się po plecach kolegi jak po moście na pokład Cataliny.

Wirujące śmigło znajdowało się niebezpiecznie blisko, ale czterech mężczyzn dostało się na pokład bezpiecznie. I wtedy nagle samolot obrócił się w prawo i śmigło zmiotło McGowenowi czapkę z głowy, a jego samego wrzuciło we wzburzoną wodę.

Roberts, który jeszcze jako ostatni pozostał w pontonie, chwycił McGowena za rękę i nie puścił, aż obydwaj zostali wciągnięci przez Barnes'a i pozostałych kolegów na pokład. Właściwie McGowen jeszcze wpełzał po Barnesie do środka Cataliny, gdy samolot już przyspieszył, aby nabrać odpowiedniej prędkości do wzbicia się w powietrze. Na koniec Barnes, wciąż wychylony na zewnątrz, wypuścił powietrze z pontonu i wyrzucił sflaczały kawał gumy.

Mokry i wściekły McGowen, siedząc już w samolocie, spoglądał w stronę kokpitu i mruczał pod nosem:

- Niech cię szlag, ty żółty skurwysynu.

Około dziewiątej trzydzieści rano byli z powrotem w zatoce Langemak. Na pokładzie „Half Moon” czekał na nich major Franklin M. Rawolle, jeden z oficerów wywiadu Kruegera. McGowen przekazał mu, że na Los Negros „aż roi się od Japończyków”.

Rawolle zdając sobie sprawę, jakie znaczenie ma ta informacja, zważywszy na plany inwazji, rozkazał podstawić kuter torpedowy, którym wraz z McGowenem popłynął na spotkanie z generałem Williamem B. Chasem, dowódcą sił mających wylądować na wyspie, który znajdował się na pokładzie niszczyciela zmierzającego w kierunku Los Negros.

Dopłynąwszy do okrętu, McGowen i Rawolle weszli na jego pokład i McGowen zreferował generałowi sytuację. Chase bezzwłocznie zwołał na naradę swoich dowódców oraz oficera łącznikowego marynarki. Rozkazał zwiększyć ostrzał poprzedzający lądowanie, szczególnie w miejscach wskazanych przez zwiadowców.

A tymczasem MacArthur nie uwierzył w relację McGowena i jego ludzi, mówiąc, że to niesprawdzeni nowicjusze, przesadzający z nadmiernej gorliwości.

Zupełnie inaczej podszedł do tego Krueger; miał pełne zaufanie do tego, co usłyszał, i przewidywał katastrofę. Dlatego też rozkazał, aby w gotowości do wylądowania na brzegu były dodatkowe oddziały piechoty, w razie gdyby desant rzeczywiście spotkał się z dużymi siłami wroga.

Czterdzieści dziewięć godzin później rozpoczęła się operacja „Brewer”. Żołnierze wylądowali na plaży w Hyane Harbor, skąd wcześniej Japończycy, dowiedziawszy się o wylądowaniu wrogiego patrolu, wycofali część swoich sił. Początkowo, zgodnie z przewidywaniami MacArthura, Amerykanie napotkali nikły opór i rzeczywiście wyglądało, że wyspa jest słabo broniona; wszystko potoczyło się tak łatwo, że nawet sam generał złożył krótką wizytę na tym froncie. Jednak Japończycy otrząsnęli się i wkrótce zaczęli skutecznie odierać ataki Amerykanów - i właśnie wtedy Krueger wysłał posiłki, które przesądziły o tym, że było to zwycięstwo, a nie krwawa, wycieńczająca walka.

W uznaniu dla dokonań McGowena i jego ludzi generał Chase w raporcie sporządzonym już po zakończeniu całej operacji podkreślał wagę informacji dostarczonych przez zwiadowców, które „w następującym potem rozwoju sytuacji dowiodły, że zwiadowcy [...] mieli rację [...], szacując liczebność całego garnizonu na 4000-5000 żołnierzy”.

Jednak dopiero później okazało się, jak ważne zadanie wypełnił zespół McGowena: w ręce Amerykanów wpadły dokumenty, z których wynikało, że wyspa wydawała się

niezamieszкана, ponieważ japońscy żołnierze otrzymali rozkaz nie strzelania do nieprzyjacielskich samolotów, aby nie zdradzić swoich pozycji.

Dokumenty te potwierdziły też, że rzeczywiście ludzie McGowena zostali zauważeni, gdy płynęli pontonem do brzegu, i że przez cały czas, gdy znajdowali się na wyspie, Japończycy usilnie starali się ich znaleźć.

I wreszcie w papierach tych było odnotowane, że pułkownik Ezaki, bojąc się inwazji w Chapatut Point, gdzie dostrzeżono amerykańskich zwiadowców, wycofał dużą część sił z Hyane Harbor. A tam właśnie mieli wylądować Amerykanie i Australijczycy w czasie inwazji. „Zostaliśmy wyprowadzeni w pole”, napisał jakiś japoński oficer w liście, który również wpadł w ręce Amerykanów.



*Generał George C. Kenney*

Pomimo dowodów świadczących o dużych siłach wroga, lotnictwo nie przyznało się do błędu, czyli do tak fatalnej oceny liczebności wojsk japońskich na wyspie.

Generał George C. Kenney, głównodowodzący Sojuszniczych Sił Powietrznych na południowo-zachodnim Pacyfiku, kwestionował wagę informacji zdobytych przez zwiadowców, mówiąc, że doniesienie o „dwudziestu pięciu żołnierzach wroga dostrzeżonych nocą w lesie” to nie jest żadna wartościowa wiadomość.

Jednak Chase i Krueger wiedzieli lepiej, podobnie jak MacArthur, który już nigdy nie podawał w wątpliwość żadnego raportu dostarczonego przez Zwiadowców Alamo.

\*\*\*

Po odprawie ludzi McGowena Zwiadowcy Alamo przygotowali listę „wniosków”, a jednym z nich był ten, aby już nigdy więcej nie używać łodzi latających jako środka transportu. Te maszyny nie nadawały się do lotów w trudnych warunkach atmosferycznych, a poza tym rzucały się w oczy.

Inna propozycja to zastąpienie walkie-talkie radiami SCR-300, co prawda cięższymi, ale mającymi większy zasięg.

Tę listę wniosków wysłano do Kruegera, a on 20 marca 1944 roku ją zaaprobował.

\*\*\*



*Generał Krueger odznacza Srebrnymi Gwiazdami zespół porucznika McGowena*

Tego samego dnia generał udał się na Wyspę Fergussona, do Ośrodka Treningowego Zwiadowców Alamo. Tu za akcję przeprowadzoną na Los Negros każdego członka patrolu McGowena odznaczył Srebrną Gwiazdą. Powiedział przy tym, jak dumny jest ze „swoich zwiadowców” oraz z ich poświęcenia i stopnia wyszkolenia, dzięki któremu stali się elitą wśród żołnierzy.

Krueger miał rację.

W ciągu kolejnych osiemnastu miesięcy Zwiadowcy Alamo wykonali sto osiem zadań. Żaden z nich nie zginął ani nie trafił do niewoli. A co ważniejsze, stosowane przez nich techniki zostały jeszcze rozwinięte i dziś są stosowane przez siły specjalne oraz przez Jednostki Inwigilacji Dalekiego Zasięgu.

# ROZDZIAŁ 5

## „Niech was Bóg błogosławi, dzielni żołnierze”

Od Saidor do zatoki Geelvink. Holenderska Nowa Gwinea, kwiecień-czerwiec 1944

Kolejnym, po upadku 24 marca Wysp Admiralicji, celem MacArthura w jego zamiarze odzyskania Filipin było północne wybrzeże Holenderskiej Nowej Gwinei w Hollandii, byłej stolicy tej prowincji.

Inwazja przeprowadzona 22 kwietnia pod kryptonimem operacja „Reckless” zbiegła się z drugą, na położone dwieście trzydzieści jeden kilometrów na południowy wschód Aitape. Celem obu zsynchronizowanych ataków było zdobycie japońskich lotnisk w Hollandii, Sentani i w paśmie Cyklopów oraz w efekcie wyparcie Japończyków z północnego wybrzeża Nowej Gwinei.

Obszar Hollandii rozciąga się od wybrzeża aż po długie na czterdzieści kilometrów i wrzynające się na głębokość ośmiu-piętnastu kilometrów w głąb lądu pasmo górskie Cyklopy, o wysokości do dwóch tysięcy metrów, po czym schodzące od południowej strony ostro w stronę równiny, na której znajduje się jezioro Sentani.

Atak MacArthura miał się składać z okrążenia z dwóch stron: z jednej przez wojska 41. Dywizji, które wylądowałyby w Zatoce Humboldta (operacja „Letterpress”), z drugiej strony 24. Dywizja przypuszczałaby atak na plażę położonej trzydzieści dwa kilometry na zachód zatoki Tanah Merah (operacja „Noiseless”).

Japońska obrona pod dowództwem generała Kitazono Toyozo z 3. Dowództwa Koordynacji Transportu Polowego była źle przygotowana. Z liczącej piętnaście tysięcy ludzi armii Toyozo (łącznie z marynarką) do walki nadawało się tylko około dwudziestu procent.

Na dodatek we wschodniej części Nowej Gwinei w miesiącach, które nastąpiły po krwawych walkach koło Buny i Gony, Amerykanie i Australijczycy ciągle wypierali Japończyków.

W związku z takim rozwojem sytuacji dowódca jednego z zespołu Zwiadowców Alamo, porucznik Bill Barnes nie czekał długo na pierwsze zadanie. Trzy dni po tym, jak uczestniczył w operacji McGowena na Los Negros jako punkt kontaktowy, Barnes musiał załadować się do bombowca B-25 Mitchell i lecieć na wschodnią Nową Gwineę.

Amerykańskie oddziały z 32. Dywizji prac na zachód, spychały Japończyków z powrotem od Saidoru w stronę Madangu, gdzie już szykowali pułapkę Australijczycy. Zadaniem Barnes'a było przeprowadzenie rozpoznania wokół rzeki Male w połowie drogi między Saidorem i Madangiem, aby upewnić się, że nieprzyjaciel nie przygotowuje tam żadnej zasadzki. Nie było żadnych zdjęć tego regionu z rekonesansu lotniczego, wobec tego Barnes miał wleźć do nosa bombowca B-25 i zza pleksiglasowej szyby porobić fotografie, gdy samolot specjalnie w tym celu przelatywałby nisko nad plażą.

Trzeciego marca Barnes i ludzie z jego zespołu, to znaczy sierżant Louis J. Belson, starszy szeregowy Warren J. Boes, starszy szeregowy Aubery L. „Lee” Hall, szeregowy John O. Pitcairn i starszy szeregowy Robert W. Teeple, wraz z zespołem wsparcia w składzie porucznik Mitchel J. „Żelazny Mike” Sombar oraz trzech z jego pięciu zwiadowców znaleźli się na kutrze torpedowym przy brzegu tej plaży, czterysta metrów od ujścia rzeki Male. Najbardziej zapadła w pamięć ściśniętym w kajucie zwiadowcom nękająca ich choroba morska.

- Boże - wspomina Teeple sześćdziesiąt cztery lata później. - Już chyba nawet wylądowanie na wyspie pełnej Japończyków nie byłoby gorsze od tej podróży.

Okolo czwartej nad ranem kuter torpedowy zatrzymał się czterysta metrów od brzegu i oba zespoły zwiadowców wsiadły do pontonów. Morze było wzburzone i gdy dopływali już do plaży, fale wyróciły ponton Barnes'a i wszyscy znaleźli się w wodzie, a Teeple złamał palec, który przez cztery dni, czyli przez czas trwania zwiadu, bardzo go bolał. Obydwa zespoły przez całą noc obserwowały okolicę, czy czasem nikt nie zauważył ich lądowania. O świcie Sombar i jego ludzie odpłynęli pontonami do kutra, Barnes zaś ze swoimi ruszył w głąb lądu.

Na początku wszystko szło gładko, ale 6 marca, a więc trzeciego dnia, kiedy przedzierali się przez gęstą wysoką trawę, Boes idący jako pierwszy raptem stanął oko w oko z japońskim patrolem. Japończycy mieli tylko dwa karabiny. Szli swobodnie, najwyraźniej się wycofując, i na pewno nie spodziewali się spotkać Amerykanów. Boes zaskoczony tym spotkaniem otworzył ogień i zabił dwóch Japończyków. Pozostali uciekli i pochowali się w trawie.

W zamieszaniu Barnes i Boes zgubili swoich towarzyszy, a obawiając się, że potyczka zdradziła, gdzie są, szli dalej sami, mając nadzieję dołączyć do kolegów później. Minęli wioski Kumisanger i Bibi i widzieli kilka japońskich obozowisk, ale ani jednego wrogiego żołnierza.

Tymczasem reszta zespołu, dowodzonego teraz przez Halla, szła na zachód w stronę



Bau Plantation, której, jak się okazało, Japończycy nie zajęli. Tam zwiadowcy postanowili odpocząć i zjeść swój standardowy posiłek, czyli mieszankę z orzechów ziemnych i rodzynek. Nagle usłyszeli warkot silników samolotowych, charakterystyczny dla lotu nurkującego. Wprost na nich leciało kilka australijskich myśliwców, które zniżyły lot i rzuciły spod skrzydeł czterdziestokilogramowe bomby. Wśród ogłuszających wybuchów oraz ostrzału z broni maszynowej zwiadowcy rzucili się do ucieczki. Kilka chwil potem wyszli ze swoich kryjówek, przeklinając oddalające się samoloty.

Niemal w tym samym czasie, gdy Hall z towarzyszami starali się uciec przed nalotem, amerykańskie myśliwce spostrzegły Barnes'a i Boesa. Ostro zeszyły w dół i wokół Amerykanów zaczęły padać bomby i strzały z broni maszynowej kaliber 12,7 mm. I tu alianckim pilotom dostała się nielicha wiązanka.

Barnes i Boes szli ciągle na wschód, na punkt zbiórki. W końcu spotkali się z Hallem i resztą zwiadowców. Wkrótce wszyscy siedzieli na pokładzie kutra. Przez cztery doby spędzone w dżungli zwiadowcy nie zmieniali ubrania, wobec tego marynarze w ich pobliżu starali się wstrzymywać oddech.

Zadanie nad rzeką Male, zrealizowane w dniach 3-7 marca, było pierwsze i ostatnie dla zespołu Barnes'a. Dowódca otrzymał wkrótce rozkaz powrotu do 32. Dywizji, gdzie został adiutantem generała Williama H. Gilla, a jego ludzie weszli w skład innych zespołów. O Teeple'sa, który wkrótce awansował i został sierżantem, również upomniała się jego jednostka, ponieważ brakowało w niej doświadczonych podoficerów. Później został podporucznikiem.

\*\*\*

Trzydziestego pierwszego marca 1944 roku utworzono dwa nowe zespoły pod dowództwem poruczników Woodrowa E. Hobbsa i Williama G. Reynoldsa. Kilka dni potem, aby dotrzymać kroku postępowi 6. Armii, obóz treningowy Zwiadowców Alamo przeniesiono z Wyspy Fergussona do Mange Point nieopodal Finschhafen, na otwartą przestrzeń wśród palmowego gaju, jakieś czterysta metrów na przelaj od najwyższego punktu, gdzie głębokość morza dochodziła do ponad sześciuset metrów. Zdaniem Boba Sumnera, który właśnie tutaj przechodził szkolenie, był to „najlepszy teren do ćwiczeń, jaki można sobie wymarzyć” Mieszkańcy pobliskiej wioski Kalo Kalo wydali na cześć zwiadowców przyjęcie, w czasie którego, jak to potem opisywał Lewis B. Hochstrasser, adiutant Bradshawa, a równocześnie pierwszy historyk, który wspominał o Zwiadowcach Alamo, przez ponad godzinę w ciemnościach rozlegało się bicie w bębny.

Słyszeliśmy je już wcześniej, ale nigdy nie lubiliśmy tego dźwięku - pisał.

Tubylcy zebrali się przy świetle pochodni, chłopcy w wieku od sześciu do ośmiu lat wykonali taniec w takt pieśni, a żona miejscowego misjonarza Priscilla z dwiema córkami usiadły po turecku i zaśpiewały *The Old Rugged Cross* oraz *Boże błogosław Amerykę*.

Na koniec powiedziały:

- Powodzenia i niech was Bóg błogosławi, dzielni żołnierze.

Była to bardzo wzruszająca uroczystość.

\*\*\*

Pora było wracać do pracy; tym razem przyszła kolej na zespoły Thompsona i Reynoldsa. To miało być ich pierwsze zadanie, a polegało na przeprowadzeniu zwiadu dla 158. pułku, zwanego „Buszmenami”, z którego wywodziło się bardzo wielu Zwiadowców Alamo.

Thompson urodził się w Bevier, w stanie Missouri; uczęszczał do niewielkiej szkoły Central College i tam zapisał się na program szkoleniowy dla oficerów rezerwy. Po ataku na Pearl Harbor jego jednostka została powołana do służby wojskowej i tak Thompson znalazł się na Zachodnim Wybrzeżu. Trafił do jednostki, której zadaniem było patrolowanie półwyspu Monterey i wypatrywanie, czy nie zbliża się japońska inwazja.

Jednak wkrótce histeria, jaka opanowała Stany Zjednoczone po ataku na Pearl Harbor, opadła, a Thompsona wcielono do 6. Armii. I właśnie tam usłyszał, że poszukuje się ochotników do jednostki specjalnej, a ponieważ był doskonałym pływakiem, pomysł mu się spodobał i zgłosił się do Zwiadowców Alamo. Został przyjęty i ukończył pierwsze szkolenie, jakie zorganizowano.

Zespół Thompsona, składający się z sierżantów Theodore’a „Małego” Largo i Jacka E. Bensaona, starszych szeregowych Joshuy Sunna, Anthony’ego Ortiza i Josepha A. Johnsona, wylądował w zatoce Tanah Merah i prowadził rekonesans w rejonie Tablasoefy.

Co ciekawe, w patrolu Thompsona znajdowało się czterech Indian, którzy ukończyli pierwsze szkolenie ASTC. Szeregowy Johnson o przydomku „Duch” pochodził z klanu Orłów należącego do Apaczów z Białych Gór z Cibecue w Arizonie. Sierżant Largo należał do plemienia Pima z Phoenix, starszy szeregowy Ortiz z Chamitam w Nowym Meksyku był z plemienia San Juan Pueblo, a szeregowy Sunn z Laveen w Arizonie - z plemienia Maricopa.

Thompson miał bardzo dobre zdanie o Indianach ze swojego zespołu, nazywał ich „nadzwyczajnymi zwiadowcami” a szczególnie cenił Johnsona.

„Nigdy nie szedłem nigdzie bez niego albo jeżeli nie szedł przede mną - pisał później. - Miał niebywały wzrok, najlepszy, jaki kiedykolwiek zdarzyło mi się spotkać u człowieka. Potrafił wypatrzeć nieprzyjaciela w gęstej dżungli z odległości kilkunastu metrów i wszystko

robił bardzo cicho. Na Nowej Gwinei tropił tubylców i nauczył ich paru zwiadowczych sztuczek”.

Tym razem wzrok Johnsona nie okazał się specjalnie potrzebny, gdyż jedynymi żołnierzami, jakich napotkali, byli Amerykanie.

O wiele gorszych przygód doświadczył patrol Reynoldsa.

Jego ludzie, to znaczy sierżant Leonard J. Scott, kaprale Winfred E. McAdoo, William R. Watson i szeregowi William C. Gerstenberger oraz Lucian A. Jamison, przybiwszy do brzegu nieopodal wioski Demta w zatoce Humboldta, mieli bardzo trudne lądowanie. Wielka fala rzuciła ich na dziesięciometrowy klif, niszcząc ponton. Zwiadowcy ratując ze sprzętu, co się dało, zdołali wspiąć się na skałę, a tam padli wyczerpani i przenocowali. Następnego dnia idąc w stronę nadmorskiej wioski Moeris Besar, nieco ponad półtora kilometra od Demty, natknęli się na ciała trzech ludzi, dwóch Holendrów i jednego tubylca. Holendrzy zostali zabici strzałem w brzuch oraz w głowę, tubylec zaś pałką, którą walono w twarz tak długo, aż została z niej krwawa miazga. Zakrwawiona pałka leżała obok. W chacie zwiadowcy znaleźli czwarte ciało, tym razem nagiego mężczyzny, co prawda na wpół zjedzone przez dzikie psy, ale widać było, że został wykastrowany i obcięto mu lewą dłoń. Przez długi czas patrzyli na te ciała, a w kompletnej ciszy rozlegało się tylko bzyczenie niezliczonych owadów, którym trafiła się tak wyjątkowa uczta.

Pomimo brutalnych oznak obecności Japończyków grupa Reynoldsa nie spotkała ani jednego nieprzyjacielskiego żołnierza.

\*\*\*

Kiedy Reynolds i Thompson wracali do obozu, „Żelazny Mike” Sombar i jego zwiadowcy przedzierali się już dziesięć kilometrów przez dżunglę, po kolana w trzęsawiskach, kierując się w stronę wioski Goya. Doszły ich wieści, że Japończycy przetrzymują tam stu siedmiu jeńców, wyłącznie misjonarzy oraz zakonnice, wszyscy obcej narodowości.

Przedzierając się ostrożnie przez krzaki, zwiadowcy natknęli się na dwie chaty tubylców, a obok jednej z nich stał osiodłany koń. Sombar wiedział, że żaden z tubylców nie ma siodła, więc podczołgał się bliżej i zobaczył siedzącego w chacie na łóżku Japończyka. Akurat się przebierał. Nie mając pewności, czy Japończyk jest sam, Sombar wyciągnął zza pasa granat, wyjął zawleczkę i wrzucił go przez okno. Wybuch wstrząsnął chatą i Sombar wpadł do środka. O dziwo, Japończyk leżał na podłodze, ale nic mu się nie stało i usiłował wstać. Sombar powalił go ciosem w szczękę, a gdy tamten znowu próbował się podnieść, Sombar podniósł karabin i wpackował w Japończyka kilka pocisków.

Posuwając się dalej w stronę wioski, zwiadowcy natknęli się na jednego z misjonarzy; kompletnie wyczerpany siedział na pniu. Powiedział Sombarowi, że reszta jeńców znajduje się nieco dalej i że Japończycy uciekli. Sombar nie bardzo dawał wiarę tym informacjom; kazał starszemu szeregowemu Davidowi Mildzie odprowadzić misjonarza do amerykańskiego obozu, a sam poszedł dalej (Milda czterokrotnie brał udział w dowodzonych przez Sombara zwiadach na Nowej Gwinei. Potem wrócił do swojej jednostki macierzystej i zginął w 1945 roku na Luzonie).

W Goya zwiadowcy dostrzegli misjonarzy, ale (tak jak powiedział pierwszy z napotkanych jeńców) ani śladu Japończyków.

- Idźcie i upewnijcie się, że naprawdę ich nie ma - polecił Sombar swoim ludziom, którzy bardzo szybko znaleźli jednego ukrywającego się Japończyka, oficera marynarki.

- Nie ucieknę - odezwał się doskonałą angielszczyzną, gdy przystawiono mu broń do głowy.

Misjonarze, wśród których było siedemdziesięciu Holendrów, trzynastu Amerykanów, trzech Polaków, jeden Czech, jeden Australijczyk i, o dziwo, dziewiętnastu Niemców, nie posiadali się z radości, ujrawszy Amerykanów, a jedna zakonnica nawet uściskała Sombara.

- O, jak to dobrze znowu zobaczyć prawdziwego człowieka - westchnęła.

Zdając sobie sprawę, jak trudno będzie tylko trzem zwiadowcom ewakuować tylu ludzi na raz, niektórych osłabionych z głodu, przez tak trudny teren, a równocześnie upewniać się, czy Japończycy aby na pewno się wycofali, Sombar zdecydował, że uwolnionych jeńców trzeba na razie zostawić w wiosce i wrócić do Hollekang po pomoc. Wziąwszy ze sobą tylko trzech polskich misjonarzy oraz jeńca, zespół Sombara zaczął z powrotem przedzierać się przez dżunglę w stronę amerykańskich linii. Jeńcowi kazano nieść rzeczy jednego z wycieńczonych misjonarzy, ale Japończyk stanowczo odmówił.

- Nie możecie mnie do tego zmusić - oświadczył. - To sprzeczne z konwencją genewską. Zastrzelcie mnie, jak chcecie.

- Jeśli nie będziesz nieść tych rzeczy, to na chuj mi jesteś potrzebny. - Sombar kiwnął na jednego ze zwiadowców, aby odsunął na bok misjonarzy, po czym podniósł karabin, celując w Japończyka. - Po prostu cię zabijemy i zostawimy tu, a już muchy się zajmą resztą.

Oficer wpatrywał się w karabin, aż w końcu zarzucił sobie toból na plecy.

W południe Sombar skontaktował się z ludźmi z 34. Dywizji, z której zaraz wysłano do wioski oddział, także lekarzy, i przyprowadzono resztę misjonarzy. Wszystkich uwolniono, z wyjątkiem Niemców, którzy aż do końca wojny pozostali w niewoli jako ludność cywilna wrogiego kraju.

\*\*\*

Przez cały kwiecień, maj i część czerwca zwiadowcom zlecano najrozmaitsze zadania, często zajmujące nie więcej niż jeden-dwa dni. Dwudziestego czwartego kwietnia porucznik Henry R. Chalko, instruktor w ASTC, zwołał tych, którzy pozostali z zespołów Hobbsa i Barnes'a, i wysłał ich na krótką wyprawę na Ali Island, kilka kilometrów na północ od Aitape. Podczas wykonywania tego zadania zwiadowcy wdali się w wymianę ognia z niewielkim oddziałem wroga. Ta strzelanina trwała sześć godzin, aż do przybycia posiłków, czyli dwóch plutonów ze 127. pułku, a kiedy wreszcie ustała, w krzakach znaleziono ciała dwudziestu trzech Japończyków.

Tymczasem Amerykanie posuwali się na zachód, idąc na skos przez Nową Gwineę. W maju 6. Armia Kruegera zbliżała się do rejonu Wakde-Sarmi, dwieście dwadzieścia kilometrów na zachód od Hollandii, z zadaniem założenia baz powietrznych, z których można by w przyszłości dokonać ataku lotniczego na siły nieprzyjaciela znajdujące się na wysuniętym na zachód półwyspie Ptasia Głowa<sup>19</sup>.

Trzeciego maja zwiadowców Sombara wysłano na jednodniowe rozpoznanie na małą wysepkę Vandoemoear. Dziesięć dni później udał się tam następny zespół, tym razem z dwudniowym zadaniem rozpoznania sieci dróg i plaż w pobliżu Maraeny, na zachód od Sarmi.

W tym samym czasie grupy Thompsona i Reynoldsa zostały wysłane na wyspę Biak w celu znalezienia plaż, na których mogłyby wylądować barki desantowe. Zadanie wykonały, chociaż Amerykanie zostali zaatakowani przez japoński myśliwiec. Udało im się uciec i nikt nie zginął.

Siedemnastego czerwca Thompson dostał rozkaz udania się z patrolem na dwa tygodnie do Sansapor, nieopodal plantacji palm kokosowych, na zachodnim krańcu Ptasiej Głowy. Towarzyszyła im specjalna grupa, w której skład wchodził major Frank Rawolle z wywiadu 6. Armii, porucznik Donald Root oraz sternik Calvin W. Byrd (obydwaj należeli przedtem do Zwiadowców Sił Desantowych), podpułkownik G.G. Atkinson i major William M. Chance z 836. batalionu zabezpieczenia lotniskowo-technicznego. W grupie znaleźli się też sierżant Heinrick Lumingkewas i jego brat, kapral Alexander Lumingkewas z Sojuszniczego Biura Wywiadu (AIB).

W porcie Seeadler wsiedli na pokład S-47, jednego ze starszych okrętów podwodnych, jakimi dysponowała amerykańska marynarka wojenna, z zadaniem przetarcia drogi dla inwazji z półwyspu Ptasia Głowa na wyspę Waigeo. Tam mieli wyznaczyć trzy

---

<sup>19</sup> Polska nazwa półwyspu Yogelkop (przyp. JB).

miejsca nadające się na założenie baz lotniczych oraz morskich. W trakcie podróży Amerykanie doszli do wniosku, że Waigeo nie nadaje się do żadnego z tych celów. Wobec tego zmienili obszar swoich zainteresowań; postanowili zbadać półwysep Ptasia Głowa: wylądować na jego zachodnim wybrzeżu nieopodal przylądka Sansapor i sprawdzić, czy na znajdujących się tam i wykorzystywanych przez nieprzyjaciela dwóch pasach startowych będą mogły lądować myśliwce i eskadry lekkich bombowców.

Podpłynąwszy 23 czerwca w pobliże wybrzeża, Thompson przez cały dzień obserwował przez peryskop oddalony o cztery i pół kilometra brzeg i szukał miejsca dogodnego do wylądowania. Okręt wynurzył się o północy, jakieś sto metrów od brzegu.

- Szybko się uporamy, wszyscy nie będziecie potrzebni - stwierdził Thompson.



*Okręt podwodny USS S-47*

Zdecydowano, że Thompson oraz trzech ludzi z jego zespołu: sierżanci Chanley i Butler oraz szeregowy Moon wraz z sierżantem Luminkewasem popłyną na brzeg pontonem.

Dopłynąwszy do ujścia rzeki Wewe, zwiadowcy Thompsona powiosłowali jeszcze około trzystu metrów w górę nurtu. Dopiero tam dobili do brzegu i ukryli ponton w gęstych zaroślach. Zostali w tym miejscu aż do rana, ani na chwilę nie tracąc czujności. Kiedy zaczęło świtać, zespół Thompsona przesunął się w stronę ewentualnego miejsca lądowania, znajdując po drodze opuszczone obozowisko Japończyków, ale ani śladu wroga lub tubylców.

W nocy S-47 wynurzył się i zwiadowcy, zakończywszy wstępne rozpoznanie, wrócili na okręt. Tam, już bezpieczni pod wodą, przez dwie godziny dzielili się wrażeniami z tego, co widzieli, po czym postanowili następnego dnia znowu udać się na brzeg.

Wyruszyli po północy na dwóch pontonach. Fale zmusiły ich do wylądowania

dwieście pięćdziesiąt metrów na północny wschód od planowanego miejsca koło rzeki Wewe. Przeciągnęli napompowane pontony do ujścia rzeki, wsiedli do nich i popłynęli niemal w to samo miejsce co poprzednio. Tam przenocowali. Następnego ranka Chanley i Butler, szukając dogodnego miejsca dla ukrycia pontonów i nadajników radiowych, znaleźli zakamuflowaną barkę. Ujrzeni czterech Japończyków, z których jeden, zdaje się, badał ślady pozostawione przez zwiadowców w błocie, gdy byli tu po raz pierwszy. Obydwaj zwiadowcy popędzili do obozu.

- Japończycy wiedzą, że tu jesteśmy - zameldował Chanley Thompsonowi. - Znaleźli nasze ślady z poprzedniej nocy.

Panującą w dżungli ciszę przerwał niebudzący wątpliwości hałas, jaki robią przedzierający się przez gęstwinę ludzie. Szli w stronę obozowiska Amerykanów. Zwiadowcy cicho ukryli się w zaroślach, przykucnęli i wstrzymawszy oddech, obserwowali, jak tuż obok nich, z bronią gotową do strzału, przeszedł japoński patrol.

Teraz Amerykanie podzielili się na dwie grupy i kolejne trzy dni spędzili na rekonesansie. Thompson ze swoimi ludźmi ruszyli w głąb lądu, aby wytropić Japończyków, ich siły oraz obronę, Rawolle zaś i pozostali szukali najlepszych miejsc na plaży do lądowania. Raz czy dwa dochodziły ich z oddali głosy Japończyków, ale nikogo nie widzieli. Obydwie grupy spotkały się na brzegu rzeki 29 czerwca, odnalazły swoje pontony i radia, po czym spędziły sześć nieszczęsnych godzin w potwornej ulewie, czekając na sygnał, że mogą wracać. Około wpół do jedenastej wieczorem usłyszeli warkot płynącej rzeką barki, zmierzającej ku morzu. Godzinę później przepłynęła kolejna barka.

Trzydziestego czerwca za kwadrans druga w nocy, a więc czternastego dnia zwiadu, Amerykanie nadmuchali na nowo pontony, wsiedli do nich i powiosłowali w dół rzeki, a potem na morze. Nagle skądś z ciemności dał się słyszeć warkot silnika. Zwiadowcy zamarli i pochylili się w pontonach. Obok nich, w odległości może stu metrów, przepłynął japoński kuter torpedowy, a po nim jeszcze dwa. Gdy znikły w ciemnościach, Amerykanie wiosłowali dalej, aż w końcu zobaczyli okręt podwodny. Kiedy znaleźli się w nim i wciągnęli pontony, S-47 cicho się zanurzył i popłynął do bazy. A na jego pokładzie odbywało się przyjęcie na cześć szczęśliwego zakończenia zadania, uświetnione kolacją składającą się ze steków i brandy.

Informacje zebrane przez zwiadowców dostarczyły aliantom szczegółów na temat terenu, liczebności wojsk nieprzyjacielskich i lokalizacji. Wybrane plaże okazały się idealne dla desantu i wyładunku ciężkiego sprzętu, choć pasy startowe, o których myśleli alianci, były po prostu utwardzonym polem, zbyt nierównym, aby mogły tam lądować samoloty. W sumie

uznano, że zadanie zostało wykonane świetnie, i ustalono datę inwazji na 31 lipca.

\*\*\*

**HEADQUARTERS ALAMO FORCE**

No. 13

To whom it may concern:

1. The officer whose signature appears below is the leader of an Alamo Scout Team and is on a specially assigned mission for this headquarters.
2. It is requested that such items of equipment as may be needed by his team for the accomplishment of the mission be made available to him.
3. It is further requested that utmost cooperation be given this personnel in obtaining air and/or water transportation.

Walter Krueger  
(Signature)

1st Lt.      0-1288817  
(Rank)      (Serial No.)

OFFICIAL:  
Lewis B. Hochstrasser  
LEWIS B. HOCHSTRASSER  
1st Lt., Cavalry  
Adjutant, A.S.T.C.

WALTER KRUEGER  
Lieutenant General U.S.A.  
Commanding

*Karta Kruegera*

Porucznik McGowen przeglądając później raporty dotyczące działań rozpoznawczych dokonywanych przez Zwiadowców Alamo i analizując daty, doszedł do wniosku, że zwiadowcy byli wykorzystywani niewłaściwie, gdyż często kierowano ich w te same miejsca, w których zlecano rekonesans innym zespołom. Na dodatek Zwiadowców Alamo wysyłano na ogół jako pierwszych, a to stwarzało zagrożenie, że następni wezmą ich za wrogów i



dojdzie między nimi do wymiany ognia.

McGowen przekazał swoje spostrzeżenia majorowi Homerowi Williamsowi, zastępcy Bradshawa, a ten z kolei Kruegerowi i skończyło się dublowanie zadań.

McGowen poinformował również Williamsa, że zwiadowcy w czasie wykonywania zadań mieli trudności w otrzymaniu amunicji, broni oraz pomocy od innych jednostek. Kiedy generał Krueger dowiedział się o tym od Bradshawa, przygotował dla każdego zespołu Zwiadowców Alamo kartę o wymiarach sześć centymetrów na dziesięć, na której widniał następujący tekst:

Niniejszym informuje się, że:

- 1) Oficer, którego podpis widnieje poniżej, jest dowódcą zespołu Zwiadowców Alamo i znajduje się w danym miejscu z powodu wykonywania zadania o specjalnym znaczeniu.
- 2) Wyposażenie lub jego część, którego żąda ten zespół w celu doprowadzenia powierzonego mu zadania do końca, muszą być mu dostarczone niezwłocznie.
- 3) Żąda się również udzielenia wszelkiej możliwej pomocy członkom tego zespołu w zakresie zapewnienia im transportu powietrznego lub wodnego.

Ten niewielki, ale niezwykle ważny dokument, który wkrótce zaczęto nazywać Kartą Kruegera, ponieważ widniał na nim podpis generała, nakazywał każdemu, kto tylko podlegał generałowi, udzielenie osobie posiadającej tę kartę wszelkiej niezbędnej pomocy. I rzeczywiście karta działała cuda, aczkolwiek porucznik Sumner spotkał się z faktem jej zakwestionowania. Zdarzyło się to na Filipinach. Sumner wręczył tę kartę oficerowi do spraw zaopatrzenia w 158. pułkowym zespole bojowym, żądając dwustu-trzystu karabinów plus naboju i granatów - wszystko dla filipińskich partyzantów. Odpowiedź oficera brzmiała:

- Nie, do cholery!

- Świetnie - odparł Sumner i udał się do szefa sztabu, który chwycił za słuchawkę telefonu i zadzwonił do zaopatrzeniowca.

- Do diabła - wrzasnął - daj mu to, czego chce.

I Sumner odebrał wszystko od potulnego oficera.

\*\*\*

Przez cały czas swojego istnienia Zwiadowcy Alamo pełnili też rotacyjnie, zmieniając się co dziesięć dni, rolę osobistej obstawy generała Kruegera. Jeździli zawsze w trzy dżipy: w pierwszym dwóch zwiadowców i dwóch żandarmów, w drugim - Krueger ze swoim adiutantem oraz kierowcą, a w trzecim dowódca zespołu zwiadowców i reszta jego ludzi.

Jeżeli zaś Krueger szedł pieszo, zwiadowcy otaczali go, trzymając się w odległości siedmiu kroków.

Nie było to przykre zajęcie. Co prawda Krueger był twardym, szorstkim facetem, ale dla swoich żołnierzy miał mnóstwo serca.

Sumner wspominał inspekcję w 158. pułkowym zespole bojowym, jaką przeprowadził Krueger w sytuacji „nieco niebezpiecznej”. Dosłownie czterysta metrów od linii frontu, gdy nad głowami przelatywały pociski artyleryjskie, w dżungli tuż obok eksplodowały granaty, a serie z karabinów maszynowych cięły liście i gałęzie pobliskich drzew, Krueger przeszedł wzdłuż linii piechoty, zatrzymując się, aby porozmawiać z żołnierzami.

- Kiedy ostatnio coś jadłeś, synu? - spytał. - Kiedy zmieniałeś ubranie? Czy dostałeś ostatnio jakieś listy? Pokaż mi swoją broń.

Cały ten czas zdenerwowany Sumner wyobrażał sobie siebie przed sądem wojennym, gdyby generał zginął od kuli.

Dbanie o bezpieczeństwo Kruegera wiązało się niekiedy z prawdziwym zagrożeniem. Wilbur Littlefield wspominał, że gdy jego zespół chronił generała w listopadzie 1944 roku na Leyte, generał uparł się, by zatrzymać się w dowództwie dywizji. Chciał, żeby zwiadowcy mogli zjeść uroczystą kolację z okazji Dnia Dziękczynienia.

\*\*\*

Przez sześć pierwszych miesięcy 1944 roku wojska MacArthura nieprzerwanie spychały Japończyków na zachód, kilometr po kilometrze oczyszczając, ale i znacząc krwią północne wybrzeże Nowej Gwinei. Z nastaniem maja już połowa drugiej co do wielkości wyspy świata znajdowała się pod kontrolą aliantów i teraz MacArthur chciał wyswobodzić od Japończyków Wakde, maleńką wysepkę nieopodal brzegów Nowej Gwinei; na Wakde znajdowało się doskonałe lotnisko. Myślał też o zajęciu półwyspu Ptasia Głowa, nazwanego tak od swojego kształtu, najbardziej na zachód wysuniętej części Nowej Gwinei. Jednak między tym miejscem a Holandią, która poddała się w końcu kwietnia, rozciągało się niemal tysiąc kilometrów wybrzeża, bronionego przez uzbrojonych i dobrze karmionych żołnierzy 2. Cesarskiej Armii Japońskiej. Dopóki Ptasia Głowa nie została zajęta, dopóty znajdujące się w tamtejszych bazach samoloty stanowiły poważne zagrożenie dla tyłów posuwającej się w stronę Filipin armii MacArthura.

Siedemnastego maja MacArthur ruszył na Wakde i Sarmi, a dziesięć dni później amerykańskie wojska wylądowały na wyspie Biak, wysuniętej najbardziej na północ, a równocześnie największej z Wysp Schoutena, leżącej przy krańcu zatoki Geelvink. Operacja na Biak trwała do 20 sierpnia i kosztowała życie około czterystu amerykańskich żołnierzy,

pięciuset zaginionych, dwa tysiące rannych i siedem tysięcy dwustu leżących w środku dżungli chorych na tyfus i gorączkę denga. Japończycy stracili co najmniej cztery tysiące siedmiuset żołnierzy (zabitych i zaginionych), a dwustu dostało się do niewoli.



*Lądowanie żołnierzy z 163. pułku piechoty na plażach wyspy Wakde*

Przez cały ten czas Zwiadowcy Alamo byli gotowi do działania. W międzyczasie zmienił się dowódca jednostki. W maju generał Krueger, zadowolony z tego, jak świetnie przygotował on zwiadowców do wykonywania powierzanych im zadań, awansował go na oficera wywiadu 6. Armii. Z kolei Homer Williams, zastępca Bradshawa, został majorem i przejął od byłego dowódcy nadzór nad codziennymi sprawami Zwiadowców Alamo. Na swojego zastępcę Williams wybrał majora Gibsona Nilesa, pochodzącego z miasta Albany w stanie Nowy Jork, który w kwietniu 1944 roku wziął udział w zwiadzie na tyłach linii japońskich. Przed lądowaniem aliantów w Hollandii i Aitape, czyli przed 22 kwietnia, Niles, licząc na to, że nieprzyjaciel da się nabrać, umyślnie zostawił w pontonie notes z zapiskami pilota. Były tam zanotowane nieprawdziwe plany dotyczące amerykańskiej inwazji, potwierdzające podejrzenia Japończyków, że nastąpi ona w rejonie zatoki Hansa leżącej u ujścia rzeki Sepik, a więc daleko na wschód od faktycznie wybranego miejsca. Oprócz tego

była tam mowa o „zrzutach zapasów”. Fortel się udał.

Dwudziestego drugiego czerwca szkolenie ASTC w Mange Point ukończył trzeci nabór, z którego utworzono cztery zespoły. Na ich czele stanęli porucznicy: Robert S. Sumner, Wilbur F. Littlefield, William B. Lutz i Arpad Farkas. Teraz Homer Williams dysponował już dziesięcioma zespołami, czyli sześćdziesięcioma ośmioma świetnie wyszkolonymi zwiadowcami. Cztery dni po ukończeniu szkolenia Zwiadowcy Alamo zostali przeniesieni na przylądek Kassoe nieopodal Zatoki Humboldta, ponieważ chodziło o to, aby znajdowali się w pobliżu głównego dowództwa 6. Armii.

\*\*\*

Pod koniec czerwca nie znoszący bezczynności MacArthur był gotów do następnego kroku. Tym razem chodziło o wyspę Numfoor, wysuniętą najdalej na zachód ze wszystkich Wysp Schoutena, która, podobnie jak położona sto dwadzieścia kilometrów na wschód wyspa Biak, znajdowała się na krańcu zatoki Geelvink.

Owalna w kształcie wyspa Numfoor, nosząca teraz zakodowaną nazwę „Tabletennis”, miała dwadzieścia dwa kilometry długości i trzynaście kilometrów szerokości, a znajdowały się na niej trzy lotniska: Namber nad zatoką Roemboi, Kamiri w zachodniej części i na północy niedokończone jeszcze lotnisko Kornasoren.

Większość wybrzeża tej wyspy, szczególnie od strony zachodniej, stanowią porośnięte mangrowcami trzęsawiska. Na tych gęsto zarośniętych mokradłach również kryje się kilka małych wysepek, utrudniających dostęp do największego zbiornika wody pitnej na Numfoor, położonej na północnym wschodzie zatoki Broe. Pięć tysięcy ludzi, którzy w czasie wojny zamieszkiwali tę wyspę, skupiło się przeważnie wzdłuż południowego i północnego wybrzeża.

Na wyspie mieściły się kwatery główne oddziału obrony wyspy Numfoor z 219. pułku piechoty 35. Dywizji wraz z doborowymi oddziałami i personelem technicznym. W skład tych ostatnich wchodziło sześciuset mieszkańców Formozy i dwa tysiące Jawajczyków traktowanych jako siła niewolnicza. Wojska pod dowództwem pułkownika Shimizu Suesady liczyły około dwóch tysięcy, aczkolwiek zdaniem wywiadu MacArthura było tam trzy tysiące dwustu japońskich żołnierzy.

Datę desantu wyznaczono na 2 lipca na Żółtej Plaży, pasie szerokości około siedmiuset trzydziestu metrów, zaraz na zachód od lotniska Kamiri. Dwa zespoły Zwiadowców Alamo pod dowództwem Johna McGowena i Woodrowa Hobbsa wysłano wcześniej, przed siłą uderzeniową. Cyclone Task Force miała wyruszyć z Wakde-Sarmi nocą z 29 na 30 czerwca.

Dwaj Teksaszczykowie - McGowen pochodził z Amarillo, a Hobbs z Fort Worth - i ich ludzie siedzieli od 21 do 23 czerwca na plaży, licząc Japończyków, sprawdzając ich możliwości obronne i morale, które, sądząc po zaniedbanym wyglądzie oraz po tym, że wielu z nich było nieuzbrojonych, ocenili jako niskie. Dostrzegli trzy czołgi, chyba Typ 1, uzbrojone w działa 47 milimetrów i po dwa karabiny maszynowe 7,7 milimetra.

Zadanie zwiadowców polegało także na zbadaniu Żółtej Plaży. Było to dość piaszczyste zbocze w odległości dwunastu-osiemnastu metrów od linii wody kończące się lasem. Ciemną nocą zwiadowcy przez dwie godziny brodzili po szyję w wodzie wzdłuż brzegu i starali się znaleźć przejście wśród rafy koralowej.

W końcu zauważyli ich Japończycy, ale Amerykanie byli szybsi. Dopadli do swoich pontonów i odpłynęli do kutra torpedowego, tak że udało się uniknąć wymiany ognia. Przynajmniej na lądzie. Na morzu kuter musiał uciekać przed myśliwcem, który wystartował z lotniska Kamiri. Nikt nie zginął, a kuter został tylko trochę uszkodzony.



*Japoński czołg średni Typ 1 Chi-He*

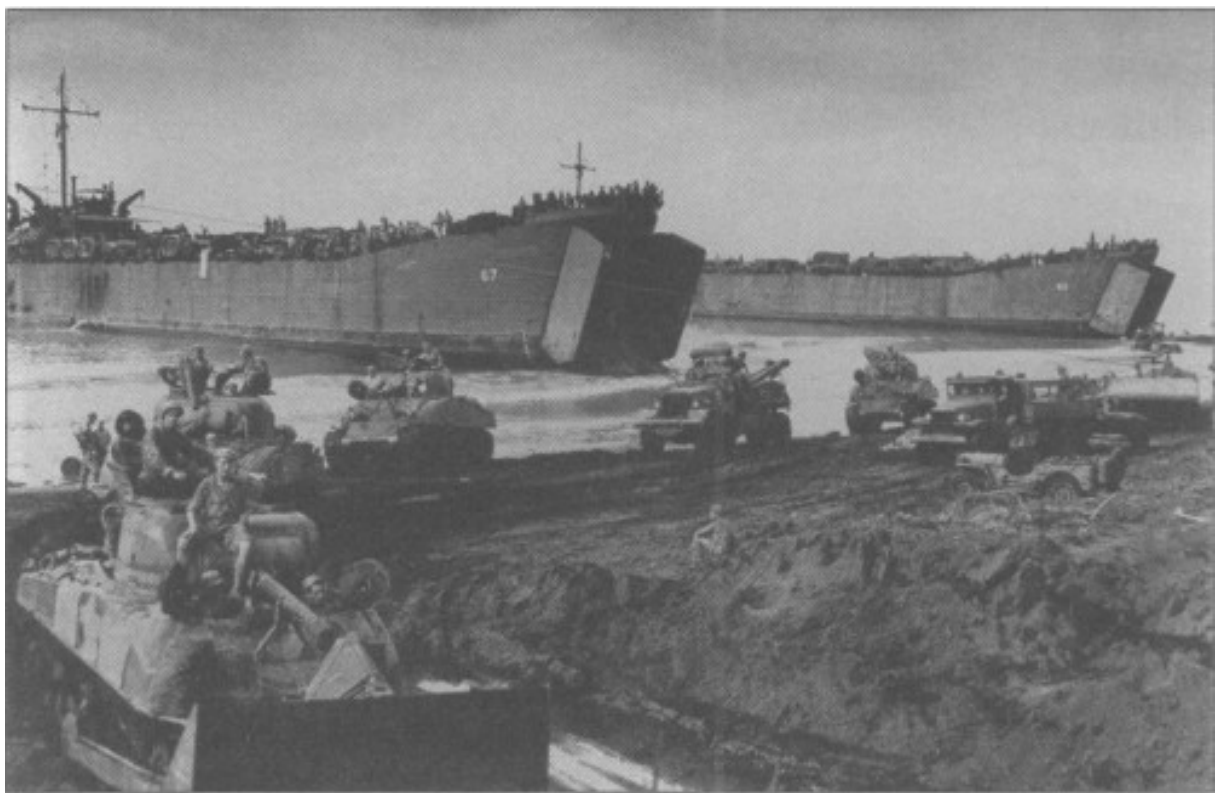
Informacje zebrane przez zwiadowców miały duże znaczenie dla planowanej inwazji, chociaż te dotyczące liczebności Japończyków okazały się bardzo przesadzone: siły wroga oceniono na blisko pięć tysięcy ludzi.

\*\*\*

Trzy dni po inwazji, 5 lipca, Hobbs wraz z dwoma ludźmi ze swojego zespołu wypłynęli kutrem torpedowym z wyspy Woendi na małą wysepkę Yapen, niedaleko Numfoor. W wiosce Ansoes szybko rozbili obóz i wzięli do niewoli dostarczającego Japończykom informacji kapitana szkunera kursującego między wysepkami. Szkuner został

ostrzelany przez amerykańskie samoloty, a kapitana schwytano miejscowa ludność i teraz przekazała go zwiadowcom. Hobbs zabrał więźnia. Gdy zwiadowcy wracali pontonem do kutra torpedowego, jego radar namierzył coś, co wydawało się nieprzyjacielską barką. Po kilku pełnych napięcia chwilach okazało się, że ta barka to w rzeczywistości fragment lądu.

Niedługo po powrocie Hobbs wraz z sierżantem sztabowym Leonardem Scottem, sierżantem Raymondem Watsonem (australijskim oficerem, który ukończył ASTC), Holendrem porucznikiem Louisem Rapmundem oraz miejscowym przewodnikiem wyruszyli z nową misją. Po pierwsze mieli monitorować ruch japońskich barek desantowych w Seroei, na południe od wybrzeża Numfoor. Płynąc pontonem do portu, zwiadowcy dostrzegli tylko jedną, bardzo zniszczoną barkę leżącą na brzegu.



*Wyladunek czołgów Sherman z okrętów desantowych LST, wyspa Numfoor*

Płynąc dalej na pobliską wyspę Naoe, schwytali tubylca, oskarżonego o szpiegostwo na rzecz Japończyków. Misja zwiadowców dobiegła końca następnego dnia na wyspie Koeroedoe leżącej między Yapen i zachodnim krańcem Nowej Gwinei. Tam wypatrzyli japońskie bunkry na wybrzeżu i w górach oraz nanieśli na mapę umocnienia na plaży i w porcie Manokwari.

Pomimo że wojska amerykańskie parły naprzód, siły wroga i to zarówno te przed nimi, jak i te, które MacArthur ominął, atakując wybrzeże Nowej Gwinei, wciąż otrzymywały posiłki, barki desantowe przywoziły coraz to nowych żołnierzy. Z obawy przed

amerykańskimi nalotami płynęły one głównie nocą, przeczekując dzień w ukryciu.

I właśnie namierzenie tych kryjówek powierzono Zwiadowcom Alamo.

# ROZDZIAŁ 6

## „Całe wybrzeże to była jedna łuna płomieni”

Patrol Sumnera: zatoka Geelvink, holenderska Nowa Gwinea, 21-22 lipca 1944

Zespół porucznika Roberta „Rudzielca” Sumnera nie dostawał żadnego zadania, dopóki nie ukończył szkolenia w ASTC w Mange Point nieopodal Finschhafen, co nastąpiło 22 czerwca. Dlatego też Sumner nie posiadał się z radości, kiedy 10 lipca otrzymał rozkaz stawienia się w bazie kutrów torpedowych, czyli na wyspie Woendi. To oznaczało akcję, działanie.

Robert Sumner posłał sierżanta Lawrence’a E. Colemana, aby pobrał wyposażenie dla całego zespołu, po czym zebrał swoich ludzi. Chciał powtórzyć z nimi to, czego nauczyli się na szkoleniu, a przede wszystkim obchodzenie się z pontonem, obsługę radia, sztukę survivalu w dżungli oraz przeprowadzanie zwiadu. Zakończyli wizytą na strzelnicy i wypróbowaniem broni.

Większość zwiadowców używała karabinów lub Thompsonów, ale Coleman wybrał sobie najnowszy model M3 kaliber 7,62 mm. Wziął także moździerz 60 milimetrów oraz karabin maszynowy BAR<sup>20</sup> chociaż, jak się później okazało, zarówno moździerz, jak i Browninga zostawił w obozie.



*Samoloty transportowe Douglas C-47 Skytrain*

Osiemnastego lipca przed świtem zespół Sumnera wsiadł na półciężarówkę, która błyskawicznie zawiozła go na lotnisko koło Sentani. Tam czekał już gotowy do startu transportowy C-47. Zwiadowcy nie zdążyli nawet usiąść na krzeselkach umocowanych po

---

<sup>20</sup> BAR - skrót od M1918 Browning Automatic Rifle. Ręczny karabin maszynowy używany przez siły zbrojne Stanów Zjednoczonych głównie podczas II wojny światowej. Został zaprojektowany w 1917 r. przez Johna Browninga (przyp. JB).



obu stronach wzdłuż kadłuba, gdy samolot rozpędziwszy się na pasie, wzniósł się w powietrze i skierował na północny wschód. Lecieli niemal tysiąc kilometrów najpierw nad cieśniną Vitiaz, a potem nad otwartym oceanem ku leżącej u ujścia zatoki Geelvink wyspie Biak. Około dziesiątej trzydzieści rano C-47 wylądował na lotnisku Borokore, jednym z trzech, jakie znajdowały się w południowej części wyspy Biak, graniczącej z cieśniną Yapen. Po opuszczeniu samolotu zwiadowcom kazano siedzieć w namiocie, a niedaleko stamtąd bateria dział 105 milimetrów ostrzeliwała nieprzyjacielskie pozycje w głębi wyspy.

- Ostrzeliwiają Japończyków? - spytał zdumiony starszy szeregowy Edward Renhols.

- No, przecież chyba nie polują na kaczki - odpowiedział mu kapral William F. Blaise.

- W tej części wyspy wciąż jest gorąco - wyjaśnił Sumner. - Zapuścisz się za daleko w głąb dżungli i może się okazać, że twoja głowa wyląduje wśród trofeów w gabinecie jakiegoś japońskiego oficera.

Ostrzał trwał dzień i noc, nękając zarówno Japończyków, jak i Zwiadowców Alamo, gdyż ani jednym, ani drugim nie dawał spać.

Dwudziestego lipca Sumner ze swoimi ludźmi wsiadł na kuter torpedowy, który po trzech godzinach dowiózł ich do dowództwa 6. Armii, na wyspę Woendi (na południowy zachód od Biak), gdzie był również port macierzysty kutrów. PT z zespołem Sumnera stanął przy jednym z długich pomostów wyrastających w morze od piaszczystego brzegu plaży. Na ich powitanie wyszedł John McGowen, postać już niemal legendarna - to on i jego zespół w lutym wyruszyli jako pierwsi Zwiadowcy Alamo wypełnić powierzone im zadanie.

- Cześć, Rudzielcu - powitał McGowen Sumnera. - Witajcie w Woendi. Wygląda na to, że będę waszym punktem kontaktowym. Pomogę wam się zakwaterować, a potem czeka was odprawa z oficerem operacyjnym 21. eskadry kutrów torpedowych.

Mężczyźni przerzuciwszy broń i ekwipunek przez ramię, poszli za McGowenem do swoich tymczasowych kwater. Po drodze Sumner dowiedział się, że przewiezie ich 21. eskadra kutrów torpedowych, jedna z wielu operujących na wodach wokół wyspy Woendi. Dowodził nią komandor porucznik Selman S. Bowling. W jej skład wchodziło pięć kutrów: PT-128, PT-131, PT-132<sup>21</sup>, PT-320 i PT-321. Wszystkie one miały dwadzieścia cztery metry długości i były produkcji Elco Naval Division z Electric Boat Company.

Na wieczorną odprawę stawili się oprócz Bowlinga zwiadowcy, kapitanowie trzech kutrów oraz oficer operacyjny. W pokoju rzucała się w oczy przypięta do korkowej tablicy mapa Nowej Gwinei, a przede wszystkim jej wschodniego wybrzeża.

---

<sup>21</sup> Z archiwów amerykańskiej marynarki wojennej wynika, że PT-132 został przeniesiony z 7. eskadry do 21. eskadry dopiero 15 lutego 1945 roku, a akcja, o której mowa w tym rozdziale miała miejsce latem 1944 roku (przyp JB).

- Lampka wykrywająca dym jest zapalona. - Oficer przypomniał to stare marynarskie powiedzenie, sygnalizujące, że wolno palić, gdyż proch strzelniczy jest zmagazynowany w bezpiecznej odległości. Niektórzy mężczyźni wyciągnęli papierosy, inni nie.

- Widziałem wiele japońskich barek kursujących tu w pobliżu przylądka Oransbari, na południe od wioski Manokwari - zaczął oficer. - Według nas zawijają gdzieś w pobliżu tej wioski, być może mają tu punkt uzupełniania paliwa albo zabierają i przewożą zaopatrzenie i amunicję z zachodniej części Nowej Gwinei do swojego garnizonu, który wciąż stacjonuje na wybrzeżu nieco dalej na wschodzie. W zielonej gęstwinie nasze samoloty nie dają rady niczego wypatrzyć, a kutry też nie mogą podpłynąć zbyt blisko. I właśnie dlatego wy, zwiadowcy, jesteście tu potrzebni. Dziś jest noc bezksiężycowa; o dwudziestej trzeciej przewieziemy was na pewną odległość od brzegu. Postaracie się rozpracować teren i sprawdzić, gdzie Japończycy mają swoją bazę zaopatrzeniową, o ile rzeczywiście ją mają. Jeśli ją zlokalizujecie, naniesiecie na mapę, a nasze chłopaki już się do niej dobiorą. Zabierzemy was dwadzieścia cztery godziny później, a jeżeli z jakichś powodów się nie stawicie, to będziemy na was czekać o dwudziestej trzeciej trzydzięci przez dwie kolejne noce. Będziemy się porozumiewać za pośrednictwem radia SCR-300. Waszym punktem kontaktowym jest porucznik McGowen.

- Popłyniemy trzema PT: 128, 131 i 132 - wtrącił Bowling. - Wy, chłopaki, będziecie na PT-132 wraz z chorążym Jonesem - tu wskazał na młodego dowódcę. - Dwa pozostałe kutry będą daleko w morzu, za linią horyzontu, a więc niewidoczne, ale w razie czego gotowe do ostrzału nieprzyjaciela.

- Są jakieś pytania? - zapytał McGowen, a ponieważ żadne nie padło, rozkazał zwiadowcom coś zjeść i sprawdzić sprzęt. - Wyruszamy za dwie godziny - dorzucił.

\*\*\*

Przez cieśninę łączącą zatokę Geelvink z oceanem przepłynęli samotnie. W ciemną, bezksiężycową noc, w atramentowej czerni oceanu niemal nie dało się określić, w którym miejscu kończy się zatoka, a zaczyna Pacyfik.

Trzy kutry torpedowe z warkotem silników przecinały noc. PT-132, zwany przez załogę „Sea Bat”, płynął obok PT-128 „Tug Boat Annie”, a PT-131 „Tarfu”, był na sterburcie.



*Kuter torpedowy PT-132 „Sea Bat”, na którego pokładzie zwiadowcy często udawali się na różne misje*

Przez większą część tej podróży Sumner oraz ludzie z jego zespołu, a więc: Coleman, Renhols, Blaise, starszy szeregowy Paul B. Jones (przypadkowa zbieżność nazwisk z dowódcą kutra), kapral Robert T. Schermerhorn i starszy szeregowy Harry D. Weiland, wraz z porucznikiem Henrym Swartem z armii Holenderskich Indii Wschodnich, pełniącym tu rolę tłumacza, siedzieli pod pokładem, pomimo mocnego kołysania kutra próbując nieco odpocząć.

Robert Sumner był urodzonym przywódcą i cieszył się zasłużonym szacunkiem kolegów. Szybko oceniał sytuację i podejmował słuszne decyzje. Wstąpiwszy do wojska zaraz po ukończeniu college'u, czuł się w nim, pomimo surowej dyscypliny i ciężkiego treningu, jak ryba w wodzie. Uważał, że jest stworzony do armii, i wydawało mu się, że jest żołnierzem od niepamiętnych czasów, niemal od epoki Juliusza Cezara.

Mniej więcej o dwudziestej drugiej trzydziści, siedem i pół kilometra od wybrzeży półwyspu Ptasia Głowa, Paul H. Jones, dowódca „Sea Bat”, który dowodził tą składającą się z trzech kutrów torpedowych flotyllą, włączył tłumiki kierujące spaliny do wody, a tym samym wyciszające, na ile się tylko dało, silniki Packarda. „Tug Boat Annie” i „Tarf” pozostały w tyle, a PT-132, kierując się radarem oraz kształtami lądu, o ile tylko dało się cokolwiek dostrzec w panujących ciemnościach, zbliżył się do brzegu. Patrol Sumnera, wszyscy z pomalowanymi twarzami i z naszykowanym sprzętem, przygotowali ponton.

Pół godziny później „Sea Bat” stanął dziewięćset metrów od brzegu. Przez burtę przerzucono ponton. Dwóch marynarzy trzymało cumy, aby ponton nie odpłynął, zwiadowcy wsiedli do niego, z tyłu usiadł Sumner z kompasem, po czym odpłynęli.

Fale były nieduże, łagodne, więc dotarli do brzegu bez przeszkód, chociaż

zdenerwowany chorąży Jones spostrzegł na swoim radarze coś dziwnego i bał się, że mogą to być japońskie niszczyciele, ale raczej się mylił.

Zwiadowcy wyskoczyli z pontonu i wciągnęli go na plażę, a potem jeszcze ze trzydzieści metrów, aż do linii drzew, i dopiero tam padli na ziemię i w absolutnej ciszy przez dobry kwadrans czekali, czy nie usłyszą bądź nie ujrzą czegoś, co świadczyłoby, że zostali zauważeni. Potem Sumner delikatnie uderzył w metal swojego M1A1<sup>22</sup>, co znaczyło, że jest czysto, i zwiadowcy wypuścili powietrze z pontonu. Syk przy tym był taki, że zdaniem Sumnera słyszeć go było chyba w Hollandii.



*Karabinek M1A1 Carbine*

Teraz Renhols włączył radio, poczekał, aż się rozgrzeje, i wyszeptał:

- Rudy jeden.

To był sygnał oznaczający, że zwiadowcy dotarli na brzeg i że wyruszają dalej. Gdyby powiedział „Rudy jeden. Odbiór” - to oznaczałoby, że mają kłopoty i muszą wracać. McGowen odpowiedział:

- Mac jeden.

Renhols wyłączył radio.

Tymczasem PT-132 cicho odplynęła i dołączyła do dwóch pozostałych. Stały sobie teraz daleko, niewidzialne z brzegu, ale gotowe w razie potrzeby. Zasięg radia na wodzie wynosił osiemdziesiąt kilometrów, a więc wezwanie kutra nie powinno stanowić problemu, tym bardziej że radio McGowena miało być cały czas włączone.

Tymczasem zwiadowcy zakopali ponton i radio w miękkim piasku w zagajniku. Sumner i Swart stali na czatach.

Teraz Sumner dał ręką znać, by szli za nim, i skierował się w głąb lądu. Mniej więcej pięćdziesiąt metrów szli przez rzadką dżunglę, aż dotarli do uczęszczanego szlaku, biegnącego równoległe do brzegu. Idąc obok niego, doszli do niewielkiej polany, gdzie

---

<sup>22</sup> M1A1 była to opracowana w 1942 roku dla spadochroniarzy wersja karabinku M1 Carbine wyposażona w składaną na bok kolbę (przyp. JB).

Sumner kazał się zatrzymać.

- Tutaj odpoczniemy - wyszeptał do zgromadzonych wokół siebie zwiadowców. - Coleman, dwóch stoi na czatach, zmiana co dwie godziny.

Trudno było tak od razu zasnąć. Budził ich każdy najmniejszy dobiegający z dżungli dźwięk - szmer liści, krzyk ptaka czy hałas robiony przez przedzierające się przez gąszcz zwierzę. Ale w końcu zasnęli.

Sumner obudził ich tuż przed piątą i, jak to ćwiczyli wiele razy, kazał im uformować kółko o średnicy około ośmiu metrów. On sam był w środku, kontrolując ruchy innych. A oni mieli iść, pochyleni, wyłapując oczami i uszami najmniejszy hałas czy poruszenie. Po piętnastu minutach Sumner uderzył w swój karabin, i wskazał na lewo. Na ten sygnał całe koło skrzyło w lewo i znów się zatrzymało. Kolejnych piętnaście minut i znów to samo. Ostatni taki zwrot sprawił, że znaleźli się po stronie szlaku od strony morza.

Sumner spojrział na mapę. Około pięćdziesięciu metrów na północ powinno znajdować się ujście rzeki wpadającej w tym miejscu do morza. Byli niedaleko. Studiując mapę, Sumner usłyszał dobiegający od wody warkot silnika.

Znowu dwa uderzenia w kolbę karabinu i cały zespół zebrał się wokół Sumnera. Dowódca kazał wszystkim iść za sobą. Jak najciszej skierowali się w stronę, skąd dobiegał warkot.

Brzegi rzeki, a właściwie błotnistej, brązowej wstęgi wolno płynącej wody, po obu stronach porastały gęste, wysokie trawy. Leżąc w trawie, zwiadowcy zobaczyli japońską barkę płynącą w stronę morza.

Sumner nie rozumiał, dlaczego barka wyruszyła rankiem - zaczynało już świtać; zazwyczaj pływały nocą. Z niepokojem przyglądał się długiej na dziesięć metrów barce, na której pokładzie widać było dwa lekkie karabiny maszynowe. Przepływała obok nich z prędkością szesnastu kilometrów na godzinę. Dotarłszy do morza, barka skrzyła i skierowała się na południe.

Sumner poprowadził swoich ludzi na brzeg, aby obserwować kurs barki, dopóki nie zniknęła im z oczu. Jednak nie byli w stanie powiedzieć, co przewoziła, dostawy czy ludzi.

\*\*\*

W tropikach świt następuje zdumiewająco szybko. O szóstej piętnaście coraz to rzadziejająca ciemność nagle przerodziła się w jasny dzień, a słońce jakby wyskoczyło na wschodzie z oceanu. Sumner wraz ze swoimi ludźmi wrócił nad rzekę. Usiedli i starali się podsumować wszystko, co zaobserwowali. Tutaj też, w zaroślach, zjedli śniadanie, to znaczy dwunastogramowy batonik, który popili wodą. Nadal zachowywali się bardzo cicho, z uwagą

obserwując otoczenie.

Jedząc batonik, Sumner dokonał pewnego spostrzeżenia: otóż niecałe dziewięćdziesiąt metrów od miejsca, w którym rzeka wpadała do oceanu, znajdowało się na niej kilka wysepek. Widać było wielkie drzewa, których gałęzie zwieszały się nad wodą, a pod nimi stały dwie japońskie barki. Co prawda nikogo nie było widać, ale wyczuli niesiony przez poranną bryzę znajomy zapach ogniska i gotowanego jedzenia. Szykowano śniadanie.

Dobiegające głosy świadczyły, że musi być tam zacumowanych więcej barek.

- Te drzewa dają świetną osłonę - wyszeptał Blaise. - Nic dziwnego, że nasi lotnicy nie mogą niczego wypatrzeć.

- Taaak - również szeptem odpowiedział mu Sumner. - Tutaj to może sobie stacjonować nawet połowa japońskiej marynarki, a nasi chłopcy i tak by niczego nie zobaczyli.

Zwiadowcy obserwowali teren jeszcze przez dobre pół godziny, a Sumner robił notatki. Potem wstał i dał znak, by podążali za nim. Teraz szli równoległe do brzegu morza, trzymając się jednak z dziewięć metrów od linii plaży.

Przeszli około czterystu metrów, gdy na plaży natknęli się na ruiny ośmiu domostw tubylców. Sumner dał im znak, by się rozproszyli i trzymając broń w pogotowiu, zakradli się do wioski. Chaty, z których trzy stały bezpośrednio na ziemi, a pięć na palach, były puste, ale znalezione puszki po żywności, niedopałki papierosów oraz gwoździe świadczyły, że jeszcze niedawno okupant tu był.

- Punkt obserwacyjny? - spytał Jones.

Sumner skinął głową.

- Z jednej z tych chat na palach widać zatokę na trzydzieści parę kilometrów w każdym kierunku - dodał Swart.

- To dlaczego ich tu nie ma? Gdzie są? - zapytał Sumner.

Jakby w odpowiedzi z oddali padły strzały z karabinu maszynowego, trzy pociski, każdy wystrzelony z innego miejsca. Amerykanie błyskawicznie pochowali się dokoła chat.

- Skąd...? - zapytał Coleman.

- Jakieś siedemset pięćdziesiąt metrów stąd na południe - odparł Sumner.

- Dobry Boże, czy oni nas zobaczyli? Kiedy? Jak? - zastanawiał się Schermerhorn.

- Siedź cicho - przykazał mu Sumner i zwiadowcy leżeli bez ruchu, pocąc się tak strasznie, aż Sumner bał się, że Japończycy wyczują ich na pół kilometra.

Jednak więcej już żadne strzały nie padły.

- Chyba jakiś strzelec czyścił broń - powiedział Sumner. - Sprawdźmy. Weiland idzie

pierwszy, Schermerhorn ostatni.

Drużyna ruszyła cicho w kierunku, z którego padły strzały, gdy nagle rozległ się szept Schermerhorna:

- Padnij.

Ścieżką od strony północnej, a więc z tyłu zespołu, szła piątka tubylców: dwóch mężczyzn, kobieta i dwoje dzieci. Na znak Sumnera zwiadowcy wyszli z krzaków i otoczyli ich. Sumner wyobrażał sobie, jak bardzo przybysze musieli się przestraszyć, gdy nagle pojawiło się dokoła nich siedmiu uzbrojonych po zęby białych z pomalowanymi twarzami.

- Są śmiertelnie przerażeni - powiedział do Swarta. - Zejdźmy z tej drogi i wypytajmy, co wiedzą.

Zwiadowcy zaprowadzili tubylców w głąb dżungli. Swart przemówił do nich po malajsku, a więc w języku używanym przez większość tubylców Holenderskiej Nowej Gwinei. Najpierw uspokoił ich, wskazując na znaczek Holenderskich Indii Wschodnich na swojej czapce oraz na litery na naszywce na rękawie, które większość dorosłych mieszkańców Nowej Gwinei znała sprzed wojny. Następnie Swart zaczął wypytywać tubylców o Japończyków, a Sumner nawet co nieco z tego rozumiał, bo trochę znał malajski.

Swart otworzył paczkę z racją żywnościową i dał kobiecie i dzieciom po lizaku. Otworzył też paczkę cukierków. Mężczyźni poprosili o tytoń, ale Sumner wyjaśnił im w najlepszym na jaki go było stać malajskim, że boi się, iż jakiś przechodzący obok patrol japoński poczuje zapach dymu papierosowego. Tubylcy zapewnili go, że w pobliżu nie ma żadnych Japończyków. Nadal pełen wątpliwości, zwłaszcza że wcześniej słyszał strzały z karabinu maszynowego, Sumner dał mężczyznom kilka papierosów, które ci natychmiast zapalili.

Kiedy tubylcy się rozluźnili, rozwiązały się im języki. Za pośrednictwem Swarta powiedzieli Sumnerowi, że na rzece jest dziesięć- dwanaście barek desantowych i około sześćdziesięciu Japończyków, dowodzi nimi porucznik. Barki służą jako środek transportu i miejsce zakwaterowania. Przewozi się nimi żywność, amunicję oraz posiłki do garnizonów znajdujących się dalej na południe.

- Ten człowiek mówi, że jest tu ogromny zbiornik z benzyną mający mniej więcej sześć metrów średnicy i cztery i pół metra wysokości, jak również wiele baryłek z paliwem i kilka miejsc do cumowania - informował Swart. - Mają mnóstwo amunicji, ale nie za wiele jedzenia. Mieszkają też w kilku rozrzuconych domkach.

- Czy są tu jeszcze jacyś Japończycy oprócz tych sześćdziesięciu na barkach? - dopytywał się Sumner.

Swart przetłumaczył, a potem powiedział:

- Około dwustu, ale z kilometr stąd.

- A więc dwudziestu na każdego z nas - mruknął Sumner, obserwując rozmowę z tubylcami i rysowaną przez nich na ziemi mapę, na której zaznaczali patyczkami punkty, nie przestając palić papierosów, których już zbyt wiele zwiadowcom nie zostało.

- Japońce mają tam w tej swojej bazie zaopatrzeniowej stację radiową - powiedział Swart. - Ale ci tu nie wiedzą, z kim tamci się kontaktują. Wiedzą jedynie, że jest tam głośnik i czasem słychać głośną muzykę. Myślę, że chcą w ten sposób szerzyć japońską kulturę.

- Kulturę... W dupie z taką kulturą - mruknął Coleman.

Tubylcy mówili, że mieszkają w pobliskiej wiosce liczącej około dwudziestu mieszkańców, którzy zaniepokoją się, jeśli nie będą zbyt długo wracać. Sumner dowiedział się, że mężczyźni musieli pracować dla Japończyków, ładując i nosząc amunicję, kopiąc okopy i schrony oraz wykonując inne prace fizyczne. Płacono im miejscową walutą, tytoniem i czasem ryżem, lecz widząc, jak są chudzi, Sumner doszedł do wniosku, że nie płacono im tyle, co trzeba.

Niektórzy z mężczyzn zajmowali się łowieniem ryb, ale połowy zabierali Japończycy, płacąc mniej więcej jedną czwartą tego, co należało.

Po godzinie Sumner był pewien, że dowiedział się wszystkiego, czego chciał, ale co miał teraz zrobić z informatorami?

- Czy myślisz, że nas wydadzą, jeżeli ich puścimy? - zapytał Blaise dowódcę.

- A co innego możemy zrobić? - odpowiedział Sumner. - Przecież ich nie zwiążemy, bo gdy ich znajdą, to zaraz cała wyspa się o nas dowie. Musimy mieć nadzieję, że woleli swoich poprzednich rządzących, to znaczy Holendrów, od Japończyków.

W celu umocnienia znajomości Sumner dał tubylcom tytoń, a kobiecie i dzieciom jeszcze trochę cukierków. Swart zapisał sobie w bardzo urzędowo wyglądającym notesie ich imiona i obiecał, że jeśli będą współpracować, to po wojnie zostaną wynagrodzeni.

- Kupić wszystko i dobra zapłata - powiedział Sumner w kulawej angielszczyźnie.

Tubylcy poszli sobie, a zwiadowcy zakopali wszystkie niedopałki papierosów, resztki żywności i papierki z opakowań, nie zapomnieli o zatarciu narysowanej na piasku mapy i ruszyli nad brzeg rzeki, aby przyjrzeć się lepiej bazie zaopatrzeniowej.

Dostrzegli jeszcze kilka barek desantowych. Kilkaset metrów od nich znajdował się wielki zbiornik na paliwo, o którym wspominali tubylcy, niewidoczny z samolotu, gdyż przykrywały go zwisające gałęzie drzew. Sumner nanosił różne rzeczy na mapę, podczas gdy reszta prowadziła obserwację. Nie widzieli japońskich żołnierzy, ale słyszeli ich.



- Ciekawe, o czym rozmawiają - wyszeptał Weiland.

- Pewnie przeklinają pracę i dowódców, nędzne żarcie i zasraną służbę - odpowiedział mu Jones.

- Zamknijcie się, albo skończymy na talerzach Japończyków - upomniął ich Sumner, cały czas pracowicie notując.

Zaobserwowawszy wszystko, co się dało, chłopcy wycofali się w stronę plaży, z której rano widzieli barkę. Po drodze znaleźli wydłubane z jednego pnia czółno, którym piątka tubylców przepłynęła się na brzeg, co wyjaśniało, dlaczego zaszli Sumnera i jego ludzi od tej strony. W miejscu, w którym stały zburzone chaty, zwiadowcy znowu usiedli i zjedli posiłek składający się z batonów, cukierków i wody.

Noc zapadła nad dżunglą nagle, jak zawsze w tropikach. Zwiadowcy wolno szli naprzód, do punktu, z którego mieli odpłynąć. Sto metrów od miejsca, gdzie ukryli ponton, Sumner postanowił, że muszą się trochę przespać. Usiedli, tworząc duże koło, dwóch miało pełnić straż, a reszta - spać. Ich nerwy były napięte niczym struny zarówno od niebywałego upału, jak i od stresu, toteż odpoczynek bardzo się przydał.

O wpół do jedenastej Sumner obudził swoich ludzi i ostrożnie poszli w stronę plaży. Zatrzymali się nieopodal miejsca, w którym ukryte były ponton i radio, i uklękli. Maksymalnie wyostrzywszy wszystkie zmysły, sprawdzali, czy aby Japończycy nie odkryli ich kryjówek i nie zastawili jakichś pułapek.

Wreszcie Sumner rozkazał wydobyć ponton, a Renhols i Jones mieli uruchomić radio i nawiązać kontakt. Przenieśli je do pobliskiej kępy zarośli, skąd mieli niczym nie zasłonięty widok na ocean, i włączyli radio.

Dokładnie tak jak to było umówione, a więc o jedenastej zero pięć, Renhols powiedział:

- Rudy jeden. Uwaga!

- Przyjąłem - padła natychmiastowa odpowiedź.

„Do cholery, Mac tam jest. Nawet nie słyhać, by kuter się zbliżał”, pomyślał sobie Sumner.

O jedenastej trzydzieści polecił nadmuchać ponton.

Zasyczał nabój z dwutlenkiem węgla, a dźwięk towarzyszący wypełnianiu się pontonu powietrzem rozniósł się w ciszy nocnej niczym wystrzał artyleryjski. Sumner wiedział, że to właśnie jest najniebezpieczniejsza chwila. Jeśli w okolicy znajdowali się jacyś Japończycy, czy to szukający ich, czy też zwykły patrol, albo któryś z nich po prostu poszedł się odlać, to usłyszawszy huk napełnianego pontonu, na pewno wloką dupy w ich kierunku.

Napełnianie pontonu trwało pięć minut, po czym Sumner spojrzął na Renholsa i skinął głową.

- Rudy jeden, start - wyszeptał Renhols przez radio.

- Przyjąłem - odpowiedział McGowen.

Renhols zarzucił radio na plecy. Wraz z Jonesem tworzyli straż tylną, podczas gdy Weiland, Blaise i Coleman ciągnęli ponton w stronę wody. Do Renholsa i Jonesa dołączyli Sumner, Swart i Schermerhorn, przy czym Sumner szedł, spoglądając na lewo, a Swart na prawo.

Kiedy już wszyscy oprócz straży tylnej siedzieli w pontonie, wsiadł do niego najpierw Jones, potem Schermerhorn. Sumner odepchnął ponton dalej na wodę i dołączył do kolegów.

- Płyniemy - powiedział i czterech zwiadowców zaczęło energicznie wiosłować.

Sumner pilnował kursu. Czwórka wiosłowała, Swart i Schermerhorn z bronią gotową do strzału ubezpieczali; oczywiście każdy z nich miał też wiosło, gotów w każdej chwili, w razie konieczności ucieczki, dołożyć siłę swoich mięśni.

Ponton prześlizgiwał się wśród fal i ani razu nie groziło mu zalanie. Wreszcie, gdy minęli rafę koralową, Sumner zwrócił się do Renholsa:

- Daj sygnał świetlny.

Renhols odłożył wiosło i wyciągnął zza pasa latarkę. Wycelował ją prosto na morze i dał alfabetem Morse'a znak R - kropka-kreska-kropka.

Zatrzeszczało radio i odezwał się McGowen:

- Rudy jeden, mam cię.

Nie użył sygnałów świetlnych, aby nikt stojący na brzegu nie mógł ich dostrzec. Oprócz uderzeń fal do uszu zwiadowców dobiegał tłumiony, niski warkot silnika kutra torpedowego. Kilka chwil później jakieś sto metrów na prawo od pontonu widać już było PT-132.

Zwiadowcy przybili do burty, ale od bezpiecznej strony, a więc tak, aby w razie ostrzelania od strony plaży osłaniał ich kadłub, rzucili liny, ponton zbliżył się do kutra i mężczyźni weszli na jego pokład. Z pomocą załogi „Sea Bat” wciągnęli ponton, a gdy drużyna porządkowała swój sprzęt, Sumner, McGowen i Jones, dowódca jednostki, zeszli do maleńkiej kajuty. Jones zapalił światła sygnalizacyjne, które napełniły pomieszczenie czerwonym blaskiem, po czym rozwinął mapę nawigacyjną tego regionu.

- A więc co macie? - spytał.

- Tam znajduje się japońska baza zaopatrzeniowa. - Sumner zajrzał do notatek i pokazał punkt na mapie, w głąb lądu od ujścia rzeki. - Jakies dziewięćdziesiąt metrów od

miejsca, w którym rzeka wpada do morza, rozszerza się i skręca na południe, znajduje się kilka małych wysepek i pod rosnącymi na ich brzegu drzewami schowanych jest chyba z tuzin japońskich barek desantowych. Są też co najmniej dwa zbiorniki na paliwo, a na dodatek około sześćdziesięciu ryżojadów pod dowództwem porucznika.

Sumner mówił, a Jones nanosił punkty na mapę oraz współrzędne dla radaru, a w końcu zawołał oficera wachtowego.

- Niech stawia się tu dowódcy dwóch pozostałych kutrów - polecił i chorąży Robert M. Muller zniknął.

Za dwadzieścia minut dwóch młodych chorążych weszło do kajuty i Jones poinformował ich o doniesieniach Sumnera.

- Nasi piloci nie mogą się do nich dostać, ale my możemy - powiedział. - Zaatakujemy o brzasku i przeczeszymy teren. Na podstawie wytypowanych miejsc na lądzie naniosłem punkty dla radaru. Zaatakujemy o szóstej zero zero. - Wręczył oficerom kartki.

I na tym spotkanie się skończyło. Do świtu było jeszcze pięć godzin, więc Sumner poszedł do kajuty dla załogi, w której rozlokowali się jego ludzie. Czuć tam było potem i stęchlizną dżungli.

- Chłopaki, odpoczywajcie, ile możecie. O świcie atakujemy tych sukinsynów czym tylko mamy, więc zapowiada się zajebisty spektakl - oznajmił tym, którzy jeszcze nie spali.

A potem położył się na jednej z koi i natychmiast zasnął.

\*\*\*

Sumnerowi wydawało się, że upłynęło zaledwie kilka chwil, a już ktoś go delikatnie szturchał.

- Jest piąta zero zero - usłyszał.

Kiwnął głową, ale kilka sekund zajęło mu uświadomienie sobie, gdzie jest, i dopiero wtedy zabrał się za budzenie swoich ludzi.

- No, chłopaki, wstawać - zakomenderował.

Wyszli na pokład i zajęli pozycje, tak aby nie dosięgnął ich ogień wroga z brzegu. To miał być wielki show marynarki wojennej, a oni pełnili w nim jedynie rolę widzów.

Trzy kutry, nadal tłumiąc warkot silników wypuszczaniem spalin pod wodę, skierowały się na południe, trzymając się w odległości trzech kilometrów od ciemniejącej w oddali linii wybrzeża. Wszyscy byli na posterunku. Na oświetlonej blaskiem gwiazd wodzie Sumner ledwie rozróżniał pozostałe kutry i migoczący fosforyzującym światłem kilwater PT-132.

Sumner stał wraz z McGowenem przy kokpicie. Widział stąd jasny ekran radaru na

niższym pokładzie, obecnie nie obsługiwany przez nikogo, bo pracujący przy nim człowiek był równocześnie bosmanem artylerzystą. Na ekranie radaru wyraźnie widać było ujście rzeki. Jones trzymał przypominający kierownicę samochodu ster na wysokości talii wystający z konsoli. Po prawej ręce stał Muller, oficer wachtowy.

O piątej czterdzieści pięć, przepłynąwszy cztery lub pięć kilometrów na południe od ujścia rzeki, kutry zbliżyły się do brzegu na odległość kilkuset metrów, Jones oznajmił załodze pozostałych jednostek:

- Okej. Kierujemy się w tę stronę.

Wskazał na północ od kutra i dał całą naprzód; kuter ruszył z prędkością czterdziestu węzłów, a jakieś sto metrów za nim dwa pozostałe.

Gdy przyплыnęli na miejsce, Jones krzyknął przez megafon:

- Zaczynać ostrzał!

Natychmiast otworzyło ogień zainstalowane na dziobie PT-132 działko kaliber 20 milimetrów, a w ślad za nim cztery karabiny maszynowe kaliber 12,7 mm. Jako ostatnie dołączyło rufowe 40-milimetrowe działko przeciwlotnicze Boforsa. Kakofonia dźwięków rozdarła nocną ciszę. Ciemności rozświetlały kolorowe smugi, pozostawiające płomieniste ślady, gdy szukały celu na lądzie. O drewniany pokład grzechotały mosiężne łuski od pocisków, uderzając o siebie nawzajem i wydając dźwięk niczym diabelskie dzwony.

Kutry prowadziły ostrzał wzdłuż linii brzegowej, aż w końcu pociski z trzeciej łodzi trafiły w zbiornik z paliwem i rozszalała pomarańczowa kula ognia oraz gęsty czarny dym wystrzeliły na kilkadziesiąt metrów w górę, a zaraz potem nastąpił ogłuszający wybuch. Pociski zapalające także zrobiły swoje, przyczyniając się do tego śmiertelnośnego pirotechnicznego pokazu.

Sumnera zamurowało, wydawało mu się, że płonie cały brzeg.

Tymczasem Jones rozkazał, aby kutry, które już zostawiły za sobą cel ostrzału, zawróciły.

- Jeszcze im dołożymy - zdecydował.

Kutry wykonały zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i ponownie rozpoczęły ostrzał. Teraz jednak na brzegu dało się zauważyć migoczące światełko, a potem powietrze przeszył świst. Nieprzyjaciel odpowiedział ogniem, ale na szczęście z broni lekkiej. Karabiny maszynowe na kutrach wycelowały w te świetliste punkty i ogień wroga osłabł. A tymczasem na niebie pojawiło się jeszcze więcej ognistych kul, co czyniło widok iście piekielnym.

- Za mną - zakomenderował Jones przez radio, zawracając i kierując kuter torpedowy znów w stronę ujścia rzeki; dwa pozostałe podążyły tuż za nim. Zaraz zaatakowały: jeden

brzeg, potem drugi, a na koniec małe wysepki. Ogień był wszędzie, na lądzie, i na wodzie, a barki desantowe zostały podziurawione przez silny ostrzał z broni maszynowej.

Japończycy na brzegu starali się odpowiedzieć ogniem i pociski stukały o drewniane kadłuby. Było już całkiem widno i Jones zawrócił swój kuter w stronę pełnego morza.

Wyplłynawszy na otwarte morze, dowódcy wyłączyli urządzenia zagłuszające pracę silnika i znowu rozległ się ryk packardów i uderzenia śruby o wodę. Kutry torpedowe płynęły z prędkością czterdziestu węzłów, wzniesając kaskady wody, które przelewały się nad pokładem. W miarę oddalania się brzegu zmniejszał się także ogień nieprzyjacielski. Tylko pociski o większym kalibrze nadal docierały na tę odległość i z sykiem wpadały do wody.

- Czy myślisz, że ciągle jeszcze są wściekli? - zapytał Coleman, obserwując wodę rozpryskującą się od japońskich pocisków.

- Może ujmijmy to następująco: w tym roku nie spodziewałbym się od nich kartki z życzeniami na Boże Narodzenie - odpowiedział mu Jones.

Kutry zwolniły do dwudziestu jeden węzłów. Jones zapytał przez megafon:

- Jakie uszkodzenia?

- Zarówno PT-128, jak i 131 nie zostały uszkodzone, nikt też nie zginął.

- No, to wracamy do domu. - I Jones wziął kurs na wyspę Woendi, odległą o trzydzieści trzy godziny podróży.

Sumner nie posiadał się z radości, a sądząc po uśmiechniętych twarzach, reszta była w podobnym nastroju. Ich pierwsze zadanie zakończyło się niebywałym sukcesem. Wypatrzyli bazę zaopatrzeniową nieprzyjaciela i przyczynili się do jej unieszkodliwienia, a może nawet do zniszczenia. I żaden z nich nie był ranny.

- Dobra robota, chłopaki! - Sumner uściśnął każdemu dłoń.

Stojący obok niego McGowen wtrącił:

- Po powrocie zdacie sprawozdanie chłopakom z Naval Ops (Naval Operations) w Woendi, a potem możecie przekazać drogą radiową wasz raport do ASTC w Hollandii. Każda misja to nowe doświadczenie przydatne w szkoleniu i to, co tu robimy, zostaje potem wykorzystane podczas szkoleń nowych ludzi. - Wyciągnął rękę i potrząsnął dłonią Sumnera: - Wspaniale, Bob.

- Dopisało nam szczęście i mam nadzieję, że nas nie opuści - powiedział skromnie Sumner. I poszedł odpocząć do kajuty.

# ROZDZIAŁ 7

## Końcowe działania na Nowej Gwinei

Misje Lutza i Littlefielda, lipiec-wrzesień 1944

Trzydziestego lipca 1944 roku ponad siedem tysięcy żołnierzy 6. Armii Stanów Zjednoczonych wylądowało wzdłuż ciągnącego się na długości dziewiętnastu kilometrów frontu pomiędzy przylądkami Sansapor i Oparai, na północnym krańcu półwyspu Ptasia Głowa, stanowiącymi ostatnią wielką przeszkodę w planach MacArthura odbicia Japończykom Nowej Gwinei.

Cała operacja nosiła kryptonim „Globetrotter”. Teren wyspy w tym miejscu jest postrzępiony, górzysty, poprzecinany wieloma rzekami, z licznymi nadbrzeżnymi tarasami idealnie nadającymi się na lądowiska dla samolotów. Te tarasowe równiny mogłyby uniemożliwić Japończykom przetrzymywanie transportów z obszarów Holenderskich Indii Wschodnich i Filipin i odciąć piętnastotysięczną armię japońską we wschodniej części półwyspu Ptasia Głowa, jak również nadal walczące oddziały na Biak i Numfoor.

Jednak co ważniejsze, przynajmniej dla MacArthura, zajęcie Ptasiej Głowy przybliżyłoby go niemal o tysiąc kilometrów do Mindanao, najbardziej na południe położonej wyspy Filipin.

\*\*\*

Porucznik William B. Lutz i jego grupa nic nie robili przez cały miesiąc, czyli od 22 czerwca, kiedy ukończyli ASTC. Lutz był poważnym facetem i bardziej go interesowało wykonanie zadania aniżeli późniejsze nagrody. Jednym słowem, jak powiedział swoim ludziom, ani on, ani tym bardziej oni nie znaleźli się na wojnie dla chwały i orderów.

- Jesteśmy tu, aby wygrać, i to jak najszybciej, tę wojnę, i nie mam zamiaru zawracać sobie głowy jakimiś odznaczeniami - oznajmił swojemu zespołowi. - Jeśli dla kogośkolwiek z was stanowi to problem, to niech od razu powie.

Nikt się nie odezwał. Lutz był metodycznym i uważnym oficerem i chłopcy ufali mu jako dowódcy, przekonani, że przez jego decyzje nie stracą życia.

Jeden ze zwiadowców, Jack Geiger, wspominał, że Lutz był pobożny, „zanim to jeszcze stało się modne”, i często czytał im ustępy z Biblii. Natomiast jego zespół to była

mieszanina najrozmaitszych typów. Był tam kapral Clifford A. Gonyea, którego nie wiedzieć czemu zwano „Włamywaczem”, i szeregowy Robert E. Shullaw, radiooperator. Był też wysoki sierżant Bob Ross, Żyd, który, gdy kucharz serwował wieprzowinę (a zdarzało się to często), mówił, że to wołowina, i pałaszował bez skrępów. Ojciec sierżanta Olivera Roeslera pracował jako drwal w Pacific Northwest, ale miał też małą farmę w stanie Washington, na której uprawiał maliny, hodował bydło i kury, aby jego synom „głupoty nie przychodziły do głowy”. Roesler był adwentystą Dnia Siódmego, „jednak”, jak zaznaczał, „niezbyt dobrym”. No i był tam jeszcze starszy szeregowy Jack Geiger, któremu Ross wymyślił przydomek „Przystojniak Dan”.

Ross i Gonyea służyli w zespole Hobbsa jako punkt kontaktowy podczas wykonywania na początku lipca dwudziestodwudniowej misji, w której skład wchodziło przeprowadzenie działań rozpoznawczych na wyspach Yapen, Naoe i Koeroedoe, ale poza tym nie mieli nic innego do roboty - wylegiwali się w obozie na wyspie Woendi, grali w karty i ćwiczyli dla utrzymania kondycji.

Trzynastego lipca nadeszła radosna wiadomość, żeby „zarezerwować zespół Lutza do przeprowadzenia działań rozpoznawczych dla 6. Armii”. Te działania to dwudniowa wycieczka, która rozpoczęła się 22 lipca. Polegała na wylądowaniu trzydzieści kilometrów na wschód od Sansaporu, czyli czterysta osiemdziesiąt kilometrów na tyłach japońskich wojsk. Wróg od dawna wykorzystywał port dla barek na przylądku Sansapor, realizując dostawy na wschód od Sorong i Manokwari.

Zespół wraz z młodym Holendrem w charakterze tłumacza miał za zadanie eskortować na wybrzeże porucznika Everetta M. Hodgesa, inżyniera z 6. Armii, żeby naniósł na mapę nadające się do wykorzystania drogi, miejsca na rozbiecie obozów oraz źródła świeżej wody pitnej - wszystko z myślą o planowanej na 30 lipca inwazji. Informacje pozyskane tydzień wcześniej podczas rozpoznania przeprowadzonego przez Zwiadowców Alamo Jacka Dove'a mówiły, że na tym terenie nie ma nieprzyjacielskich wojsk.

- To dobry chłop - powiedział Ross do swojego przyjaciela, Geigera, mając na myśli Dove'a. - Jeśli by zobaczył jakichś Japończyków, on i banda jego skurwysynów na pewno by ich zabili, tak jak to zrobili w Hollandii w czerwcu ubiegłego roku. Wtedy sprzątnęli trzydziestu dziewięciu żołdków.

Podróż z wyspy Woendi kutrem torpedowym (właściwie były to dwa PT, na jednym płynął zespół Lutza, a na drugim Dove'a - przy czym ten ostatni miał być punktem kontaktowym) była długa, męcząca i wymagała zawinięcia na Numfoor w celu zatankowania paliwa. Tam zwiadowcy mogli popływać w oceanie, podczas gdy z dala od strony brzegu

dochodziły odgłosy wystrzałów - to żołnierze amerykańscy likwidowali resztki oddziałów wroga. Wypłynęli dalej około piątej po południu, gdy kutry zaopatrzyły się w paliwo przed czekającą je jeszcze dwustumilową podróżą, i koło północy przybyli w rejon Sansaporu i Opararai. Droga przebiegła bez żadnych przygód. Raz tylko na horyzoncie dostrzeżono japońską barkę. Kiedy załogi obydwu łodzi oraz zwiadowcy zaczęli w zdenerwowaniu przygotowywać się do akcji, okazało się, że ta barka to po prostu olbrzymie, na pół zanurzone w wodzie drzewo. Chłopcy byli rozczarowani, bo, jak stwierdzili, „ominęło ich widowisko”.

Dotarli na miejsce, nadmuchali i spuścili ponton. Morze było spokojne, widoczność dobra, a nawet (zdaniem zwiadowców) zbyt dobra. Dotarli na brzeg i dali znać kutrom. Lutz kazał Gonyei i Rossowi wypuścić powietrze z pontonu. Uchodziło z sykiem; bali się, że ktoś niepowołany to usłyszy. W końcu można było zwinąć ponton i ukryć, a zwiadowcy położyli się, by odpocząć i choć trochę się przespać, o ile pozwalały na to insekty, wręcz pożerające ich żywcem. Potem zjedli śniadanie składające się z kawy i racji żywnościowych.

Badając teren na głębokość trzystu metrów w głąb lądu, zwiadowcy poruszali się w kierunku wschodnim, równoległe do linii brzegowej. Podczas przerwy na odpoczynek Geiger usłyszał odgłos kroków i dał znać, aby zastygli w bezruchu. W stronę Lutza szło plażą czterech uzbrojonych japońskich żołnierzy. Po chwili pojawiło się jeszcze trzech. Zwiadowcy leżeli nieporuszeni w zaroślach, obserwując siedmiu Japończyków, i odetchnęli z ulgą dopiero wtedy, gdy tamci znikli im z oczu. Lutz wskazał na wschód i poszli w tamtą stronę. Po dwóch godzinach dotarli na brzeg jednej z wielu rzek płynących z głębi



*Zwiadowca Alamo w kamuflażu*

górzystego półwyspu Ptasia Głowa. Ta rzeka stanowiła wschodnią granicą terenu, którego rozpoznanie mieli przeprowadzić. Kiedy tak stali, nagle pojawił się japoński żołnierz - szedł sobie brzegiem bez koszuli, w samych szortach. Krzyknął coś do kolegi po drugiej stronie rzeki i szedł dalej. W pewnym momencie Roesler znajdował się zaledwie trzy metry od niego i przez jedną, mrozącą krew w żyłach chwilę żołnierz patrzył wprost na Amerykanina, jednak Roesler znajdował się w wysokiej trawie, miał pomalowaną twarz i kamuflaż, toteż



Japończyk go nie zauważył - dlatego przeżył.

Zwiadowcy poszli dalej, przez dżunglę, przecinając szlak, na którym aż roiło się od śladów Japończyków. Amerykanie wspięli się na wysokie wzgórze i tam się zatrzymali.

Mieli dotrzeć właśnie tutaj.

Zbliżyli się do szlaku. Roesler, który nadal maszerował jako pierwszy, podniósł do góry rękę, co oznaczało „stać”.

Ścieżką szło dwóch Japończyków; najwyraźniej byli to maruderzy, nie mieli broni, ale nieśli jakieś wielkie pakunki. Zwiadowcy nie ujawnili swojej obecności i gdy tamci przeszli, ruszyli w swoją stronę. Zatrzymali się wieczorem, aby zjeść kolację i nieco się przespać (tym razem ich porcja składała się z pieczonej wołowiny, kukurydzy i groszku), ale nagle spotkała ich niemiła niespodzianka - Shullaw spostrzegł dwóch japońskich żołnierzy idących ścieżką w ich stronę. Reszta zwiadowców nie miała o tym pojęcia, ponieważ, jak wiele lat później wspominał Geiger, zapomnieli przedtem sprawdzić teren. Ten błąd popełniony przez będących po raz pierwszy w akcji zwiadowców już nigdy więcej się nie powtórzył. Amerykanie zamarli w bezruchu.

- Słodki Boże, nie zdawałem sobie sprawy, że jesteśmy tak blisko ścieżki. Roesler, Gonyea, sprawdźcie - wyszeptał Lutz, gdy Japończycy się oddalili.

Roesler i Gonyea podkradli się do ścieżki i stwierdzili, że znajdują się od niej niecałe osiem metrów. Szybko wrócili do kolegów. Gonyea dawał też znaki, że nadchodzi czterech Japończyków i to uzbrojonych. Zwiadowcy padli na ziemię w zaroślach, przeczekali, aż Japończycy przejdą, a potem Lutz zaprowadził ich głębiej w gąszcz, gdzie znaleźli bezpieczniejsze miejsce na nocleg. Rozłożyli się na swoich poncho, ale nie mogli zasnąć; wciąż dochodziły ich z oddali krzyki nawołujących się Japończyków. Na domiar złego zaczęło padać i każdy ze zwiadowców musiał przez godzinę i piętnaście minut pełnić wartę w ulewnym deszczu.

Rankiem Hodges obwieścił im dobrą wiadomość - otóż przejrzawszy swoje notatki, stwierdził, że zebrali już wszystkie potrzebne informacje i mogą wracać. Przed południem dotarli na plażę, wydobyli z kryjówki ponton oraz radio, ale znowu zaczęło lać. Przez cały dzień zmoknięci, wściekli i wynędzniali zwiadowcy obserwowali plażę, czy nie pojawią się na niej Japończycy, i z pewnością gdyby tylko jakiś się nawinął, to nie uszedłby z życiem.

Kuter przybył o umówionym czasie, ale uderzył w kłodę drewna i wygiął jedną ze swoich trzech śrub. Nie mógł płynąć szybko, więc podróż powrotna zajęła więcej czasu. Zwiadowcy zmęczeni i przemoknięci do suchej nitki siedzieli w maleńkiej kajucie, pijąc gorące kakao, ale warunki do zaśnięcia okazały się tak samo trudne jak w dżungli. Fale

podrzucały kuter tak wysoko, że śpiący na wyższych kojach spadali na kolegów leżących niżej.

W Woendi okazało się, że ich namioty zajął zespół „Rudego” Sumnera, więc musieli się przenieść. Lutz i Jack Dove odlecieli do Wakde, aby zdać raport z informacji zebranych w czasie działań rozpoznawczych na Ptasiej Głowie. Kilka dni później dołączyli do nich ludzie Lutza. Mieszkali w obozie na skraju bazy i strzały japońskich karabinów maszynowych oraz pociski artyleryjskie eksplodujące na pobliskiej plaży nie dawały im spać. Ósmego sierpnia wrócili w bezpieczniejsze miejsce, do Hollandii, gdzie dochodzili do siebie po ukąszeniach insektów oraz powodowanym przez nie nieznośnym swędzeniu.

Jednak ten odpoczynek nie trwał długo.

\*\*\*

Sześć dni później, 14 sierpnia, zespół Lutza został wysłany do wioski Arso, trzydzieści pięć kilometrów w głąb lądu od miejsca japońskiej inwazji w Hollandii. Podobno Japończycy zainstalowali tam stację radiową i chociaż lotnictwo co jakiś czas bombardowało to miejsce, nie było pewności, czy udało się zniszczyć radiostację. Lutz ze swoimi ludźmi miał przeprowadzić rozpoznanie na terenie wioski i ustalić, czy radiostacja działa, czy nie. Jeśli tak, to powinien ją zniszczyć, co mogło okazać się wcale nie takie łatwe, bo według szacunków alianckiego wywiadu w rejonie Arso znajdowało się dwustu Japończyków.

Członkowie zespołu Lutza zapakowali racje żywnościowe na sześć dni (choć zadanie planowane było na pięć), czyste ubranie, kilka par skarpet na zmianę (aby zapobiec grzybicy stóp) i tyle amunicji, ile tylko byli w stanie unieść. Wzięli też hamaki, bo lepiej było spać w nich niż na ziemi. Ostrzeżono ich, że gdzieś tam może być błoto po kolana oraz że nie napotkają wielu miejsc z wodą pitną, dlatego też każdy ze zwiadowców wziął po dwie manierki i mnóstwo tabletek do odkażania wody.

Dowiezieni na miejsce zwiadowcy wyruszyli, mając nadzieję przebyć przed zmierzchem połowę drogi, czyli dotrzeć do wioski Isobo. Szli przez pięćdziesiąt minut, po czym robili sobie dziesięciominutowe przerwy, a w południe zatrzymali się na lunch nieopodal rzeki Tami. Po drodze dopędzili grupę inżynierijną.

- Mamy dotrzeć do rzeki Tami - powiedział Lutzowi jej dowódca - i wyznaczyć tam miejsca na pozycje obronne. Czy możemy iść za wami?

- Możecie, ale my będziemy iść szybko - odpowiedział mu Lutz; tamci szli przez jakiś czas za nimi, ale bardzo prędko zostali w tyle.

- Pozycje obronne? - dziwił się na głos Ross. - Komu oni chcą wcisnąć tę ciemnotę? Przecież tu nie ma żadnych cholernych Japończyków.

Doszli do rzeki. Lutz nagle machnął ręką, aby padli na ziemię. Jak gdyby w odpowiedzi na lekceważącą uwagę Rossa, nadchodziło dwóch mężczyzn w mundurach japońskiej armii. Kiedy się zbliżyli, wyrosła przed nimi grupa amerykańskich zwiadowców i wzięła ich do niewoli. Jeden z tych ludzi łamaną angielszczyzną oznajmił, że nie są Japończykami, lecz Tajwańczykami, że wchodzi w skład jednostki roboczej i właśnie szli się poddać.

- Już słyszałem takie opowieści - prychnął Geiger. - Mogą nawet mieć wytatuowane na dupie Tojo<sup>23</sup>, a i tak będą twierdzić, że nie są Japończykami.

Stan tych dwóch był opłakany, całe ich nogi pokrywały odniesione w dżungli rany i okropnie śmierdziały.

Zwiadowcy zaczekali, aż dogoni ich grupa „inżynierów”, i przekazali jej jeńców, a sami poszli dalej. Szlak, którym podążali, w miarę zapuszczania się głębiej w głąb lasu stawał się coraz bardziej bagnisty i wyciąganie za każdym krokiem nóg z błota stawało się mozolnym zadaniem. Błoto było tak gęste, że aż nie wytrzymała tego podeszwa ciężkich wojskowych (australijskiej armii), nabijanych gwoździami butów Rossa i kawałek jej się oderwał.

Wyczerpany zespół Lutza dotarł po zachodzie słońca do Isobo i tam zwiadowcy postanowili przenoć. Wioska była pusta, nie było ani jednego mieszkańca, aczkolwiek ktoś zatknął na kiju japońską czaszkę. Amerykanie znaleźli wodę pitną i umyli się oraz uprali ubrania, oczywiście stawiając jednego z kolegów na warcie. Noc zapadła około dziewiętnastej i zwiadowcy, rozciągnąwszy hamaki, usiłowali zasnąć. Z oddali dobiegał ich odgłos strzałów z garand, od czasu do czasu budziły także odgłosy dżungli. Zmieniali się na warcie, aczkolwiek właściwie wydawało się to bez sensu, bo w smolistych ciemnościach było absolutnie niemożliwe zobaczenie nawet własnej dłoni kilka centymetrów przed nosem.

O ósmej rano, wypocząwszy nieco w nocy, byli znów w drodze. Trzymali się brzegu rzeki. Mniej więcej po trzech kwadransach marszu Lutz rozkazał im zamarznąć w bezruchu. Na szlaku, którym szli, sto kilkadziesiąt metrów przed nimi, człowiek w japońskim mundurze pił wodę z rzeki.

Lutz zebrał swoich ludzi i polecił:

- Gonyea, Geig i Ross, postarajcie się otoczyć go i wziąć do niewoli.

I właśnie wtedy ów człowiek zdał sobie chyba sprawę z czyjejś obecności. Wstał i wyglądało na to, że chce uciekać. Zwiadowcy otworzyli ogień chcąc go naszpikować ołowiem; Japończyk upadł i potoczył się w jakieś zagłębienie. Teraz wszyscy rzucili się

---

<sup>23</sup> Generał Hideki Tojo, były premier Japonii, który wydał rozkaz ataku na Pearl Harbor (przyp. tłum.).

sprawdzić, kto to był. Jakież było ich zdziwienie, kiedy zobaczyli mężczyznę siedzącego pod drzewem i trzęsącego się jak galareta. Wszystko dokoła było poszatkowane przez pociski, kilka z nich przeszło mu nawet przez ubranie, ale on sam nie odniósł nawet draśnięcia.

- Jeżeli ten chłopak do tej pory nie wierzył w Boga, to jestem pewien, że teraz uwierzył - stwierdził Lutz, ale na jego twarzy malowało się zdenerwowanie: zdał sobie sprawę, że siedmiu mężczyzn wystrzelało mnóstwo naboju do jednego człowieka, znajdującego się nie tak znów daleko od nich, i wszyscy chybili.

- Jak wrócimy, spędzimy nieco czasu na strzelnicy - zapowiedział.

Przerażony człowiek zaczął coś mówić po malezyjsku, który to język Ross znał i rozumiał. Okazało się, że jest to siedemnastoletni Jawajczyk, który od dziesięciu miesięcy pracował jako japoński robotnik przymusowy na Nowej Gwinei. Zapytany przez Rossa powiedział, że w Arso jest dziesięciu Japończyków i mają osiem karabinów.

Jawajczyk był wychudzony i chory na malarię. Amerykanie nazwali go „Junior”, dali mu rację żywnościową i tabletki chinakryny, które połknął natychmiast. Zapadła też decyzja, że Junior pójdzie z nimi do Arso.

Upał i wilgotność były tak ogromne, że wieczorem nie mieli już wcale wody pitnej i byli zmuszeni pić tę, którą zbierali z ziemi w zagłębieniach swoich śladów w błocie, oczywiście dezynfekując ją tabletkami.

Następnego dnia, 16 sierpnia, mężczyźni nadal szli w stronę Arso, po drodze mijając ciała zabitych Japończyków, z których przeważnie pozostały już tylko kości i zbutwiałe mundury, a ich imiona i nazwiska dawno zapomniano. Koło południa zwiadowcy zatrzymali się nad strumieniem na lunch. Lutz zabrał Rossa i Juniora i poszli na zwiad, ale im bliżej byli wioski, tym bardziej Jawajczyk był zdenerwowany. Mniej więcej po godzinie skradania się przez wysoką trawę zobaczyli pierwszy dom, a gdy podeszli bliżej, usłyszeli głosy Japończyków. Junior powiedział Rossowi, że w domu jest dwóch Japończyków, poza tym dwóch w domu na drugim końcu wsi i jeszcze sześciu w chacie w środku wioski.

Wracając do kolegów, Ross i Junior natknęli się na kolejne ciała Japończyków. Ross znalazł stos papierów, które zabrał, a następnie, ku swemu zdumieniu, parę czarnych wykonanych w Oksfordzie butów.

- Ci faceci doprawdy noszą dziwne rzeczy - stwierdził i oddał buty Juniorowi, który potrzymał je chwilę, a potem wyrzucił.

\*\*\*

Kolejnego dnia wstali o wpół do piątej rano, zostawili plecaki i poszli do Arso. Dotarli do wioski przed świtem. Siąpił drobny deszczyk. Zwiadowcy cicho zbliżyli się do pierwszego

domu i tu się rozdzielili: Lutz, Shullaw, Ross i Junior ruszyli w jedną stronę, a Gonyea, Roesler i Geiger w drugą.

- Jak już będziemy tam - szepnął do nich Lutz - to ty, Shullaw i Ross poddusicie żółtków, a ja wykończę ich nożem.

Taki był plan, ale gdy podeszli bliżej, plan uległ zmianie. Japończycy już wstali i siedzieli w owalnej chacie bez ścian, przygotowując śniadanie. Co gorsza, byli zwrócony twarzą w tę stronę, z której nadchodzili zwiadowcy. Jedynym wyjściem był szybki atak. Leżąc zaledwie sześć metrów za niewysokim murkiem otaczającym studnię, Lutz, Ross i Shullaw obserwowali wroga. Jeden z Japończyków przeszedł wzdłuż domu, a więc równoległe do przyczajonych zwiadowców, doskonale widocznych, jeśli tylko Japończyk spojrzałby w ich stronę - ale nie zrobił tego. Lutz pokazał Rossowi na migi, żeby się zajął tym z lewej strony, a on sam tym drugim. Shullaw miał ich osłaniać. Trzymając noże w pogotowiu, Amerykanie skoczyli naprzód, pokonali otwartą przestrzeń i wpadli do domu. Żołnierz, którym miał się zająć Lutz, coś gotował na ogniu i trzymał w ręku dwa noże. Zaskoczony nagłym atakiem zastygł w bezruchu, co akurat wystarczyło Rossowi, aby walnąć go lufą karabinka, po czym zagłębił w jego ciele nóż: najpierw w sercu, a potem przeciągnął nim parę razy po gardle.

W tym czasie Lutz równie skutecznie zajął się drugim Japończykiem.

Nadbiegli Geiger i Roesler. Gdy Ross wykańczał swojego Japończyka, Geiger wszedł do domu. Spojrzał na zabitego i pochwalił Rossa.

- Odwaliłeś dobrą robotę, Bob. Jesteś silny jak cholera.

- Nie wiem, jaki jestem. Trzeba było to zrobić - odparł Ross, spoglądając na zakrwawiony nóż i ręce, a następnie wycierając je o mundur zabitego.

- Ruszajmy - zakomenderował Lutz.

Ostrożnie idąc przez wioskę, przeszukiwali każdy dom - gdzieś tu było jeszcze ośmiu żołnierzy wroga. I wtedy Shullaw dał znak, by się zatrzymać.

- Widzę dym - powiedział.

- Ja tam nie widzę żadnego dymu. Jesteś pewien, Bob, że to nie mgiełka? - zapytał Geiger.

- To dym, mówię wam - upierał się Shullaw. - Sprawdźmy.

Zbliżyli się do żywopłotu. Za nim krył się dom, z którego zdaniem Rossa wychodził dym. Zwiadowcy (tak jak poprzednio) podzielili się na dwa zespoły. Ktoś w chacie usłyszał ich i krzyknął ostrzegawczo, a wtedy Amerykanie zaczęli strzelać. Z chaty wypadło pięciu japońskich żołnierzy i natychmiast padli trafieni serią pocisków kaliber 7,62 mm. W środku

pozostał jeden oficer uzbrojony w pistolet, ale zwiadowcy ostrzelali chatę i zabili go.

Jeden z Japończyków był ranny i poruszał się, co obudziło w Rossie żądzę krwi. Stanął nad Japończykiem i walnął go w głowę kolbą swojego M1 A1, druzgocąc czaszkę. Dzieła dokończyły noże. W sumie zabili już ośmiu Japończyków, ale Junior powiedział, że było dziesięciu, więc polowanie trwało dalej. W ostatniej chacie wioski palił się niewielki ogień, na którym coś gotowano, ale dwaj Japończycy, usłyszawszy strzelaninę, uciekli. Przeszukawszy osobiste rzeczy, które tamci dwaj pozostawili, zwiadowcy wrócili do wioski i zabrali rzeczy ośmiu zabitych. Wzięli wszystkie dokumenty, jakie tylko znaleźli, oraz karabiny, trzy pistolety, flagę, szablę, zegarki, skórzaną teczkę wypchaną papierami, piórami i pieniędzmi. Jeden z zabitych należał do służb medycznych, może był lekarzem. Nigdzie jednak nie było śladu radiostacji.

O wpół do dziesiątej rano zespół wrócił w miejsce, gdzie zostawił swoje rzeczy, i tu przejrzeliby zabrane dokumenty. Przeszukiwanie portfeli nie było miłym zajęciem. W jednym z nich znaleźli zdjęcie kobiety i dzieci, zapewne rodziny zabitego.

- Spójrzcie - powiedział Roesler - biedny sukinsyn.

- Tutaj łatwo zapomnieć, że i oni mają domy i rodziny, tak jak my - stwierdził Lutz. - To są po prostu zwykłe chłopaki wykonujące swoje zadanie, i tylko łasce boskiej zawdzięczamy, że to nie my jesteśmy na ich miejscu, bo inaczej to oni przeszukiwaliby nasze kieszenie.

\*\*\*

Zwiadowcy brnęli z powrotem przez błoto, a Junior szedł wraz z nimi, ale trzymał się Rossa, bo tylko z nim mógł sobie porozmawiać. Młody Jawajczyk bardzo się przydał, bo gdy brakowało wody pitnej, on jeden wiedział, gdzie ją znaleźć. Lutz wraz ze swoimi ludźmi doszli do rzeki Arso i tam postanowili przenocować. Umyli się i przeprali ubranie w zamulonej wodzie i wykończeni położyli się spać. Jak to się często zdarzało, zaczął padać deszcz, budząc śpiących. Jednak dla Rossa deszcz nie stanowił jedyne problemu; jak później powiedział Geigerowi, z którym się przyjaźnił, prześladował go fakt, że zasztyletował człowieka, po raz pierwszy w życiu, i że zostawił jego ciało w wiosce.

Osiemnasty sierpnia był już piątym dniem rekonesansu i wszyscy byli w opłakanym stanie. Brudni, z obolałymi stopami, nieogoleni, większość miała na rękach i nogach pełno zadrapań i potwornie swędzących ukąszeń. Do ciała przywierały pijawki, które trzeba było odrywać, a dwie nawet ulokowały się Lutzowi w ustach. Na dodatek zniszczone buty Rossa prawie się rozpadały, a on próbował jak umiał je reperować.

Nad Tami spotkali „inżynierów”, którzy cztery dni wcześniej szli za nimi. Jeden ze

zwiadowców wspomniał, że wracają z Arso, co tamtych zdumiało.

- Dowództwo nie pozwala żadnym zespołom liczącym mniej niż trzydziestu ludzi zapuszczać się dalej niż do Tami - powiedział jeden z nich.

Oczywiście zespół Lutza pękał z dumy, uważając wszystkich innych za „bandę mięczaków”.

Geiger wspominał potem, że w czasie marszu Ross narzekał zarówno na rozpadające się buty, jak i dlatego, że musiał nieść nie tylko własny karabin, ale i broń zabraną Japończykom. W pewnym momencie, już na błotnistym szlaku, Junior włókł kabel telefoniczny rozciągnięty wzdłuż drogi, a przez to idący za nim Ross jeszcze bardziej zapadał się w muł. Zmęczony poza granice wytrzymałości Ross wybuchnął i pobiegł w dół, aż poślizgnął się i upadł w błoto. Geiger podbiegł do niego i pomógł mu wstać.

- Daj, wezmę ten japoński karabin - powiedział, biorąc broń, teraz także całą w błocie.

- Mam już dość dżungli, Geig - oznajmił rozdrażniony i ociekający potem Ross.

- Chodź chłopie, wszystko będzie okej.

Doszli wreszcie do świeżej wody i zatrzymali się na noc. Ross uprał swoje zabłocone ubranie, wyczyścił karabin, zarówno własny, jak i japoński, i przeprosił kolegów za swoje załamanie nerwowe.

- Nie przejmuj się tym - powiedział mu Lutz. - Wszyscy jesteśmy na granicy wytrzymałości. Jutro rano powinniśmy wracać.

Ross wyrzucił swoje zupełnie nieprzydatne buty, włożył kilka par skarpet i zasnął.

Następnego dnia droga była tak samo błotnista jak przedtem i zwiadowcy, już szósty dzień nieogoleni i w brudnych ubraniach, wyglądali jak diabły i okropnie śmierdzieli. Gonyea i Roesler narzucili szybkie tempo, któremu nie mogli sprostać Junior i Ross, zwłaszcza że teren był nierówny. Kompletnie wykończony i wciąż nieco chory Junior załamał się. Gonyea zarzucił sobie chłopaka na plecy. Potem zmieniali się, niosąc go kolejno. W końcu doszli do drogi uczęszczanej przez ciężarówki i szli nią podtrzymywani na duchu myślą, że przed nimi jeszcze tylko jakieś trzy i pół kilometra. I wtedy usłyszeli warkot silnika. Geiger i Ross rzucili się w kierunku nadjeżdżającej ciężarówki i załatwili podwiezienie, co po pięciu i pół dniach marszu wydawało się zbawieniem.

- Dzięki ci, Boże, za tę ciężarówkę - powiedział z uśmiechem Gonyea, siedząc w podskakującym na nierównościach drogi samochodzie.

- Dzięki ci, Boże, za Rossa - dodał Geiger. - Oświadczył im, że jesteśmy zdesperowani i gotowi ich zamordować, byle tylko dostać się na ciężarówkę.

W kwaterze głównej 6. Armii obdarci, brudni i cuchnący mężczyźni zwracali na siebie

uwagę. Juniora przekazano wywiadowi tylko po to, by usłyszeć, że spodziewali się japońskich jeńców, a nie jawańskiego robotnika przymusowego. „Phii”, brzmiała odpowiedź zwiadowców. Nic im nie mówiono na temat japońskich jeńców. Dowiedzieli się także, że wywiad zapomniał poinformować lotnictwo, jak daleko zwiadowcy mieli się zapuścić.

- Nasze samoloty ciągle bombardują te tereny. Mieliście bardzo dużo szczęścia - powiedział im jeden lotnik.

\*\*\*

Wreszcie mogli ogolić się i wziąć prysznic, wyrzucić zabłocone, gnijące ubrania i włożyć nowe mundury. Potem przyszła kolej na wizytę w ambulatorium w celu opatrzenia otwartych ran na rękach i nogach nazywanych wrzodem tropikalnym oraz pęcherzy na stopach. Później, już w swoich namiotach, chłopcy podzielili łupy. Lutzowi dostała się szabla, a rzeczy, których nikt nie chciał, przekazali intendantom z ASTC, bo japońskie pamiątki wojenne oznaczały lepsze jedzenie.

Tej nocy zwiadowcy spali w czystej pościeli.

\*\*\*

Kiedy zespół Lutza przedzierał się w stronę rzeki Arso, porucznik Wilbur Littlefield czekał na przydział pierwszego zadania. Podobnie jak Lutz ukończył szkolenie z trzecim naborem w ASTC. Littlefield służył w 160. pułku 40. Dywizji i napytał sobie kłopotów. Rozzłościł się pewnego razu na kapitana dowodzącego kompanią Fox, który oczerniał kogoś z jego kompanii.

- Jesteś cholernym kłamcą - wypalił mu prosto w oczy.

Musiał za to stanąć przed swoim dowódcą, kapitanem Donaldem Moore'em, który powiedział mu:

- Bill, jesteś cholernie dobrym żołnierzem, ale nie szanujesz starszych stopniem.

Dowódca kompanii domagał się, by Littlefielda postawić przed sądem wojennym, ale w końcu albo się uspokoił, albo też mu to wyperswadowano i sprawa rozeszła się po kościach. Kiedy jednak zaczęły krążyć wieści, że szukają kandydatów na zwiadowców, zgłoszono Littlefielda.

Patrol Littlefielda to była banda twardzieli, a szczególnie wyróżniali się wśród nich Samuel L. Armstrong i Allen H. Throgmorton. Obaj, zanim wstąpili do Zwiadowców Alamo, byli sierżantami sztabowymi aż do chwili, gdy zostali osadzeni w więzieniu przez żandarmerię: Armstrong za zabicie nożem w walce, a Throgmorton za to, że otrzymał pieniądze kompanii w celu złożenia ich do depozytu, zatrzymał się po drodze w barze na drinka i przepadł na dwa miesiące, po czym sam oddał się w ręce sprawiedliwości.





*Porucznik Bill Littlefield, prawdopodobnie rok 1944*

W zespole był też sierżant Zeke „Wódz Burzowa Chmura” McConnell, na pół Indianin z plemienia Czirokezów. McConnell urodził się w Oklahomie, jego ojciec odszedł od rodziny, a matka zmarła, gdy Zeke miał zaledwie pięć lat. Do ósmego roku życia wychowywała go babka, Indianka, ale potem już była za stara i chłopiec trafił do sierocińca w miejscowości Sequoyah w stanie Waszyngton, prowadzonego przez Biuro do spraw Indian. Chodził do Bacom Junior College, także w stanie Waszyngton. Był wysportowanym młodzieńcem, kochał futbol i boks. Do armii został powołany w marcu 1942 roku.

Podstawowe szkolenie odbył w Fort Lewis w stanie Waszyngton, następnie jego jednostka znalazła się na Hawajach, a potem w Nowej Brytanii, gdzie weszła w skład 180. pułku 40. Dywizji. McConnell został kierownikiem kompanii swojego pułku, pułkownika Caulkina.

I to właśnie Caulkins dowiedział się o tworzeniu Zwiadowców Alamo i wyznaczył McConnella, który został przyjęty i uczęszczał na trzeci z kolei turnus. Littlefieldowi zaimponowała jego doskonała znajomość przyrody i wziął go do swojego zespołu. Pod koniec wojny nawiązała się między nimi przyjaźń, która trwała całe życie. Littlefield zyskał brata, którego nigdy nie miał.

Poza tym do zespołu Littlefielda trafili sierżant Alva C. Branson z Kalifornii, szeregowy Elmer E. Niemela, dziewiętnastoletni chłopak z Minnesoty o skandynawskich korzeniach, i sierżant Paul Bemish.

Tak przedstawiał się skład zespołu Littlefielda aż do incydentu na Leyte, kiedy to do baru, w którym pili Armstrong i Niemela, weszło kilku czarnych żołnierzy. Armstrong, który podobnie jak wielu Amerykanów w tamtych czasach był zagorzałym rasistą, kazał im tańczyć, strzelając im pod nogi ze swojego pistoletu. Zarówno jego, jak i Niemelę natychmiast wyrzucono ze Zwiadowców Alamo i odesłano do jednostek macierzystych. Armstronga za to, co zrobił, a Niemelę - ponieważ nie powstrzymał kolegi (doświadczenia z

wojska na zmieniły Armstronga, że został później duchownym).

Pierwsze zadanie dla zespołu Littlefielda nadeszło 13 sierpnia. Mieli się udać do leżącej na wybrzeżu wioski Vanimo i potwierdzić raporty amerykańskiego wywiadu, że Japończycy wykorzystują ten teren, aby ominąć amerykańskie linie nieopodal Aitape i zaatakować kwaterę główną 6. Armii. Littlefield miał współpracować z instruktorem szkolącym zwiadowców w ASTC, Raymondem „Łosiem” Watsonem, krzepkim, bardzo lubianym Australijczykiem. Uwielbiał on bejsbol - gdy tylko szykował się mecz, to zawsze można było na niego liczyć.

Na wyprawę do Vanimo Watson zabrał dwóch policjantów, tubylców. Littlefield podziwiał ich zdolności, a szczególnie niewiarygodne umiejętności, jakimi wykazywali się podczas nocnych ćwiczeń.

Chłopaki z policji nienawidzili kłopotów, jakich przysparzali im Japończycy. Littlefield musiał brać jeńców, a tubylcy nijak nie potrafili tego zrozumieć. Natknęli się na dwóch japońskich żołnierzy przygotowujących nieopodal Vanimo stanowisko dla karabinu maszynowego. Littlefield polecił policjantom, aby ich złapać. Policjanci podkradli się cicho, ale wrogowie ich dostrzegli, jeden z nich podskoczył i krzyknął:

- Nie strzelać, nie strzelać!

A policjanci zabili ich obu.

- A niech to szlag - wściekał się Littlefield.

Przeszukał ciała zabitych, ale żadnych dokumentów, które mówiłyby, do jakiej jednostki należeli, nie znalazł. Poszli dalej. Na tej samej ścieżce natknęli się na pusty szałas. W tym samym momencie pojawił się japoński żołnierz, a zauważywszy zwiadowców, zawrócił i zaczął uciekać. Policjanci zabili także jego.

Zwiadowcy wrócili do Vanimo. Ze świeżych ryb, które złowili, wrzucając granaty do przepływającej obok rzeki, przygotowali posiłek dla siebie oraz dla mieszkańców wioski. Littlefield, nie dostrzegłszy oznak dużego przemieszczania się sił japońskich i porzuciwszy pomysł wzięcia jeńców, wezwał łódź latającą i wrócili na wyspę Woendi.

Następne zadanie Littlefielda zakończyło się większym sukcesem. Pod koniec sierpnia na Biak przyplłynął czółnem wódz wioski położonej na mikroskopijnej wysepce Rumberpon na wodach zatoki Geelvink. Przywiózł wiadomość, że Japończycy przetrzymują na półwyspie Ptasia Głowa wielu hinduskich żołnierzy wziętych do niewoli ponad 2,5 roku temu, po upadku Singapuru, i wykorzystują ich jako robotników przymusowych. Ponieważ jednak losy wojny odwróciły się i sytuacja stała się niekorzystna dla Japończyków, a z powodu ataków alianckich dostawy nie docierały już regularnie, toteż Japończykom ledwie starczało jedzenia

dla nich samych. Wobec tego zaczęli wypuszczać tych jeńców do dżungli, aby sami troszczyli się o swoje wyżywienie.

- Pojedziecie z tym człowiekiem do Rumberpon i przekonacie się, czy mówi prawdę - rozkazał Littlefieldowi oficer wywiadu 6. Armii. - A jeśli tak, to niech tubylcy rozpuszczą wieści po całym terenie i sprowadzą do Rumberpon tylu tych jeńców, ilu zdołają, a my zajmiemy się przewiezieniem ich tutaj.

Dwudziestego dziewiątego sierpnia Littlefield wraz ze swoimi ludźmi oraz z wodzem i sierżantem Hermanem S. Chanleyem z zespołu Thompsona wsiedli na kuter torpedowy i popłynęli do Rumberpon. Zbliżyli się do wysepki, ale trzymali się na tyle daleko, aby nie zauważono ich z chat zbudowanych na palach. Zwiadowcy spuścili na wodę pontony. Littlefield zwrócił się do Chanleya:

- Wsiądź do pontonu razem ze mną i z wodzem. Usiądź za nim i jeśli okaże się, że to pułapka, zabij go.

Chanley, który potem awansował i sam dowodził zespołem Zwiadowców Alamo, ponuro skinął głową.

Jednak nie było mowy o żadnej zasadzce. Gdy zwiadowcy ukryli pontony i poszli do wioski, potraktowano ich jak bohaterów. Otoczyli ich mężczyźni, kobiety i dzieci.

- Nie sądzę, żeby kiedykolwiek przedtem widzieli białego człowieka - wspominał Littlefield po sześćdziesięciu trzech latach.

Uroczystości nabrały prawdziwego splendoru, kiedy któryś z tubylców przyniósł najcenniejszy chyba skarb tej wioski - biały Iniany obrus.

- Skąd oni, do licha, go wytrzasnęli? - zastanawiał się Littlefield.

- A niech mnie - dodał Armstrong. - Od wstąpienia do armii nie widziałem białego obrusa.

Zwiadowców uraczono świeżymi owocami i gorącą kawą i podejmowano z wielkimi honorami, ale następnego dnia trzeba było brać się do pracy. Littlefield kazał swoim ludziom przeprowadzić działania rozpoznawcze na wyspie, co nie zajęło wiele czasu, bo była mała. Nie znaleziono żadnego Japończyka, wobec tego Littlefield ustalił z wodzem, że tubylcy przywiozą jeńców na Rumberpon.

- Przywieźć chłopaków z dużego miejsca łódka - powiedział. - Ty mądry zrozumieć?

Wódz skinął głową.

Teraz Littlefield wyjaśnił mu, że wrócą za dwa tygodnie, aby zabrać jeńców, po czym zaprowadził swój zespół na plażę, gdzie ukryli pontony, i napełniwszy je gazem, popłynęli na spotkanie z kutrem torpedowym.

Wieść szybko rozniosła się wśród rdzennych mieszkańców półwyspu Ptasia Głowa i wkrótce ich czółna zaczęły co dzień przywozić na Rumberpon po czterech-pięciu jeńców. Piętnastego września wrócił Littlefield ze swoim zespołem, ale tym razem zabrał też worki z ryżem, zarówno dla tubylców, jak i do nakarmienia głodnych ekswięźniów.

W ciągu następnych dwóch dni przyjechało jeszcze więcej więźniów, a to, co zobaczył Littlefield, było wstrząsające: wycieńczeni mężczyźni o zapadniętych policzkach i oczach, w podartych ubraniach i tak słabi, że niektórzy nie mogli wyjść z łódki o własnych siłach.

Jeńcy nie posiadali się z radości, widząc Amerykanów, i witali ich z takim entuzjazmem, na jaki tylko było ich stać. Littlefield zapamiętał jednego mężczyznę, niemal szkielet człowieka, któremu trzeba było pomóc stanąć, a i potem podtrzymywać go z obu stron, ale który na widok porucznika wyprostował się i zaszalutował. To wspomnienie pozostało Littlefieldowi w pamięci do końca życia.

Amerykanie zostali w wiosce przez cztery dni. Littlefield wpadł na doskonały pomysł sprowadzenia do niej jeńców. Penetrując plażę, zauważył, że jej brzeg to spadziste wzgórze.

- Kuter patrolowy musi podpłynąć najbliżej, jak to jest możliwe, bo stan niektórych z tych ludzi jest taki, że nie damy rady przenieść ich z pontonu na pokład - stwierdził.

Wraz ze swoimi ludźmi sprawdził, czy na dnie nie ma skał lub rafy. Na szczęście było czyste.

Dziewiętnastego września do Rumberpon podpłynęły dwa kutry torpedowe, a Littlefield przedstawił kapitanom stan byłych jeńców i poprosił, aby zbliżyli się maksymalnie do wytypowanego brzegu. Kapitanowie się zgodzili.

- To byli faceci z jajami - wspominał Littlefield po upływie sześćdziesięciu trzech lat.

Przy pomocy załóg obydwu kutrów i tubylców zwiadowcy przeprowadzili jeńców przez wodę do kutrów. Kiedy ostatni z nich był już na pokładzie, dołączyli do nich. Littlefield pomachał na pożegnanie ręką wodzowi, a kapitan kutra kazał zawrócić w stronę pełnego morza. Zwiadowcy uratowali od niechybnej śmierci w dżungli około czterdziestu mężczyzn. Później jeszcze więcej kutrów wróciło do Rumberpon, aby zabrać kolejne partie chorych, oswobodzonych przez Japończyków jeńców. Littlefield nie wiedział, ilu w sumie udało się uratować, ale on wraz z zespołem wypełnili misję miłosierdzia.

\*\*\*

Gdy 29 sierpnia Littlefield ze zwiadowcami płynęli do Rumberpon, Bill Lutz poinformował swój zespół, że czeka ich kolejne zadanie. Tym razem mieli udać się na wyspę Salebabu na morzu Celebes, na południe od Mindanao. Piątego września, gdy zwiadowcy

przygotowywali się do wyprawy, Lutz udał się tam samolotem, aby z lotu ptaka porobić zdjęcia terenu, na który się wybierali. Geiger nie uczestniczył w tej misji, bo zachorował na żółtaczkę, a zastępował go Bob Schermerhorn, który przedtem był w zespole Sumnera.

Dziewiątego września Lutz przyjechał ze swoim zespołem na wyspę Woendi. Zdumiały ich zmiany, jakie zaszły od czasu ich poprzedniej bytności. W miejscu, w którym niegdyś był port kutrów torpedowych, teraz aż roiło się od ludzi oraz okrętów. Trzy dni później zwiadowcy znaleźli się na pokładzie USS „Mobjack” jako część sił płynących na wyspę Morotai, trzysta siedemdziesiąt kilometrów na północny zachód od Nowej Gwinei i czterysta osiemdziesiąt kilometrów na południowy wschód od Mindanao. Świadomość, że zbliżają się do Filipin, wzmagała ich ekscytację.



*Tender USS „Mobjack”*

Pierwszy przystanek był w przeznaczonym dla kutrów PT nowym porcie na wyspie Amsterdam, bardzo blisko od Sansaporu i niedaleko od miejsca, w którym zespół Lutza był niecałe dwa miesiące temu.

Inwazja na wyspę Morotai, nosząca kryptonim operacja „Interlude” została przeprowadzona zgodnie z planem, a więc 15 września, ale dwa dni potem zwiadowcy wciąż znajdowali się na pokładzie tendra. Nad ich głowami latał japoński samolot zwiadowczy, a niebo rozdzierały błyski ognia artylerii przeciwlotniczej, przed którymi samolot starał się uciec.

W końcu na odprawie zorganizowanej 20 września okazało się, że zadanie zwiadowców polega na dotarciu kutrem do Salebabu, szerokiej na cztery i pół kilometra, a

dłużej na dwadzieścia cztery kilometry wyspy w grupie wysp Talaud, dwieście czterdzieści kilometrów na południe od Mindanao. To miała być jednodniowa misja, a jej cel to schwywanie i przywiezienie do bazy kilku miejscowych, aby wypytać ich o różne sprawy przydatne dla wywiadu. Zespołowi Lutza towarzyszył holenderski oficer porucznik DeBruine oraz trzech ludzi z zespołu McGowena jako punkt kontaktowy.

Trzy kutry torpedowe wyruszyły o wpół do piątej po południu. Podróż była długa i wiodła przez niebezpieczne wody, więc wszyscy bez wyjątku włożyli kamizelki ratunkowe. Nocą zaczął padać deszcz, a niebo rozświetlały błyskawice. Jeden z kutrów został w tyle, w związku z czym zwiadowcy przybyli na miejsce z pewnym opóźnieniem, dopiero o trzeciej nad ranem. Spuścili na wodę ponton, wsiedli i powiosłowali do brzegu. Kiedy podpłynęli do plaży, Ross wyskoczył pierwszy, aby ubezpieczać kolegów, i natychmiast wpadł w jakąś dziurę. Pokryta czarnym piaskiem plaża, o czym uprzedził ich wywiad, tak naprawdę była jednym wielkim głęboko zakorzenionym koralowcem i Ross wpadł w szczelinę między jego rozgałęzieniami. Wygramolił się, plując i klnąc. Plan pierwotnie zakładał odesłanie pontonu wraz z dwoma ludźmi z punktu kontaktowego na kuter, ale teraz zdecydowano zatrzymać ponton na brzegu, a załogę kutra powiadomiono drogą radiową, by wróciła po nich za dwadzieścia cztery godziny. Rafa koralowa pod wodą niezwykle utrudniała przyciągnięcie pontonu do brzegu i ukrycie go, ale w końcu jakoś się to udało. Zespół Lutza ruszył w głąb wyspy, a ludzie McGowena zostali tam, gdzie schowali pontony.

Salebabu, w przeciwieństwie do innych wysp, nie jest porośnięta dżunglą, ale raczej gęstym lasem bambusowym. Na ziemi leży więc pełno łodyg bambusa, które przy każdym nieostrożnym kroku wydają trzask. Jednak to nie był jedyny kłopot. Smolista ciemność tej dżdżystej nocy była tak absolutna, że zwiadowcy przywarli jeden do drugiego, aby się nie pogubić. W ciemnościach nie wiedzieli, w którą stronę idą. Rano okazało się, że znów są na koralowej plaży. Spotkali ludzi McGowena i wszyscy postanowili trochę się przespać, ale to z kolei uniemożliwiał im tropikalny deszcz.

O świcie znów byli w drodze; na przodzie szli Lutz, Ross i Roesler. Był upał, więc ich mokre ubrania parowały, a oni penetrowali wyspę. Lutz odkrył w lesie uczęszczaną ścieżkę. Po jednej stronie aż do wioski ciągnęły się ogrody. Kiedy zatrzymali się na chwilę, ktoś zapytał Lutza, czy może zapalić, ale dowódca nie pozwolił. Sam nie palił, wspomina Roesler, a ta odpowiedź rozżłościła palaczy. Jednak dym papierosowy czuć nawet na sporą odległość, więc Lutz miał rację.

Wioskę widać było z plaży, toteż zwiadowcy mogli obserwować zarówno wybrzeże, jak i ścieżkę. Przeszły po niej dwie mieszkanki wioski - zaledwie trzy metry od Roeslera - a

po morzu płynęło czółno. Potem nadszedł młody mężczyzna - na pewno nie japoński żołnierz - z siekierą i maczetą, w białym kasku mającym chronić go przed słońcem. Gdy zbliżył się do miejsca, w którym ukryli się zwiadowcy, DeBruine zastąpił mu drogę, a grupa zwiadowców odcięła odwrót. DeBruine powiedział, że nic mu się nie stanie, ale musi pójść z nimi. Człowiek ten chętnie się zgodził. Nagle na ścieżce pojawili się dwaj kilkunastoletni chłopcy i widząc, co się dzieje, zawrócili i pobiegli do wioski, wrzeszcząc na całe gardło.

- Uprowadzą żółtków, chodźmy - rzucił Lutz i szybko poprowadził swój zespół w zarośla porastające pobliskie wzgórza, w stronę kolejnego celu, wioski Moesi. Zbliżywszy się do niej na odległość kilkudziesięciu metrów, zwiadowcy cztery godziny ukrywali się w „najgłębszej części lasu”, jak to po latach opowiadał Roesler, obserwując, czy nie dostrzegą śladów obecności nieprzyjaciela. Nic jednak nie wzbudziło ich podejrzeń, wobec tego wrócili na brzeg do miejsca, w którym schowali pontony. Nagle Ross dał znak. Zastygli nieruchomo, a następnie ukryli się. Leżąc na ziemi, poprzez gęstą zieleń widzieli, jak obok nich przeszedł patrol złożony z dwudziestu pięciu Japończyków. Prowadziło go dwóch wyrostków, których wcześniej spotkali zwiadowcy. Japończycy szli, kłując zarośla bagnietami, i byli tak blisko, że Amerykanie wyraźnie widzieli ich buty *jiktabi* z oddzielną częścią na duży palec u nogi. Zwiadowcy leżeli bez ruchu, nie zdejmując palca ze spustów karabinów, a pot strużkami spływał im po twarzach. Być może Japończycy pomyśleli, że chłopcy zmyślili sobie całą historię, przyszło do głowy Roeslerowi.

\*\*\*

O dziesiątej wieczorem miał przybyć kuter torpedowy, by ich zabrać, ale się spóźnił.

- Nadmuchajcie pontony - rozkazał Lutz. - Chyba będziemy bezpieczniejsi na wodzie niż tutaj.

Zwiadowcy wypełnili rozkaz i po chwili odpłynęli od brzegu Salebabu. Kiedy wreszcie nawiązali kontakt z kutrem, każdy odetchnął z ulgą, a gdy wdrapali się na pokład, nie myśleli już o niczym innym, jak tylko o znalezieniu się jak najszybciej na Woendi.

W drodze powrotnej DeBruine przepytał młodego człowieka, którego spotkali w dżungli. Powiedział, że jest tubylcem, ma dwadzieścia jeden lat i cieszy się, że może pomóc aliantom.

- Mówi, że żółtki są bardzo okrutne - relacjonował DeBruine Lutzowi. - Zmuszali jego i innych, by dla nich pracowali za dwadzieścia centów dziennie (w miejscowej, wydanej przez japońskie władze wojskowe walucie). Twierdzi, że na lądzie siły wroga liczą około stu żołnierzy, że mają pięć dział i kilka sztuk broni maszynowej. Opuścili wioskę i zaszyli się w górach.



*Zespoły Lutza i McGowena na pokładzie kutra torpedowego PT po zakończeniu akcji na wyspie Salebabu*

Ten młody człowiek poinformował DeBruine'a, że największą wyspą w archipelagu Seloud jest wyspa Talaud i znajduje się na niej ponad tysiąc japońskich żołnierzy, ale na pozostałych wyspach nie ma wojsk okupanta.

Wobec tych wieści alianci postanowili pominąć te miejsca w czasie inwazji, a zająć się Filipinami.

Jednak przedtem zwiadowcy wzięli udział w dwóch misjach na Nowej Gwinei, tym razem polegających nie na zbieraniu informacji i rekonesansie, ale na niesieniu pomocy humanitarnej.



# ROZDZIAŁ 8

„To najlepsze widowisko, jakie kiedykolwiek widziałem”

Zespół Sumnera: wyspa Pegun, 21-23 sierpnia 1944

Z wyjątkiem krótkiej, trwającej jedną noc z 12 na 13 sierpnia misji zwiadowczej na przylądkach Oransbari-Mambiwi Sumner ze swoimi ludźmi spędzili ostatni tydzień w macierzystym porcie kutrów torpedowych na wyspie Woendi, grając w siatkówkę, pływając i ciesząc się z wolnego czasu. I tak też było 21 sierpnia pod wieczór; mężczyźni odpoczywali i żartowali z siebie nawzajem, siedząc w namiocie, gdy nagle wszystko przerwało wejście Sumnera.

- Doprawdy z przykrością zakłócam wam ten miły relaks, ale jutro rano macie stawić się na odprawę w Numfoor. Szykuje się coś niebywale pilnego. Przygotujcie sprzęt - oznajmił im kościsty, Oregończyk.

\*\*\*

Nazajutrz przed odprawą powitał Sumnera porucznik John McGowen.

- Cześć, Rudy. No, mamy dla ciebie coś naprawdę dobrego. Będziesz zachwycony.

Obydwaj weszli do chaty, w której miała się odbyć odprawa.

Tam czekał już generał Edwin D. Patrick, dowodzący Cyclone Task Force Kruegera, jednostką utworzoną w czerwcu 1944 roku w celu dokonania inwazji na Numfoor. Fakt, że odprawę prowadził dowódca Cyclone, już sugerował, że czeka ich niezwykłe zadanie. Był też obecny oficer lotnictwa.

Generał od razu przeszedł do rzeczy.

- Poruczniku, to nie będą działania rozpoznawcze - powiedział. - Tym razem chodzi o ratowanie ludzi. Trzy dni temu kuter torpedowy dopłynął tu (wskazał punkt na mapie), do wysp archipelagu Mapia, a na pokładzie było kilku lotników. Archipelag Mapia składa się z kilku małych wysp oraz z trzech dużych: Bras, Pegun i Fanildo. Jak widać, rozdzielają je wąskie cieśniny. Ludzi tych wysłano, aby zlokalizowali angielskiego Beaufightera, który został zmuszony do wylądowania na jednej z małych wysepki niedaleko od Pegunu, znaleźli dwuosobową załogę samolotu i jeśli to możliwe, zreperowali maszynę, aby jej załoga mogła nią wrócić. Dlatego na pokładzie kutra znajdowało się kilku mechaników.

Generał zrobił pauzę, a potem mówił dalej.

- Gdy przepływali obok Pegunu, trzech ludzi zapytało, czy mogą wysiąść i poszukać pamiątek, a kapitan, cholera wie dlaczego, zgodził się i wysadził ich na brzeg.

- Rozumiem, że Pegun jest okupowany - wtrącił McGowen.

- Te małe żółte sukinsyny panoszą się tam jak mrówki w koszyku z jedzeniem - odpowiedział generał Patrick. - Nasz wywiad szacuje, że na wszystkich wyspach archipelagu Mapia jest ich gdzieś trzystu - czterystu.

No, w każdym razie ci pozostali znaleźli samolot, nareperowali i ten odleciał, a kuter, wracając, podpłynął do Pegunu. Ale gdy zbliżał się do brzegu, jeden z trójki, która tam została, biegł plażą i krzyczał, żeby odpływali, bo gonią go żółtki. Zaraz potem dosięgnął go grad pocisków wystrzelony z linii drzew i upadł dokładnie na krawędzi plaży i wody. Japońce strzelały też do kutra. Rzecz jasna, ten odpłynął, po powrocie zameldowano o wydarzeniu dowództwu, a ci przekazali to nam.

- Domyślam się, że mamy dostać się tam i znaleźć trzech, a właściwie teraz już dwóch ludzi - stwierdził Sumner.

- Tak - odparł Patrick. - Przedyskutowałem to z generałem Kruegerem i on się zgodził. Jedźcie, rozejrzyjcie się i przywieźcie ich tu, do cholery, w całości. Osobiście uważam, że ci ludzie nie żyją, ale siły powietrzne i dowództwo proszą o pomoc. - To mówiąc, spojrzął na oficera lotnictwa i dodał: - A poza tym zarówno generał Krueger, jak i ja mamy awersję do pozostawiania naszych ludzi, jeśli tylko istnieje jakaś szansa ich wydostania.

- Co wiemy na temat tej wyspy? - zapytał Sumner.

- Jest dość płaska, z wąską plażą, porasta ją dżungla - odparł Patrick. - Przed wojną znajdowała się tam amerykańsko-holenderska rolnicza stacja eksperymentalna czy coś w tym rodzaju, jakoś tak się to nazywało. To co pozostało z tej stacji, to skupisko chat, niezbyt daleko w głąb lądu. Nie wiemy, ilu dokładnie Japońców jest na Pegunie, ale wyspa służy im za punkt, z którego prowadzą obserwację. Leży sześćset pięćdziesiąt kilometrów na południe od Morotai i sto siedemdziesiąt kilometrów na wschód od Biak. Japończycy z niej mogą obserwować wszystko, co się dzieje na niebie i na morzu, nasze ruchy w kierunku Morotai czy Filipin.

Sumner patrzył na mapę, kiwając w zamyśleniu głową.

- Decyzja należy do pana, poruczniku - podsumował Patrick. - Tak jak powiedziałem, uważam, że ci ludzie nie żyją, i nie wiem, czy aby tego dowieść, należy ryzykować jeszcze czyjeś życie.

Sumner spojrzął na Patricka, a potem na oficera lotnictwa.

- Czy spróbuje pan znaleźć naszych ludzi? - spytał ten ostatni.

- Tak - zdecydował Sumner. - Zrobimy, co w naszej mocy.

- Wiedziałem, że tak powiesz, Rudy - odezwał się McGowen. - Ja i kilku chłopaków z mojego zespołu będziemy punktem kontaktowym. Zawieziemy was na brzeg, zaopiekujemy się pontonem i będziemy czekać w gotowości, żeby was zabrać. Nie oczekujemy od was, abyście byli na brzegu dłużej, niż wymaga tego upewnienie się, czy tamci żyją, czy nie, a jeśli tak, to przyprowadzenie ich.

- A jeśli dostali się do niewoli?

- Nie podejmujcie żadnego nadzwyczajnego ryzyka, ale jeśli będziecie w stanie ich uwolnić, to okej - powiedział Patrick. - Zaraz potem wracajcie na plażę. Będziecie mieli pełne wsparcie ogniowe. Poza tym kutrem torpedowym, na którego pokładzie popłyniecie, będą jeszcze dwa plus eskorta w postaci niszczyciela. Kutry będą czekać nieopodal Bras i Fanildo, aby Japończycy nie mogli przeciąć im drogi, w razie gdyby musiały spieszyć wam z pomocą (jeśli wywiązałyby się jakaś walka). Natomiast fregata będzie poza linią horyzontu, a więc niedostrzegalna.

- I jeszcze jedna rzecz - zauważył McGowen. - Wiecie dobrze, że nadal obowiązuje rozkaz unikania (o ile to możliwe) kontaktu z nieprzyjacielem. Jednak w tym wypadku taki kontakt jest wręcz pewny, wobec tego uzbrojcie się odpowiednio.

- Weiland się ucieszy. Wprost nie może się doczekać, kiedy wyprowadzi na spacer tego swojego Browninga - uśmiechnął się Sumner.

- Poruczniku, bądźcie nadzwyczaj ostrożni - przestrzegął Patrick. - I pamiętajcie, że pomimo iż bardzo chcemy, aby ci ludzie wrócili, to generał Krueger po prostu nie zgadza się na stratę żadnej cennej grupy zwiadowców podczas operacji tego rodzaju. Jeśli wszystko jasne, może pan zacząć się przygotowywać.

- Wyruszmy dziś o północy. - Sumner zasalutował i wyszedł.

\*\*\*

Sumner i jego grupa wsiedli na kuter torpedowy tuż przed północą i wkrótce płynęli po czarnej wodzie. W skład zespołu wchodził: Sumner, Blaise, Coleman, Weiland, Renhols i Jones. Schermerhorn został w obozie, bo powaliła go malaria.

Do zespołu kontaktowego McGowen wziął starszego szeregowego Raymonda Aguilara, Indianina z Meksyku, który miał opiekować się pontonem, sierżantów Raya W. Wangruda i Harolda N. Sparksa, starszych szeregowych Jacka C. Bunta i Charleya D. Hilla. Mieli pomóc ludziom Sumnera przygotować się do wykonania zadania.

Nad bezpieczeństwem zespołu Sumnera czuwały także trzy kutry torpedowe oraz

fregata z trzema pięciocalowymi działami i działkami przeciwlotniczymi.

- Prześpijmy się trochę - zarządził Sumner, gdy kutry skierowały się na pełne morze. - Rano musimy być wypoczęci i bystrzy.

Spanie na podskakującej na falach jednostce płynącej z prędkością dwudziestu sześciu węzłów było nie lada wyzwaniem, ale zwiadowcom udało się to na tyle, aby odświeżyć rozum i zmysły.

Około drugiej nad ranem McGowen obudził Sumnera.

- Mniej więcej za godzinę będziemy - oznajmił.

Sumner skinął głową i zaczął budzić swoich ludzi. Kazał im przejrzeć broń i ekwipunek.

- Polowanko w celu zdobycia pamiątek? - rzucił Coleman. - Wierzycie w to, chłopaki?

- Czemu nie - odparł Blaise, sprawdzając radio. - Wiesz, jak to jest. Przywozimy pamiątki tym z lotnictwa i z marynarki, ale w zamian za lepsze żarcie. Być może uznali, że nasza cena jest zbyt wysoka, i postanowili zrezygnować z pośrednika.

Sumner postanowił, że to będzie szybka operacja „tam i z powrotem”. Dlatego też nie wzięli ze sobą porcji żywnościowych, a tylko tabliczki czekolady i manierki z wodą, a oprócz broni jedynie apteczki.

Jeśli chodzi o broń, to każdy zwiadowca miał przy sobie co najmniej siedemdziesiąt sztuk naboju, ale Coleman dla swojej „smarownicy”<sup>24</sup> dwieście. Olbrzymi, mierzący 185 centymetrów Weiland, najwyraźniej lubiący strzelać do Japończyków, niósł ręczny karabin maszynowy BAR, a do niego także dwieście naboju. Te dwa karabiny zapewniały w razie potrzeby dostateczną siłę ognia, ale wszyscy zabrali jeszcze na wszelki wypadek po jednym pełnym magazynku.

Każdy miał też po dwa granaty obronne, a Sumner i trzech ludzi dodatkowo po granacie dymnym.

O trzeciej nad ranem kuter torpedowy zbliżył się do wyspy. Był przytyły, morze spokojne, toteż pięćdziesięciojednotonowa jednostka bez trudu manewrowała między otaczającymi wyspę koralowcami.

Sumner i McGowen nie spuszczaali oczu z ekranu radaru, starając się zorientować w topografii zachodniego krańca wyspy, ponieważ nie dysponowano zdjęciami tego terenu. Obydwaj dowódcy zespołów przypuszczali, że jeżeli dwaj lotnicy żyją, to znajdują się gdzieś w pobliżu dawnej stacji rolnictwa doświadczalnego. Plan Sumnera przewidywał wylądowanie czterysta metrów od tej stacji, następnie podejście do budynku i obserwację.

---

<sup>24</sup> Smarownica, ang. *grease gun* - potoczna nazwa pistoletu maszynowego M3 (przyp. JB).



*Pistolet maszynowy M3*

O trzeciej dwadzieścia rano kuter z włączonym urządzeniem wyciszającym pracę silnika zwolnił i zatrzymał się. Dwa pozostałe płynęły dalej, zmierzając nieco na północ do wyznaczonych miejsc koło Brasi Fanildo. Fregata stała w pogotowiu dwadzieścia cztery kilometry od brzegu.

- Koniec podróży - wyszeptał kapitan.

Zwiadowcy zeszli do spuszczonego na wodę pontonu. Sumner z Aguilarem siedli z tyłu. Aguilar zabrał ze sobą linę cumowniczą, której drugi koniec był przymocowany do kutra. W miarę oddalania się Aguilar popuszczał linę.

Tuż przed czwartą ponton dobił do brzegu i Sumner oraz jego ludzie wskoczyli do płytkiej wody. Aguilar obrócił ponton i popłynął w stronę kutra, wspomagany przez jego załogę, która zwijała linę.

Linia drzew zaczynała się zaledwie sześć metrów od wąskiej plaży. Tak jak ich uczono, zwiadowcy udali się w stronę naturalnego schronienia, po czym stanęli półkolem, czekając, aż Renhols i Weiland pozacierają ślady ich stóp na białym piasku.

Roślinność wyspy stanowiły przeważnie palmy kokosowe, wśród których rosły krzaki oraz niska, może trzydziestocentymetrowa trawa. Do świtu były jeszcze ze dwie godziny, więc Sumner pozwolił swoim ludziom się zdrzemnąć. Warty zmieniały się co pół godziny. Jedyna jak na razie „wroga akcja” przydarzyła im się, kwadrans po piątej rano, kiedy to na opartego o pień palmy Weilanda spadł liść palmowy. Na szczęście nie uderzył Weilanda twardym ogonkiem, więc nic się nie stało, choć mężczyźni dusili się ze śmiechu, bo Weiland,

obudzony nagle ze snu, myślał, że napadł na niego japoński żołnierz, i przez chwilę zmagał się z atakującym.

W bladym brzasku Sumner już zamierzał poderwać swoich ludzi do drogi, gdy usłyszał, że Jones uderza dwukrotnie o kolbę swojego karabinu. Od południa zbliżał się dziewięcioosobowy japoński patrol. Sumner dał znak, aby byli cicho, i wszyscy padli na ziemię, wstrzymując oddech.



*Karabin wz. 38 Arisaka*

Patrol szedł ścieżką i aż do tej chwili nie było go widać, ale teraz znajdował się zaledwie piętnaście metrów od zwiadowców. Sumner widział po zachowaniu Japończyków, że nie spodziewają się żadnych kłopotów. Szli niemal niedbale. Ich broń (karabiny Arisaka) wisiały im na ramionach, niektórzy jedli owoce. Wszyscy byli w dobrej kondycji fizycznej, ubrani w szorty i w koszule z krótkim rękawem, skarpetki i w tak typowe dla Japończyków buty *jikatabi*. Amerykańscy zwiadowcy przywarli do ziemi, bojąc się oddychać, dopóki tamci nie przeszli, kierując się na północ.

Gdy wróg zniknął z oczu, Sumner polecił Blaiseowi schować radio, gdy tymczasem reszta przygotowywała się do rozpoczęcia poszukiwań.

Słońce wspięło się od wschodu po linii horyzontu coraz wyżej. Jego promienie oświetliły budynki stacji doświadczalnej, znajdującej się kilkaset metrów na południe. Sumner widział na zdjęciach lotniczych, że jest ich sześć, zburzonych w różnym stopniu. Z oddali nie było widać śladu życia, ale mała smuga dymu unosząca się z jednego z nich świadczyła, że coś tam gotowano. Zaledwie siedemset metrów na prawo od miejsca, w którym znajdowali się zwiadowcy, stał duży, jednopiętrowy budynek. Weranda wychodziła na morze, zapewniając mieszkańcom pocztówkowy widok na południowy Pacyfik.

Gdzieś niedaleko rozległo się pianie koguta.

- A może zamiast ratować lotników powinniśmy się zatroszczyć o jakiś obiadek dla siebie? - mruknął Jones.

- Musimy sprawdzić - zwrócił się Sumner do Colemana - czy tam ktoś jest. Jeśli w środku są Japończycy, to odetną nam odwrót.

Nakazał swoim ludziom kierować się w stronę tego domu, czołgając się po dwóch, ale

w odstępach czasu. Dwieście metrów od budynku teren obniżał się, tworząc rów głęboki niemal na metr i długi na sześć metrów. Wczołgali się do niego i leżeli nieruchomo przez jakieś dwadzieścia minut, wyczekując na odpowiedni moment, ale jedyną oznaką życia był pisk kurcząt.

Nagle drzwi domu otworzyły się i wyszedł japoński oficer ubrany w wysokie buty, lekkie bryczesy koloru khaki, białą koszulę rozpiętą pod szyją i w oliwkową kurtkę od munduru z czerwonymi naszywkami na kołnierzyku - na każdej były dwie albo trzy gwiazdki. Zszedłszy po stopniach werandy, rozpiął rozporek i zaczął siusiać.

Zakończywszy tę czynność, odwrócił się i poszedł w stronę stacji doświadczalnej, zupełnie nie zdając sobie sprawy, że jest obserwowany, i to z odległości zaledwie kilkunastu metrów.

Weiland i Jones zostali, by obserwować, czy nie wraca dziewięcioosobowy patrol, który widzieli w dżungli, a Sumner z resztą zwiadowców wyszli z rowu i ruszyli do budynku. Weszli do środka - okazało się, że nikogo tam nie ma (zresztą zgodnie z przewidywaniami Sumnera). W japońskiej armii, tak jak i w innych, oficerowie nie fraternizowali się ze zwykłymi żołnierzami.

Wobec tego już wszyscy razem skierowali się w stronę stacji doświadczalnej, biegnąc pochyleni od kryjówki do kryjówki, aż znaleźli się trzydzieści metrów od zabudowań.

Dochodziły ich głosy, ale ani nie umieli zlokalizować skąd, ani stwierdzić o czym rozmawiano. Jedno było pewne - to nie byli Amerykanie, których szukali, co potwierdzały uprane ubrania rozwieszane na sznurku, w tym także części mundurów japońskich.

Nerwy Sumnera były napięte do ostateczności; obserwował teren przez lornetkę i widział uwijającego się przy ogniu kucharza. Widział też wewnątrz budynku, a w nim starannie poukładane zapasy, schowane pod tym, co po nalotach jeszcze zostało z dawnego dachu.

Na lewo spostrzegł kilka łodzi, ukrytych tak, by nie można ich było dostrzec z lotu ptaka.

Po kilku minutach obserwacji kazał swoim ludziom przesunąć się nieco bardziej w kierunku zachodnim, aby zyskać inną perspektywę. Stąd było widać tylko jednego człowieka wewnątrz innego budynku, ale ani śladu oficera, którego zobaczyli przedtem. Po chwili dostrzegł mniejszy budynek, z wieloma drutami odchodzącymi od anteny radiowej. Leżało też trochę rzeczy osobistych, a docierający do ich nozdrzy zapach świadczył, że również przygotowywano tam jedzenie.

Sumner podał lornetkę Colemanowi, wskazując, gdzie ma patrzeć.

- Patrz na te anteny i urządzenia. Chyba to stąd kontrolują cały ruch barek wzdłuż tej

części wybrzeża Nowej Gwinei - szepnął. - Nie widzę tylko jednego: jakiegoś strzeżonego szafasu czy czegoś w tym rodzaju, gdzie mogliby być przetrzymywani ci lotnicy. Niczego takiego nie ma. Ani nie widać, żeby ktoś tu czegoś pilnował.

- A ten patrol, który widzieliśmy przedtem? - zapytał Coleman.

- To rutynowa sprawa. Byli zbyt na luzie, aby to mógł być jakiś patrol z prawdziwego zdarzenia.

- Myślisz, że ci lotnicy nie żyją?

- I zostali tu gdzieś pochowani. To jest cholernie małe i diabelnie płaskie miejsce, żeby dało się coś ukryć przez dłuższy czas. - Sumner spojrzął na zegarek. Dochodziła dziewiąta rano. - Może jeszcze poszukamy, ale im dłużej tu jesteśmy, tym większe prawdopodobieństwo, że wylądujemy u Japończyków w garnku.

I właśnie wtedy znajdujący się na prawej flance Jones dostrzegł dwóch Japończyków zmierzających w ich stronę. Ostrzegł kolegów, ale pojawiło się kolejnych dwóch. Sumner spojrzął przez lornetkę i ocenił, że są gdzieś sto pięćdziesiąt metrów od nich. Raptem, równie nagle, jak się pojawili, Japończycy zniknęli.

- No, to koniec, zobaczyli nas - stwierdził Sumner.

Powietrze przeciął świst, a w ślad za nim rozległ się trzask Arisaki. Wywiązała się strzelanina. - Ostrzelaj ich, niech się pochowają - powiedział Sumner do Colemana, który natychmiast opróżnił mieszczący trzydzieści naboń magazynek swojej „smarownicy”. Strzelanina ustała.

- Weiland, Blaise, uważajcie na ten patrol. Jones, ty masz doskonały wzrok. Czy widzisz tu gdzieś tych lotników? - spytał Sumner.

- Nie.

Znowu rozgorzała strzelanina, tym razem pociski nadlatywały z naprzeciwka, z kępy zarośli, wrywając grudki ziemi. Coleman znowu odpowiedział ogniem ze swojego automatu. Wszędzie dokoła fruwały liście i gałązki, Japończycy strzelali również, ale teraz ich ogień był o wiele słabszy niż poprzednio.

Sumner był pewien, że lotnicy nie żyją, w przeciwnym razie któryś z nich, usłyszawszy strzały z amerykańskiej broni, zwłaszcza z automatycznej, wypluwającej czterysta pięćdziesiąt pocisków na minutę, próbowałby dać znać o swojej obecności. Tymczasem nie było słyhać nic prócz odgłosów bitwy.

- Wracamy na plażę - rozkazał Sumner. - Weiland, osłaniaj nas.

Na twarzy Weilanda pojawił się szeroki uśmiech, wycelował opartego na podpórce BAR-a w stronę wroga i opróżnił dwudziestonabojowy magazynek, a potem jeszcze jeden.



Strzelanina ucichła i zwiadowcy nisko pochyleni pobiegli wzdłuż rowu.

\*\*\*

Na kutrze torpedowym płynącym ku północy wzdłuż Pegunu słyszano strzelaninę, bo echo niosło ją daleko.

- Cholera - zaklął McGowen i zwrócił się do kapitana: - Wezwij kawalerię.
- Już w drodze - powiedział porucznik, trzymając mikrofon.
- Aguilar - rozkazał McGowen. - Naszykować ponton.

\*\*\*

Sumnerowi i jego ludziom dotarcie do ustalonego miejsca na plaży zajęło kwadrans. Dobiegające z tyłu odgłosy świadczyły, że Japończycy ich gonią, wobec tego Sumner rozkazał Weilandowi zabezpieczać tyły, podczas gdy pozostali, wydostawszy się z rowu, biegli w stronę zarośli. Z kolei stamtąd osłaniali wycofującego się Weilanda.

Na plaży Blaise i Renhols wydostali radio z kryjówki, włączyli je i nawiązali łączność z McGowenem. Widzieli z plaży zbliżający się kuter, który zatrzymał się dwieście pięćdziesiąt metrów od brzegu.

- Mamy towarzystwo - powiedział Blaise przez radio.
- Wiemy - odparł McGowen. - Czy znaleźliście lotników? Odbiór.
- Nie. Wracamy - brzmiała odpowiedź Blaise'a.
- Przyjąłem - zakończył McGowen.

Nerwowo spoglądając w kierunku północnym, Sumner czekał, kiedy pojawi się dziewięcioosobowy patrol, który zapewne zmierzał w ich stronę. Kazał swoim ludziom ustawić się w półkole.

- Powiedz Rudemu, żeby podał nam jakiś punkt odniesienia, gdzie jesteście - odezwał się McGowen przez radio. - Przez te zarośla was nie widzimy.

Blaise przekazał wiadomość.

Sumner kiwnął głową. Mając nadzieję, że Japończycy jeszcze nie odkryli, gdzie dokładnie się znajdują, wstał i wyszedł z zielonej gęstwiny na plażę, stając twarzą w stronę morza. Obok niego stanął Renhols, tylko że twarzą zwrócony w kierunku dżungli.

Blaise powiedział:

- Przyjąłem - po czym zwrócił się do Sumnera: - Widzą was.

Sumner z Renholsem stali nadal, ramię przy ramieniu, tworząc żywy punkt odniesienia.

\*\*\*

Radio McGowena zatrzeszczało i rozległ się w nim obcy głos. Pilot australijskiego

Beaufightera, sierżant lotnictwa Mostyn „Mos” Morgan, który wraz z nawigatorem sierżantem lotnictwa Fredem Cassidym przeszukiwał częstotliwości radiowe, namierzyli rozmowę między kutrem torpedowym a zespołem zwiadowców.



*Myśliwiec Bristol Beaufighter Królewskich Australijskich Sił Powietrznych*

Morgan przedstawił się jako członek 30. Dywizjonu Królewskich Australijskich Sił Powietrznych:

- Nie chcę się wtrącać, ale może potrzebujecie pomocy? Odbiór.

- Owszem - odpowiedział mu McGowen, spoglądając w górę, skąd słyhać już było zbliżający się pomruk silników samolotowych. - Mam na wyspie sześciuosobowy patrol, a Japońce siedzą im na karku. Musimy się ich pozbyć. Czy mógłbyś nam pomóc? Odbiór.

- Człowieku, co za zdumiewający zbieg okoliczności. Akurat tak się składa, że mam samolot. Pomogę, jak długo trzeba, aż zobaczę, że wasze chłopaki są bezpieczne. Odbiór i wyłączam się.

\*\*\*

Wybuch strzelaniny z prawej strony wytrącił Sumnera z zamyślenia i oznajmił, że właśnie nadciągnął dziewięciosobowy patrol. Strzelanina zaalarmowała również pozostałych na wyspie Japończyków, którzy zaczęli podchodzić coraz bliżej do Amerykanów. Sumner wiedział, że z posiadanymi siłami może stawić czoło gdzieś trzydziestu Japończykom. Tymczasem nowe zagrożenie na flance bardzo pogarszało jego sytuację. Blaise poinformował McGowena o zmianie sytuacji.

- Nie możemy was kryć, bo nie znamy waszych pozycji - powiedział McGowen. - Ale wysyłamy ponton.

- Ray! Ruszaj się - zwrócił się do Aguilara.

Aguilar wzdrygnął się nerwowo, ale McGowen rzucił mu twarde spojrzenie.

- Powiedziałem ruszaj się! Już, do cholery.

Aguilar spuścił ponton na wodę, marynarze wsiedli do niego i odbili.

Sumner gorączkowo obserwował kuter. Z daleka widać było, że spieszy w ich stronę. Nawet z oddali słyszał odgłos jego wystrzałów. Pozostałe dwa kutry znajdowały się w okolicach Fanildo i Bras, angażując tam Japończyków i tym samym uniemożliwiając im pospieszenie z pomocą towarzyszom na Pegun.

Morze było spokojne, kuter podskakiwał na falach jakieś trzysta metrów od brzegu. I wtedy nagle ukazał się ponton i skierował w stronę brzegu. Na jego widok Sumner i Renhols padli na kolana.

- Oj, chyba ktoś tam ryzykuje życiem - stwierdził Coleman, obserwując wiosłujących.

Sumner zgodził się.

- O ile nie damy żółtkom jakiegoś innego celu.

Coleman wytrzeszczył oczy.

- To znaczy nas?

Sumner skinął głową:

- Brniemy przez wodę na spotkanie Aguilarowi. Nie mamy wyboru. Jones, ty pierwszy. Na mój sygnał strzelasz na lewo i biegniesz do wody. Naprzód!

Jones wystrzelił, po czym pognał przez plażę. Odwrócił się twarzą ku brzegowi i cofał się, idąc tyłem w stronę płynących w pontonie kolegów. Dokoła niego japońskie pociski odbijały się od wody i wyskakiwały do góry niczym ryby.

- Weiland, Coleman, osłona ogniowa. Renhols, strzelaj na prawo i biegnij!

Przy szczęku broni maszynowej Renhols rzucił się do wody, strzelając na prawo i brnąc w stronę Jonesa.

- Osłona ogniowa, Blaise, biegnij!

Weiland, Coleman i Sumner zaczęli strzelać, a Blaise, trzymając dwunastokilogramową radiostację i ciągle jeszcze mając słuchawki na uszach, rzucił się pędem przez plażę do wody w stronę dwóch kolegów.

Japończycy robili wszystko, co w ich mocy, by nie dopuścić do tej ucieczki, toteż pociski skakały wkoło jak oszalałe.

- Weiland, ty następny, biegnij! - rzucił Sumner.

Coleman i Sumner strzelali, a Weiland wyszedł z zarośli i cofając się ku wodzie, strzelał na lewo i prawo ze swojego Browninga w stronę niewidocznego, bo ukrytego w zieleni wroga. Sumner patrzył z podziwem, jak Weiland opróżniwszy jeden magazynek, fachowym ruchem sięgnął do kieszeni kamizelki, wyjął nowy, załadował i znowu zaczął strzelać.

Znalazłszy się w wodzie, wciąż strzelał, a pociski kaliber 7,62 mm świstały Sumnerowi nad głową. Po chwili dowódca zawołał do Colemana:

- Oślaniaj mnie, ogień z przodu i na prawo!

Obydwaj wypadli równocześnie z zielonego gąszczu. Coleman padł i leżąc, strzelał we wszystkich kierunkach, a Sumner dobiegł do wody i zaczął dziękować Panu Bogu, że dno morza jest twarde i stopy nie grzęzną w piasku. Na dodatek im dalej posuwali się w morze, tym było głębiej, ale nie na tyle, żeby nie się dało iść. Właściwie głębokość wody była akurat, sięgała mężczyznom do pach, a więc Japończycy mieli teraz utrudnione zadanie, bo ich cele znacznie się zmniejszyły. Jednak ciągle próbowali, a wystrzeliwane przez nich pociski świstały dookoła. Szczególnie intensywny ostrzał prowadził z prawej strony znany im dziewięcioosobowy patrol, dlatego też Sumner kazał Weilandowi zwrócić Browninga w tamtym kierunku.

Wciąż się cofając, Sumner obejrzał się przez ramię i zobaczył, że Jones i Renhols właśnie dochodzą do znajdującego się ze sto metrów od brzegu pontonu i że Aguilar i jeden z marynarzy wciągają ich do środka.

„Mimo wszystko może nam się uda”, pomyślał.

\*\*\*

McGowen obserwował z pokładu kutra tę ucieczkę, uśmiechając się szeroko.

- Nadzwyczajne - powiedział sam do siebie.

Zatrzeszczało radio. To był ten australijski pilot.

- Widzę sześciu ludzi w wodzie. Czy to wszyscy? Odbiór.

- Tak jest - odparł McGowen. - Postaraj się, by żółtki poczuli się jak w piekle. Bez odbioru.

Beaufighter skierował się w lewo i zbliżając się nad plażę, szpikował Japończyków seriami z karabinów maszynowych.

\*\*\*

Stojąc twarzą ku plaży, po pas w wodzie, Sumner nie miał pojęcia, że ma wsparcie w postaci Beaufightera, dopóki nie usłyszał huku dwóch silników Bristol Hercules. Spojrzał do góry i zobaczył równoległe z linią drzew schodzący w dół samolot. I wtedy sześć ciężkich

karabinów maszynowych kaliber 12,7 mm oraz cztery 20-milimetrowe działka<sup>25</sup> na przodzie otworzyły ogień, szatkując roślinność zaledwie trzydzieści metrów od Sumnera; Australijczyk musiał być naprawdę dobry, żeby zostawić sobie tak wąski margines bezpieczeństwa.

Lecąc z rykiem silników na wysokości trzydziestu metrów nad ziemią, myśliwiec wzniecał tumany kurzu, siekąc pociskami wszystko dookoła i powodując, że siła ognia Japończyków zmalała o połowę, po czym wzbił się wysoko.

Także kuter torpedowy nie zaprzestawał ognia, dopóki Sumner nie dotarł do pontonu. Powietrze przecinały pociski, niknąc w dżungli. Sumner wiedział, że co piąty wystrzelony pocisk był smugowy.

Tymczasem Beaufighter zawrócił i schodził w dół, szykując się do ponownego ataku. I znowu na pozycje japońskie spadł grad pocisków, przy wtórze okrzyków radości pasażerów pontonu.

- Niech Bóg błogosławi tego Australijczyka. Ocalił nasze biedne tyłki - stwierdził Coleman, wypowiadając życzenie wszystkich kolegów.

Sumnera wciągnięto do pontonu, ogień od strony plaży zmalał, ale dopiero wtedy, gdy zwiadowcy znaleźli się na pokładzie kutra. Kilka nieprzyjacielskich pocisków dosięgło pontonu i rozerwało go, ale ponieważ środkowa część ciągle była nienaruszona, ponton utrzymywał się na wodzie. Amerykanie wiosłowali ile sił, byle tylko dopłynąć do kutra od bezpiecznej strony, tak aby znaleźć się poza zasięgiem japońskiego ostrzału. Wreszcie wrzucili swoje rzeczy na pokład, po czym sami wdrapali się przy pomocy kolegów z grupy kontaktowej.

Na pokładzie Sumner usłyszał trzaski w radiu McGowena.

- Czy wszyscy na pokładzie? Odbiór - pytał Morgan.

- Wszyscy. Bez strat. Odbiór.

- Dobra robota, chłopaki. Żadnych śladów tych dwóch lotników? Odbiór.

McGowen spojrzał na Sumnera, który pokręcił głową.

- Żadnych. Dzięki za pomoc, jesteśmy twoimi dłużnikami. Jak będziesz w kwaterze głównej 6. Armii, poszukaj nas. Pytaj o porucznika McGowena. Stawiam piwo. Odbiór.

- W porządku. Cieszę się, że mogłem pomóc. Cześć. - I samolot zniknął w oddali.

Gdy wszyscy już byli na pokładzie, a porozrywany ponton wciągnięty, kapitan kutra wyłączył urządzenie tłumiące pracę silnika.

- Chyba wiedzą, że tutaj jesteśmy - stwierdził i skierował dwudziestoczwierometrową

---

<sup>25</sup> Bristol Beaufighter produkowany w Australii na potrzeby RAAF miał (oprócz czterech działek 20 mm) cztery karabiny maszynowe kaliber 12,7 mm, czyli .50 cala, a nie sześć jak pisze autor (przyp. JB).

jednostkę na wody poza obrębem rafy. Dwie pozostałe dołączyły do nich i teraz wszystkie trzy ostrzeliwały wyspę. Kapitan fregaty, która krążyła w odległości ośmiu kilometrów, spytał przez radio o dalsze instrukcje.

- W pobliżu południowego krańca wyspy jest skupisko szałasów - powiedział Sumner.

- To baza zaopatrzeniowa, chyba powinniście dostrzec dachy.

Kapitan fregaty przyjrzał się temu celowi przez lornetkę i stwierdził:

- Taaak, widzę.

Niemal natychmiast w stronę stacji doświadczalnej poleciał grad czterdziestomilimetrowych pocisków, po czym nastąpił atak z dział kaliber 127 mm. Pociski przecinały powietrze, rozrywając się wśród budynków. Sumner patrzył z niekłamaną satysfakcją, jak chaty niemal rozsypują się pod ciężkim ostrzałem. Także ukryta barka została zniszczona. Następnie, według wskazówek Sumnera, fregata ostrzelała dom, w którym mieszkali oficerowie i który wkrótce rozpadł się na drobne kawałki.

- Szkoda mi tylko tych biednych kurczaków - powiedział Jones.

Pomimo takiego łupnia Japończycy odpowiadali ogniem z broni palnej i z moździerzy, ostrzeliwując kutry.

- A to cholerne sukinsyny! - stwierdził Weiland.

Po pewnym czasie, gdy kutry zaprzestały tak intensywnego ostrzału, McGowen i Sumner zeszli do kwatery starszych oficerów.

- To absolutnie najlepszy spektakl, jaki kiedykolwiek oglądałem. A już to, jak wycofywaliście się z wyspy, to było coś wspaniałego. Wprost zapierało dech w piersiach - entuzjasmował się McGowen.

- Nie mieliśmy innego wyjścia - powiedział Sumner.

- To fakt - potwierdził McGowen. - Wiem, że Aguilarowi to się wcale nie podobało. Srał w gacie na myśl, że będzie musiał płynąć pontonem do brzegu.

- No, ale przyplłynął - zauważył Sumner.

- Kutry popłyną teraz gdzie indziej, wobec tego o północy, czyli za godzinę, przesiądziemy się na fregatę. A tymczasem powiedz, co znaleźliście na wyspie - poprosił McGowen.

Sumner zrelacjonował to, co się działo, odkąd znaleźli się na wyspie aż do momentu, gdy zostali zauważeni i zaatakowani przez Japończyków.



*Zespół Sumnera po otrzymaniu Brązowych Gwiazd za misję na wyspie Pegun. Stoją (od lewej): Harry Weiland, Paul Jones i Ed Renhols. Kleczą (od lewej): Bob Sumner, Lawrence Coleman i Bill Blaise, 1 stycznia 1945*

- Jestem przekonany, że generał Patrick ma rację. Tych dwóch nie żyje - ciągnął. - Gdyby żyli, to próbowaliby się z nami skontaktować, szczególnie wtedy, kiedy zaczęliśmy tę strzelaninę z żółtkami.

Godzinę później Sumner wraz ze zwiadowcami przesiedli się na fregatę i tam poczuli oddech luksusu. Dostali czystą pościel, klimatyzowane pomieszczenie z prysznicami i najlepszy posiłek, jaki jedli od tygodni. A potem spali jak zabici.

Wkrótce do Alamo Hotel zawitali australijscy lotnicy, Morgan i Cassidy, i zostali radośnie powitani przez wdzięcznych zwiadowców.

\*\*\*



*Załoga Beaufightera – (od lewej) sierżant Fred Cassidy (nawigator) i sierżant Mostyn „Mos” Morgan (pilot)*

Kilka dni po akcji na wyspie Pegun Tokijska Róża<sup>26</sup> obwieściła przez radio, że „cesarska piechota morska odparła atak sił sprzymierzonych na wyspy Mapia. Wróg poniósł straty”.

Jones słysząc to, prychnął.

- Hej, dziecinko - powiedział do głosu w radio. - Nie ponieśliśmy żadnych strat, chyba mówisz o sobie.

Trzy miesiące później, 15 listopada, część 2. batalionu 167. pułku piechoty, czyli dawnej jednostki Sumnera, wylądowała na wyspie Pegun, nie napotykając żadnego oporu; nieprzyjaciela tam nie było.

Dowódca, podpułkownik Leon L. Matthews, doniósł w raporcie, że jego wojska odkryły we wspólnym grobie ciała trzech poszukiwanych mężczyzn. Dwaj z nich mieli ręce związane na plecach kablem telefonicznym i zginęli od strzału w tył głowy. Co prawda żaden z nich nie miał przy sobie dokumentów, ale ich mundury świadczyły, że należeli do sił powietrznych.

---

<sup>26</sup> Tokijska Róża (ang. Tokyo Rose) - popularne określenie nadane w latach II wojny światowej przez żołnierzy spikerkom japońskich rozgłośni propagandowych. Jedną z najbardziej znanych Tokijskich róż była Iva Toguri D'Aquino, Amerykanka japońskiego pochodzenia, która po wybuchu wojny nie mogła powrócić do Stanów i rozpoczęła pod nadzorem wojska prowadzenie działalności propagandowej. Po zakończeniu wojny została pojmana przez amerykańskie służby. W 1949 roku została postawiona przed sądem pod zarzutem zdrady i świadomego podkopywania morale żołnierzy alianckich (przyp. JB).



\*\*\*

W Nowy Rok 1945 podczas uroczystości na wyspie Leyte Sumner oraz wszyscy członkowie jego zespołu zostali odznaczeni za akcję na wyspie Pegun Brązową Gwiazdą.

# ROZDZIAŁ 9

## Akcja ratunkowa na przylądku Oransbari

### Zespoły Nellista i Rounsaville'a: 4-5 października 1944

Dziewiątego września ASTC ukończyli uczestnicy czwartego z kolei naboru, w sumie dwa zespoły, na których czele stali porucznik William E. Nellist z miejscowości Eureka w Kalifornii oraz porucznik Thomas J. Rounsaville z Atoki w Oklahomie.

Nellist, który w czasie walk pod Buną służył w 511. pułku piechoty spadochronowej 11. Dywizji Powietrznodesantowej, podchodził do życia lekko. Od siódmego roku życia pasjonował się myślistwem (uwielbiał polowania na kaczki) oraz wędkarstwem, na łonie natury czuł się jak w domu i zyskał przydomek „Biały Indianin”. W Gwardii Narodowej zdobył tytuł mistrzowski w strzelaniu i był najlepszym strzelcem wśród wszystkich Zwiadowców Alamo.

Dwudziestopięcioletni „Koniarz” Rounsaville także był twardym żołnierzem. Przyszedł do zwiadowców z 187. pułku piechoty szybowcowej 11. Dywizji Powietrznodesantowej. Wysoki i niezgrabny, o przeraźliwie długich nogach i rękach, wesoły chłopak okazał się doskonałym dowódcą i taktykiem, i wkrótce to udowodnił.

Rounsaville całkiem słusznie był dumny ze swojego zespołu. Byli w nim urodzony na Hawajach sierżant sztabowy Alfred „Opu” Alfonso i sierżant Harold N. Hard, nauczyciel z Coldwater w stanie Michigan, i starszy szeregowy Franklin Fox z Dayton ze stanu Ohio. Starszy szeregowy Francis H. Laquier, Indianin z plemienia Odżibwejów z rezerwatu White Earth w stanie Minnesota, tak jak i Rounsaville był spadochroniarzem. Laquier służył w 503. pułku piechoty spadochronowej i, ku radości Rounsaville'a, okazał się niezwykle spostrzegawczy, natychmiast zauważał wszystkie szczegóły i potrafił narysować mapę nie gorzej od niejednego kartografa. Wreszcie był tam starszy szeregowy Rufo V. Vaquilar. Przeżywano go „Pontiac”, gdyż wybuch wojny zastał go w więzieniu w Pontiac w stanie Illinois. Darowano mu karę, gdy zgłosił się do wojska, i przez pewien czas służył w 1. pułku piechoty na Filipinach, aż wreszcie osiągnąwszy dojrzały wiek trzydziestu czterech lat, zgłosił się do Zwiadowców Alamo.

Koniec września zastał zespoły Rounsaville'a i Nellista na wyspie Rumberpon,

należącej administracyjnie do Holenderskich Indii Wschodnich, niemal pięć kilometrów od wybrzeża półwyspu Ptasia Głowa. Zwiadowcy śledzili ruch japońskich barek oraz funkcjonowanie ich baz zaopatrzeniowych na południe od Manokwari. To zajęcie nie obfitowało w żadne wydarzenia. Od chwili ukończenia ASTC „organizowali małe zwiady w głąb lądu i pływali na kutrach torpedowych, patrolując pobliskie wody” wspominał Nellist. Tak było do 28 września, kiedy to podszedł do Nellista holenderski porucznik ubrany w kamuflaż, taki jaki nosi się w dżungli, i w charakterystycznym australijskim kapeluszu khaki o wywiniętym rondzie.

Od sierpnia sierżant Louie Rapmund z Administracji Cywilnej Holenderskich Indii Wschodnich wykorzystywał Rumberpon jako punkt ewakuacyjny dla jeńców wojennych oraz tubylców uwalnianych przez Japończyków z obozów na Ptasiej Głowie. Rapmund dowiedział się od jednego z tubylców, że były holenderski gubernator tych obszarów wraz z rodziną i kilkoma służącymi wywodzącymi się z miejscowej ludności jest przetrzymywany przez Japończyków w małej wiosce na przylądku Oransbari. Rapmund poszedł wraz z tym tubylcem do Rounsaville’a, który miał codzienny kontakt z wywiadem 6. Armii.

Co prawda zdaniem MacArthura i innych generałów operacje na Nowej Gwinei miały się ku końcowi, ale wciąż na tej wielkiej wyspie oraz na okolicznych mniejszych wyspach i wysepkach znajdowało się około dwustu tysięcy Japończyków, którzy stawiali gdzieś opór. W rozmaitych miejscach nieprzyjaciel przetrzymywał jeńców, przeważnie narodowości holenderskiej, australijskiej i melanezyjskiej, wykorzystując ich jako robotników przymusowych.

Mniej więcej dwa tysiące Japończyków zaszyło się na przylądku Oransbari, a z tych około trzydziestu znajdowało się w zamienionej na obóz jeniecki małej wiosce cztery kilometry od wybrzeża w głąb lądu.

Wkrótce po przekazaniu tej informacji do dowództwa Rounsaville i jego zespół, wraz z Rapmundem i byłym jeńcem, wiosłowali zaciekle wzdłuż wybrzeża przylądka Oransbari. Przybili do brzegu u ujścia rzeki Wassoenger, dziesięć kilometrów na północ od tej wioski. Dżungla była tu bardzo trudna do przebycia i przedzieranie się przez nią zajęło kilka godzin. W końcu dotarli na skraj wioski i tam przywarli do ziemi, obserwując i robiąc notatki. Bystre oko Rounsaville’a oszacowało przybliżoną liczbę Japończyków, usytuowanie chat, najdogodniejsze drogi wiodące do wioski oraz inne szczegóły. Posuwając się wzdłuż wybrzeża, zaznaczył punkt ewakuacji, ale zauważył, że jest on strzeżony, gdyż znajduje się tam stanowisko broni maszynowej. Kiedy Rounsaville uznał, że zebrał wszelkie potrzebne informacje, zwiadowcy wrócili.

To miało być zadanie dla dwóch zespołów.

\*\*\*

Bill Nellist, podobnie jak Rounsaville, był doskonałym żołnierzem i taktykiem. Był też jednym z nielicznych żonkosiów, ożenił się tuż przed wyruszeniem na wojnę. W 2007 roku jego żona Jane wspominała, że był człowiekiem „szorstkim i twardym”.

Początkowo Nellist chciał być snajperem, ponieważ doskonale strzelał; trafiał równie bezbłędnie w rzucony do góry kamień, jak w tarczę, nawet potrafił strzelić celnie do tyłu, przez ramię, patrząc jedynie w lusterko. Jednak zamiast tego zgłosił się do Zwiadowców Alamo i tylko on i Rounsaville zostali z czwartego kursu. Znali doskonale swoje umiejętności i talenty i bardzo się przyjaźnili. Obaj uważali, że ich zespoły są najlepsze na świecie.



*Szeregowy Galen C. „Kit” Kittleson*

Dwudziestoczteroletni sierżant Andy Smith z zespołu Nellista był doskonały. Najlepszy sportowiec w całej 6. Armii, świetnie grał w koszykówkę i wspaniale rzucał nożem. Szeregowy Galen C. „Kit” Kittleson, służący wcześniej w 503. pułku piechoty spadochronowej, otrzymał Srebrną Gwiazdę za zlikwidowanie japońskiego stanowiska broni maszynowej na Numfoor. W zespole było też dwóch Filipińczyków: starszy szeregowy Sabas A. Asis i sierżant Thomas A. Siason. Należeli do niego też starszy szeregowy Gilbert Cox, wielki chłop, zbudowany niczym futbolista grający w obronie, oraz sierżant technik Wilbert C. Wismer.

Nellist dowiedziawszy się od Rounsaville’a o czekającym zadaniu, zgłosił się z zapałem i obydwaj postanowili poprosić porucznika Jacka Dove’a, aby sformował grupę kontaktową. Dove zabrał się do pracy i udało mu się zebrać zespół w składzie: sierżant technik William Watson, szeregowy Charley Hill i maszynista okrętowy mat I klasy K.W. Sanders. Miał też towarzyszyć im zbiegły więzień Rapmund, a gdy już znaleźli się na miejscu, dołączyli do nich trzej wyszukani przez Rapmunda przewodnicy-tubylcy.

Drugiego października obydwie grupy przybyły na Biak i tam odbyły naradę z

wywiadem 6. Armii, ustalając plan mających trwać dwanaście godzin działań rozpoznawczych.

- Kutry dowiozą nas tutaj - wskazywał Rounsaville żołnierzom pochylonym nad mapą rozłożoną na stole w szałasie, w którym odbywała się odprawa - do rzeki Wassoenger. Stąd mamy jakieś dziesięć kilometrów do wioski. Należy się spodziewać, że jest tam około trzydziestu Japończyków, ale trzydzieści parę kilometrów dalej są ich jeszcze dwa tysiące, tak więc my dotrzemy tam, zaatakujemy tych trzydziestu, uwolnimy jeńców i czym prędzej wracamy. A tak a propos, to holenderski gubernator znajduje się w rękach japońskiej tajnej policji, Kempeitai<sup>27</sup>.

Tego samego wieczoru zwiadowcy wyruszyli na pokładzie kutra torpedowego, któremu towarzyszyły jeszcze trzy inne, ale cała flotylla musiała zawrócić z powodu bardzo silnego sztormu. Także druga próba podjęta następnego wieczoru skończyła się niepowodzeniem, ponieważ jeden z kutrów zawadził pod wodą o kłodę drewna i pocięła się śruba. Czwartego października, tuż po przejściu o piątej rano tropikalnej ulewy, spróbowano jeszcze raz. Przecinając czarny ocean w bezksiężycową noc, około północy kutry znalazły się blisko linii brzegowej wyznaczonego celu.

- Spuście pontony - rozkazał Rounsaville.

Wsiadając do pontonu, Rapmund stracił równowagę i byłby wpadł do wody, gdyby Kittleson nie chwycił go za pasek. Nie minęło pięć minut, jak trzy pontony płynęły cicho w kierunku brzegu, a zza chmur wyjrzał czerwony księżyc, psując swoją obecnością szyki ich pasażerom.

- Nie przejmujcie się zbytnio, że ktoś was dostrzeże - powiedział Rounsaville Nellistowi przed wyjazdem. - Rapmund mówi, że wszystkie łodzie w okolicy zostały skonfiskowane, wobec tego na morzu nie będzie żadnego rybaka i nikt nie doniesie o was Japończykom.

Plaża była wąska, miała może z metr szerokości. Gdy zwiadowcy po czterdziestu pięciu minutach dobili do brzegu, nagle z dżungli wyszło trzech ciemnoskórych tubylców, ubranych w krótkie spodnie khaki.

- Kit - szepnął Rounsaville do Kittlesona. - Ty i jeden z przewodników idziecie na szpicy. Reszta trzyma się razem. Ta dżungla jest czarna jak smoła. Ruszamy.

Gdy grupa zniknęła w ciemnym lesie, Dove i Charley Hill zwiążali razem pontony i wrócili nimi na kuter.

---

<sup>27</sup> Kempeitai (Korpus Żołnierzy Prawa) - japońska żandarmeria wojskowa, istniejąca w latach 1881-1945 jako elitarna jednostka w Cesarskiej Armii Japońskiej. Pełniła również funkcje tajnej policji politycznej oraz służby kontrwywiadu. Szczyt jej wpływów przypadał na okres II wojny światowej (przyp. JB).

Zamykająca się nad głowami gęstwina liści nie przepuszczała nawet odrobiny księżycowego światła, ogarniając wszystko smolistą ciemnością. Jedyne naturalnym światłem były małe migotające światełka utworzone przez gnijącą roślinność. Pomimo ciemności tubylcy szybko znaleźli wąską i błotnistą ścieżkę prowadzącą od rzeki Wassoenger do interesującego zwiadowców celu. Kittleson oświetlał sobie drogę czerwonym światełkiem latarki, którą przymocował do lufy swojego pistoletu maszynowego Thompson. Inni zrobili to samo.

- Cholera, ostatnia rzecz, jakiej się spodziewają Japońce, to nieprzyjaciele oświetlający sobie drogę w dżungli latarkami - stwierdził Rounsaville, wydając pozwolenie na użycie latarek.



*Zespół porucznika Nellista*

Przewodnicy uprzedzili zwiadowców, że Japończycy niespecjalnie dbają o swoje bezpieczeństwo, ale zwiadowcy nigdy nie wierzyli nikomu na słowo. Kittleson przed zrobieniem każdego kroku najpierw badał stopą, czy może stanąć w tym miejscu. Posuwali się tak przez dżunglę już ponad dwie godziny, gdy Rounsaville kazał zgasić latarki. Jak później wspominał Kittleson, zrobiło się nieco nieswojo.

Ścieżka prowadziła na południe przez przylądek Oransbari, do rzeki. Zbliżali się do ciemnej wstęgi wody, gdy nagle z oddali, ale wyraźnie usłyszeli dwa strzały z karabinu.

Zwiadowcy zamarli i padli na kolana. Jeden z przewodników powiedział coś do Rapmunda, który zwrócił się do Nellista i Rounsaville'a:

- Japońce polują nocą na dzikie świnię.

Rounsaville kiwnął głową, ale czekali bez ruchu w gęstwinie jeszcze kwadrans. Wreszcie Nellist podczołgał się do Kittlesona i kazał mu iść dalej. Dotarwszy do rzeki, zwiadowcy weszli do wody, trzymając broń nad głowami, i posuwali się w wodzie po kolana ku skrajowi wsi.

Gdy doszli, zrobiła się już trzecia nad ranem i księżyc był nisko, poza linią drzew. W ciemnościach uklękli niedaleko jeden od drugiego i obserwowali. W powietrzu czuli dym. Oby, myślał Rounsaville, był to dym z wczorajszych ognisk, bo o powodzeniu ataku decydowało zaskoczenie.

- Jak myślisz, wysłać jednego tubylca, żeby się rozejrzał? - szepnął ledwie dostyszalnie do Rapmunda. - Muszę mieć potwierdzenie co do liczby żółtków i miejsca ich lokalizacji.

Rapmund kiwnął głową, po czym odezwał się do byłego jeńca, który, zanim zaczął walczyć z Japończykami, służył jako ordynans w japońskim garnizonie. Mężczyzna wyslizgnął się cicho jak dym. Wszyscy usiedli, czekając na jego powrót i obserwując wioskę. Gdzieś w ciemnościach zaszczekał pies, zapiał kogut; oba te odgłosy brzmiały donośnie wśród ciszy dżungli. Godzinę później wrócił wysłany tubylec i przyniósł ze sobą trzy japońskie karabiny, które ukradł. Mówił coś do Rapmunda, który poszeptał z Rounsaville'em, a ten zebrał swoich ludzi i poinformował ich przyciszonym głosem, że we wsi jest dwudziestu trzech Japończyków plus pięciu na warcie.

- Osiemnastu śpi - mówił - w jednej długiej chacie nipa stojącej na palach. W drugiej chacie, ze dwadzieścia metrów za tamtą, śpi jeszcze pięciu. To kwatera główna Kempeitai. Powiedziano mi, że gubernator jest tutaj. Przy brzegu znajdują się stanowiska broni maszynowej - zdobycznych holenderskich ciężkich kaemów i japońskich erkaemów. Tam jest czterech ludzi. Nie ma jednak nigdzie wart, co świadczy, że czują się tu względnie bezpiecznie.

- Jeńcy są w różnych chatkach i nie wolno im wychodzić pod groźbą zastrzelenia.

Rounsaville skinął głową.

- Ruszamy o czwartej zero zero - powiedział. - To da nam czas na zajęcie odpowiednich pozycji. Sygnałem do rozpoczęcia akcji będzie oddany przeze mnie strzał.

Plan ataku został przygotowany wcześniej na podstawie przeprowadzonego przez Rounsaville'a rozpoznania. Zamierzali zaatakować z trzech stron. Rounsaville, jego zespół

oraz Rapmund mieli zająć się głównym barakiem. Asis, Wismer, Smith i jeden z przewodników - wejść do szalasu stanowiącego kwaterę Kempeitai, zabić znajdujących się tam żołnierzy i, jeśli to możliwe, wziąć do niewoli dowódcę. Z kolei Nellist i pozostali oraz przewodnik powinni iść w stronę brzegu i zlikwidować stanowiska broni maszynowej. Plaża musiała być czysta, aby można było wezwać Dove'a.

- Idziemy - rzucił Rounsaville i wszyscy rozdzielili się zgodnie z przydzielonymi im zadaniami.

\*\*\*

Rounsaville ze swoimi ludźmi powoli obchodził wioskę naokoło, aż dotarli do upatrzonych pozycji wzdłuż długiej chaty. Prowizoryczne koszary tonęły w zieleni, toteż dokoła chaty było bardzo ciemno. Dając znak, aby podążyli za nim, Rounsaville podprowadził grupę do stojącej na palach chaty i kazał wszystkim schować się pod nią, uważając, żeby nie zawadzić głową o jej podłogę. W chacie panowała cisza, jeśli nie liczyć niezbyt głośnego chrapania śpiących tam mężczyzn.

Rounsaville podzielił grupę na dwie części. Jedną poprowadził ku drabinie stojącej na końcu chaty, pozostali podpełzli do drugiej drabiny, na przeciwległym krańcu domu. Tam czekali, pełni napięcia i pocąc się na całym ciele ze zdenerwowania. Rounsaville patrzył na zegarek i zdawało się, że to trwa wieczność. Kiedy wreszcie była czwarta, wyczołgał się spod chaty i powoli wszedł po drabinie. Druga część zespołu na przeciwległym krańcu chaty zrobiła to samo. Zarówno drzwi chaty, jak i okna były osłonięte moskitierami. Rounsaville uniósł moskitierę w drzwiach i zajrzał do środka. W chacie paliła się mała lampka, rzucając dokoła długie cienie. Jeden żołnierz ubrany tylko w przepaskę na biodrach stawiał czajnik na opalonym drewnem piecu. Rounsaville spojrzął na stojącego obok niego Opu Alfonso, trzymającego dwunastostrzałowy Remington „pump-action” z latarką, teraz już bez czerwonej przesłony, i kiwnął głową. Popatrzył na zegarek - było dziesięć po czwartej.

Wziąwszy głęboki oddech, Rounsaville odrzucił moskitierę i świecąc sobie latarką, wszedł do wnętrza chaty. Strzelił raz, tak jak się umówił z kolegami, celując w człowieka przygotowującego herbatę, a następnie w śpiących. Przez jedne i drugie drzwi wpadli pozostali zwiadowcy. Japończycy usiłowali poderwać się na nogi. Niespodziewanie ich spokojna chata zamieniła się piekło - strzelanina, błyski wystrzałów, krzyki i oślepiające światło latarek. Niewielu udało się chwycić za broń, większość zginęła, zanim zdążyli zerwać się z łóżek. Kilku wyskoczyło przez okna i zaczęło uciekać w stronę dżungli, a zwiadowcy strzelali za nimi. Trafili dwóch i ci ranni próbowali ukryć się w rowie, ale nie na wiele się to zdało. Szybka, krótka salwa i było po wszystkim. Alfonso i Fox pobiegli za tymi, którzy



zdołali dopaść ściany lasu.

- Niech idą - krzyknął Rounsaville. - Zabierajmy zakładników i wynośmy się stąd, zanim nadciągną posiłki.

\*\*\*

Smith zobaczył, że Rounsaville wchodzi po drabinie do oddalonej o dwadzieścia pięć metrów chaty. Wraz z Asisem i Wismerem przyczaili się przy wejściu do kwatery Kempeitai. Wewnątrz spało czterech Japończyków: dwóch na pryzkach po prawej, a dwóch po lewej stronie od drzwi. Jeszcze jeden, zapewne oficer, spał na łóżku w tyle pomieszczenia. Smith i Asis wślizgnęli się do środka i w ciemności potknęli się o skrzynkę na książki, ale ten hałas nie pobudził śpiących. Usłyszawszy umówiony strzał, Smith podniósł karabin i wystrzelił w stronę śpiących z lewej strony od drzwi, a opróżniwszy piętnastonabojowy magazynek, załadował nowy i znowu strzelał tak długo, aż nikt się nie ruszał.

- *Sajonara*, dupki, miłych snów - prychnął, kiedy i drugi magazynek był już pusty.

Tymczasem Asis zajął się tymi na prawo.

Oficer ciągle leżał w łóżku, wybałuszając w zdumieniu oczy na Amerykanów. Smith podszedł do niego i już zaczął mierzyć z karabinu, gdy przypomniał sobie, że oficera należy wziąć do niewoli. Wyrecytował formułkę skłaniającą do poddania się i zapewnił Japończyka, że nic mu się nie stanie.

Oficer gapił się na niego i ani drgnął, gdy Smith wyrzucił stary magazynek i ładował nowy.

- Poddaj się, ty głupi skurwysynu - wrzasnął Smith po angielsku, w podnieceniu zapominając, jak to będzie po japońsku.

I wtedy bez żadnego ostrzeżenia oficer odrzucił moskitierę i skoczył na Smitha, a w jego rękę błysnął bagnet. Smith chciał walnąć go karabinem, ale chybił. W tej samej chwili rozległ się strzał i martwy Japończyk upadł na wznak na swoje łóżko. Strzelił Asis.

\*\*\*

Atak trwał nie dłużej niż trzy minuty. Kiedy padł rozkaz wstrzymania ognia, zwiadowcy przeszukali wioskę. Zakładnicy siedzieli skuleni w chatach, nie wiedząc, co się dzieje, aż do czasu, gdy Rapmund zaczął ich wołać. Rounsaville wysłał kogoś do Nellista z informacją, by wezwał przez radio Dove'a. Powinien wysłać po nich pontony.

W jednej z chat znaleziono japońską radiostację, ale kilka celnych pocisków kaliber 7,62 mm zamieniło ją w szmelc. W innej chacie Smith odkrył stojący na stole gramofon, a koło niego kilka płyt, wszystkie amerykańskie, w tym niektóre z piosenkami Binga Crosby'ego. Smith postawił obok karabin, wziął płytę z piosenką *My Melancholy Baby* i

włączył gramofon. Rozległ się głos Crosby'ego. Smith usiadł, przymknął oczy, oparł swoje zabłocone buty o stół i rozkoszował się muzyką, myśląc o rodzinnym domu w St. Louis.

Kiedy tak napawał się chwilą, nagle wszedł Vaquilar i bez słowa posłał wokoło serię z karabinu. Zdumiony Smith zerwał się na równe nogi.

- Do cholery, Pontiac, do kogo ty, do diabła, strzelasz! Ta pieprzona walka się skończyła! - wrzeszczał na Vaquilara, który stał, a dym z lufy jego Thompsona jeszcze się unosił.

Vaquilar, który był bardzo małomówny, kiwnął głową i wyszedł, a Smith odwrócił się, bo zainteresowało go jakieś szuranie. Japoński żołnierz z wielkimi plamami krwi na ubraniu i z błyszczącym bagnetem zatkniętym mocno na karabinie stał oparty o tylną ścianę. Smith patrzył, jak żołnierz osuwa się powoli. W końcu runął martwy tuż za miejscem, na którym przed chwilą siedział Smith.

Ten patrzył na zabitego, potem na gramofon, z którego wciąż dochodził głos Crosby'ego, i westchnął:

- Jezu Chryste.

To był ostatni raz, kiedy w czasie akcji Smith pozwolił sobie na chwilę relaksu i nieuwagi.

Tymczasem Rounsaville zebrał wszystkich zakładników. Holenderski gubernator był oszołomiony, ale zdrowy. Wraz z nim była żona i dwanaścioro dzieci w wieku od siedmiu do kilkunastu lat. Zwiadowcy uwolnili też służących gubernatora, przeważnie kobiety i dzieci, gdyż mężczyźni albo zostali straceni, albo uciekli do dżungli. Jednak Rounsaville myślał, że jest tu trzydziestu dwóch zakładników, tymczasem okazało się, że jest ich sześćdziesięciu sześciu.

Wszyscy zakładnicy zostali odnalezieni, a wieś przeszukana - chodziło głównie o dokumenty. Teraz zwiadowcy zaczęli rzucać granaty fosforowe, aby spalić chaty. Płonęły szybko, bo były wykonane z bambusa oraz z liści palmowych. Kiedy zwiadowcy prowadzili uwolnionych w stronę plaży, dym i płomienie sięgały już wysoko w niebo. Od chwili oddania pierwszego strzału upłynęły tylko cztery minuty.

\*\*\*

W gęstwinie dżungli Nellist nie usłyszał ani pierwszego umówionego strzału oddanego przez Rounsaville'a, ani strzelaniny, jaka potem nastąpiła.

Szukając japońskich stanowisk, dostrzegł stojącą na palach bambusową chatę z dachem z palmowych liści. Na małą werandkę wchodziło się po drabinie. Nieopodal znajdowały się trzy okopy strzeleckie, przy czym w dwóch stały karabiny maszynowe, ale ani

śladu żywej duszy.

Nellist czekał niecierpliwie na sygnał od Rounsaville'a. W pewnej chwili z chaty wyszli dwaj japońscy żołnierze, więc Nellist i jego grupa padli na ziemię. Jeden z Japończyków trzymał w ręku koszulę i poszedł w krzaki. Ten drugi zaczął rozpalać ogień i przygotował czajnik z wodą. Cały czas mówił coś do kolegi. Nagle chyba coś usłyszał, bo wstał, wziął broń i poszedł kilka metrów w kierunku, w którym znajdowała się wioska. Powiedział coś do kolegi, ten mu odpowiedział i Japończyk zawrócił. Wtedy pojawili się kolejni żołnierze i wszyscy weszli do lasu, najwyraźniej za potrzebą.

Nellist czekał z godzinę na sygnał, aż w końcu zdecydował, że trzeba atakować. On i Cox ze swoim remingtonem podczołgali się do ogniska na odległość kilku metrów. Nellist, jeden z nielicznych wśród zwiadowców właścicieli karabinu Garand, wycelował i strzelił. Uderzenie pocisku przewróciło Japończyka na wznak; wtedy strzelił Cox, a Japończyk padł jakby trafiony cegłą.

W tym momencie przypadli do nich Kittleson i Siason. Pobiegli naprzód i ścięli następnych dwóch. Siason dostrzegł, że niezauważony przedtem piąty Japończyk ucieka do dżungli. Pobiegł za nim i znalazł go; okazało się, że to oficer. Trzymał w ręku pistolet, ale był zbyt przerażony, aby wystrzelić. Siason go zastrzelił, pakując w niego trzy pociski.

- Sukinsyn - syknął Filipińczyk, patrząc na zabitego.

- Przeszukaj ich i upewnij się, że nie żyją - polecił Nellist. - Zobacz, czy w szałasie nie ma jakichś dokumentów, i zabierz te dwa karabiny maszynowe.

Wtedy właśnie przybiegł wysłannik od Rounsaville'a i Nellist nawiązał kontakt radiowy z Dove'em.

- Nellist jeden. Odbiór - powiedział.

- Przyjąłem - odparł Dove.

Poranne słońce przedzierało się już przez gałęzie drzew, gdy przybyła procesja złożona z uwolnionych jeńców i zwiadowców. Przygotowywano się do odpłynięcia, gdy nagle Alfonsowi wydało się, że usłyszał w dżungli jakiś hałas. Poszedł sprawdzić, co to takiego. Nagle z zieleni wyskoczył chudy biały człowiek, krzycząc łamaną angielszczyzną:- Ja nie Japoniec, ja Francuz. Ja mieć żona i dziesięć dzieci. Iść z wami.

- Co za czort? - mruknął do siebie Alfonso, ale pozwolił przerażonemu mężczyźnie iść z nimi.

Tym sposobem liczba uwolnionych przez zwiadowców zakładników wzrosła o dwanaście osób i wynosiła teraz siedemdziesiąt osiem. Wszyscy oni musieli wsiąść na kutry torpedowe. O siódmej rano kutry czekały niedaleko od brzegu i rozpoczął się transport

zakładników. Trwało to długo i było mozolnym zadaniem. Okrojony zespół Dove'a pomagał cywilom dostać się z plaży na pokład kutrów, a zwiadowcy pilnowali plaży i czuwali, czy nie nadciąga wróg. Wreszcie akcja się zakończyła. Kutry były przepelnione ponad miarę.

Kapitanowie kutrów obrali kurs na Biak i spiechli do domu, aby w drodze nie zaatakowały ich nieprzyjacielskie samoloty. Tymczasem uwolnieni zakładnicy zaczęli śpiewać. Jakoś pogodzili hymny Stanów Zjednoczonych oraz holenderski i z radością poklepywali zwiadowców i marynarzy po plecach.

Wiadomość o tej, jak ją później Rounsaville nazwał, „bezkolizyjnej misji” lub „podręcznikowej operacji” sprawiła, że nieznani przedtem Zwiadowcy Alamo stali się sławni. Co prawda cała ta akcja była oficjalnie utajniona do lutego 1945 roku, ale wieści o niej przeciekły i 13 października 1944 roku, a więc w niespełna dziesięć dni po zakończeniu zadania, „Jackson Daily News”, lokalna gazeta w rodzinnym mieście Bradshawa w stanie Missisipi, zamieściła artykuł, opatrując go tytułem „Bradshaw zdobywa medal za wyszkolenie zwiadowców działających na terenie Pacyfiku”. Napisano w nim, że Bradshaw otrzymał z rąk generała MacArthura Legię Zasługi<sup>28</sup> za akcję na przylądku Oransbari.

A trzy dni później przyjechał Murlin Spencer, korespondent wojenny agencji Associated Press, aby napisać trzyodcinkowy artykuł o dokonaniach zwiadowców.

Krueger nie zapomniał, jak zreźnie udało się Nellistowi i Rounsaville'owi uwolnić zakładników z rąk Japończyków, a następnie bezpiecznie ich przetransportować. W styczniu 1945 roku obydwaj zostali wyznaczeni do kolejnego zadania, tym razem na Filipinach, a chodziło o uwolnienie jeńców wojennych z obozu niedaleko miasta Cabanatuan.

\*\*\*

Operacja na przylądku Oransbari była ostatnia, jaką przeprowadzili zwiadowcy na terenie Nowej Gwinei podczas drugiej wojny światowej. Od lutego do października 1944 roku przeprowadzili ich w sumie trzydzieści sześć na obszarze od Los Negros na Archipelagu Bismarcka po Sansapor na półwyspie Ptasia Głowa. Otrzymali w sumie dziewiętnaście Srebrnych Gwiazd, osiemnaście brązowych i cztery Medale Żołnierza. Uratowali pięciuset cywilów, zabili osiemdziesięciu czterech japońskich żołnierzy, a dwudziestu czterech wzięli do niewoli, nie tracąc przy tym ani jednego ze swoich szeregów - chorowali tylko na choroby tropikalne.

---

<sup>28</sup> Legia Zasługi (ang. Legion of Merit) - drugi w randze najwyższych odznaczeń amerykańskich przyznawanych za zasługi podczas pokoju. Order jest przyznawany od 1942 roku za szczególne zasługi w międzynarodowej współpracy i utrzymaniu światowego pokoju. Pierwsze amerykańskie odznaczenie wręczane obywatelom innych państw. Obywatele Stanów Zjednoczonych mogą być dekorowani jedynie najniższym stopniem Legii - pozostałe stopnie wręcza się obcokrajowcom (przyp. JB).

Kolejny etap to Filipiny.

# ROZDZIAŁ 10

## „Być może uda nam się ocalić świat”

### Misje na Leyte i Samar: październik-grudzień 1944

Wczesnym rankiem w piątek 20 października 1944 roku generał Douglas MacArthur stał na mostku kapitańskim okrętu USS „Nashville” i z satysfakcją patrzył na jednostki 7. Floty admirała Thomasa Kincaida i 3. Floty admirała Williama F. Halseya ostrzeliwujące wybrzeże Leyte. Przez lornetkę widział barki desantowe pełne żołnierzy i czołgów z 6. Armii generała Kruegera, które zmierzały do brzegu. MacArthur uśmiechał się, słysząc odgłosy bitwy dochodzące go od strony lądu, widząc dym i płomienie. To był dzień, w którym spełniała się jego obietnica złożona trzydzieści jeden miesięcy wcześniej, kiedy uciekał z Corregidoru na pokładzie kutra torpedowego porucznika Johna Bulkeleya. To był pierwszy dzień zemsty na tych, którzy go pokonali i zwyciężyli. To był powrót na Filipiny.

Filipiny rozciągają się na długości 1850 kilometrów, co oznacza, że gdyby przyrównać je do Stanów Zjednoczonych, to ciągnęłyby się od Wielkich Jezior po Florydę. Archipelag Filipin tworzą 7083 wyspy, z których 466 ma powierzchnię większą niż 2,5 kilometra kwadratowego i w sumie zajmują obszar 286 000 kilometrów kwadratowych. W 1944 roku tylko 2773, czyli jedna trzecia z tych wysp, miały nazwy i tylko jakieś 600-700 było zamieszkałych przez ludność posługującą się przeważnie językiem tagalog.

Japończycy nazywali Filipiny Hito albo Firipin. Stanowiły one naturalną barierę zabezpieczającą Japonię i podbite przez nią terytoria Holenderskich Indii Wschodnich z ich bogactwami, przede wszystkim tak potrzebnymi ropą naftową i kauczukiem, przed atakiem alianckim.

Filipiny to wyspy pochodzenia wulkanicznego, w dużej części składające się ze skalistych tarasów i głębokich dolin, na ogół biegnących z północy na południe. Siedemdziesiąt procent powierzchni kraju stanowią lasy dostarczające cennych gatunków drewna, takich jak tek, heban czy cyprys. Niziny są niezwykle żyzne.

Leyte, wyspa wytypowana jako cel pierwszego amerykańskiego ataku, stanowi doskonały tego przykład. Leży 540 kilometrów na południe od Manili, ma 185 kilometrów długości i 72 kilometry szerokości. Jest ósmą co do wielkości wyspą w archipelagu Filipin,

przy czym większość jej obszaru to teren górzysty, z wąskim, równinnym wybrzeżem na południu, które w najszerszej części ma osiem do szesnastu kilometrów. Właśnie ta część, naprzeciwko zatoki Leyte, została wybrana jako miejsce desantu żołnierzy Kruegera. Na północy równina przechodzi w szeroką na 40 kilometrów dolinę Leyte, ciągnącą się aż do morza Samar. Panuje tu miły klimat, różnica pomiędzy najgorętszym i najzimniejszym miesiącem wynosi zaledwie dziesięć stopni, średnia zaś rocznych opadów, o czym Amerykanie osobiście się przekonali, to 1800 milimetrów, przy czym w niektórych regionach nawet 5000 milimetrów, zwłaszcza w okresie monsunów, przypadającym od października do kwietnia.

W 1944 roku na Leyte, przede wszystkim na północy, w dolinach Leyte i Ormoc oraz nieopodal miasta Tacloban nad cieśniną San Juanico, mieszkało około miliona ludzi. W samym mieście - 35 000. Tacloban było dla MacArthura szczególnie ważne, bo gdy pierwszy raz, zaraz po West Point, przybył na Filipiny, a było to dokładnie 41 lat i jeden dzień temu, 19 października 1903 roku, przyjechał właśnie tutaj.

Jednak największym atutem tej wyspy było jej doskonałe położenie nad zatoką Leyte.

\*\*\*

Inwazja, którą teraz MacArthur obserwował z mostka kapitańskiego USS „Nashville”, o mało nie doszłaby do skutku. Admirał Chester W. Nimitz, głównodowodzący flotą Stanów Zjednoczonych na Pacyfiku, nie podzielał determinacji MacArthura, aby odebrać Filipiny<sup>29</sup>. Wolałby raczej od razu uderzyć na Formozę. Jego zdaniem takie posunięcie odseparowałoby Holenderskie Indie Wschodnie od Japonii i siłom amerykańskim dawałoby szanse lądowania w Chinach i w Hongkongu, i umożliwiło założenie lotnisk, z których mogłyby startować samoloty i bombardować Japonię.

MacArthur argumentował, że przecież Filipiny należą do Stanów Zjednoczonych i narodowa duma wymaga, aby uwolnić je od japońskiego panowania. Poza tym, dowodził, łatwiej będzie odebrać Filipiny, bo są lojalne wobec Stanów Zjednoczonych i można liczyć na ich pomoc w walce.

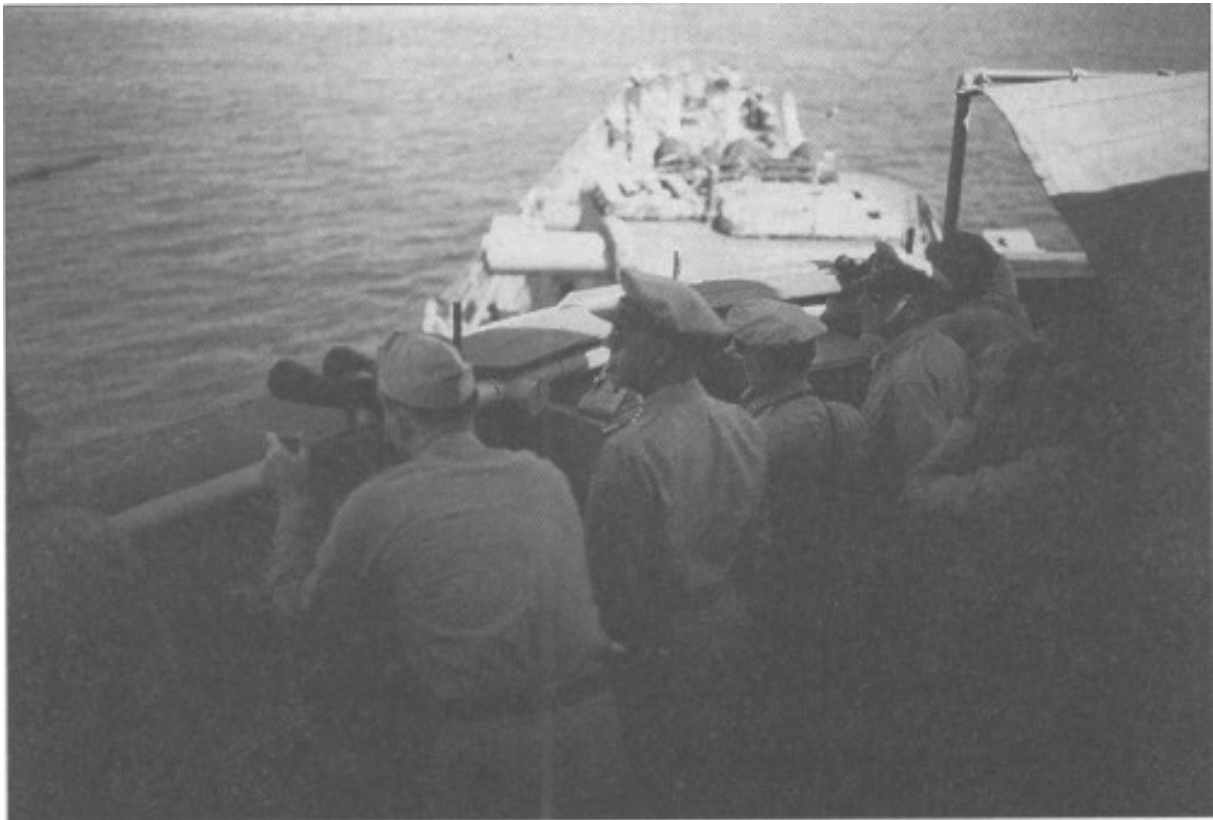
Aby ich pogodzić, prezydent Roosevelt w lipcu zaprosił Nimitza i MacArthura na spotkanie do Honolulu. MacArthur cały się zjeżył, że „panisko”, jak w najbliższym gronie

---

<sup>29</sup> Przyczyną takiego stanu rzeczy był niejasny podział kompetencji. Admirał Nimitz pełnił funkcję Naczelnego Dowódcy Floty Pacyfiku oraz szefa połączonych sztabów na obszarze Pacyfiku, sprawując w ten sposób kontrolę nad wszystkimi rodzajami amerykańskich sił zbrojnych. Jednakże w marcu 1942 roku utworzono naczelne dowództwo wojsk alianckich w rejonie południowo-zachodniego Pacyfiku, powierzając dowództwo generałowi MacArthurowi. Oznaczało to wyjęcie spod jurysdykcji Nimitza Australii, Filipin, Holenderskich Indii Wschodnich, a także całego wybrzeża Chin. W efekcie każdy z dowódców chciał przeprowadzić decydujący atak na Japonię podległymi sobie siłami (przyp. JB).

określał prezydenta, wydaje mu rozkazy i że „poniża go, zmuszając do opuszczenia dowództwa i udania się do Honolulu na polityczną sesję zdjęciową”.

Jednak „sesja” okazała się owocna, bo Roosevelt poparł operację filipińską.



*General Douglas MacArthur (trzeci z prawej, w okularach przeciwsłonecznych) obserwujący przebieg lądowania na Leyte z pokładu krążownika USS „Nashville”*

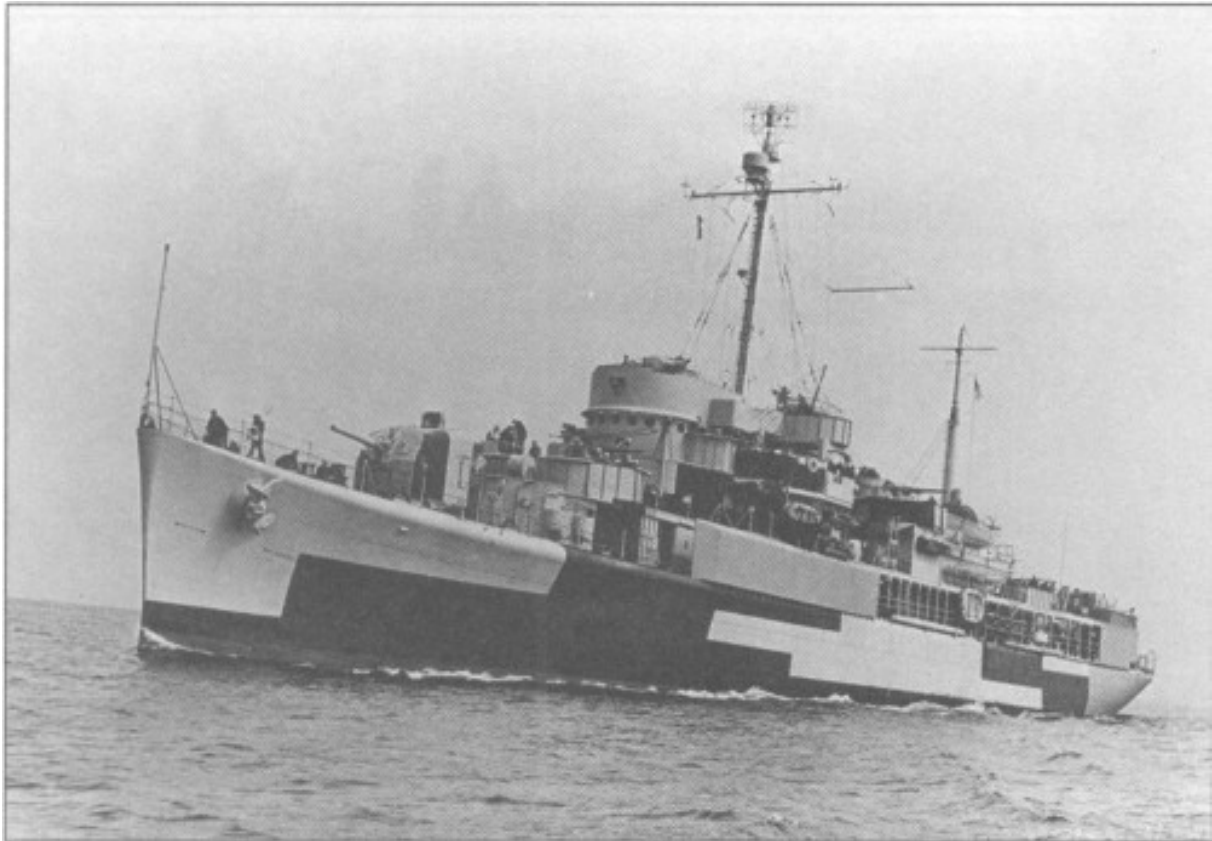
Dwudziestego pierwszego września 1944 roku rozpoczęło się planowanie powrotu na Filipiny. Początkowo postanowiono, że amerykańskie siły uderzą na Mindanao, wyspę najdalej wysuniętą na południe i zarazem drugą co do wielkości w archipelagu Filipin. Mimo tego, że rekonesans z powietrza kazał wnioskować, że opór tam jest nikły, dowództwo zdecydowało się jednak ominąć Mindanao i od razu zaatakować Leyte, na północ od cieśniny Surigao. Do tej decyzji admirała Halseya zachęcił również raport zestrzelonego pilota, który został uratowany przez okręt podwodny, oraz informacje innych pilotów, że obrona Leyte jest mniejsza, niż sądzono. I amerykańscy strategowie rzeczywiście zaczęli uważać, że w całej środkowej części Filipin nie ma wojsk nieprzyjacielskich.

Datę rozpoczęcia operacji „Cyklon”, jak nazwano inwazję na Leyte, wyznaczono na 20 grudnia, ale na skutek raportów, jakimi dysponował Halsey, przyspieszono ją o dwa miesiące.

6. Armia pod wodzą generała Kruegera miała dokonać desantu na szerokości 30 kilometrów, od San Jose po Dulag. Dzięki temu ocalałby rejon Tacloban, zamknięto by



cieśninę San Juanito, a na północy odcięto wyspę Samar. Na początek 18 października rangersi 6. Armii uderzyliby na wyspy Dinagat, Suluan i Homohon, likwidując wszelkie punkty obserwacyjne i stacje radarowe, i uprzedziliby Japończyków co do intencji Amerykanów. Nocą 19 października rangersi mieli ustawić boje świetlne, aby okręty znalazły drogę przez zatokę ku plażom, na które zamierzano dokonać inwazji.



*Tender dla kutrów torpedowych USS „Wachapreague”*

Japoński garnizon na Leyte składał się z 23 000 żołnierzy wchodzących w skład 16. Dywizji pod dowództwem generała Shiro Makino; podobno była to najtwardsza ze wszystkich jednostek 35. Armii. Oprócz czterech kompanii na wyspie Samar, większość żołnierzy generała Makino znajdowała się na północy, w rejonie Ormoc, skąd mogli bronić środkowej części Leyte. Nie przewidywano długiej obrony plaż, gdyż zadaniem Makino było związać siły amerykańskie najdłużej, jak się da, i zyskać na czasie, by generał Yamashita mógł wraz ze swoją 14. Armią wesprzeć obronę głównej wyspy - Luzonu.

Dla Zwiadowców Alamo kampania filipińska oznaczała zmianę ich zadań. Teraz, zamiast prowadzić rozpoznanie plaż nadających się do desantu, liczebności sił wroga oraz jego zdolności obronnych, mieli zbierać informacje wywiadowcze, a podczas misji trwających od trzech do siedemnastu dni ściśle współpracować z partyzantką filipińską. Mieli zadbać o dostawy broni, amunicji, sprzętu medycznego i lekarstw oraz innych materiałów dla

partyzantów, jak również koordynować ich działania z postępami amerykańskiej armii, a także ustanowić sieć łączności radiowej w celu informowania o poczynaniach Japończyków.

\*\*\*



*Pancernik USS „West Virginia”*

W piątek 13 października o pierwszej w nocy cztery zespoły Zwiadowców Alamo pod dowództwem Billa Nellista, Toma Rounsaville’a, Jacka Dove’a i Wilbura Littlefielda wsiadły na pokład tendra „Wachapreague” w bazie macierzystej kutrów torpedowych na wyspie Woendi w celu udania się na Leyte. 16 października tender zatrzymał się na jednej z wysp Palau dla nabrania paliwa, po czym po trwającej kilka dni podróży przez wzburzony ocean 21 października dopłynął do zatoki Leyte. Dwadzieścia cztery godziny wcześniej dokonała się tu inwazja, toteż zaraz po wpłynięciu do zatoki okręt został otoczony przez jednostki potężnej 3. Floty, w której skład wchodziło 16 lotniskowców, 6 nowych pancerników oraz 81 krążowników i niszczycieli. Bliżej brzegu znajdowała się 7. Flota Stanów Zjednoczonych admirała Kincaida wraz z mniejszą eskortą, składającą się z lotniskowców i kilku starszych pancerników. Zadaniem 3. Floty była obrona 7. Floty (zwanej również Flotą MacArthura), która wspierała walczących na Leyte. Zwiadowcy obserwowali z pokładu tendra, jak pancernik USS „West Virginia”, zatopiony po ataku na Pearl Harbor, a więc niemal trzy lata wcześniej, teraz ostrzeliwał jakieś niewidoczne cele na wyspie<sup>30</sup>.

Dwudziestego trzeciego października japońskie samoloty zaatakowały amerykańską

---

<sup>30</sup> USS „West Virginia” podniesiono z dna w 1942 roku, przeholowano do stoczni i wyremontowano. Prace remontowe zakończyły się w 1944 roku. W październiku 1944 roku okręt ten uczestniczył w bitwie o Leyte (przyp. tłum.).

flotę. Całe niebo było w ogniu, na oczach zwiadowców jakiś japoński samolot, ciągnąc za sobą smugę dymu i płomieni, wpadł do morza zaledwie kilkaset metrów od jednostki, na której pokładzie się znajdowali. Zwiadowcy chcieli jak najprędzej dostać się na ląd, na morzu było zbyt niebezpiecznie, toteż odetchnęli z ulgą, gdy wreszcie 25 października mogli to zrobić. Jeszcze nie wiedzieli, co ich czeka.

\*\*\*



*Powrót generała MacArthura na Filipiny*

Zespół Lutza wysłano na Leyte wcześniej, przed innymi grupami zwiadowców. Przybył tu na pokładzie tendra USS „Oyster Bay” i 20 października wyszedł na ląd na Red Beach - Czerwonej Plaży - wraz z desantem. Z zespołu ubył odwołany do 31. Dywizji Cliff Gonyea, zastąpił go sierżant Glendale Watson. Walki przesunęły się w głąb wyspy, ale nadal pełno było wszędzie japońskich snajperów, ukrywających się w koronach wysokich drzew albo w lisich norach, nazywanych *takotsubo*, czyli pułapkami ośmiornicy. Zwiadowcy musieli kryć się, bo inaczej groziła im śmierć.

Walki przesunęły się w głąb wyspy, ale plaża (jak wspominał Jack Geiger) wyglądała jak „makieta przygotowana w Hollywood”. Pełno było tu mikrofonów, kręcących się fotografów obserwujących wszystko, co się działo. W pewnej chwili niedaleko od brzegu pojawiła się barka desantowa; po kilku minutach rampa opadła i do wody weszło kilku ludzi. Mężczyzny w świetnie wyprasowanym mundurze khaki, ciemnych okularach i czapce ze

złotym otokiem oraz z fajką o długim cybuchu w ustach nie można było pomylić z nikim innym. MacArthur kroczył po kolana w wodzie (przedtem miał nadzieję, że dostanie się na ląd suchą stopą), pokonując odległość dzielącą go od brzegu czterdziestoma krokami. Za nim szedł Sergio Osmena, prezydent Filipin (poprzedni, Manuel Quezon, zmarł w lipcu). Błyskały flesze fotoreporterów.

MacArthur podszedł do mikrofonu i powiedział:

- Obywatele Filipin, wróciłem.

Po kilku słowach Osmeny wszyscy wsiedli do dżipów i odjechali.

- Cholera, toż to była wspaniała okazja dla snajperów. Ciekawe, gdzie się podzieli - skomentował Geiger całe to widowisko.

\*\*\*

Co prawda zdecydowano się ominąć Mindanao i wylądować na Leyte, ale nadal rozważano dokonanie tam desantu. Dwudziestego października wezwano Billa Nellista.

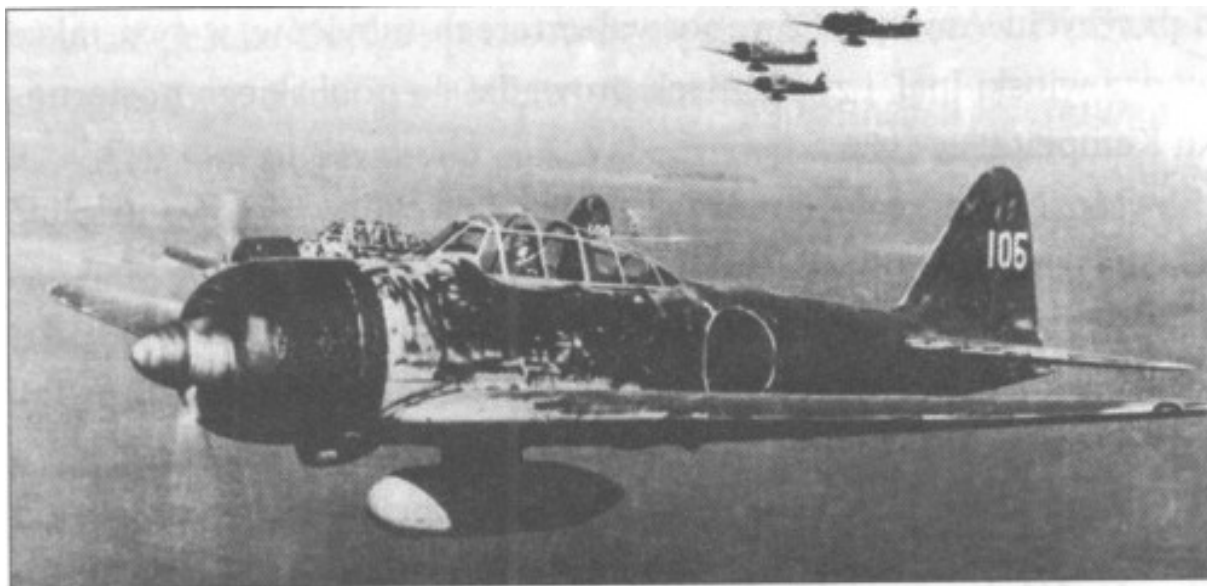
- Dopóki Japońce kontrolują północne Mindanao, dopóty mogą zagrozić naszym operacjom na południu Leyte, a być może i odciąć zatokę Surigao - powiedział mu oficer wywiadu 6. Armii. - Dlatego cię tam wysyłamy. Chcemy, żebyś rozpoznał siły Japończyków i ich możliwości obronne oraz sprawdził, czy plaże nadają się do desantu, jakie są tam źródła wody pitnej, sieć dróg itd.

W nocy 23 października Nellist i jego zespół weszli na pokład PT-132 „Sea Bat” którym dowodził chorąży marynarki Paul H. Jones; na pokładzie tego samego kutra i z tym samym dowódcą zespół Sumnera płynął w lipcu do zatoki Geelvink.

Płynąc nocą, aby uniknąć japońskich Zero<sup>31</sup>, najgorszego wroga kutrów, PT-132 przybył do Mindanao. Zatrzymał się na wysokości niewielkiej wioski Ipal około szóstej rano. Zwiadowcy dopłynęli pontonem do brzegu, gdzie w punkcie kontaktowym czekał już na nich niski, ciemnoskóry tubylec w brudnych szortach khaki i ze starym amerykańskim Springfieldem kaliber 7,62 mm. Tubylec nie posiadał się z radości, zobaczywszy Amerykanów, i w języku tagalog powiedział im, że niedaleko od Bilaa znajduje się stanowisko strzeleckie wroga z działem 75 milimetrów wycelowanym akurat w tę plażę, na której wylądowali zwiadowcy. Japończycy widzieli ich, ale na razie nie strzelali. Nellist poprosił tubylca, żeby wysłał kogoś do dowództwa 114. pułku powstańców z wiadomością o przybyciu zwiadowców oraz z prośbą o przysłanie przewodnika, który poprowadziłby ich w górzysty teren.

---

<sup>31</sup> Zero - popularna nazwa podstawowego samolotu myśliwskiego Cesarskiej Japońskiej Marynarki Wojennej Mitsubishi A6M Reisen (w kodzie amerykańskim „Zeke”). Uważany za jeden z najlepszych myśliwców początkowego okresu wojny (przyp. JB).



*Myśliwiec pokładowy Mitsubishi A6M Reisen (Zero)*

W drodze do obozu zespół spotkał grupę partyzantów powiewających flagami amerykańską oraz filipińską, którzy wyszli im na spotkanie. W obozie Nellist został przedstawiony dowódcy, pułkownikowi filipińskiej armii Jonesowi B. Castillo. Ta partyzancka grupa składała się z czterdziestu-pięćdziesięciu ludzi. Przyjęli Nellista w bambusowym szałasie. Od razu zauważył, że ich uzbrojenie stanowiły stare Springfieldy, rozmaite japońskie karabiny, moździerz i przestarzałe kartacznice Gatlinga.

Przez kolejnych kilka dni zwiadowcy patrolowali dolinę wraz z partyzantami i przekazywali wyniki obserwacji Siasonowi, który zainstalował w obozie stację radiową. Partyzanci powiedzieli, że dwudziestosiedmioosobowy japoński patrol, doskonale wiedząc o przybyciu Amerykanów, porwał czterech tubylców, w tym także wodza wioski Ipal, i związanych prowadzi do pobliskiego posterunku Kempeitai.

- Możemy przeciąć im drogę, uderzyć na skurwysynów i uwolnić jeńców - zaproponował Kittleson.

- Nie - zdecydował Nellist po chwili namysłu. - Naszym zadaniem jest namierzyć japoński garnizon i stanowiska strzeleckie. Tak brzmi rozkaz.

Następnie wysłał Asisa i Smitha, aby obejrzel japoński punkt obserwacyjny, w którym podobno znajdowało się czterdziestu ludzi i broń maszynowa, a Kittlesonowi i Coxowi kazał sprawdzić, czy przy brzegu ukryte są jakieś japońskie barki. Gdy mężczyźni przygotowywali się do wyruszenia w drogę, Nellist odciągnął Kittlesona na bok.

- Kit, bardzo bym chciał zrobić to, co zaproponowałeś, ale przede wszystkim realizacja zadania. Nie ocalimy wszystkich, ale być może uda nam się ocalić świat.

\*\*\*

Ewakuacja zespołu Nellista z Mindanao nie powiodła się. Nocą 26 października Nellist, stojąc na samym brzegu, błysnął trzy razy latarką w stronę morza. Począł i znowu błysnął, ale nie było żadnej odpowiedzi.

- Coś nie tak - stwierdził i kazał Siasonowi uruchomić radio.

W końcu Nellistowi udało się nawiązać kontakt z Jackiem Dove'em, który koordynował akcję ewakuowania zespołu. Po krótkiej rozmowie z nim Nellist odwrócił się do swoich ludzi i zakomunikował:

- Kutry nie przyłyną, bo japońskie okręty kręcą się po Surigao. Pójdziemy w inne miejsce i jutro znów spróbujemy.

To miejsce było trzysta metrów na południe od wioski Ipal. W nocy, gdy zwiadowcy szli górzystym terenem na nowy punkt kontaktowy, wspinając się na zbocza i schodząc w doliny, widzieli, jak po niebie, hen nad cieśniną Surigao przesuwały się smugi reflektorów. Dochodził ich zgłuszony, daleki grzmot bitwy morskiej<sup>32</sup>.

- Ależ tam się rozpętało piekło - mruknął Andy Smith.

Rano zobaczyli dym unoszący się z płonących okrętów. Z góry dochodził ich huk nadciągających niczym stado sępów japońskich łodzi latających.

- Ciekawe, kto wygrał - rzucił Cox.

- Będzie wiadomo, jeśli wieczorem nikt nas nie zabierze - odpowiedział mu Nellist.

Szli dalej, bacznie obserwując okolicę. Tubylec, który przybiegł z wiadomością, poinformował Nellista, że w Bilaa Point przybiła japońska barka desantowa i przywiozła niezbyt wielu żołnierzy. Nellist poprowadził swoich ludzi w tym kierunku. Około dziesiętnastej byli na miejscu i stwierdzili, że są dwie barki, na których przyplęnęło trzydziestu ośmiu Japończyków. Już przygotowali oni stanowisko obserwacyjne wyposażone w ciężki karabin maszynowy. Barki były nadal przycumowane do nabrzeża. Oznaczywszy to miejsce, zespół Nellista wycofał się i poszedł na punkt kontaktowy.

Dwa kutry torpedowe, PT-132 „Sea Bat” Jonesa i PT-326 „Green Harlot” którego dowódcą był chorąży marynarki Howard L. Terry, przyplęnęły następnej nocy. Na jednym z nich był też Jack Dove. „Dzięki Bogu”, pomyślał Nellist, odebrawszy sygnał Dove'a, że kutry czekają.

Wysłano na plażę pontony. Wiosłowali zwiadowcy z zespołu Toma Rounsaville'a, którzy akurat na pokładzie „Green Harlot” wracali po wykonaniu misji. Przybycie Nellista i

---

<sup>32</sup> Bitwa w cieśninie Surigao była jedną z potyczek amerykańsko-japońskich wchodzących w skład bitwy w zatoce Leyte. Bitwa w zatoce Leyte, zwana też drugą bitwą na Morzu Filipińskim, stoczona w dniach 23-25 października 1944, była największą bitwą powietrzno-morską wszech czasów. Ostatecznie przypieczętowała los floty japońskiej i doprowadziła do jej rozbicia (przyp. JB).

jego ludzi na „Sea Bat” wywarło na jego załodze niezatarte wrażenie. Starszy mat Sherb Bowers, który obsługiwał też przedni karabin maszynowy kaliber 12,7 mm, pisał później, że nigdy jeszcze nie widział grupy chłopów „bardziej wyszkolonych, o wyglądzie obłąkanych krwiożerczych skurwysynów, aniżeli ci Zwiadowcy Alamo”.

„To znaczy, chcę powiedzieć, że te diabły zabiłyby cię i jeszcze wydały resztę - pisał. - Wszystko w nich mówiło tylko jedno: zabijać”.

Kiedy znaleźli się na pokładzie, Nellist zameldował Jonesowi o stanowisku strzeleckim nieprzyjaciela.

- No, to zostawimy im naszą wizytówkę - stwierdził Jones.

Włączył urządzenie tłumiące pracę silnika i obydwaj PT cicho prześlizgnęli się przez zaminowane przez Japończyków wody - zanurzenie kutrów było zbyt małe, aby uaktywnić podwodne miny - zbliżywszy się do wskazanego przez Nellistę miejsca. Ogień z działek kaliber 20 i 40 milimetrów przeciął czerń nocy i dosięgnął wybrzeża. Barki desantowe „zostały obrócone w pył” wspominał później Jones. Wybuchły ich zbiorniki z paliwem, tworząc wielkie, ogniste kule. Zaczęło płonąć rozlane na wodzie paliwo. Kutry podpłynęły bliżej, siejąc śmiertelny ogień, zamieniając w popiół chatę. Na brzegu wybuchały składy amunicji.

Japończycy odpowiedzieli nędznym ostrzałem, ale tymczasem PT-326 wpadł na mieliznę. Jones odwrócił „Sea Bat”, rzucił linę na drugi kuter i gdy załoga kontynuowała ostrzał nieprzyjaciela, „Green Harlot” był wolny. Jednak z kolei „Sea Bat” zaklinował się w rafie koralowej. Natychmiast Jones wraz z zawiadującym sterownią Herbem Betzem i bosmanmatem Donaldem Koepke skoczyli do wody. Dołączyło do nich jeszcze kilku zwiadowców i wraz z oficerem wachtowym na „Sea Bat” Bobem Mullerem wypchnęli kuter z pułapki.

Kiedy wdrapali się na pokład, zobaczyli, że nie ma Jonesa; zniósł go silny prąd, a Jones walcząc z nim desperacko, dopłynął do plaży.

- Spuszczajcie ponton - rozkazał Nellist. - A potem podpłynicie trochę bliżej i dajcie nam osłonę ogniową.

PT rozpoczął „morderczy ostrzał”, jak napisał potem Bowers, i tym razem to zwiadowcy zabierali z plaży dowódcę kutra, a nie na odwrót.

I dostarczyli go - mokrego i zdenerwowanego - z powrotem.

Jednak nie był to koniec złych zdarzeń. Rafa koralowa bardzo uszkodziła jeden z płatów śruby. Co gorsza, wysiadły dwa z trzech silników, a tym samym szybkość „Sea Bat” spadła do dziesięciu-dwunastu węzłów. Była druga w nocy, a przed kutrami sto

dziewięćdziesiąt kilometrów, które musiały pokonać przed wschodem słońca, bo dopiero wtedy znalazłyby się na bezpiecznych wodach.

- Niedobrze - zwrócił się Dove do Nellista. - Musimy płynąć przez cieśninę Surigao i przeciąć zatokę Leyte do Tacloban, a to zajmuje cztery godziny, i to sprawnym kutrem. Powinniśmy pokonać jak najdłuższy odcinek drogi przed nastaniem świtu, bo tu wszędzie aż roi się od japońskich okrętów i samolotów.

Powiedział też Nellistowi o wielkiej bitwie morskiej, która rozegrała się 25 października, o japońskim ataku z trzech stron, która przeszła do historii pod nazwą bitwy w zatoce Leyte.

- Dlatego właśnie nie przy płynęliśmy po was poprzedniej nocy - mówił Dove. - Nie było okrętu, który nie uczestniczyłby w tej bitwie. Nasi zatopili dwa japońskie niszczyciele i dwa pancerniki, ale bardziej na północ, w zatoce Leyte, Japończycy zaatakowali nasze lotniskowce eskortowe i zrobiło się piekło.

\*\*\*

Powrót, zgodnie z oczekiwaniami, trwał długo; „Sea Bat” ledwie się włókł, a jego śruba klekotała przeraźliwie. Obok płynął „Green Harlot”, gotów bronić towarzysza. Marynarze częstowali zwiadowców, ale apetyt im nie dopisywał - półtorametrowe fale rzucały PT-132 w górę i w dół.

O czwartej rano nagle na kutry torpedowe padł snop światła. Pochodził on z krążownika australijskiej marynarki wojennej HMAS „Hobart” a głos dochodzący przez megafon kazał im się zatrzymać i podać hasło. Jones podał, ale w odpowiedzi usłyszał, że już nie jest ważne; obowiązywało nowe, podane wtedy, gdy kutry wyruszyły po zwiadowców. Wobec tego Jones zaczął wykrzykiwać przez megafon nazwiska takie jak „Babe Ruth” i „Betty Grable” oraz rozmaite zwroty po angielsku, starając się przekonać Australijczyków, że jest Amerykaninem. Na próżno.

- Musicie zaczekać do świtu, żebyśmy mogli was rozpoznać - usłyszał w odpowiedzi.





*Lekki krążownik HMAS „Hobart”*

Kutry stały więc kilometr od okrętu przez dwie godziny, aż w końcu usiłowały odpłynąć, ale Australijczycy zagrozili, że rozniosą je w drobny mak.

Jones sapnął.

- A bodaj was - wrzasnął przez megafon. - Mam uszkodzoną łajbę i czekanie tu do świtu oznacza, że każdy pieprzony japoński samolot na całych Filipinach może wziąć mnie na cel.

Na „Hobarcie” zapanowała cisza.

- Uwaga, wchodzimy na pokład - usłyszeli głos.

- Okej, okej - odparł Jones i zwrócił się do Nellista i Dove'a: - Czy możecie w to, kurwa, uwierzyć?

Wkrótce podpłynęła motorówka i kilku Australijczyków weszło na pokład PT. Przekonali się, że nie ma tam żadnych japońskich szpiegów, i Jones otrzymał nowe hasło.

- To jakieś gówno - klął Jones do Australijczyka. Wskazał na wschód, gdzie na horyzoncie widać było już pierwsze oznaki nadchodzącego świtu. - Przez tę całą zasaną historię zginę ja i moi pasażerowie.

- Przykro mi - odparł australijski porucznik. - Takie mam rozkazy. Możecie ruszać.

Australijczycy odpłynęli, a Jones zapalił jedyny działający silnik Packarda i popłynął wśród niszczycieli i lekkich krążowników, co dostrzegł w pierwszych promieniach brzasku.

Teraz już nie musiał tłumić warkotu silnika. „Sea Bat” terkotał, jakby za chwilę miał się rozpaść na kawałki, a „Green Harlot” dotrzymywał mu towarzystwa.

\*\*\*

Około ósmej rano dopadli ich Japończycy.

Płynęli właśnie na południe od wyspy Dulag, czterdzieści kilometrów od swojej bazy, gdy Ray Vining, radarowiec na PT-132, krzyknął:

- Pięć nieprzyjacielskich samolotów od wschodu.

Załoga spojrzała w niebo, ale nic nie było widać. Stojący przy kokpicie Jones zdjął koszulę, przewiesił przez drzwi i zwrócił się do Mullera:

- To wygląda jak...

Nagle rozległ się wrzask:

- Japońce!

To krzyczał zwiadowca Gil Cox, który stał z Kittlesonem na sterburcie.

Pierwszy samolot leciał nisko, wykorzystując do zamaskowania swojej obecności Dulag. Był tuż nad nimi, wspominał Kittleson, widzieli na głowie pilota białą opaskę *hachimaki* z wymalowanym pośrodku słońcem.

Zainstalowane w kadłubie Zero karabiny maszynowe ostrzelały „Sea Bat” gradem pocisków, do których doszły jeszcze dwie bomby.

- Padnij! - wrzasnął Kittleson.

On i Cox padli na pokład tuż za wyrzutnią torped akurat w chwili, gdy bomby uderzyły w wodę tak blisko „Sea Bat”, że gejzery wody spadły na kuter i na obydwu mężczyzn, a odłamki rozrywały i tak już uszkodzoną jednostkę.

Przy stanowisku strzelniczym na przodzie kutra Bowers obracał karabin maszynowy w koło, ale było już za późno. Odłamki zniszczyły jego stanowisko, zerwały z Bowersa kapok, a jego samego pozostawiły pokaleczonego i krwawiącego.

- Myślałem, że przecięło mnie na pół - pisał. Później, w szpitalu, chirurdzy musieli wyjmować mu z ciała kawałki kapoka.

Kittleson słyszał okrzyki bólu Bowersa. Zerwał się i podbiegł do kolegi. Przesząpił przez niego i skierował lufę w stronę samolotu, ale ten nagły ruch w połączeniu z podmuchem wywołanym przez śmigło myśliwca niemal wyrzuciły go za burtę.

Odłamki z tych samych bomb, które raniły Bowersa, podziurawiły także kokpit. Jones został lekko ranny w głowę i miał poważniejszą ranę w boku, Mullerowi zaś porozrywało szyję z tyłu i oba ramiona. Przez osiem miesięcy lewą rękę miał sparaliżowaną.

Vining, młody człowiek obsługujący radar, został śmiertelnie ranny.

Odłamki z drugiej bomby, która spadła z tyłu „Sea Bat”, dosięgły Williama J. Speera, dwudziestolatka z Hollywood, który przeniósł się z okrętu podwodnego na kuter i na „Sea Bat” obsługiwał wyrzutnie torpedowe. Został ranny w plecy oraz w brzuch i po kwadransie zmarł.

Bill Fox, który zwykle znajdował się w maszynowni, ale akurat wyszedł na górę i rozmawiał ze Speerem, dostał w nogę i odrzuciło go spory kawałek. Bob „Parry” Parazinski obsługujący działko 20 milimetrów i Dewey Hiner zostali ranni w stopy. Dwudziestosiedmioletni Fox, uważany za „starego wygę” stanął na miejscu Parazinskiego, ale japoński samolot już zniknął.

Owen Beach, dwudziestoletni chłopak z Nowej Anglii z obsługi karabinu maszynowego kaliber 12,7 mm, widział moment zrzucenia bomby. „Miała wielki zapalnik, długości czterdziestu paru centymetrów”. Nachylił się, gdy wybuchła, i został lekko ranny w nogę, ale nie zdążył użyć broni maszynowej.

Thomas Gibson, widząc że Jones i Muller są ranni, przejął dowództwo i wysłał sygnał alarmowy. Myślał o swoim asystencie, młodym Viningu - zaledwie dzień wcześniej zwierzył się Bowersowi, że boi się śmierci.

- Nie martw się - starał się go uspokoić Bowers. - Wszyscy wyjdziemy z tego bez szwanku. Jestem tu już dwa lata i wiem, że będzie dobrze.

A teraz obawy Vininga się sprawdziły. W ciągu kilku minut połowa załogi „Sea Bat” była ranna, Vining nie żył, a Speer był umierający.

Zwiadowcy Alamo wyszli z tego nieco lepiej.

Mniej więcej godzinę przed atakiem Jack Dove zszedł pod pokład, aby trochę się przespać. Chciał się położyć w kajucie Jonesa, ale Muller zaproponował mu swoją, wygodniejszą i wyposażoną w wentylator.

- Okej - zgodził się chętnie Dove.

Ta decyzja uratowała mu życie, gdyż w kajutę Jonesa trafił odłamek. Dove’a ocaliło też to, że nie spał na poduszce. Kawałek stali przedziurawił drewnianą burtę, pozostawiając otwór tak wielki, że Dove mógł wysunąć przez niego głowę. Odłamek drasnął mu nos, a gdyby głowa Dove’a spoczywała wyżej, straciłby wzrok lub, co bardziej prawdopodobne, zginął natychmiast. Został też ranny w nogę.

Nellist zabrał się za opatrywanie ran Dove’a, ale najpierw zrobił mu zastrzyk z morfiny.

Andy Smith tuż przed atakiem rozmawiał z członkiem załogi kutra, Betzem. Betz pokazywał mu zdjęcia swoich dwóch małych córeczek. Potem Smith położył się na

pokładzie, żeby trochę się przespać, a głowę oparł o zapasowe kapoki. Jednak słońce świeciło mu w oczy, więc przekręcił się i leżał na wznak, z nogami wspartymi na kapokach. Kiedy nastąpił atak, Smith poderwał się natychmiast. Nogi miał we krwi, ale to nie była jego krew, tylko Betza. Młody ojciec leżał poważnie ranny tuż obok 20-milimetrowego działka. Smith, który odniósł niewielkie rany, opatrzył Betza. Chłopak z Missouri zmarł trzy dni później na pokładzie okrętu szpitalnego USS „Comfort”.

Zwiadowca Bob Asis był ranny w rękę.

W odpowiedzi na sygnał Gibsona nadleciały amerykańskie myśliwce i przegnały japońskie samoloty znad Dulag.

O dziwo, PT-326 odniósł bardzo małe zniszczenia. Jego dowódca, chorąży Terry, podpłynął bliżej towarzysza. Oficer wachtowy z PT-326, Pete Rardin, studiował przed wojną medycynę. Teraz wszedł na pokład PT-132, aby opatrzyć rannych, za co otrzymał potem Srebrną Gwiazdę.

Obydwa kutry torpedowe zmierzały do swojej macierzystej bazy.

Przybyły do Tacloban 27 października i Nellist natychmiast sporządził raport, że na Mindanao jest około sześciuset-ośmiuset Japończyków, wielu z nich wydaje się nieuzbrojonych i brakuje im żywności. Dostarczył wywiadowi 6. Armii szczegółową mapę rozmieszczenia wojsk, składów amunicji, zaopatrzenia, szlaków i ścieżek, jak również miejsc występowania wody pitnej. Przedstawił opinię na temat plaż pod kątem ich przydatności dla desantu w razie inwazji. Jednak wróg czyhał nawet w znajdującym się w rękach Amerykanów Tacloban. Dzień po powrocie Nellista i jego zespołu z Mindanao japoński myśliwiec ostrzelał plażę, na której zwiadowcy akurat się opalali. Zdołali się rozpierzchnąć, ale Nellist został draśnięty w szyję i w nogę.

\*\*\*

Po inwazji na Leyte 24. Dywizja brała udział w ciężkich walkach nieopodal miasta Palo na wybrzeżu zatoki San Pedro. Celem dywizji było przesunięcie się na południe i połączenie z 96. Dywizją, a dowódca 24. Dywizji zażądał teraz przeprowadzenia działań rozpoznawczych pomiędzy Palo a Tanauanem. Dowództwo 6. Armii wybrało do realizacji tego celu Billa Littlefielda, toteż przybył on na odprawę wyznaczoną na 22 października. Tej nocy zwiadowcy spali nieopodal kwatery dowództwa. Obudzeni przez wystrzały z broni palnej zerwali się na równe nogi, chwycili broń i wybiegli na zewnątrz. Okazało się, że obóz został zaatakowany przez Japończyków i wywiązała się strzelanina. Kiedy było już po wszystkim, Littlefield znalazł ciało jednego z nich dwieście metrów od swojego namiotu.

Zespół wyruszył następnego dnia o dziesiątej rano i minął amerykańskie linie. Zeke

McConnell, Indianin z plemienia Czirokezów, wspominał:

- Przez cały czas Japończycy byli po obu naszych stronach, a pomiędzy nimi amerykańskie bomby i ostrzał amerykańskiej marynarki wojennej, więc wszyscy bardzo się baliśmy.

Amerykanie mieli szczęście, gdyż Tanauan nie był okupowany. Littlefield przekazał tę informację drogą radiową do dowództwa. Następnego dnia przybył 381. pułk i Amerykanie mogli posuwać się dalej. Po powrocie na pokładzie tendra USS „Wachapreague” Littlefielda wraz z zespołem wysłano do Samar, aby śledzili ruchy nieprzyjaciela, ale nie mieli kogo śledzić, bo Japończyków tam nie było.

\*\*\*

Dziewiątego listopada zespół Lutza wysłano na pierwszą misję na Filipinach od czasu, gdy widzieli schodzącego na ląd na Luzonie MacArthura. Jednak to już nie był dawny zespół Lutza. Jego dowódca wrócił z dżungli z fatalnymi zmianami skórnymi na całym ciele i pojechał do Stanów Zjednoczonych na leczenie. Z zespołu ubył też Glendale Watson, a Boba Shullawa przeniesiono do grupy George’a Thompsona. Pozostali więc tylko Jack Geiger, Bob Ross i Oliver Roesler i teraz ich dowódcą był John McGowen. To okazało się szczęśliwym posunięciem, wspominał Geiger, McGowen był najbardziej doświadczonym ze wszystkich dowódców zespołów zwiadowców, odznaczonym Medalem Żołnierza oraz dwiema Srebrnymi Gwiazdami. Łatwo można się było z nim dogadać i nie pilnował nadmiernie przestrzegania wojskowego regulaminu.

W skład przewidzianych na trzy dni działań rozpoznawczych wchodziło nawiązanie kontaktu z filipińskimi partyzantami w górzystym regionie Burauren oraz Dagami. Przeniknięcie przez japońskie linie nie sprawiło zwiadowcom żadnych trudności, ale nawiązanie współpracy z partyzantami - tak. Gdy zwiadowcy dotarli do Burauren, burmistrz miasta poinformował ich, że partyzanci poszli w góry.

- Czy można wynająć przewodnika, aby nas tam zaprowadził? - zapytał McGowen.

- Nie, nie - odpowiedział burmistrz. - Tam jest wielu żółtków, a was tylko czwórka.

- Wobec tego sami ich poszukamy. Nie będziemy wracać - zdecydował McGowen.

Następnego dnia przewodnik zgodził się zaprowadzić ich do Malaihaw, czyli następnego miasta w kierunku zachodnim. Nie widzieli tam Japończyków, ale krajobraz pełen kraterów, porozrywanych drzew i chat świadczył, że amerykańska artyleria nie próżnowała.

Grupa McGowena dotarła do rzeki San Joaquin, przecinającej gęsto zalesione pasmo górskie biegnące wzdłuż Leyte. Zwiadowcy przeprawili się przez rzekę i poszli w głąb łąd. Natknęli się na kilka opuszczonych japońskich bunkrów. Nie widzieli Japończyków, ale na

miękkiej ziemi pełno było śladów ich butów oraz podków.

- Wygląda, jakby Japończycy mieli stada koni - mruknął McGowen.

Następnego dnia, 24 października, zbliżając się do miasta Camire, Amerykanie zamarli, gdy z oddali dobiegł ich odgłos strzelaniny. Oczekali kwadrans i ruszyli do miasta. Było opustoszałe, więc przeszli przez nie, nadal nie mogąc odkryć źródła strzelaniny.

Weszli w góry. Szlak był stromy i trudny. Dotarli na skraj wielkiej przepaści. Nie dało się przepawić na drugą stronę, musieli cofnąć się tą samą drogą. Po drodze spotkali starego Filipińczyka z bawołem, zbierającego ryż. Nie rozumiał, co mówią do niego ci uzbrojeni mężczyźni o pomalowanych twarzach, więc zaprowadził ich do swojej chaty, w której mieszkał z wnuczką i jej mężem - na szczęście kobieta znała angielski.

- Mój dziadek wziął was za Japończyków - powiedziała.

McGowen wyjaśnił, że muszą skontaktować się z partyzantami, na co usłyszał, że ich obóz znajduje się kilka kilometrów stąd. Kobieta zaprosiła zwiadowców do chaty na posiłek składający się z czarnej fasoli oraz z ryżu. Kiedy już kończyli, nagle drzwi otworzyły się z impetem i do chaty wpadł partyzant z bronią w rękę, coś wykrzykując rozkazującym tonem. Kobieta zaczęła szybko mówić, na co przybysz się uspokoił, a ona zwróciła się do McGowena:

- On myślał, że jesteście Niemcami.

- Niemcami? A dlaczegoż, do cholery, myślał, że jesteśmy Niemcami?

- Bo słyszał, że przybył tu niemiecki okręt podwodny, żeby pomóc Japończykom.

Kiedy wszystko już zostało wyjaśnione, partyzant zgodził się zaprowadzić McGowena i jego ludzi do obozu. Minęli w dżungli kilka punktów kontrolnych i z nastaniem ciemności doszli do małej bambusowej chatki, oświetlonej tylko jedną świeczką. Przy jej migoczącym świetle McGowen wyjaśnił dowódcy partyzantów cel swojego zadania. Filipińczyk odmówił jednak współpracy. Wyszedł z chaty, zabierając świeczkę, aby goście mogli się przespać.

O świcie obudził ich i chociaż nadal nie chciał zaprowadzić zwiadowców w góry, zgodził się dać im eskortę aż do ujścia rzeki Kabugnan, gdzie Amerykanie mogli dostać dwa czółna wykonane przez miejscowych. Dalej mieli już prowadzić działania rozpoznawcze, podróżując wodą.

Zwiadowcy eskortowani przez kilku partyzantów dotarli do rzeki około południa, a tam czekały już na nich wydłubane w pniach drzewa czółna. Płynąc, mijali prowizoryczne schronienia uchodźców, którzy ostrzeżeni przez ulotki zrzucone przez Amerykanów o zbliżającym się desancie na Leyte, uciekli w głąb lądu.

McGowen zatrzymał się, aby porozmawiać z tymi ludźmi, i dowiedział się, że

Japończykom brakuje żywności i że porzucili oni swoje przygotowane pozycje obronne usytuowane wzdłuż drogi łączącej miasta Tanauan i San Joaquin, aby zająć nowe, położone w głębi lądu.

Dowiedziawszy się tego wszystkiego, McGowen postanowił wracać do bazy, chociaż główny cel działania rozpoznawczego, namierzenie japońskich szlaków transportu zaopatrzenia w górach, nie został zrealizowany. Odmowa pomocy ze strony partyzantów wzbudziła w McGowenie rozgoryczenie oraz wątpliwość co do ich zdolności prowadzenia walki.

Pech, jaki prześladował McGowena dowodzącego dawnym zespołem Lutza, bynajmniej się jeszcze nie skończył.

Dziewiętnastego listopada, a więc siedem dni po niefortunnych doświadczeniach w górach, McGowen, Geiger, Ross i Roesler otrzymali nowe zadanie. Mieli załadować na kuter torpedowy sprzęt, w tym nosze i środki opatrunkowe oraz leki, i popłynąć na spotkanie z zespołem George'a Thompsona na wyspę Ponson, w miejscu, w którym zatoka Ormoc łączy się z morzem Camotes, na zachodnim wybrzeżu Leyte. Thompson był tam ze swoimi ludźmi od 6 listopada, obserwował ruch japońskich okrętów na wodach zatoki i uratował dwóch rannych lotników.

Zespół płynął trzema kutrami torpedowymi z 33. eskadry, patrolującej wody zatoki. W czasie jednego z takich patroli PT-495 „Gentelman Jim” miał zatrzymać się na Ponson, wysadzić McGowena i jego ludzi, a zabrać rannych lotników.

Płynęli wzdłuż zachodniego brzegu Leyte. Zwiadowcy widzieli na brzegu światła, zapewne ogniska rozpalone przez ich kolegów. Piętnaście minut po północy z kutrów zauważono kilka japońskich barek, długich na dwadzieścia cztery-dwadzieścia siedem metrów i uzbrojonych w karabiny maszynowe. Kutry opłynęły je naokoło, po czym zbliżyły się i rozpoczęła się zaciepła wymiana ognia. Powietrze przecinały japońskie pociski z broni maszynowej kaliber 7,7 mm oraz amerykańskie kaliber 12,7 mm, ciągnąc za sobą ogniste smugi i rzucając odblask na czarną taflę wody. Do tego piekła dołączyły jeszcze amerykańskie działka 20- i 40-milimetrowe.

Japońska barka, podziurawiona i płonąca, nacierała na „Gentelmana Jima”, który odpowiedział ostrzałem z karabinu maszynowego. W ciemnościach rozległ się krzyk i, jak zapamiętał Roesler, barka niemal rozplynęła się pod ostrzałem „niczym kostka cukru w filiżance z gorącą kawą” i zniknęła w morzu. Trzy pozostałe także płonęły i tonęły.

I wtedy podenerwowany dowódca drugiego kutra, niezbyt doświadczony w nocnych patrolach, dopiero niedawno awansowany na oficera, odwrócił jednostkę, a strzelec na jej

pokładzie, podekscytowany sytuacją, nie zdając sobie sprawy, że jego kuter wykonał błędny manewr i ustawił się nieprawidłowo, zobaczywszy duży cień w odległości kilkuset metrów, otworzył ogień.

Ten cień to był PT-495.

Pociski wystrzelone przez kolegów zaczęły siekać „Gentelmana Jima”. Ludzie krzyczeli z bólu i szoku. Oficer wachtowy na pokładzie sprawcy tego nieszczęścia zobaczył, co się dzieje, i natychmiast rozkazał wstrzymać ostrzał, ale było już za późno. Co najmniej pięć osób zostało ciężko rannych, jedna wkrótce zmarła. Ktoś z załogi PT-495 został poważnie ranny w głowę, inny w nogę i miał urwaną rękę. Młody marynarz z fatalnie rozszarpanym ramieniem powiedział dowódcy, żeby odpływali, bo na rufie oberwali wszyscy.

Zresztą wcale nie musiał przekazywać tych wieści dowódcy „Gentelmana Jima”, bo on sam znajdował się wśród siedmiu lżej rannych - pocisk drasnął go w gołeń. Ranny był także Oliver Roesler ze Zwiadowców Alamo, w którego szyi utkwiał kawałek 20-milimetrowego pocisku.

Nikt nie miał pojęcia, skąd pochodził ostrzał, zresztą na początku nikt nie zwrócił na to uwagi. Teraz najważniejszą sprawą była pomoc rannym. Geiger, który powiedział, że nigdy nie zapomni widoku rannego człowieka, pomagał oficerowi wachtowemu prowadzić kuter, podczas gdy wszyscy inni, nie wyłączając zwiadowców, zajmowali się poszkodowanymi. Nawet ranny w szyję Roesler, w zachlapanym krwią ubraniu, pomagał Rossowi, który opatrywał chłopca z rozszarpaną ręką. Kiedy sypali mu na ranę sulfamidy i robili zastrzyk z morfiny, cały czas rozmawiali z nim, aby odwrócić jego uwagę.

- Jak masz na imię, synu? - pytał Ross.

- Wilbur - wymamrotał marynarz.

- Wilbur, ahaaa - powtórzył Ross. - Mamy kilku Wilburów wśród zwiadowców. Ładne imię. Długo pływasz na tej jednostce?

- Nie. To mój pierwszy rejs - odparł chłopak.

- No, to spędzisz trochę czasu w miłym, czystym szpitalu, a tam będzie dobre jedzonko i ładne pielęgniarki. Może nawet odeślą cię do kraju i zobaczysz rodzinę. Chciałbyś?

Chłopak uśmiechnął się mimo bólu, a zwiadowcy spojrzeli jeden na drugiego, pewni, że chłopak straci rękę. Czy to na myśl o kalekim chłopaku, czy też na widok rany Rossowi zrobiło się niedobrze i musiał zejść pod pokład. Geiger go pocieszał.

- Odpocznij, Bob - powiedział. - Zapal sobie.

- Dzięki, Geig - odparł Ross. - To mnie wyprowadziło z równowagi.



Z dwudziestu dwóch ludzi, którzy znajdowali się na pokładzie PT-495, dwunastu zostało rannych. Jednak mogło być jeszcze gorzej. Dwa pociski 20-milimetrowe upadły bardzo blisko zbiorników na paliwo „Gentelmana Jima”. Jeśli trafiłyby w zbiorniki z wysokooktanową benzyną samolotową, kuter płonąłby jak pudełko zapalek.



*Kuter torpedowy PT-495 (pośrodku)*

Potem zaczął padać deszcz. Spod pokładu przyniesiono koce, aby okryć rannych. Było około wpół do czwartej rano. PT-495 stracił kontakt z pozostałymi kutrami torpedowymi. Nagle jeden, chyba ten sam, który go ostrzelał, wyłonił się z ciemności i płynął wprost na PT-495. Ranny dowódca „Gentelmana Jima” próbował zboczyć z kursu, ale nie zdążył i tamten uderzył z całej siły w rufę PT-495. Z uszkodzonego kutra zaczęły unosić się kłęby dymu, ktoś krzyknął „Pali się!” ale szybko okazało się, że źródłem dymu jest uszkodzony generator poruszający wentylator.

Wkrótce pojawił się trzeci kuter. Ciężko rannych przeniesiono ostrożnie na jego pokład i wyruszył do bazy do Linoan. PT-495 oraz ten, który się z nim zderzył, popłynęły razem do bazy, a byli tak silnie uszkodzone, że wszyscy znajdujący się na pokładzie na wszelki wypadek włożyli kamizelki ratunkowe.

W Linoan McGowen, Ross i Geiger pomogli załodze PT-495 wymyć zakrwawiony

pokład. Roeslera wysłano do wojskowego szpitala w Hollandii na Nowej Gwinei i nie było go przez trzy miesiące.

Zrezygnowano z udzielenia wsparcia zespołowi Thompsona. Dla zespołu Lutza było to równocześnie ostatnie zadanie. Nie było dowódcy, więc zespół został rozwiązany. Rossa przydzielono do zespołu Dove'a, a o Geigera i Roeslera upomniały się ich jednostki macierzyste.

\*\*\*

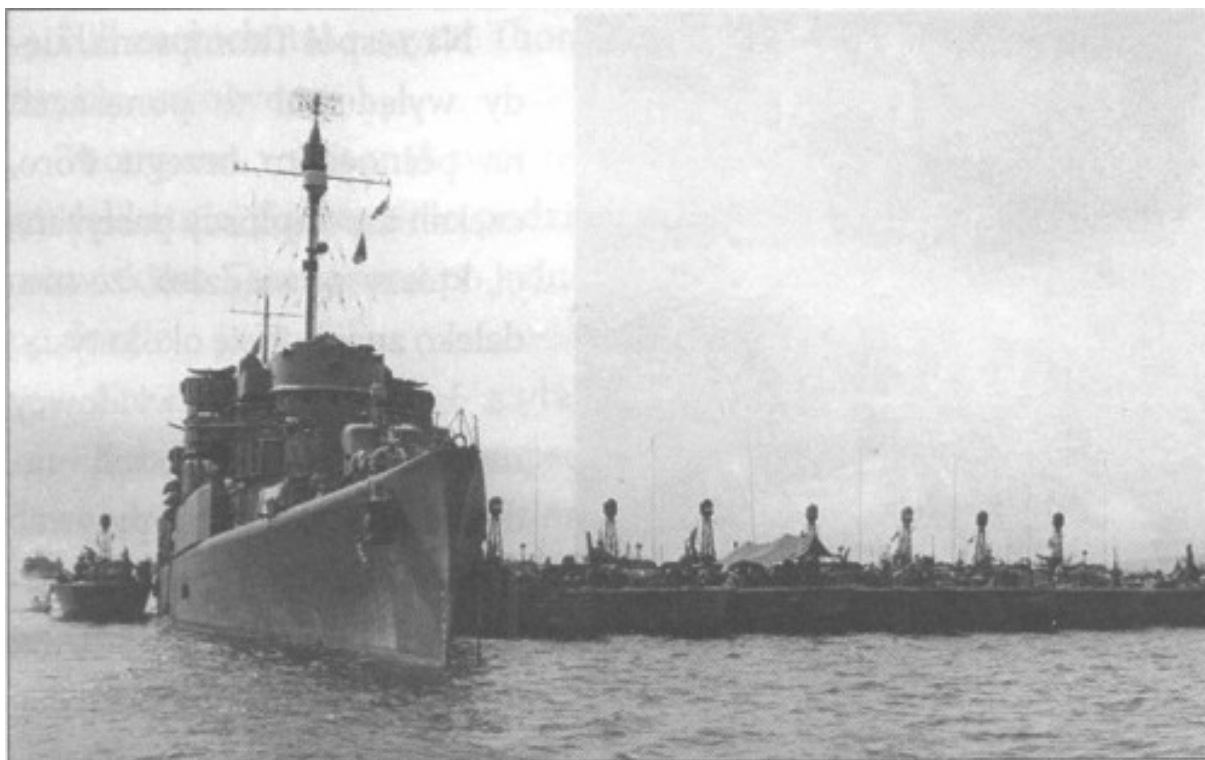
Dla amerykańskich strategów wojennych najważniejsze było śledzenie ruchu japońskich wojsk na górzystej środkowej części Leyte.

Dwunastego listopada zespół Dove'a pod dowództwem porucznika Woodrowa Hobbsa (Jack Dove został ranny) wraz z zespołem Boba Sumnera dostał zadanie obserwacji szosy nr 2, głównej drogi prowadzącej z Ormoc na północy przez dolinę Ormoc do zatoki Carigara. Grupa Sumnera miała obserwować południowy odcinek tej drogi, od Ormoc City do Valencii, zespół Hobbsa zaś - północny kraniec, od Valencii do Canangi, jak również drogę biegnącą w kierunku wschodnim, do Carigary, a więc właściwie cała szosa miała być pod kontrolą.

Hobbs wraz z sierżantami Johnem G. Fisherem, Johnem E. Philipsem, Johnem E. Hidalgo, Dennyem Chapmanem, Irvem Rayem, Williamem R. Watsonem i Rayem W. Wangrudem (dwaj ostatni byli przedtem w zespole Reynoldsa) wypłynęli na pokładzie tendra USS „Oyster Bay” po południu, a do San Isidoro przybyli o trzeciej nad ranem. Tam czekali na nich tubylcy, którzy przewieźli ich czółnami na brzeg, na nocleg w jednym z domów.

Piętnastego listopada przetransportowano ich dwadzieścia pięć kilometrów na południe do Abijao, gdzie spotkali się z majorem Jose Nazareno i jego 96. pułkiem filipińskim. Zostali zaprowadzeni na szlak wiodący wśród gór w kierunku wschodnim do miejscowości Maulayan, skąd widać było drogę Ormoc-Carigara. Tam zwiadowcy założyli punkt łączności radiowej i następne dwa dni spędzili, informując o ruchach nieprzyjaciela. Hobbs po przybyciu do Maulayanu dowiedział się od założonej przez cywilów jednostki zwiadowczej o nazwie Gwardia Ochotnicza, że w Canandze Japończycy zgromadzili siły w liczbie trzech tysięcy, a jeszcze jeden tysiąc stacjonuje dziewięć kilometrów na wschód.

Wobec tego nadał przez radio wiadomość, że istnieje duże prawdopodobieństwo, iż Japończycy przygotowują się do ewakuacji przez morze Camotes na Cebu. Dowiedział się też, iż ci Japończycy, którzy już są na Cebu, w odwecie za swoje straty na Leyte wyrzynają w pień całe wioski, a tamtejsi partyzanci nie mając ciężkiej broni, nie są w stanie temu zapobiec.



*Tender USS „Oyster Bay” wraz z kutrami torpedowymi PT, zatoka Leyte 1944*

Czternastego listopada, a więc jeszcze przed nadaniem tych wstrząsających wiadomości, zespół porucznika George’a S. Thompsona w składzie: sierżanci Leonard Scott i Charley Hill, kapral Gordon Butler, starsi szeregowi Joseph Moon i Joseph Johnson i szeregowy Robert Shullaw, niegdyś w zespole Lutza, wraz z Vincentem Nuivedo, radiooperatorem z Filipin, został wysłany na wyspę Poro w archipelagu wysp Camotes w celu obserwowania ruchu japońskich barek między wyspami Leyte a Cebu.

Na zespół Thompsona, kiedy wylądował w pontonach na północnym brzegu Poro, czekali już filipińscy partyzanci, którzy powiedzieli, że niedaleko znajduje się około tysiąca Japończyków. Zwiadowcy natychmiast uruchomili radiostację i zaczęli wypytywać tubylców, a Thompson zorganizował nawet z miejscowej ludności siatkę informacyjną, której zadaniem było przekazywanie wiadomości z oddalonych i rozproszonych wiosek. Na efekty nie trzeba było długo czekać. Poinformowano zwiadowców, że barki desantowe przewożą żołnierzy z Talang Point na wyspie Pacijan na Ormoc. Japończycy umacniali również swoje pozycje na wyspie Ponson, na północny wschód od Poro, gdzie w okrutny sposób postępowano z miejscową ludnością - gwałcono, torturowano i przebijano bagnietami.





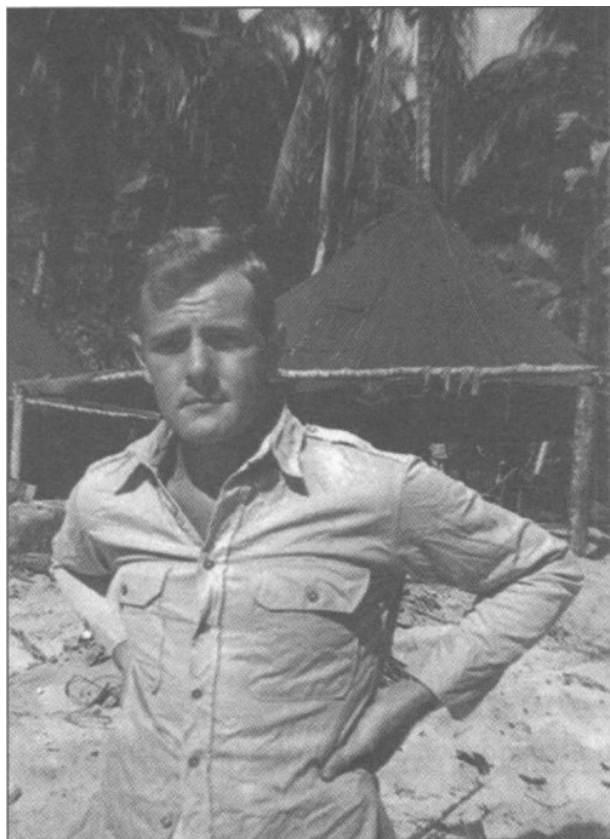












*Porucznik George S. Thompson*

Na Camotes było wielu Japończyków, co zmuszało zwiadowców do ciągłego przemieszczania się. Pewnej nocy Thompson ze swoimi ludźmi zatrzymali się w barakach na plaży na Poro. Zajęli dwupiętrowy dom nad samą wodą i położyli się spać.

- Lokum z wygodami - stwierdził Charley Hill, wyciągając się obok Thompsona. - Dla nas, zwiadowców, to rzadkie luksusy.

- Taaa - zgodził się Thompson. - Kiedy wieść o tym rozniesie się wśród innych zespołów, to staniemy się celebrytami. Będą ustawiać się do nas w kolejkę po autograf i żeby nas dotknąć.

Hill zachichotał i spytał Thompsona, czy może obejrzyć jego niezwykle rewolwer.

Thompson wyciągnął swój rewolwer i podał Hillowi, który wziął go delikatnie. Szczególnie podziwiał drewnianą rękojeść z wrytym nazwiskiem Thompsona po jednej stronie, a napisem „Alamo Scouts” po drugiej.

- Kto ci to wyrzeźbił? - spytał.

- Bob Ross - odparł Thompson. - Jest zręczny jak diabli. To prawdziwe drewno, zdaje się, że jesion.

- Nie gadaj! Bob Ross z grupy Lutza? - dziwił się Hill, zwracając rewolwer. - Ale dlaczego używasz trzydziestki ósemki? Gdzie twoja czterdziestka piątka?

- Nigdy nie mogłem trafić czterdziestką piątką - wyjaśnił Thompson, chowając broń, po czym odwrócił się, zamierzając spać.

Obudził ich warkot silników. Tuż obok przybiły trzy barki desantowe pełne japońskich żołnierzy, którzy właśnie wychodzili na brzeg. Na dany przez Thompsona znak zwiadowcy weszli cicho na drugie piętro i czekali. Z niepokojem obserwowali, jak część żołnierzy zbliżyła się do budynku, w którym schowali się Amerykanie, a kilku Japończyków nawet weszło do środka.

Na dole słychać było odgłosy ich kroków, ale Thompson zabronił strzelać.

Potem na schodach rozległ się tupot ciężkich buciorów - to dwóch Japończyków

wchodziło na górę.

- Spieprzajmy stąd - zdecydował Thompson i on oraz trzech jego ludzi wyskoczyło przez okno do morza. Sierżant Scott i trzej pozostali zwiadowcy rzucili się schodami w dół, roztrzając na boki zdumionych Japończyków, po czym wybiegli na zewnątrz i popędzili w stronę dżungli. Za nimi padały strzały, goniły ich okrzyki wściekłości.

Dopadli zielonej gęstwiny i dali w nią nura. Zaraz nadeszli Japończycy z bagnietami zatkniętymi na karabinach Arisaka i zaczęli dźgać nimi niższe zarośla. Koniec bagnetu ukłuł Scotta w brzuch, zaczął krwawić, ale nawet nie drgnął, a Japończycy zadowoleni, że Amerykanie uciekli, wycofali się do wioski.

Jakimś cudem wszystkim zwiadowcom udało się uciec bez szwanku, jeśli nie liczyć niewielkiej rany Scotta, a potem spotkać. Jednak stracili radiostację i większość zapasów żywnościowych. Potem dołączyli do 1. kompanii 88. pułku piechoty Cebu, jedynej jednostki sformowanej z mieszkańców Camotes. Służący w tej jednostce Filipińczycy mieli osiem karabinków, dziesięć karabinów Arisaka i dwanaście pistoletów. Thompson, przez radio powstańców, poprosił o przysłanie siedemdziesięciu pięciu M1, dwóch karabinów maszynowych kaliber 7,62 mm i mnóstwa amunicji.

\*\*\*

Jedyną grupą, która nie została jeszcze wysłana w celu dokonania rozpoznania, był zespół Rounsaville'a, ale i on nie czekał bezczynnie zbyt długo. Dwudziestego pierwszego listopada cały zespół wraz z Filipińczykiem sierżantem Lleandrem Reposarem, radiooperatorem, oraz z oficerem partyzantki kapitanem Avelą, który miał pełnić rolę przewodnika, wsiadł na pokład kutra torpedowego, aby przez morze Visayan udać się na północ, tym razem na wyspę Masbate, niedaleko południowo-wschodniego krańca Luzonu. Zadanie zwiadowców polegało na udzieleniu pomocy tamtejszym partyzantom w zainstalowaniu sieci radiowej i obserwacyjnej, bardzo przydatnych podczas planowanej inwazji.

Zespół zszedł na ląd koło wioski Tenke na południowym krańcu Masbate, przeszedł do Esperanzy, po czym siedząc w należącej do tubylców łodzi, obserwował atakujące samoloty, zarówno amerykańskie, jak i japońskie. Wkrótce nadleciały amerykańskie myśliwce i zaczęły pikować. Pasażerowie łodzi powskakiwali do wody, gdy wkoło świsnęły pociski, siekąc wodę.

- Wszyscy zostają w wodzie - rozkazał Rounsaville i zwrócił się do sierżanta Harda: - Harold, za mną.

Rounsaville wdrapał się z powrotem do łodzi, a Hard za nim. Obydwaj zdjęli koszule,

aby pokazać, że mają białą skórę. Piloci myśliwców zawrócili i już szykowali się do ponownego ataku, gdy zobaczyli nagich do pasa białych mężczyzn, więc odlecieli, machając na przeprosiny skrzydłami.

Do Masbate przybyli 23 listopada i tam Rounsaville dowiedział się, że radiooperator powstańców nie może im pomóc, ponieważ nie umie odkodowywać przychodzących wiadomości. Wobec tego zostawił tam sierżanta Reposara, aby pomógł zainstalować radiostację z prawdziwego zdarzenia, a sam wraz z resztą ludzi ze swojego zespołu poszedł wzdłuż brzegu, żeby założyć punkty obserwacyjne na Masbate oraz na położonej nieco na północ mniejszej wysepce Ticao. Obserwując Ticao z przeciwległego brzegu wąskiego pasa wody, oddzielającego je od Masbate, Rounsaville zauważył, że nieustannie kręcą się tam japońskie samoloty. Za pośrednictwem kapitana Aveli Rounsaville dowiedział się od miejscowej ludności, że Japończycy próbują wzmocnić Leyte, przerzucając na tę wyspę wojska z Luzonu, a robią to przez przesmyk Masbate, a następnie między Masbate i Samar.

Rounsaville przekazał tę wiadomość, a efekt był taki, że cały zespół niczym z łoża teatralnej mógł ze swojego punktu obserwacyjnego patrzeć, jak samoloty 5. Armii Lotniczej przypuściły serię ataków na wroga.

Kilka dni po tym, jak dowiedzieli się o próbach wzmocnienia Leyte, zwiadowcy spostrzegli japoński konwój płynący przez cieśninę. Natychmiast wiadomość tę podano do 5. Armii Lotniczej i wkrótce amerykańskie samoloty zaatakowały statki. Zwiadowcy patrzyli niczym zahipnotyzowani na gejzery wody wystrzeliwujące wokół nieprzyjacielskich jednostek. Z niektórych unosiły się dym i płomień, po czym statki zaczęły tonąć. Japończycy skakali do wody i niedługo, według słów Rounsaville'a, „woda zrobiła się czarna od Japońców”.

W sumie wróg stracił sześć transportowców.

Zespół Rounsaville'a spowodował też atak bombowców na Masbate - tu na skraju miasta wróg miał duże lotnisko. Te naloty zmusiły Japończyków do kilkakrotnego przenoszenia się z miejsca na miejsce.

\*\*\*

Na początku grudnia dwadzieścia trzy tysiące japońskich żołnierzy wpadło w pułapkę w dolinie Ormoc na Leyte. Postępy wojsk amerykańskich wraz z nalotami lotnictwa aliantów sprawiły, że wróg nie miał żadnych szans na dostawy czy na dotarcie posiłków.

Amerykanie, chcąc wyeliminować ten punkt oporu, planowali na 7 grudnia lądowanie wojsk nieopodal miasta Ormoc, przerzucenie ich na północ i przecięcie sił nieprzyjacielskich na pół. Jednak aby się to udało, dowództwo 6. Armii musiało dysponować najświeższymi,

dosłownie z ostatniej chwili informacjami na temat Camp Downes, jednego z proponowanych miejsc inwazji, położonego na zachód od Ormoc. Dochodziły wieści, że nieprzyjaciel umacnia tam swoje pozycje. Nie udało się skierować tam kutrów torpedowych, wobec tego konieczne było wysłanie zwiadowców.

Zespół Billa Littlefielda od powrotu z działań rozpoznawczych pod koniec października na Samar nie miał nic do roboty i przez kilka ostatnich tygodni zajmował się przede wszystkim eskortowaniem generała Kruegera, toteż nie mógł się doczekać kolejnego zadania. Częściowym powodem bezczynności zespołu był atak wyrostka robaczkowego Littlefielda. Chociaż operacja nie była konieczna, to jednak Krueger obawiał się, że atak może się powtórzyć na przykład gdzieś w dżungli, a wtedy straci zespół, bo zwiadowcy nigdy nie zostawią swojego dowódcy.



*Zespół Littlefielda. Alva C. Branson – stoi pośrodku w drugim rzędzie, Zeke McConnell – pierwszy z lewej w pierwszym rzędzie*

Interweniował dopiero doktor Canfield i uspokoił obawy Kruegera.

- Kolejny atak może nigdy nie nastąpić - powiedział zapytany o zdanie lekarz. -  
Wszystko z nim w porządku. Może jechać.

Drugiego grudnia Littlefield siedział w dżipie podskakującym na drodze wiodącej do wioski Baybay na zachodnim wybrzeżu Leyte, aby sprawdzić doniesienia na temat obecności wroga, jak również zasięgnąć nieco języka na miejscu. Wraz z nim jechali członkowie jego zespołu, a mianowicie Zeke McConnell i Alva Branson. Podróż trwała dziesięć godzin, ale w końcu udało się, przybyli do Baybay. Littlefield namówił miejscowych rybaków, aby przewieźli jego i jego ludzi czółnami na tyły nieprzyjacielskich linii, jakieś pięćdziesiąt kilometrów na północ.

Czółna trzymały się w sporej odległości od brzegu, gdyż tubylcy nie chcieli zbyt ryzykować. Littlefield robił notatki. Wiosłując, tubylcy pokazywali mu miejsca, w których znajdują się miny oraz inne niebezpieczeństwa, jak również opisywali nadbrzeżne wzgórza, a Littlefield wszystkie te informacje przekazywał do dowództwa. Okazały się one bardzo pomocne pięć dni później, w czasie inwazji, a 11 grudnia Amerykanie zdobyli Ormoc.

\*\*\*

Rodowity Filipińczyk porucznik Rafael M. Iletto był szczęśliwy, że wrócił do ojczyzny. Uczęszczał na piąty z kolei kurs zwiadowców w ASTC i ukończył go 22 grudnia na przylądku Kassoe w Holandii na Nowej Gwinei. Teraz miał poprowadzić swój zespół, w którego skład wchodził sierżanci Fredirico Balambao, Paul E. Draper, James Farrow jr. i Peter Vischansky oraz kapral Estanislao S. Bacat.

Wraz z porucznikiem Marionem Myersem 8 grudnia na przystani w nowo założonym obozie ASTC w Abuyong, niedaleko od ujścia rzeki Cadacan na Leyte, wsiedli na pokład J-boat<sup>33</sup>.

Dowództwo 6. Armii chciało wiedzieć, co robi nieprzyjaciel nieopodal Balangigi na południowym brzegu wyspy Samar. Iletto wraz ze swoim zespołem wylądowali w Guiuanie, na zachód od Balangigi. Tam czekali już na nich partyzanci i zaprowadzili do swojego obozu niedaleko od miasta Salcedo. Tubylcy przewieźli zwiadowców łodziami wiosłowymi przez morze do Balangigi, gdzie mieli zbadać linię brzegową. Iletto wypytywał też ludność miejscową, od której się dowiedział, że około dwustu pięćdziesięciu Japończyków znajduje się na wzgórzach osiem kilometrów na północ od miasta, a nieprzyjacielskie patrole często wpadają do miasta, siejąc terror wśród mieszkańców.

Do czternastego grudnia, a więc sześć dni po wyruszeniu z przylądka Kassoe, Iletto wiedział już, jakimi siłami dysponują wróg oraz partyzanci, i wrócił do bazy.

Dwa dni przed jego powrotem na swoje pierwsze działania rozpoznawcze wyruszył zespół pod dowództwem świeżo upieczonego zwiadowcy podporucznika Hermana S.

---

<sup>33</sup> J-boat - klasa łodzi żaglowych (przyp. JB).

Chanleya. Chanley, aż do awansu, był w grupie Hobbsa. Wyjechał wraz ze swoim zespołem 12 grudnia i wylądował niedaleko miasta Pawikan. Tam założył radiostację i punkt obserwacyjny, skąd wysyłał do dowództwa informacje na temat ruchów nieprzyjaciela w rejonie zatoki Carigara i cieśniny Biliran.

Powrót Chanleya 20 grudnia zakończył działania Zwiadowców Alamo na wyspie Leyte.

# ROZDZIAŁ 11

## Samar/Zatoka Ormoc

### Zespół Sumnera: październik-grudzień 1944

Porucznik Robert Sumner miał zaszczyt przeprowadzić zarówno najkrótsze, jak i najdłuższe działania rozpoznawcze, jakie kiedykolwiek przypadły w udziale Zwiadowcom Alamo, i to oba w ciągu zaledwie dwóch miesięcy.

Dwudziestego drugiego października 1944 roku pilot L-5 Piper Cub<sup>34</sup>, który wystartował z lotniskowca i miał lecieć do dowództwa 6. Armii na Leyte, znalazł się w poważnym kłopotcie. Nad Samar, najbardziej na zachód wysuniętą wyspą z archipelagu Visayan, dokładnie na północny wschód od szerokiej na niecały kilometr cieśniny San Juanito, sześćdziesięciopięciokonny silnik samolotu walczył, aby utrzymać maszynę w powietrzu. Zdarzyło się to w nocy i ciemności były nieprzeniknione, gdyż noc była bezksiężycowa. Pilot widział tylko błyski wody pod maszyną, a że znajduje się nad Samar, domyślał się jedynie na podstawie namiarów.

Schodząc w dół, pilot, sierżant, który do tej pory latał jako kurier w jednostce o nazwie Guinea Short Lines<sup>35</sup>, nieco przód maszyny i dotknął kołami ziemi. Kilka chwil później „Konik polny” bo tak nazywano ten mały samolot, zatrzymał się. Pilot podał przez radio swoją pozycję, podziękował Bogu, gdy usłyszał „Przyjąłem” i wyłączył silnik.

Teraz jednak miał większy problem. Za nim na siedzeniu leżał gruby na piętnaście centymetrów notes zawierający rozkazy dla 14. Korpusu, w tym również plany taktyczne i logistyczne, a więc daty, czas, ruchy wojsk, położenie oraz liczebność poszczególnych jednostek, jednym słowem wszystko. Miał on dostarczyć ten dokument dowództwu 6. Armii, a nie znajdującym się na wyspie Japończykom. Jeśli notes wpadłby w ich ręce, cała operacja na Leyte narażona byłaby na szwank.

Sierżant dowiedział się, że z wybrzeża zabierze go kuter torpedowy. Jednak istniało wielkie niebezpieczeństwo natknięcia się na Japończyków, zarówno w drodze na brzeg, jak i podczas oczekiwania na przybycie kutra. Pilot nie chcąc ryzykować wpadnięcia notesu w ręce

---

<sup>34</sup> Po pierwsze wojskowym symbolem L-5 oznaczony był samolot Stinson Sentinel, Piper Cub miał oznaczenie L-4; po drugie wojskowa wersja Pipera Cuba miała potoczną nazwę Grasshopper (konik polny) (przyp. JB).

<sup>35</sup> Guinea Short Lines - nieoficjalna nazwa 25. dywizjonu łącznikowego (przyp. JB).



wroga, zakopał go kawałek od samolotu i ruszył na brzeg.

\*\*\*

Siedem dni po tym zdarzeniu pułkownik Bradshaw wezwał do swojego namiotu Sumnera.

- Rudy, ty i twój zespół szykujcie się szybko do drogi. Wysyłam was na Samar. Tydzień temu lecący do kwatery dowództwa Piper Cub miał kłopot z silnikiem i musiał lądować. Sierżant pilotujący ten samolot siadł gdzieś wśród palm kokosowych nieopodal wioski Balangiga.

Bradshaw pokazał to miejsce na wyspie; było dokładnie po przekątnej zatoki Samar, nad którą się znajdowali.

Sumner zapytał, o jakie dokumenty chodzi, a dowiedziawszy się, tylko jęknął:

- Jezu.

- No właśnie - dorzucił Bradshaw. - Pilot zakopał te dokumenty w torbie, bał się, że może zostać schwytyany, po czym poszedł do Legazpi, a następnie na pokładzie kutra dostał się do Tacloban, do dowództwa 6. Armii. To sprawa niezwyklej wagi. Idź i zbierz swoich ludzi, jak tylko zdołasz najszybciej. Rozkazałem, by jeden z kutrów przewiózł was przez zatokę. Przykro mi, że muszę was wysłać w biały dzień, ale nie ma innej rady.

- Jak znajdziemy samolot i torbę?

- Popłynie z wami pilot - odparł Bradshaw. - To szybkie zadanie - raz, dwa, tam i z powrotem. Kapitan mówi, że przewiezienie was na drugą stronę powinno zająć trzydzieści minut.

Sumner studiował rozłożoną na stole mapę i zdjęcia lotnicze.

- Będzie lepiej nie zwracać na siebie uwagi mieszkańców wioski, więc niech kuter popłynie do wyspy tutaj, jakieś cztery kilometry na zachód. A potem możemy popłynąć wzdłuż brzegu aż tutaj - wskazał palcem na mapie. - Dzięki temu znajdziemy się tylko niecały kilometr od Balangigi.

Bradshaw i Sumner uzgodnili, że zespół weźmie ze sobą radio, ale przerwą ciszę radiową, nawiązując kontakt z dowództwem, tylko po to, aby potwierdzić swoje lądowanie i moment opuszczenia wyspy

Sumner popędził do swoich ludzi i wsadzając głowę do namiotu, krzyknął:

- Siodłać konie. Wyruszamy na szybką robotę - tam i z powrotem.- Następnie rozejrzał się dokoła i spostrzegł, że jednego z grupy brak. - A gdzie Renhols?

- Poszedł do pralni. Robi pranie - zameldował Blaise.

- Nie zamierzacie wyrzucać już jego ciuchów na ulicę, co? - spytał Sumner z

uśmiechem.

Chodziło o to, że znany z czystości i pedanterii Blaise, który jakimś dziwnym sposobem nawet wychodząc z dżungli, wyglądał jakby dopiero co włożył świeżo wyprasowane ubranie, miał już dość flejtuchostwa Renholsa. Wraz z Paulem Jonesem i Harrym Weilandem pewnego dnia zgarnęli rzeczy kolegi i wyrzucili je na „ulicę” w obozie. Kiedy Renhols wrócił, Blaise oświadczył mu: „Dopóki nie zrobisz porządku ze swoimi łachami, będziesz mieszkać na ulicy”.



*Zwiadowcy z zespołu Sumnera: Harry Weiland (z lewej) i Bill Blaise*

Pomogło: Renhols przeprosił kolegów i od tamtej pory dbał o czystość.

- Nie, sir - odpowiedział Blaise dowódcy.

- No, to ściągnijcie go tu piorunem. Musimy wypływać.

\*\*\*

Podróż na Samar upłynęła bez przeszkód. Wiosłując kilkaset metrów wzdłuż wybrzeża, zespół dopłynął do plaży w żądanym miejscu i około południa wylądował na brzegu. Tak jak było umówione, Bill Blaise zawiadomił przez radio o ich pomyślnym dotarciu, mówiąc „Rudy jeden” na co ze strony Bradshawa padło lakoniczne „Przyjąłem”.

Sumner zostawił jednego zwiadowcę, aby pilnował pontonu, a z resztą oraz z pilotem

ruszył w głąb wyspy. Teren był na ogół otwarty, pokryty polami uprawnymi, ale ani śladu ludzi, czy to Filipińczyków, czy Japończyków. Uszli może niecały kilometr, gdy zobaczyli samolot tkwiący między palmami kokosowymi, koło budynku szkoły. Jak się okazało, pilotowi udało się wylądować i nie złamać przy tym żadnej palmy.

- Jezu Chryste - westchnął pilot. - Kiedy lądowałem, były smoliste ciemności. Nie widziałem ani tych pieprzonych drzew, ani szkoły.

- Ma pan cholerne szczęście, sierzancie - stwierdził Sumner.

Kolejny kwadrans zwiadowcy spędzili, obserwując samolot, czy nie zastawiono tam jakiejś pułapki, ale słychać było tylko brzęczenie owadów i leniwy szum liści palmowych poruszanych wiejącym od morza wietrzykiem. Poszli więc naprzód. Kiedy dotarli do samolotu, Sumner rozstawił kilkadziesiąt metrów od maszyny ludzi na czatach, a on wraz z pilotem i z jednym ze zwiadowców ruszyli szukać miejsca, w którym została zakopana torba z notatnikiem. Po kilku nieudanych próbach udało się natrafić na torbę.

- Nie miałem pojęcia, że byłem tak blisko plaży - powiedział pilot, widząc, że ocean jest zaledwie kilkaset metrów dalej.

Torba była nienaruszona. Wrócili do samolotu. Pilot odkręcił kilka ważnych części silnika, co czyniło maszynę nieprzydatną dla wroga. Sumner w tym czasie polecił przeszukać szkołę oraz pobliskie domy. Znaleźli plik japońskich dokumentów wojskowych, w tym stwierdzające, że tu zatrzymywały się barki płynące wzdłuż brzegu wyspy w drodze na Leyte czy Mindanao.

Znaleziono też trochę rzeczy osobistych, przeważnie mundurów i wyposażenia. Zwiadowcy zabrali kilka cienkich koców wykonanych z mieszanki wełny i jedwabiu, które okazały się bardzo ciepłe, lekkie i praktycznie nie do zdarcia, tak że używano ich aż do końca wojny.

Sumner był zadowolony z wyników poszukiwań. Kazał Blaiseowi zawiadomić kuter, gdzie znajduje się ponton i zwiadowca, którego tam zostawił, po czym dołączyli do kolegi i o piętnastej byli z powrotem.

Cała misja trwała tylko trzy godziny.

\*\*\*

Pod koniec października amerykańskie działania na Leyte pokrzyżowała okropna pogoda, w tym także wielki tajfun, który przysporzył marynarce wojennej olbrzymich problemów w realizowaniu dostaw zarówno jeśli chodzi o sprzęt, jak i ludzi mających wspomagać inwazję. Złe drogi i trudny teren tylko zwielokrotniały te kłopoty. Japończycy, chcąc powstrzymać Amerykanów, umacniali garnizon na Leyte z zamiarem przypuszczenia

wielkiej kontrofensywy. Dowództwo 6. Armii dzięki informacjom otrzymywanym od partyzantów doskonale zdawało sobie sprawę z planów wroga i wiedziało, że koniecznie trzeba wyeliminować zagrożenie z Leyte. Kluczem do tego była położona na zachodnim wybrzeżu wyspy zatoka Ormoc, gdzie znajdowała się główna japońska baza zaopatrzeniowa. Konieczne było skoordynowanie działań z filipińską partyzantką, jak również dostarczenie jej broni i amunicji. Zapadła decyzja, że z partyzantami będą współpracować Zwiadowcy Alamo, i w tym celu wezwano Boba Sumnera.

Piątego listopada, zaledwie osiem dni od wyprawy po notatnik z tajnymi danymi, Sumner wraz z zespołem znowu płynął nocą na pokładzie kutra torpedowego, tym razem do Palompanu. Jednak wkrótce po wypłynięciu PT został wezwany do Tanuanu po dalsze rozkazy.

- Odwołał się misję - powiedział Sumnerowi podpułkownik Frank Rowalle z wywiadu 6. Armii, który wsiadł na kuter następnego ranka, aby spotkać się z Sumnerem - bo znaczne siły żółtków wylądowały poprzedniej nocy w Palompanie i całe miasto jest w rękach wroga. Tamtejsi partyzanci wycofali się do dżungli, a cywile znajdują się teraz w jeszcze większym niebezpieczeństwie.

Rowalle rozłożył mapę.

- Oto, co wobec tego zrobimy. Rudy, słuchaj. Wyjeżdżacie jutro w nocy. W towarzystwie dwóch PT, które będą was dodatkowo chronić, udacie się na północ, okrążając Leyte, i wylądujecie w Abijao, jakieś pięćdziesiąt kilometrów od celu. Tam będą już na was czekać partyzanci pod wodzą majora Nazareno. Waszym hasłem w Abijao, tak jak zwykle, będzie twój przydomek „Rudy”, który ci pokażą znakami świetlnymi alfabetem Morse’a. Ty nic nie odpowiesz. Nie chcemy, żeby Japońce spostrzegły twoje sygnały świetlne. Po prostu podpłyniesz do brzegu. Jeśli nie uda ci się nawiązać kontaktu, czekaj, aż zabiorą cię o tej samej porze kolejnej albo jeszcze następnej nocy. Weźmiecie ze sobą trochę amunicji i broni - partyzantom brakuje i tego, i tego. Jeśli potrzeba więcej, możemy załatwić zrzuty. Oczywiście wy monitorujecie wszelkie ruchy żółtków tak na lądzie, jak i na morzu. Plan jest taki, żebyście siedzieli w dżungli co najmniej przez kilka tygodni, więc wyposażcie się odpowiednio.

Kuter wylądowany dwiema tonami broni i amunicji plus składająca się z trzech Filipińczyków ekipa radiooperatorów ze sprzętem dla filipińskiego wywiadu partyzanckiego wypłynął z zatoki Tacloban i wieczorem, aby uniknąć japońskich nalotów, przeciął cieśninę San Juanito pomiędzy wyspami Leyte i Samar. W drodze kapitan kutra otrzymał przez radio wiadomość, że mające mu towarzyszyć dwie jednostki zostały wysłane gdzie indziej.

- Cholera - zaklął, rozłączywszy się. - Nie podoba mi się to, ale skłonny jestem płynąć dalej. Jak pan uważa, poruczniku?

- Mamy od cholery gówna do wyładowania i zapewne zostaniemy schwytani, ale nic na to nie poradzę. Płyńmy - odparł Sumner.

Na czarnych wodach cieśniny radar kutra namierzył coś, co ewidentnie wyglądało na japoński niszczyciel. Napięcie było ogromne, ludzie na stanowiskach ogniowych, zarówno przy działkach jak i wyrzutniach torpedowych, aż tu nagle kapitan przyniósł starą mapę z 1925 roku, z której wynikało, że ten „niszczyciel” to po prostu wielka skała.

- Alarm odwołany - zarządził kapitan i ze wszystkich stron dało się słyszeć westchnienie ulgi.

Okrążając północny koniuszek Leyte i wpływając na wody zatoki Carigara, kapitan zlokalizował Abijao. Włączył urządzenie tłumiące pracę silników i skierował kuter w stronę ciemniejszej linii wybrzeża. Nerwy wszystkich były napięte do granic wytrzymałości. I wtedy spostrzeżono światło. Sygnał nadany alfabetem Morse’a brzmiał: „Rudy”.

Płynęli wolno w stronę brzegu, bo każdy zdawał sobie sprawę, że wszędzie mogą czaić się zasadzki, a wszystkie karabiny były skierowane w stronę ściany dżungli. Nagle tu i tam pojawiły się światła. W miarę, jak podpływali, zobaczyli domy oraz ludzi. Kiedy PT zbliżył się do plaży, Sumner rozkazał Renholsowi nadać sygnał „Zwiadowcy na brzegu”. Z łądu rozległy się okrzyki radości. Partyzanci utworzyli kordon, a Sumner poprosił kapitana, aby tak podpłynął, by jak najłatwiej było wyładować przywiezione dostawy. Nadmuchano ponton. Już zamierzano opuścić go na wodę, gdy nagle kuter drgnął tak gwałtownie, że sierżant Lawrence Coleman wypadł za burtę. Koledzy szybko go wyciągnęli, ale niestety śruba fatalnie rozcięła mu prawą rękę. Wystarczył rzut oka na ranę i wiadomo było, że Coleman powinien wracać.

- Muszę odesłać go do naszego szpitala w bazie - powiedział Sumner do kapitana. - Jeśli tego nie zrobię, może stracić kciuk, a i tak chyba na tym się skończy.

Partyzanci byli tak uradowani, że gdy ponton podpłynął do plaży, chwycili Sumnera i wynieśli na plażę, a potem przedstawili majorowi Jose Nazareno, dowódcy 2. batalionu 96. pułku piechoty na Leyte.

- Tak się cieszymy, że przyjechaliście. Przywieźliście nam broń, co? - mówił Nazareno. Był wysoki jak na Filipińczyka miał aż. sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu.

- Tak, przywiozłem. Pomóżcie nam ją wyładować - odparł Sumner.

Nazareno natychmiast rozkazał, aby dwa wielkie czółna, tak zwane *baratos*, podpłynęły do kutra. Jednym z nich podpłynął też Sumner. Partyzanci przekazali

Amerykanom dwóch jeńców. Japończycy, co było całkowicie sprzeczne z ich kodeksem Bushido, wcale nie mieli zamiaru uciekać.

- Para realistów - szepnął Sumner do Blaise'a.

Rozładunek zajął trzy kwadranse i przez cały ten czas młody kapitan się denerwował. Chciał wrócić do bazy za dnia. Niedługo po pierwszej wszystko było wyładowane. Sumner sprawdził jeszcze, jak się miewa Coleman, który przyciskając do siebie obandażowaną rękę, zdawał się być w stanie lekkiego szoku. Nie chciał wracać, bo nie chciał opuszczać swojego zespołu na czas realizacji zadania.

- Nie możemy odpowiednio o ciebie dbać. Według mnie jedną ręką sobie nie poradzisz, a poza tym bez pomocy lekarskiej możesz stracić kciuk, a wtedy ja stracę ciebie na zawsze. Ty mi jesteś potrzebny zdrowy, więc wracasz - powiedział mu Sumner.

Coleman potulnie pokiwał głową.

\*\*\*

Jednak zwiadowcy absolutnie nie byli przygotowani na to, co zobaczyli w wiosce Abijao. Na ulicy wśród radosnych okrzyków balowało ponad dwieście osób. Częstowano lokalnymi potrawami i winem, a miejscowi grajkowie wygrywali na akordeonie, skrzypcach oraz rogach różne melodie, zarówno filipińskie, jak i amerykańskie, przy których tańczono. Co krok ktoś przemawiał.

Na każdej z prowadzących do wsi dróg partyzanci wystawili strażę, mające ostrzec w razie nagłego japońskiego ataku.

Siódmego listopada zwiadowcy przenieśli się do San Isidoro. Sumner zainstalował we wsi radiostację i polecił Schermerhornowi i Jonesowi, aby pilnowali łączności i koordynowali zrzuty dostaw. Drugą radiostację zwiadowcy mieli zabrać ze sobą. Następnego dnia zespół Sumnera, pomniejszony o Schermerhorna i Jonesa, wyruszył wraz z partyzantami w głąb wyspy, ku głównemu pasmu górskiemu, którego postrzępione szczyty wznosiły się na wysokość tysiąca dwustu metrów i spadały w dół ku żyznej dolinie Ormoc.

W asyście partyzantów i miejscowej Gwardii Ochotniczej Sumner najpierw udał się do niewielkiego miasteczka Matag. Zwiadowców zaprowadzono na drugie piętro największej w mieście *bodega*, czyli domu. Tam czekały już na nich niskie łóżka z materacami uplecionymi z rattanu. Spanie na nich Sumner nazwał po latach „szczególną formą tortury”.

Gospodarze już mieli wychodzić, aby pozwolić zwiadowcom odpocząć, gdy jeden młody Filipińczyk, może dwudziestoletni, podszedł do Sumnera i powiedział mu, jak bardzo się cieszą, „że biali wreszcie wrócili. Nawet nie wiecie, co wyprawiali z nami Japończycy. Dziękuję, żeście wrócili”.

To bardzo wzruszyło Sumnera.

Spali może ze trzy godziny, gdy obudził ich dźwięk rogu.

- Czas na siusiu - oznajmił filipiński partyzant.

Śniadanie składało się z kurczaka i z kaczych jaj usmażonych na oleju z orzecha kokosowego, smażonych bakłażanów, kotletów schabowych, ryżu gotowanego na parze i wyhodowanej na tutejszych polach kawy. Było obfite i okazało się zbyt ciężkostrawne dla systemów trawiennych ludzi nieprzyzwyczajonych do takiej kuchni.

Po śniadaniu zwiadowcy otworzyli skrzynie z bronią i rozdali karabinki i Mł wraz z amunicją partyzantom z dwóch kompanii, które były najslabiej uzbrojone. Sumner zauważył, że tym ludziom bardzo przydałoby się także ubranie i buty, bo ich odzież składała się z jakiejś mieszanki strojów cywilnych - miejscowych i amerykańskich, oraz tego, co udało im się zdobyć na Japończykach. Skarpety były luksusem. Na głowie noszono albo słomkowe kapelusze, albo amerykańskie hełmy, takie jakie się nosi w tropiku, albo wojskowe czapki, przy czym te ostatnie mieli na ogół filipińscy zwiadowcy, którzy przeszli profesjonalne szkolenie. Japońskich hełmów nikt nie nosił z obawy przed omyłkowym postrzeleniem przez kolegów.

Wyruszyli do Matagu, miasteczka położonego u podnóża łańcucha górskiego na Leyte. Po drodze zwiadowców nie spotkały żadne przygody. W każdej wiosce członkowie Gwardii Ochotniczej zmieniali się, przejmując od siebie nawzajem obowiązek niesienia dostaw otrzymanych od Amerykanów. Na każdym z takich przystanków Sumner był przedstawiany miejscowemu wodzowi, czyli *tente*. Wódz był bądź wybierany, bądź mianowany, albo też piastował ten urząd dziedzicznie. Kontrolował każdą dziedzinę życia wioski, a jego słowo było prawem.

Wszędzie tubylcy podejmowali przybyszów świeżą wodą, owocami, kwiatami, kurczętami i jajkami i tak długo zapraszali do jedzenia, aż zwiadowcy nie mogli już nic więcej przełknąć. Zagadywano ich też oraz komentowano, bardziej z ciekawości niż z wścibstwa, ich wzrost, skórę, kolor włosów, a szczególnie czerwonaworude włosy Sumnera.

Około szesnastej zwiadowcy dotarli do Matagu i założyli tam posterunek. Tego wieczoru również podejmowano ich wspaniałą ucztą i muzyką, a partyzanci rozstawili warty, które dostrzegłyby wroga na wiele kilometrów.

W czasie przyjęcia Sumner usiadł obok Nazarena.

- Ma pan doskonale zdyscyplinowanych ludzi, majorze - powiedział Sumner.

- *Si* - odparł Nazareno - ale potrzebujemy więcej broni i innego wyposażenia, żeby zabić więcej Japońców.

- Proszę zrobić listę tego, czego pan potrzebuje, a ja załatwię zrzut - obiecał Sumner. - Czy jest tu jakieś miejsce, gdzie można by dokonać zrzutu, a równocześnie by nie naraziło to na szwank pańskich operacji?

Nazareno pomyślał, a potem oznajmił:

- Myślę że w Mas-in byłoby dobrze. To po drodze.

Sumner zgodził się i jeszcze tego wieczoru wysłał poufną wiadomość dla „pułkownika Rowalle’a” z listą zamówień, jeśli chodzi o broń, amunicję oraz ubrania dla dwustu ludzi. Zrzut miał nastąpić w ciągu czterdziestu ośmiu godzin.

Konieczność posiadania przez partyzantów broni automatycznej uwidoczniła się następnego dnia, gdy nieopodal wioski Picoy wdali się w strzelaninę z japońskim patrolem. Oprócz tego, że wróg dysponował większą ilością broni, to jeszcze na dodatek Filipińczycy, nie nauczeni, jak należy walczyć, zużyli dwa razy więcej amunicji, niż powinni.

Dalsza podróż opóźniła się z powodu gwałtownej tropikalnej burzy, która zmusiła całą grupę do szukania jakiegokolwiek schronienia przed ulewnym deszczem. Burza przeszła równie nagle, jak się pojawiła i można było kontynuować marsz. Na moście niedaleko od Sabang-Boa partyzanci natknęli się na japoński patrol. Wywiązała się zacięta strzelanina, przy równie zaciętych krzykach z obu stron, ale skończyła się równie szybko jak burza, która złapała ich w drodze, bez żadnych strat po obu stronach. Jednak teraz wróg już wiedział o obecności Amerykanów, a co gorsza popsuło się radio i jego naprawa zajęła sporo czasu.

Przybywszy do Mas-in, partyzanci zaczęli oczyszczać z zarośli miejsce zrzutu, formując wokół niego sterty gałęzi i ściętych krzaków, aby w razie potrzeby je podpalić. Trzy C-47 nadleciały tak jak zostało ustalone, o czternastej, a Sumner naprowadził je, podpalając chaszcze. Samoloty przeleciały dwukrotnie nad dymiącym trójkątem i zrzuciły trzydzieści sześć wielkich paczek, które spadały na wielkich czerwono-białych spadochronach. Filipińczycy niecierpliwie odpakowywali paki, oczy zaświeciły się im na widok garandów, karabinków, BAR-ów, amunicji, ubrań, benzyny, kawy, papierosów i paczek z magazynami „Star and Stripes” oraz „Life”. Szybko uprzątnięto strefę zrzutu i kolumna wkrótce maszerowała wzdłuż doliny graniczącej z Puerto Pueblo, skąd dało się obserwować Japończyków w zatoce Ormoc.

Kilka kolejnych dni Sumner spędził w okolicy Mas-in, zakładając stację radiową i organizując jednostkę wywiadowczą, składającą się z dwudziestu jeden osób - partyzantów i miejscowej policji.

Sumner nakazał Blaiseowi pozostać przy radiostacji i utrzymywać łączność z Schermerhornem, a resztę poprowadził do Puerto Bello.





*Zrzut zaopatrzenia z pokładu C-47*

Byli tam dwa dni, po czym Sumner posłał gońca do Blaise'a z instrukcją, aby przybył tu wraz z radiem.

O dziwo, Japończycy nie wysłali patroli, aby znalazły Sumnera i jego ludzi, choć Amerykanom wydawało się, że nieprzyjaciel o nich wie, bo zrzutu dokonano w biały dzień. Sumner mógł tylko przypuszczać, że japoński dowódca na Ormoc nie chciał ryzykować życiem swoich ludzi, gdyż nadzieja na znalezienie zwiadowców była nikła.

Jednak zawsze istniało ryzyko, że ktoś może zdradzić.

- Są w Puerto Bello ludzie, których podejrzewamy, że są *makapili*, to znaczy że współpracują z Japończykami - zdradził Sumnerowi jeden z oficerów wywiadu u Nazarena. - Obserwujemy ich.

- Ja tam całkowicie ufam waszym ludziom - odpowiedział mu Sumner.

\*\*\*

Po kilku bitwach morskich u wybrzeży Leyte i Samar Japończycy - zarówno żołnierze, jak i marynarze z zatopionych okrętów - przybywali i poddawali się Filipińczykom. Sumner dowiedział się od przybyłych, że część japońskich 1. i 6. Dywizji została przerzucona

z Chin na Leyte i lądowała koło Palompanu.

W Puerto Bello kwaterą główną Sumnera był nieduży (cztery na sześć metrów) zbudowany z bambusa, kryty liśćmi palmowymi domek na palach, z niewielką werandą, stojący na zboczu wzgórza. Zwiadowcy spędzili tam kilka tygodni, penetrując okolicę Ormoc i „pokazując amerykańską flagę, gdy było trzeba”, wspominał Sumner po latach.

Mniej więcej po dwóch tygodniach Japończycy nie mogli już dłużej znieść obecności Amerykanów i dosłownie dziesięć kilometrów od Puerto Bello wylądowali japońscy żołnierze. Teraz jeszcze częściej dochodziło do walk z partyzantami. Wycofując się do Masin, aby uniknąć spotkania z Japończykami, partyzanci zwiadowcy zawiadomili Sumnera, że z obu stron ma nieprzyjacielskie wojska i to w odległości niespełna półtora kilometra.

- Japończycy próbują nas zdusić - oznajmił Sumner swoim ludziom - a na dodatek wiem, że monitorują to, co nadajemy przez radio, a być może nawet rozszyfrowują.

- Myślę, że się przeniesiemy i to szybko - stwierdził Blaise.

- Zgadza się. - Sumner rozłożył mapę. - Ulokujemy się na północnym i na zachodnim zboczu góry Naguang. - Wskazał te miejsca na mapie. - Stamtąd będziemy mogli bezpieczniej nadawać, a w razie gdyby Japończycy chcieli nas zaatakować, będziemy mieli kilka dróg ucieczki.

- Wyślij sygnał do dowództwa 6. Armii - Sumner zwrócił się do porucznika Cabrido, filipińskiego radiooperatora - że przez kilka dni nie będzie z nami łączności i że gdy się już przeniesiemy, to muszą wysłać jeszcze jeden zrzut. Kończy się nam amunicja, leki i racje żywnościowe. Już zbyt długo korzystamy z hojności naszych gospodarzy. Czas im się zrewanżować.

Jeśli chodzi o ten rewanż, to Sumner miał na myśli nie tylko jedzenie, ale i igły do maszyn do szycia. Na wyspie wiele osób miało maszyny do szycia, ale od 1943 roku nie można było kupić do nich igieł, a tym samym i szyć nowych ubrań. Ta dziwna prośba sprawiła, że Mayo Stuntz, dbający o zaopatrzenie Zwiadowców Alamo, musiał się nieźle nabiedzić, ale w końcu, spenetrowawszy kilka magazynów z zaopatrzeniem dla sił lądowych i morskich, udało mu się znaleźć igły najróżniejszych rozmiarów. Dorzucił też coś od siebie: jedwab spadochronowy, z którego można było poszyć ubrania. Tubylcy przeważnie nosili ubranie z szorstkiej abaki, tkaniny z nici pozyskanej z bananowca.

Zrzut nastąpił 18 listopada i to dosłownie w ostatnim momencie. Jak wspominał Sumner, partyzanci mieli jeszcze amunicji tylko na dwudziestominutową walkę.

Zwiadowcy szli na nowe miejsca na górze Naguang, mijając szereg małych wiosek, i w każdej byli podejmowani jak wyzwolicieli. Sumner czuł, że ci ludzie „marzyli o

amerykańskiej obecności i o zakończeniu japońskiej okupacji”. Aż do tej pory miejscową ludność podnosiły na duchu audycje Radia San Francisco. Ryzykowała ona życie, słuchając „Głosu Wolności”, programu informacyjnego nadawanego codziennie za pośrednictwem amerykańskiego Biura Informacji Wojennej. Filipińczycy mieli też prasę podziemną, czyli gazetki pisane na maszynie, a następnie powielane i kolportowane w miarę możliwości. I teraz, w końcu, Amerykanie wrócili.

Jeden z przystanków w drodze na górę Naguang wypadł koło wioski Valencia, osiem kilometrów na zachód od japońskiego lotniska. Tam radio znowu się popsło i wydawało się, że już nie uda się go naprawić. I tu stała się rzecz niewiarygodna. Dzień lub dwa później nad głowami zwiadowców dał się słyszeć warkot japońskiego samolotu i jego pilot, najwidoczniej przez pomyłkę, zrzucił spadochron, do którego przymocowany był wiklinowy kosz. Cały ten pakunek wylądował dokładnie pod nogami Amerykanów. Partyzanci otworzyli go, a Sumnerowi opadła szczęka; w koszu znajdował się japońska radiostacja i para słuchawek.

- Co za cholera? - mruknął i zwrócił się do Blaise'a: - Podarunek od Tojo. Możesz wykorzystać ten prezent i przywrócić ten nasz przeklęty szmelc do stanu używalności?

- Chyba tak - odparł Blaise i wraz z trzema Filipińczykami: porucznikiem Inoconciem F. Cabrido oraz szeregowymi Trinidadem Sisonem i Agapitem Amano zabrali się do roboty. Wkrótce łączność radiowa znów działała.

Mniej więcej po tygodniu radio znowu się popsło i ponownie zostało naprawione dzięki absolutnie już niewiarygodnemu zbiegowi okoliczności - otóż japoński pilot po raz drugi zrzucił radiostację.

\*\*\*

Nowy punkt dowodzenia Sumnera na górze Naguang znajdował się w wiosce Cagdaat. Mieścił się w obszernym, ukrytym wśród drzew domu, na którego tyłach był basen napełniany źródlaną wodą. Jakies trzydzieści metrów od tego domu mieściła się stacja radiowa, umożliwiająca bezpośredni kontakt z dowództwem 6. Armii po drugiej stronie wyspy. Kilometr na północny wschód Filipińczycy wyznaczyli strefę zrzutów. Utworzona przez miejscową ludność siatka wywiadowcza donosiła o ruchach nieprzyjaciela, liczebności i pozycjach wojsk. Partyzanci często atakowali japońskie posterunki i patrole.

Po drodze Sumner zabrał pięciu zestrzelonych amerykańskich pilotów, którzy, dzięki wdzięcznej miejscowej ludności, prowadzili całkiem miłe, leniwe życie. Sumner odesłał ich pod eskortą partyzantów do San Isidoro.

- Chłopaki, czas wracać do pracy - stwierdził, żegnając się z nimi.

\*\*\*

Na początku grudnia, a więc mniej więcej miesiąc od rozpoczęcia misji, Sumner otrzymał drogą radiową doniesienie o dobrze zakamuflowanych japońskich magazynach ukrytych na obrzeżach miasta Ormoc, gdzie podobno znajdowało się mnóstwo żywności oraz amunicji. Dowództwo 6. Armii wydało rozkaz zbombardowania ich z powietrza, ale piloci nie byli w stanie nic dostrzec, wobec tego teraz Sumner i jego zespół otrzymali zadanie zniszczenia tych magazynów. Wobec tego usiadł z Nazarenem i obydwaj zaczęli przygotowywać plan utworzenia specjalnej jednostki spełniającej rolę punktu kontaktowego.

- Ty masz pod swoim dowództwem wielu zwiadowców Filipińczyków - powiedział Sumner do Nazarena. - Ja potrzebuję tylu ludzi, aby utworzyć trzy plutony, każdy składający się z trzech oddziałów. Potrzebuję weteranów, ludzi doświadczonych i zaprawionych w walce.

Nazareno zgodził się z tym i rozesłał informację, że poszukuje takich ludzi. Nie minęło kilka dni, a zaczęli się zgłaszać świetnie wyszkoleni filipińscy zwiadowcy, niektórzy z dwudziestoletnim stażem w armii. Nazareno podzielił ich na oddziały, tak aby w każdym było dziewięć karabinów plus jeden automatyczny: BAR albo maszynowy. Sumner planował wziąć też ze sobą jeden zdobyty na Japończykach moździerz kaliber 82 milimetry oraz flary, gdyby trzeba było oświetlić teren. Moździerz będzie nieodzowny, w razie gdyby zostali odkryci i zaatakowani i musieli szybko uciekać.

Przed wyruszeniem Sumner poprosił o jeszcze jeden zrzut, ale tym razem zamówił nie tylko amunicję niewielkiego kalibru, ale i granaty zapalające i ćwierćfuntowe kostki trotylu.

Po jedno- lub dwudniowych ćwiczeniach, mających na celu zgranie się zespołu Sumnera z nowo przybyłymi tworzącymi sformowane ad hoc oddziały, wszyscy wyruszyli w kierunku miasta Ormoc. Dotarli tam we wczesnych godzinach wieczornych i ukryli się w krzakach, czekając, aż się ściemni. Sumner znał z planów tę część miasta, toteż gdy reszta się przygotowywała, on wybrał się na rekonesans i znalazł trzy doskonale zakamuflowane magazyny; zaraz rozkazał najlepszym z filipińskich zwiadowców podczołgać się do tych budynków jak najbliżej, dosłownie na odległość kilku metrów, aby zobaczyli, jakiej są wielkości, ilu Japończyków ich pilnuje, jaka jest odległość od krzaków do drzwi oraz pomiędzy poszczególnymi budynkami i szalasek wartowników.

Czekając na zapadnięcie nocy, Sumner zwołał swoich ludzi (Renholsa, Weilanda, Blaise'a i Jonesa, który dołączył do nich z Abijao) oraz trzech dowódców plutonów na odprawę.

- Trzeci pluton zapewni nam wsparcie ogniowe - oznajmił i zwrócił się do jego dowódcy: - Utwórzcie linię dwieście metrów od głównej bramy. Postaw dwóch, ale nie

wchodźcie. Ja z plutonem jeden i dwa wchodzę na teren. Jest tam oddział Japończyków, ale wartę pełni tylko trzech lub czterech. Zdejmujemy ich szybko i cicho. Absolutnie, pod żadnym pozorem, nikomu nie wolno oddać strzału. Powiadomcie o tym swoich ludzi. Jeśli ktoś strzeli, przerywamy wszystko, wycofujemy się, a trzeci pluton nas osłania. Jasne? - Wszyscy skinęli głowami. - Okej. To wyruszamy o dwudziestej drugiej.

\*\*\*

O dziesiątej wieczorem, tak jak to zostało zaplanowane, Filipińczycy, z nożami w ręku, wślizgnęli się na teren magazynów i szybko załatwili japońskich strażników. Tych w wartowni nie ruszali, ale jeden oddział filipińskich zwiadowców pozostał w pobliżu na zewnątrz i w razie gdyby Japończycy w szalście coś zauważyli, miał się nimi zająć.

Po zabiciu strażników plutony rozdzieliły się i każdy wszedł do innego magazynu. W budynku o powierzchni dziewięć na osiemnaście metrów Sumner w nikłym czerwonym świetle latarki znalazł miejsce pełne pięćdziesięciokilogramowych worków z ryżem i skrzyń z konserwami, ustawionych jedna na drugiej na wysokość dwóch i pół metra. Zwiadowcy szybko podkładali kostki trotylu, wpychając je za skrzynie. Sumner wiedział, że jego ludzie robią to samo w innych budynkach. Kiedy wszystkie kostki trotylu zostały już umieszczone, podpalono lonty.

- Uciekajmy - powiedział Sumner głośnym szeptem i wysłał jednego z towarzyszy, aby kazał pilnującym szalasu wartownikom uciekać także. Było piętnaście po dziesiątej, a więc cała operacja zajęła dokładnie kwadrans. Teraz mieli cztery minuty na ucieczkę. Upewniwszy się, że wszyscy są, Sumner wyznaczył jeden oddział do pilnowania tyłów i ruszyli w stronę wzgórz. Byli już czterysta metrów od magazynów, kiedy zatrzymali się, aby popatrzeć na swoje dzieło. A było na co. Chwilę później seria wybuchów rozdarła nocną ciszę, magazyny rozpadły się w drobny mak, a płomienie zajęły też siatkę maskującą, pod którą ukryte były budynki. A potem nastąpiła kolejna, jeszcze większa eksplozja, gdy wybuchły beczki z paliwem, wyrzucając na dziesiątki metrów w górę słupy ognia.

Po niej nastąpiła cała seria wybuchów, w miarę jak ogień obejmował coraz to nowe beczki z paliwem i z amunicją, a Sumner miał wrażenie, że w tym blasku płomieni zarówno on sam, jak i jego ludzie stoją nadszy i wystawieni na ostrzał „każdego żółtka, jaki tylko znajdował się na Leyte”.

- Wynośmy się stąd, do cholery - krzyknął i wszyscy popędzili, by schronić się w bezpiecznej gęstwinie dżungli.

Nie trzeba było długo czekać na pościg. Z tyłu dobiegły ich gniewne wrzaski i odgłosy strzałów kierowanych w stronę ściany lasu. Sumner wiedział, że Japończycy ich nie

widzą i że te strzały są kompletnie na oślep, a przez to tym bardziej niebezpieczne. Pomimo gorączkowej pogoni ludziom Sumnera i Filipińczykom udało się wyslizgnąć i około czwartej nad ranem powrócić bezpiecznie do kryjówki.

Jednak mieszkańcy tamtych terenów zapłacili za to wysoką cenę. Japończycy pod groźbą odwetu wezwali ich, jak również działających na tym terenie partyzantów, a nawet grupy bandytów, do wydania sprawców tego czynu. Mieszkańcy okolicznych wiosek byli torturowani, gdyż nie chcieli uczestniczyć w poszukiwaniu Amerykanów.



*Myśliwce Republic P-47 Thunderbolt*

Wielu ludzi związywano, a następnie ćwiczone się w sztuce posługiwania bagnetem, a jednego człowieka obdarto żywcem ze skóry, ale nikt nie wydał Sumnera i jego ludzi.

\*\*\*

Siódmego grudnia 1944 roku o szóstej rano Sumner otrzymał przez radio wiadomość od dowództwa 6. Armii, że o siódmej 77. Dywizja Piechoty będzie lądować w Ormoc; wobec tego szybko zebrał swoich ludzi i przenieśli się w miejsce, z którego mogliby wszystko doskonale widzieć. I rzeczywiście udało im się znaleźć punkt widokowy niczym najlepsza łoża w teatrze.

Tego samego ranka przybył japoński konwój i przywiózł pięć tysięcy żołnierzy piechoty. Równoczesne przybycie wrogich sobie wojsk w to samo miejsce doprowadziło do spektakularnego starcia. Nad głowami unosił się ryk amerykańskich i japońskich samolotów.

Pięćdziesiąt sześć myśliwców P-47 Thunderbolt bombardowało japońską flotę. Samoloty pikowały w dół, okręty nieprzyjacielskie wybuchały i stawały w płomieniach, wiele z nich przewracało się na bok lub w pozycji niemal pionowej powoli zanurzało i znikało pod wodą. Amerykańskie okręty również ucierpiały: dwa niszczyciele zatonęły po ataku kamikadze. W końcu Japończycy wycofali się, lecz stracili większość okrętów i dwie trzecie bombowców.



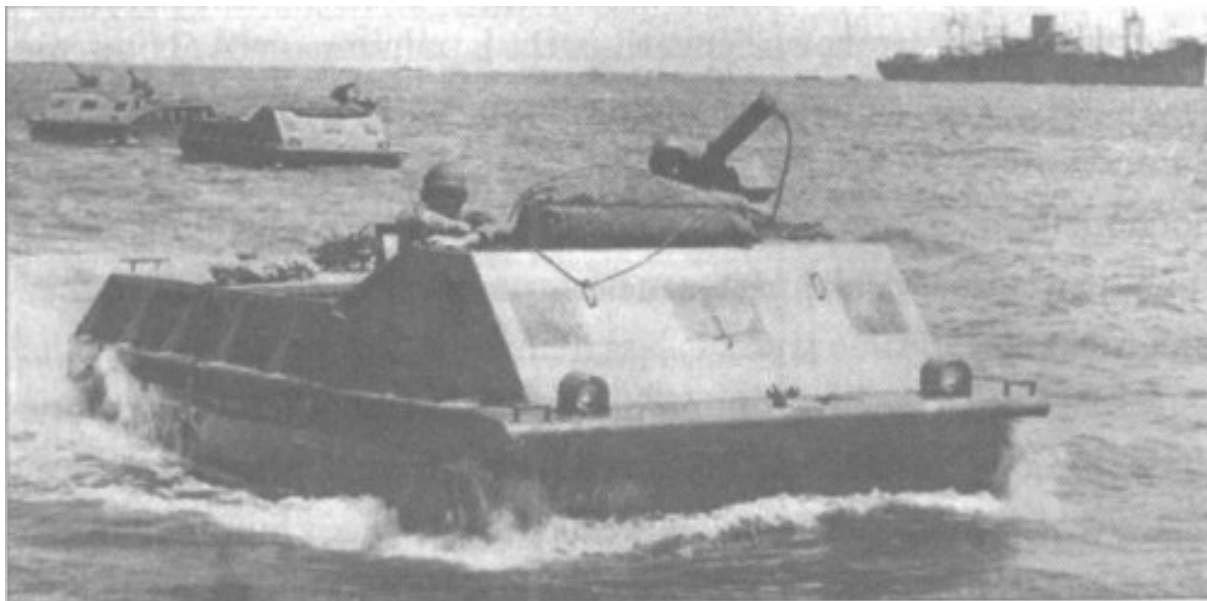
*Łodzie Higginsa (LCVP) zmierzające w kierunku plaż wyspy Luzon*

Zwiadowcy obserwowali, jak olbrzymie morskie działa ostrzeliwały miejsce przyszłego desantu, rozrywając dżunglę oraz japońską obronę. Bombardowanie poprzedzające desant było krótkie, a teraz łodzie Higginsa<sup>36</sup> oraz amtraki<sup>37</sup> niczym wielkie żuki parły do przodu i wpełzały na plażę. Wysypali się z nich żołnierze: zaprawieni w walkach weterani z 77. Dywizji, którzy swój chrzest bojowy przeszli na Guamie i Tinianie.

---

<sup>36</sup> Łódź Higginsa - łódź desantowa używana przez aliantów na wszystkich frontach II wojny światowej. Znana również pod oznaczeniem LCVP - Landing Craft, Vehicle, Personnel (przyp. JB).

<sup>37</sup> Amtrak - gąsienicowy pojazd amfibijny (ang. *amtrac*, *amphtrac* - od *amphibious tractor*) należący do rodziny amerykańskich pływających transporterów gąsienicowych, używanych w czasie II wojny światowej do celów desantowych. Amtrak powstał na bazie elementów podwozia czołgu M3 i z początku nie miał przeznaczenia bojowego. Pierwsze amtraki zaprojektowano do celów cywilnych. Jednak na początku wojny, gdy stało się oczywiste, że wojska amerykańskie będą musiały podejmować operacje desantowe na wyspach Pacyfiku, zaistniała konieczność zaadaptowania cywilnego projektu do celów wojskowych. W ten sposób doszło do skonstruowania pojazdów LVT-1, -2, -3 i -4 (ang. Landing Vehicle, Tracked) z silnikiem benzynowym Continental W970 o mocy 250 KM pozwalającym na osiągnięcie prędkości na lądzie 32 km/h i w wodzie 12 km/h. LVT ważyły około 11 (z ładunkiem do 13) ton, a ich rozmiary wynosiły 7,97x3,25x2,5 m. Zasięg 160 km. Uzbrojenie w wersji LVT-4 - karabiny maszynowe kaliber 12,7 mm i 7,62 mm. W późniejszych wersjach pojawiały się armaty 37 mm, a nawet 75 mm. Do zakończenia działań wojennych na Pacyfiku wyprodukowano ponad 14 tysięcy amtraków (przyp. JB).



*Amtraki zmierzające ku plaży*

Skoro Amerykanie zajęli ich bazę zaopatrzeniową, Japończykom nie pozostało nic innego, jak się wycofać, szybko jednak ochłonęli i przez kilka kolejnych dni przypuszczali zaciekle ataki. Dziesiątego grudnia, po zagorzalej walce, Amerykanie zajęli miasto Ormoc. Jeszcze przez pewien czas unosił się nad nim słup dymu, a powietrze było szare od cementowego pyłu z budynków rozwalających się wskutek artyleryjskiego ostrzału.

Zespół Sumnera otrzymał rozkaz udzielenia pomocy amerykańskim wojskom, to znaczy skontaktowania ich z partyzantami, którzy dokonywaliby rozpoznania w terenie oraz strzegli zrzutów.

Inwazja przysporzyła Sumnerowi nowych problemów. 77. Dywizja wyparła Japończyków z południa Leyte, a 1. Dywizja Kawalerii, która od czasu październikowej inwazji parła z północy, sprawiła, że nieprzyjaciel zaczął się wycofywać na teren, na którym działał zespół Sumnera. Coraz częściej, niekiedy nawet trzy-cztery razy dziennie, dochodziło do potyczek wroga z oddziałami partyzanckimi, ale zarówno zwiadowcy, jak i partyzanci utrzymywali Japończyków w bezpiecznej odległości.

Mniej więcej dziesięć dni po desancie 77. Dywizji, Sumner dostał drogą radiową wiadomość od dowódcy tej dywizji, generała Andrew D. Bruce'a. Generał jak najszybciej chciał się spotkać z Sumnerem. Wobec tego Sumner zabrał ze sobą swój zespół i pluton złożony z partyzantów i pojechał na miejsce spotkania. Przybył tam następnego dnia.

Zwiadowcy ze swoimi pomalowanymi twarzami, ubrani w kamuflaż, w płóciennych czapkach i z karabinkami M1A1 wywołali zdziwienie, i to nie tylko żołnierzy z 77. Dywizji, ale i ich dowódcy, który zaczął przepytwać Sumnera.



- Co wy tu robicie?

- Monitorujemy, współpracując z miejscową partyzantką, ruchy japońskich wojsk oraz barek - odparł Sumner.

- A jak długo już tu jesteście?

- Około sześciu tygodni, sir.

- Czy byliście na Bataanie albo Corregidorze?

- Nie, sir. Jesteśmy Zwiadowcami Alamo, podlegamy generałowi Kruegerowi - wyjaśniał Sumner i opowiedział całą historię utworzenia i działania Zwiadowców Alamo. Bruce słuchał z wielkim zainteresowaniem. 77. Dywizja działała przede wszystkim na środkowym Pacyfiku, więc nigdy nie słyszał o Zwiadowcach Alamo.

Następnie generał zaczął wypytywać o plaże i teren wokół Palompanu. Sumner kazał odpowiadać na te pytania jednemu z partyzanckich oficerów wywiadu, który udzielał wyjaśnień, posługując się mapami oraz zdjęciami przyniesionymi przez oficerów ze sztabu Bruce'a. Po półgodzinnej dyskusji Bruce powiedział Sumnerowi, że planuje desant pod Palompanem, a jako datę wyznaczył pierwszy dzień Bożego Narodzenia.

Potem generał podziękował Sumnerowi i zwiadowcy wraz z partyzantami wrócili do swoich zaszytych w głębi gór kryjówek.

W miarę posuwania się naprzód amerykańskich wojsk teren działania Sumnera bardzo się zmniejszył. Partyzanci nieustannie nękali Japończyków, co kończyło się zaciętymi walkami i stratami w ludziach po obu stronach. Stało się jasne, że czas wracać. Ściągnąwszy Renholsa z Abijao, Sumner zawiadomił dowództwo 6. Armii o swojej decyzji.

- Zostaw radio i Filipińczyków, niech będą w kontakcie z 77. Dywizją - brzmiała odpowiedź.

Wróciwszy na tereny zajęte przez Amerykanów, Sumner otrzymał rozkaz skontaktowania się z generałem Johnem R. Hodge'em z 14. Korpusu, który miał umożliwić zwiadowcom powrót do bazy 6. Armii.

Pod ochroną partyzantów zwiadowcy przybyli do wioski Morgen, niedaleko od linii utrzymywanych przez 307. pułk piechoty. Dwudziestego grudnia ostrożnie podeszli do tej linii, ale zostali ostrzelani, więc Sumner natychmiast kazał im się cofnąć. Ostatnia rzecz, o jakiej marzył, to aby któryś z jego ludzi zginął w taki sposób.

W drodze powrotnej do wioski Sumnerowi przyszło do głowy, że być może zostali ostrzelani, bo nie można ich rozpoznać. Tacy brudni i w zniszczonych ubraniach wcale nie wyglądali na amerykańskich żołnierzy. Nawet zawsze bardzo schludny Bill Blaise sprawiał wrażenie, że wszystko się na nim lepi z brudu.

- Doprowadźmy się do porządku - oznajmił zwiadowcom. - Każdy ma się wykąpać, uprać rzeczy, wyczyścić buty i broń, ostrzyc się. Mamy wyglądać jak na paradzie, wejdziemy dumni, z podniesionymi głowami. Wszyscy mają widzieć, że te choroby i przejścia, które nas nękały, to była pestka.

Zespół Sumnera przekroczył granicę amerykańskich linii rankiem 21 grudnia, czterdzieści siedem dni po wyruszeniu na misję. O szóstej wieczorem Sumner zameldował się u generała Hodge'a, przezywanego „Burmistrzem z Ormoc”, który nalegał, aby grupa Sumnera zjadła z nim kolację w namiocie służącym jako mesa dla oficerów. Sumner przyjął to zaproszenie. Rozbawiło go, że Hodge wcale nie jadł żadnych frykasów, ale zwykłe, żołnierskie dania. Sumner nie zdradził mu, że oni sami dzięki gościnności Filipińczyków jadalі znacznie lepiej.

Potem 23 grudnia Sumner poleciał L-5 do obozu ASTC, aby złożyć raport wywiadowi 6. Armii. Zwiadowcy z jego zespołu przybyli następnego dnia i tam dołączył do nich Coleman, którego ręka nadal wymagała leczenia.

Boże Narodzenie 1944 roku to był jeden z rzadkich momentów w całej historii Zwiadowców Alamo. Po raz pierwszy od sierpnia wszystkie zespoły znowu były razem. Zwiadowcy zebrali się w mesie, gdzie czekała na nich wspianała, suta kolacja, podziękowania i gratulacje, że po przeprowadzeniu tylu zadań (w sumie 49) i pomimo tylu niebezpieczeństw wciąż są razem cali i zdrowi.

A teraz czekał Luzon.

# ROZDZIAŁ 12

## „Tylko Bóg może wam pomóc stamtąd się wydostać”

Luzon, styczeń-luty 1945

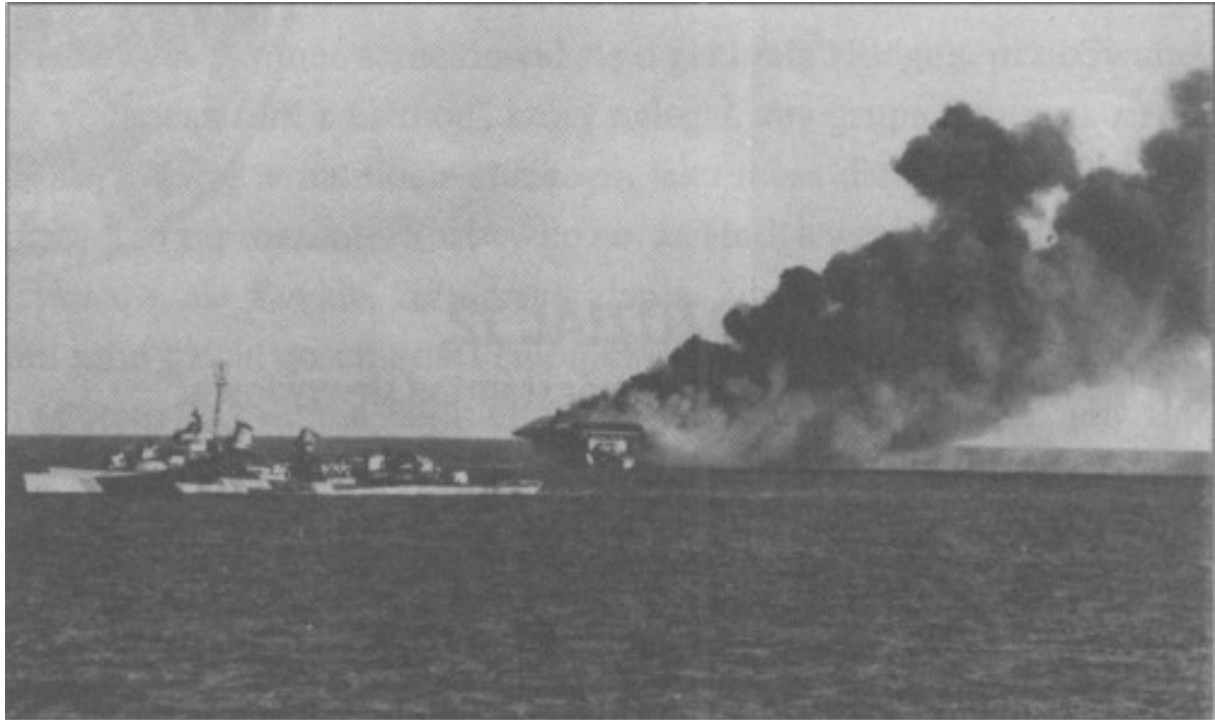
Czwartego stycznia 1945 roku o dziesiątej czterdzieści pięć rano z zatoki San Pedro pomiędzy Leyte i Samar wypłynęło 850 okrętów, stanowiących siłę uderzeniową MacArthura. Wśród nich znajdowały się także tendry, na których pokładzie płynęło kilka zespołów Zwiadowców Alamo. Następnego dnia był piękny i słoneczny, a cała ta flota dotarła już do cieśniny Surigao, po czym wpłynęła na morze Mindanao, zmierzając ku Morzu Południowochińskiemu.

Tak naprawdę inwazja na główną wyspę Filipin, czyli na Luzon, rozpoczęła się 15 grudnia 1944 roku, gdy ku zaskoczeniu nieprzyjaciela Amerykanie wylądowali na wyspie Mindoro, którą od Luzonu oddziela jedynie szeroki na dwanaście kilometrów korytarz, zwany Veroe Island Passage. Garnizon wroga, składający się z tysiąca żołnierzy oraz z dwustu marynarzy ocalałych z zatopionych okrętów, został szybko wyparty i pozostały jedynie pojedyncze punkty oporu, wyeliminowane kompletnie pod koniec stycznia.

Teraz miał się rozegrać główny spektakl, a cała siła inwazji została skierowana na zatokę Lingayen.

Na szczęście dla żołnierzy mających dokonać desantu, płynęli oni trzy dni za grupą okrętów wojennych dowodzoną przez admirała Jesse'a B. Oldendorfa. Te ciężko uzbrojone okręty: dziewięć lotniskowców i kilka pancerników, w tym dwóch weteranów z Pearl Harbor, mianowicie USS „West Virginia” i USS „California”, stały się celem japońskich ataków z powietrza, także kamikadze. Czwartego stycznia jeden z kamikadze rozbił się o lotniskowiec eskortowy USS „Ommaney Bay”, zabijając dziewięćdziesiąt siedem osób i powodując takie zniszczenia, że ten niewielki lotniskowiec zatonął. Następnego dnia amerykańskie i australijskie okręty zostały zaatakowane przez szesnastu kamikadze, a 6 stycznia przez cały dzień z nieba wręcz sypały się desperackie samobójcze ataki. Jeden z nich uszkodził mostek kapitański pancernika USS „New Mexico”, zabijając dwudziestu dziewięciu ludzi, w tym również dowódcę, generała Herberta Lumsdena, osobistego oficera łącznikowego premiera Winstona Churchilla, za którego pośrednictwem kontaktował się on z generałem MacArthurem. Ten dzień był jednym z najgorszych w całej historii marynarki wojennej

Stanów Zjednoczonych - jedenaście okrętów uszkodzonych, trałowiec zatopiony i setki ludzi zabitych.



*Lotniskowiec eskortowy USS „Ommaney Bay” płonie po trafieniu przez kamikadze*

Ósmego stycznia jeden z kamikadze obrał sobie za cel lotniskowiec eskortowy USS „Kitkun Bay”. Płonący zbiornik jego paliwa i eksplozje amunicji uczyniły z tego okrętu pochodnię, ale w jakiś cudowny sposób udało się go uratować.

Tak więc Japończycy cały czas atakowali, ale Amerykanie nie pozostawali im dłużni. Samoloty startujące z lotniskowców, wraz z bombowcami B-25 Mitchell z 5. Armii Lotniczej startującymi z Leyte, a teraz jeszcze z Mindoro, nękały nalotami była amerykańską bazę Clark Field.

Wiele kilometrów za tym piekłem nie atakowani przez nikogo płynęli sobie zwiadowcy.

Łądowanie MacArthura na Mindoro zdumiało Yamashitę, który sądził, że Amerykanie zamierzają polegać głównie na lotnictwie startującym z baz budowanych na Leyte. Yamashita nie miał pojęcia, że olbrzymie ulewy opóźniły budowę tych lotnisk i zmusiły MacArthura do zwrócenia uwagi na Mindoro. Yamashita w odpowiedzi rozkazał wzmoc bombardowania z powietrza oraz ataki kamikadze na rozciągnięty na długości ponad sześćdziesięciu kilometrów konwój amerykańskich okrętów i barek desantowych. Co prawda wiele z tych samolotów, pilotowanych przez niedoświadczonych lotników, nie zdołało przebić się przez ścianę ognia z ostrzału przeciwlotniczego, ale jednak kilku się to udało, a

skutki tego były tragiczne. Wiozący amunicję „John Burke” wyleciał w powietrze i zatonął. Na „Lewis L. Dyché” nastąpiła tak gwałtowna eksplozja, że dosięgnęła i bardzo uszkodziła dwa kutry torpedowe płynące pół kilometra za nim, a deszcz odłamków spadł na inne płynące w konwoju jednostki, powodując wiele zniszczeń i zabijając wielu ludzi.

Yamashita był pragmatykiem. Wiedział, że po upadku Leyte nie ma szans na powstrzymanie lądowania Amerykanów na Luzonie i niewielkie szanse na pokonanie ich, gdy już znajdą się na brzegu. Starając się utrzymać na Leyte, stracił połowę swoich okrętów i tysiące ludzi, a teraz jego flota składała się z dwóch ścigaczy okrętów podwodnych, dziesięciu łodzi patrolowych, dziesięciu miniaturowych okrętów podwodnych i stu osiemdziesięciu jednoosobowych łodzi kamikadze skoncentrowanych w większości w Zatoce Manilskiej. Co gorsza, z jego floty powietrznej pozostało tylko około dwustu samolotów - reszta została zestrzelona lub zniszczona na ziemi, a w chwili amerykańskiej inwazji ta liczba zmalała do kilkudziesięciu.

Wyspa Luzon ma 544 kilometry długości i 208 kilometrów szerokości (w najszerszym miejscu). Do jej obrony Yamashita przeznaczył sześć dywizji piechoty oraz jedną pancerną, czyli około 275 000 żołnierzy. Jednak wielu jego ludzi nie nadawało się do walki na pierwszej linii, wielu z nich było chorych lub rannych, a większość marnie uzbrojona i wyposażona. Wokół Manili było około 16 000 żołnierzy personelu marynarki, w większości marynarzy z okrętów, które w październiku zostały zatopione w zatoce Leyte, a którymi dowodził admirał Sanji Iwabuchi. Jednak z powodu rywalizacji między admirałem a Yamashitą ten ostatni miał niewiele do powiedzenia w sprawach marynarki wojennej.

Nie mogąc zapobiec desantowi Amerykanów, Yamashita zdecydował, że jego żołnierze nie będą bronić plaż, ale rozegrają walkę w głębi wyspy, tak aby Amerykanie musieli okupić krwią każdą piędź ziemi, na której zechcą postawić stopę, i aby jak najdłużej nie pozwolili im na założenie na Luzonie bazy sił powietrznych, z której mogliby zaatakować Japonię. W celu realizacji tych planów podzielił swoje siły na trzy części, nazwane grupą Shobu, Shimbu i Kembu. Pierwsza, główna, składająca się ze 152 000 żołnierzy grupa Shobu została wysłana na północ wyspy, w region górski, z rozkazem związania amerykańskich sił tak długo, jak tylko będzie to możliwe. To także pozwoliłoby Japończykom na sprawowanie kontroli nad jednym z głównych regionów rolniczych wyspy, doliną Cagayan. Yamashita dowodził tą grupą i założył swoją kwaterę główną w miejscowości Baguio, letnim górskim kurorcie położonym na wysokości 1500 metrów.

Drugą grupę, Shimbu, w sile 80 000 żołnierzy, którymi dowodził generał Shizuo Yokoyama, wysłano na południe z zadaniem utrzymania wyżyn na wschód od Manili, a tym

samym kontrolowania zaopatrzenia miasta w wodę. Grupa Kembu, dowodzona przez generała Rikichiego Tsukadę, miała utrzymać góry Caraballo i zachodnią stronę doliny Agno-Pampanga, gdzie znajdowały się były amerykańskie bazy Clark Field i Fort Stotsenburg, jak również przesmyk na południe od półwyspu Bataan. Grupa ta miała utrzymać się tak długo, jak zdoła, po czym wycofać się w góry Zambales i tam walczyć, by zyskać na czasie.



*Lądowanie w zatoce Lingayen*

Yamashita stwierdził, że Manili nie da się obronić, toteż nakazał swoim żołnierzom opuścić ją, z wyjątkiem niewielkiego oddziału, który miał bronić szlaków dostaw oraz wysadzić prowadzące do miasta mosty. Z kolei Iwabuchi doszedł do odmiennych wniosków i nakazał swoim 16 000 żołnierzom utrzymać miasto, w którym wkrótce zapanowały śmierć i zniszczenie.

\*\*\*

Lądowanie, czyli operacja „Mike I” rozpoczęło się 9 stycznia. Chociaż partyzanci

informowali przez radio, że na plaży nie należy spodziewać się oporu Japończyków, to jednak Oldendorf nakazał ostrzał z wielkich dział, który niepotrzebnie zniszczył domy mieszkalne oraz budynki użyteczności publicznej. O dziewiątej trzydzieści rano zeszli na brzeg pierwsi żołnierze (w sumie miało ich być sześćdziesiąt osiem tysięcy) z 6. Armii i przekonali się, że informacje partyzantów się potwierdziły - Japończyków nie było. Następnego dnia wylądowali tam zwiadowcy i założyli obóz nieopodal zdobytego lotniska.

Podobnie jak na Leyte, tak samo i tutaj, na Luzonie powiedziano zwiadowcom, że ich główne zadanie ma polegać na ustanowieniu i utrzymaniu łączności z różnymi ugrupowaniami partyzanckimi. Napływające od nich informacje były często grubo przesadzone - służyły tylko samym partyzantom, na przykład podkreśleniu lub wyeksponowaniu roli któregoś z ich dowódców - a więc wątpliwej wiarygodności. Zwiadowcy założyli także punkty obserwacyjne, aby śledzić drogi i węzły łączności. Uczyli też partyzantów, w jaki sposób zbierać dokładne informacje, czego szukać; przekonywali, że przede wszystkim chodzi o liczebność sił wroga, ich uzbrojenie oraz rodzaj posiadanego wyposażenia.

W terenie zwiadowcy musieli polegać na miejscowej ludności, której często płacili amerykańskimi dolarami lub filipińskimi peso. Jeśli zabrakło banknotów, wypisywali IOU, które 6. Armia honorowała. Niekiedy stosowano też barter, to znaczy w zamian za informację tubylec otrzymywał żywność, ubranie i amunicję.

Zespół pod dowództwem Billa Littlefielda jako pierwszy otrzymał zadanie przeprowadzenia działań rozpoznawczych na Luzonie. Zaplanowano je na dwadzieścia cztery dni, a rozpoczęły się 14 stycznia nieopodal miasta Tarlac koło Manili. Zwiadowcy mieli dokonać rozpoznania terenu na południowy wschód od Tarlac, tam gdzie szosa nr 3 przecina się z szosą nr 13. Przeszli przez amerykańskie linie i zapuścili się daleko na tyły wroga; jak się okazało, byli pierwszymi Amerykanami, oprócz jeńców, których mieszkańcy tam Filipińczycy zobaczyli po trzech latach. Witali ich kwiatami i śpiewem, w tym także hymnem Stanów Zjednoczonych, co bardzo wzruszyło zwiadowców. Napisali nawet list ku czci przybycia zwiadowców, na którym podpisali się wszyscy: mężczyźni na pierwszej stronie, a kobiety na odwrocie kartki.

Filipińczycy zasypywali zwiadowców żywnością, a szczególnie jajkami. Początkowo bardzo się to Amerykanom podobało, ale wkrótce mieli więcej jajek, niż byli w stanie unieść. Littlefield próbował pić je na surowo, ale po rozbiciu jednego i znalezieniu w środku na wpół uformowanego kurczaczka zaprzestano tych kulinarnych eksperymentów.

Zadanie zespołu Littlefielda obejmowało także skontaktowanie się z liczącą trzy

tysiące ludzi grupą partyzancką Marking Guerilla pod dowództwem pułkownika Marcosa V. Agustina i oszacowanie jej przydatności - czy nadaje się do ewentualnego wykorzystania w walce oraz czy można liczyć na jej współpracę z 6. Armią. Littlefield spotkał się z Agustinem, odbył z nim długą rozmowę i był przekonany co do wyszkolenia i zdyscyplinowania tej grupy oraz wiarygodności Agustina jako dowódcy. Przekazał przez radio informację dla dowództwa 6. Armii i wkrótce partyzanci ci walczyli ramię w ramię z żołnierzami 43. Dywizji.

A Littlefield kontynuował swoją misję na południu, w kierunku Manili.

Ponieważ zwiadowcy znajdowali się w sporej odległości od amerykańskich wojsk, toteż wiele ze znajdujących się w okolicy japońskich garnizonów nie miało okazji walczyć. Wielokrotnie zdarzało się, że Littlefield i jego ludzie przemykali się koło nich. Pewnej nocy leżąc cicho w zaroślach, Littlefield z trudem się powstrzymał, aby nie zerwać się, gdy jeden z japońskich żołnierzy podszedł do tego miejsca i zaczął siusiać prosto na niego. Jednak ani drgnął.

Byli już cztery dni w drodze, kiedy pewien serdecznie nastawiony Filipińczyk zaoferował im swoje konie, które, zdaniem Littlefielda, ostatni raz jadły 7 grudnia 1941 roku. Jednak konie nie miały siodeł, a tylko narzucono na nie koce, i po jednym dniu takiej jazdy wewnętrzne strony ud zwiadowców były poobcierane do krwi.

- Dokuczało to nam, jak cholera - wspominał Littlefield po sześćdziesięciu dwóch latach.

Dlatego też jednogłośnie zdecydowano, że lepiej iść pieszo.

Wkrótce Littlefield przekonał się, że te konie stanowiły najmniejszy z kłopotów. Misja dobiegała już końca, kiedy Zeke McConnell dostał ataku ślepej kiszki i nie był w stanie nadążyć za kolegami. Upierał się, aby szli dalej, nie zwracając na niego uwagi, a on będzie posuwać się swoim własnym tempem. Z wielkim ociąganiem Littlefield w końcu się zgodził, ale przydzielił swojemu irokeskiemu przyjacielowi partyzanta, który miał nieść jego broń. Jednak na to znów McConnell nie chciał się zgodzić. Zabrał partyzantowi swoją broń, mówiąc:

- Nie, nie będziesz jej nieść.

Wobec tego partyzant niósł tylko plecak McConnella.

Zwiadowcy poszli naprzód i w końcu dotarli do amerykańskich linii, gdzie, na szczęście, akurat stał ambulans, do którego wsadzano rannych. Littlefield podbiegł do kierowcy:

- Poczekaj tu. Mam bardzo chorego człowieka. Niedługo tu będzie.



Kierowca zdenerwowany, że znajduje się tak blisko linii ostrzału, stwierdził, że nie może czekać.

- Ależ możesz, synu - oświadczył Littlefield.

- Nie mam miejsca. Ambulans jest pełen, a Japońce mogą zaatakować - upierał się kierowca.

- Nigdzie nie pojedziesz, dopóki nie nadejdzie mój człowiek - oznajmił Littlefield i zdenerwowany kierowca czekał. Wreszcie pojawili się McConnell z partyzantem i Littlefield pobiegł im na spotkanie. Pomógł przyjacielowi wsiąść do ambulansu i ten odjechał.

McConnella operowano, ale nawet w szpitalu nie było bezpiecznie. Kiedy leżał tam, dochodząc do zdrowia po zabiegu, Japończycy zaatakowali. Chorym kazano pozostać w łóżkach, podczas gdy dookoła wrzała walka; w końcu marines udało się odeprzeć atak. McConnell nie mógł uleżeć, tak bardzo chciał wziąć udział w bitwie, ale był zbyt słaby, aby wstać.

W szpitalu spotkał dwóch ludzi, jeńców wojennych dopiero co uwolnionych z obozu koło Cabanatuanu. Obydwaj pochodzili, tak jak i McConnell, z Oklahomy, więc dla wszystkich trzech było to „miłe spotkanie”, jak po latach wspominał McConnell.

\*\*\*

W tym samym czasie, gdy zespół Billa Littlefielda szedł na południe, Bill Nellist został wezwany na odprawę. W górach na wschód od zatoki Lingayen i miasta Santo Thomas Japończycy zbudowali pieczarę oraz sieć tuneli wypełnionych zapasami żywności i broni. Całej tej instalacji broniła niezidentyfikowana liczba haubic kaliber 240 milimetrów zainstalowanych na podwoziach kołowych, dzięki czemu można je było przeciągnąć przez zamaskowane wejście i ukryć w grotcie wykutej w zboczu góry, a wówczas amerykańscy piloci nie byli w stanie ich wypatrzeć. Na dodatek haubice te pozwalały Japończykom ostrzeliwać cele położone w różnych miejscach.

Na odprawie, na którą wezwano Nellista, stawiło się siedem osób, a prowadził ją osobiście generał Krueger.

- Przez te cholerne haubice nasze wojska nie mogą przedostać się przez Rosario Road - powiedział Krueger. - Bill, musicie zlokalizować i określić dokładnie, gdzie je chowają, ale ostrzegam, tam wszędzie aż roi się od Japońców. Ich wojska bronią linii ciągnącej się od San Jose na południu aż po Urdanetę. Wasze szanse na przedostanie się tam to 50:50. A jeśli już się tam dostaniecie, to tylko Bóg może wam pomóc stamtąd się wydostać.

Nellist wiedział, że zrealizowanie tego zadania będzie twardym orzechem do zgryzienia. Miał prawo odmówić jego wykonania, ale to byłoby wbrew jego naturze. Te

japońskie działa należało unieszkodliwić.

Następnego dnia Nellist wsiadł do małego samolotu L-5, aby obejrzeć wszystko z góry, jednak z lotu ptaka dział nie było ani śladu. O wpół do szóstej wieczorem zespół Nellista wsiadł w White Beach One<sup>38</sup> na pokład łodzi Higginsa, która popłynęła wzdłuż wybrzeża. W wyznaczonym miejscu zatrzymała się sto metrów od brzegu, gdy jego kil sięgnął piaszczystego dna. Zwiadowcy wysiedli i przeszli do plaży. Woda sięgała im do połowy klatki piersiowej, więc trzymali broń wysoko nad głowami. Pierwszy szedł Gil Cox. Łódź zawróciła i odpłynęła.

Wkoło panowała cisza, tylko gdzieś daleko słychać było szczekanie psa. I wtedy nagle, gdy zwiadowcy byli jeszcze kawał drogi od brzegu, na niebie ukazał się snop światła. To jeden z okrętów odpalił flarę - zapewne był to umówiony sygnał z amerykańskimi wojskami na lądzie. Wismer był przekonany, że się zsiusiał, chociaż stuprocentowej pewności nie miał, bo przecież spodnie i tak miał mokre.

Mężczyźni zamarli, przykucnąwszy jak najniżej; woda sięgała im do połowy policzków. Nellist miał tylko nadzieję, że ta flara nie stanowiła sygnału dla bombowców do rozpoczęcia bombardowania. Kiedy światło zgasło, zwiadowcy ostrożnie poszli dalej.

Haubice znajdowały się w głębi lądu, kilka kilometrów od miejsca, w którym wylądowali, dlatego też gdy tylko wyszli na plażę, Nellist zaczął naglić, aby ruszać dalej. Chciał dotrzeć jak najbliżej celu przed świtem i znaleźć odpowiednie miejsce na założenie punktu dowodzenia. Od razu też natrafili na ścieżkę i Nellist postanowił, że nią pójdą.

- A co z japońskimi patrolami? - spytał Tom Siason.

- Wątpię, czy często tędy chodzą. Patrz, jak jest zarośnięta - odpowiedział mu Nellist.

Kittleson szedł na szpicy, a reszta za nim. Noc była bezgwiezdna i tak ciemna, że Kittleson nie zauważył wioski, dopóki niemal nie wszedł na jej teren. Nagle z ciemności wyłoniły się chaty kryte liśćmi palmowymi, więc Kittleson podniósł rękę do góry i przyklęknął na jedno kolano. Pozostali także przywarli do ziemi. Przez trzydzieści minut siedmiu mężczyzn pozostawało w bezruchu i w kompletnej ciszy, ale od strony chat nie dotarł do nich żaden dźwięk. Zadowoleni, że wioska jest pusta, zwiadowcy przemknęli przez nią niczym duchy.

Za wioską ścieżka przechodziła w szerszą, porośniętą chwastami drogę. Nellist spojrział na mapę, oświetlając ją sobie latarką.

- W wiosce Rawis ta droga dochodzi do szosy nr 3 - powiedział. - No, Kit, prowadź.

---

<sup>38</sup> Chodzi o przystań dla łodzi, która znajduje się na wyspie Boracay położonej na północ od wyspy Panay (przyp. JB).

Grupa szła pustą drogą, a rzadziej rośliność po obu stronach wskazywała, że teren wznosi się coraz wyżej.

Dzień wstawał zachmurzony i zanosilo się na deszcz. Nad szczytami wisiała szara mgielka. Nellist podzielił grupę na dwie części: on sam, Kittleson i Cox mieli iść po jednej stronie drogi, a Smith, Siason, Asis i Wismer po drugiej. Smith na szpicy. Nie uszli daleko, gdy Smith przykleknął, a za nim pozostali. Smith odwrócił się do Nellista i przeciągnął kantem dłoni po gardle; było jasne, że przed nimi są Japończycy. Nellist dał znak zespołowi, aby pozostał w miejscu, Kittlesona klepnął po ramieniu, wskazując mu wioskę. Ten skinął głową i poszedł. Niedaleko Rawis zaczął się czołgać, starannie badając, gdzie ma postawić rękę lub stopę.

Kittleson zbliżył się do grupy rododendronów i czołgając się wśród nich, dotarł do niewielkiego betonowego mostu, przerzuconego przez stróżkę wody przechodzącej w strumień. A za tym strumieniem, we wsi, stała japońska ciężarówka. Na brzegu strumienia płonęło niewielkie ognisko, na którym przygotowywano śniadanie. W świetle płomieni Kittleson zobaczył trzech japońskich żołnierzy, którzy paląc i śmiejąc się z żartu opowiadanego przez jednego z nich, parzyli herbatę. Jeden z żołnierzy nalał sobie herbaty do mikroskopijnej filiżanki i wstał, przerzucając broń przez ramię. Jak gdyby był to jakiś sygnał, dwaj pozostali również wstali i poszli po niewielkim wzniesieniu ku mostowi. Na nim się zatrzymali i oparli broń o poręcz, kontynuowali rozmowę.

Kittleson wrócił, by poinformować, co widział.

- Widziałeś tylko trzech żółtków? - zapytał Nellist, na co Kittleson skinął głową. - Chyba więcej ich tam nie ma. Japończycy nie mają tylu ludzi, żeby w każdym mieście był duży garnizon. - Pomyślał przez chwilę i zwrócił się do Kittlesona. - Andy, ty, Asis i Siason zajmiecie się dwoma na moście, a my tym trzecim. Jeśli się uda, to wezmę jeńca.

Mężczyźni szybko przygotowali broń i skoczyli do przodu. Nellist wrzasnął „*Jishuf* - „Poddajcie się!”. Dwaj Japończycy chwycili za broń, więc zwiadowcy otworzyli ogień. Jeden z wartowników upadł, a drugi przechylił się przez barierkę mostu i wpadł do strumienia. Ten, który pił herbatę, także chwycił karabin i wycelował w Amerykanów, ale Nellist wpakował w niego kilka pocisków kaliber 7,62 mm ze swojego Garanda, które odrzuciły go do tyłu. Japończyk zaczął pluć krwią i padł martwy na ziemię.

- Cholera - stwierdził Nellist. - Odciągnijmy te ciała na bok. Kit, przeszukaj wioskę.

Każdy zajął się swoim zadaniem, a Kittleson wchodząc na teren wioski, nagle stanął jak wryty. Naprzeciwko niego na zardzewiałym rowerze jechał stary człowiek, a za nim podążał niezdatny bawół i tłum wymachujących rękami mieszkańców, krzyczących „Przyszli

Amerykanie”. Natychmiast z radością wyręczyli zwiadowców w zadaniu odciążenia ciał Japończyków. Wiwaty i okrzyki trwały przez kilka minut, aż wreszcie Nellist ze względów bezpieczeństwa zaczął ich uciszać. Prawie mu się to udało, kiedy jeden z uczestników tego powitalnego orszaku spytał:

- Czy MacArthur przyjechał?

- Tak - odpowiedział Nellist, co wywołało kolejną falę radości.

W trakcie tych wybuchów euforii Nellist został przedstawiony mieszkańcowi wioski o imieniu Philip, który pracował przymusowo przy obsłudze dział i pokazał Nellistowi, gdzie znajdują się tunele. Zwiadowcy, obawiając się, że Japończycy w końcu usłyszą te krzyki i śmiechy, opuścili miejscowość, ale jeszcze przez jakiś czas szedł za nimi rozentuzjarmowany tłum, bynajmniej nie mając zamiaru tak łatwo zrezygnować z manifestowania swojej radości.

\*\*\*

W południe grupa Nellista dotarła do zalesionego grzbietu wzgórza; daleko za nimi w dolinie leżało Rawis.

- Ciekawe, czy jeszcze się bawią? - mruknął Smith.

Przed nimi, w dole, znajdowała się szosa nr 3, po której jechały nieprzyjacielskie czołgi i ciężarówki. Zwiadowcy wypatrywali jakichkolwiek oznak, gdzie mogą się znajdować wielkie haubice, choć doskonale wiedzieli, że nic nie zobaczą, dopóki nie zapadnie noc i wielkie działa nie zaczną strzelać.

Niedługo po nastaniu ciemności, niedaleko od grzbietu wzgórza, może z kilometr od nich, rozległ się huk potężnego działa, a z lufy wydobył się błysk ognia. Zwiadowcy instynktownie pochylili się, gdy nad ich głowami przeleciał niczym pociąg ekspresowy 240-milimetrowy pocisk, aż od impetu rozkołysały się liście i trawa.

- Jezu Chryste - powiedział Wismer cicho, a w jego głosie słychać było strach.

Zwiadowcy porównali swoje spostrzeżenia i notatki, ale nie mogli uzgodnić wspólnego wniosku co do lokalizacji działa. Godzinę później znowu wystrzeliło, i tak co godzina. Po kilku wystrzałach zwiadowcy ustalili, gdzie znajduje się haubica, a Nellist kazał to wszystkim zapamiętać. Jednak jemu wydawało się, że dział jest tylko jedno.

- Mam nadzieję, że to nie pojedyncza pieprzona japońska haubica wstrzymuje całą amerykańską armię. Wracamy - stwierdził.

Teraz poszli do miasta Cabaroan na wybrzeżu, bo Nellist sądził, że tam uda mu się wynająć łódkę, która zabrałaby ich do linii amerykańskich, ale nie znaleźli żadnej oprócz czółna. Nellist zdecydował, że lepsze już czółno, niż nic, i zwiadowcy popłynęli na południe. Jednak czółno zaczęło nabierać wody i nie było wyjścia, musieli wskoczyć do wody,

dopłynąć do brzegu i resztę drogi pokonać pieszo.

158. pułkowa grupa bojowa miała za zadanie utrzymać linię walk w mieście Damortis. Gdy Nellist wraz z zespołem podeszli bliżej linii, okazało się, że nie znają aktualnego hasła - wyrzucili radio, bo zbyt ciężko było im je nieść.

- Możemy tylko wrzeszczeć, że jesteśmy Amerykanami - stwierdził Asis.

- Nie - odparł Nellist. - Żółtki też już znają tę sztuczkę. Spojrzał na Coxa. - Gil, zdejmuj koszulę. - Cox obnażył swój biały jak mąka tors. - Dobra. Ty idziesz do naszych i krzyczysz, że jesteś Amerykaninem.

Cox zachnął się.

- No idź, Gil - ponaglał go Nellist. - Jesteś najwyższy z nas, z pewnością wyższy od każdego żółtka. A jeszcze z tą twoją białą skórą i blond włosami tylko jakiś kompletny idiota wzięłby cię za Japońca.

No i tym sposobem zespół Nellista dostał się poza amerykańską linię frontu dzięki maszerującemu na przodzie gołemu do pasa Coxowi, wymachującemu koszulą i wrzeszczącemu:

- Jesteśmy Amerykanami!

Zwiadowcy przekazali dowództwu 158. pułkowej grupy bojowej, a ono z kolei artylerii 43. Dywizji, informację, gdzie Japończycy ukryli swoje potężne, produkcji niemieckich zakładów Kruppa działa (okazało się, że mieli ich dwa), na które spadł grad pocisków kaliber 105 milimetrów i 155 milimetrów. Obydwa działa zostały zniszczone i droga na Manilę była otwarta.

Generał Krueger dowiedziawszy się, że nie tylko zadanie zostało pomyślnie wykonane, ale też żaden ze zwiadowców nie odniósł obrażeń, pękał z dumy.

- Moi Zwiadowcy Alamo zawsze wracają - chełpił się. - Mogę wysłać ich wszędzie, cholera, naprawdę wszędzie, i wiem, że wykonają powierzone im zadanie.

\*\*\*

Ten sukces plus udział w ocaleniu jeńców z przylądka Oransbari na Nowej Gwinei w październiku poprzedniego roku spowodowały, że przygotowując najslynniejszy rajd, w jakim brali udział Zwiadowcy Alamo, dowództwo przede wszystkim pomyślało o Nelliście.

# ROZDZIAŁ 13

## Pierwsi do walki, ostatni z placu boju

Cabanatuan, 27 stycznia-1 lutego 1945

Galen Kittleson i Wilbert Wismer wylegiwali się przed swoim namiotem w obozie 6. Armii nieopodal Calasio, na południe od Lingayen, w promieniach popołudniowego słońca. Był 26 stycznia i dopiero osiem dni temu wrócili z ostatniej misji: mieli ustalić miejsce lokalizacji olbrzymich haubic, z których ostrzał wstrzymywał marsz Amerykanów w stronę Manili. Wismer zapalił papierosa i leniwie wydmuchiwał dym, gdy nagle zauważył dziwną osobę. Wprost ku nim jechał na koniu jakiś chudy jak trzcina amerykański major w znoszonym mundurze. Wobec tego Wismer szturchnął kolegę i kilku innych towarzyszy, żeby wstali, bo zbliża się oficer. Trzeba było zasalutować.

- Czy możecie mi powiedzieć, gdzie tu jest namiot dowództwa? - zapytał major, również (tyle że niedbałym ruchem) przykładając palce do czapki.

- Tą ulicą prosto. Na pewno pan zauważy.

Oficer skinął głową, zawrócił konia i pojechał we wskazanym kierunku. Obydwaj zwiadowcy patrzyli za nim.

- Co to, do cholery, takiego było? - spytał Kittleson.

- Nie wiesz? - odpowiedział mu Wismer. - Major Lapham, dowódca partyzantów.

\*\*\*

W 1941 roku, gdy Japończycy zajęli Luzon, Robert Lapham miał dwadzieścia cztery lata. W kwietniu 1942 roku on, wówczas w stopniu porucznika, oraz trzydziestu pięciu innych mężczyzn zgłosiło się na ochotnika do przeniknięcia na głębokość osiemdziesięciu kilometrów za linie wroga i wysadzenia japońskich samolotów w bazie Clark Field. Byli już ponad sześćdziesiąt kilometrów za japońskimi liniami, gdy doszła ich wieść o upadku Bataanu. Wobec tego postanowili rozdzielić się i rozproszyć po górzystym terenie. Lapham udał się do prowincji Nueva Ecija, niedaleko od miasta Cabanatuan, i zaczął tam rekrutować partyzantów. Kiedy ich liczba sięgnęła dwóch tysięcy, armia awansowała Laphama na majora.







Niedługo po upadku Filipin Japończycy założyli zaledwie kilka kilometrów na wschód od Cabanatuanu wielki obóz dla jeńców wojennych. Trafili tam ci, którzy zdołali przetrwać słynny marsz śmierci z Bataanu. Ten obóz to około dziesięciu hektarów na otwartej równinie. Znajdowało się w nim około siedmiu tysięcy jeńców, ale ta liczba stopniowo topniała - więźniowie zmuszani do niewolniczej pracy umierali wskutek chorób, bądź byli zabijani przez Japończyków, albo też wywożeni do Japonii na roboty przymusowe.

Przez cały czas Lapham bacznie obserwował obóz i pałał chęcią uwolnienia swoich towarzyszy. Zaprzyjaźnił się z niektórymi więźniami i udało mu się przekazać im trochę żywności, a nawet kilka sztuk broni na wypadek, gdyby nadarzyła się sposobność do ucieczki.

W czerwcu 1944 roku powiadomił generała MacArthura o losie więźniów i prosił, aby kilka okrętów podwodnych przyplłynęło i zatrzymało się nieopodal brzegu. W tym czasie on ze swoimi partyzantami spróbowaliby uwolnić te trzy tysiące jeńców, które pozostały jeszcze w obozie. Nawet przedłożył opracowany przez siebie plan ataku, ale MacArthur odmówił. Według niego ludzie w obozie byli zbyt słabi lub chorzy, aby zmuszać ich do marszu przez góry Sierra Madre aż nad zatokę Debut. Złapią ich ponownie i zapewne stracą. Lapham argumentował, że jeśli będzie się zbytnio zwlekać z akcją ratunkową, to wszyscy znajdujący się w Cabanatuanie jeńcy nie zdołają zrobić nawet kroku o własnych siłach.

To była pierwsza z próśb Laphama i - podobnie jak wszystkie następne - spotkała się z odmową.

A potem nadeszła smutna wiadomość z obozu dla jeńców wojennych Puerto Princessa na Palawanie, długiej wyspie usytuowanej w zachodniej części morza Sulu. Czternastego grudnia ponad stu pięćdziesięciu więźniów spędzono do baraków pod pretekstem ukrycia się przed amerykańskim nalotem, po czym Japończycy oblali te chaty benzyną i podpalili. Ci z



*Major Robert Lapham*

jeńców, którym udało się wyczołgać z chat, zostali zastrzeleni. Jednak kilku zdołało uciec. Przy pomocy przyjaznych Filipińczyków przedostali się przez morze Sulu i opowiedzieli, a wszyscy z przerażeniem słuchali, co się stało na Palawanie.

Amerykanie uważali to za akt niebywałego okrucieństwa, ale Japończycy wykonywali tylko rozkaz i jeńcy, już i tak godni pogardy, gdyż oddali się do niewoli, nie powinni wpaść w ręce rodaków. Lapham wiedział o tym i obawiał się, że więźniów w Cabanatuanie spotka wkrótce ten sam los, zwłaszcza że siły MacArthura były coraz bliżej. Nawet uwielbiający amerykańskie filmy generał Masaharu Homma, „generał poeta” którego prodemokratyczne i prozachodnie sympatie często przysparzały mu kłopotów, nie mógłby zignorować tego rozkazu.

I oto dlaczego Lapham zapuścił się na głębokość pięćdziesięciu kilometrów poza linie wroga.

\*\*\*

Kierując się wskazówkami Wismera, Lapham znalazł namiot, w którym mieściło się dowództwo wywiadu 6. Armii, i zsiadł z konia. Wcześniej poinformował drogą radiową o swojej wizycie, tak więc pułkownik Horton White, szef wywiadu 6. Armii, oczekiwał go i wiedział, co jest celem tej wizyty. Teraz powitał Laphama, podczas gdy jeden z majorów zajął się jego koniem.

Sam Lapham odmówił poczęstunku; za to opowiedział White'owi o masakrze na Palawanie oraz o swoim przeświadczeniu, że Japończycy stają się coraz bardziej zdesperowani, wobec tego postąpią identycznie z jeńcami w Cabanatuanie.

- Dziś rano nasze wojska weszły do miasta Guimba - White wskazał palcem punkt na mapie - ale obóz pod Cabanatuanem wciąż znajduje się czterdzieści kilometrów poza linią wroga. Jak wyglądają siły nieprzyjaciela?

- Zarówno w samym mieście Cabanatuan, jak i wokół niego jest około dziewięciu tysięcy tych skurwysynów, a obóz znajduje się tutaj - mówił Lapham pokazując na mapie - nad rzeką Cabu, niecały kilometr na północny wschód. Tutaj liczba Japończyków jest różna.

- A ilu ich jest w obozie? - dopytywał się White.

- To zależy. Stały garnizon liczy około siedemdziesięciu pięciu żołnierzy, ale Japońce często korzystają z drogi prowadzącej do miasta Cabanatuan i żołnierze czasem zatrzymują się w obozie. Teraz jest ich tam około dwustu pięćdziesięciu.

- Proszę mi powiedzieć coś o tej drodze. - White wskazał na linię biegnącą przed obozem.

- To ważny szlak przelotowy, często wykorzystywany przez konwoje. Proszę

spojrzeć, pułkownik, wiem, że to trudne zadanie, ale niezwykle ważne. Jestem przekonany, że ci ludzie, jeżeli ich stamtąd nie wydostaniemy, zostaną zabici i to wkrótce. Japończycy mają nóż na gardle i nie trzeba wiele, by wpadli w szal mordowania.

- Zgadzam się - przytaknął White. - Chodźmy do generała Kruegera. Mamy tu kilka batalionów rangersów i to jest zadanie w sam raz dla nich.

- Czy można ich również wysłać w celu przeprowadzenia działań rozpoznawczych? - zapytał Lapham.

- Nie trzeba, mamy od tego specjalistów, którzy zrobią to doskonale - odpowiedział White.

\*\*\*

Generał Krueger również zdawał sobie sprawę, co może się stać w obozie koło Cabanatuanu, i w pełni zgadzał się z White'em zarówno co do ryzyka całej operacji, jak i jej wagi. Wiedział o tym obozie, był poinformowany o wydarzeniach na Palawanie i podzielał obawy Laphama.

- Za pięć dni nasze wojska powinny dotrzeć do Cabanatuanu - powiedział. - Dziś jest dwudziesty szósty, to znaczy, że liczy się czas. Musimy wydostać tych jeńców przed trzydziestym stycznia, bo potem już może nie będzie kogo ratować. Niech pan zwoła odprawę. Chcę tu widzieć Mucciego, Dove'a, Nellista i Rounsaville'a.

Odprawa odbyła się jeszcze tego dnia po południu. Bill Nellist, Jack Dove i Tom Rounsaville weszli do szalasu. White i Lapham siedzieli już przy stole, na którym była rozłożona mapa. Byli też pułkownik Henry Mucci i kapitan Robert Prince z rangersów. White opowiedział Laphamowi o sukcesach odniesionych przez dwie grupy zwiadowców w październiku ubiegłego roku na przylądku Oransbari na Nowej Gwinei, to znaczy o uwolnieniu z rąk Japończyków siedemdziesięciu jeńców i przywiezieniu ich w bezpieczne miejsce. Widać było, że na Laphamie ta historia wywarła wrażenie.

- To była bułka z masłem w porównaniu z tym tutaj - stwierdził White, opowiadając, na czym ma polegać kolejne zadanie zwiadowców.

- Oprócz tego, że będziecie się znajdować czterdzieści kilometrów za liniami wroga, a więc pośród dziesięciu tysięcy ryżojadów, to jeszcze kłopot będą sprawiać sami jeńcy. Ci mężczyźni są zbyt słabi lub zbyt chorzy, aby przedstawiali dla Japończyków jakąkolwiek wartość jako siła robocza i zapewne zostaną zabici, zanim nadejdą nasze wojska. - I teraz White przeszedł do sedna sprawy. - Bill, ponieważ w czasie akcji na Oransbari dowódcą zespołu był Tom, to teraz ty będziesz dowodzić. Jack, ty będziesz punktem kontaktowym i pojedziesz z rangersami. Nimi będzie dowodzić kapitan Prince, ale pułkownik Mucci będzie

odpowiadał za całą akcję. Dostaniecie mapy i najnowsze zdjęcia lotnicze tego terenu.



*Zespoły Nellista i Rounsaville'a po słynnym zdobyciu obozu jenieckiego koło Cabanatuanu. Od lewej w tylnym rzędzie stoją: Gil Cox, Wilbert Wismer, Harold Hard, Andy Smith i Francis Laquier. W pierwszym rzędzie od lewej: Galen Kittleson, Rufo Vaquilar, Bill Nellist, Tom Rounsaville i Frank Fox*

Pułkownik Mucci - wyprostowany jak struna, z fajką zwisającą z kącika ust i z cieniutkim paseczkiem wąsów pod wydatnym nosem - spojrzął na Nellista.

- Poruczniku, nie ma przymusu, to zadanie dla ochotników, jeśli pan chce, może pan odmówić i nikt nie będzie pana pytać o powody. Proszę powiedzieć szczerze i otwarcie.- Gdybym to ja był w tym obozie, to chciałbym, żeby ktoś mnie z niego wydostał, sir. Idziemy.

- No, widać, że wszyscy chcą wziąć w tym udział - stwierdził Mucci. - Wydostaniemy każdego człowieka, choćby był nie wiem jak chory. A jeśli nawet będzie martwy, to go przyniesiemy.

Wszyscy potakująco skinęli głowami.

- Ludzie pułkownika Mucciego wyruszą w niedzielę rano - oznajmił White. - Bill, to oznacza, że ty i twoi ludzie wyjedziecie dwadzieścia cztery godziny wcześniej. No, ruszajcie, zdobądźcie potrzebne rangersom informacje i dostarczcie je.

- Planuję zaatakować obóz w poniedziałek o dziewiętnastej trzydzieści - powiedział Mucci. - To znaczy, że od tej chwili dzielą nas jeszcze pięćdziesiąt trzy godziny. Dostarczcie mi tyle informacji, ile tylko zdołacie zebrać.

- Już Bill wie, czego szukać. Są jakieś pytania? Jeśli nie, to idźcie z Bogiem - zakończył White.

\*\*\*

Mucci wrócił do rangersów, aby wszystko zaplanować i poczynić przygotowania, a zwiadowcy szykowali się do wyjazdu. Oprócz swojej broni, każdy z nich miał wziąć dodatkową amunicję, pistolet Colt kaliber 11,43 mm, nóż oraz trzy ręczne granaty.



*Pułkownik Henry Mucci*

się z czarnej fasoli oraz ryżu.

Nellist zwrócił się do swojej grupy:

- Prześpijcie się trochę. To będzie długa noc.

Wyruszyli o dziewiątej wieczorem. Niebo było rozgwieżdżone i jeszcze dodatkowo oświetlone światłem półksiężyca. Dove pozostał w szałasie jako punkt kontaktowy, choć nie miał radionadajnika - dopiero powinni go przynieść rangersi. Mógł więc porozumiewać się z Nellistem wyłącznie za pośrednictwem łączników, co zresztą było o wiele bezpieczniejsze aniżeli posługiwanie się radiem.

Kittleson i dwaj partyzanci szli pierwsi, a za nimi cała reszta. Musieli przed świtem dojść do Balincarin, co oznaczało ponad czterdziestokilometrowy forsowny marsz, przeważnie przez pola ryżowe, teraz puste i suche jak pieprz, poryte tylko kopytami bawołów, co czyniło ten marsz jeszcze trudniejszym. Przechodzili też przez las bambusowy i przez

Kiedy już byli gotowi, Nellist, Rounsaville i Dove oraz dwunastu innych zwiadowców wsiedli na dwupółtonową ciężarówkę, która miała zawieźć ich do Guimby. W czasie drogi słyszeli nad głowami ryk amerykańskich myśliwców; atakowały japońskie pozycje w odległości zaledwie kilku kilometrów.

Ciężarówka zatrzymała się w kępie drzew na obrzeżach miasteczka Guimba, które tak naprawdę było skupiskiem rozrzuconych w nieładzie wzdłuż drogi bambusowych chat krytych blaszanymi dachami. Lapham już na nich czekał. Nellist, Rounsaville i Dove poszli za nim do jego kwatery głównej, gdzie Filipińczycy przygotowali posiłek składający

przestrzenie pokryte wysoką trawą kunai, której używano do krycia dachów. Filipińczycy wierzyli, że pola tych traw są nawiedzane przez duchy.

Dostrzegłszy jakąś wioskę, zwiadowcy obchodzili ją szerokim łukiem, aby uniknąć zainteresowania miejscowej ludności. Jakakolwiek wiadomość o ich obecności dotarłaby do Japończyków i wszystko poszłoby na marne.

Kiedy tak szli nocą, jedynym odgłosem, jaki słyszeli, było ujadanie psa gdzieś w oddali. Nellist obawiał się psów, gdyż mogły ich zdradzić swoim szczekaniem. Mucci podzielał te obawy, toteż za pośrednictwem partyzantów rozesłano wiadomość, aby nałożono psom kagańce albo pozamykano gdzieś zwierzęta. Raz czy dwa Kittlesonowi zdawało się, że słyszy jakiś dziwny dźwięk, i schylał się, przyklękając na jedno kolano. W ślad za nim robili to inni. Kiedy upewnił się, że wszystko w porządku, wstawał i dawał znak, że można iść dalej.

Po przejściu mniej więcej piętnastu kilometrów byli już niedaleko głównej szosy, co poznali nieomylnie po odgłosie, jaki wydają gąsienice czołgów oraz ciężarówki jadące po asfalcie. Nellist dał znak, aby się zatrzymać.

- Cholernie dużo tam tego wszystkiego na drodze - szepnął Kittleson do Nellista, a ten w odpowiedzi kiwnął głową.

- Japońce korzystają z osłony nocy i wycofują swoje wojska z okolic Manili przez Cabanatuan do San Jose. Idź i rozejrzyj się - powiedział do Kittlesona.

Kiedy ten z dwoma partyzantami poczołgał się naprzód, Nellist i Rounsaville narzucili na głowy poncho, Nellist zapalił latarkę i obydwaj pochyłili się nad mapą.

Tymczasem Kittleson z dwoma Filipińczykami podczołgali się na brzeg skarpy, z której rozciągał się widok na drogę. Widać było jadące nią pojazdy, a ich przysłonięte reflektory rzucały na asfalt wąskie smugi światła. Akurat w tym miejscu droga przecinała przełęcz, przez którą przerzucony był niewielki, długi może na dziesięć metrów drewniany most. Pod nim przepływał niewielki strumyk. Co jednak najbardziej zdumiało Kittlesona, o wiele bardziej aniżeli ruch, jaki panował na drodze, to fakt, że po obu stronach mostka stały czołgi - jeden z jednej strony, a dwa z drugiej.

Nakazując jednemu z Filipińczyków, aby pozostał w miejscu, Kittleson z drugim partyzantem wrócili do czekających kolegów.

- Te trzy japońskie gruchoty wcale nie wyglądają, jakby miały zamiar wkrótce odjechać - stwierdził Kittleson.

Nellist w zamyśleniu pokiwał głową.

- Jak wysoko jest ten most? Czy da się pod nim przejść? - spytał.

- Spokojnie możemy pod nim przejść wyprostowani - odpowiedział Kittleson. - I powinno się nam to udać. Wszędzie rośnie gęsta trawa.

Nellist zebrał grupę wokół siebie i poinformował, jak wygląda sytuacja i co ich czeka.

- Ruszamy do wąwozu. Przejdziemy pod mostem, będziemy iść po kilku w odstępach. Kiedy już trójka czy czwórka z was będzie po drugiej stronie mostu, niech idzie jeszcze ze sto metrów, a potem zatrzyma się i poczeka na kolegów.

Dotarli do wąwozu, zeszli po jego zboczu w dół i ukryli się w porastających go wysokich krzakach. Trzy czołgi wciąż stały u wylotów mostu. Jako pierwsi poszli Kittleson i dwóch partyzantów; szli, zatrzymywali się, nasłuchując, a w końcu tam, gdzie trawa była niższa, padli na ziemię i zaczęli się czołgać. A nad ich głowami japońscy czołgiści palili papierosy i śmiali się z jakiegoś żartu. Będąc już pod mostem, Kittleson i Filipińczycy zatrzymali się, gdy na górze przejeżdżał konwój, a brud i śmieci zaczęły lecieć im na głowy, aż wreszcie dotarli na drugą stronę i szli dalej, aby schować się w chaszczach.

Przeprawa na drugą stronę mostu zajęła im kwadrans. Gdy znowu byli razem, poszli dalej. Po odległej o dwanaście kilometrów drodze Rizal także jeździło wiele nieprzyjacielskich ciężarówek, ale tutaj ruch był mniejszy i zwiadowcy mogli bez trudu przebiec skuleni na drugą stronę. Teraz jednak Nellist narzucił ostrzejsze tempo - przez półtora kilometra musieli iść dwa razy szybciej, aż w końcu się zatrzymali.

Świtało i zgodnie z planem dotarli do Balincarinu, biednej wioski składającej się z rozwalających się chat. Powitał ich tutaj przywódca partyzancki Juan Pajota, który natychmiast poinformował Nellista o kolumnie japońskich wojsk ciągnących drogą National Highway z miasta Cabanatuan (sześć i pół kilometra od obozu) oraz o tym, że nad rzeką Cabu, zaledwie niecały kilometr na północny wschód od obozu, są setki japońskich żołnierzy

Po posiłku składającym się z fasoli i ryżu zwiadowcy poszli dalej, w kierunku wioski Platero; musieli przejść przez szeroką acz płytką rzekę Pampanga i stąd po raz pierwszy zobaczyli obóz. Leżąc na brzuchu w trawie, z przerażeniem patrzyli na to, co widzieli. Odległy od nich jakieś sześćset metrów obóz leżał na otwartym terenie i jedyne, co dostrzegli z miejsca, w którym się znajdowali - a bliżej już nie mogli podejść bez ryzyka, że zostaną zauważeni - to platanina drutu kolczastego, wieże strażnicze oraz szczyty dachów. Wszędzie dookoła rozciągała się porośnięta trawą równina i pola uprawne; gdzieś stała jakaś bambusowa chata. Przejeżdżający drogą konwój wzbijał pod samo niebo tumany kurzu. Daleko wznosił się na wysokość tysiąca dwustu metrów wulkaniczny stożek góry Arayat.

- Niedobrze - mruknął Nellist.

\*\*\*

Dwadzieścia cztery godziny po zwiadowcach wyruszyła kolumna rangersów pod dowództwem Mucciego. W skład kolumny wchodziło 121 rangersów, w tym 107 z kompanii Charlie pod dowództwem Prince'a oraz pluton z kompanii F dowodzony przez porucznika Johna P. Murphy'ego. Dwudziestego dziewiątego stycznia, gdy zwiadowcy podchodzili już do obozu, ludzie Mucciego połączyli się w wiosce Lobong na zachód od Balincarinu z partyzantami dowodzonymi przez kapitana Eduarda Josona, zdaniem Laphama najzdolniejszego dowódcę partyzanckiego na tym całym terenie. Tak więc w sumie Mucci miał (wliczając również partyzantów) pod swoim dowództwem 286 ludzi. I cała ta kolumna, naszpikowana bronią, zdeterminowana, posuwała się naprzód ku Platero, położonemu nieco ponad dwa kilometry od obozu.

\*\*\*



*Oddział rangersów w drodze do Cabanatuanu*

Nellist i Rounsaville oraz ich ludzie większość dnia i część nocy spędzili, obserwując obóz. Siedzieli ukryci w wysokiej trawie porastającej brzeg rzeki Pampanga. Niektórzy liczyli Japończyków znajdujących się w obozie nad rzeką Cabu. Po zebraniu tylu informacji, ile tylko się dało, dowódcy zespołów poszli do Platero, gdzie zastali Mucciego, nie mogącego spać ze zdenerwowania. O czwartej nad ranem Nellist i Rounsaville usiedli wraz z Muccim,



Dove'em oraz Prince'em i zrelacjonowali, co widzieli i zauważyli.

- Obawiam się, że mamy same złe wiadomości - zaczął Nellist. - Z powodu jednej z nich będziecie musieli przełożyć atak o dwadzieścia cztery godziny.

Mucci się zachnął.

- Nie możemy. Im dłużej tu będziemy, tym większe szanse, że zostaniemy zauważeni.

- Wiem, sir - odparł Nellist - ale koło obozu przemieszcza się japoński konwój dorównujący liczebnością dywizji. W dzień chowają się, aby nie wypatrzyły ich nasze samoloty, ale ruszają nocą i ciągną drogą, wobec tego wygląda ona niczym główna ulica w Tokio. I wy, atakując jutro w nocy, akurat się na nich natkniecie.

Mucci zacisnął szczęki, jego usta trzymające fajkę stały się jeszcze cieńsze. Pajota ostrzegł go przed tym konwojem, ale on nie dawał wiary informacjom partyzanckiego dowódcy, wołał polegać na ustaleniach Zwiadowców Alamo.

- Jak wygląda teren wokół obozu? - spytał.

- Niedobrze. Dokładnie tak, jak nam go opisywano. To szeroka, otwarta równina porośnięta niską trawą, tu i ówdzie poprzecinana polami. Jak dotąd nie udało się nam podejść na tyle blisko, aby dostrzec szczegóły. Nie mogliśmy zobaczyć obozu wewnątrz.

- Ale czy jesteście pewni, że jeńcy nadal tam są?

- Tak, sir. Pajota zapewniał nas, że tak. Są zbyt chorzy i słabi, aby można ich było przewieźć.

- A jak się przedstawiają siły Japończyków? - chciał wiedzieć Mucci.

- 359. batalion rozłożył się nad rzeką Cabu, osiemset metrów na północny wschód. W środku obozu jest naszym zdaniem około siedemdziesięciu strażników i z setka albo dwie żołnierzy, którzy po drodze zatrzymują się tam na noc. Widzieliśmy, że na teren obozu wjechały cztery czołgi, żaden nie wyjechał.

Mucci siedział przez chwilę, nic nie mówiąc.

- Dobrze. Przekładamy atak na wtorek na dziewiętnastą trzydzieści. Jednak, poruczniku, dostarczone przez was informacje nie są wyczerpujące. Muszę wiedzieć więcej, o wiele więcej. Muszę znać liczbę strażników i wież strażniczych w obozie oraz ich usytuowanie, czy są tam karabiny maszynowe, gdzie są baraki jenieckie, czy są tam czołgi, jak wygląda ogrodzenie obozu, z czego jest wykonane i czy brama otwiera się do wewnątrz, czy na zewnątrz. To są dla mnie kluczowe informacje. Jasne?

- Tak jest, sir - przytaknął Nellist. - Dowiemy się tego.

\*\*\*

Nellist przyrzekł to Mucciemu, nie mając pojęcia, w jaki sposób się tego wszystkiego

dowiedzieć. Przez resztę nocy zwiadowcy obserwowali przejeżdżający obok obozu sznur pojazdów, kierujących się na północ, w stronę Bongabonu. O świcie, tak jak przewidywał Nellist, ten ruch zamarł. Zwiadowcy nie zauważyli też nic, co wskazywałoby na to, że Japończycy chcą zabić jeńców, ale według Nellista, biorąc pod uwagę, iż było tam tak niewielu strażników, a brama obozu była zamknięta, taki scenariusz wydawał się prawdopodobny.

Nellist omówił z Rounsaville'em zadanie, jakie stało teraz przed zwiadowcami w związku z żądaniem dostarczenia większej liczby informacji.

- Przychodzi mi do głowy tylko jedno rozwiązanie - powiedział Nellist, patrząc na kilku chłopów pracujących na polach między obozem a miejscem, w którym siedzieli zwiadowcy. Następnie wskazał chatę na palach, stojącą dokładnie po drugiej stronie drogi, może ze dwieście metrów od bramy obozu. - Musimy dostać się do tej chaty.

- No, ale przecież nie możesz pójść tak ubrany - zauważył Rounsaville, po czym zwrócił się do jednego z ludzi swojego zespołu: - Pontiac, zorientuj się, może uda ci się pożyczyć ubranie od tych chłopów.

Filipińczyk poszedł spełnić powierzone mu zadanie, a Nellist poinformował Pajotę o swoim planie. Przywódca partyzantów zapewnił zwiadowców, że wieśniacy zostaną uprzedzeni, aby nie zwracali uwagi na dwóch obcych, i że w razie zdrady powinni bardziej bać się jego niż Japończyków.

Po niedługim czasie dwóch wieśniaków wolno szło sobie przez pola, kierując się w stronę chaty, w której, jak im powiedziano, przechowywane są narzędzia do pracy na roli. Ta dwójka (to znaczy Nellist i Vaquilar) ubrana była tak jak okoliczni chłopci; a więc na głowach słomiane kapelusze z wielkim rondem i luźny strój, aby ukryć w nim pistolety Colt. Nellist wsunął jeszcze do nogawki swój ukochany karabin, co powodowało, że nieco kulał, ale miał nadzieję, że nie zwróci to niczyjej uwagi.

Mężczyźni szli, ale w odległości kilkudziesięciu metrów od siebie, aby nikt nie pomyślał, że są razem. Nellist, który był wyższy aniżeli przeciętny Filipińczyk, szedł zgięty w pół i jeszcze od czasu do czasu nachylał się, jakby badał zapowiadające się plony. Tak jak było umówione, inni wieśniacy pracowali, nie zwracając uwagi na przechodzących obok.

A ci dotarli do chaty, weszli po drabinie do środka i tam padli na podłogę, aby uspokoić napięte do granic wytrzymałości nerwy. Byli przygotowani, że w każdej chwili mogą usłyszeć ostrzegawcze strzały, ale nic takiego się nie stało. Przy otwartym oknie stał zniszczony fotel na biegunach i siedząc w nim, doskonale widziało się oddalony zaledwie o jakieś dwieście metrów obóz. Nellist wyciągnął ze spodni broń i ostrożnie wyjrzał przez

okno. Aż mu się oczy zaświeciły gdy zobaczył, jak świetnie widać obóz. Patrzył na spacerujących wynędzniałych jeńców, mógł policzyć, ilu wartowników stało przy bramie, a ilu na usytuowanej w północno-wschodnim narożniku wieży.

- Tak Pontiac, Bóg istnieje - westchnął i zabrał się za rysowanie w swoim notatniku planu obozu. Identyfikując jakiś budynek, oznaczał go odpowiednim numerem na zdjęciu lotniczym, a w notatniku dodawał do tego numeru opis.

Pajota pomógł zwiadowcom zebrać więcej szczegółów. Jego partyzanci, również przebrani za wieśniaków, chodzili po polu w pobliżu obozu, obserwując wszystko i zapamiętując, a następnie poszli do „składu z narzędziami”, aby złożyć raport. Pewien młody partyzant wskoczył na grzbiet bawołu i tak przejechał dokoła obozu, odnotowując w pamięci wszystkie specyficzne cechy terenu oraz japońskie punkty obronne. Tymczasem Vaquilar wyszedł z chaty, poszukał wieśniaków, którzy pracowali na terenie obozu, i wypytał ich szczegółowo o wszystko.



*Obóz w Cabanatuanie*

Z własnych obserwacji i z doniesień przekazanych mu przez jego ludzi oraz przez partyzantów Nellist wiedział, że wymiary obozu wynoszą około 750 na 550 metrów. Pośrodku biegła piaszczysta droga, po jej lewej stronie znajdowały się baraki jeńców, a po

prawej strażników i oficerów. W dodatkowych barakach na tyłach obozu nocowali zatrzymujący się tu czasem żołnierze. Wszystkie te budowle były wykonane przeważnie z bambusa, a ich dachy - z palmowych liści. Teren obozu ku jego końcowi nieznacznie się obniżał. Główna brama miała wysokość 2,5 metra, była drewniana, dwuskrzydłowa, z drutem kolczastym, zamykana na jedną kłódkę, otwierała się zarówno do środka, jak i na zewnątrz. Cały obóz był otoczony na wysokość trzech metrów trzema rzędami ogrodzenia z kolczastego drutu, miał dwie wieże wartownicze, jedną w północno-wschodnim narożniku, a drugą z tyłu obozu, oraz cztery bunkry, choć wydawało się, że są puste. Nellist nigdzie nie dostrzegł czołgów, które poprzedniego dnia wjechały na teren obozu, ale zobaczył duży blaszany budynek, stojący trzysta metrów od bramy, który mógł służyć za garaż. W południowo-wschodnim narożniku obozu widać było duży cmentarz.

Obsadę obozu ocenił na siedemdziesiąt pięć osób plus być może jeszcze stu pięćdziesięciu żołnierzy, którzy zatrzymali się tam na nocleg, choć niewykluczone, że wieczorem opuścili obóz.

Około trzynastej trzydzieści - Nellist i Vaquilar byli już w chacie dobre dwie godziny - Vaquilar zobaczył, że do chaty czołgają się też Gil Cox, Harold Hard i Franklin Fox. Obeszli oni cały teren naokoło, cofnęli się do rzeki Pampanga, po czym prześlizgnęli się niezauważenie przez pole. Kiedy dotarli już do drabiny wiodącej na górę chaty, Nellist spojrzał wściekły w dół:

- Co to, do cholery, jest, jakieś zebranie? A gdzie reszta?

- Rozpierzchli się dookoła - odparł Fox.

- Zostańcie na dole - rozkazał Nellist, po czym poskładał swoje notatki oraz mapę i rzucił Foxowi. - Przekażcie to Mucciemu, zanim wyruszy.

Zwiadowcy odeszli, a Nellist i Vaquilar prowadzili dalej swoje obserwacje. Około szesnastej Nellist stwierdził, że czas wracać. Przygotowywali się do wyjścia, kiedy Vaquilar z przerażeniem w głosie zawołał kolegę:

- Bill!

Vaquilar wyglądał przez okno, więc Nellist też wyjrzał.

Jakaś młoda filipińska dziewczyna podeszła do głównej bramy obozu i coś mówiła do strażników. Wręczyła coś jednemu z Japończyków - Nellist, jak później wspominał, „cholernie się obawiał”, że ich wydała.

- Niech to szlag - zaklął Nellist. - Myślałem, że Pajota ostrzegł cywilów, aby się trzymali z daleka od obozu.

- Jestem pewien, że nas nie zauważyła - stwierdził Vaquilar. - Czy myślisz, że

widziała rangersów?

- Nie wiem - odparł Nellist.

Po chwili dziewczyna poszła sobie, a zwiadowcy kontynuowali obserwacje.

- A może bym się przeszedł, żeby zobaczyć, czy żółtki czegoś nie knują? - zaproponował Vaquilar.

- Okej - odparł Nellist. - Ale ja nie mogę cię stąd osłaniać.

- Wiem.

Vaquilar wsunął pod ubranie dwa pistolety i ruszył, kierując się na prawo. Dotarł do drogi, przeszedł na jej prawą stronę, na pobocze, i minął obóz i jego wartowników w odległości nie większej niż dwanaście metrów. Przechodząc koło strażników, z szacunkiem dotknął runda kapelusza, a ci w odpowiedzi skinęli głowami. Oczywiście Vaquilar miał sposobność rzucić okiem na obóz. Wszędzie panował spokój, toteż po dwudziestu minutach Filipińczyk był z powrotem w chacie na palach.

- Wydaje się, że wszystko w porządku - zameldował.

- Dobra, wynośmy się stąd w cholerę

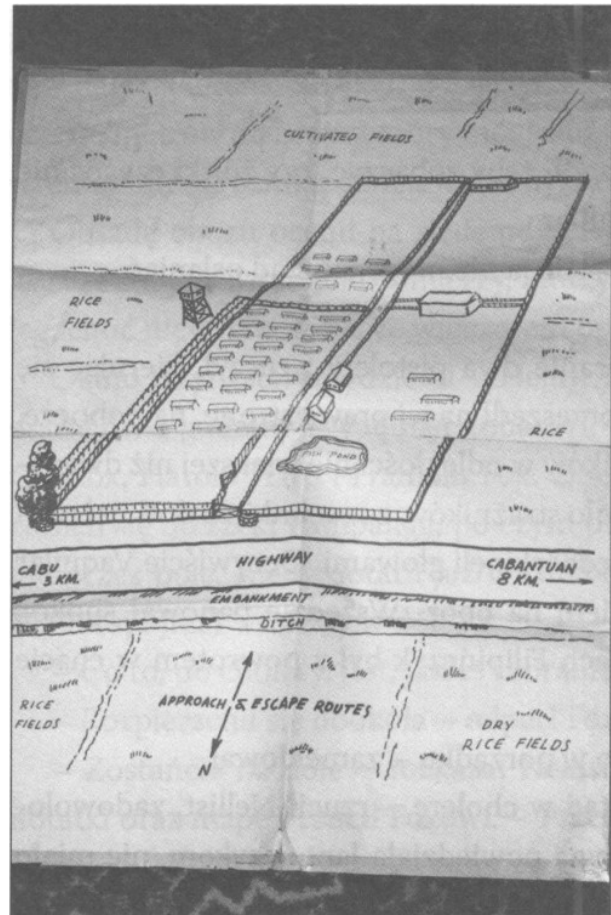
- rzucił Nellist, zadowolony, że cokolwiek ta dziewczyna powiedziała Japończykom, nie miało to nic wspólnego z planowanym atakiem.

Nellist nie wiedział, że dziewczyna chciała sprzedać Japończykom świeże owoce i że tak naprawdę przysłał ją Pajota na przeszpiegi.

Usatysfakcjonowani, że Japończycy niczego nie podejrzewają, obaj zwiadowcy zeszli na dół i drogą, a potem na ukos przez pola wkrótce dotarli do Rounsaville'a i pozostałych.

\*\*\*

Tej samej nocy w bambusowej chacie w Platero Mucci, Prince, Pajota, Jonson, Nellist, Rounsaville, Dove i porucznicy John Murphy, Melville H. Schmidt i William J.



Mapa obozu dla jeńców wojennych pod Cabantuanem. Dziś mapa znajduje się w posiadaniu Harolda Harda

O'Connell, dowódca plutonów Prince'a, zgromadzili się dokoła małego stołu w celu omówienia planu ataku. Przy świetle oliwnej lampy Mucci rozłożył wykonany przez Nellista szkic obozu i natychmiast zauważył, że największym zagrożeniem dla całej akcji są Japończycy na moście nad rzeką Cabu. Pajota powiedział, że jego ludzie, aby zatrzymać tam Japończyków i nie dopuścić, aby przekroczyli rzekę, wciągną ich w strzelaninę, podczas gdy Jonson i inna grupa partyzantów zablokują drogę na zachód od obozu, aby uniemożliwić dotarcie posiłków wroga z miasta Cabanatuan.

- Nam na dotarcie do obozu i uwolnienie jeńców potrzeba trzydziestu minut - oznajmił Mucci.

- Rozumiem - odparł Pajota.

Następnym problemem było, jak niezauważenie pokonać siedemset metrów pola wokół obozu. Nawet czołgając się, co było konieczne, narażali się na wielkie niebezpieczeństwo, że wartownicy na wieżach coś dostrzegą. Trzeba było w jakiś sposób odciągnąć ich uwagę i Pajota zaproponował (a jego pomysł został natychmiast przekazany przez radio), aby jakiś samolot zaczął latać nisko nad obozem. Już wcześniej Pajota mówił Mucciemu, że amerykańskie samoloty niezmiernie denerwowały Japończyków i zawsze niepodzielnie skupiały na sobie ich uwagę.

Teraz Prince przedstawił plan ataku.

- Murphy, kiedy dotrzemy do tego obniżenia terenu koło drogi, ty ze swoim plutonem pobiegniecie na lewo, w stronę bramy z tyłu obozu. O'Connell, Schmidt - wasze plutony wchodzi na teren obozu przez główną bramę, gdy tylko zostanie otwarta. O'Connell, już na terenie obozu twoi ludzie zajmą się stroną na prawo od drogi, to znaczy tą, gdzie są baraki Japończyków. Schmidt, twój pluton idzie za mną, to znaczy na lewo od drogi, i uwalniamy jeńców. Zwiadowcy mogą iść ze mną.

Teraz Prince wyznaczył jednostkę uzbrojoną w bazooki, aby błyskawicznie dotarła do blaszanego baraku i zniszczyła czołgi, o ile jakieś tam będą.

- Najważniejsze to zmusić jeńców do tego, żeby szli - ciągnął Prince. - Zbierzcie ich razem, popychajcie, nieście, nie wiem, zresztą wszystko jedno. Musimy doprowadzić ich nad brzeg rzeki Pampang, a tam już na najsłabszych będą czekać wozy zaprzężone w woły. Murphy, ty rozpoczynasz akcję - rozkazał Prince. - O dziewiętnastej trzydzieści oddasz jeden strzał. To będzie sygnał. Kiedy wyprowadzimy wszystkich jeńców, ja zapalę czerwoną flarę, co będzie oznaczało, że akcja skończona i się wycofujemy. I pamiętajcie, zabieramy wszystkich jeńców, żaden nie może zostać.

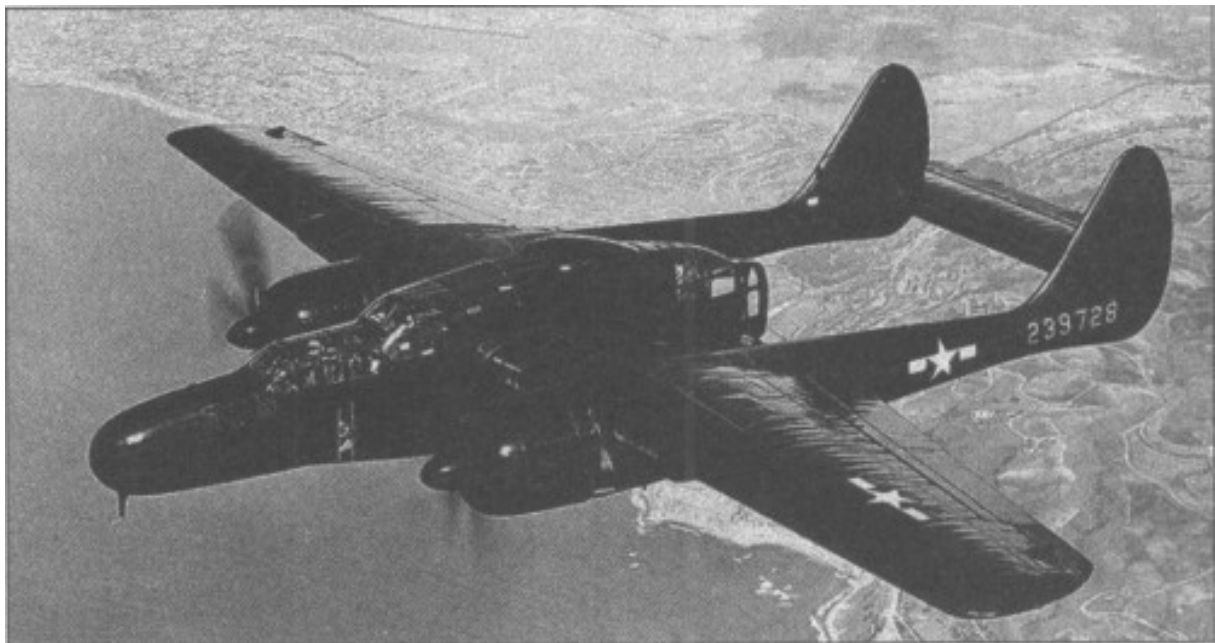
\*\*\*

Trzydziestego stycznia zaraz po wschodzie słońca rangersi zjedli śniadanie składające się z kawy, jajek i owoców dostarczonych przez mieszkańców wioski Platero. Czekający w pobliżu obozu Zwiadowcy Alamo mieli na śniadanie swoje racje żywnościowe. Nellist i Rounsaville wrócili z Platero i przedstawili swoim ludziom plan akcji oraz na czym ma polegać ich udział, a potem, tak jak i rangersi, usiedli i czekali.

Przez cały dzień zwiadowcy obserwowali obóz, czy czasem nie dzieje się tam coś nadzwyczajnego, ale nic takiego nie miało miejsca.

Kiedy miało się ku zachodowi, do zwiadowców dołączył Prince (Mucci i Dove zostali w Platero) ze swoimi ludźmi, a o zmierzchu przez pole ruszyło, nosem niemal dotykając ziemi, stu dwudziestu jeden rangersów i trzynastu Zwiadowców Alamo. Trawa była wysoka i można się w niej było ukryć, ale im bliżej drogi, tym stawała się krótsza.

- Gdzie, do cholery, jest ten samolot, co miał odciągać uwagę Japończyków?



*Myśliwiec nocny Northrop P-61 Black Widow*

Tymczasem samolot jak gdyby czekał na sygnał. Punktualnie o osiemnastej trzydzieści dał się słyszeć z góry ryk silników Northropa P-61 Black Widów z 547. nocnej eskadry myśliwców i po chwili maszyna zatoczyła koło nad obozem. Do uszu rangersów i zwiadowców dobiegły okrzyki radości jeńców. Samolot nazywał się „Hard to Get”, pilotował go dwudziestosześcioletni Kenneth Schreiber. Oczy wszystkich w obozie, zarówno jeńców, jak i Japończyków, były utkwione w samolot, przy czym ci pierwsi patrzyli na dwusilnikową maszynę z radością, a drudzy z wściekłością; tymczasem samolot przelatywał na obozem, skręcał, zawracał, to schodził niżej, to znów wzlatywał wyżej, a Japończycy nie odrywali wzroku od tych akrobatycznych ewolucji.

Prince dał sygnał i pobiegli zgięci wpół.

Pilot P-61 widział z góry biegnących rangersów, polatał jeszcze chwilę i znikł na szybko ciemniejącym niebie.

Kiedy rangersi podeszli pod obóz, nagle gdzieś w jego centrum rozległ się dźwięk dzwonu. Atakujący zamarli na swoich miejscach. Spodziewali się, że lada chwila całe pole omiotą światła reflektorów, ale tak się nie stało. Później Prince dowiedział się, że ten dzwon to był pomysł jednego z jeńców, który służył w marynarce, i w ten sposób dawano sygnał zmiany warty.

Najgorsze było ostatnie dwieście metrów. Trawa była tu niska. Co prawda panowała smolista ciemność, ale księżyc miał wzejść lada chwila, wobec tego liczył się czas.

Pokonanie pola zajęło godzinę. Gdy ludzie Prince'a dotarli do zagłębienia terenu, panowała już kompletna ciemność i w obozie paliły się światła. Jedynie droga dzieliła jeszcze atakujących od głównej bramy. Widzieli nawet jarzące się punkciki papierosów, które palili wartownicy. Wewnątrz obozu Japończycy, niektórzy ubrani tylko w przepaski na biodra z powodu upału, śmiali się i rozmawiali. Z radia czy też z gramofonu dobiegała wschodnia muzyka. Nawet strażnicy na wieżach wydawali się zrelaksowani.

Dotarłszy do rowu, pluton Murphy'ego skręcił w lewo i szedł wzdłuż boku ogrodzenia obozu, gdy nagle jakiś dźwięk, rzeczywisty czy też wymaginowany, zwrócił uwagę strażnika, który krzyknął coś i zrobił parę kroków w stronę Amerykanów. Murphy, przeklinając w duchu, wycelował lufę karabinka w stronę strażnika, położył palec na spuście i czekał, wstrzymując oddech. Ta cierpliwość się opłaciła: strażnik najwidoczniej stwierdził, że mu się tylko wydawało albo to jakieś zwierzę przechodziło obok, i zawrócił.



*Ręczny karabin maszynowy BAR*

Ludzie Murphy'ego w końcu zajęli ustalone pozycje, ale sam Murphy,



zdenerwowany, że to on ma dać sygnał do rozpoczęcia ataku, postanowił zaczekać nieco dłużej aniżeli do dziewiętnastej trzydzieści, aby wszyscy na pewno zdążyli zająć swoje pozycje. Tymczasem pozostali rangersi czekali nieopodal głównej bramy, a nerwy mieli napięte jak postronki, i dziwili się, dlaczego Murphy się spóźnia. I wreszcie około dziewiętnastej czterdzieści, a więc dziesięć minut po umówionym czasie, Murphy wymierzył w żołnierza siedzącego na terenie obozu na ławce i strzelił. W nocnej ciszy salwa z karabinka zagrziała tak, że niemal pękały uszy. Trafiony żołnierz podskoczył i padł na ziemię. Strażnik na wieży coś krzyknął, ale salwa rozniosła bambusową ścianę i wartownik spadł prosto na dach baraku.

Rangersi czekający przy głównej bramie, słysząc pierwszy strzał, otworzyli ogień. Strażnik stojący przy budce koło bramy padł martwy. Kittleson i sierżant Ted Richardson z rangersów rzucili się naprzód. Richardson miał za zadanie otworzyć bramę; walnął w nią swoim Thompsonem, ale brama ani drgnęła. Wobec tego wyciągnął z kabury pistolet Colt kaliber 11,43 mm, wycelował w zamek i strzelił. Japoński strażnik w obozie zaczął strzelać, mierząc w Richardсона. Jeden z pocisków uderzył w pistolet, który wyleciał mu z rąk i wylądował kilka metrów dalej. Kittleson i inny rangers uzbrojony w BAR-a zaczęli strzelać w stronę Japończyka, który padł odrzucony przez impet pocisków. Amerykanie ponownie ostrzelali bramę (Richardson znalazł już swój pistolet) i otworzyli ją. Opierała się, bo tuż za nią leżało ciało zabitego Japończyka, wobec tego otworzyli ją na zewnątrz i wpadli z krzykiem na teren obozu.

W powietrzu świstały pociski i rozlegały się krzyki; wrzeszczeli zarówno rangersi, jak i Japończycy, przy czym niektórzy krzyczeli z bólu. Rangersi kopnięciem otworzyli drzwi baraku, który zajmowali Japończycy, posłali wzdłuż ścian serię, po czym wrzucili granaty. Za parę chwil bambusowymi ścianami budynku zawładnęły płomienie.

\*\*\*

Teraz walka toczyła się również na moście Cabu. Słysząc było strzelaninę, a potem doszedł do tego jeszcze głuchy huk - to partyzanci Pajoty podłożyli ładunki wybuchowe. Most nadal stał, ale był bardzo zniszczony i podziurawiony, a więc czołgi nie mogły już po nim przejechać. Japończycy zgromadzili się po drugiej stronie i z głośnym „*Banzai*” rzucili się na przeciwnika. Ludzie Pajoty tylko na to czekali.

Ustawieni w odwróconą literę „V” zasypali wroga gradem pocisków z karabinów i z broni maszynowej, zmuszając go do cofnięcia się. Rozwścieczeni Japończycy przypuszczali atak za atakiem, tracąc mnóstwo ludzi; trupy leżały jeden na drugim zarówno na moście, jak i pod nim.

Nie udało im się także próba otoczenia partyzantów.

\*\*\*

Tymczasem w obozie rangersi pędzili naprzód, wysadzając w powietrze baraki i szpikując wrogów pociskami. Atak zaskoczył Japończyków, którzy nie mieli żadnego planu obrony i wielu z nich zginęło.



*Obsługa bazooki – celowniczy i amunicyjny*

W całym tym zamieszaniu rangersi z bazookami pobiegli w stronę blaszanego baraku. Gdy amunicyjny wsunął pocisk do lufy, z garażu wyjechały pędem dwie ciężarówki pełne żołnierzy piechoty i popędziły w stronę głównej bramy. Sierżant Stewart (celowniczy) wymierzył w pierwszy z pojazdów i wypalił. Rakieta rozerwała ciężarówkę, która stanęła w płomieniach. Amunicyjny szybko załadował następny pocisk i klepnął Stewarta po ramieniu, co miało oznaczać, że granatnik jest gotów do strzału. Sierżant wycelował w drugą ciężarówkę i nacisnął spust. Rakieta w mgnieniu oka pokonała dzielący ją od ciężarówki dystans i uderzyła w nią, wysadzając maszynę w powietrze. Siła wybuchu rzuciła resztki pojazdu na pierwszą ciężarówkę, co spowodowało olbrzymi słup płomieni i odłamków. Amunicyjny jeszcze raz załadował granatnik i Stewart posłał trzecią rakietę w stronę

blaszanego baraku, który rozleciał się wśród płomieni i dymu. Teraz obydwaj mężczyźni sięgnęli po karabiny i zaczęli strzelać do Japończyków, którzy w płonących ubraniach powyskakiwali z palących się ciężarówek.

\*\*\*

Porucznik Schmidt ze swoimi ludźmi dotarł do baraków jeńców. Kazał im iść w stronę bramy, ale wielu z nich, przerażonych myślą, że Japończycy ich zabiją, nie chciało iść, a niektórzy nawet próbowali się schować albo się opierali.

- Idźcie do bramy. Ratujemy was - wrzeszczał jeden z rangersów.

Z boku dał się słyszeć okrzyk „*Banzai*”. Rangers odwrócił się i zobaczył biegnącego Japończyka z karabinem. Krótka seria zakończyła sprawę.

Jeńcy byli wycieńczeni i słabi, wielu wymagało pomocy, bo sami nie byli w stanie iść. Niektórych rangersi nieśli na plecach. Kapitan Jim Herrick niósł jakiegoś człowieka, który zmarł kilkadziesiąt metrów za bramą; jego wycieńczony organizm poddał się w tej samej chwili, w której nadeszła wolność.

- Nie zostawię go - usłyszał Kittleson słowa rangersa - nie zostawimy tu nikogo.

Japończycy zaczęli strzelać z moździerzy zarówno w rangersów, jak i w jeńców. Pierwsze pociski rozerwały się, a jeden z odłamków ugodził Rounsaville'a w pośladki. Rounsaville zawył i upadł.

- Ja go wezmę - krzyknął Nellist, podbiegając do przyjaciela.

Przekręcił Rounsaville'a, rozciął mu zakrwawione spodnie nożem i zobaczył sterczący z rany odłamek.

- Lekarza nie ma, ja przeprowadzę operację.

- Och, świetnie - jęknął Rounsaville.

- Hej! - powiedział Nellist, uśmiechając się szeroko. - Pomyśl tylko, jak będzie cię rozpierała duma, gdy przypną ci na tyłku Purpurowe Serce.

Zrobił opatrunek i powiedział:

- No, to teraz nad rzekę.

Odłamek innego pocisku moździerzowego ugodził zwiadowcę Alfreda Alfonso w brzuch i teraz Alfonso zwijał się z bólu, uciskając zranione miejsce rękami. Jeden z rangersów dostał odłamkiem tego samego pocisku. Podbiegł lekarz i zajął się obydwojma rannymi. Po opatrzeniu ran Alfonso został zabrany na noszach.

Kiedy moździerz wystrzelił trzeci raz, Nellist oraz inni dostrzegli, gdzie znajduje się jego stanowisko; ostrzelali je i moździerz zamilkł. Jednak odłamek jego ostatniego pocisku poważnie ranił jedyne go lekarza rangersów, kapitana Jamesa Fishera, którego także

wyniesiono na noszach.

Według Kittlesona to wszystko wyglądało „tak, jakby rozwarły się bramy piekieł”.

Widział, jak niedaleko od niego zastrzelony został kapral Roy Sweezy z rangersów, jeden z dowódców oddziału Murphy’ego. Umarł, zanim zdążył dobiec do niego jego przyjaciel, kapral Francis Schilli. Schilli udzielił mu ostatniego namaszczenia, używając do tego wody z manierki, a potem zarzucił sobie ciało kolegi na plecy i poszedł.

Nikogo nie zostawiono na placu boju.

Przy głównej bramie zwiadowca sierżant Harold Hard zobaczył jeńca, dosłownie skóra i kości. Wydawało się, że za chwilę upadnie. Hard chwycił go za ramię i przeraził się, bo dłonią mógł objąć tamtego w przedramieniu. Ostrożnie wyprowadził nieszczęśnika poza teren obozu.

Kittleson pomógł innemu jeńcowi dotrzeć do rzeki, a ten opowiedział, jak Japończycy zmuszali ich, nie wyłączając chorych, do pracy na polach. Jeśli ktoś na chwilę podnosił głowę, by spojrzeć w niebo, bili.



*Uwolnieni jeńcy z obozu Cabanatuan. W tle widoczne wozy do transportu jeńców*

Wielu jeńców miało na sobie strzępy dawnych mundurów, ale niektórzy tylko białą bieliznę, i właśnie w te białe plamy celowali Japończycy. Kittleson powiedział jeńcom, aby

zdjęli spodniki, co też zrobili; całkiem nadzy doszli do rzeki i dopiero tam, już poza zasięgiem strzałów, się ubrali.

Nad rzeką, tak jak obiecał Pajota, czekało dwadzieścia pięć wymoszczonych słomą ryżową wozów zaprzęzonych w woły. Najslabsi i chorzy pojechali na wozach (po pięciu-sześciu na każdym wozie), które ruszyły, gdy Prince zapalił czerwoną flarę. I tak kawalkada złożona z 516 jeńców udała się w stronę Balincarinu.

Tymczasem zwiadowcy osłaniali wywóz jeńców i zostali na brzegu na wszelki wypadek, przygotowując granaty i zapasową amunicję. Czekali w ciemnościach, obserwując rzekę i pożar na terenie obozu; nie było tylko wśród nich Rounsaville'a i Alfonsa - ranni znajdowali się już pod opieką lekarzy w Platero.

\*\*\*

A w obozie pozostał jeden jeńiec, Edwin Cherry, brytyjski żołnierz wzięty do niewoli w 1942 roku po zdobyciu Singapuru i wysłany wraz z innymi brytyjskimi jeńcami na Filipiny jako przymusowy robotnik. Kiedy rangersi zdobywali obóz, Cherry, chory na ostrą dyzenterię, był w latrynie, a ponieważ był niemal kompletnie głuchy - nie słyszał, co się działo na zewnątrz. Po wyjściu z latryny poszedł do baraku i położył się na pryczy; co prawda widział ciała zabitych Japończyków i płomienie, ale nie wiedział, co się dzieje i co ma robić.

\*\*\*

Upłynęła godzina od zakończenia ataku, gdy Jack Dove poszedł do zespołu Nellista.

- Żadnego śladu żółtków? - spytał.

- Nie. Cisza i spokój.- Dobra. Brytyjscy jeńcy mówią, że jednego brakuje. Jakiegoś starszego człowieka, niezbyt rozgarniętego. Idę go poszukać.

I Dove szybko przeszedł przez rzekę i pobiegł przez pole otaczające obóz. Szybko odnalazł Cherry'ego i przyprowadził.

Teraz już na pewno nikt nie został.

Nellist wraz ze swoim zespołem czekali jeszcze ze dwie i pół godziny, a potem wycofali się do Platero. Łatwo było maszerować drogą, którą jechały wozy i szli byli jeńcy, tym bardziej że miejscowa ludność błyskawicznie usuwała wszystkie pozostawione na drodze nieczystości i starała się zatrzeć wszelkie ślady tego marszu, bojąc się odwetu ze strony Japończyków.

W wiosce zwiadowcy zastali około setki najciężej chorych. Filipińczycy skierowali Nellista do chaty służącej za szpital. Wejście zasłaniał koc, aby z zewnątrz nie było widać palącego się w środku światła. Nellist znalazł leżących obok siebie Alfonsa i Rounsaville'a. Przy naprędce skleconym stole „operacyjnym” miejscowy lekarz doktor Carlos Layug oraz

dwaj byli jeńcy, doktor Merle Mussleman oraz doktor Herbert Ott (weterynarz wojskowy), operowali doktora Fishera. Obok stał też kapelan z obozu jenieckiego, Hugh Kennedy. Wszystkiemu przyglądał się, stojąc z boku, major Stephen Sitter z rangersów.

- Jak tam, chłopaki, w porządku? - spytał Nellist Rounsaville'a.

- Taaaak, jeśli chodzi o mnie, to w porządku, a Al też z tego wyjdzie.

- A jak z nim? - zapytał Nellist, wskazując w stronę stołu.

Rounsaville tylko potrząsnął głową.

Nellist wyszedł.

Około pierwszej nad ranem podeszli do niego kapelan Kennedy i doktor Mussleman.

- Jak pacjent? - zapytał Nellist. - Musimy się stąd zabierać, zanim znajdą nas Japończycy. Im dłużej tu jesteśmy, tym gorzej.

- Zrobiłem wszystko, co mogłem - powiedział Mussleman. - Nie ma już znaczenia, czy go stąd zabierzecie, czy zostanie.



*Lekarz rangersów kapitan James Fisher (z lewej) wraz z kapitanem Robertem Prince'm kilka godzin przed wyruszeniem do Cabanatuanu*

- Teraz wszystko w rękach Boga - dorzucił Kennedy.

- Kit - zwrócił się Nellist do Kittlesona - znajdź coś, czego moglibyśmy użyć w charakterze noszy.

Kittleson kiwnął głową i wraz z kilkoma kolegami wyszukali najelegantszy dom w miasteczku, z pięknymi, drewnianymi, rzeźbionymi w hiszpańskim stylu drzwiami. Ostrożnie

położyli Fishera na tych drzwiach, które musiało nieść sześciu ludzi, i cała ta niewielka kolumna ruszyła w pięciokilometrowy marsz do Balincarinu.

Zajął im on około godziny. Gdy przybyli, dowiedzieli się, że kolumna Mucciego wyruszyła wcześniej, ale zostawili dla nich radiostację. Sitter zaproponował, żeby skontaktować się z dowództwem 6. Armii, aby przysłali po Fishera samolot. Nellist się zgodził i nawiązał łączność ze sztabem. Samolot miał przylecieć o świcie. Do tego czasu Filipińczycy, zarówno mężczyźni, jak kobiety i dzieci, z łopatami, siekierami, a nawet gołymi rękami przygotowywali dla niego pas startowy. Tymczasem jeden ze zwiadowców oddał krew dla Fishera.

Na godzinę przed świtem pas był gotowy, ale samolot nie przyleciał. A zresztą to już nie miało znaczenia, bo nagle Fisher nieco się podniósł, oparł na łokciu i powiedział słabym głosem:

- Powodzenia w wydostaniu się stąd.

A potem położył się na wznak i umarł.

Jego ciało owinięto w płótno i pochowano w wykopanym grobie. Kennedy odprawił krótką mszę i wygłosił mowę; zresztą nie było to dla niego nic trudnego - spędziwszy cztery lata za kolczastymi drutami obozu, czynności te opanował do perfekcji. Potem Amerykanie odeszli.

Teraz droga nie była już taka trudna. Andy Smith przy pomocy miejscowych wykombinował jeszcze kilka wozów, dzięki czemu najsłabsi nie musieli iść.

Słońce stało wysoko, toteż Nellist wybierał drogę jak najbliżej amerykańskich linii oraz ściany lasu, albo biegnącą przez pagórkowaty teren, bo zwiększało to szanse ukrycia się. Raz idący na szpicie Kittleson i Sabas Asis dali znak, aby wszyscy padli na ziemię. Po lewej stronie od nich, po błotnistym terenie przechodził japoński patrol, ale znikł w lesie. Kolumna poczekawszy chwilę, ruszyła dalej.

W południe od amerykańskich linii dzieliło ich jeszcze szesnaście kilometrów. Dawni więźniowie byli wyczerpani, zwiadowcy usiłowali ich rozweselić.

- Na kolację będzie befsztyk i lody, a potem czyściutka pościel i ładna pielęgniarka. Jeśli będziecie mieć fart, to i jedno, i drugie od razu - żartował Smith.

Poskutkowało i na twarzach ludzi, którzy od 1942 roku niewiele mieli okazji do radowania się, pojawił się cień uśmiechu.

Gdy kolumna dotarła do rozwidlenia drogi, okazało się, że blokuje je dwunastu filipińskich partyzantów, członków Ludowej Armii Antyjapońskiej, znanej pod nazwą Hukbalahap, a dowodzonej przez Luisa Taruca, wyznawcę komunistycznych poglądów, co

nie podobało się ani Japończykom, ani aliantom. W czasie jednej z potyczek z siłami Laphama „Hukowie” jak ich w skrócie nazywali żołnierze, zastrzelili amerykańskiego oficera. Bez skrupułów też łupili filipińskie wioski, mordując albo torturując tych, którzy się tym grabieżom przeciwstawiali.

A teraz grupa tych partyzantów zablokowała drogę. Naprzeciwko Nellista stanął mężczyzna w dżinsach i w bluzie marines, tylko bez naszywek. Szrama na twarzy, Garand w ręku i przepasany przez pierś pas nabojoyowy nadawały mu niezwykle groźny wygląd.

- To jest teren Hukbalahap - oznajmił, zataczając koło lufą garanda. - Nie wolno wam tędy chodzić.

Nellist popatrzył na Człowieka z Blizną. Stojący po obu jego stronach Kittleson i Cox zacisnęli ręce na swoich Thompsonach.

- Przepuść nas, ty drobny skurwysynu - warknął Nellist. - Do cholery, jesteśmy armią Stanów Zjednoczonych i przejdziemy tędy, więc spieprzaj nam z drogi, do diabła.

Filipińczyk obrzucił Nellista twardym wzrokiem i ani drgnął. Kittleson przeładował Thompsona i wycelował w Człowieka z Blizną.

- Bill, odsuń się. Wytnę ich wszystkich - powiedział.



*Od lewej: dowódcy zespołów Zwiadowców Alamo: Tom Rounsaville, Bill Nellist, Robert Sumner i John Dove w chwilę po tym, gdy wszyscy zostali odznaczeni Brązową Gwiazdą. Rounsaville, Nellist i Dove otrzymali ją za udział w uwolnieniu jeńców pod Cabanatuanem, Sumner – za akcję na wyspie Pegun, 1 stycznia 1945*



Człowiek z Blizną spojrział na Kittlesona, potem znowu na Nellista i na wyraz jego oczu. Nie wróżył niczego dobrego. Teraz popatrzył na Coxa, który również wycelował w niego broń. Nikt się nie poruszył i napięcie narastało, aż wreszcie Człowiek z Blizną, zdając sobie sprawę, że w razie strzelaniny to on zginie pierwszy, z wściekłością usunął się na bok, a Nellist dał znak kolumnie, żeby iść dalej. Byli jeńcy i wozy przesuwali się wolno. Cox i Kittleson pilnowali, żeby żaden z ludzi Człowieka z Blizną nikogo nie skrzywdził. Gdy wszyscy przeszli, Kittleson zasalutował szyderczo szefowi bandy, po czym wraz z Coxem dołączyli do kolumny, nieustannie śledząc, co robią partyzanci, do czasu, aż całkiem zniknęli im z oczu.

Mniej więcej godzinę potem cała kolumna dotarła do amerykańskich linii w Talaverze.

\*\*\*

Piątego lutego Jack Dove wrócił do znajdującego się już teraz w amerykańskich rękach Cabanatuanu. Chodząc razem z porucznikiem Charlesem Hallem z wywiadu 6. Armii po pustym teraz obozie, szukali dokumentów, map i innych rzeczy. Dove znalazł świadectwa zgonu sporządzone przez obozowych lekarzy. Pisali je na odwrocie etykiet z puszek z mlekiem. Dove wyładował tymi dokumentami całą torbę.



*Rangersi z wizytą u prezydenta Franklina Delano Roosevelta*

Wrócił tam jeszcze raz trzy dni później, ale tym razem po to, aby zapłacić chłopom,

którzy wypożyczyli wozy w charakterze podwodów. Każdy z wieśniaków otrzymał pięć peso.

\*\*\*

Informacja o ataku na obóz pod Cabanatuanem była sensacją, która trafiła na pierwsze strony wszystkich gazet. W sumie uwolniono 516 jeńców: 489 Amerykanów, 23 Brytyjczyków, 2 Norwegów, 1 Holendra oraz 1 Filipińczyka i wszystkich przetransportowano w bezpieczne miejsce, chociaż dwóch nieszczęśników zmarło na atak serca w drodze ku wolności.

Amerykanie czytający te wiadomości nagle dowiedzieli się o czymś, o czym do tej pory nic nie wiedzieli - o Zwiadowcach Alamo.

Całe to wydarzenie było taką sensacją, że dwunastu rangersów (wśród nich Prince'a) i dwóch zwiadowców (Harolda Harda i Gila Coxa) wysłano do Stanów Zjednoczonych, aby tam wzięli udział w licznych audycjach. Prince i Hard wystąpili w popularnym programie radiowym stacji NBC zatytułowanym *My, naród*, gdzie po odśpiewaniu przez Kate Smith *Boże błogosław Amerykę* musieli odtworzyć dokładnie cały przebieg akcji w Cabanatuanie.

Siódmego marca byli w Waszyngtonie. Zawieziono ich do Białego Domu, gdzie przyjął ich prezydent Franklin Delano Roosevelt. Wraz z prezydentem był też generał Joseph „Octowy Joe” Stillwell, którego dokonania na arenie teatru wojennego w trójkącie Chiny-Birma-Indie owiane już były legendą, oraz piosenkarz Bing Crosby.

Prezydent, nie wstając z fotela, powiedział: „Chcę uścisnąć dłoń każdemu z was. Zrobiliście fantastyczną robotę”.

Ten objazd po kraju zakończył się 22 kwietnia w Minneapolis i po trzydziestodniowym urlopie bohaterowie wrócili do swoich jednostek.

- Cholernie dobrze było znaleźć się tam znowu - wspominał Cox po latach.

A wojna trwała.

# ROZDZIAŁ 14

## „Jeśli mi się nie uda, ty musisz skończyć”

### Akcja ratunkowa na Los Baños, 23 lutego 1945

Ponad połowa tych, którzy ukończyli ASTC, nie znalazła się w żadnym z zespołów. Do tej grupy należał Terry Santos. Zdaniem niektórych po prostu nie został wybrany, zdaniem innych stało się tak z powodu żądań jego przełożonych. Z kolei sam Santos twierdzi, że stało się tak, bo on tak chciał.

Santos zgłosił się do komisji poborowej w swoim rodzinnym San Francisco w 1942 roku. Po ukończeniu podstawowego szkolenia w Camp Roberts w Kalifornii dwudziestoletni wówczas Santos poszedł do swojego sierżanta i powiedział, że chciałby służyć w lotnictwie, ale sierżant położywszy mu rękę na ramieniu, stwierdził:

- Synu, pozostaniesz w piechocie i umrzesz jako piechur.

„Serdeczne dzięki”, pomyślał sobie Santos.

Po pewnym czasie niespokojny rekrut znowu się zgłosił, tym razem z inną propozycją. Przeczytał plakat przypięty do tablicy ogłoszeń, wzywający do zaciągania się na ochotnika do wojsk powietrznodesantowych, i pomyślał sobie: „Co, do cholery, jeśli nie mogę latać cały czas, to przelecę się choć kawałek”.

Znowu zgłosił się do sierżanta, a ten spytał go:

- Czy ty jesteś przy zdrowych zmysłach?

- Tak, sierżancie - odpowiedział Santos - i po prostu chcę spróbować czegoś innego.

Sierżant widząc, że nie zdoła odwieść Santosa od tego zamiaru, w końcu stwierdził:

- Przecież skakanie ze sprawnego samolotu, który nie ma zamiaru się rozbić, nie ma sensu.

- A właśnie to jest coś, czego mi potrzeba - upierał się Santos.

Jednak okazało się, że uzyskując zgodę sierżanta, pokonał dopiero pierwszą z wielu przeszkód. Następną była waga Santosa. Ważył o kilogram mniej, niż wymagano w wojskach powietrznodesantowych.

- Panie doktorze, schudłem, bo dużo ćwiczyłem - wmawiał Santos badającemu go lekarzowi.

Lekarz wbił w niego wzrok i spytał:

- Naprawdę tak bardzo chcesz się dostać?

- Tak, proszę pana, bardzo.

- Dobrze - odpowiedział lekarz. -

Wobec tego piszę, że ważysz pięćdziesiąt dziewięć kilogramów, ale kiedy trafisz do obozu szkoleniowego, to lepiej żebyś ważył te pięćdziesiąt dziewięć kilogramów.

- Będę, panie doktorze - obiecał Santos.

Tydzień później Santos dostał przydział do 11. Dywizji Powietrznodesantowej. Wysiadł z pociągu na maleńkiej stacyjce Toccoa, w stanie Georgia, w wiejskim regionie Gór Błękitnych. Tam wraz z innymi kandydatami

do wojsk powietrznodesantowych wdrapał się na półciężarówkę, która zawiozła ich do obozu szkoleniowego. Zostawił plecak w jednym z baraków i zgłosił się na badania lekarskie. Okazało się, że nie tylko nie spełnił swojej obietnicy przytycia kilograma, ale stracił jeszcze jeden. Wobec tego szybko pospieszył z wyjaśnieniami.

- Wiesz, że powinieneś ważyć pięćdziesiąt dziewięć kilogramów, a ważysz pięćdziesiąt siedem? - zapytał lekarz.

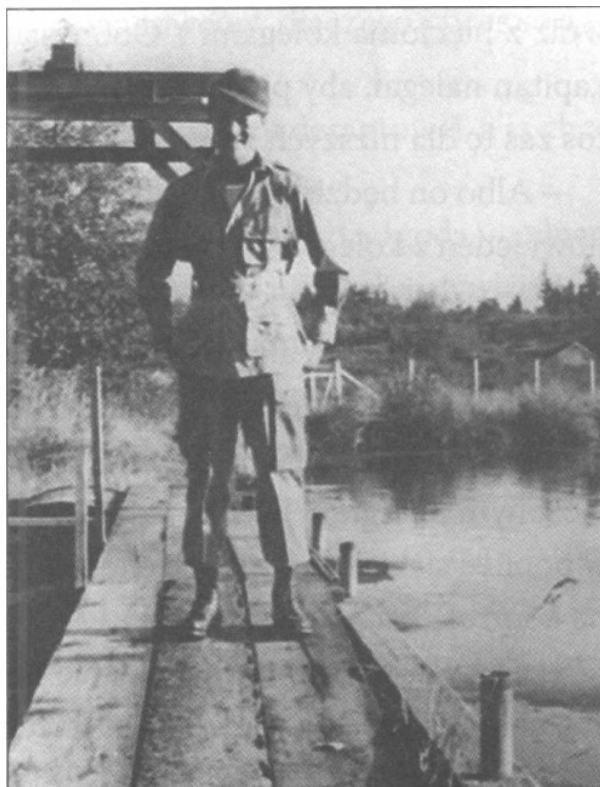
- Musiałem schudnąć, jadąc tu, panie doktorze. Jedzenie było okropne, nie miałem apetytu, a dotarcie tutaj zajęło mi tydzień.

Lekarz popatrzył na niego i stwierdził:

- W porządku.

Ponieważ nie było żadnej zorganizowanej grupy treningowej, Santos zajął się sam sobą, to znaczy zaczął dbać o swoją kondycję fizyczną. Obóz był położony u podnóża góry Currahee, co w języku Indian Czerokeeów znaczy „stojąca samotnie”. Santos codziennie rano wbiegał ścieżką na górę, a potem zbiegał w dół, pokonując w sumie ponad dziewięć kilometrów.

Był już ze dwa tygodnie w Toccoa, gdy zobaczył kolejny plakat mówiący o poszukiwaniu ochotników do „jednostki specjalnej”. Zgłosił się i został przeniesiony. Ta



*Sierżant Terry Santos. Filipiny, prawdopodobnie rok 1944*

jednostka specjalna okazała się Biurem Służb Strategicznych (OSS), a szkolenie w Fort Benning w Georgii było dokładnie tak ciężkie, jak Santos się spodziewał, i w jego skład wchodziły również skoki ze spadochronem (cztery w nocy i jeden w dzień).

Po ukończeniu szkolenia czekały awanse, otrzymywało się stopień podporucznika, ale Santos odmówił.

- Jako oficer nie miałbym swobody - tłumaczył w 2007 roku - a tak miałem. Jeśli chciałem, to nawet mogłem powiedzieć, żeby się wypchali.

Upierał się, by pozostać kapralem, chociaż przez OSS był uważany za sierżanta.

Na wojnę popłynął w styczniu 1943 roku na pokładzie starego niszczyciela, pamiętającego jeszcze pierwszą wojnę światową. Gdy Santos wraz z pięcioma kolegami z OSS wsiadł na okręt na Treasure Island, kapitan nalegał, aby pięciu poruczników zajęło kajuty oficerskie, Santos zaś tę dla niższych stopniem.

- Albo on będzie z nami, albo my idziemy z nim - oznajmił kapitanowi jeden z kolegów Santosa, ale jednak zwyciężyło zdanie kapitana.

Pierwszy postój wypadł w Numei na Nowej Kaledonii, potem popłynęli do Australii, ale po drodze okręt zawrócono na Nową Gwineę. Tam zatrzymali się jeszcze krócej. Na ich powitanie MacArthur wysłał oficera sztabowego. Sam nie ufał OSS, nie znosił jego powiązań z Połączonym Kolegium Szefów Sztabów i nie życzył sobie nikogo stamtąd w pobliżu siebie. W swojej strefie wpływów chciał sprawować absolutną kontrolę nad wywiadem.

- Ci z was, którzy chcą pozostać w OSS i pojechać do CBI<sup>39</sup>, niech zostaną na okręcie - powiedział oficer. - Jeśli ktoś nie chce, to może wstąpić do 6. Armii.

Trzech, w tym Santos, chciało pozostać w 6. Armii, ale wkrótce dowiedziawszy się o Zwiadowcach Alamo, zgłosili się do nich.

- Zgłosiłem się, bo byłem ciekaw, czy zostaną przyjęty, gdyż wymogi były dość wyśrubowane - wspominał po latach Santos, który trafił na czwarty kurs wraz z Billem Nellistem i Tomem Rounsaville'em.

Santos lubił trening zwłaszcza w szczególnie trudnych warunkach. On i jego współtowarzysze jako jedyni szkolący się w ASTC podczas przeprowadzania szkoleniowych działań rozpoznawczych wdali się w wymianę ognia z japońskim patrolem i zabili kilku japońskich żołnierzy.

Po ukończeniu ASTC Santos usłyszał, że jego dawna jednostka, to znaczy 11. Dywizja Powietrznodesantowa, została postawiona w stan pogotowia w związku z

---

<sup>39</sup> CBI - China Burma India - teatr alianckich działań wojennych obejmujący Chiny, Burmę i Indie (przyp. JB).

planowanym desantem. Nie znoszący bezczynności żołnierz poszedł do Reda Williamsa, dowódcy Zwiadowców Alamo, i poprosił o możliwość powrotu do dywizji.

- Jesteś jednym z najlepszych zwiadowców, dlaczego chcesz wracać do Jedenastki? - spytał Williams.

- Sądzę, że weźmie udział w wielkiej operacji desantowej, a ja chcę w tym uczestniczyć - brzmiała odpowiedź Santosa.

- Bardzo nie chcę cię stracić, ale jeśli tak chcesz, to zgoda - odparł Williams i odesłał Santosa, który wrócił do swojej ukochanej dywizji. Jednak do „wielkiej operacji” nigdy nie doszło, a on sam, ze względu na swoje wyszkolenie, został przydzielony do 11. tymczasowego powietrznodesantowego plutonu rozpoznania liczącego dwudziestu sześciu szeregowych i trzech podoficerów, którymi dowodził porucznik George Skau.

W terminologii wojskowej „jednostka tymczasowa” to taka, która praktycznie nie istnieje. Na przykład Zwiadowcy Alamo byli tymczasową jednostką 6. Armii, figurowali na jej liście płac, ponieważ wypełniali „powierzone im zadania”.

Na pomysł plutonu złożonego ze zwiadowców, podobnego do Zwiadowców Alamo, wpadł generał dywizji Joseph Swing. Tak jak Kruegerowi chodziło mu o utworzenie małej, doskonale wyszkolonej jednostki, składającej się wyłącznie z ochotników, którą mógłby posyłać tam gdzie chciał, bez żadnych zbędnych wyjaśnień i tłumaczeń. Na papierze ci zwiadowcy wykonywali w dywizji inne obowiązki, ale tak naprawdę byli „duchami”, którzy przenikali niepostrzeżenie tam, gdzie było to niezbędne, byli tam, aczkolwiek niezauważeni przez nikogo.

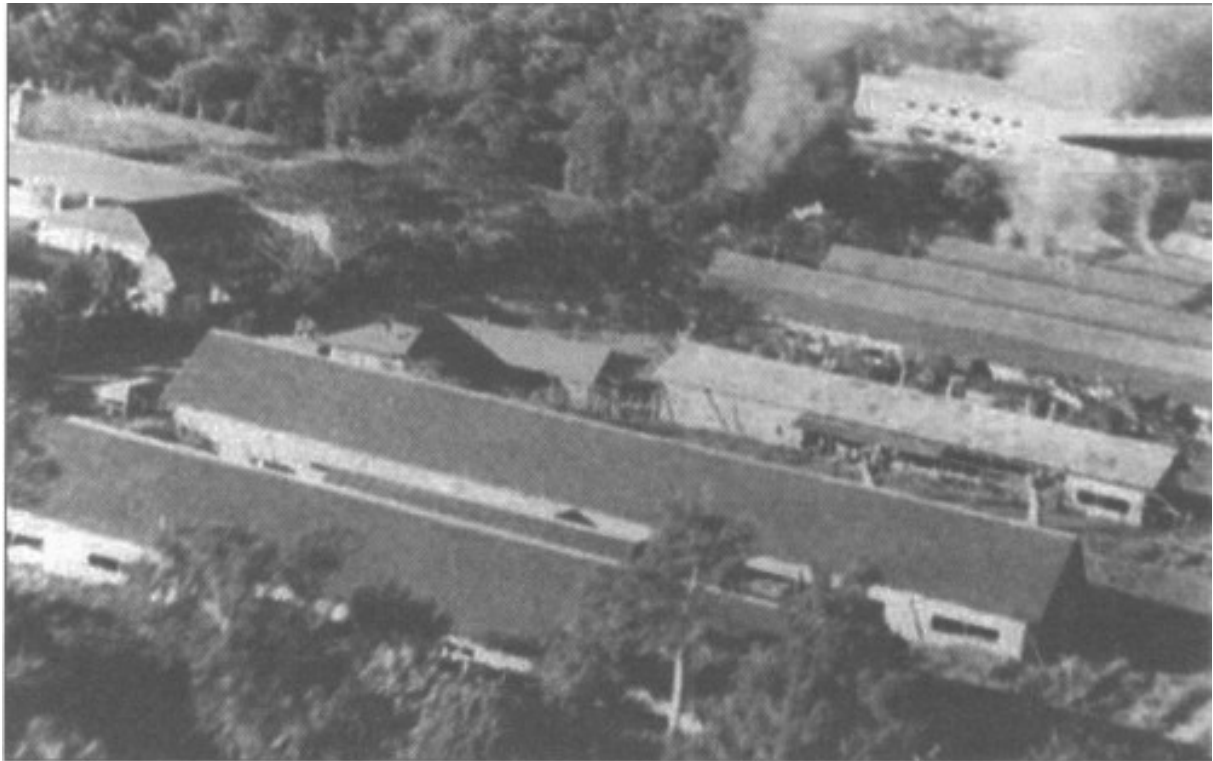
\*\*\*

Wywiad aliancki już od pewnego czasu wiedział o istnieniu japońskiego obozu dla internowanych niedaleko od Los Baños. W tym usytuowanym sześćdziesiąt pięć kilometrów od Manili obozie (tuż za Laguna Bay, największym jeziorem na Luzonie i trzydzieści osiem kilometrów za liniami wroga) przetrzymywano około 2100 jeńców, niemal samych cywilów.

Od chwili gdy Amerykanie najpierw 9, a potem 31 stycznia dokonali desantu na brzeg w zatoce Lingayen i Nasugbu w prowincji Batangas, cesarska armia nieustannie się cofała. Do amerykańskiego dowództwa zaczęły dochodzić informacje, że zdesperowani dowódcy japońscy mogą w trakcie odwrotu zacząć zabijać jeńców wojennych oraz ludność cywilną.

MacArthura bardzo niepokoił los, jaki czekał tysiące jeńców w różnych obozach na Luzonie. Ludzi przetrzymywano w strasznych warunkach, a na dodatek istniały obawy, że zostaną zabici. Do lutego 1945 roku przeprowadzono kilka operacji uwolnienia jeńców, na przykład z obozu w Cabanatuanie, na Uniwersytecie Świętego Tomasza czy z więzienia

Bilibid (te dwie ostatnie akcje miały miejsce w czasie zaciętych walk o Manilę).



*Obóz dla internowanych w Los Baños*

Teraz przyszła kolej na Los Baños.

Obóz mieścił się na terenie Filipińskiej Szkoły Rolniczej, obecnie noszącej nazwę Uniwersytetu Filipińskiego w Los Baños, położonej na obszarze dwudziestu pięciu hektarów, z jednej strony u stóp góry Makiling, z drugiej przy północnym krańcu Los Baños, zwrócone ku Laguna de Bay.

Otoczony kolczastym drutem obóz stanowił skupisko baraków i chat, w których przetrzymywano 2147 internowanych, w tym: 1527 Amerykanów, 329 Brytyjczyków, 133 Australijczyków, 89 Holendrów, 30 Norwegów, 22 Polaków, 16 Włochów i 1 Nikaraguańczyka. Było tam także dwanaście pielęgniarek (Amerykanek z marynarki wojennej) oraz kilku wojskowych, ale reszta to przeważnie biznesmeni, nauczyciele, bankierzy oraz misjonarze.

Zadanie uwolnienia tych ludzi otrzymał generał Swing, a było to 3 lutego. Jednak w tym czasie spadochroniarze byli zaangażowani w walki koło Manili, gdzie Japończycy zązarcie bronili należących niegdyś do Stanów Zjednoczonych baz w Nichols Field i w Fort McKinley. Wobec tego Swing kazał swojemu sztabowi wymyślić jakiś plan, który można by zrealizować najszybciej, jak się da.

Wyznaczony do wykonania tego zadania 1. batalion 511. powietrznodesantowej

pułkowej grupy bojowej pod dowództwem majora Henry'ego Burgessa 18 lutego został odwołany od tak zwanej linii Genko, którą tworzył system japońskich bunkrów i zapór przeciwczołgowych, i wysłany na dwa dni do Parañaque na odpoczynek i nabranie sił. Po dwóch dniach otrzymał rozkaz przygotowania się do wykonania zadania. Zamierzano też skorzystać z pomocy tamtejszych partyzantów.

Wspólny plan opracowany przez Amerykanów i partyzantów zakładał podział całej operacji na cztery etapy. Pierwszy, w którym mieli brać udział 11. tymczasowy powietrznodesantowy pluton rozpoznania oraz około dwudziestu filipińskich partyzantów, stanowiło przepłynięcie dwa dni wcześniej Laguna de Bay łodziami. Tam rozlokowałoby się pięć zespołów zwiadowców pod dowództwem Terry'ego Santosa oraz sierżantów Martina Squiresa, Cliffa Towna, Leonarda Hahna i Roberta Angusa. Grupa Hahna miała dać znać za pomocą kolorowych granatów dymnych, gdzie na brzegu jeziora wybrała miejsca na lądowiska oraz dla desantu spadochroniarzy. Po przybyciu C-47 z żołnierzami inna grupa zwiadowców powinna zaatakować pięć japońskich stanowisk obronnych na zewnątrz obozu, zając je i zabić strażników.

Etap drugi to desant powietrzny żołnierzy z kompanii B porucznika Johna Ringlera, mającej wsparcie ogniowe plutonu karabinów maszynowych pod dowództwem porucznika Waltera Hettingera, którego członkowie mieli skoczyć ze spadochronem, połączyć się z partyzantami oraz zwiadowcami i zaatakować obóz.

W fazie trzeciej reszta 1. batalionu miała przepłynąć jezioro Laguna de Bay pięćdziesięcioma czterema amtrakami należącymi do 672. batalionu amfibijnego dowodzonego przez podpułkownika Josepha W. Gibbsa, wylądować na plaży w miejscu wybranym przez zespół Hahna i przebyć ponad trzy kilometry dzielące to miejsce od obozu, dokąd powinna przybyć już w trakcie ataku. Internowani mieli wsiąść na amfibie i w ten sposób zostać przetransportowani nad, a potem przez jezioro.

W czwartej i ostatniej fazie miał brać udział 188. pułk piechoty szybowcowej (pomniejszony o jeden batalion) wraz z kompanią C 637. batalionu niszczycieli czołgów i częścią 472. oraz 675. pułku artylerii polowej. Miały przejść w stronę drogi nr 1 i tam odwrócić uwagę Japończyków, angażując siły ich 8. Dywizji, co osłoniłoby ewakuację internowanych, a równocześnie chroniło jej flanki.

Liczono się z możliwością dużych strat w ludziach, ale wszyscy uznali, że to ryzyko należy podjąć.

\*\*\*

Dziesiątego lutego przybył w okolice Los Baños Tom Rounsaville, który wyleczył się



już z ran odniesionych w czasie oswabadzania jeńców z Cabanatuanu i teraz miał zająć się ustanowieniem łączności radiowej w miejscowości Pila, na południowo-wschodnim brzegu Laguna de Bay. Jego zadanie polegało na informowaniu o drogach ucieczki Japończyków z Manili. Wraz z porucznikiem Skauem (przyjaźnili się od czasów, gdy Rounsaville był w 11. Dywizji Powietrznodesantowej) zaktywizowali działania partyzanckie na tym terenie i przekazywali przydatne dla wywiadu informacje podpułkownikowi Henry'emu Mullerowi z komórki wywiadowczej 11. Dywizji Powietrznodesantowej. Obserwowali również obóz dla internowanych, a znajdujące się tam siły Japończyków oszacowali na dwustu pięćdziesięciu ludzi.

Dwa dni później, 12 lutego, dziewiętnastoletni pół Grek, pół Filipińczyk Freddy Zervoulakas wyślizgnął się z obozu i skontaktował z partyzantami. Dowiedział się, że przygotowana jest akcja ratowania jeńców, po czym kazano mu wracać do obozu i powiedzieć o tym uwięzionym. Działający w obozie komitet internowanych postanowił, że najlepiej będzie, jeżeli nic nie będą robić, bo wszelkie ich działania mogą tylko zaniepokoić Japończyków.

Tymczasem Skau i Santos (obydwaj posługiwali się językiem tagalog) mieli przeprowadzić rozpoznanie w obozie; Skau raz już tam był. Tym razem mieli wybrać miejsce lądowania dla amtraków oraz dla spadochroniarzy. Początkowo Skau chciał, aby na to rozpoznanie poszedł cały pluton, ale Santos odwiódł go od tego pomysłu.

- Co ty, toż to głupota. Narobimy zbyt wiele hałasu. Pójdziemy my dwaj i to całkiem wystarczy.

Obydwaj mężczyźni wsiedli do łódki i powiosłowali przez szerokie jezioro. Ta podróż zajęła im około pięciu godzin, bo musieli szerokim łukiem okrążyć wyspę Alamba, gdzie znajdowała się baza japońskich łodzi patrolowych, blokująca prostą drogę do Los Baños.

Skau i Santos przyплыnęli do wioski Nanhaya, szesnaście kilometrów od Los Baños, a tam czekał już na nich przewodnik, Filipińczyk, który miał ich doprowadzić do obozu. Ten marsz, podczas którego trzeba było się przedzierać przez dżunglę i iść przez pola ryżowe, zajął im kolejne cztery godziny. Kiedy dotarli w pobliże obozu, zajęli się swoim pierwszym zadaniem, to znaczy wybraniem odpowiedniego miejsca na desant amtraków. Po krótkich poszukiwaniach, w których pomagał im przewodnik, zobaczyli pas plaży w Mayondon Point, nieopodal San Antonio. Niedaleko biegła droga prowadząca wprost do obozu. Zwiadowcy zaznaczyli to miejsce na mapie i poszli do Los Baños, nie tyle aby obserwować, co się tam dzieje, ile by znaleźć miejsce nadające się do desantu spadochroniarzy. Kilkaset metrów na wschód od obozu wypatrzyli odpowiednie pole.

- To się nadaje. Nie jest zbyt daleko, ale i nie na tyle blisko, żeby Japońce zaraz wpadły w panikę i zaczęły strzelać do internowanych. Wracajmy - powiedział Skau do Santosa.

\*\*\*

Zanim jednak Santos i Skau wrócili, z Los Baños uciekł inżynier Pete Miles i wyjawiał podpułkownikowi Mullerowi z 11. Dywizji Powietrznodesantowej wszystkie szczegóły dotyczące rozkładu dnia strażników w obozie, co oczywiście było bardzo przydatną informacją.

- Codziennie rano od mniej więcej za kwadrans siódma żółtki przez pół godziny gimnastykują się - mówił. - Wtedy odkładają broń i są w samych przepaskach na biodra.

Jeśli rzeczywiście tak było, to atak w tym czasie zminimalizowałby niebezpieczeństwo zarówno dla atakujących, jak i dla internowanych. Jednak informację tę należało potwierdzić i dlatego Muller zawołał Skaua.

- Muller mówi, że mój pluton musi to potwierdzić - przekazał Skau Santosowi.

- Twój pluton. Cholera, to znaczy, że my dwaj musimy to zrobić - prychnął Santos.

Tego wieczoru znowu wypuścili się na długą wyprawę, najpierw łódką, a potem pieszo, do Los Baños. Poczekali do rana i stwierdzili, że Pete Miles mówił prawdę.

\*\*\*

Zapadła decyzja, że atak na obóz nastąpi w piątek 23 lutego o siódmej rano. W nocy z 21 na 22 lutego pluton zwiadowczy, liczący już tylko 22 ludzi zamiast tak jak zawsze 32, gdyż część zginęła, a część była chora, został podzielony na pięć zespołów, które wsiadły na trzy łodzie i udały się w długą podróż przez jezioro Laguna de Bay. W Nanhaya mieli już czekać na nich partyzanci zawiadomieni tak zwanym bambusowym telegrafem, czyli biciem w bębny, i przez posłańców.

W pierwszej łodzi płynęło „dowództwo”, czyli Skau plus pięciu ludzi. Santos i kolejna piątka znajdowali się w drugiej łódce, a reszta plutonu w ostatniej, największej. Każda z trzech łodzi wyruszyła osobno, aby wzbudzić jak najmniej podejrzeń. Jednak pomimo że noc była bezksiężycowa, japońska łódź patrolowa dostrzegła łódkę Santosa. Usłyszeli warkot jego silnika, a potem zobaczyli ścigacz zmierzający w ich kierunku. Sternik na łodzi wstał.

- Jeżeli nie powiesz im tego, co ci kazałem, zanim wypłynęliśmy, to będziesz pierwszym człowiekiem, którego zabiję. I mów tylko w tagalog - przykazał mu Santos, a następnie zwrócił się do pozostałych pasażerów łódki:

- Siedźcie spokojnie. Jeśli będą chcieli wejść na pokład, ja wystrzelę pierwszy.

Teraz wskazał na jednego z dwóch mężczyzn trzymających „smarownice” kaliber

7,62 mm:

- Ty mierz w pokład i sprzątnij każdego, kogo tylko zobaczysz.

Drugiemu polecił:

- Ty celuj w linię wody. Jeżeli i to ich nie powstrzyma, to w ruch idą granaty.

Łódź patrolowa podpłynęła bliżej, a jej kapitan krzyknął, aby się zatrzymali. Filipińczyk, zgodnie z tym, co kazał mu Santos, wyjaśnił, że wypłynęli na połów tak późno, bo wtedy ryby najlepiej biorą. Japoński oficer zadowolił się tym wyjaśnieniem, a Santos odetchnął z ulgą; strzelanina mogłaby wszystko zaprzepaścić.

Reszta drogi minęła bez przygód i łódź Santosa przybiła do Nanhaya, gdzie czekał już Skau ze swoimi ludźmi. Partyzanci z 45. pułku Hunters-ROTC<sup>40</sup> także już tam byli, i teraz wszyscy czekali na trzecią łódkę. Jednak nastał świt, po czym słońce rozpoczęło swoją wędrówkę po niebie i zaczął się kolejny upalny dzień. Trzeciej łodzi nadal nie było.

- Jeśli nie przypląną, to i tak idziemy - powiedział Skau do Santosa - z tym, że podzielimy się na mniejsze zespoły. Nasze cele pozostają bez zmian.

Wreszcie zjawiała się trzecia łódź. Okazało się, że wkrótce po wyruszeniu zламаł się jej ster i musiała zawrócić. Teraz jej pasażerowie ociekali potem po tej kilkugodzinnej podróży w palącym słońcu.

- Okej. Wobec tego znowu obowiązuje plan A - stwierdził Skau. - Idziemy.

Każdy zespół, wliczając partyzantów, liczył dwunastu ludzi, lecz w miarę długiego, czterogodzinnego marszu do Los Baños Filipińczycy wymiękali. Później Santos dowiedział się, że według ich oczekiwań Amerykanie mieli walczyć, oni zaś zjawiliby się w obozie jako wyzwolicieli.

Kiedy zbliżyli się do obozu, grupa Hahna otrzymała zadanie oznaczenia plaży dla desantu amtraków. Pozostali robili to, co zostało ustalone.

Mniej więcej czterysta metrów od obozu pluton rozpoznawczy natknął się na japońskie stanowisko - otwarty z jednej strony szałas bez okien. Ostrożnie i absolutnie bezszelestnie Santos podszedł i zajrzał do środka. W środku siedział, a właściwie spał w najlepsze oparty o ścianę japoński strażnik, obok niego leżały broń i telefon polowy. Santos wiedział, że zabicie tego człowieka było najprostszą rzeczą na świecie, ale gdyby zadzwoniono do niego, a on nie odebrałby telefonu, zaraz sprawdzono by, dlaczego. Wobec tego Santos wrócił do swojego zespołu i kazał obejść szerokim łukiem tę wartownię.

---

<sup>40</sup> Hunters-ROTC - jednostka partyzancka składająca się głównie z byłych kadetów Filipińskiej Akademii Wojskowej. Skrót ROTC oznacza Reserve Officers Training Corps (przyp. JB).



*Desant spadochroniarzy z C-47*

Doszedłszy na pozycje do ataku, grupa rozdzieliła się i ruszyła do wyznaczonych celów. Santos wraz z trzema zwiadowcami, Vincem Callem, Larrym Botkinem i Barclayem „Mickiem” McFaddenem mieli zniszczyć dwa strzegące obozu bunkry z bronią maszynową. Pomiędzy tymi bunkrami a dżunglą rozciągał się szeroki na siedemdziesiąt metrów teren, niezbyt równy, ale właściwie zupełnie nieporośnięty.

W środku obozu panował spokój, przynajmniej tak się zdawało. Widać było snujących się internowanych, ale wartowników nie, gdyż zajęci byli swoją poranną gimnastyką.

Przed siódmą nad głowami dał się słyszeć ryk silników samolotowych i nadleciało dziewięć C-47 z kompanią B na pokładzie. Za trzy siódma, gdy Santos ze swoimi ludźmi dotarli nad brzeg potoku Boot Creek, przepływającego zaraz za obozem, japoński strażnik polujący w zaroślach nieopodal, strzelił do jakiegoś zwierzęcia. Właśnie tam schowali się Santos i jego trzej kompani. Biorąc mylnie ten strzał za sygnał, jeden z partyzantów wyskoczył z gęstwiny i zabił Japończyka maczetą.

Nie było wyjścia, teraz trzeba było atakować, aczkolwiek nie wszyscy dotarli jeszcze na swoje pozycje. Santos, Call, Botkin i McFadden otworzyli ogień w kierunku bunkrów, Japończycy odpowiedzieli i rozpętało się piekło. Ukryte w bunkrach karabiny maszynowe dosłownie poszarpały wszystko dokoła. Odłamek trafił Calla w ramię, a Botkina w twarz. Obydwaj upadli. Santos z dymiącym garandem w ręku zwrócił się do McFaddena:

- Mick, zostań z rannymi. Ja się zajmę bunkrami, a jeśli mi się nie uda, ty musisz skończyć.

Santos padł na ziemię i zaczął się czołgać do przodu, wiedząc, że im bliżej bunkrów, tym bezpieczniej - nie da się tak obniżyć luf karabinów maszynowych, by trafić bliski cel. Pełznął, chowając się w zagłębieniach terenu, którego nierówność teraz okazała się bardzo pomocna, a pociski padały dokoła niego. Kiedy podczołgał się już dostatecznie blisko, wyjął zza pasa granat fosforowy, wyciągnął zawleczkę i rzucił, a zaraz po nim drugi - obronny. Ta diabelska kombinacja rozniosła obydwaj bunkry, ale Santos nie był jeszcze bezpieczny. Nagle okazało się, że na lewo od niego, obok wielkiego drzewa, ukryty jest kolejny karabin maszynowy, który teraz obrał sobie Santosa za cel. Santos, zaskoczony, jeszcze mocniej przywarł do ziemi, a potem tak jak poprzednio zaczął czołgać się w stronę kryjówki śmiertelnej broni. Podczołgawszy się jak najbliżej, rzucił Willi Petera<sup>41</sup>, a potem granat obronny. Nastąpiła wielka eksplozja i broń zamilkła, a chwilę potem z dymu wyłonił się japoński żołnierz w płonącym mundurze, krzycząc i zwijając się z bólu w potwornym tańcu śmierci. Santos podniósł swojego garanda, który zawsze miał załadowany amunicją przeciwpancerną, i wystrzelił bez celowania. Odległość była niewielka, śmiertelny potężny pocisk w stalowym płaszczu dosięgnął krzyczącego żołnierza, a górna część jego tułowia dosłownie eksplodowała.

- Jezu Chryste - mruknął Santos.

W tym samym czasie oddział sierżanta Towna ostrzeliwał kilka wartowni. Zaatakował ich japoński patrol, ale ludzie Towna dosłownie posiekali go pociskami. Pojawili się też partyzanci i wdarli się na teren obozu; z tyłu wywiązała się walka z Japończykami, przy głównej bramie zaś zespół porucznika Skaua próbował wdrzeć się do obozu, ostrzeliwując japońskich strażników.

Teraz przybyli spadochroniarze porucznika Ringlera z kompanii B, przewiezieni z odebranego Japończykom Nicholas Field na pokładach C-47 z 75. dywizjonu transportowego. Lot przebiegał spokojnie, nie dostrzegły ich ani nieprzyjacielskie myśliwce, ani artyleria przeciwlotnicza. Nadlatując nad dobrze oznakowaną strefę zrzutu, spadochroniarze wyskoczyli ze samolotów transportowych i poszybowali ku ziemi.

Spadochroniarze starali się dotrzeć do obozu, a pozostała część plutonu rozpoznawczego już się do niego wdarła. Zastali strażników (niektórych jeszcze w bieliźnie, bo nie zdążyli się przebrać po porannych ćwiczeniach) gorączkowo łapiących za broń. Amerykanie otworzyli ogień, kosząc Japończyków, z których część uciekła do dżungli.

Strzelanina trwała niecałe dwadzieścia minut, a gdy ustała, Santos krzyknął do

---

<sup>41</sup> Willy Peter - potoczna nazwa granatu fosforowego; stanowiła rozwinięcie skrótu WP - *white phosphorus*, pol. fosfor biały (przyp. JB).

McFaddena, żeby przyprowadził dwóch rannych kolegów. Kiedy dotarli do obozu, pojawiły się amtraki.

Kolejnym problemem okazało się wsadzenie internowanych do tych pojazdów. Wielu z nich odmówiło, dopóki nie zabiorą swoich rzeczy, a niektórzy chcieli wziąć ubranie na zmianę. Tymczasem rozkaz brzmiał, aby spalić baraki, nawet jeśli w środku będą internowani. Może to okrutne, ale konieczne, by zmusić ich do opuszczenia obozu.

Kiedy wszystkie pięćdziesiąt cztery amtraki były już wypełnione po brzegi internowanymi - a tylko mniej więcej połowa z nich, przede wszystkim z najciężej chorymi, a także kobietami, w tym zakonnkami i dwunastoma pielęgniarkami z marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych, oraz dziećmi, mogła pojechać w pierwszej turze - pojazdy ruszyły w stronę jeziora i wjechały do wody.

Gdy z obozu wyjechał ostatni z nich, Amerykanie zebrali pozostałych jeńców i wszyscy ruszyli w stronę jeziora, aby tam czekać na transport. Dotarli do plaży. Wtem z oddali dał się słyszeć chrzęst. Wszyscy w obawie, że to nadciągają japońskie posiłki, pochowali się, ale po chwili odetchnęli z ulgą - okazało się, że to wracają amtraki.

Liczył się czas. Amerykanie zabili co prawda wielu Japończyków, ale niecałe piętnaście kilometrów stąd było jeszcze dziesięć tysięcy japońskich żołnierzy i już mogli wiedzieć, co się stało, i zmierzać w kierunku Los Baños.

Kiedy internowani wsiadali do amtraków, gdzieś z północy dał się słyszeć odgłos strzelaniny. Okazuje się, że to strzelał 188. pułk piechoty szybowcowej, aby odwrócić uwagę Japończyków. Zaatakował on japońskie pozycje wzdłuż szosy nr 1, po drugiej stronie rzeki San Juan. Ciężka walka, nawet wręcz, rozpętała się wokół wzgórz Lecheria. Zginęło dwóch żołnierzy, J.C. Doiron i Virgil McMurtry, oraz dwóch partyzantów, starsi szeregowi Atanacio Castillo i Anselmo Soler. Pomimo strat do południa Amerykanom udało się oczyścić teren z Japończyków i teraz szli w kierunku Los Baños, przecinając drogę pomiędzy nieprzyjacielską 8. Dywizją Tygrysa a obozem dla internowanych. Z tego miejsca dowódca pułkownik Soule zobaczył, że uwolnieni internowani wsiadają już na amtraki, które przeprowały się przez jezioro niczym olbrzymie żuki. Gdy ostatni pojazd zniknął mu z oczu, Soule wydał rozkaz wycofania się za rzekę San Juan.

Nad jeziorem japoński karabin maszynowy kaliber 7,7 mm, którego pociski jakimś cudem dolatywały aż tutaj, zaczął ostrzeliwać amtraki, a pociski odbijały się od pancerza pojazdów. Kapral Dwight Clark z 672. batalionu amfibijnego obsługując karabin maszynowy kaliber 12,7 mm, dostrzegł, że nieprzyjaciel ukrywa się w niewielkiej drewnianej chacie. Po chwili karabin maszynowy umilkł na zawsze.



*Amtrak z internowanymi stojący na brzegu jeziora Laguna de Bay*

Santos wraz z plutonem rozpoznawczym zabrali się ostatnim amtrakiem. Tylko w jego grupie były straty, wszyscy pozostali amerykańscy żołnierze biorący udział w tej akcji wyszli z niej cało; nie zginął ani nie został ranny nikt z internowanych. Nieznana była liczba zabitych Japończyków, zapewne poległo osiemdziesięciu-stu żołnierzy.

W efekcie ataku na obóz w Los Baños uwolnionych zostało 2147 internowanych, w tym także Lois Kathleen McCoy, która trzy dni wcześniej urodziła się w obozie, a poród odbierała amerykańska pielęgniarka Dorothy Danner. Wśród uwolnionych znajdowali się również rodzice dziewczynki - Mildred, amerykańska nauczycielka, która pracowała w Manili, oraz Oscar, przedstawiciel zakładów Republic Steel of Ohio na Filipinach.

Santos został odznaczony Srebrną Gwiazdą, jedną z dwóch, jakie otrzymał za dokonania w czasie wojny.

Jednak pewna sprawa pozostała niezłażwiona. Porucznik Sadaaki Konishi, obozowy zaopatrzeniowiec, okazywał internowanym szczególne okrucieństwo, wobec tego wydano rozkaz, aby go schwytać, aczkolwiek krążyły słuchy, że zginął. Okazało się jednak, że uciekł do dżungli.

Jakiś czas później jeden z byłych internowanych zobaczył go, udającego filipińskiego robotnika na terenie byłego obozu w Los Baños; zawiadomiono miejscową policję i Konishi trafił do aresztu. Po wojnie był sądzony za zbrodnie wojenne i skazany na karę więzienia.

\*\*\*

Atak na Los Baños i uwolnienie przetrzymywanych tam internowanych to jeden z największych sukcesów tego typu akcji w historii Stanów Zjednoczonych, a jednak przeszedł tam niemal bez echa. Stało się tak, ponieważ tego samego dnia, czyli 23 lutego 1945 roku, ponad dwa tysiące kilometrów na północny wschód, na zatęchłej, wulkanicznej wyspie Iwo Jima, sześciu amerykańskich marines zatknęło flagę Stanów Zjednoczonych na szczycie góry Suribachi. Uwieczniające ten fakt zdjęcie wykonane przez Joego Rosenthala, fotoreportera Associated Press, stało się ważnym symbolem zmagania na Pacyfiku.

Ta fotografia znalazła się na pierwszych stronach wszystkich gazet wychodzących w Stanach Zjednoczonych i mobilizowała żołnierzy do dalszych walk.

Tymczasem informacja o uwolnieniu ponad 2100 osób z obozu na Filipinach co prawda znalazła się w tych samych wydaniach gazet, ale dopiero na piątej stronie i to ukryta wśród innych wiadomości.



# ROZDZIAŁ 15

## „Nie zamieniłbym jednego Zwiadowcy Alamo na całą japońską armię”

### Ostatnia operacja, styczeń-lipiec 1945

Od stycznia do sierpnia, gdy amerykańskie wojska dokonywały desantu na Luzon i gdy Yamashita oraz niedobitki jego armii zostały wyparte w głąb wyspy i broniły się w górach, Zwiadowcy Alamo mieli mnóstwo pracy. Zespoły dowodzone przez Hermana Chanleya, Jacka Dove’a, Johna McGowena, Billa Nellista, Toma Rounsaville’a, Wilbura Littlefielda, George’a Thompsona, Woodrowa Hobbsa i Boba Sumnera ciągle gdzieś wysyłano, a ich zadania często się pokrywały. Na dodatek utworzono nowe zespoły pod dowództwem Roberta S. Shirkeya, George’a Derra, Henry’ego Adkinsa i Wilmota B. Ouztsa, jak również niekompletne grupy, na których czele stali Vance Q. Williams, John G. Fisher, John A. Roberts, Henry R. Chalko, James Farrow i Joe Moon.

Te wszystkie zespoły razem utorowały drogę zwycięstwom MacArthura, przenikając poza linie obrony wroga.

Na przełomie stycznia i lutego walki o Luzon stały się jeszcze bardziej zaciekle, a szczególnie zawzięte boje toczono o Manilę, ponieważ admirał Sanji Iwabuchi, rzucając wyzwanie rozkazom generała Yamashity, kazał szesnastu tysiącom swoich żołnierzy twardo bronić miasta. Walki w Manili i koło niej trwały od 4 lutego do 4 marca. W gruzach legła znaczna część niegdyś pięknego, oryginalnego miasta, a zwłaszcza otoczona murami dzielnica Intramuros (niegdyś stary hiszpański fort niedaleko od portu), gdzie znajdowały się liczne budynki rządowe.

W czasie walk polegli niemal wszyscy żołnierze Iwabuchiego i sto tysięcy Filipińczyków.

Jednak zanim jeszcze rozpoczęły się walki o Manilę, byli tam Zwiadowcy Alamo, aby monitorować ruchy i możliwości obronne wroga.

Dwudziestego drugiego stycznia, trzy dni po namierzeniu przez zespół Nellista miejsca ukrycia wielkich dział broniących drogi do Manili, zespół Woodrowa Hobbsa wylądował na północ od półwyspu Bataan. Miał obserwować szosę numer 5, czyli główną

drogę biegnącą wzdłuż wybrzeża, a prowadzącą od miasta Gapan do Manili, jak również okolicę i doliny.

W tym czasie w poszczególnych zespołach dokonały się zmiany; niektórzy zwiadowcy wrócili do jednostek macierzystych, inni z różnych powodów opuścili szeregi Zwiadowców Alamo.



*Ruiny Manili*

Jeśli chodzi o wyznaczoną do wykonania tego zadania zwiadowczego grupę Hobbsa, to w jej składzie znajdowali się sierżant John Phillips i Irv Ray (obydwaj byli dawniej w zespole Dove'a). Ray awansował za zasługi na polu walki i był już podporucznikiem. W zespole byli też Ray Wangrud (przedtem w zespole Reynoldsa), John Hidalgo z zespołu Littlefielda i Bob Ross z zespołu Lutza.

Zespół miał zaledwie dzień przerwy od powrotu z misji polegającej na kontrolowaniu ruchów nieprzyjaciela pomiędzy zatokami San Miguel i Subic, na północnym krańcu półwyspu Bataan. To zadanie było bardzo niebezpieczne, gdyż roіło się tam od Japończyków, ale zwiadowcy chcieli jechać i byli bardzo rozczarowani, gdy nadszedł rozkaz odwołujący akcję.

Teraz, a był 23 stycznia, lecieli C-47 w rejon zatoki Lingayen, eskortowani przez cztery myśliwce P-38 Lightning. Stąd samolot łącznikowy miał ich przewieźć na niewielkie lotnisko w mieście Akie, szesnaście kilometrów na południe od Sibul Springs. W Akie powinien na nich czekać kapitan Cabangbang, filipiński oficer z Sojuszniczego Biura Wywiadu, oraz kapitan Santos z dywizji partyzanckiej BMA<sup>42</sup>.

Punkt dowodzenia i radiostację zainstalowano w Akie. Zespół Hobbsa został tam przez dwa dni, następnie Hobbs wraz z Wangrudem i Hidalgiem udali się na północ, do Sibul Springs, a Ray i Phillips na południe, do Angat. Rossa wysłano dwanaście kilometrów na północny wschód od Manili, do Novaliches. Cały czas zwiadowców eskortowali partyzanci.

Ze wszystkich tych miejsc zwiadowcy bezustannie dostarczali informacje na temat usytuowania magazynów, ruchów wojsk nieprzyjaciela oraz jego zdolności obronnych. Wojska amerykańskie posuwały się w kierunku Manili, ale najpierw rozpoznanie zawsze przeprowadzali zwiadowcy.



*Podporucznik Irvin Ray*

W trakcie wykonywania tych zadań uczestnicy poszczególnych zespołów mieli możliwość zaprzyjaźnić się ze sobą; i tak przyjacielskie kontakty nawiązali ludzie Hobbsa i Littlefielda, bo ci drudzy już od 14 stycznia byli na terenie, na który teraz przybył zespół Hobbsa.

Dwunastego lutego misja została zakończona, zespół Hobbsa spotkał się w Novaliches i wraz z armią Stanów Zjednoczonych wkroczył między dymiące ruiny Manili.

\*\*\*

Kiedy walki w stolicy ustały, jeden z zespołów Zwiadowców Alamo dowodzony przez Filipinczyka Rafaela Iletto w dniach 17-27 lutego organizował oddziały partyzanckie na terenie Pantabangan-Caranglan oraz prowadził obserwacje szos numer 15 i 5 między Guimbą

<sup>42</sup> BMA - Bulacan Military Area (Rejon Wojskowy Bulacan) - terytorialna jednostka organizacyjna filipińskiego ruchu oporu, która działała na terenie prowincji Bulacan. W jej skład wchodziło 8 dywizji partyzanckich (przyp. JB).

i Gapanem, a więc na północ od Cabanatuanu.



*Samolot myśliwski Lockheed P-38 Lightning*

Dwudziestego ósmego lutego grupa Ilety znowu była w drodze. Tym razem na pokładzie Cataliny udawała się do prowincji Camarines Norte. Okazało się to najdłuższym zadaniem w całej historii Zwiadowców Alamo - trwało aż siedemdziesiąt dni.

Łódź latająca wylądowała na brzegu, gdzie na Iletę czekał już major Bernard L. Anderson, dowódca partyzantów i oficer filipińskich sił powietrznych, od upadku Filipin ukrywający się w dżungli.

Anderson oddał zwiadowcom do dyspozycji dziewięciometrową łódź i już następnego ranka zespół Ilety płynął na wyspę Cabaleta. Jednak po drodze nastąpiła zmiana planów - zamiast na Cabaleta mieli się udać na wyspę Alabat, do miasta Perez, gdzie czekał na nich dowódca innego oddziału partyzanckiego, kapitan Areta. Zwiadowcy mieli pomóc mu zainstalować radiostację i zaplanować działania jego czterystu ludzi. Po nawiązaniu łączności radiowej ze znajdującą się koło Maubanu grupą Thompsona zwiadowcy śledzili ruchy nieprzyjacielskich wojsk oraz to, co się dzieje na plaży. Dwudziestego szóstego marca zespół czuwał nad zrzutami zrealizowanymi przez dwa C-47, które przywiozły 250 karabinów Springfield kaliber 7,62 mm, 50 pistoletów maszynowych Thompson, amunicję, ryż, sól, mąkę, papierosy, pieniądze i środki medyczne.

\*\*\*

Gdy zespół Littlefielda wrócił 7 lutego z trwającej dwadzieścia cztery dni misji do Tarlac, okazało się, że ma znowu wyruszyć już następnego dnia, tym razem do miasta Malolos. Samolot, którym lecieli, wylądował na pasie naprędce przygotowanym przez miejscową ludność. Zespół Littlefielda jeszcze nie wiedział, że przyjdzie mu pozostać tam sześćdziesiąt osiem dni.

Tym razem Littlefield zabrał ze sobą Lee Halla (ukończył pierwszy kurs ASTC), który poprzednio był w zespole Barnes'a, radiooperatora Bena Monesa, Filipińczyka z San Francisco, który już parę razy jeździł z Littlefieldem, i Zeke'a McConnella. Zadanie polegało na założeniu punktów obserwacyjnych i siatki wywiadowczej na terenie położonym wzdłuż szosy numer 5, prowadzącej z Maliny do Malolos.

Według planu Littlefield miał zabrać ze sobą amerykańskiego kapitana, ale odmówił, ponieważ uważał, że ten oficer „lubi zabijać”. Na zderzakach swojego dzipa miał przymocowane trzy czaszki Japończyków i Littlefield podejrzewał, że chce on pojechać ze zwiadowcami tylko po to, aby zdobyć więcej takich trofeów.

Siódmego lutego o świcie zwiadowcy minęli amerykańskie linie, najpierw jednak uprzedzając artylerię, aby nie strzelała.

Mniej więcej półtora kilometra od tych linii zobaczyli wiejski dom na polanie, w którym mieszkał stary wieśniak z dwunastoletnią dziewczynką, jak się okazało, swoją wnuczką. W oddali widniała mała wioska. Ani śladu Japończyków i tylko nad głowami słychać było ryk trzech amerykańskich bombowców zrzucających bomby na wioskę.

Gdy samoloty odleciały, Littlefield ze swoją grupą poszli dalej. Wieśniak i jego wnuczka trzęśli się ze strachu z powodu nalotu, ale nic im się nie stało. Littlefield starał się przekonać ich, żeby schronili się albo w dżungli, albo poza amerykańskimi liniami, ale odmówili. Amerykanin wiedział, że wybrana przez nich opcja, a więc pozostawanie między liniami wroga i amerykańskimi, to podwójne niebezpieczeństwo, i ponownie zaczął ich przekonywać, że powinni się schronić, bo Japończycy mogą wrócić.

- Nie - odparł starzec. - Mój dom. Zostaję.

Amerykańska artyleria zaczęła ostrzeliwać również ten teren, Littlefield zdecydował więc, że trzeba „wynosić się stąd jak najprędzej”, i wraz ze swoimi ludźmi popędził przez ryżowe pola do miasta. Wielu jego mieszkańców odniosło rany wskutek bombardowań. A Japończyków dalej ani śladu. Na szczęście drogą jechała amerykańska półciężarówka. Littlefield zatrzymał ją machnięciem ręki, po czym załadował na nią najcięższych rannych mieszkańców miasta. Wieśniak i jego wnuczka wciąż upierali się, że zostaną. Później

Littlefield dowiedział się, że Japończycy wrócili, oskarżyli obydwójce o szpiegostwo i ścięli.

Tymczasem ciężarówka zawiozła rannych do amerykańskiego szpitala na Uniwersytecie Świętego Tomasza. Leżeli tam, dochodząc do zdrowia, ale nadleciały japońskie bombowce i znowu rannych ewakuowano w bezpieczniejsze miejsce.

Littlefield ze swoim zespołem wciąż prowadzili zadania rozpoznawcze. Gdy znaleźli się niedaleko wioski, z której pochodziła rodzina Monesa, Littlefield dał mu (choć nie miał takich uprawnień) dwutygodniowy urlop, aby pobył trochę z bliskimi.

- Staralem się, aby to wszystko wyglądało bardzo oficjalnie - powiedział po latach Littlefield.

Niemal już pod koniec misji Littlefielda dopadł nagle bardzo ostry atak dyzenterii, a stało się to w chwili najgorszej z możliwych. Otóż Japończycy zaalarmowani obecnością Amerykanów, wyruszyli na ich poszukiwania. Littlefielda tak bolał brzuch, że nie był w stanie nadażyć za swoimi ludźmi, przedzierającymi się przez dżunglę w stronę amerykańskich linii. Co chwila kucał (do trzydziestu razy dziennie), załatwiając się tylko krwią.

- To było straszne - wspominał po latach. - Byłem bardzo chory.

Zwiadowcy z jego zespołu zwolnili, aby nie zostawiać go w tyle, ale on kazał im iść, nie oglądając się na niego.

- Japończycy są mniej więcej godzinę drogi za nami - powiedział im. - Opóźniam wasz marsz, a nie poświęcę wszystkich was z mojego powodu. Idźcie, ja dotrę.

Rzecz jasna zespół nie chciał słyszeć o pozostawieniu dowódcy czy któregokolwiek z nich z tyłu.

- Powiedziałem, idźcie, do cholery - rozkazał Littlefield.

Więc poszli. Kiedy znikli mu z oczu, Zeke McConnell pozostał z tyłu i schował się za drzewem. Z wielkim wysiłkiem Littlefield doszedł do miejsca, w którym przyczał się Zeke, a wtedy Czirokez wyszedł z ukrycia.

- Zeke, co ty tu, do cholery, robisz? Przecież powiedziałem, że masz iść naprzód.

McConnell uśmiechnął się.

- Chyba nie myślałeś, że cię tu zostawię, abys sam stawiał czoło tym żółtkom, co?

I pomógł przyjacielowi dojść do amerykańskich linii.

\*\*\*

Siedemnastego lutego Herm Chanley, który przedtem był w zespole Hobbsa, ale w grudniu został mianowany dowódcą własnej grupy, wylądował na nadbrzeżu obok miasta Baler. Miał przeprowadzić działania rozpoznawcze cieśniny Casiguran i stwierdzić, czy będą mogły zawiązać tu okręty 7. Floty.

Na brzegu zespół Chanleya, w którego skład wchodził sierżant Glendale Watson, Allen H. Throgmorton, Juan D. Pacis i Juan E. Berganio oraz starsi szeregowi Bobby G. Walters i Nicholas C. Enriquez, nawiązali kontakt ze 103. i 205. oddziałami powstańczymi. Chanley wraz ze swoim zespołem szybko zorientowali się, że pierwszy z tych oddziałów, liczący pięciuset ludzi i dowodzony przez porucznika Ilipio, choć dysponował zaledwie piętnastoma sztukami broni palnej najrozmaitszego rodzaju, jest zwiadowcom bardzo pomocny w realizowaniu ich zadania, podczas gdy na 205. oddziale, pod dowództwem kapitana Bautisty, również liczącym pięciuset ludzi i mającym pięćdziesiąt dwie sztuki broni palnej, zupełnie nie można polegać.

Chanley dowiedział się, że stu japońskich żołnierzy znajdujących się w okolicy Baler z powodu nieustannych ataków partyzanckich przeniosło się w inne miejsce, wobec tego zwiadowcy również musieli zmienić teren prowadzenia rozpoznania. Teraz mieli prowadzić działania rozpoznawcze - wspomagani przez agentów z Sojuszniczego Biura Wywiadu - w prowincji Dinadiawan w rejonie rzeki Dilalongan.

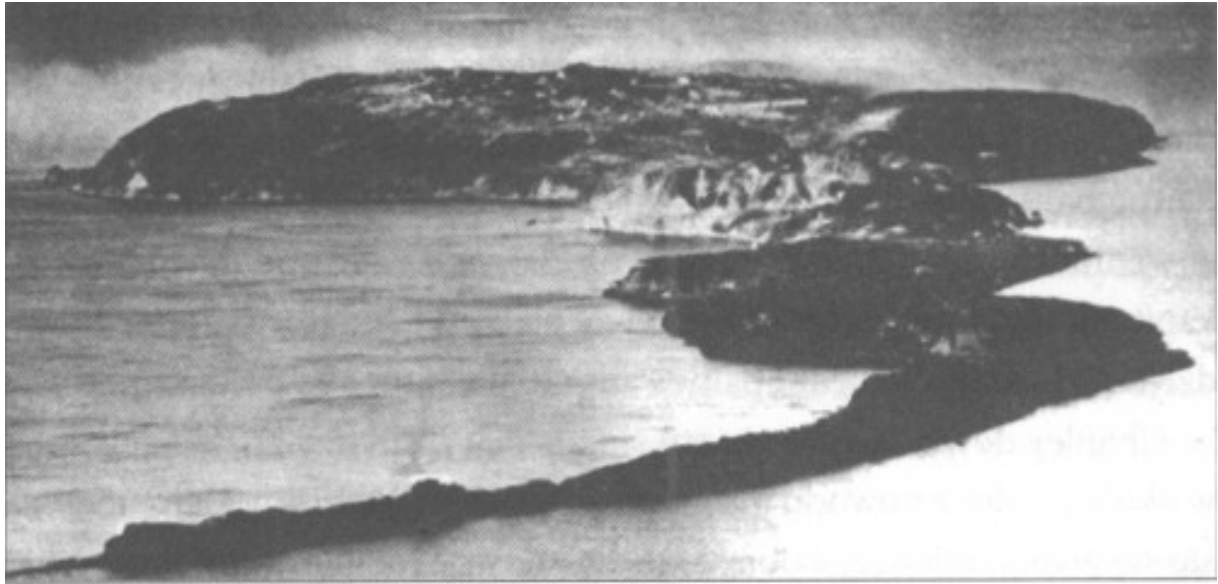
Zespół został podjęty przez niszczyciel 1 marca, a następnego dnia, w towarzystwie czterech oficerów marynarki i dwóch agentów z SBW wylądował na brzegu. Do tej całej grupy doszło jeszcze dziewięciu partyzantów. Teraz trzy grupy - a więc Chanley plus jedenastu ludzi w środku, Throgmorton i czterech partyzantów pilnujących lewej flanki, a Watson i pięciu partyzantów prawej - przedzierały się przez dżunglę, chcąc dotrzeć do odległego trzy i pół kilometra od rzeki Dilalongan japońskiego lotniska i sprawdzić, czy jeszcze nadaje się ono do użytku. Na miejscu okazało się, że wszystko porośnięte jest ostrą jak brzytwa trawą, toteż postanowiono szukać dalej. Wkrótce w odległości półtora kilometra znaleziono bardziej odpowiednie miejsce, więc wszyscy wrócili na plażę, skąd zabrała ich barka desantowa.

\*\*\*

MacArthur jeszcze przed upadkiem Manili zaczął snuć plany powrotu na Corregidor, wyrastającą z Zatoki Manilskiej skałę w kształcie kijanki. Trzydzieści dwa miesiące wcześniej to miejsce w większym stopniu aniżeli Bataan stało się źródłem jego poniżenia. Stanowiło ranę, której bólu duma generała nie była w stanie znieść.

Jednak był pewien kłopot. Otóż Corregidoru broniło 5670 Japończyków, zarówno żołnierzy, jak i cywilów (tych było 800), przeważnie mężczyzn, którzy uciekli przed walkami toczącymi się na lądzie. Pierwszego uderzenia miały dokonać 1. batalion 503. pułku piechoty spadochronowej wraz z 3. batalionem 34. Dywizji Piechoty, ale najpierw trzeba było zdobyć więcej dokładnych informacji. Do realizacji tego zadania dowództwo 6. Armii wytypowało

zespół Sumnera, tymczasowo (Sumner akurat był chory na żółtaczkę) dowodzony przez Johna McGowena.



*Corregidor*

Dwudziestego szóstego stycznia, gdy Nellist i Rounsaville przygotowywali się do wyruszenia do Cabanatuanu, McGowen ze swoim zespołem wsiadł na kuter torpedowy w zatoce Subic i pomknął na wody Zatoki Manilskiej i na Corregidor. Z oddali widać było, że Manila płonie - czerwona poświata rozjaśniała cały horyzont. Po nocnym niebie przesuwały się ogniste smugi, a po zatoce niósł się głuchy grzmot artylerii, niczym piekielnych bębnow.

Gdy kuter zbliżył się do wyspy, jego radar namierzył echo dwóch japońskich niszczycieli. Kapitan PT oświadczył:

- Dalej już nie mogę płynąć. Teraz już musicie sobie radzić sami.
- Przecież to jeszcze jedenaście kilometrów. Nie damy rady pokonać ich na pontonach
- rozzłościł się McGowen.
- To już wasza decyzja, ale ja dalej nie płynę - upierał się kapitan.

McGowen wściekły, gdyż nie znośli nie kończyć zadania, zebrał swój zespół na naradę.

„Postanowiliśmy wracać, bo płynąć tam na pontonach to byłoby samobójstwo” pisał później Bill Blaise.

To był pierwszy i ostatni raz, gdy zwiadowcy z własnej woli zawrócili, nie przeprowadziwszy działań rozpoznawczych.

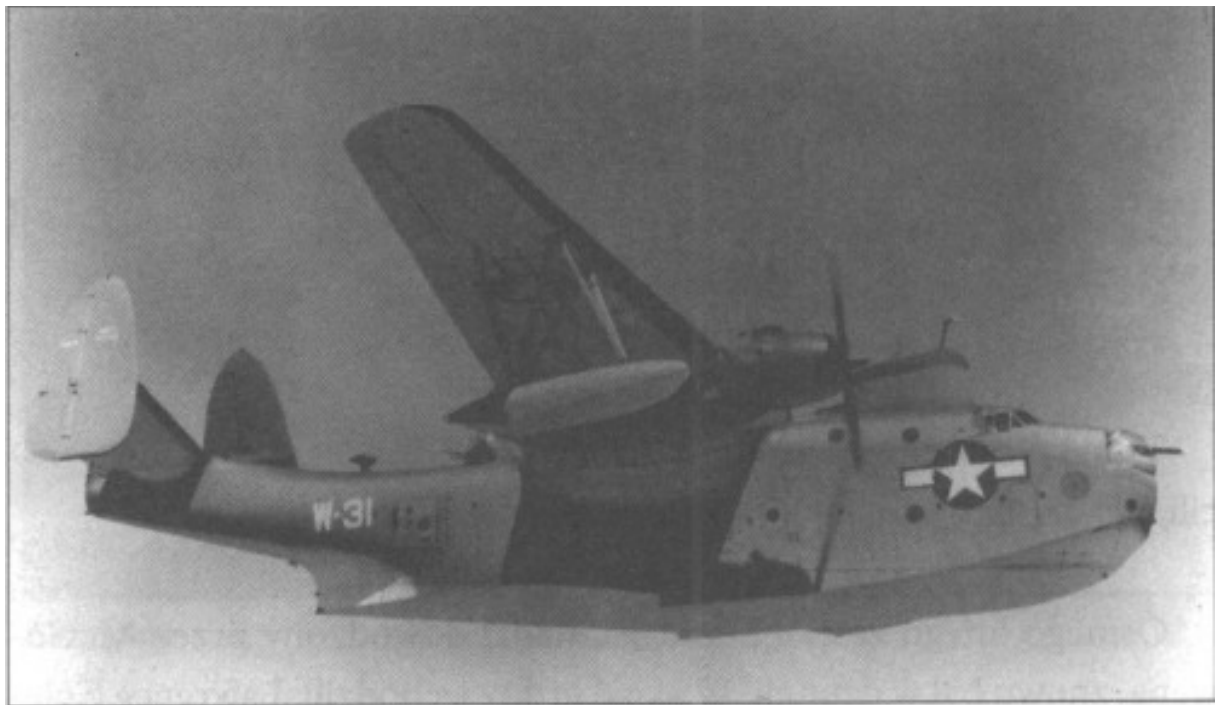
\*\*\*

Ósmego lutego zespół Sumnera, nadal dowodzony przez McGowena, znowu był w dżungli. W skład grupy wchodził: Lawrence Coleman, Bill Blaise, Bob Shullaw, Harry



Weiland, Ed Renhols i Paul Jones, a towarzyszył im Filipińczyk sierżant Vincent Quipo z Filipińskiego Centrum Wiadomości.

Tym razem zwiadowcy mieli założyć radiostację na wybrzeżu prowincji Zambales, graniczącej na północy z Bataanem. Płynąc dostarczonymi przez miejscową ludność łodziami, wylądowali w Loclocbelete, niedaleko miasta Palauig, kilka kilometrów na północ od lotniska Iba. Instalując radiostację w jakimś domu, zwiadowcy obserwowali również teren wzdłuż głównej szosy od Santa Cruz, sprawdzając stan dróg i mostów oraz lotniska Iba, na którym ich zdaniem samoloty mogły lądować.



*Łódź latająca Martin PBM-5 Mariner*

Co prawda nie widzieli ani jednego Japończyka, ale partyzanci z Montalli poinformowali ich, że w okolicy są siły nieprzyjacielskie w liczbie tysiąca żołnierzy, operujące głównie w niewielkich grupach kilka kilometrów na wschód od Santa Cruz. Zdaniem partyzantów trzy do sześciu tysięcy japońskich żołnierzy stacjonowało wzdłuż szlaku Capiz ponad trzy kilometry na wschód od Botolanu.

Zwiadowcy patrolowali ten teren jeszcze przez tydzień, a potem zostali odwołani przez dowództwo 6. Armii.

\*\*\*

Po uwolnieniu jeńców z obozu pod Cabanatuanem ludzie z zespołu Nellista pełnili funkcję osobistej ochrony generała MacArthura i oficerów z jego sztabu na półwyspie Bataan. Dziewiętnastego lutego Nellist wraz ze swoim zespołem oraz z sierżantem Quipo, który dopiero co wrócił wraz z McGowenem z misji, wsiadł w zatoce Lingayen na pokład łodzi

latającej Mariner i udał się do Magallanes, w południowo-zachodniej części Luzonu. Tam zwiadowcy mieli się skontaktować z partyzantami z oddziału Escudera. Dowództwo 6. Armii było przekonane, że partyzanci po dobrojeniu mogą się bardzo przydać podczas planowanej na marzec inwazji na Legazpi, i dlatego grupa Nellista dostarczonymi jej przez miejscową ludność łodziami popłynęła do miasta Casiguran. Jednak od początku prześladował ją pech. Już w czasie załadunku na łódkę generator potrzebny do zasilania radiostacji wypadł za burtę i poszedł na dno.

Nie mając łączności, Nellist poprowadził swój zespół w kierunku San Juan, do kwatery głównej Escudera, i tam poprosił o możliwość skorzystania z radia partyzantów, aby zamówić zrzut generatora. Escudero zgodził się, pod warunkiem że samolot przywiezie również amunicję dla jego oddziału. Gdy Nellist miał już nowy generator oraz amunicję dla partyzantów, powiadomił Escudera, aby czekał na niego koło wioski Bulan, po czym połączyliby się z innym oddziałem partyzanckim, Lapusa. Jednak Nellist nie wiedział, że Escudero i Lapus się nie znoszą.

Zwiadowcy przybyli do Bulanu 23 lutego i zaraz przeprowadzili rozpoznanie terenu. Znaleźli jednego japońskiego żołnierza i kilku tajwańskich robotników przymusowych. Zainteresowali się też dnem morskim oraz plażą. Sześć dni później do obozu zwiadowców przybyli Escudero z dwustu ludźmi oraz Lapus z sześćdziesięcioma partyzantami; od razu dała się wyczuć atmosfera wrogości panująca między tymi dwoma mężczyznami. Nellist postanowił odegrać rolę mediatora. Nawet nie mogło być mowy o tym, aby Escudero zgodził się służyć pod rozkazami Lapusa bądź na odwrót, ale obaj obiecali słuchać rozkazów Nellista. W ten sposób do konfrontacji nie doszło.

Dziewiątego marca Nellist stał się dowódcą wszystkich partyzantów w okolicy, to znaczy około tysiąca ludzi. Władza Nellista była wątpliwa; partyzanci należeli do rozmaitych oddziałów i nie znosili się nawzajem. Chcąc ich od siebie odseparować, Nellist wymyślił, żeby każdy działał we własnym sektorze. Wszystkie oddziały otrzymały radia i mogły porozumiewać się za pośrednictwem partyzanckiej siatki łączności radiowej, która funkcjonowała na Luzonie. Ponieważ jednak partyzanci nie byli wyszkolonymi żołnierzami, którym można by powierzyć przeprowadzenie jakiegoś ważnego ataku, Nellist kazał im strzelać do wroga z ukrycia oraz napadać na jego patrole i placówki. Partyzanci wywiązywali się z tych zadań wybornie, a Japończycy wycofali się na tak zwany Mały Bataan, szesnaście kilometrów na zachód od Legazpi.

Nellist wciąż nadzorował całość, wprowadzając wojskowe zasady i tak bardzo potrzebną w tym wypadku dyscyplinę.

Jeden oddział, dowodzony przez Orubia, wycofał się z linii obrony i przyszedł do Nellista, aby poinformować go, że jego członkowie wracają do domów, bo muszą odpocząć. Na coś takiego Nellist nie mógł pozwolić, bo zaraz inni poszliby w ich ślady. Wobec tego ustawił mężczyzn w szeregu, zabrał im broń i powiedział, że teraz mogą sobie iść, ale nie mają po co wracać, a ich broń rozdał innym.

Szczególnych kłopotów przysparzał partyzancki dowódca imieniem Zabat, który w swoim sektorze stosował przemoc, często uciekając się nawet do grabieży i morderstw. Nałożył na ludność (na wszystkich, którzy zbierali jakieś plony, oraz na posiadaczy ziemskich) wysokie dwudziestoprocentowe podatki. Nellist rozkazał mu zaprzestać tych działań i poskutkowało - ale na krótko. Potem znowu się zaczęło. Teraz doszły jeszcze nowe podatki od walk kogutów, domów gry i występów kabaretowych. Nellist znowu kazał mu przestać i zagroził, że odetnie go od dostaw amerykańskiej broni oraz amunicji. To pomogło, a równocześnie Nellist zdał sobie sprawę, że dopiero za pomocą takiej groźby można utrzymać partyzantów w ryzach.

Nellist zorganizował także siatkę szpiegowską złożoną z cywilów. Szybko zorientował się, że najlepszymi agentami są starsze filipińskie kobiety, które mogą chodzić od wsi do wsi, sprzedając jajka, kurczęta oraz inne produkty, a przy tym wypatrując, gdzie wróg magazynuje paliwo, amunicję artyleryjską itp.

W Legazpi kobiety wypatrzyły, że najważniejsze japońskie instalacje mieszczą się w budynkach krytych czerwoną dachówką, a jedna z kobiet odkryła tunele służące za składy amunicji. W sumie znalazły tyle ważnych obiektów, że dowództwo 6. Armii po prostu zdecydowało o dokonaniu zmasowanego bombardowania całego tego obszaru.

Datę inwazji na Legazpi wyznaczono na 1 marca, a Nellist na dwa tygodnie przedtem pozostawał w ścisłym kontakcie z dowództwem, wysyłając codzienne raporty na temat ruchów nieprzyjaciela. Po inwazji Nellist wraz ze swoim zespołem dołączyli do armii i już wspólnie koordynowali działania partyzantów.

\*\*\*

Tymczasem Tom Rounsaville, już po akcjach w Cabanatuanie i Los Baños, założył w dzielnicy miasta Pila punkt dowodzenia, którego zadaniem było obserwowanie ruchu wojsk nieprzyjacielskich nad jeziorem Laguna de Bay. Do zespołu Rounsaville'a w zastępstwie Franka Foxa, który wrócił do macierzystej jednostki, dołączył starszy szeregowy Leroy Donnette. Donnette był jedynym zwiadowcą Alamo, który nie przeszedł szkolenia w ASTC; należał on do szkoleniowców nadzorujących proces szkolenia zwiadowców i dopiero po namowach Nellista dołączył do zespołu.

Drugiego marca Bill Littlefield, nadal przeprowadzając działania rozpoznawcze, którym kres położył dopiero wspomniany wcześniej atak dyzenterii, wraz ze swoim zespołem dołączył w mieście Pila do grupy Rounsaville'a. Teraz wspólnie mieli śledzić, co się dzieje na obszarze kilku kilometrów kwadratowych wokół Laguna de Bay. Towarzyszyła im czterdziestoosobowa grupa chińskich komunistów wchodząca w skład oddziału partyzanckiego dowodzonego przez Wai Chi, wszystko (jak wspominał po latach Littlefield) waleczni i bardzo zdyscyplinowani żołnierze.

Między 2 a 25 marca Rounsaville'owi udało się zainstalować sieć stacji radiowych łączących Pilę, Mount Atimba, Nagcarlan, Dyapp i Tayabas. To pozwalało na koordynowanie działań partyzanckich z 7. pułkiem kawalerii. Nellist sprawował kontrolę nad tą siatką aż do 6 kwietnia, kiedy to przekazał ją 1. Dywizji Kawalerii i Zwiadowcy Alamo wyjechali.

\*\*\*

Natomiast Littlefield pozostał w Pili, mieście znajdującym się w rękach tysiącosobowej grupy partyzanckiej. Jej członkowie należeli do pięciu odrębnych oddziałów, w tym do 48. szwadronu, złożonego wyłącznie z komunistów Hukbalahap. Zespół Littlefielda dobrze się czuł w Pili. Mieszkańcy okazywali mu wielką gościnność i udostępnili obszerny, nowoczesny dom, w którym zwiadowcy mieszkali. Była tam nawet lodówka z kostką lodu, elektryczność i bidet, a posiłki przygotowywali tubylcy.

- Dopiero tam po raz pierwszy w życiu zobaczyłem bidet - wspominał Littlefield po latach.

Jedyny kłopot mieli z elektrycznością. Wytwarzała ją elektrownia odległa o piętnaście czy dwadzieścia kilometrów, ale gdy przybyli Japończycy, odcięli dostawę prądu do miasta. Kiedy z kolei partyzanci zajęli ten teren, to odcięli prąd Japończykom. Tak więc kontrola nad elektrownią przechodziła z rąk do rąk, ale nikt nie zniszczył zakładu.

Wkrótce partyzanci zajęli stolicę prowincji San Fernando, a wtedy przeniósł się tu Littlefield ze swoim zespołem. Zaraz też zorganizowali zrzuty dla Filipińczyków, głównie broni oraz amunicji. Kiedyś samolot zrzucił bazooki, których partyzanci jeszcze nigdy w życiu nie widzieli. Następnego dnia partyzanci przyszli do Littlefielda, prosząc o więcej bazook oraz rakiet do nich. Zwiadowca zdziwił się, o co chodzi i komu trzeba tyle rakiet, poszedł więc z partyzantami zbadać dokładnie całą sprawę.

To była ciężka droga, przechodzili przez powalone drzewa pełniące rolę zapór oraz przez pola ryżowe. Kiedy w końcu doszli do linii walk, Littlefield znalazł jakieś wzniesienie terenu i rozkazał dowódcy partyzantów iść ze sobą. Alfredo Amdavid (przybrał takie nazwisko, aby chronić swoją rodzinę w Manili) był zdenerwowany. W tym momencie

zaświstał japoński pocisk i obydwaj mężczyźni pędem zbiegli po zboczach i schowali się w okopach. Przesiedzieli tam czas jakiś, a gdy wyszli, zobaczyli, że o jakieś sto metrów od nich wyskoczył skądś japoński żołnierz i zaczął uciekać. Nagle rozległ się świst - to partyzanci wystrzelili z bazooki. Okazało się, że strzelają z niej do ludzi. Littlefield położył kres tej praktyce.

\*\*\*

Kiedy Littlefield i Nellist współpracowali z partyzantami w rejonie jeziora Laguna de Bay, George Thompson wraz ze swoim zespołem 9 marca popłynął łodzią do Santa Lucia. Po założeniu posterunku dowodzenia w mieście zwiadowcy przenieśli się bardziej w głąb lądu, do Maubanu, i odkryli, że jest tam około dwustu Japończyków. Zawiadomili dowództwo i poprosili o zrzut; chodziło przede wszystkim o broń i amunicję dla oddziału partyzanckiego Vera na południu Luzonu. Przy pomocy partyzantów Thompson zorganizował z miejscowej ludności siatkę zbierającą przydatne dla wywiadu informacje oraz blokującą drogi w celu uniemożliwienia pojazdom nieprzyjacielskim przemieszczania się.



*Generał Hatazo Adachi*

\*\*\*

Jeśli chodzi o działania na Nowej Gwinei, to generał Krueger sprzeciwiał się wysłaniu jego Zwiadowców Alamo w teren w celu schwytania japońskiego generała Hatazo Adachiego, dowódcy 18. Armii. Na wszelkie pomysły tego rodzaju odpowiadał:

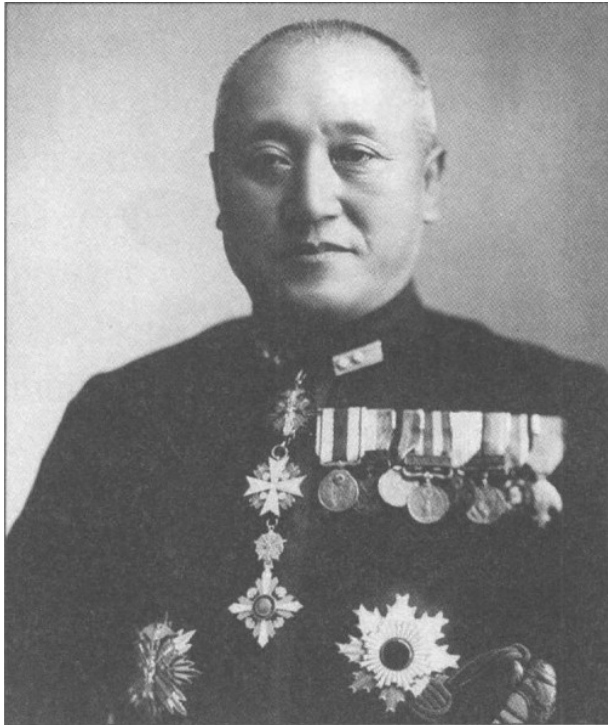
- Nie zamieniłbym jednego Zwiadowcy Alamo na całą japońską armię.

Jednak teraz zmienił zdanie.

Przez wiele tygodni wywiad 6. Armii starał się dowiedzieć, co się dzieje z admirałem Nobutake Kondo i generałem Rikichim Tsukadą, którzy wspólnie dowodzili japońskimi działaniami w górach Zambales. Tsukada dowodził wojskami z Fortu Stotsenburg, a Kondo, który w 1942 roku dowodził akcją na Aleutach, kierował siłami morskimi oraz powietrznymi z bazy w San Marcelino.







*Wiceadmiral Nobutake Kondo*

panuje kompletna dezorganizacja i nie mają co jeść. Umierają z głodu i z braku pomocy medycznej. Jeśli nam się powiedzie, to odetniemy ich całkowicie i niech tam uschną.

White zapalił papierosa i mówił dalej.

- Jednak tym się nie zajmujcie. Jesteśmy przekonani, że generał Tsukada i admirał Kondo ukrywają się gdzieś w górach Zambales. Chcielibyśmy dostać ich w swoje ręce. To byłby dla Japończyków taki cios, że wielu z nich zmusiłoby do poddania się.

Ustalono, że zwiadowcy wyruszą 28 marca. Okazało się jednak, że największą przeszkodą dla Sumnera nie była dżungla, ale dowódca jednego z pułków, pułkownik Harry Mangold. Miał on za zadanie odciąć Japończykom drogę ucieczki z półwyspu Bataan w góry Zambales. Nic go nie obchodziły rozkazy, jakie otrzymał Sumner, i zagroził swoim ludziom sądem wojennym, jeśli wezmą jakiegoś Japończyka żywcem. A tymczasem sekcja walki psychologicznej 6. Armii przygotowała mnóstwo ulotek wzywających do poddania się, zrzuconych na tereny, na których przebywali Japończycy.

- Sir, te ulotki skutkują - tłumaczył Sumner Mangoldowi. - Japończycy poddają się. Im więcej będziemy mieć jeńców, tym więcej dowiemy się od nich w trakcie przesłuchania i tym więcej naszych chłopców ocali życie. Czy odwoła pan swój rozkaz, aby zastrzelić każdego Japończyka, który zechce się poddać?

Mangold wbił w Sumnera wzrok.

- Poruczniku, niech się pan wynosi i więcej nie pokazuje mi się na oczy - warknął.

- Z całym szacunkiem, sir, ale podlegam bezpośrednio generałowi Kruegerowi i

Sumner doszedł już do siebie po przebytej żółtacze i wraz ze swoimi ludźmi był w łbie, gdy nagle został wezwany na odprawę. Dowiedział się, że amerykańskie siły będą atakować od strony wschodniej, zza gór Zambales, aby wyprzeć stamtąd Japończyków i odzyskać bazy Clark Field i Stotsenburg.

- To nie będzie łatwe zadanie - stwierdził pułkownik Horton White. - Teren jest straszny, dżungla gęsta - tworzy nad głowami taki parasol, że nieba w ogóle nie widać, bardzo trudno się w niej poruszać. Jednak na szczęście dla nas wśród żółtków



zamelduję mu o wszystkim - odparł Sumner, zasalutował i wyszedł.

Natychmiast drogą radiową powiadomił o zajściu dowództwo 6. Armii, a właściwie White'a, który zameldował o tym generałowi Kruegerowi.

- Masz prawo nie słuchać rozkazów Mangolda. Zamelduj się u dowódcy jego dywizji, a ja wyślę do niego osobiście wiadomość - brzmiała odpowiedź Kruegera.

I więcej Mangold nie przysparzał już Sumnerowi problemów.

Kilka kolejnych tygodni Sumner wraz ze swoim zespołem spędzili na przeczesywaniu gór, przepytując zarówno branych do niewoli Japończyków, jak i miejscową ludność. Z tego czego się dowiedzieli, wynikało, że są na tropie i „zwierzyna łowna” wyprzedza ich zaledwie o kilka dni drogi.

Trzydziestego kwietnia nad rzeką Bucao w regionie Botolanu zwiadowcy wdali się w zacieklą strzelaninę z pięcioma Japończykami; skończyło się na tym, że czterej zostali zabici lub uciekli, a jeden wzięty do niewoli. Jeniec powiedział Sumnerowi (za pośrednictwem tłumacza), że admirał Kondo został zabity przez swoich zbuntowanych oficerów. Jednak okazało się, że to nieprawda. Dwa dni później Sumner dowiedział się od jednego z tubylców, że nieco dalej, w wiosce Pinatubo, przebywa kilku chorych i głodujących Japończyków. Zwiadowcy ostrożnie z bronią przygotowaną do strzału weszli do wsi. Cała wioska składała się z czterech bambusowych chat krytych palmowymi liśćmi, a w środku każdej z nich leżały rozkładające się trupy siedmiu do dziesięciu japońskich żołnierzy, nad którymi kłębiły się całe chmary much. Jednak żaden ze zmarłych nie był poszukiwanym admirałem czy generałem.

Drugi maja zastał zwiadowców patrolujących wioskę Paluig. Nagle zobaczyli nadchodzącą grupę osiemnastu Japończyków, więc Sumner rozkazał przygotować zasadzkę. Kiedy Japończycy podeszli bliżej, zwiadowcy ostrzelali ich i w efekcie zabili piętnastu, a trzech wzięli do niewoli.

Od chwili gdy Japończycy dowiedzieli się z ulotek, że nie będą zabijani, ale brani do niewoli, rozwiązywały się im języki. I teraz Sumner dowiedział się, że poszukiwani oficerowie poszli na północ, wzdłuż wybrzeża, do Baguio, gdzie mieli się spotkać z wojskami Yamashity. Z kolejnym patrolem, który spotkali tego dnia, idąc z Masinloc do Santa Cruz, również wdali się w strzelaninę. Ośmiu Japończyków zginęło, a zwiadowcy znaleźli przy nich wiele dokumentów oraz mapy.

Potem 7 maja podczas rutynowego kontaktu radiowego Sumner otrzymał wiadomość o kapitulacji Niemiec w Europie, ale na zwiadowcach przebywających w głębi dżungli, wciąż zaangażowanych w tę wojnę, z tym, że na drugim krańcu świata, te wieści nie wywarły

specjalnego wrażenia.

- Wszystkie te dobre wiadomości nas nie dotyczą, nadal musimy uganiać się za Japońcami - powiedział Sumner do swoich ludzi.

Im dłużej trwał pościg za dwoma Japończykami, tym bardziej wydawał się Sumnerowi bezsensowny. Ciągłe napotykali małe grupki nieprzyjacielskich żołnierzy, konających bądź to z głodu, bądź z chorób, albo już zmarłych wcześniej. W końcu Sumner poinformował dowództwo, że nie widzi szans schwytania japońskiego generała oraz admirała, i otrzymał rozkaz powrotu.

Jednak ta misja nie była całkiem bezsensowna, udało się bowiem Sumnerowi zaopatrzyć w broń i amunicję wiele partyzanckich oddziałów, w tym dowodzony przez Manuela Roxasa, który później, w 1946 roku, został pierwszym prezydentem niepodległej Republiki Filipin. Sumner pozostał też na zawsze przekonany, że jego wpływ na rozkaz dany Mangoldowi, aby nie zabijał japońskich jeńców, przyczynił się do ocalenia życia wielu młodych amerykańskich żołnierzy.

\*\*\*

Co prawda Sumnerowi nie udało się schwycić generała Tsukady i admirała Kondo<sup>43</sup>, jednak to niepowodzenie nie stłumiło podekscytowania, jakie ogarniało generała Kruegera na myśl, że ci dwaj wysocy rangą japońscy dowódcy mogliby się stać jeńcami wojennymi.

Generał Yamashita przez cztery miesiące wiązał amerykańskie siły na północy Luzonu, czyli mniej więcej tyle samo czasu, ile trzy lata wcześniej Amerykanie bronili Bataanu. Dolina Cagayan, której Tygrys Malajów tak uparcie bronił, stanowiła główne źródło, z którego pochodziły dostawy żywności dla całej wyspy, oraz praktycznie jedyną drogę, którą Amerykanie mogli dostać się w jej głąb. Od wschodu wyspę osłaniały góry Sierra Madre, na zachodzie - centralne pasmo Kordylierów Filipińskich, od południa zaś Palai, masyw Carabello i góry Mamparang. Jednym słowem ze strategicznego punktu widzenia położenie tej doliny było doskonałe.

Trzynastego maja Amerykanie wreszcie przerwali japońską linię obrony pod Balete i pomaszerowali na północ, ale Zwiadowcy Alamo byli tam przed nimi. Między 30 kwietnia a 30 czerwca, gdy 6. Armia zaprzestała działań na Luzonie, zwiadowcy przeprowadzili dwadzieścia akcji rozpoznawczych.

---

<sup>43</sup> Wiceadmirał Kondo zdołał ewakuować się do Japonii, gdzie 15 maja 1945 roku został doradcą Marynarki Wojennej. 5 września 1945, po kapitulacji Japonii, został zwolniony ze służby wojskowej (przyp. JB).

Pierwsza przypadła zespołowi Toma Rounsaville'a. Miał znaleźć i schwytać generała Yamashitę.

Trzynastego kwietnia, wraz z sierżantami Alfonsem, Vaquilarem, Laquierem, Donnettem i Gadungiem (ostatni był filipińskim radiooperatorem) Rounsaville wsiadł na pokład C-47 i poleciał do Tuao. Tam skontaktował się z oddziałem piechoty armii partyzanckiej; na czele tego oddziału stał pułkownik Don Blackburn. Chodziły słuchy, że Yamashitę widziano gdzieś w okolicy, toteż Rounsaville przesłuchał dwóch japońskich jeńców, którzy powiedzieli mu, że kwatera główna generała mieści się w Bayombongu, ale wyprawa tam i pokazywanie zdjęć generała miejscowej ludności nie przyniosły żadnych efektów.

Po powrocie do Tuao Rounsaville przepytał Amerykanina, cywila, który uciekł z japońskiej niewoli.

- On się ukrywa w jaskini w Madupapie i chroni go około trzech tysięcy żołnierzy - oznajmił Amerykanin.

Zwiadowcy poszli do Madupapy, ale tam aż się roilo od Japończyków. Zobaczyli, jak sześcioro z nich niesie jakiegoś wysokiego rangą oficera w lektyce. Jednak to nie był Yamashita.

Kolejną wyprawę zorganizowali do Calapanganu na zachodnim brzegu rzeki Cayagan. Partyzant, któremu udało się uciec od Japończyków, powiedział zwiadowcom, że widział Yamashitę, jak jechał jakimś zwykłym, nie wojskowym samochodem. Jednak od tamtej pory generał już się przeniósł do Tuguegarao i stamtąd odleciał do Japonii. Ta pogłoska okazała się prawdziwa<sup>44</sup> i zespół Rounsaville'a wrócił do bazy.



*Generał Tomoyuki Yamashita udaje się na rozmowy kapitulacyjne*

<sup>44</sup> Generał Tomoyuki Yamashita nigdy nie opuścił Filipin. Do 2 września 1945 skutecznie stosował taktykę opóźniającą, poddając się na czele sił, które stopniały do pięćdziesięciu tysięcy żołnierzy. Kapitulacja nastąpiła w obecności m.in. generała Arthura Percivala, który składał broń przed Yamashitą w Singapurze trzy

Podczas prowadzenia rozpoznania Rounsaville stwierdził, że w regionie Aparri, na południe od rzeki Paret, przebywa około dziewięciu tysięcy Japończyków, a największa koncentracja nieprzyjacielskich wojsk ma miejsce pomiędzy Lallo i Gattaranem. Trzy tysiące są też w Tuguegarao, trzy do czterech tysięcy w Aparri i Buguey i czterystu do sześciuset nad rzeką Paret. Zwiadowcy oznaczyli też usytuowanie nieprzyjacielskich pozycji obronnych i uratowali dwóch zestrzelonych pilotów, ale obydwaj byli bardzo chorzy i nawet natychmiastowy zrzut leków i dożylnie podanie glukozy nie zdołały ocalić im życia. Wobec tego pochowano obu mężczyzn i oznakowano ich groby, a rzeczy osobiste po powrocie oddano kapelanowi ich jednostki.

\*\*\*

Nie wszyscy Zwiadowcy Alamo spędzili kwiecień i maj na próbach schwywania japońskich generałów.

Bill Littlefield wraz ze swoim zespołem 18 kwietnia opuścił Guinayangan i udał się łodziami, w których za wiosłami siedzieli Filipińczycy, do Mantubigu w prowincji Camarines Sur, na południowym krańcu Luzonu. Mieli za zadanie wybrać teren, na którym mógłby wylądować batalion 1. Dywizji Kawalerii.

To była długa podróż, trwająca dwa dni, z czterema przystankami na jedzenie i napicie się świeżej wody oraz zmianą co trzydzieści parę kilometrów wiosłarzy - byli nimi mężczyźni z mijanych wiosłarzy. Gdy w końcu przybyli do Camarines Sur, miejscowa ludność powiedziała zwiadowcom, że Japończyków już tam nie ma, wynieśli się. Amerykanie szukając najodpowiedniejszego miejsca na desant, rozglądali się po okolicy i byli zadowoleni z tego, co widzieli. Littlefield zaraz przekazał przez radio wszystkie informacje oraz współrzędne, po czym usiedli i czekali.

Akurat tego samego dnia we wsi był ślub i zwiadowcy otrzymali pozwolenie na uczestniczenie w zabawie, więc poszli i zostali poczęstowani ryżem i suszonymi na słońcu rybami. A potem tubylcy wyprawili przyjęcie już wyłącznie na cześć zwiadowców i Littlefield postanowił zrobić kawał tym z desantu. Nocą, gdy do brzegu dobiły łodzie Higginsa, opadły rampy i na brzeg wyszli Amerykanie z bronią gotową do strzału, powitała ich grupa dzieci, trzymających wymalowane plakaty z napisem: „Littlefield burmistrzem”.

Przydzielony do 1. Dywizji Kawalerii na czas jej posuwania się w kierunku Manili Littlefield został wysłany na misję wyprzedzającą przybycie tam amerykańskich wojsk. Cała ta wyprawa była, zdaniem Littlefielda, bezsensowna, a na dodatek samobójcza. Ze swojego

---

lata wcześniej (przyp. JB).

stanowiska na linii frontu bez trudu mógł dostrzec Japończyków, „uwijających się niczym mrówki”.

- Potrzebuję opancerzonego samochodu z kierowcą - oświadczył.

Gdy przysłano samochód, Littlefield kazał kierowcy podjechać bliżej japońskich stanowisk.

Samochód ruszył i wkrótce stał się celem intensywnego ostrzału. Pociski uderzały w karoserię, odbijając się od niej jak kamyki, a Littlefield napatrzywszy się dostatecznie, kazał kierowcy zawrócić.

\*\*\*

Był koniec marca, gdy zespół Jacka Dove'a w składzie: sierżant James Farrow, sierżant sztabowy Fredirico Balambao i sierżant Peter Vischansky opuścił zatokę Lingayen i wylądował w rejonie miasta Labayat. Miał za zadanie obserwować ruch oddziałów wroga wzdłuż szosy Labayat-Famy i zobaczyć obrane przez nie drogi ucieczki.

Podczas przeprowadzania tego rozpoznania zwiadowcy mieli też zwalczać siły nieprzyjaciela (bardzo rzadki rozkaz w odniesieniu do Zwiadowców Alamo). Powinni także udać się na małą wyspę Fuga i zabrać z niej dwóch zestrzelonych lotników. Okazało się, że oni nie żyją, Japończycy ćwiczyli na nich pchnięcia bagnetem. Rozwścieczeni zwiadowcy zaskoczyli grupę Japończyków i po krótkiej, zacieklej wymianie ognia kilku zabili.

Dwudziestego trzeciego kwietnia prowadząc działania rozpoznawcze wzdłuż rzeki Umiray, niedaleko od wioski Blate, zespół Dove'a oraz towarzyszący mu partyzanci wdali się w sześciogodzinną walkę z liczącym dwustu żołnierzy japońskim oddziałem. O dziwo nie zginął żaden zwiadowca ani partyzant, a wróg wycofał się ku północy. Posuwając się dalej w stronę miasta Maroraqui, zwiadowcy natknęli się na grupę pięćdziesięciu japońskich żołnierzy, z których trzech zginęło w walce, jaka się wywiązała, pozostali zaś wycofali się na południowy wschód. Następnego dnia Dove i jego ludzie natknęli się na tę samą grupę Japończyków, z którą walczyli czterdzieści osiem godzin wcześniej. Teraz rozgorzała czterogodzinna walka, której efektem było czterech zabitych Japończyków, a jeden wzięty do niewoli.

Takie potyczki musieli staczać co i raz przez dwa tygodnie, a ich skutek to osiemnastu zabitych Japończyków i trzech jeńców.

\*\*\*

Początek ostatniej misji zespołu Nellista był niefortunny: C-47, którym lecieli, rozbił się przy lądowaniu na lotnisku Manaoag w prowincji Isabela. Doszło do tego 18 maja. Zwiadowcy byli trochę w szoku, ale żadnemu z nich nic się nie stało i natychmiast utworzyli

w mieście punkt dowodzenia. Następnego dnia Nellist, Kittleson, Siason i radiooperator, Filipińczyk sierżant Agapito C. Amano przedzierali się przez dżungłę, chcąc dotrzeć do miejsca, w którym rzeki Cagayan i Magat się łączą. Leży ono trzydzieści dwa kilometry na południe od Ilaganu. Zwiadowcy mieli założyć tam kolejną radiostację oraz zorganizować z miejscowej ludności siatkę szpiegowską. Reszta zespołu, to znaczy Wismer, Asis i Smith, udali się w identycznym celu na północ od Ilaganu, do Cabaganu.

Dwudziestego trzeciego maja w nocy rozpętała się straszna burza. Nellist, Kittleson, Siason i Amano schowali się w starej drewnianej szopie, w której składowano liście tytoniu. Siedzieli tam w ciemnościach, a strugi deszczu bębniły po dachu, aż nagle do ich uszu dobiegł nowy dźwięk - licznych kroków po błocie i butów z trudem wyciąganych z czarnej mazi. Zwiadowcy, wstrzymując oddech, zobaczyli przez szpary w deskach, jak tuż obok nich, niemal na wyciągnięcie ręki, przemaszerowała kompania japońskich żołnierzy. Deszcz spływał po nich kaskadami, a Nellist tylko się modlił, żeby czasem nie przyszło im do głowy schronić się w tej szopie. Nie przyszło i wkrótce już nawet nie było słyhać ich kroków w błocie.

A w tym samym czasie Wismer, Asis i Smith spotkali się z Kiang Chi Kienem z Komitetu Spraw Zagranicznych Republiki Chińskiej. Zaproponował on, że przy budowie siatki szpiegowskiej na wschodnim brzegu rzeki Cagayan wykorzysta własne, miejscowe kontakty. Wismer zgodził się i już wkrótce zaczął dostawać bardzo wiarygodne raporty, które przekazywał dowództwu 6. Armii. Z kolei major Damian, Amerykanin dowodzący 14. oddziałem piechoty armii partyzanckiej, poprosił go o zbombardowanie Japończyków przeprowadzających się przez rzekę Siffu i kierujących do Barocboc. Dwudziestego piątego maja trzydzieści dwa bombowce B-25 Mitchell dokonały nalotu na Virę, Santa Cruz, Callang i Simimbahan, gdzie stacjonowały japońskie garnizony.

Dwudziestego dziewiątego maja zespół Nellista przeprowadził się przez rzekę Magat i dotarł do kwatery głównej 7. oddziału piechoty armii partyzanckiej. Partyzanci przekazali Amerykanom czterech jeńców (trzech Tajwańczyków i jednego Japończyka) i zgodzili się dać zwiadowcom dwóch przewodników, aby zaprowadzili ich do miasta San Mariano. Tam burmistrz poinformował Nellista, że pomiędzy San Mariano a Palananem jest bardzo dużo Japończyków. Zespół Nellista postanowił więc wracać, ale teraz zwiadowcy jechali na wozie zaprzężonym w woły po usypanych nieco wyżej drózkach oddzielających od siebie poszczególne pola ryżowe. Jeden z partyzantów prowadził japońskiego jeńca na sznurze, którym mężczyzna był też przewiązany w pasie. Miał również związane ręce.

Cała ta grupa zatrzymała się na chwilę wytchnienia na zboczu przy drodze, chowając

wóz. Kiedy tak siedzieli, nagle zobaczyli, że tą samą drogą zmierza w ich kierunku japoński patrol. Zwiadowcy leżeli cicho w wysokiej trawie, mając nadzieję, że Japończycy sobie pójdą, aż tu raptem oni również postanowili zatrzymać się na odpoczynek w tym samym miejscu, tylko po drugiej stronie drogi. Nellist widział, jak nie dalej niż dwadzieścia metrów od niego jeden z nich zapalił papierosa. Obawiał się, że któryś z jeńców zacznie wzywać pomocy, ale uspokoił się, zobaczywszy, że Kittleson mocno zaciska dłoń na gardle Japończyka.

Nieprzyjacielski patrol wkrótce ruszył dalej i wszystko szczęśliwie się skończyło.

Drugiego czerwca obydwie grupy zespołu Nellista połączyły się w Manaoagu i dowódca zespołu zdecydował, że czas przesłuchać jeńców. Przy pomocy młodej filipińskiej dziewczyny, która znała japoński, zaczął zadawać jeńcowi pytania, ale bezskutecznie, bo nie chciał na nie odpowiadać.

- Kit - powiedział Nellist - zaprowadź go na tył chaty.

Kittleson zrobił to. Japończyk patrzył, jak Nellist wziął pistolet i położył na stole.

- Kit, zaznacz, gdzie ma być grób, i niech kopie.

I bardzo szybko Japończyk wypaplał wszystko, co wiedział.

W Manaoagu Nellist zamówił zrzut, bo partyzanci potrzebowali wielu rzeczy i prosili o broń, miny, bazooki, buty i skarpety. Dwanaście dni potem przyleciał samolot, ale okazało się, że owszem, zrzucono pistolety maszynowe Thompson i naboje, ale te nie pasowały. Nie było min, bazook, skarpet, a buty były, ale tylko duże rozmiary, nie pasujące na drobnych Filipińczyków.

Zaraz potem Nellist znowu podzielił swój zespół na dwie części. On wraz z Kittlesonem zamierzali przekazywać do dowództwa 37. Dywizji Piechoty informacje dotyczące sił nieprzyjaciela, Wismer zaś i pozostali mieli udać się na wzgórze. Tam w budynku szkolnym Wismer zainstalował radiostację, która jednak została rozbita w drobny mak w czasie nalotu amerykańskich bombowców. Teraz jedynym sposobem skontaktowania się z Wismerem było zrzucenie z L-5 ręcznie napisanych instrukcji.

Dwudziestego drugiego czerwca zespół Nellista otrzymał rozkaz powrotu na linię wojsk amerykańskich. W drodze powrotnej Nellist, Kittleson i Siason natknęli się na sześćosobową grupę partyzantów. Planowali oni zaatakować chatę, w której przebywało piętnastu japońskich żołnierzy. Nellist i Kittleson chcąc im pomóc, załadowali broń maszynową, którą mieli partyzanci, i wypalili w stronę chaty. Japończycy także zaczęli strzelać i rykoszet jednego z pierwszych pocisków ugodził Nellista w prawe udo. Czterech partyzantów na ten widok uciekło, ale pozostali dwaj pomogli skonstruować prowizoryczne

nosze i nieść Nellista, który trafił do 43. szpitala polowego. Dla niego wojna się skończyła.

\*\*\*

Piętnastego maja „Rudy” Sumner opuścił Zwiadowców Alamo i przeniósł się do wywiadu 6. Armii, a jego zespół przejął porucznik Chester B. Yickery i dowodził nim podczas dwóch ostatnich zadań.

Po ich zakończeniu zwiadowców z zespołu nie skierowano już do żadnych działań rozpoznawczych.

Drugiego czerwca porucznik George Derr poprowadził swój nowiutki zespół, w którego skład wchodził: starszy szeregowy William E. Teague, sierżanci Thomas Kolas i Charles J. Stewart oraz szeregowcy Robert D. Hamlin, w region Bontoc na mające trwać dziesięć dni rozpoznanie i zebranie przydatnych dla wywiadu informacji. Wyruszając na zajęte przez wroga terytorium, Derr i jego zespół niemal od razu „trafili w dziesiątkę”: 21 czerwca odkryli nieopodal Banaue kwaterę główną generała Yamashity. Derr chciał podejść bliżej, ale nie mógł, gdyż w obozie otaczającym kwaterę było 1800 Japończyków, wobec tego Derr zdecydował (zresztą rozsądnie), że należy się wycofać.

Jeszcze inny nowy zespół, którym dowodził porucznik Robert Shirkey, a w którego skład wchodził: sierżant Richard G. Andrews, starszy szeregowy Clyde S. Townsend, sierżanci Clinton R. Tucker, Michael Zwer i Martin Grimes, przeprowadził rozpoznanie zatoki Casiguran na wschodnim wybrzeżu Luzonu. W czasie drugiej misji nad zatokę Palanan Shirkey dowodził niewielką grupą operacyjną składającą się z dwóch kanonierek, dwóch LCI<sup>45</sup> i dwustu partyzantów. Dwunastego czerwca kanonierki ostrzelały plażę, a dowodzone przez Shirkeya siły wylądowały i walczyły z patrolami wroga. Następnego dnia natknęli się nad brzegiem strumienia na ośmioosobowy nieprzyjacielski patrol; czterech Japończyków kąpało się nago. Shirkey podczołgał się na odległość dwudziestu metrów i zaczął strzelać ze swojego BAR-a. Sześciu Japończyków zginęło, a dwóch próbowało uciekać, ale zostali złapani i wzięci do niewoli.

---

<sup>45</sup> LCI - barka przeznaczona do desantu piechoty. Powstały dwie wersje - duża barka desantowa piechoty (ang.: Landing Craft, Infantry (Large), w skrócie LCI(L)) i mała barka desantowa piechoty (ang.: Landing Craft, Infantry (Small) LCI(S)). Pod względem liczby przewożonych żołnierzy różniły się nieznacznie: LCI(L) mógł ich zabrać 210, LCI(S) 200 (przyp. JB).





*Barka desantowa LCI(L). Przed barką stoi pojazd amfibijny DUKW*

Shirkey działając ponad sto kilometrów poza liniami wroga, również szukał Yamashity, ale otrzymał rozkaz powrotu, gdy potwierdzona została wiadomość, że Yamashita uciekł z Filipin do Japonii.

\*\*\*

Pierwszego lipca 1945 roku 6. Armia przekazała kontrolę nad operacjami na Luzonie 8. Armii i zajęła się następnymi wielkimi planami - inwazji na Japonię.

Od stycznia, czyli od chwili wylądowania na Luzonie, 6. Armia pokonała operujące na zachodzie i południu wyspy grupy Shimbu i Kembu, a grupę Shobu dowodzoną przez generała Yamashitę zmusiła do wycofania się w górskie tereny w północno-wschodnim rogu Luzonu. W trakcie walk zginęło w sumie 214 000 japońskich żołnierzy.

Zwiadowcy Alamo przeprowadzili na Luzonie czterdzieści trzy misje polegające na działaniach rozpoznawczych. Pomogli uratować ponad pięciuset jeńców wojennych i koordynowali działania partyzantów na całej wyspie. Co prawda jeszcze się o tym nie dowiedzieli, ale wojna już się skończyła. Kilka zespołów zwiadowców, które musiały dokończyć swoje zadania, przeszło pod dowództwo 8. Armii. Jej głównodowodzący, generał Robert Eichelberger, zmienił nazwę - teraz nie nazywali się już Zwiadowcami Alamo, ale Zwiadowcami Octagon, bo właśnie tak brzmiał kryptonim 8. Armii. Generał Krueger

dowiedziawszy się o tym, zadzwonił do Eichelbergera i zrobił mu wielką awanturę. Eichelberger wycofał się ze swojego pomysłu. Utworzona przez Kruegera jednostka znowu nazywała się Zwiadowcami Alamo.

W czasie tych ostatnich zadań na Luzonie zespół Vickery'ego (dawniej Sumnera) ustawiał blokady na drodze prowadzącej na północ od Aparri i współpracował z partyzantami. Trwało to do 7 lipca, gdy zwiadowcy otrzymali rozkaz powrotu.

Ostatnia misja Littlefielda rozpoczęła się 1 lipca. W jego zespole znajdowali się wówczas: Allen Throgmorton, Oliver Roesler, radiooperator Bob Shullaw, Zeke McConnell, Ben Mones i jeszcze jeden człowiek. Zostali wysłani do miejscowości Sadanga, gdzie przebywali wśród żyjącego w górach plemienia Igorotesów, bardzo przypominającego Indian sprzed wieków. To byli twardzi ludzie, nienawidzący Japończyków i obcinający im głowy, bo potrzebne im były ich kości żuchwy. Układali te makabryczne pamiątki na ziemi, a wojownicy wykonywali wokół nich rytualny taniec.

Niedługo przed przybyciem tam zespołu Littlefielda do wioski Igorotesów dotarł dwudziestopięciosobowy japoński patrol. Grupka miejscowych chłopców w wieku dziesięciu-dwunastu lat zaprzyjaźniła się z Japończykami, zrobiła ognisko i pomagała w gotowaniu jedzenia, a gdy Japończycy poszli spać, ci sami chłopcy zabili ich wszystkich i poucinali im głowy, zdobywając w ten sposób upragnione trofea.

Zresztą nawet żyjący w dolinach Filipińczycy nigdy nie zapuściliby się samotnie lub bez broni na tereny Igorotesów.

Na szczęście jednak ci ludzie z gór lubili Amerykanów i byli wobec nich lojalni i uczciwi. Jeśli zdarzało się, że zwiadowcy wyszli z wioski, zapomniawszy czegoś, natychmiast wieśniacy wysyłali posłańca, aby dostarczył zapomnianą rzecz.

Jednak nawet Amerykanom nie udało się nie złamać praw obowiązujących w tej małej, żyjącej w górach społeczności. Zwiadowcy znaleźli fragmenty szkieletów dwóch swoich rodaków, którzy w 1942 roku nie poddali się Japończykom, uciekli i szukali schronienia wśród Igorotesów. Okazało się, że jeden z Amerykanów miał romans z zamężną kobietą z tego plemienia i w odwecie jej mąż oraz przyjaciele zabili go. A drugi zginął, ponieważ był świadkiem tego morderstwa. Igorotesi bali się, że zostaną aresztowani i że będą musieli udać się w doliny, a o tym nawet nie chcieli słyszeć, bo oznaczało to, że zarażą się nieznanymi im chorobami, takimi jak malaria, i umrą.

Littlefield zabrał rzeczy pozostałe po zabitych i zadbał o to, aby ich szczątki zostały

ekshumowane przez AGRS<sup>46</sup>.

Według panującej wśród Igorotesów tradycji, gdy dwoje dzieci, chłopiec i dziewczynka, osiągną dojrzałość płciową, to opuszczają swoje domy i przenoszą się do chaty zwanej Ulu, a gdy dziewczyna zajdzie w ciążę, wówczas młodzi są uważani za małżeństwo.

Dojrzałe kobiety mają wytatuowane ramiona i chodzą ubrane tylko od pasa w dół, a niektóre są bardzo ładne. To spowodowało niewielką awanturę. Otóż zwiadowcy bardzo często kontaktowali się przez radio z Lee Hallem (dawniej w zespole Barnes'a, ale po awansie Hall został dowódcą własnego zespołu), który także przebywał wraz ze swoimi ludźmi wśród Igorotesów, tylko czterdzieści kilometrów dalej, i wymieniali uwagi na temat tych kobiet. Okazało się jednak, że lotnicy porozumiewali się na tej samej częstotliwości i najwidoczniej taka tematyka rozmów za bardzo ich rozpraszała, bo pewnego razu dało się słyszeć w eterze: „Spieprzajcie z tej częstotliwości, gnojki!”.

\*\*\*

Ostatnie trzy zadania, których wykonanie zlecono Zwiadowcom Alamo, przypadły Jackowi Dove'owi.

Szesnastego lipca wraz ze swoim zespołem Dove wsiadł na pokład kutra torpedowego należącego do 28. eskadry i udał się wyspę Ibahos, ostatnią w łańcuchu Filipin i położoną najbliżej Formozy<sup>47</sup>. Przybyli na miejsce po południu. Zadaniem zespołu było przeprowadzenie działań rozpoznawczych na wyspach Ibahos, Sabtang i Batan oraz zorientowanie się, czy jest tam jakieś miejsce nadające się na pas startowy dla samolotów. Najwyższe dowództwo amerykańskich sił zbrojnych ciągle rozważało zaatakowanie Formozy.

Niestety sztorm uniemożliwił przeprowadzenie rozpoznania, ale Dove spotkał trzech cywilów, od których dowiedział się, że na Ibahos nie ma Japończyków, a na Sabtangu i Batanie są stada liczące tysiąc sztuk bydła, które Japończycy trzymają w celu zapewnienia sobie żywności. Na Sabtangu było podobno dwudziestu trzech Japończyków, którzy sprawdzali, dokąd i w jakim celu jeździli mieszkańcy, oraz kontrolowali dostawy płodów rolnych z okolicznych wysp.

Zespół Dove'a wysiadł na Ibahos i przeprowadził szybki rekonesans. Gdy trzeba było odpływać, morze było tak wzburzone, że Dove zawiadomił kuter, aby czekał na nich z innej strony wyspy. Zwiadowcy musieli taszczyć pontony kawał drogi przez całą wyspę.

---

<sup>46</sup> AGRS - skrót od American Graves Registration Service, Amerykańska Służba Miejsc Pochówku (przyp. tłum.).

<sup>47</sup> Najbardziej wysuniętą wyspą Filipin, a tym samym leżącą najbliżej Formozy (obecnie Tajwan) jest wyspa Mavudis (przyp. JB).

Sześć dni później wrócili w tamte strony, tyle że tym razem na wyspę Batan. Musieli zebrać więcej informacji o znajdującym się tam japońskim garnizonie. Zwiadowcy skontaktowali się z jednym z agentów z ludności cywilnej i dowiedzieli się od niego, że stacjonujący na wyspie japońscy żołnierze należą do 61. Cesarskiej Brygady Moździerzowej, którą dowodzi generał Hikotaro Tajima, sprawujący także dowództwo nad wszystkimi japońskimi siłami znajdującymi się na wyspach Batanes oraz Babuyan. W czasie rekonesansu na wyspie zwiadowcy odkryli miejsca usytuowania japońskich stanowisk obronnych - 27 haubic kaliber 75 milimetrów oraz dwie kaliber 47 milimetrów<sup>48</sup>.

Ostatnie zadanie wypadło 28 lipca. Zespół Dove'a został wtedy wysłany na wyspę Fuga, aby oszacować siły nieprzyjaciela. Zwiadowcy przybili do brzegu wyspy od północnej strony o trzeciej nad ranem i skontaktowali się z miejscowym rybakiem, który pokazał im, gdzie śpi dwóch japońskich żołnierzy. Akcja była błyskawiczna i już jeden z Japończyków był jeńcem w rękach zwiadowców. Od niego, jak również od miejscowej ludności Amerykanie dowiedzieli się, że siły nieprzyjaciela to 550-600 ludzi plus trzy haubice kaliber 75 milimetrów, ale wielu Japończyków cierpi na dyzenterię, malarię i jest niedożywionych.

Z kolei z wyspy Fuga zespół Dove'a zabrał trzydziestu dziewięciu cywilów, w tym również rodzinę Alfonsa Sycipa, prezesa filipińskiego oddziału Bank of China. Sycip schronił się na Fudze w 1942 roku, myśląc, że tu będzie bezpieczniej aniżeli w Manili. Tymczasem schwytali ich Japończycy, przetrzymywali i teraz rodzina Sycipów niemal umierała z głodu.

Powrót zespołu Dove'a do Claverii 30 lipca zakończył działalność Zwiadowców Alamo w czasie drugiej wojny światowej.

---

<sup>48</sup> Raczej chodzi o działo przeciwpancerne kaliber 47 mm Typ 1. W porównaniu z ówczesnymi armatami przeciwpancernymi nie była to szczególnie udana broń, z odległości 915 m jej 1,5-kilogramowy pocisk przebijał pancerz o grubości jedynie 51 mm, ale w Japonii już do końca wojny nie zdołano wyprodukować potężniejszej armaty. Dwie zalety tej armaty to niewielka waga i, co się z tym wiązało, wysoka mobilność oraz wysoka szybkostrzelność uzyskana dzięki zastosowaniu półautomatycznego zamka (skopiowanego z niemieckiej armaty). Łącznie do końca wojny wyprodukowano około 2300 armat tego typu, w zmodyfikowanej formie stanowiła także uzbrojenie czołgu Typ 97 Shinoto Chi-Ha (przyp. JB).

# ROZDZIAŁ 16

## „To równałoby się niemal samobójstwu”

Japonia i rozwiązanie jednostki Zwiadowcy Alamo, sierpień-wrzesień 1945

Operacja „Olympic”, czyli pierwszy etap planu (o kryptonimie „Downfall”) podbicia Japonii miała rozpocząć się 1 listopada 1945 roku. Zakładała ona desant jednego amerykańskiego korpusu na wyspę Shikoku, podczas gdy trzy inne miały lądować na położonej najbardziej na południu wyspie Kiusiu. W całej operacji miało wziąć udział 767 000 żołnierzy, w tym również 6. Armia generała Kruegera, oraz liczni weterani z Europy, gdzie wojna już się skończyła.

Japończycy wiedzieli, że szykuje się inwazja i to już niedługo. W całej Japonii ludność gotowała się do wojny, wojskowi stawiali cywilów przed wyborem: walczysz albo giniesz. Do samobójczych ataków kamikadze przygotowano 5000 samolotów oraz setki żywych torped. Wzdłuż wybrzeży Japonii cywile pracowali ramię w ramię z żołnierzami, przygotowując fortyfikacje. Cztery miliony cywilów oraz dwa i pół miliona żołnierzy (wielu ściągniętych z Mandżurii i z Korei) było przekonanych, że to oni mają szansę ocalenia ojczyzny. A wszędzie, ale to absolutnie wszędzie: na polach, w parkach i na szkolnych boiskach starszankowie i dzieci uzbrojeni w bambusowe kije uczyli się, jak zabijać amerykańskich najeźdźców. Natomiast rząd, aby pocieszyć tych wszystkich obywateli mających za broń jedynie kije, przekonywał ich, że „siła oraz duch” pomogą im zwyciężyć.

Ogólnonarodowe hasło brzmiało: „100 milionów umrze razem”.

Amerykanie również zdawali sobie sprawę, co ich czeka, a była to ponura rzeczywistość. Na jednym ze spotkań w Białym Domu, na którym omawiano strategię operacji „Olympic”, George C. Marshall, głównodowodzący Połączonego Kolegium Szefów Sztabów, przestrzegął, że straty będą „przerażające”. Operacja „Olympic” miała się rozpocząć 1 listopada, „Coronet” zaś, czyli inwazja na Honsiu - w marcu 1946 roku i bynajmniej nie wykluczano, że w trakcie tych obu operacji może zginąć pół miliona amerykańskich żołnierzy.

Myśl o tych potwornych stratach w ludziach sprawiała, że Henry’emu L. Stimsonowi, ówczesnemu ministrowi wojny Stanów Zjednoczonych, robiło się słabo.

\*\*\*

Jak dotąd Zwiadowcy Alamo mieli szczęście. Zrealizowali ponad sto misji, wiele z nich ekstremalnie niebezpiecznych, i żaden z nich nie zginął w akcji. Jednak im bliżej było do inwazji na Japonię, tym bardziej wydawało się, że ten fart ich opuści.

Sześć zespołów Zwiadowców Alamo przygotowywało się do wyjścia na brzeg na południowym krańcu wyspy Kiusiu. Mieli to zrobić jeszcze przed rozpoczęciem amerykańskiej inwazji, a to, co ich czekało, kilka lat po wojnie zrelacjonował Bill Littlefield, gdy niespodziewanie spotkał się z Robertem Sumnerem. Sumner był w Japonii w 1945 roku, pojechał tam wraz z armią okupacyjną i miał okazję być na tym terenie, na którym wylądowaliby zwiadowcy.

- Nigdy nie udałoby się nas stamtąd zabrać - powiedział Littlefieldowi. - Pełno tam było zasieków z drutu kolczastego, zarówno na plaży, jak i w wodzie, i wszędzie chodziły patrole z psami.

Zeke McConnell widział to wszystko w jeszcze czarniejszych barwach. Już po zakończeniu wojny stwierdził:

- Nasza wspaniała historia zostałaby przerwana, gdybyśmy musieli jechać do Japonii. Stracilibyśmy wielu ludzi. To równałoby się niemal samobójstwu.

Jednak nie wszyscy zwiadowcy mieli takie ponure myśli.

Conrad Vineyard, który przyszedł z kompanii F 164. pułku piechoty, dopiero co przyjechał ze Stanów Zjednoczonych, ale i tak już rozniosła się wieść, że jest doskonałym pływakiem. Zwiadowca Martin Grimes i jeszcze jeden podeszli do Vineyarda, odciągnęli go na bok i usiedli po drzewem. Jak później wspominał Vineyard, „naprawdę szczerze z nim porozmawiali”.

- Ilu ludzi było w twoim oddziale, jak przyszedłeś? - spytał Grimes.

- Dwóch - odpowiedział Vineyard.

- A ilu powinno być?

- Od dwunastu do osiemnastu.

- A co z resztą?

- Cóż, myślę, że im się nie powiodło.

- A my nigdy nie straciliśmy ani jednego - stwierdził Grimes.

To zrobiło na Vineyardzie wrażenie, podobnie jak obietnica doskonałych warunków i świetnego jedzenia. Zgodził się i już dwa dni później był w drodze do ASTC, które mieściło się w Subic Bay na Luzonie.

Vineyard oraz inni uczestnicy dziewiątego już z kolei szkolenia w ASTC nie mogli się

doczekać, kiedy wreszcie zostaną wysłani, aby przeprowadzić działania rozpoznawcze, i zupełnie nie myśleli o czyhających niebezpieczeństwach.

- Myśleliśmy, że jesteśmy niezwyciężeni, że jesteśmy panami sytuacji i że nic nie może się nam stać - wspominał Vineyard w 2007 roku. - Uważaliśmy, że jesteśmy dość sprytni, żeby uważać na siebie. Chcieliśmy jechać i działać.

\*\*\*

Jack Dove poznał przedsmak tego, co ich czeka, gdy odwiedził starego przyjaciela majora Johna Lahmera, który był na Filipinach w San Fernando. Zastał Lahmera, który pracował przy planowaniu operacji „Olympic”, przy rozłożonej na stole wielkiej mapie, na której wyraźnie zaznaczono strefy desantu.

- Chcesz zobaczyć, gdzie wylądujesz? - zapytał Lahmer. - Przysuń sobie krzesło.

Dove usiadł, a Lahmer objaśniał mu cały plan, wskazywał rozmaite miejsca, gdzie są nadbrzeżne skały albo wąskie plaże. Powiedział, jak wyglądają szacunki odnośnie do sił wroga i jego możliwości obronnych oraz czasu, jakiego potrzebować będą amerykańskie posiłki na dotarcie do tamtych miejsc. Zapoznał Dove'a z innymi szczegółami, a to wszystko, jak później wspominał Dove, sprawiło, „że o mało nie posikałem się ze strachu”.

Kilka dni przed datą planowanego desantu zwiadowcy powinni dotrzeć nocą na japońskie plaże w celu przeprowadzenia czynności rozpoznawczych. Okręty podwodne miały ich dowieźć jak najbliżej brzegu. Mieli wziąć jeńców w celu wyciągnięcia od nich jakichś informacji.

- To będzie trudne zadanie - stwierdził Lahmer.

- Trudne jak diabli, a nasze szanse praktycznie zerowe - podsumował Dove.

Pewien zwiadowca miał nawet gorsze przecucia, gdy usłyszał, co ich czeka.

Szeregowy Carl Bertoch z zespołu Adkinsa, który miał wylądować na Kiusiu i znaleźć miejsca, gdzie, jak sądzono, przetrzymywani są amerykańscy jeńcy, wspominał, że jego koledzy nie uważali, że to misja samobójcza, ale też nie spodziewali się, że wrócą.

Jednak wszystkie te scenariusze nie doczekały się realizacji, bo 6 sierpnia 1945 roku bombowiec B-29 „Enola Gay”, pilotowany przez pułkownika Paula Tibbetsa, zrzucił bombę atomową, zamieniając Hiroszimę w kupę gruzów. W niedzielę, 9 sierpnia, inny B-29, „Bock's Car”, zrzucił kolejną bombę, tym razem na portowe miasto Nagasaki. Trzy dni później Japonia skapitulowała, a następnego dnia, a był to czwartek, zespoły Zwiadowców Alamo poinformowano, aby zaprzestały wszelkich wrogich działań przeciwko Japończykom i natychmiast wracały na Luzon, do Subic Bay.

\*\*\*



*Bombowiec B-29 „Enola Gay” ląduje na wyspie Tinian po wykonaniu misji*

Pierwsze pokojowe zadanie Zwiadowców Alamo zaczęło się 14 września, kiedy to zespół dowodzony przez porucznika George’a Derra wsiadł na okręt w Manili, a na pokładzie znajdował się już generał Krueger i jego sztab. Okręt płynął do Japonii, ale po drodze zatrzymał się na Okinawie, aby zabrać generała Stillwella, zwanego „Octowym Joe” z dowództwa 10. Armii. 19 września okręt wpłynął do portu w Wakayamie, a Krueger natychmiast ustanowił tam dowództwo 6. Armii. Następnego dnia obserwował przybycie 5. Dywizji Piechoty Morskiej oraz oddanie Amerykanom bazy sił morskich w Sasebo.

Dwudziestego czwartego września Krueger ze swoim sztabem i zespół Derra popłynęli do Nagasaki, aby zobaczyć zniszczenia i to, co pozostało z miasta. Sierżant Clinton Tucker z zespołu Derra wspominał, że widział stalowe belki skrzycone w strasznej temperaturze oraz fundamenty domów, które zostały kompletnie zmiecione z powierzchni ziemi. Epicentrum wybuchu miało kształt spodka, a jego brzegi znajdowały się daleko poza miastem, koło znajdujących się tam wzgórz, gdzie spłonęły tysiące drzew, a jeszcze więcej leżało ściętych.

Krueger zatrzymał się, aby zobaczyć zakład produkujący torpedy, a właściwie to, co z niego zostało. Wszystkie części metalowe oraz maszyny stopiły się i spłynęły w postaci wielkich kropli, a następnie zastygły i stwardniały.

Kilku spotkanych mieszkańców zachowywało się dziwnie, jakby byli pod wpływem narkotyku albo dopiero co ocknęli się z koszmarne snu. Zorganizowane naprędce prowizoryczne szpitale były przepelnione ponad miarę, niektóre ofiary były potwornie poparzone, a najciężej rannych przewieziono na amerykańskie okręty szpitalne.

Opuściwszy ten zdewastowany krajobraz, który niegdyś był miastem Nagasaki,



Krueger i jego sztab przybyli 28 września do Kioto. Tam generał zainstalował w jednym z rządowych budynków swoją kwaterę główną, a na mieszkanie wybrał dla siebie oraz dla swoich ludzi położony poza miastem hotel Miyako.

\*\*\*

Podczas gdy Derr z zespołem ochraniał Kruegera, ośmiu zwiadowców z zespołów Adkinsa i Grimesa dwoma dzipami udało się na poszukiwania japońskich składów broni. Japończykom kazano zebrać posiadaną broń i złożyć w widocznych miejscach, po czym grupy żołnierzy z piechoty miały przejść i pod nadzorem zwiadowców zniszczyć tę broń, zazwyczaj układając ją i przecinając na pół acetylenowymi palnikami.

Zespół Adkinsa, a przede wszystkim sierżant William E. McCommons, został również wyznaczony do oględzin ponad pięciu tysięcy mieczy samurajskich i wybrania najpiękniejszych, aby podarować je Kruegerowi i wojskowym najwyższej rangi z jego sztabu. McCommons zażądał pomocy japońskiego generała, wraz z którym wybrał sześć najpiękniejszych i najlepszej jakości mieczy. Przekazano je do dowództwa 6. Armii. Następnie kazał generałowi wybrać kolejnych sześć mieczy, ale te zatrzymał dla siebie.

\*\*\*

Koniec drugiej wojny światowej zastał Billa Littlefielda w Kalifornii. Otrzymał czterdziestopięciodniowy urlop, pod warunkiem że wróci na południowo-zachodni Pacyfik. Littlefield przystał na ten warunek.

- Zrobiłbym wszystko, żeby tylko wrócić do Stanów Zjednoczonych chociaż na chwilę - wspominał.

Teraz jednak wojna się skończyła i rozkazy wzywające go z powrotem nigdy nie napłynęły.

Dla Conrada Vineyarda koniec wojny nastąpił, zanim dostał szansę zaprezentowania swoich umiejętności zwiadowcy. Uczestnicy kursu, na który i on uczęszczał, nie ukończyli szkolenia w ASTC, a sam Vineyard wrócił do swojej dawnej jednostki, którą opuścił, żeby zostać zwiadowcą, zaledwie tydzień wcześniej.

To wszystko stało się tak szybko, że Vineyard zostawił w obozie swoje rzeczy, a przede wszystkim mundur zwiadowcy Alamo z nową czerwono-biało-niebieską odznaką, zaprojektowaną przez lekarza Harry'ego Goldenę w 1944 roku, na której widniała głowa Indianina na tle fasady Fortu Alamo. Tuż przed wyjazdem Vineyard oddał swój mundur do prania.

- Czy mogę odebrać mundur? - spytał, gdy otrzymał na piśmie rozkaz powrotu.

- Nie - brzmiała szorstka odpowiedź. - Rozkaz mówi, że masz wyjechać natychmiast.

I Vineyard nigdy już nie zobaczył swojego munduru.

Potem wysłano dywizję Vineyarda do Japonii i wysiedli w Jokohamie. Wspominał, że ludzie byli „bardzo hojni”, wymieniali jajka na papierosy. To traktowanie okazało się bardzo dalekie od wrogości, jakiej się spodziewał, oraz możliwych zasadzek, przed jakimi przestrzegano amerykańskich żołnierzy.

\*\*\*

Terry Santos od początku czerwca walczył na Okinawie. Jego 11. Dywizja Powietrznodesantowa została wysłana na tę wyspę jako wzmocnienie i uzupełnienie olbrzymich strat w ludziach, jakie ponieśli tam Amerykanie. I właśnie tam, w czasie krwawych walk w Naha, poległ przyjaciel i dowódca Santosa, Red Skau.

A teraz wojna się skończyła i Santosa, który za swoje dokonania został odznaczony dwiema Srebrnymi Gwiazdami, dwiema Brązowymi z literą „V” za męstwo w obliczu wroga oraz Purpurowe Serce, wezwano do namiotu dowódcy.

- Santos - zwrócił się do niego oficer. - Masz więcej niż wymaganych osiemdziesiąt pięć punktów, aby wrócić do domu, ale ja chciałbym, żebyś pojechał z nami do Japonii i był jednym z pierwszych Amerykanów, który postawi stopę na japońskiej ziemi.

- Czy pan zwariował? Przecież ja czekam na tę chwilę, kiedy pojadę do domu, odkąd wstąpiłem do armii.

Oficer jeszcze raz próbował namówić Santosa, ale na próżno.

- Cóż - powiedział - widzę, że nie mogę nic zrobić, aby cię zatrzymać.

- Nie - odparł Santos.

Terry Santos przyjechał do San Francisco 8 października, na dwa dni przed swoimi dwudziestymi czwartymi urodzinami.

\*\*\*

Wielu ze Zwiadowców Alamo było w podobnej sytuacji co Santos. Dwa dni przed wyjazdem Kruegera do Manili wśród 154 Zwiadowców Alamo, personelu i oficerów rozszła się pogłoska, że każdy, kto zebrał wymagane osiemdziesiąt pięć punktów i chce wracać do domu, może jechać. Pozostali mieli udać się z Kruegerem do Japonii bądź też wybrać powrót do macierzystych jednostek. Zwiadowcy, którzy zdecydowali się jechać do Japonii, zostali wcieleni do 6. batalionu rangersów, ci zaś, którzy woleli wracać do domu, mieli czekać na Filipinach na transport.

Dziesiątego października „Rudy” Sumner po raz ostatni opuścił flagę i oficjalnie zamknął Ośrodek Szkoleniowy Zwiadowców Alamo.

- Opuściłem flagę i pogasiłem światła - powiedział później.

Podczas miesięcy, które upłynęły od chwili, gdy zespół Johna McGowena jako pierwszy wyruszył do Los Negros, Zwiadowcy Alamo przeprowadzili jeszcze 106 misji zwiadowczych (w sumie 108). Zabili około 500 nieprzyjacielskich żołnierzy, a 60 wzięli do niewoli. Jednak, co o wiele ważniejsze, dostarczyli generałowi Kruegerowi, a zarazem i MacArthurowi tak niezbędnych dokładnych informacji, które stanowiły podwalinę zwycięstwa na Pacyfiku.

Doświadczenie Zwiadowców Alamo było tak cenne, że po zakończeniu wojny Departament Obrony przeprowadził z nimi wywiady, stosowane przez nich techniki oraz szkolenie, jakie odebrali, zostały opisane w nowych podręcznikach na temat desantu morskiego, zwłaszcza jeśli chodzi o metody przeprowadzania zwiadu i patrolowania, operacje komandoskie i partyzanckie oraz zbieranie przydatnych dla wywiadu informacji. Wnioski płynące z tych zdobytych osobiście doświadczeń były pomocne w szkoleniu oficerów w West Point oraz w Szkole Piechoty w Fort Benning czy w innych uczelniach wojskowych.

O ile jednak armia wychwalała działalność i umiejętności Zwiadowców Alamo, czego nie robiła wobec takich elitarnych jednostek specjalnych jak Diabelska Brygada<sup>49</sup> czy Maruderzy Merrilla<sup>50</sup>, o tyle jednak dopiero w 1988 roku, a więc gdy Zwiadowcy Alamo byli już na emeryturze, otrzymali oni prawo noszenia na ramieniu munduru dystynkcji sił specjalnych. Uznano ich za pierwszą w amerykańskiej armii Jednostkę Rozpoznania Dalekiego Zasięgu, podlegającą Centrum oraz Ośrodkowi Szkoleniowemu Wojskowych Działań Specjalnych im. Johna F. Kennedy'ego mieszczącym się w Fort Bragg w Północnej Karolinie.

Trzynastego marca 2008 roku w Narodowym Muzeum Wojny na Pacyfiku w Fredericksburgu odsłonięta została w obecności około pięćdziesięciu osób, przeważnie rodzin zwiadowców, tablica upamiętniająca czyny Zwiadowców Alamo. Z ich grona obecnych było tylko czterech panów w mocno już podeszłym wieku, a mianowicie: Terry Santos, Bob Buschur, Jack Geiger i dowódca jednego z zespołów William Barnes.

Powodem tak spóźnionego uznania i uhonorowania zasług zwiadowców było to, że aż do końca lat osiemdziesiątych XX wieku wszystko, co dotyczyło Zwiadowców Alamo, było

---

<sup>49</sup> Diabelska Brygada (oficjalna nazwa to 1. Jednostka do Zadań Specjalnych; inne nazwy - Czarne Diabły, Brygada Czarnych Diabłów) była amerykańsko-kanadyjską jednostką specjalną. Została sformowana w 1942 roku, walczyła na Aleutach (Alaska), we Włoszech oraz Francji. Była to w zasadzie lekka dywizja złożona z trzech specjalnie przeszkolonych pułków. Przeszkolono ją wszechstronnie: do działań w warunkach zimowych, do walki w dżungli, górach, bagnach, w desantach morskim i powietrznym oraz do walki w niewielkich zespołach. Została rozwiązana w grudniu 1944 roku (przyp. JB).

<sup>50</sup> Maruderzy Merrilla - 5307. Jednostka Mieszana (Tymczasowa), nazwa kodowa - Galahad. Sformowana w październiku 1943 roku. Była przeszkolona do operacji specjalnych. W jej skład wchodziły 3 bataliony specjalnego przeznaczenia, wyszkolone w działaniu na głębokich tyłach wroga. Nazwę Maruderzy Merrilla nadała jednostce prasa i nie była ona używana przez żołnierzy (przyp. JB).

uznane za tajne. Oni sami, po rozwiązaniu jednostki, otrzymali rozkaz powrotu do domów, rozpoczęcia zwykłego życia i nie piśnięcia nawet słówka na temat tego, co robili podczas wojny.

Nigdy nie wyjaśniono, dlaczego wszystkie ich zadania uznane zostały za tajne, ale tak nagle rozwiązanie jednostki, bez jakichkolwiek aktów uznania czy choćby krótkiego „dobra robota” pozostawiło u wielu zwiadowców uczucie goryczy.

# EPILOG

## W ciągu lat

Jednostkę o nazwie Zwiadowcy Alamo rozwiązano oficjalnie w listopadzie 1945 roku w Kioto, w Japonii, a więc niemal dwa lata po tym, jak generał Krueger wyznaczył pułkownika Fredericka Bradshawa na organizatora i szkoleniowca tej elitarniej formacji.

Teraz wojna się skończyła, co dla wielu oznaczało powrót do domu i do rodzin oraz próbę podjęcia życia od punktu, w którym wyjechali na wojnę. Byli jednak i tacy, którzy tak bardzo zżyli się przez te lata z armią, że wybrali karierę wojskową.

Generał Krueger w 1946 roku przeszedł na emeryturę i zamieszkał w San Antonio, gdzie kupił swój pierwszy dom. Tam też napisał książkę noszącą tytuł *From Down Under to Nippon: The Story of the 6th Army In World War II* (Od Australii do Japonii: Historia 6. Armii w czasie II wojny światowej), która ukazała się w 1953 roku. Jednak życie generała było bardzo dalekie od rozkoszowania się spokojem emeryta. W 1947 roku jego syna Jamesa wyrzucono z armii za zachowanie niegodne oficera, a w 1952 roku córkę generała, Grace, skazano za zamordowanie swojego męża (również oficera) podczas snu. Była sądzona przez sąd wojskowy i została skazana na dożywocie i ciężkie roboty. W 1955 roku wyszła z więzienia, gdy Sąd Najwyższy orzekł, że sądy wojskowe nie mogą sądzić cywilów. W 1962 roku w San Antonio powstała Krueger Middle School. Generał zaś zmarł 20 sierpnia 1967 roku w wieku osiemdziesięciu sześciu lat w Valley Forge, w Pensylwanii i został pochowany na cmentarzu w Arlington.

Pułkownik Frederick Bradshaw miał nadzieję, że wróci do swojego ukochanego Jackson w stanie Missisipi, znowu zacznie pracować jako prawnik i, być może, będzie kandydować na jakiś urząd państwowy. Jednak te marzenia brutalnie przeciął w 1946 roku rozległy zawał serca, którego pułkownik nie przeżył.

Zastępca Bradshawa i zarazem jego następcą na stanowisku dowódcy Zwiadowców Alamo, Homer Williams, w 1950 roku przeszedł na wojskową emeryturę. W 1993 roku zginął w wypadku samochodowym.

Mayo Stuntz, genialny zaopatrzeniowiec, w 1945 roku przeszedł na wojskową emeryturę w stopniu podpułkownika. Potem wstąpił do CIA i odszedł stamtąd na emeryturę w 1975 roku. Obecnie mieszka w stanie Wirginia i jest współautorem książek dotyczących

historii tamtego regionu.

Zwiadowca Lewis Hochstrasser opuścił armię w 1945 roku i przez wiele lat pracował jako dziennikarz w „Wall Street Journal”, po czym zaczął pisać dla Signal Oil Company. Jest też autorem pierwszej, choć nieopublikowanej, historii Zwiadowców Alamo. Maszynopis nosi tytuł: *They Were First: The Story of the Alamo Scouts*. Hochstrasser zmarł w swoim domu w Kalifornii w 1996 roku w wieku osiemdziesięciu dwóch lat.

Robert „Rudy” Sumner pozostał w armii. Nigdy nawet nie rozważał, że mógłby robić coś innego. Będąc w Tokio z 6. Armią, wybrał się na „randkę w ciemno” i spotkał Dorothy, pielęgniarkę pracującą w wojskowym szpitalu. Po tej pierwszej randce Dorothy zwierzyła się przyjaciółkom, że nie chce się już z nim więcej spotykać, bo jest on „zbyt zarozumiały na punkcie »co to nie on«”. A jednak w 1947 roku w Fort Bragg odbył się ich ślub. Urodziło im się pięcioro dzieci. Sumner dokończył też studia (przerwane przez wojnę) w college’u, zdobywając licencjat.

Zawsze aktywny i lubiący zajęcia na świeżym powietrzu Sumner nie znosił gry w golfa, mówiąc, że to zajęcie „dla staruszków”.

W 1980 roku aktywnie działał na rzecz powstania Stowarzyszenia Zwiadowców Alamo i przez wiele lat był jego dyrektorem. Dzięki niemu stowarzyszenie liczyło sześćdziesięciu członków.

Sumner zmarł w domu w Tampa na Florydzie 3 sierpnia 2004 roku.

Urodzony na Filipinach Rafael Ileta pozostał w szeregach armii. Awansował do rangi generała i został ambasadorem w Iranie, a potem, za prezydentury Ferdinanda Marcosa, ministrem obrony. Zmarł w listopadzie 2003 roku.

Robert T. Schermerhorn mieszkał w Pomona Park na Florydzie, gdzie pracował w budownictwie. Nigdy nie kontaktował się z żadnym ze Zwiadowców Alamo aż do czasu, gdy w listopadzie 2003 roku zadzwonił do niego dyrektor stowarzyszenia, Russ Blaise. Schermerhorn zmarł 22 maja 2005 roku.

John Geiger zaczął pracować jako przedsiębiorca budowlany w rodzinnej firmie w Newark w stanie New Jersey. Ożenił się i z żoną Betty mają dziewięcioro dzieci. Są małżeństwem już sześćdziesiąt lat i nadal mieszkają w New Jersey.

Aubrey „Lee” Hall, pierwszy zwiadowca, który otrzymał awans za zasługi na polu walki, pozostał w wojsku. Zdegradowany do stopnia sierżanta przeszedł na emeryturę jako starszy sierżant i aż do śmierci 19 lipca 2008 roku mieszkał wraz z żoną Maude na Hawajach.

John McGowen, który jako pierwszy wyruszył ze swoim zespołem na misję przeprowadzenia rozpoznania, weteran wśród zwiadowców, opuścił armię w listopadzie 1945

roku. Przez rok pracował na plantacji bananów w Panamie i Kostaryce i przez rok był profesorem ekonomii na Texas Christian University. Przez kolejnych trzydzieści lat pracował dla amerykańskiej firmy naftowej, spędzając wiele czasu w Arabii Saudyjskiej i na Bliskim Wschodzie. McGowen ożenił się zaraz po wojnie, ale jego żona zmarła, zostawiając go z dwójką dzieci. W 1977 roku spotkał na Krecie swoją obecną żonę, Christine, Angielkę i dwa lata później wzięli ślub. Mieszkali w Anglii.

McGowen nie utrzymywał kontaktów ze swoimi towarzyszami z czasów wojny aż do 1980 roku, kiedy to po raz pierwszy pojechał na spotkanie.

John McGowen zmarł 31 października 1991 roku i został pochowany obok swojego ojca w Teksasie.

John Dove, chłopak o urodzie hollywoodzkiego aktora, pozostał w armii i przeszedł na emeryturę w stopniu pułkownika. Służył w Niemczech, w Arabii Saudyjskiej i przez rok (w latach 1967-1968) był w Wietnamie. Zmarł 23 września 1995 roku w swoim domu w Kalifornii.

Wilbur Littlefield wrócił do Los Angeles i skończył studia prawnicze. Przez jakiś czas prowadził własną kancelarię, a potem zaczął pracować jako obrońca z urzędu w hrabstwie Los Angeles. W końcu kierował departamentem, w którym pracowało siedmiuset prawników. Littlefield ożenił się niedługo po zakończeniu wojny, a jego żona Vera zmarła w 1998 roku. Dzisiaj, już na emeryturze, Wilbur Littlefield nadal mieszka w Los Angeles.

Irvin Ray opuścił armię i poszedł inną ścieżką kariery. Wraz ze swoim bratem, który także był daltonistą, zajął się malowaniem domów, ale musiał z tego zrezygnować, kiedy okazało się, że malując wspólnie z bratem ścianę, stosowali dwa zupełnie różne kolory.

W 1947 roku Ray wstąpił do Gwardii Narodowej i został powołany, gdy wybuchła wojna koreańska, ale nie wysłano go do Korei. Później przeniósł się do rezerwy sił powietrznych i w 1983 roku przeszedł na emeryturę w stopniu generała. W 1949 roku ożenił się ze swoją koleżanką ze szkoły średniej, Terry, z którą miał trójkę dzieci. Jego syn Michael wstąpił do Gwardii Narodowej, a zbiegło się to w czasie z awansem Raya.

Irv Ray zmarł 24 kwietnia 2004 roku. Michael, będący wówczas w Iraku, nie dał rady przyjechać na pogrzeb ojca.

William Blaise opuścił armię 3 października 1945 roku, a następnego dnia zaciągnął się ponownie. Dostał przydział do kompanii C 703. batalionu żandarmerii i zajmował się pogrzebami na cmentarzu w Arlington, a dokładnie do jego obowiązków należało niesienie trumien i składanie flag. W 1946 roku ożenił się z Elaine Haas, z którą miał dwóch synów.

W 1947 roku Blaise opuścił armię i zamieszkał w Merrick na Long Island. Tam zaczął

pracować jako koordynator prac malarskich w Grumman Aerospace w Bethpage. Gdy przygotowywano lot Apollo, Blaise pomagał przy pracy nad kapsułą. Przeszedł na emeryturę w 1980 roku i przeniósł się do Port Richey na Florydzie. Zmarł 26 lipca 1997 roku.

Lekarz Dominiek Cicippio odszedł od zwiadowców w lutym 1945 roku i wrócił do macierzystej jednostki. W kwietniu tego samego roku został postrzelony w nogę przez jakiegoś Japończyka, wdała się infekcja i niemal stracił nogę. Jednak wszystko skończyło się dobrze. Cicippio wrócił do Norristown w Pensylwanii i zaczął pracować w walcowni stali. Spotkał Rose Chiccarine, z którą ożenił się w 1950 roku. Mieli dwóch synów. Młodszy z nich, Jimmy, zachorował na białaczkę i zmarł w 1980 roku, pomimo że ojciec robił wszystko, aby żył. Cicippio zmarł 16 marca 2004 roku.

Dowódca zespołu Robert Shirkey poszedł na studia prawnicze, które ukończył w 1950 roku. Został powołany do wojska, gdy wybuchła wojna koreańska, służył w 5. pułkowym zespole uderzeniowym. W 1952 roku został zwolniony do cywila, ale pozostał rezerwistą. W 1984 roku przeszedł na emeryturę w stopniu generała (dowodził wtedy 89. Dowództwem Rezerwy), jako ostatni generał, który brał udział w walkach z Japończykami. Shirkey mieszka w Missouri.

William F. Barnes w latach 1958-1966 był głównym trenerem akademickiej drużyny koszykówki UCLA Bruins (drużyna Bruins Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles) i jest członkiem Galerii Sław Sportu stanu Tennessee. Mieszka w Los Angeles.

Terry Santos uczęszczał do college'u w San Francisco State University. Został inżynierem hydraulikiem. Po przejściu na emeryturę aktywnie działa w Stowarzyszeniu Zwiadowców Alamo i nadal mieszka w swoim rodzinnym San Francisco.

William Lutz jest pastorem metodystów i nie utrzymuje żadnego kontaktu z dawnymi kolegami.

Oliver Roesler ukończył college i został technologiem drewna. W związku z raną w szyję stwierdzono u niego dziesięcioprocentową utratę zdrowia i trzysta dolarów, które otrzymywał z tego tytułu, starczało na opłacenie co miesiąc studiów. Wraz z dwoma braćmi i ojcem założyli własny biznes, firmę handlującą tarcicą. Roesler nadal mieszka niedaleko od Seattle i wyprawia się z wędką na łososie. Nie jest pewien, czy ponownie wstąpiłby do takiej jednostki jak Zwiadowcy Alamo, ale mówi, że „nie zamieniłby tego doświadczenia na nic innego”.

A w jego szyi nadal tkwią odłamki pocisku.

William E. Nellist, który bardzo nie lubił słuchać czyichś rozkazów, pozostał jeszcze przez jakiś czas w armii. CIA trzykrotnie próbowała go zwerbować, ale on za każdym razem



odmawiał, bo obawiał się, że nie będzie miał czasu na swoje ukochane polowania i wędkowanie. Po opuszczeniu armii został hydraulikiem, bo, jak stwierdził, nie zniesie siedzenia za biurkiem. Nellist miał ze swoją żoną Jane dwóch synów. Zmarł 5 września 1997 roku.

Thomas Rounsaville spędził w wojsku trzydzieści dwa lata i brał udział zarówno w wojnie koreańskiej, jak i wietnamskiej. W 1965 roku kierował w Kongo akcją uwalniania białych zakładników, wziętych do niewoli przez kongijskich rebeliantów. Przechodząc na emeryturę w 1973 roku, Rounsaville był pułkownikiem. Zmarł 16 kwietnia 1999 roku.

Galen Kittleson także nie odszedł z armii i w 1961 roku znalazł się w siłach specjalnych w randze starszego sierżanta sztabowego. W 1970 roku, mając 45 lat, Kittleson był w Wietnamie i na północy tego kraju, w Son Tay, brał udział w akcji uwalniania amerykańskich jeńców, a potem w kolejnej. Był jedynym wojskowym w całej historii Stanów Zjednoczonych, który brał czterokrotnie udział w takich akcjach. Kittleson po przejściu na emeryturę zamieszkał w Iowa. Zmarł 4 maja 2006 roku.

Andy Smith, kolega Kita, grał w drugiej lidze bejsbolowej w drużynach takich jak Chicago White Sox, Cleveland Indians i St. Louis Browns. Armia upomniała się o niego, gdy wybuchła wojna w Korei, a potem w Wietnamie; służył jako oficer wywiadu. W późniejszych latach uczył w różnych szkołach podlegających Departamentowi Obrony Stanów Zjednoczonych, na przykład w US Army Intelligence Center and School w Fort Huachuca w Arizonie. Przeszedł na emeryturę w 1975 roku w stopniu starszego sierżanta sztabowego, a zmarł 18 stycznia 2000 roku.

Conrad Vineyard wrócił do Kalifornii. Po ukończeniu college'u ożenił się i miał dwie córki. Pracował jako cywilny inżynier i pracownik naukowy, przeważnie w Golden w Kolorado. Po śmierci żony ożenił się ponownie i dzisiaj z żoną Priscillą mieszkają w Kolorado.

Vineyard nie utrzymywał żadnych kontaktów z kolegami ze Zwiadowców Alamo aż do czasu, gdy kilka lat temu odkrył ich stronę internetową, i od tej pory jest aktywnym członkiem ich stowarzyszenia.

Kiedy skończyła się wojna, Robert Buschur był w stopniu szeregowego, chociaż uważano go za „sierżanta”. Po wojnie wysłano go do Korei i pozostał tam aż do grudnia 1945 roku, a potem wrócił do Ohio. Tam ożenił się z Ritą i mają dwanaścioro dzieci. Do dziś mieszkają na farmie, a w 2007 roku Buschur po raz pierwszy przyjechał na spotkanie Stowarzyszenia Zwiadowców Alamo.

Harold Hard, dowcipny facet, który nigdy nie powiedział o nikim złego słowa, jak

wspomina jego córka, po powrocie do domu ożenił się z Marie i mieli trójkę dzieci. Hard zmarł w 1995 roku, tuż przed pięćdziesiątą rocznicą swojego ślubu.

Zeke'a McConnella poproszono po wojnie, żeby pojechał do Japonii, ale on miał na swoim koncie więcej aniżeli osiemdziesiąt pięć punktów, więc odmówił i wrócił do Waszyngtonu, gdzie mieszkała jego rodzina. Zaczął pracować jako malarz w Cushman Indian Hospital i tam w 1946 roku spotkał Mae Ladinne Duffy, z którą się ożenił. Urodziło się im pięcioro dzieci. McConnell pracował potem w urzędzie miejskim w Seattle w departamencie oczyszczania miasta i aktywnie działał w miejscowej drużynie skautów jako wychowawca drużyny chłopięcej. McConnell wspaniale strzelał z łuku, toteż razem ze swoim synem Lesterem z przyjemnością brał udział w pokazach. Przeszedł na emeryturę w 1980 roku. Przez całe życie przyjaźnił się z Billem Littlefieldem.

W styczniu 2007 roku Littlefield przyjechał z Los Angeles do Seattle, aby być przy łóżku ciężko chorego przyjaciela. Zeke McConnell zmarł 4 lutego 2007 roku.

William McCommons, ten, który miał wybrać samurajskie miecze dla generała Kruegera, wrócił do college'u. Przed wojną studiował (przyznano mu stypendium) geologię na University of Illinois; właściwie studiował tylko przez miesiąc, a potem został powołany do armii. Po wojnie koncern Halliburton wypłacił mu pensję za pięć lat wstecz i zaoferował pracę. McCommons założył w latach pięćdziesiątych własną firmę, ożenił się, miał czworo dzieci i przez dwadzieścia sześć lat był dowódcą męskiej drużyny skautów. Zmarł w 1998 roku.

George Thompson po powrocie do domu ukończył prawo. Później został sędzią Sądu Najwyższego w stanie Missouri. Zmarł 17 października 2005 roku.

Australijczyk Raymond „Łoś” Watson, instruktor w ASTC i dowódca jednostki policji na Nowej Gwinei, pozostał w armii i awansował na majora. W 1947 roku został odznaczony Orderem Imperium Brytyjskiego, co pozwalało mu stawiać po nazwisku niezwykle prestiżowe trzy litery „M.B.E.”<sup>51</sup>. Watson zmarł w Australii 27 lipca 1998 roku.

„Baby” Lois McCoy, czyli Lois Bourinskie, która została uratowana z Los Baños w wieku trzech dni, ukończyła w 1966 roku Providence College of Nursing w Oakland w Kalifornii i pracowała w Southwest Washington Medical Center w Vancouver w stanie Waszyngton jako wykwalifikowana pielęgniarka. Owdowiała ponad dwadzieścia lat temu, ale nadal mieszka tam gdzie mieszkała, zajmując się swoim hobby, to znaczy malowaniem akwarelami i farbami akrylowymi.

---

<sup>51</sup> Order Imperium Brytyjskiego (The Most Excellent Order of British Empire) dzieli się na pięć klas. Watson otrzymał najniższą z nich i został kawalerem tego orderu, czyli Member of British Empire (M.B.E.) (przyp. tłum.).

\*\*\*

Co prawda Zwiadowcom Alamo nie udało się schwytać na Filipinach japońskich dowódców, ale w końcu wpadli oni w amerykańskie sidła.

Generałowie Tomoyuki Yamashita i Hatazo Adachi, wraz z wieloma japońskimi cywilnymi i wojskowymi dowódcami, stanęli przed sądem wojennym oskarżeni o zbrodnie wojenne.

Generał Hatazo Adachi został skazany na dożywotnią karę więzienia za wydawanie rozkazów zachęcających do zabijania alianckich żołnierzy, co wiązało się z podejmowaniem przez niego decyzji prowadzących do wyniszczenia i niedożywienia oraz przeprowadzania egzekucji jeńców wojennych. Osadzony w więzieniu w Rabaulu Adachi 10 września 1947 roku popełnił rytualne harakiri, używając do tego starego, zardzewiałego noża.

Generał Tomoyuki Yamashita, czyli Tygrys Malajów, był sądzony za zbrodnie popełniane przez pozostających pod jego dowództwem żołnierzy, ale nie znaleziono bezpośrednich dowodów wskazujących na jego współudział w tych zbrodniach. Sądzone go za brak „odpowiedzialnej reakcji na zbrodnie popełniane przez podwładnych”, co stało się znane jako „standard Yamashity”, chociaż krytycy MacArthura byli zdania, że jedyną zbrodnią Yamashity było zwycięstwo nad egotystycznym<sup>52</sup> amerykańskim generałem.

Yamashita został uznany winnym zarzucanych mu czynów i powieszony 23 lutego 1946 roku.

---

<sup>52</sup> Egotyzm (łac. ego - ja) - przesadne kierowanie zarówno własnej, jak i cudzej uwagi na siebie samego, nieustanne myślenie o sobie i nadmierne zajmowanie się własną osobą (niezależnie od tego czy jest ono pozytywne czy negatywne) przy jednoczesnym zajmowaniu swoją osobą całego otoczenia (przyp. JB).

# ZESPOŁY ZWIADOWCÓW AIAMO

**Zespół McGowena:** John R.C. McGowen, Paul A. Gomez, John P. Lagoud, Walter A. McDonald, Caesar Ramirez, John A. Roberts.

**Zespół Barnesa:** William F. Barnes, Louis J. Belson, Warren J. Boes, Aubrey Hall, John O. Pitcairn, Bobby G. Walters, Robert W. Teeples.

**Zespół Thompsona:** George S. Thompson, Jack E. Benson, Joseph A. Johnson, Theodore T. Largo, Anthony Ortiz, Joshua Sunn, Glenn L. Heryford (doszedł w ostatniej misji).

**Zespół Sombara:** Michael J. Sombar, James R. Crockett, Ora M. Davis, Charles F. Harkins, Virgil F. Howell, David M. Milda.

**Zespół Dove'a:** John M. Dove, Alton P. Bauer, Denny M. Chapman, John G. Fisher, Irvin G. Ray, John E. Phillips.

**Zespół Hobbsa:** Woodrow E. Hobbs, Gordon H. Butler, Herman S. Chanley, Edgar G. Hatcher, Vern R. Miller, Joe Moon.

**Zespół Reynoldsa:** Gean H. Reynolds, William C. Gerstenberger, Lucian A. Jamison, Winfred E. McAdoo, Leonard J. Scott, William R. Watson, Ray W. Wangrud.

**Zespół Sumnera:** Robert S. Sumner, William F. Blaise, Lawrence E. Coleman, Paul B. Jones, Edward J. Renhols, Robert T. Schermerhorn, Harry D. Weiland.

**Zespół Farkasa:** Arpad Farkas, Raymond Aguilar, Jack C. Bunt, Jack C. Greenly, Charley D. Hill, Harold L. Sparks.

**Zespół Littlefielda:** Wilbur F. Littlefield, Samuel L. Armstrong, Alva C. Branson, John E. Hidalgo, Zeke McConnell, Elmer E. Niemela, Allen H. Throgmorton, Paul G. Bemish.

**Zespół Lutza:** William B. Lutz, John J. Geiger, Clifford A. Gonyea, Oliver J. Roesler, Bob Ross, Robert E. Shullaw.

**Zespół Nellista:** William E. Nellist, Sabas A. Asis, Gilbert Cox, Galen C. Kittleson, Thomas A. Siason, Andy E. Smith, Wilbert C. Wismer.

**Zespół Rounsaville'a:** Tom J. Rounsaville, Alfred Alfonso, Franklin Fox, Harold N. Hard, Francis H. Laquier, Rufo V. Vaquilar, Leroy Donnette.

**Zespół Ileta:** Raphael M. Ileta, James Farrow, Pete Vischansky, Paul E. Draper,

Estanislao Bacat, Fredirico Balambao.

**Zespół Outzsa:** Wilmot B. Outzs, Donald E. Brown, Harvey L. Hines, Edward W. Walsh, Elijah H. York, Fred J. Knaggs.

**Zespół Derra:** George A. Derr, Robert D. Hamlin, Tommy J. Kolas, Stewart J. Minzer, Charles J. Stewart, William E. Teague.

**Zespół Shirkeya:** Robert L. Shirkey, Richard G. Andrews, Donald D. Grimes, Clyde S. Townsend, Clinton R. Tucker, Michael Zwer (potem Donald D. Grimes wziął do swojego zespołu niektórych ludzi z zespołu Shirkeya).

**Zespół Halla:** Aubrey L. Hall, Norman S. Boschert, Curtis Broussard, Clifford S. Henrickson, Joseph F. Novella, William G. Swain (zespół ten co prawda utworzono, ale nigdy nie został wysłany w celu przeprowadzenia działań rozpoznawczych).

**Zespół Grimesa:** Willis (Martin) Grimes, Paul F. Adams, Arnold R. Bethel, Kenneth A. Cameron, John R. Long, Cruz C. Vega.

**Zespół Adkinsa:** Henry L. Adkins, Carl A. Bertoch, Kenneth A. Cameron, William E. McCommons, Lyle C. Wooten.

**Zespół Chanleya:** Herman S. Chanley, Juan E. Berganio, Nicholas C. Enriquez, Juan D. Pacis, Allen H. Throgmorton, Glendale Watson.

Uwaga:

W czasie wojny skład niektórych zespołów ulegał, z różnych powodów, zmianie. Zwiadowcom nie należącym do wymienionych powyżej zespołów również zlecano rozmaite zadania rozpoznawcze, ale tworzone z nich zespoły dla potrzeb jednej, konkretnej misji.

# WYBRANA BIBLIOGRAFIA

Bowers, Pat, *Darkness Was Their Ally*, „Alamo Scouts Newsletter” maj 1993, t. 5, nr 10.

Busch, Briton Coopers, *Bunker Hill to Bastogne: Elite Forces and American Society*, Dulles, Virginia 2006, Potomac Books.

Johnson, Frank D., *United States PT Boats of World War II in Action*, Poole (Wielka Brytania) 1980, Blankford Press Ltd.

Manchester, William, *American Caesar: Douglas MacArthur, 1880-1964*, Boston 1978, Little, Brown and Co.

Sasser, Charles W., *Raider*, New York 2002, St. Martin's.

Sides, Hampton, *Ghost Soldiers: The Forgotten Epic Story of World War II's Most Dramatic Mission*, New York 2001, Doubleday.

White, W.L., *They Were Expendable*, New York 1942, Harcourt, Brace and Company.

Zedric, Lance Q., *Silent Warriors of World War II: The Alamo Scouts Behind the Japanese Lines*, Ventura (Kalifornia) 1995, Pathfinder Publishing.

# PODZIĘKOWANIA

Wielu osobom winien jestem podziękowania za pomoc w pracy nad tą książką.

Przede wszystkim i najbardziej dziękuję Russowi Blaise'owi, dyrektorowi wykonawczemu Stowarzyszenia Zwiadowców Alamo oraz synowi nieżyjącego już sierżanta Williama F. Blaise'a. Russ od samego początku był wielkim entuzjastą pomysłu napisania tej książki i zgodził się opublikować na łamach wydawanej przez Alamo Scouts Association broszury mój list do pozostałych przy życiu Zwiadowców Alamo oraz do ich rodzin, w którym przedstawiłem swój projekt i zwracałem się z prośbą o wsparcie. List spotkał się z bardzo życzliwym przyjęciem.

Potem Russ pomógł mi odnaleźć potrzebne numery telefonów oraz adresy, tak że mogłem od razu skontaktować się z pozostałymi przy życiu zwiadowcami lub z ich żonami czy dziećmi. Russ przeczytał również manuskrypt mojej książki i udzielił kilku rad i sugestii. A na koniec okazał się wręcz nieoceniony, jeśli chodzi o zebranie większości zdjęć, które zostały opublikowane w tej książce.

Podziękowania należą się również Lance'owi Q. Zedricowi, którego przełomowe dzieło *Silent Warriors of World War II: The Alamo Scouts Behind the Japanese Lines* (Cisi wojownicy II wojny światowej: Zwiadowcy Alamo na tyłach wojsk japońskich) stało się bezcennym źródłem i zachęciło mnie do napisania tej książki. Lance miał to szczęście, że kiedy pracował nad swoją książką, wielu zwiadowców jeszcze żyło i jego publikacja wytycza szlak dla wszystkich historyków, którzy zechcą w przyszłości zajmować się tematem „Zwiadowcy Alamo”.

Książka Lance'a wraz z zapiskami Russa Blaise'a mają kluczowe znaczenie dla zachowania pamięci o Zwiadowcach Alamo.

Jednak pomimo pomocy ze strony Russa i Lance'a moja praca nad tą książką byłaby o wiele trudniejsza, gdyby nie wsparcie całej rodziny Zwiadowców Alamo. Niezwykle osobiste wywiady z Terryem Santosem, Lee Hallem, Jackiem Geigerem, Oliverem Roeslerem, Billem Littlefieldem, Conradem Vineyardem i Bobem Buschurem, jak również list od Roberta Teeplea pomogły mi wprowadzić do tej pracy wątki osobiste.

Geiger i Roesler, jedyni żyjący członkowie zespołu Lutza, okazali się niezwykle pomocni w poskładaniu w całość poszczególnych elementów historii dotyczących tego

zespołu.

To samo jednak mogę powiedzieć o tych, których już o nic nie zapytam. Moje wywiady z Terry Ray - wdową po Irvie Rayu, oraz z jej córką Karen Mathews, z rodziną Harolda Harda, z Jane i Lindą Nellist, z Lesem McConnellem, z Russem Blaise'em, Christine McGowen, Michaeliem Thompsonem, Jimem McCommonsem i z Bobem Cicippio pozwoliły mi zajrzeć do duszy tych ludzi.

Na szczególną uwagę zasługuje Ann Sumner, córka Roberta Sumnera, dowódcy jednego z zespołów Zwiadowców Alamo, ponieważ tak jak Russ Blaise i Lance Zedric udostępniła mi cudowne pamiętniki swojego już nieżyjącego ojca.

Mapy zamieszczone w tej książce, które pomagają w snuciu opowieści o Zwiadowcach Alamo, są dziełem mojego kolegi, Dona Morrisa, grafika pracującego dla wydawanego w Lancaster „Intelligencer Journal”.

I w końcu dziękuję również mojemu agentowi, Dave'owi Robiemu, za nakłanianie mnie i przypominanie (a bardzo mi to było potrzebne), żebym wreszcie napisał coś o drugiej wojnie światowej. Oczywiście dziękuję mojej żonie Barbarze i córce Sarah za okazaną mi ciepłość, gdy zabrałem się za poszukiwanie materiałów i pisanie kolejnej książki.



# INDEKS NAZWISK

## A

Adachi Hatazo 103, 367, 403

Adams Paul F. 406

Adkins Henry 351, 388, 390, 406

Aguilar Raymond 189,192,196,199, 201, 203, 405

Agustin Marcos V. 289

Ah Cheu patrz Loh Chui

Akers Anthony B. 44

Alexander Barbara 410

Alexander Sarah 410

Alfonso Alfred „Opu” 207, 215, 216, 219, 220, 323, 324, 326, 372, 406

Amano Agapito C. 273, 376

Amdavid Alfredo 366

Anderson Bernard L. 355

Andrews Richard G. 379,406

Angus Robert 339

Areta kpt. 355

Armstrong Samuel L. 175,176,178,406

Asis Sabas A. 210,214, 216, 217, 232, 240,293,294, 296, 328, 376,406

Atkinson G.G. 129

Avela kpt. 253

## B

Bacat Estanislao S. 256, 406

Baker Henry „Wąż” 74

Balambao Fredirico 256, 375,406

Barbey Daniel E. 65, 75

Barnes William F. 28, 100,103,107, 108, 111, 115, 116,121,122, 123, 128, 356, 382,  
394, 399, 405

Bauer Alton P. 29, 30,35,38,39,40,405  
Bautista kpt. 359  
Beach Owen 238  
Beckworth Milton 66, 67,73,75, 88  
Belson Louis J. 121, 405  
Bemish Paul 176,406  
Benson Jack E. 124,405  
Berganio Juan E. 358,406  
Bertoch Carl 388, 406  
Bethel Arnold R. 406  
Betz Herb 234,239, 240  
Bismarck Otton von 66  
Blackburn Don 372  
Blaise Elaine Haas 399  
Blaise Russ 16, 23, 397, 409, 410  
Blaise William F. 16, 83,142,145,149, 152,154,189,190,193,196,197, 199, 200, 204,  
260, 261, 262, 266, 269, 270, 271, 273, 275, 281, 361, 399, 405, 409  
Boes Warren J. 121,122,123, 405  
Boschert Norman S. 406  
Botkin Larry 344, 346  
Bowers Sherb 233, 234, 238, 239  
Bowling Selman S. 143, 144  
Bradshaw Frederick W. 18, 67, 68, 69, 70, 71, 72, 73, 74, 75, 76, 77, 78, 79, 80, 83,  
85, 91, 92, 95, 96, 97, 99,101, 102,103,107,115,123,132, 136, 220, 259, 260, 261, 395, 396  
Branson Alva C. 176, 255, 406  
Brereton Lewis 54  
Broussard Curtis 406  
Brown Donald E. 406  
Bruce Andrew D. 280  
Bulkeley John 44,45, 46, 47, 57, 58, 59, 60, 222  
Bunt Jack C. 190, 405  
Burgess Henry 339  
Buschur Rita 17,401  
Buschur Robert 17, 22, 82, 88, 99, 394, 401,410

Butler Gordon H. 129, 130, 249, 405

Byrd Calvin W. 129

## C

Cabangbang kpt. 353

Cabrido Inoconcio F. 271, 273

Call Vince 344,346

Cameron Kenneth A. 406

Canfield Richard „Doktor” 72, 91, 95, 254

Cassidy Fred 197, 205

Castillo Atanacio 348

Castillo Jones B. 231

Caulkins 175,176

Cezar Juliusz 145

Chalko Henry R. 88, 128, 351

Chance William M. 129

Chanley Herman S. 129,130,131,178, 256, 257, 351, 358, 359, 405, 406

Chapman Denny M. 29, 36, 38,248,405

Chase William B. 116,117,118

Cherry Edwin 325, 326

Churchill Winston 284

Cicippio Bob 410

Cicippio Dominick 72, 399

Cicippio Jimmy 399

Cicippio Rose Chiccarine 399

Clark Dwight 348

Coleman Lawrence E. 141,145,147,151, 154,158,189,190,193,195,196,199, 200, 202,  
204, 265, 266, 282, 361,405

Coultas William 64

Cox Gilbert 210, 219, 232, 233, 237, 238, 292, 293, 296, 303, 314, 329, 331, 332, 406

Crockett James R. 405

Crosby Bing 217, 218, 332

Czang Kaj-szek 48

## **D**

Damian mjr 376

Danner Dorothy 349

Davis Ora M. 405

DeBruine por. 181,183, 184

Derr George 351, 379, 389, 390, 406

Doiron J.C. 348

Donnette Leroy 365, 372, 406

Doorman Karel 52

Dove John 22, 23, 24, 25, 26, 27, 28, 29, 30, 31, 32, 33, 34, 35, 36, 37, 38, 39, 40, 41, 42, 43, 162, 165, 210, 212, 215, 217, 219, 220, 227, 232, 233, 235, 236, 239, 248, 302, 304, 305, 309, 315, 317, 325, 326, 330, 351, 353, 375, 383, 384, 387, 388, 398, 405

Draper Paul E. 256, 406

## **E**

Earp Wyatt 34

Eichelberger Robert 381

Enriquez Nicholas C. 358, 406

Escudero 362, 363

Ezaki Yoshio 112,118

## **F**

Farkas Arpad 137, 405

Farrow James jun. 256, 351, 375, 406

Fisher James 323, 326, 327, 328

Fisher John G. 28, 33, 38, 39, 248, 351, 405

Fox Bill 238

Fox Franklin 208, 216, 303, 314, 365, 406

## **G**

Gable Clark 80

Gadung sierz. 372

Gambill Daily P. 88

Geiger Betty 397

Geiger John 17, 79, 80,161,162,163, 164, 167, 168, 169, 170, 172, 173, 180, 229, 230, 241, 244, 246, 247, 248, 394, 397, 406, 410

Gerstenberger William C. 125,405

Gibbs Joseph W. 340

Gibson Thomas 239, 240

Gill William H. 123

Golden Harry 381

Gomez Paul V. 109, 111, 112, 113, 114, 405

Gonyea Clifford A. 161,163,164,168, 169,173, 228,406

Greenly Jack C. 405

Grimes Donald D. 406

Grimes Martin 379, 387, 390, 406

## **H**

Hahn Leonard 339, 340

Hall Aubrey L. „Lee” 16,17, 22, 28, 29, 32, 36, 38, 39,43,121, 356, 382, 397, 405, 406,410

Hall Charles 330

Hall Maude 17,22,397

Halsey William F. 103, 222, 225

Hamlin Robert D. 379, 406

Hard Harold N. 22, 207, 252, 253, 303, 314, 316, 324, 331, 402, 406, 410

Hard Marie 402

Harkins Charles F. 405

Hatcher Edgar G. 405

Henrickson Clifford S. 406

Herrick Jim 323

Heryford Glenn L. 405

Hettinger Walter 340

Hidalgo John E. 248, 353, 354,406

Hill Charley D. 190, 210, 212, 249, 250, 251,405

Hiner Dewey 238

Hines Harvey L. 406

Hobbs Woodrow E. 27, 123,128, 138, 139, 161, 248, 256, 351, 352, 353, 354, 355,

Hochstrasser Lewis B. 73,123, 396

Hodge John R. 281,282

Hodges Everett M. 162, 165

Homma Masaharu 56, 300

Hoover Herbert 53

Hope Bob 82

Hovell Virgil F. 405

## I

Ileto Rafael M. 256, 355, 397,406

Ilipio por. 359

Iwabuchi Sanji 286, 288, 351, 352

## J

Jamison Lucian A. 125, 405

Johnson, Joseph A. „Duch” 125, 249, 405

Jones Paul B. 145,149,153,154,155, 189, 193, 194, 196, 199, 201, 203, 204, 205, 260,  
266, 275, 361,405

Jones Paul H. 144, 145,146,156,157, 158, 230, 234, 235, 236, 237, 238, 239

Joson Eduardo 308, 315

## K

Kelly Robert B. 44, 58, 60

Kennedy Hugh 326, 327, 328

Kenney George C. 118

Kiang Chi Kien 376

Kincaid Thomas 222, 227

King Ernest J. 63

Kittleson Galen C. „Kit” 96, 210,211, 212, 213, 219, 232, 237, 238, 293, 294, 298,  
303, 305, 306, 307, 320,323, 324, 327, 328, 329, 376, 377, 378, 401, 406

Knaggs Fred J. 406

Koepke Donald 234

Kolas Thomas J. 379, 406

Kondo Nobutake 367, 368, 370, 371

Konishi Sadaaki 349, 350

Krueger Grace 395

Krueger James 395

Krueger Julius 65

Krueger Walter E. 17, 18, 25, 26, 65, 66, 67, 68, 69, 70, 75, 78, 92, 101, 106, 107, 108, 116, 117, 118, 119, 128, 132, 134, 135, 136, 186, 188, 189, 221, 222, 223, 225, 254, 280, 291, 297, 302, 337, 367, 369, 371, 381, 385, 389, 390, 392, 393, 395, 396, 402

## L

Lagoud John P.,

Lahmer John 387, 388

Lamour Dorothy 82

Lapham Robert 298, 299, 300, 301, 302, 305, 308, 329

Lapus 363

Laquier Francis H. 208, 303, 372,406

Largo Theodore „Kurdupel” 124,125, 405

Layug Carlos 326

Littlefield Vera 398

Littlefield Wilbur F. 16, 21, 23, 80, 81, 88, 95, 96, 98,100,135,137,160, 174, 175, 176, 177, 178, 179, 180, 227, 240, 241, 254, 255, 289, 290, 291, 351, 353, 355, 356, 357, 358, 365, 366, 367, 373, 374, 381, 382, 386, 391, 398, 402, 406, 410

Loh Chui 46, 58

Long John R. 406

Lumingkewas Alexander 129

Lumingkewas Heinrick 129

Lumsden Herbert 284

Lutz William B. 17, 23,137,160,161, 162, 163, 164, 165, 166, 167, 168, 169, 170, 171, 172,173,174, 180, 181,182, 183,184, 228, 241, 244, 248, 249, 251, 353,400,406,410

## M

MacArthur Arthur 53

MacArthur Arthur jr. 46, 58

MacArthur Douglas 17,18, 21, 45, 46, 47, 53, 54, 55, 56, 57, 58, 59, 60, 61, 63, 64, 65,

66, 75, 82,103,107, 112, 117,118,120,135,137,138, 140, 160, 209, 220, 222, 223, 224, 225, 227, 229, 230, 241, 283, 284, 285, 295, 300, 336, 338, 351, 359, 362, 393, 404

MacArthur Jean 46, 58, 59, 60, 105, 106

Magnuski Henryk 26

Makino Shiro 226

Mangold Harry 368, 369, 371

Marcos Ferdinand 397

Marshall George C. 63, 65, 66, 386

Mathews Karen (z d. Ray) 410

Matthews Leon L. 206

McAdoo Winfred E. 125,405

McCommons Jim 410

McCommons William E. 22, 390, 402, 406

McConnell Lester 16, 402, 410

McConnell Mae Ladinne Duffy 402

McConnell Zeke „Wódz Burzowa Chmura” 16, 22, 98,175,176, 241, 255, 290, 291, 356, 358, 381, 386, 402, 406

McCoy Lois Kathleen (obecnie Bourinskie) 349,403

McCoy Mildred 349

McCoy Oscar 349

McDonald Walter A. 109, 112, 405

McFadden Barclay „Mick” 344, 346, 347

McGowen Christine 102, 398, 410

McGowen John R.C. 22, 23,100,101, 102, 103, 107, 108, 109, 111, 112, 113, 114, 115, 116, 117,118, 119, 121, 132, 138, 143, 144, 146, 147, 154, 155, 156, 159, 181, 182, 184, 186,187,188,189,190,191,196, 197, 198, 201, 202, 203, 204, 241, 242, 243, 244, 247, 351, 360, 361, 362, 393, 397, 398, 405

McMurtry Virgil 348

Meiji patrz Mutsuhito cesarz

Milda David M. 126, 405

Miles Pete 342

Miller Vern M. 27,29, 37,38,39,43,405

Minzer Stewart J. 406

Mones Ben 356, 357, 381



Moon Joseph 129, 249, 351, 405

Moore Donald 174

Morgan Mostyn „Mos” 197,198,202, 205

Morris Don 410

Moyer Carl 76,102

Mucci Henry 302, 303, 304, 306, 308, 309, 310, 311, 314, 315, 316, 317, 327

Muller Henry 341

Muller Robert M. 155,156, 234,238, 239

Murphy John P. 308, 315, 317, 319, 320, 324

Mussleman Merle 326

Mutsuhito cesarz 47

Myers Marion 256

## **N**

Nazareno Jose 264, 265, 268, 270, 274

Ndrilo Nellist Jane 400, 410

Nellist Linda 410

Nellist William E. 19, 22, 23, 207, 208, 209, 210, 212, 213, 215, 217, 218, 219, 221, 226, 230, 231, 232, 233, 234, 235, 236, 239, 240, 291, 292, 293, 294, 295, 296, 297, 302, 303, 304, 305, 306, 307, 308, 309, 310, 311, 312, 313, 314, 315, 317, 323, 325, 326, 327, 328, 329, 330, 336, 351, 352, 360, 362, 363, 364, 365, 367, 375, 376, 377, 378, 400, 406

Niemela Elmer E. 176, 406

Niles Gibson 136, 137

Nimitz Chester W. 224

Novella Joseph E 406

Nuivedo Vincent 249

## **O**

O’Connell William J. 315, 317

Oldendorf Jesse B. 284, 288

Ortiz Anthony 125, 405

Orubio 364

Osmena Sergio 58, 229-230

Ott Herbert 326

Ouzts Wilmot B. 351,406

## **P**

Pacis Juan D. 358, 406

Pajota Juan 307,310,311,312,315, 316, 321, 324

Parazinski Bob „Parry” 238

Patrick Edwin D. 186,187,188,189, 204

Percival Arthur E. 51, 373

Perry Matthew 47

Philips John E. 248, 353, 354, 405

Philips Tom 51

Pitcairn John O. 121, 405

Polk John F. 71

Polo Marco 48

Prince Robert 302, 303, 308, 309, 315, 316, 317, 318, 319, 324, 327, 331

## **Q**

Quezon Manuel L. 53, 58, 230

Quipo Vincent 361, 362

## **R**

Ramirez Caesar J. 109, 111, 113,115, 405

Rapmund Louis 139, 208, 209, 210, 211,212,213,214,217

Rardin Pete 240

Rawolle Franklin M. 116, 117,129, 131

Ray Irvin J. 22, 28, 29, 34, 35, 36, 37, 38, 39,41,42, 248, 353, 354, 398, 399, 405, 410

Ray Michael 398, 399

Ray Terry 398, 410

Renhols Edward J. 142,145,146, 153, 154, 189, 192, 197, 199, 200, 201, 204, 260, 261, 265, 275, 281, 361, 405

Reposar Lleandro 252, 253

Reynolds William G. 123, 124, 125, 126, 128, 248, 353, 405

Richardson Ted 320

Ringler John 340, 347

Roberts John A. 109,113,115,116, 351,405  
Robie Dave 410  
Roby James 28, 38, 39,43  
Rockwell Francis W. 46, 59  
Roesler Oliver 81, 82,161,163,164, 169, 170,171, 173, 182, 183, 241, 244, 245, 246,  
247, 248, 381, 399, 406, 410  
Roland Preston 92  
Roor Donald 129  
Roosevelt Franklin D. 45, 48,49, 53, 57, 61, 224, 331  
Rosenthal Joe 350  
Ross Bob 161,162,163,166,167,168, 169, 170, 171, 172, 173, 182, 183, 241, 244, 246,  
247, 248, 251, 353, 354, 406  
Rounsaville Thomas J. 19, 23, 207, 208, 209, 210, 211, 212, 213, 214, 215, 216, 217,  
218, 219, 220, 221, 226- 227, 233, 252, 253, 254, 302, 303, 304, 305, 306, 308, 309, 311,  
315, 317, 323, 324, 326, 330, 336, 340, 351, 360, 365, 372, 373, 400, 406  
Rowalle Frank 263, 268  
Roxas Manuel 371

**S**

Sakai Saburō 55, 56  
Sanders K.W. 210  
Santos kpt. 354  
Santos Terry 17, 20, 21, 82, 99, 333, 334, 335, 336, 337, 339, 341, 342, 343, 344, 345,  
346, 348, 349, 392, 394, 400, 410  
Schermerhorn Robert T. 145,150,154, 180, 189, 266, 269, 397, 405  
Schilli Francis 324  
Schmidt Melville H. 315, 317, 322  
Schouten William 105  
Schreiber Kenneth 318  
Schumacker Vincent E. 44, 59  
Scott Leonard J. 125,139, 249, 251, 252,405  
Sharp William F. 60  
Shirkey Robert S. 351,379, 380, 399,406  
Shullaw Robert E. 161,164,169,170, 241, 249, 361, 381,406

Siason Thomas A. 210, 219, 231, 232, 293, 294, 376, 378, 406  
Sison Trinidad 273  
Sitter Stephen 326, 327  
Skau George 337, 340, 341, 342, 343, 344, 347, 392  
Smith Andy 78, 96, 210, 214, 216, 217, 218, 232, 233, 239, 240, 293, 295, 303, 328,  
376, 401, 406  
Smith Kate 331  
Soler Anselmo 348  
Sombar Michael J. „Żelazny Mike” 100, 121, 122, 126, 127, 128, 405  
Soule plk 348  
Sparks Harold N. 190,405  
Speer William J. 238,239  
Spencer Murlin 220  
Squires Martin 339  
Stewart Charles J. 379,406  
Stewart sierż. 321, 322  
Stillwell Joseph „Octowy Joe” 331-332, 389  
Stimson Henry L. 386  
Stuntz Mayo S. 36, 71, 72, 76, 92, 95, 272, 396  
Suesada Shimizu 138  
Sukup Frederick A. 88,  
Sumner Ann 23, 410  
Sumner Dorothy 396  
Sumner Robert „Rudzielec” 16, 23, 87, 94, 99, 123, 134, 135, 137, 141, 142, 143, 145,  
146, 147, 148, 149, 150, 151,152,153, 154, 155,156, 157, 158,159, 165,180, 186,188, 189,  
190,191,192,193, 194, 195, 196, 197, 198, 199, 200, 201, 202, 203, 204, 205, 206, 230, 248,  
258, 259, 260, 262, 263, 264, 265, 266, 267, 268, 269, 270, 271, 272, 273, 274, 275, 276, 277,  
279, 280, 281, 282, 330, 351, 360, 361, 368, 369, 370, 371, 378, 381, 386, 392, 396, 397, 405  
Sunn Joshua 124, 125,405  
Sutherland Richard K. 46, 54  
Swain William G. 406  
Swart Henry 145, 147, 149, 150, 151, 152,154  
Sweezy Roy 324  
Swift Innis 92

Swing Joseph 337, 339

Sycip Alfonso 384

## **T**

Tajima Hikotaro 383

Taruc Luis 328

Teague William E. 379, 406

Teeple Robert W. 79, 88, 93,100,110, 121, 122, 123, 405, 410

Terry Howard L. 233, 240

Thompson George S. 100,124,125, 126, 128, 129, 130, 131, 178, 241, 244, 248, 249,  
250, 252, 351, 355, 367, 402, 405

Thompson Michael 410

Throgmorton Allen H. 175, 358, 359, 381, 406

Tibbets Paul 388

Tison Sidney 73

Tojo Hideki 167

Town Cliff 339, 347

Townsend Clyde S. 379, 406

Toyozo Kitazono 121

Tsukada Rikichi 287, 367-368, 371

Tucker Clinton R. 379, 389,406

## **V**

Vaquilar Rufo V. „Pontiac” 208, 217, 303, 311, 312, 314, 315, 372, 406

Vega Cruz C. 406

Vera gen. 367

Vickery Chester B. 378, 381

Vineyard Conrad 22, 387, 391,401, 410

Vineyard Priscilla 401

Vining Ray 237, 238, 239

Vischansky Peter 256, 375,406

## **W**

Wai Chi 365

Wainwright Jonathan M. 47, 57, 61  
Walsh Edward W. 406  
Walters Bobby G. 358,405  
Wangrud Ray W. 190, 248, 353, 354,405  
Watson Glendale 229,241, 358, 359,406  
Watson Raymond „Łoś” 91,139,176,403  
Watson William R. 125, 210, 248, 405  
Weiland Harry D. 145,150,152,154, 189, 190, 192, 194, 196, 197, 200, 203, 204, 260,  
261, 275, 361, 405  
White Horton V. 107, 301, 302, 303, 304, 368, 369  
Williams Homer A. 71, 78, 79,101, 107, 132,136, 137, 336, 337, 396  
Williams Vance 351  
Winters Dick 15, 20, 23  
Wismer Wilbert C. 210, 214, 216, 292, 293, 295, 298, 301, 303, 376, 378, 406  
Wooten Lyle C. 406

## **Y**

Yamashita Tomoyuki 50, 57, 226, 285, 286, 288, 351, 370, 371, 372, 373, 379, 380,  
403, 404  
Yokoyama Shizuo 287  
York Elijah H. 406

## **Z**

Zabat 364  
Zedric Lance Q. 16, 23, 409, 410  
Zervoulakas Freddy 341  
Zwer Michael 379